

A woman's hand is shown holding a black high-heeled shoe. In the background, an open wooden jewelry box sits on a bed with a blue textured blanket. The box contains several large, brilliant-cut diamonds. The scene is lit with warm, soft light, creating a romantic and elegant atmosphere.

JAN BRATKOWSKI

Arabeska
KSIĘŻNICZKA

NOVAE RES

JAN BRATKOWSKI

Arabska księżniczka



NOVAE RES

Wyrażam niezmierną wdzięczność Emilii Zarębie
za wspaniałą redakcję, bez której ta książka by nie powstała.

Spis treści

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

ROZDZIAŁ 44

ROZDZIAŁ 45

ROZDZIAŁ 46

ROZDZIAŁ 47

ROZDZIAŁ 48

ROZDZIAŁ 49

ROZDZIAŁ 50

EPILOG

Psychopatia jest zaburzeniem osobowości, które charakteryzuje się całkowitym brakiem empatii w połączeniu z przejawami silnie amoralnego postępowania; jest maskowane przez zdolność do przedstawiania siebie na zewnątrz jako osoby normalnej. Psychopata „używa charyzmy, manipulacji, zastraszania, stosunków seksualnych i przemocy”[1] do kontrolowania innych oraz w celu spełnienia swoich potrzeb...

Współcześnie nie zawsze psychopatia jest precyzyjnie zdefiniowana jako taka, a w podręcznikach i artykułach na terenie Europy mówi się raczej o kategoriach antyspołecznego zaburzenia osobowości (aspoleczności). Szacuje się, że około 3% mężczyzn i 1% kobiet ma zaburzenia antyspołeczne.

Najnowsze badania psychoneurologiczne wykazały, że wszyscy psychopaci wyróżniają się aktywnym genem MAOA, potocznie zwanym Genem Wojownika, niekiedy Genem Zła. Obecność tego genu można zaobserwować w korze mózgowej przedniej półkuli, znajdującej się bezpośrednio za oczami, która jest odpowiedzialna za moralność. Panuje przekonanie, że gen jest dziedziczny i mają go w równych proporcjach zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Z badań przeprowadzonych nad psychiką kryminalistów wynika, że wszyscy seryjni mordercy posiadają aktywny Gen Zła. Inne badania wykazują, że nie każdy osobnik z Genem Wojownika automatycznie staje się psychopatą o morderczych skłonnościach. Zależy to od stopnia aktywności tego genu, a o tym decyduje środowisko wychowania, zwłaszcza w okresie dzieciństwa. Dzieci z Genem Wojownika, które były szykanowane lub często fizycznie karane, najczęściej wyrastają na kryminalistów, a nawet morderców. Te, które nie były karane i miały szczęśliwe dzieciństwo, najprawdopodobniej zrobią karierę w zarządzaniu ludźmi. Bo z różnych badań wynika, że wielu wykształconych psychopatów jest predysponowanych do osiągnięcia wysokich pozycji społecznych lub wysokich stanowisk kierowniczych. Obserwuje się czterokrotnie większy odsetek psychopatów wśród dyrektorów niż wśród całej inteligencji pracującej, przy czym swe wysokie pozycje dyrektorzy-psychopaci zawdzięczają bardziej charyzmie i szarmanckim zachowaniom lub manipulacji i zastraszaniu niż szczególnym uzdolnieniom zawodowym. Mimo że często są to źli kierownicy, o brutalnej i destruktywnej osobowości, potrafią się dobrze maskować i są lepiej postrzegani

przez swoich przełożonych niż inni.

Chociaż Gen Zła aktywuje się rzadziej u kobiet niż u mężczyzn, to jednak w powszechnym przekonaniu kobieta z aktywnym Genem Zła jest bardziej destrukcyjna niż mężczyzna. W Internecie krąży anegdota o wyborze kandydata na profesjonalnego zabójcę dla służb specjalnych, która doskonale ilustruje ten fakt:

Po trudnych eliminacjach do finałowej rundy dotrwały trzy osoby – dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Przed nimi ostatnia już próba – test lojalności. Zostaje wezwany pierwszy kandydat – mężczyzna. Egzaminator wręcza mu pistolet i mówi: „Widzi pan te drzwi? Tam na środku pokoju na krześle siedzi pańska żona. Proszę tam wejść i ją zastrzelić”. „Czy pan zwariował, mam zastrzelić własną żonę?! Nie ma takiej roboty, dla której bym to zrobił!” – oburzył się kandydat. „No to panu już dziękuję” – powiedział egzaminator i poprosił następnego kandydata, również mężczyznę. Egzaminator powtórzył zadanie do wykonania. Mężczyzna z ociąganiem wziął pistolet i powoli wszedł do pokoju. Po chwili jednak wyszedł ze łzami w oczach i mówi: „Nie mogę tego zrobić. To jest moja żona od dziesięciu lat. Ja ją kocham! Nie wymagajcie ode mnie, żebym zabijał członków własnej rodziny”. „No to panu też już dziękuję” – powiedział egzaminator i poprosił następnego kandydata, tym razem kobietę. Egzaminator wręczył jej pistolet i mówi: „Widzi pani te drzwi? Za drzwiami na środku pokoju na krześle siedzi pani mąż. Proszę tam wejść i go zastrzelić”. Kobieta wzięła pistolet, energicznie podeszła do drzwi i weszła do środka. Po chwili słychać było serię: bum! bum! bum!... i tak aż dziewięć razy. Później była chwila ciszy, a następnie przez drzwi słychać było straszny łomot. Wreszcie wszystko ucichło. Po chwili w drzwiach pojawiła się kobieta i mówi: „Załadowaliście pistolet ślepakami... Musiałam go zabić krzesłem...”.

Najprawdopodobniej starożytni władcy oraz założyciele i główni przywódcy średniowiecznych dynastii, które przez stulecia rządziły wielkimi imperiami, oraz późniejsi władcy absolutni, jak również Hitler i Stalin, byli psychopatami. Historia odśladania szereg morderstw dokonanych przez władców, którzy w walce o władzę wymordowali (czasami nawet własnoręcznie) dziesiątki innych pretendentów. Z perspektywy historycznej większość z nich uznana została przez potomnych za wybitne osobistości. Istnieją jednak historycy, którzy nie widzą w nich nic więcej niż zwykłych morderców. Bo faktem jest, że psychopaci oddziałują różnie na ludzi – z jednej strony skupiają zagorzałych wielbicieli, z drugiej budzą gniew i pogardę u ludzi, którzy uznają ich za osobników bez czci i sumienia, krwio pijców i morderców.

Chociaż gen przeciwstawny do Genu Wojownika – Gen Pacyfisty (Dove Gene) nie został jak dotąd odkryty, należy się spodziewać, że takowy istnieje. Zgodnie z największymi filozofiami świata, dwoistość jest podstawą ludzkiej moralności. Zarówno koncepcja YIN-YANG w filozofii chińskiej, jak i chrześcijańskie wyobrażenie ZŁA i DOBRA zakładają dwoistość ludzkich postaw i charakterów. Z licznych publikacji i najnowszych badań zamieszczonych w Internecie wynika natomiast, że moralne postawy są determinowane nie tylko przez środowisko, jak wcześniej uważano (w tym wzorce moralne i zachowania moralnych modeli), ale również przez geny.

Obecność dwóch przeciwstawnych genów (Genów Moralności) w ogólnym genotypie człowieka całkowicie wyjaśnia zawilość ludzkich postaw moralnych jako warunkowanych aktywnością tychże genów. Jest to całkowicie zgodne z potocznymi obserwacjami ludzkich charakterów, w których można wyróżnić cztery główne typy: Wojownik, Społecznik, Lider i Obserwator[2]. Każdy typ zależy od obecności i stopnia aktywności Genów Moralności. Aktywny Gen Wojownika jest wyłączny i dominujący w typie osobowości Wojownika. Aktywny Gen Pacyfisty jest wyłączny i dominujący w typie osobowości Społecznika. Obydwa aktywne Geny Moralności charakteryzują Lidera. Wreszcie brak aktywności któregośkolwiek z Genów Moralności charakteryzuje Obserwatora. Jest oczywiste, że w zależności od stopnia aktywności Genów Moralności charakter osobnika może objawiać się we wszystkich możliwych stanach pośrednich. Ktoś może być osobą brawurową, ktoś inny tchórzem, a jeszcze inny człowiekiem odważnym i ostrożnym, wreszcie niektórzy mogą być bardziej wrażliwi na krzywdę innych ludzi niż własne dobro. A wszystko to w zależności od tego, w jakim stopniu aktywowane zostały przez dobre lub złe wychowanie Geny Moralności we wczesnym dzieciństwie.

Zapytasz, czytelniku: „I co z tego wynika?”. Otóż psychopaci byli, są i będą wśród nas. Możliwe jest, że to właśnie oni są bohaterami z przeszłości, którzy wykreowali naszą rzeczywistość. Ale trzeba wiedzieć, że nie odbyło się to bez destrukcji, bez unicestwienia ludzkich istnień, bez wielkich cierpień i dramatów jednostek, a nawet całych rodzin. Toteż jeśli napotkasz psychopatę na swojej drodze – nieważne, mężczyznę czy kobietę, nieważne, jak bardzo będziesz urzeczony jej lub jego postawą i historyczną rolą – jeśli cenisz sobie własne życie, uciekaj jak najdalej!

Do identyfikowania psychopatów stosuje się test badawczy, tak zwany „Hare Psychopaty Checklist”. Przykład testu znajduje się na końcu książki.

[1] Parafraza tekstu Roberta Zajęca.

[2] Podział zaproponowany przez autora.

Prolog

Mimo słonecznego dnia, w pokoju było ciemno. Była już prawie dziesiąta rano, ale zasłony w oknie były zaciągnięte. Mała lampka w rogu nie dawała dosyć światła, żeby oświetlić dużą przestrzeń pokoju. W pomieszczeniu było mało mebli. Naprzeciw lampy stała szeroka trzyosobowa kanapa, mniej więcej pośrodku ściany przeciwległej do okna znajdował się niewielki stolik i dwa krzesła. W ścianie zarysowywał się ciemny kontur drzwi. Drugie drzwi znajdowały się w ścianie za kanapą.

Manito podniósł się z krzesła.

– Nie ma się co upierać, panie Ramirez – zwrócił się do mężczyzny siedzącego na krześle. – To jest dobra oferta. W sumie daję przeszło sto tysięcy dolarów. Niech pan popatrzy! Tutaj ma pan osiemset tysięcy pesos, a tutaj trzydzieści tysięcy dolarów – powiedział, wskazując na dwie leżące na stole koperty.

– *Señor Jose*, ten dom jest wart co najmniej dwieście tysięcy! – odpowiedział Ramirez, patrząc w kierunku kanapy, jakby szukał wsparcia u siedzącej tam żony. Ona jednak milczała, przytulając dwoje dzieci do swoich boków.

– Panie Ramirez, dom nie jest wart tyle, ile sprzedający żąda, tylko tyle, ile ktoś jest gotów za niego zapłacić. Jaka była wyjściowa cena i jak długo był wystawiony na sprzedaż?

– Przeszło rok, za cenę dwustu dwudziestu tysięcy dolarów.

– I co? Nie znalazł pan żadnego kupca za te pieniądze. Słyszałem, że ostatnio obniżył pan cenę do stu sześćdziesięciu tysięcy i nadal nie było chętnych. A przecież dzisiaj pan już wyjeżdża i jak pan przypilnuje sprzedaży? Ile pan płaci prowizji agentce? Dziesięć, piętnaście procent? Nawet jeśli dom pójdzie za sto sześćdziesiąt, to na rękę dostanie pan sto trzydzieści sześć, zakładając prowizję piętnastu procent, a przecież nikt nie zapłaci tych pieniędzy bez targu. Nie, panie Ramirez, to jest dobra oferta. Proponuję, żeby zadzwonił pan do agentki i odwołał sprzedaż. Weźmie pan pieniądze, pojedziemy do notariusza i załatwimy wszystko od ręki. Wyruszy pan do Stanów z żywą gotówką w rękę i ze spokojną głową.

– *Señor Jose*, niech pan chociaż dołoży dwadzieścia tysięcy! Za kwotę stu dwudziestu tysięcy dolarów to się zgodzę – odezwał się prawie błagalnym głosem Ramirez.

– Widzi pan, my nie jesteśmy bogaci – powiedział Manito, wskazując na dwóch mężczyzn stojących przy drzwiach. – Ja i moi koledzy z trudem zebraliśmy kwotę, którą panu oferuję. Musieliśmy się nawet zapożyczyć. A nie wierzę, że dostanie pan lepszą ofertę. To co, umowa stoi?

Ramirez z przerażeniem zauważył, że jeden z mężczyzn stojących w drzwiach wyciągnął broń – krótki, ciemny pistolet, który w półmroku wyglądał

jak zabawka. Klik towarzyszący wyjmowaniu magazynka zabrzmiał w prawie pustym pokoju bardzo złowieszczo. Po chwili magazynek z trzaskiem powrócił na swoje miejsce. Kolejny trzask towarzyszył załadowaniu pocisku do lufy.

– To co, mamy umowę? – odezwał się znów Manito spokojnym głosem. – Proponuję, żeby przeliczył pan pieniądze.

Ramirez sięgnął po cieńszą kopertę, otworzył ją i wysypał na stół trzy równe pliki studolarowych banknotów, każdy owinięty banderolą.

– Niech pan liczy, niech pan się nie krępuje – powiedział Manito. Starał się, żeby nie brzmiało to zbyt nagłaco. – Tak czy inaczej, notariusz będzie musiał pieniądze przeliczyć i sprawdzić autentyczność banknotów. W drugiej paczce są pesos.

Ramirez sięgnął po drugą kopertę.

– Jak powiedziałem, tutaj ma pan osiemset tysięcy pesos.

Koperta była bardzo gruba. Ramirez wytrząsnął z niej na stół osiem równych plików banknotów. Były większe od tych dolarowych. Każdy składał się z pięciuset banknotów o nominale dwustu pesos.

– Jak mówiłem, notariusz to sprawdzi i przeliczy, to jego obowiązek, ale może pan zrobić to również sam, jeśli pan sobie życzy. Osiem plików po sto tysięcy – powiedział Manito, dotykając pieniędzy. – Rozumiem, że mamy umowę, panie Ramirez – dodał po chwili. – Proponuję zatem, żebyśmy teraz poszli do notariusza. Zdążyłem go już uprzedzić, że przyjdziemy, i wszystkie dokumenty będą na nas czekały gotowe. Cenę pozwoliłem sobie podać notariuszowi już wcześniej. Wiedziałem, że się pan zgodzi. Pańska żona i dzieci pozostaną tutaj, będą czekać w towarzystwie moich ludzi na nasz powrót.

Ramirez z ociąganiem wstał z krzesła. Był niewysokim mężczyzną, jednak o pół głowy przewyższał Manita.

– Cała sprawa nie powinna nam zająć więcej niż godzinę – powiedział Manito, zwracając się do kobiety. – Jeśli pani lub dzieci będziecie czegoś potrzebować, proszę się nie krępować, Enrique i Bertoldo pomogą pani, z czymkolwiek sobie pani życzy.

– Wręcę to panu w obecności notariusza – Manito ponownie zwrócił się do Ramireza, wkładając banknoty z powrotem do kopert, a następnie pod pachę. – Poprowadzę, chodźmy.

Obaj wyszli drzwiami w ścianie za stolikiem. Prowadziły one do holu i do wyjścia z domu. Bertoldo, który do tej pory cały czas bawił się pistoletem, schował broń do wewnętrznej kieszeni marynarki, przeszedł przez pokój i stanął przy drzwiach, którymi wyszli. W pokoju zapanowała cisza. Enrique pozostał na swoim miejscu, przy drzwiach prowadzących do kuchni. Spojrzał na kobietę. Była bardzo ładną, szczupłą szatynką, w wieku ponad trzydziestu lat. Miała owalną twarz, którą okalały gęste, sięgające do ramion włosy. W jej oczach czaił się strach.

„Zdecydowanie pociągająca” – ocenił kobietę Enrique. Dzieci – dziesięcioletni chłopiec po jej lewej stronie i wysoka dziewczynka po prawej – kurczowo trzymały się matki. Ich ręce obejmowały matkę w talii, głowa chłopca spoczywała na jej lewej piersi. Dziewczynka wyglądała na nie więcej niż dwanaście lat, jej głowa spoczywała na ramieniu matki.

– Życzy pani sobie czegoś? – zapytał grzecznie Enrique.

– Dziękuję – powiedziała. – Może dam dzieciom trochę soku.

– Mam przynieść, czy pójdzie pani ze mną? – spytał.

– Proszę przynieść – odpowiedziała, czując przerażenie dzieci. – Na stole w kuchni znajdzie pan zgrzewkę małych kartoników z sokiem jabłkowym. A na podłodze pod stołem są litrowe kartony soku. Proszę przynieść dwa małe i poczęstować się dużymi, jeśli któryś z panów ma ochotę. Szklanki są na stole.

Było już po wpół do pierwszej, kiedy Manito i Ramirez wrócili do domu. Tym razem Ramirez trzymał obie koperty pod pachą. Wyglądał na mniej zestresowanego, nawet uśmiechnął się uspokajająco do żony. Twarz Manita również wyrażała zadowolenie. Rozejrzał się uważnie po pokoju, kobieta z dziećmi nadal siedziała na kanapie, natomiast Bertoldo i Enrique stali przy drzwiach.

– Myślę, że to by było na tyle – powiedział Manito, nie zwracając się szczególnie ani do Ramireza, ani do jego żony. – Za chwilę będziecie państwo mogli już jechać. Musi pan jeszcze tylko zadzwonić do agentki nieruchomości i powiadomić ją, że dom został sprzedany. Proszę to zrobić teraz, chciałbym przy tym być. Nie chcę, żeby mnie tu nachodziła czy wydzwaniała po pańskim wyjeździe. Proszę dzwonić, tylko bez żadnych zbędnych komentarzy.

Ramirez wykonał polecenie.

– Zrobione – powiedział do Manita. – Pozwoli pan, że dokończymy pakowanie walizek i załadujemy wszystko do samochodu. Potrzebujemy jeszcze jakieś pół godziny, żeby się stąd wynieść. Chodźcie! – zwrócił się do żony i dzieci. – Pomożecie mi.

Manito gestem nakazał Enrique, żeby poszedł z nimi.

– Możesz już jechać – zwrócił się po chwili do Bertolda, gdy rodzina wyszła z salonu. – Spotkamy się tak, jak było umówione.

– Okej, szefie – odpowiedział Bertoldo i wyszedł.

Manito rozejrzał się po pokoju. Był duży i ładny – podobnie jak cały dom. Czuł zadowolenie z jego nabycia. Przymierzał się do tego już od dłuższego czasu, a właściwie od momentu, gdy dom został wystawiony na sprzedaż. Wiedział o planach Ramireza dotyczących wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Kiedy przyszedł tu pierwszy raz jako potencjalny klient, był urzeczony nie tylko domem, ale również ogrodem i umeblowaniem. Dom zbudowano na obrzeżach miasteczka San Nicholas de Obispo, odległego niecałe dziesięć kilometrów od Morelii, stolicy stanu Michoican. Uznał, że doskonale nada się na kryjówkę. Miasteczko liczyło

może kilkaset mieszkańców, na pewno nie więcej niż dwa tysiące ludzi, i było całkowicie pod kontrolą mafii. Miało połączenie ze stolicą stanu, a jednocześnie było dostatecznie odizolowane od sąsiednich miast dzięki typowo górskiemu otoczeniu. Miało też łatwy dostęp do autostrady numer 15, która łączy Morelię z Guadelajarą. Dojazd do autostrady nie zabierał więcej niż pięć minut. Było położone na wysokości około dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza i miało łagodny klimat – ciepły i w miarę suchy.

„Będzie to również doskonałe miejsce na weekendowe wypady” – pomyślał. Zdecydował nie zgłaszać nabytku szefom mafii. Dom kupił za własne pieniądze. Będzie to prywatna własność. Martwił go tylko fakt, że Bertoldo i Enrique są współdziaławcami.

Wyszedł przed dom, podwórko porastała soczyście zielona trawa, z kwietnymi klombami po bokach. Zupełnie nie znał się na kwiatach, jednak ogród mu się podobał. „Trzeba będzie zatrudnić jakiegoś ogrodnika – pomyślał – żeby zachować go w takim stanie, w jakim jest. Huśtawki trzeba będzie usunąć, a postawi się tam stół ogrodowy”. Popatrzył z zadowoleniem na murek grill pod szerokim zadaszeniem. Całe podwórko było zadbane i schludne.

– Są gotowi – wyrwał go z zamyślenia głos Enrique.

– Już idę – odpowiedział.

Wszedł z powrotem do domu. Przyszedł mu jeszcze jeden pomysł do głowy.

– Sr. Ramirez, co zamierza pan zrobić z meblami, które pozostały w domu?

– Mój brat ma przyjechać za kilka dni i je zabrać. Zatrzymaliśmy trochę mebli, żeby było na czym usiąść i spać do czasu naszego wyjazdu. Oprócz kanapy i stolika w salonie, w sypialni na górze są jeszcze dwa łóżka, a w kuchni stół i kilka krzeseł.

– Może będzie lepiej, jeśli je od pana odkupię? Wolałbym, żeby po pańskim wyjeździe nikt mi tu głowy nie zawracał. Ustalmy cenę, zapłacę i pan powie bratu, żeby się tu nie fatygował. Dam panu za to wszystko trzy tysiące pesos.

– Trzy tysiące to za mało, Sr. Jose. Oddam za dziesięć tysięcy.

– Dobrze. Pozwoli pan jednak, że obejrzę, co kupuję.

Manito rzucił okiem na zużytą kanapę stojącą w salonie. Nie wyglądała na wartościową. Wiedział, że Ramirez kłamie, bo to właśnie on kupił przez podstawionego człowieka wszystkie oryginalne meble z mieszkania. Tej kanapy tam nie było. Domyślił się, że Ramirez po sprzedaniu oryginalnych mebli przywłókł jakiegoś grata na czas do wyjazdu. „Pewnie dostał ją gdzieś za darmo” – pomyślał. Na pewno nie potrzebował tego śmiecia, jednak ważniejsze było, żeby po przejęciu domu nikt się po nim nie kręcił. Zdecydował się więc kupić wszystko, co pozostało, niezależnie od ceny, a następnie wyrzucić bądź znaleźć dla nich jakiś użytek. Przeszedł się po domu. Na górze, w dwóch małych sypialniach, znalazł dwa niewielkie łóżka, w sam raz dla nastolatków, a w głównej sypialni szeroki

materac, leżący bezpośrednio na podłodze. Jedyne sześćoosobowy stół i krzesła w kuchni przedstawiały jakąś wartość.

– Raczy pan żartować! – zwrócił się do Ramireza po powrocie do salonu. – Przecież tu nic nie ma! Trzy tysiące to za dużo, ale dam panu cztery, żeby zakończyć transakcję. – Wyciągnął portfel i odliczył pieniądze.

Ramirez przyjął zapłatę bez słowa.

– Proszę teraz zadzwonić do brata i poinformować go, że wszystko zostało sprzedane i żeby tu nie przyjeżdżał.

Ramirez wykonał polecenie.

– Oto klucze od domu – powiedział do Manita, podając mu pęk kluczy, gdy tylko skończył rozmawiać z bratem.

– Widzę, że jesteście już gotowi – powiedział Manito, biorąc klucze. – Poproszę was jeszcze o jedną przysługę. Mój kolega Bertoldo musiał wcześniej wyjechać i zabrał nasz samochód. Podrzucicie mnie i Enrique do Tacicuaro? To jest po drodze, jakieś cztery kilometry stąd. Zakładam, że jedziecie na zachód, żeby wjechać na autostradę przy wjeździe z Capuli. Jeśli tak, to jest to dobry plan. Może nadłoży pan pięć kilometrów, ale w ten sposób uniknie pan przejazdu przez Morelię i w sumie zyska pan na czasie. Wierzę, że w pana vanie znajdzie się miejsce dla nas wszystkich.

Ramirez bez słowa podszedł do auta. Rodzina też zaczęła wsiadać. Enrique polecił dzieciakom usiąść na fotelach z tyłu vana, natomiast sam usiadł obok kobiety w środkowym rzędzie. Miejsce obok kierowcy pozostawił dla Manita. Ramirez wyprowadził samochód na ulicę i poczekał, aż Manito zamknie drzwi i bramę.

– Jestem naprawdę zobowiązany za tę przysługę – powiedział Manito, siadając na fotelu z przodu.

Jechali w milczeniu, oddalając się od miasteczka. Wąska asfaltowa droga wiodła przez zalesiony wąwóz. Po kilku minutach jazdy zauważyli pick-upa stojącego na poboczu drogi.

– Jest i nasze auto. Proszę zatrzymać się za tym samochodem, tam wysiądziemy – powiedział Manito.

Ramirez zatrzymał się kilka metrów za pick-upem. Był to ten sam czarny chevy silverado, którym Manito przyjechał ze swoimi towarzyszami do jego domu.

– Dziękuję bardzo. Jesteśmy na miejscu – powiedział Manito, a po chwili dodał: – Została nam jeszcze tylko jedna sprawa do załatwienia.

Po tych słowach Manito i Enrique niemal równocześnie wyciągnęli broń. Kilka sekund później kierowca ciężarówki wysiadł i podszedł do drzwi vana od strony kierowcy. Ramirez z przerażeniem rozpoznał w nim Bertolda.

– Proszę wysiadać! – rozkazał Manito, zwracając się do Ramireza.

Bertoldo otworzył drzwi. On również trzymał w ręku pistolet.

– *Señor* Jose, nie róbcie nam krzywdy! – błagał Ramirez.

Dzieci zaczęły głośno płakać, natomiast kobieta, oszołomiona, wyglądała na spokojną.

– Jazda, niech pan wysiada! – rozkazał Bertoldo. – Dalej pojedzie pan ze mną. Rodzina pojedzie za nami.

Bertoldo prawie na siłę wyciągnął Ramireza z auta. Chwycił go za ramię i przystawił mu pistolet do głowy.

– Idziemy! – pociągnął go w kierunku ciężarówki.

W tym samym czasie wysiadł Manito. Obszedł vana, chwycił Ramireza za ramię z drugiej strony i również przystawił mu pistolet do głowy. Bertoldo puścił więźnia i usiadł na miejscu kierowcy. Manito natomiast poprowadził Ramireza do siedzenia pasażera i zmusił go do zajęcia miejsca.

– Tylko spokojnie, jeśli nie chce pan, żeby coś złego stało się pana rodzinie – zagroził.

Zatrzasnął drzwi ciężarówki i zawrócił do vana. Zajął miejsce kierowcy. Bertoldo ruszył. Manito również uruchomił samochód i podążał za nim w niewielkiej odległości. Po przejechaniu około czterystu metrów obydwie samochody skręciły w prawo, w polną drogę, która prowadziła w głąb lasu. Jazda przez las trwała niecałe dziesięć minut. W tym czasie samochody kilka razy zmieniały kierunek, skręcając w boczne drogi, by w końcu zatrzymać się na niewielkiej polanie. Po wjeździe do lasu dzieci zaczęły płakać jeszcze głośniej, a kobieta histerycznie krzyczeć. Enrique przystawił pistolet do głowy dziewczynki.

– Albo się pani uspokoi, albo zastrzelę córkę na miejscu – powiedział.

Kobieta początkowo zaniemówiła z przerażenia, w końcu jednak zamilkła, co chwilę tylko głośno pochlipując. Enrique schował pistolet do wewnętrznej kieszeni marynarki. Z bocznej kieszeni wyjął linę i zrobił dwie pętle. Chwycił lewą rękę kobiety i szybkim ruchem założył na nią jedną z pętli, którą następnie zacisnął na nadgarstku. Nie zważając na jej wrzaski, brutalnie przełożył jej rękę za plecy. Dzieci na chwilę się uciszyły, a następnie ponownie wybuchły donośnym wrzaskiem. Mimo hałasu, Enrique chwycił drugą rękę kobiety, założył na nią pętlę, zacisnął ją i szybko związał oba końce, tworząc coś w rodzaju kajdanek. Następnie wyjął z kieszeni rolkę taśmy samoprzylepnej i odwinął niewielki kawałek. Trzymając taśmę w prawej dłoni, lewą złapał kobietę za włosy, odwrócił jej twarz ku sobie i przykleił odwinęty koniec do jej lewego policzka. Wrzaski z tyłu się nasiliły. Chwycił rolkę lewą ręką, prawą dłonią natomiast naparł na brodę kobiety tak mocno, aż jej głowa dotknęła oparcia fotela, a usta się zamknęły. Pociągnął za rolkę, odwinął trochę więcej taśmy i zakleił usta kobiety. Odciął resztki taśmy nożem i puścił ofiarę. Bez słowa uciął jeszcze dwa kawałki taśmy i łapiąc za włosy dzieci, zakleił im usta. Dopiero wtedy Manito wysiadł z samochodu. Podszedł do drzwi od strony kobiety i wyciągnął ją z auta. Enrique odciął dwa kawałki liny,

następnie brutalnie wyciągnął z auta dziewczynkę, która bezskutecznie próbowała zerwać taśmę z ust, i związał jej ręce z tyłu w podobny sposób, jak uczynił to z matką. Ten sam los spotkał chłopca.

Manito uważał siebie za dobrego człowieka, gdyż w życiu kierował się pewnymi zasadami. Jedną z nich była niechęć do zadawania niepotrzebnego bólu jego ofiarom. Nie chcąc widzieć przerażonych i błagających spojrzeń, przygotował zawnazasu czarne opaski, które założył kobiecie i jej dzieciom na oczy. Następnie podszedł do pick-upa. Bertoldo miał o wiele więcej problemów z Ramirezem niż Enrique z kobietą i dziećmi. Chociaż Ramirez był związany i zakneblowany, to Manito zauważył, że krwawi z rany na głowie i wygląda na oszołomionego. Najwyraźniej nie poddał się bez walki.

– Wszystko w porządku? – zapytał Manito Bertolda.

– Tak – odpowiedział Bertoldo. – Skurwiel się stawiał, musiałem mu przyłożyć.

– Dawaj go! – rozkazał Manito. – Musimy się pośpieszyć.

Wyciągnął z samochodu Ramireza i założył mu czarną opaskę na oczy. Wkrótce pochód ruszył, z dziećmi idącymi z przodu w asyście Manita, matki prowadzonej pod rękę przez Enrique oraz ojca trzymanego za ramię przez Bertolda. Kierowali się do widocznego w oddali świeżo wykopanego dołu.

Ramirez, ogarnięty rozpaczą, szedł biernie. Na zmianę modlił się i przeklinał Manita i jego ludzi. Był świadomy zbliżającego się końca i przerażającego losu czekającego jego rodzinę. Zaczął przeklinać Boga za swoje cierpienia. Przeklinał Bertolda, który z jakimś innym typem wtargnął kiedyś do jego sklepu jubilerskiego, żądając zapłaty za „opiekę”. Kwota nie była zbyt duża, chcieli od niego piętnaście tysięcy pesos miesięcznie, mniej niż półtora tysiąca dolarów. Żałował teraz, że im wtedy nie zapłacił. Naiwnie myślał, że policja mu pomoże. Wówczas jeszcze nie wiedział, że policja była już całkowicie pod kontrolą mafii. Zaczął płacić dopiero wtedy, gdy pobili do nieprzytomności jego siostrzeńca, który pracował w sklepie. Jednak było już za późno – mafia podbiła stawkę dwukrotnie: następnego dnia po pobiciu Bertoldo zażądał trzydziestu tysięcy pesos, a po kilku miesiącach podniósł opłatę do czterdziestu tysięcy pesos, mimo że wtedy Ramirez płacił już regularnie.

Najgorsza była bezsilność. Naraził rodzinę na niebezpieczeństwo i nie mógł nic zrobić, żeby temu zapobiec. Przecież i żona, i dzieci były dla niego wszystkim. Oddałby wszystko, nawet życie, za ich bezpieczeństwo i szczęście. Nieraz w myślach widział siebie, że walczy z przeciwnikiem, ratując dzieci. A teraz co? W obliczu prawdziwego zagrożenia sam szedł na rzeź jak baranek, a rodzina razem z nim.

– Bydlęta! – złorzeczył. – Żeby was piekło pochłonęło! Boże, ukarż tych potworów. Boże, dlaczego mi to zrobiłeś, dlaczego mi to robisz? Czym zawiniła ci

moja rodzina? Boże, czy kilku bandytów jest mocniejszych od ciebie?

Ci dranie praktycznie go zrujnowali. Jego świat zawalił się, gdy dwa lata temu mafia pojawiła się w okolicy. Miasto w mafijnych kleszczach ubożało, a ludzie uciekali do Stanów albo za pracą, albo szukając tam bezpieczeństwa. Turyści przestali przyjeżdżać. Jego biznes całkowicie podupadł. Liczba klientów zmniejszyła się trzykrotnie. Musiał zrezygnować nie tylko z luksusowego życia, jakie wiódł, zanim pojawił się Bertoldo, ale zaczął odczuwać problemy finansowe. Miał coraz większe kłopoty z opłacaniem czesnego w prywatnych szkołach, do których uczęszczały dzieci, a rodzina musiała żyć skromniej. Dużo miał sobie do zarzucenia. Dlaczego tak późno zdecydował się na wyjazd? Dlaczego najpierw chciał sprzedać dom? Jaki był głupi, że oficjalnie wystawił sklep na sprzedaż! I tak nie było nabywców. Powinien wiedzieć, że z mafią na liście płac jego sklep był skażony. Dlaczego zamknął sklep? Dlaczego rozpowiadał wszystkim o wyjeździe? Mafia nie powinna wiedzieć o jego planach. Powinien udawać pogodzonego z losem, płacić im i zachowywać się jak zwykle. To ten potwór Jose tak sprytnie go podszedł, że wyznał mu swoje plany w szczegółach.

– Boże, uratuj nas! Boże, oszczędź chociaż dzieci! – modlił się po cichu.

Doszli na miejsce. Manito ustawił dzieci przed zwałem ziemi powstałym podczas kopania dołu. Enrique zaprowadził kobietę na prawo od dzieci, a mężczyznę na lewą stronę. Rodzina stała w szeregu wzdłuż wału. Wszystko odbywało się w milczeniu.

Na znak Manita ofiary zostały zmuszone do klęknienia – przez nacisk na głowę w przypadku dzieci i kopnięcie w zgięcie kolan w przypadku matki i ojca. Trzech bandytów stanęło za rodziną z odbezpieczoną bronią w ręku – Bertoldo celował w głowę ojca, Enrique w głowę matki, Manito natomiast mierzył z dwóch pistoletów w głowy dzieci. Wyglądało na to, że bandyci dopracowali plan w szczegółach – porozumiewali się bez słów. Manito odliczał, machając uzbrojoną ręką: cztery, trzy, dwa. Na „jeden!” prawie jednocześnie huknęła salwa. Dzieci, rzucone impetem pocisków, wpadły do grobu. Kobieta poleciała głową do przodu tak, że jej tułów osunął się do dołu, a nogi pozostały na nasypie. Ramirez po strzale początkowo pozostał w pozycji stojącej, kiwając się w przód i w tył, dopiero po chwili pochylił się do przodu i wpadł głową do rowu, podczas gdy dolna połowa ciała pozostała na nasypie.

– Wrzucie go do dołu! – rozkazał Manito pozostałym.

Razem chwycili za drgające jeszcze nogi mężczyzny i wrzucili go do grobu. Potem Enrique z obojętną miną zepchnął butem nogi kobiety z nasypu. Manito przyglądał się w milczeniu, jak dwóch członków jego bandy wskakuje do grobu i obszukuje ciała kobiety i mężczyzny. Nie miał nic przeciwko temu. Sam był bogaty. Właśnie stał się właścicielem domu, który nie będzie go nic kosztował. Spodziewał się znaleźć swoje pieniądze w vanie. Spodziewał się również, że

Ramirez przewoził więcej pieniędzy, a może nawet kosztowności. Przecież był jubilerem. Na pewno zabrał też materiały i produkty do pracy i handlu, by móc od razu wystartować. Spojrzał na zegarek. Robiło się późno. Czas naglił. Trzeba było się spieszyć, zanim napatoczy się jakiś niepotrzebny świadek. Nakazał więc Bertoldowi zakopać zwłoki, a sam oddalił się z Enrique, by przeszukać vana. Dokładnie przejrzeni wszystkie walizki znajdujące się w bagażniku samochodu. Intuicja Manito nie zawiodła. Koperty z pieniędzmi były w aucie. Znajdowały się w małej aktówce, którą znaleźli w jednej z walizek. Tak jak się spodziewał – Ramirez wiozł więcej pieniędzy. W aktówce znajdowało się jeszcze sześć grubych plików banknotów studolarowych, każdy związany gumką. Po przeliczeniu okazało się, że jest tam sto czterdzieści tysięcy dolarów. Manito poczuł ogromne zadowolenie. Znaleźli również drewnianą szkatułkę bogato zdobioną kolorowymi wzorami. Zawierała różne przyrządy i narzędzia potrzebne jubilerowi do pracy. Znaleźli również metalowe pudełko z dużą liczbą wyrobów złotniczych zapakowanych w małe torebki plastikowe. Były tam kolczyki, pierścionki i wisiorki. Większość biżuterii była wysadzana bogatymi kamieniami: szafirami i rubinami, trzy pierścionki z diamentami. Manito nie znał się na diamentach, ale kamienie urzekły go swoim blaskiem i rozmiarami. W jednej z walizek były tylko ubrania dzieci. Manito kazał Enrique wrzucić walizki i pudełko z narzędziami do w połowie zasypanego już grobu. Gotówkę i biżuterię włożył do aktówki, którą zabrał ze sobą.

Pół godziny później miejsce pochówku nieszczęsnej rodziny było tak dobrze zamaskowane, że praktycznie nie odróżniało się od otoczenia. Manito kazał Bertoldowi zaprowadzić vana do zaprzyjaźnionego warsztatu. Samochód miał być tam rozebrany na części i sprzedany. Razem z Enrique pojechali za vanem, żeby zabrać po drodze Bertolda.

Po około godzinie wszyscy trzej spotkali się w salonie.

– Dobra robota, chłopaki! – zagaił Manito. – Tak jak uzgodniliśmy – ten dom, chociaż formalnie należy do mnie, będzie służył nam wszystkim, głównie jako kryjówka, ale i dla wypoczynku. Każdy z was będzie tu mógł spędzić kilka weekendów w roku. Opracujemy grafik, żeby ustalić, kto i kiedy będzie mógł z niego korzystać. Dom nas nic nie kosztował. Zwracam więc wam z powrotem wasze pieniądze.

Dał każdemu po trzysta tysięcy pesos, które wnieśli do funduszu na zakup domu. Po czym dodał:

– Wy dwaj zajmijcie się sprowadzeniem mebli z magazynów. Ja postaram się znaleźć sprzątaczkę i ogrodnika. A tutaj macie bonus za dzisiejszą robotę – powiedział, wręczając każdemu po dwadzieścia tysięcy dolarów. – Nasza baza operacyjna pozostaje ta sama co dotychczas. Tutaj służbowo będziemy się spotykali tylko na moje wyraźne polecenie. Chyba nie muszę mówić, że nikt

z „rodziny” nie może się dowiedzieć o tym domu ani o tym, co się dzisiaj wydarzyło. Zalecam również dyskrecję, kiedy będziecie spędzali tutaj weekendy.

W taki to sposób dom został zaadaptowany dla potrzeb prywatnej bandy Manita. Z czasem w miasteczku zyskał nazwę La Casa del Muerto, a wśród niektórych mieszkańców La Casa del Diablo, czyli Dom Diabła.

ROZDZIAŁ 1

Czwartek, 18 listopada 2010, godzina 18:00 CST

Danie smakowało przeciętnie. Mimo wysokiej ceny, stek z kością był twardy, a marchewka zbyt miękka. Frytki, które i tak nie pasowały do zestawu, były bardziej ugotowane niż usmażone.

„Powiniennem znaleźć jakieś lepsze miejsce” – pomyślał Roman, krojąc twarde mięso.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie odesłać dania do kuchni – zamawiał krwisty, a podano mu bardzo wysmażony kawałek mięsa, który w dodatku smakował jak podeszwa. Ostatecznie zdecydował, że nie zwróci dania. I tak w karcie nie widział niczego lepszego, a nie chciał zmieniać lokalu. Restauracja Baron Rojo znajdowała się w bardzo dogodnym miejscu, tuż przy wejściu do hali odlotów, nieopodal stanowisk odprawy bagażowej największych linii lotniczych, w tym KLM i Air France. Miała też wyrafinowany wystrój, a część barowa dysponowała bardzo wygodnymi fotelami.

– Jak stek? – zapytał Roman siedzącego naprzeciw Poliego. – Powinien ci smakować, bo ty lubisz takie dobrze wysmażone.

– Jest w porządku – odpowiedział, co w jego wypadku mogło oznaczać: „Da się zjeść”, jak i „Jest wspaniałe”.

Roman ostatecznie zrezygnował ze swojego dania i odłożył sztucę na talerz, na którym pozostała większość steku. Popił danie winem, aby zmienić smak w ustach. Przynajmniej chilijski merlo był smaczny i miał właściwą temperaturę. Roman spojrział na zegarek. Pozostały mu jeszcze prawie dwie godziny do odlotu. Był już po odprawie, zostało mu tylko przejść przez stanowiska ochrony lotniska, miał więc wystarczająco czasu, by jeszcze przez chwilę posiedzieć.

– Jest jeszcze sporo czasu – powiedział do Poliego. – Nie musisz się śpieszyć. Jednak gdy skończysz, wejdę do środka. Obawiam się, że Luisa może pojawić się na lotnisku, a wolałbym uniknąć z nią spotkania.

– Skąd ona może wiedzieć, kiedy i o której odlatujesz? – spytał Poli.

– Mówiłem ci już, że przejęła moje konto mailowe na Yahoo. Oczywiście założyłem już sobie nowe, ale Air France wysłało mój bilet elektroniczny na to stare. Znajac Luisę, na pewno dogrzebała się informacji i szczegółów o moim wylocie.

– Nie mogłeś przenieść lotu na inny termin?

– Nie bardzo. Po pierwsze, byłby to niepotrzebny koszt. Po drugie, nie wiadomo, czy się pojawi, a po trzecie – gdy sprawdzałem kilka dni temu, następny dostępny lot był dopiero za osiem dni. Sam widziałeś, w jakim totalnym bałaganie zostawiłem to nowe mieszkanie; przecież dopiero dzisiaj się tam wprowadziłem. Poza tym wiesz, że nie ma tam mebli, nawet nie miałbym na czym spać. –

Przypomni sobie dziesitki kartonw, worki z pościel i ubraniami, ktre kilka godzin wczeniej zostały przywiezione do jego nowego mieszkania. – Nie, nie byo takiej moliwoci, abym zmieni termin lotu.

– Cigle nie rozumiem, w jaki sposb Luisa moga wama si na twoje konto na Yahoo – powiedzia po chwili Poli.

– Myśl, e stao sie to przez moją gupot. Wiesz, jak to jest – czowiek ma wiele roznych kont w Internecie: mailowe, bankowe, na Facebooku, na Google, na PayPalu, na portalach randkowych, a wszystko to trzeba jako zapamitywa. Musisz uywa jednego lub dwoch hase, ktre zdołasz zawsze pamita, zarówno dla kont wanych, jak i tych mniej wanych, ale wtedy ryzykujesz, e jeli kts odkryje haso do konta mao wanego, to moe ci sie wama te na inne. Albo, i to jest jedyna moliwo, utworzysz wiele hase, ktre gdzie musisz zapisa, eby je zapamita. Powiem ci, e próbowaem roznych metod, ale wikszo sie nie sprawdzia. Najgorsze, e wiele instytucji wymaga, eby co jakis czas zmienia haso. Tak jest w bankach, gdzie musisz zmieni haso przynajmniej raz na rok, czy w zakadzie pracy, gdzie musisz zmienia je co kwarta, a czasami nawet co miesic. Trudno jest wic to wszystko kontrolowa – kontynuowa Roman, pocigajc co chwila yk wina z kieliszka. – Po tym, jak kilka razy po zmianie hasa sam nie mogem zalogowa sie na jakies swoje konto, zdecydowaem sie na radykalne rozwizanie. Utworzyem dodatkowy plik, w którym trzymam wszystkie hasa w formie zakodowanej. Kiedys jednak zmieniajc komputer, zmuszony byem zapisa wszystkie wane informacje na zewnetrzny dysk w formie niezakodowanej, ebym mog je przenie na nowy komputer. Nie pomylaem, eby po caej operacji usunc z dysku plik z hasami. Ba – westchn Roman – zapomniaem nawet, e taki plik istnieje. Tote gdy kiedys Luisa poprosia mnie, abym poyczy jej zewnetrzny dysk, by moga przenie swoje dane z jednego komputera na drugi, ufnie jej go uyczyem. Kto by pomyla, e wród tysiecy moich plikw znajdzie ten jeden z hasami! Spodziewabys sie, e kobieta praktycznie bedca na twoim utrzymaniu, ktora mieszka z tob i mowi ci, e cie kocha, odszuka i wykorzysta hasa, eby wama sie na twoje konta?! – na chwil zamilk. – Nawet bym nie zauway, e to zrobia – kontynuowa Roman – gdyby nie to, e zaczaa mnie wypytywa o osoby, gownie kobiety, z którymi w przeszoci korespondowaem na Yahoo. Gdy j przycisnaem, aby dowiedzie sie, skad zna te nazwiska, zaczaa mętnie tłumaczy, e jej byy partner, podobno bajecznie bogaty, chciaby, eby do niego wrocia. W tym celu wynaj kogo, eby wama sie na moje konto na Yahoo. Podobno mia jej wysa poczt wydrukowane maile z tego konta, eby mnie zdyskredytowa w jej oczach. atwo zrozumie, e nie do koca jej uwierzyem. Jednak gdy tego samego dnia chciaem zmieni haso, okazao sie, e nie mam dostpu do wasnego konta. Haso zostao zmienione przez kogo innego i w aden sposb nie mogem go odzyska. Co

więcej, zmienione również zostało hasło dostępu do moich kont w polskim banku, co nie zmartwiło mnie specjalnie, bo i tak nikt nie mógł dokonać żadnej transakcji bez tokena, który przez cały czas był w moim posiadaniu. Bardziej martwiła mnie utrata dostępu do maili. Miałem tam praktycznie całą historię firmy, a wiele maili miało rangę ważnych dokumentów. Jednak muszę przyznać, że tak dalece nie byłem świadom istnienia tego pliku z hasłami, że Luisy nawet nie podejrzewałem. Zwłaszcza że gdy ją o to zapytałem, zaklinała się na życie syna, że zmiana hasła nie była jej sprawką. Którego dzisiaj mamy? – Roman zamyślił się na chwilę. – Osiemnasty listopada... A więc cała sprawa miała miejsce jakieś siedem miesięcy temu, w kwietniu.

– I ciągle nie masz dostępu do konta mailowego? – spytał Poli.

– No nie, w końcu je odzyskałem. Myślałem długo, ale w końcu przypomniałem sobie, że pożyczałem Luisie dysk z plikiem z hasłami. Zagroziłem jej, że jeśli w ciągu trzech dni nie odda mi hasła, to wyrzucę ją z domu. Oczywiście wypierała się, ale postawiłem sprawę jasno. I rzeczywiście, po trzech dniach odzyskałem dostęp do mojej poczty na Yahoo. Natomiast hasła do mojego konta bankowego nigdy mi nie oddała. Jak mówiłem, zaklinała się na wszystkie świętości, że nie miała z tym nic wspólnego, w co oczywiście trudno było mi uwierzyć. Ale co mogłem zrobić? Niestety, bank nie daje możliwości odzyskania hasła na odległość, trzeba osobiście stawić się w oddziale. Mam nadzieję, że uda mi się to załatwić zaraz po przyjeździe.

– Nadal nie rozumiem jednej rzeczy – powiedział Poli. – Jak Luisa mogła dowiedzieć się, kiedy wylatujesz z Meksyku, skoro, jak mówisz, odzyskałeś kontrolę nad swoim kontem na Yahoo już w kwietniu? Chyba nie kupowałeś biletu siedem miesięcy przed planowaną podróżą?!

– To jest właściwe pytanie! Sam je sobie zadaję – Roman zaśmiał się gorzko. – Widzisz, ona przechwyciła moje konto po raz drugi na początku października, jakieś trzy miesiące po rozstaniu się ze mną i tydzień po jej wyprowadzce. Jak to zrobiła, nie mam pojęcia. Mogę tylko zgadywać, a są dwie możliwości: albo włamała się do mojego domu – przed wyprowadzką mogła dorobić sobie klucze, albo wykorzystała jakąś dziurę w zabezpieczeniu kont na Yahoo.

– Tak czy inaczej, nie mam już dostępu do swojej poczty. Co gorsza, przejęła również moje konto na Skypie. I wiesz, co było najbardziej wkurzające w tym wszystkim? – Roman był już wyraźnie zdenerwowany przeżywaniem całej tej historii na nowo. – Że działało się to na moich oczach! Wyobraź sobie, że siedziałem przy komputerze, pisałem maila, aż tu nagle zostałem wylogowany. Pojawił mi się na ekranie komunikat, który mówił: „Zaloguj się”. A gdy próbowałem to zrobić, dostawałem komunikaty, że albo nazwa użytkownika, albo hasło są nieprawidłowe. Yahoo oferuje specjalne zabezpieczenie, które pozwala odzyskać zapomniane hasło do konta, należy tylko podać poprawne odpowiedzi na

określone pytania. Powiem ci, że próbowałem wszystkiego – nic nie zadziałało. Najgorsze jest to, że gdy walczyłem z Yahoo, w międzyczasie na moich oczach zostałem wylogowany ze Skype'a. Na wypadek zapomnienia hasła wysyłają na wcześniej podany adres maila z tymczasowym hasłem. Niestety, u mnie był to mail na Yahoo. Oczywiście nie mogłem nic zrobić ze Skype'em bez dostępu do maila. Za to Luisa mogła i zrobiła – w ten sposób najprawdopodobniej przechwyciła moje konto. Wyobraź sobie, że cwaniara w pół godziny dorwała się do całej mojej korespondencji i do moich najbardziej prywatnych danych – miała dostęp do wszystkich numerów telefonicznych, kontaktów na Skypie i do wszystkich wysłanych do mnie wiadomości. Wkrótce potem dostałem sygnały, że pisała i dzwoniła do kobiet, z którymi korespondowałem w przeszłości. Ba – dodał Roman – dzwoniła nawet do mojej rodziny, wszędzie przedstawiając mnie w bardzo złym świetle.

– Dlaczego więc nie poszedłeś zgłosić tego na policję?

– Nie wiedziałem, jak mógłbym to udowodnić. Poza tym to jest Meksyk! Nie sądzę, żebym był w stanie przekonać prokuratora, by zajął się moją sprawą. Może gdybym mu dobrze zapłacił, poświęciłby mi trochę uwagi. Uznałem jednak, że gra nie jest warta świeczki. Utrata maili za pierwszym razem była szokiem, ale potem już byłem zabezpieczony. Wszystkie ważne dokumenty znajdujące się w mailach zapisałem na swoim komputerze. A dla bieżącej korespondencji po prostu pootwierałem nowe konta z nowymi zabezpieczeniami. Informacja o bilecie pozostała jednak na starym koncie. Całe szczęście, że wcześniej zapisałem bilet na dysku mojego komputera. W przeciwnym razie nawet bym nie wiedział, kiedy i o której godzinie odlatuję.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Chyba już pójdziemy – powiedział Roman, widząc, że Poli skończył swoje danie. – Jeszcze raz dziękuję za pomoc w przeprowadzce i za towarzystwo – dodał, wstając od stolika. – Zostało mi jeszcze półtorej godziny, ale lepiej już chodźmy. Wolę uniknąć spotkania z Luisą.

Po raz kolejny sprawdził bilet. Dla ułatwienia sobie odprawy włożył go w środek paszportu, który następnie wsunął do kieszeni sportowej koszuli, którą miał na sobie. Udali się w kierunku wyjścia J.

Luisa pojawiła się nagle. Była to ładna dziewczyna, o owalnej twarzy, z czarnymi oczyma w ślicznej oprawie ciemnych rzęs i brwi. Włosy były jak zwykle zadbane, czarne tym odcieniem czerni, który może stworzyć tylko natura. Śliczna buzia i wypielęgnowane długie włosy kontrastowały z ogólnym wyglądem kobiety. Miała na sobie za krótką bluzkę, wyraźnie znoszona i sprana. Równie niechlujnie wyglądała kolorowa spódniczka na gumce. Całość uzupełniały tandetne

klapki plażowe. Zaskakujące w całym wyglądzie było jednak fantazyjne zestawienie kolorów – wyblakła zieleń bluzki gryzła się z czerwienią i żółcią spódnicy, a wszystko w żaden sposób nie pasowało do bladoporóżowych kłapek. Tym, co najbardziej jednak rzucało się w oczy, był goły brzuch między bluzką a spódnicą. Luisa wyraźnie chciała pokazać, że jest w ciąży. Wypinała brzuch do przodu, wyginając ramiona i głowę do tyłu. Gdy zbliżała się do Romana i Poliego, stopy stawiała na zewnątrz, przez co sprawiała wrażenie, jakby dźwigała przed sobą olbrzymi ciężar. Na prawym policzku miała siniaka. Żółte obramowanie wskazywało na to, że był to stary ślad. Roman przypomniał sobie, jak jakieś dwa tygodnie wcześniej zadzwoniła, oskarżając go i jego syna o napad w ciemnej uliczce. Podobno napastnik wyrwał jej z ręki torebkę.

– Widzę, że uciekasz, pozostawiając mnie tutaj w ciąży i ubóstwie! – powiedziała, gdy znalazła się blisko Romana. – Chyba nie potrzebujesz wsparcia, żeby ze mną porozmawiać – powiedziała, wskazując na Poliego.

– Nie będę cię dłużej zatrzymywał, Poli, dam sobie radę. Jeszcze raz serdecznie dziękuję za pomoc – Roman uściśnął rękę mężczyzny. – Do zobaczenia po moim powrocie!

Poli odszedł, a Roman powoli ruszył w kierunku wejścia do sali odlotów.

– Stój! – zawołała groźnie Luisa. – Chcę z tobą porozmawiać.

– Porozmawiamy, podejdźmy tylko do bramki – odpowiedział Roman. Zatrzymał się dopiero w pobliżu krętego przejścia wyznaczonego przez taśmy, które prowadziły do bramki. Przy wejściu do przejścia stało dwóch funkcjonariuszy policji. Jedna policjantka stała tyłem do nich w odległości niewiele większej niż dwa, trzy metry.

– Nie możesz być w ciąży – powiedział Roman do Luisy. – Rozstaliśmy się pięć miesięcy temu, a wcześniej praktycznie już nie uprawialiśmy seksu.

– Jak możesz tak mówić! – zaprzeczyła. – To zdarzyło się pod koniec lipca, wtedy jeszcze sypialiśmy ze sobą – powiedziała agresywnym tonem.

Roman, mimo że wmawiała mu nieprawdę, postanowił nie zaprzeczać.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał po chwili.

– Nie możesz mnie tu tak zostawić. Noszę przecież twoje dziecko – odpowiedziała, wskazując na brzuch. – Wiem dobrze, że wyjeżdżasz do innej kobiety! Znam te wszystkie twoje kurwy! Ja im pokażę! – agresja w tonie jej głosu wyraźnie wzrosła.

– Albo będziesz zachowywała się spokojnie, albo nie będziemy rozmawiać w ogóle – powiedział Roman. – Nie sądzę, że jesteś ze mną w ciąży, ale jeśli mogę ci w czymś pomóc, zrobię to – dodał.

Nagły, gwałtowny ruch ręki Luisy zaskoczył go całkowicie. Znienacka chwyciła kartę pokładową wystającą z jego kieszeni, wrywając równocześnie paszport, który upadł na podłogę, i zaczęła szybko biec w kierunku drzwi

wyjściowych. Roman schylił się, by podnieść paszport.

– Ta kobieta ukradła mi kartę pokładową! – zwrócił się do policjantki, wskazując na Luisę, która właśnie zniknęła w drzwiach prowadzących na zewnątrz.

Policjantka nadała komunikat przez krótkofalówkę. Zaniepokojony Roman obserwował policjanta, jak kilkakrotnie mówi coś do krótkofalówki. Słów nie był w stanie dosłyszeć, ale domyślił się, że Luisa została zatrzymana.

Po chwili policjantka podeszła do Romana.

– Ta pani została zatrzymana, zaraz ją tu przyprowadzą. Trzeba będzie spisać protokół, proszę ze mną na chwilę.

Roman podążył za policjantką, która poprowadziła go w kierunku dwóch innych funkcjonariuszy. Po chwili przyprowadzono Luisę. Roman zwrócił się do policjanta, który wyglądał na oficera:

– Czy odzyskaliście już moja kartę pokładową?

– Proszę o chwileczkę cierpliwości, zaraz wszystko się wyjaśni – odpowiedział.

Roman ze zdziwieniem obserwował, jak do Luisy zbliża się dwóch pielęgniarzy z noszami na kółkach i pomagają jej się na nich położyć. Następnie ruszyli w głąb korytarza, najprawdopodobniej do jakiegoś ambulatorium. Z nie mniejszym zdziwieniem Roman zauważył, że został otoczony przez sześciu policjantów.

„Co takiego mogła im naopowiadać?” – pomyślał. Poważnie już zaniepokojony zdecydował się zadzwonić do Poliego, który, miał taką nadzieję, nie powinien jeszcze zbyt oddalić się od lotniska. Poli może zaświadczyć, że wszystko, co powiedziała Luisa policjantom, jest kłamstwem. Niestety, komórka Poliego nie odpowiadała. Roman postanowił na wszelki wypadek zadzwonić jeszcze do adwokata, ale i tu nie miał szczęścia – w słuchawce odezwał się głos automatycznej sekretarki.

– Może mi pan wreszcie powiedzieć, co się dzieje? – zwrócił się ponownie do oficera.

– Proszę czekać, wszystko niedługo się wyjaśni – oficer zdecydowanie nie chciał nic powiedzieć.

– Pozwoli pan zatem, że tylko zapiszę pański numer służbowy. Tak na wszelki wypadek, gdybym potrzebował jakichś świadków tego, co tu się wydarzyło – powiedział Roman do oficera, po czym zapisał numer w notatkach swojej komórki.

Kilka kolejnych minut upłynęło w ciszy. Mimo to grupa policjantów otaczająca wysokiego Europejczyka wzbudzała sensację na lotnisku. Praktycznie wszystkie przechodzące osoby zwracały na nich uwagę, zwalniały kroku i obserwowały. Kilka ciekawskich kobiet nawet się zatrzymało, chociaż zniechęcone przedłużającym się brakiem akcji w końcu odeszły. Po kilkunastu

minutach ciszę przerwała krótkofalówka policjantki. Kobieta odeszła na stronę, żeby odebrać komunikat, jednak po chwili wróciła.

– Kobieta, która zabrała panu kartę pokładową, zaraz tu będzie i odda pańską własność – zwróciła się do Romana. – Powiedziała, że chciałaby jeszcze tylko przez chwilę z panem porozmawiać. Zabrała kartę, bo obawiała się, że nie zechce z nią pan rozmawiać.

Roman nie odpowiedział. Zauważył jednak, że na końcu korytarza pojawiła się Luisa w towarzystwie tych samych dwóch policjantów co poprzednio. Szła o własnych siłach, stopy stawiała prosto i niewiele wskazywało na to, że jest w ciąży. Dopiero widząc, że się jej przygląda, ponownie przyjęła postawę ciężarnej – wypięła brzuch do przodu, ramiona odgięła w przeciwną stronę i zaczęła stawiać stopy, rozchylając kolana na zewnątrz.

– Słyszałem, że chcesz ze mną porozmawiać – odezwał się Roman po hiszpańsku, gdy wreszcie doczłapała do niego. – Ale najpierw oddasz mi bilet, a potem będziemy rozmawiali. – Roman zauważył, że grupa otaczających go policjantów zmniejszyła się do trzech. Policjantka z krótkofalówką tkwiła tuż przy Luisie, dwóch policjantów stanęło w pewnej odległości, blokując wyjście z lotniska.

– Nie możesz mnie tak tu zostawić – powiedziała Luisa po angielsku. Tym razem mówiła bez agresji. – Potrzebuję twojej pomocy – dodała.

– Dobrze – odpowiedział Roman – pomogę ci. Skontaktuję się z tobą przez maila. A teraz oddaj mi bilet, proszę.

Luisa wyciągnęła bilet zza dekoltu. „Trzymała go za stanikiem?” – pomyślał Roman, biorąc z jej ręki wygnieciony bilet.

– Napiszę po przyjeździe – przyrzekł ponownie i nie mówiąc nic więcej, oddalił się w kierunku bramki odlotów.

ROZDZIAŁ 2

Czwartek, 18 listopada 2010, godzina 20:00 CST

Luisa prowadziła samochód, płacząc z bezsilnej złości. Po awanturze na lotnisku udała się prosto do domu. Przez całą drogę próbowała się uspokoić, chociaż pamięć co rusz podsuwała jej nowe obrazy z minionych wydarzeń. Najbardziej żałowała, że nie udało jej się zniszczyć biletu Romana, bo gdy policja ją zatrzymała, nie miała już możliwości, by to zrobić. Nie mogła też przeboleć, że dała się złapać policji. Wyobrażała sobie bezsilność Romana, tkwiącego na lotnisku, podczas gdy jego samolot odlataje. Roman najprawdopodobniej by nie odleciał. Tym bardziej nie mogła przeboleć, że musiała mu go zwrócić. Świadomość tego wpędzała ją w ponury nastrój, chociaż po pewnym czasie prowadzenia samochodu udało jej się opanować na tyle, że przestała płakać. Nie chciała, żeby jej syn Juan widział, że płakała. Na pewno zacząłby pytać, co się stało, a nie chciała mu opowiadać o spotkaniu na lotnisku.

Mimo późnej pory, tak jak przewidywała, Juan jeszcze nie spał.

– Odrobiłeś pracę domową? – zapytała.

– Tak, wszystko zrobione – odpowiedział.

– Nie masz żadnych pytań, żadnych problemów, może w czymś mogłabym ci pomóc?

– Nie sędzę, abyś była w stanie mi pomóc – odpowiedział. – Wszystko już sam rozwiązałem, dziękuję bardzo.

– Jadłeś kolację?

– Tak, pani Margarita przygotowała mi kanapki. Wyszła jakieś dziesięć minut temu. Powiedziała mi, żebym przekazał ci przeprosiny. Nie mogła czekać na twój powrót, ale podobno umówiła się z tobą, że zostanie ze mną tylko do godziny dziewiątej, a niedługo będzie dziesiąta. Gdzie tak długo byłeś? – zapytał.

– Miałam spotkanie, które się przedłużyło – odpowiedziała Luisa. – Idź się teraz umyć i połóż się spać – nakazała synowi po chwili. – Dobranoc – dodała.

– Dobranoc – odpowiedział Juan i poszedł do swojej sypialni.

Luisa usiadła przed telewizorem w fotelu, który właśnie opuścił Juan. Podniosła ze stolika pilota i wyłączyła telewizor. Ponownie zaczęła rozpamiętywać wydarzenia na lotnisku. Miała bardzo ambiwalentne uczucia. Z jednej strony cieszył ją fakt, że przysporzyła Romanowi kłopotów. Pamiętała, z jak wielką satysfakcją obserwowała jego wściekłą minę, gdy stał w otoczeniu grupy policjantów. Wyobrażała sobie, jak bardzo byłby zły, gdyby nie mógł odlecieć. Z drugiej strony nie mogła odżałować, że dała się złapać policji. Po zatrzymaniu nie omieszkała powiedzieć policjantom, że Roman porzuca ją w ciąży, że ślady pobicia na twarzy to jego sprawka, i że miało to miejsce wczoraj. Niestety nie przewidziała, że policjanci zaprowadzą ją do ambulatorium, gdzie lekarz ją zbada.

Natychmiast zresztą rozpoznał, że ślady pobicia są stare, przynajmniej sprzed dwóch tygodni. Po zbadaniu jej uznał, że prawdopodobnie w ogóle nie jest w ciąży, przynajmniej nie w piątym miesiącu, jak twierdziła. Faktu ciąży jednak lekarz nie był w stanie wykluczyć na podstawie pobieżnych badań. Najbardziej żałowała, że nie udało się jej przekonać policji co do pobicia. Wtedy Roman na pewno zostałby aresztowany. Nie zatrzymanoby go przecież za to, że wyjeżdża, pozostawiając ją w ciąży. No cóż, nie udało się. Jak tylko lekarz zakomunikował policjantom, że Luisa nie jest w ciąży, ci natychmiast zapytali, czy zabrała Romanowi bilet. Obawiając się rewizji osobistej, nie miała innego wyjścia, jak przyznać się, że go zabrała. Policjanci powiedzieli, że jeśli zwróci bilet, nie zaarrestują jej za próbę kradzieży. „To i tak dobrze się skończyło” – pomyślała. Przynajmniej udało się jej wzbudzić współczucie policjantów, lekarza i pielęgniarek swoją historią o wykorzystanej, porzuconej dziewczynie. Ta historia pomogła na tyle, że policjanci pozwolili jej porozmawiać z Romanem i nie przekazali mu informacji o tym, że udaje ciążę. Było dla niej niezwykle istotne, by Roman myślał, że jest w ciąży.

Luisa martwiła się o swoją przyszłość. Trzy miesiące, za które Roman opłacił czynsz w wynajmowanym mieszkaniu, kończyły się za sześć tygodni. Pieniądzy, które jej zostawił na życie, praktycznie już nie było. Zgodnie z umową, pod koniec grudnia musiała również zwrócić mu samochód. Jakkolwiek nie było to dla niej taką pilną sprawą – zgodnie z biletem Roman miał zamiar wrócić do Meksyku dopiero na początku lutego. Do tego czasu na pewno będzie mogła zatrzymać auto. Pytanie jednak, czy uwierzył w jej ciążę, czy przekonała go, żeby ją nadal wspierał finansowo. Jakie to szczęście, że policja solidaryzowała się z nią jako Meksykanką i nic nie wspomniała obcokrajowcowi o tym, że ciąża jest udawana.

ROZDZIAŁ 3

Piątek, 19 listopada 2010, godzina 00:10 CST

Na zegarku było już po północy, kiedy Roman wreszcie ułożył się do spania. Leciał Boeingiem 747 francuskich linii lotniczych Air France. Siedzenia w klasie biznesowej rozkładały się niemal całkowicie, leżało się więc na nich jak na lekko pochylonym łóżku. Jednak pomimo wygodnego fotela, miękkiej poduszki oraz wypitej do kolacji prawie całej butelki wina i przynajmniej trzech kieliszków Grand Marnier, Roman nie mógł zasnąć. Ciągłe był wzburzony wydarzeniami, które zaszły na lotnisku. Zastanawiał się, o co oskarżyła go Luisa, że policjanci trzymali go przez moment w areszcie. Cokolwiek by to nie było, udowodniono jej kłamstwo. Widząc, że raczej nie uśnie, zwiększył nieco głośność muzyki.

Lecąc samolotem, Roman zawsze słuchał muzyki. Często latał, więc dawno już odkrył, że najbardziej męczy hałas silników i szum kadłuba samolotu. Od tamtej pory zawsze latał z zatyczkami do uszu, które pozwalały zredukować hałas. Następnie na uszy zakładał słuchawki podłączone do iPod'a. Mimo że obsługa samolotu wyłączyła już górne światła, Roman nałożył opaskę na oczy, żeby odizolować się od otoczenia.

Ciągle nie wiedział, co myśleć o Luisie. Poznał ją prawie cztery lata temu w bardzo nietypowy sposób. W zasadzie wszystko, co przytrafiło mu się z tą dziewczyną, było dziwne.

– Chyba nie powinienem o niej myśleć jak o dziewczynie – powiedział do siebie. Mimo że nigdy nie była zamężna, ma już trzynastoletniego syna!

Luisa była piękną kobietą. Gdy zobaczył ją po raz pierwszy, urzekły go jej duże czarne oczy oraz włosy, które nosiła rozpuszczone, faliście opadające na ramiona. To chyba właśnie one sprawiały, że jej uroda zwracała powszechną uwagę. Nie wyglądała na Meksykankę. Przypomnił sobie, jak to w czasie wycieczki na Saharę przynajmniej kilku tubylców zwracało się do niej słowem „araba”. Przewodnik wytłumaczył im, że tubylcy chcą przez to powiedzieć, że według nich Luisa jest Arabką z Arabii Saudyjskiej. Faktem było, że jej ojciec miał arabskie książęce korzenie, matka natomiast była Meksykanką. Luisa była w czwartym pokoleniu prawnuczką Fadi Fahes Saudiego – jednego z protoplastów współczesnej dynastii saudyjskiej, która króluje w dzisiejszej Arabii Saudyjskiej. Jakies sto pięćdziesiąt lat temu Fadi Saudi musiał uciekać za Atlantyk z terytorium byłego Imperium Otomańskiego, będąc poszukiwanym przez Anglików za przygotowanie w Mekce powstania wyzwolenczego. W 1868 roku wylądował w Meksyku. Miał wówczas trzydzieści siedem lat. Ożenił się z Meksykanką Marią Sanchez Guadalajarą, a że nazwisko Saudi stanowiło wówczas zagrożenie dla rodziny, nadał wszystkim dzieciom nazwisko żony.

Luisa miała nie więcej niż sto sześćdziesiąt cztery centymetry wzrostu, była

szczupła i zgrabna, zawsze elegancko ubrana, przyciągała spojrzenia ludzi.

Roman przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. Napisała do niego na randkowym portalu internetowym mexicanfriendfinder.com, zapytując, czy jako obcokrajowiec nie miałby dla niej pracy. Wtedy wydało mu się to tak absurdalne, że aż intrygujące. Nie zdziwiło go to, że na portalu randkowym znalazł ogłoszenie – mimo że była to strona płatna i wcale nietania, samo ogłoszenie można było umieścić za darmo; bez opłaty nie można było tylko odpowiadać na ogłoszenia. Toteż spotykało się tam ogłoszenia najróżniejszego rodzaju: niewinnych dziewcząt czy kobiet szukających romantycznej przygody, mężatek szukających partnerów do seksu oraz prostytutek oferujących swoje usługi. Na szczęście tych ostatnich było tam niewiele, ale się zdarzały.

Oferta Luisy, z którą Roman się zapoznał po otrzymaniu listu, była chyba jedyną w swoim rodzaju. Kobieta napisała, że poszukuje pracy w zagranicznych korporacjach. W ogłoszeniu znajdował się też krótki życiorys i informacja, że biegle mówi po angielsku. Zdjęcia nie zamieściła. Roman zazwyczaj nie odpowiadał na oferty bez fotografii, tym razem jednak postanowił zrobić wyjątek. Odpisał jej więc, że mógłby mieć dla niej pracę i zaproponował spotkanie w japońskiej restauracji usytuowanej naprzeciw jego domu. Przyszedł kilka minut wcześniej i usiadł w ogródku przy ulicy tak, żeby widzieć przechodzące obok i wchodzące do środka osoby. Zastanawiał się, jak może wyglądać kobieta, która szuka pracy tam, gdzie inni poszukują romansu, przyjaźni lub seksu. Zastanawiał się też, czy będzie w stanie rozpoznać ją pośród przechodniów na ulicy. A w miarę jak zbliżała się godzina spotkania, zastanawiał się, czy w ogóle przyjdzie.

W pewnym momencie z odległości kilkunastu metrów wypatrzył atrakcyjną kobietą sylwetkę. Szybko ocenił, że jest młoda, bardzo ładna i dobrze ubrana, poruszała się też z gracją i pewną elegancją. Nie mając pojęcia, jak wygląda ta, na którą czekał, żarliwie życzył sobie, żeby to była ona. I rzeczywiście, nie pomylił się. A ponieważ powiedział Luisie wcześniej, przy którym stoliku będzie siedział, wiedział, że kobieta jest na pewno nią – zaraz od wejścia skierowała się w jego stronę. Minę miała poważną i widać było, że ma tremę. Roman wstał, przywitał się i przedstawił, następnie zaproponował, żeby weszli do środka, gdzie powinno być ciszej niż w ogródku, co pozwoli im bez przeszkód porozmawiać.

Restauracja była znana z wyśmienitej japońskiej kuchni. Praktycznie o każdej porze dnia widziało się w niej Japończyków, co dobrze świadczyło o szefie kuchni. Roman bardzo lubił tę restaurację, głównie ze względu na sushi, które oferowała. Był smakoszem surowej ryby, a że restauracja była położona tuż przy jego domu, szybko stał się jej częstym gościem. Na szczęście okazało się, że Luisa również lubiła sushi. Zamówił więc typowy dla siebie zestaw, na który składało się sashimi z różnymi gatunkami ryb i porcją kawioru oraz czterech rolek kapa maki, wszystko z dodatkiem dużej ilości wasabi oraz półlitrową karafkę sake.

Podana porcja zawierała trzydzieści dwa kawałki. Roman poprosił zatem kelnera, aby kucharz pokroił każdą na osiem części. W ten sposób Luisa i Roman mogli przygotować swoje własne sushi, kładąc wybrany kawałek ryby na kapa maki, doprawiając to odpowiednio wasabi. Tak przygotowane sushi różniły się od tych z menu tym, że zawierały tylko niewielką ilość ryżu z kawałkiem surowego ogórka w środku, które pochodziły z kapa maki. Roman wiedział od znajomych, którym zaprezentował swój sposób na sushi, że wszystkim bardzo smakowało. Musiało również smakować Luisie, bo zjadła prawie całą porcję.

Rozmowa toczyła się na różne tematy. Roman zaproponował, żeby dyskusję o pracy przenieść na czas po kolacji. Mówili głównie o Luisie. Roman wypytywał ją, jakiej pracy szuka oraz jakie ma kwalifikacje. Nie skomentował tego, że szuka pracy w tak dziwny sposób. Zapytał ją jednak, czy ma męża i czy zapisując się na tę stronę, nie rozważała możliwości, że może kogoś poznać. Odpowiedziała mu, że musi szybko znaleźć pracę, i to jest ważniejsze niż nawiązywanie kontaktów osobistych. To nie jest dla niej odpowiednia pora.

Po kolacji Roman zaprosił ją do swojego mieszkania. Był to luksusowy apartament na najwyższym piętrze budynku. Jedna ze ścian była prawie całkowicie przeszklona, dzięki czemu miał niesamowity widok na okolicę. Do mieszkania wchodziło się bezpośrednio z windy, skąd przez krótki korytarzyk oświetlony przez dwa okna z witrażami przechodziło się do salonu. Już od wejścia Roman zauważył, że Luisa była pod wrażeniem uroku mieszkania. Salon był ogromny, z kominkiem usytuowanym centralnie. Na ścianach wisiały obrazy znanych meksykańskich malarzy. W jednym rogu pokoju stały eleganckie czarne skórzane kanapy, z ciężkim skórzanym klubowym fotelem do kompletu. Tworzyły przestrzeń, którą wyłożono grubym perskim dywanem, z eleganckim czarnym stolikiem pośrodku. Kanapy były nieco oddalone od ścian. Za nimi stał wąski marmurowy stolik, sięgający do wysokości oparcia, służący jako bar. Stały na nim liczne butelki z dozownikami, pudełka cygar i urządzenia barowe. Obok, w rogu, znajdował się duży klasyczny zegar z wahadłem w kolorze złota. Po przeciwnej stronie znajdowała się jadalnia z dużym czarnym stołem i ośmioma eleganckimi krzesłami. Stał tam również szeroki kredens, wypełniony kryształowymi kieliszkami i szklankami, elegancką porcelaną, zestawami do kawy i tym podobne. Wzdłuż przeszklonej ściany ustawiono różne rośliny w kolorowych, eleganckich donicach. W mieszkaniu znajdowało się też mnóstwo bibelotów. Wyposażenie dopełniały kunsztowne lampy i wzorzyste perskie dywany. Wszystko to zostało dobrane z ogromną pieczołowitością i gustem. Zachwycona salonem Luisa poprosiła o pokazanie reszty mieszkania. Roman chętnie ją oprowadził. Na drugim końcu korytarza były dwie sypialnie oraz mała sala gimnastyczna między nimi. Sala była dobrze wyposażona w sprzęt do ćwiczeń. Był tam również duży odbiornik TV. Pośrodku, w ścianie naprzeciw wejścia, znajdowała się wnęka, w której

umieszczono ogromne jacuzzi. W jednej ze ścian okalających jacuzzi znajdowały się szare metalowe drzwi z oknem, a w drugiej – drewniane, wykonane z wąskich deseczek w jasnym kolorze. Za tymi drzwiami znajdowały się sauny – mokra i sucha. Mieszkanie miało dwie sypialnie, każda z garderobą i łazienką. Roman pokazał Luisie tylko sypialnię dla gości.

Po zwiedzeniu mieszkania Roman podał kawę w salonie. Przez chwilę obserwował Luisę w milczeniu. Sprawiała wrażenie skupionej, ale nie była skrępowana. W jej zachowaniu i ruchach widać było pewną swobodę, która cechuje ludzi obytych towarzysko. Żadnej sztuczności, żadnego skrępowania. Ta kobieta go coraz bardziej intrygowała.

– Proszę mi powiedzieć, jakiej pracy pani szuka? – zapytał w końcu.

– W usługach importowo-eksportowych – odpowiedziała.

– A na jakim stanowisku?

– Od szeregowego agenta po dyrektora.

– Całkiem duża rozpiętość – zauważył.

– Oczywiście wolałabym stanowisko dyrektora – uśmiechnęła się uroczo. –

W mojej ostatniej pracy kontrolowałam import koksu naftowego. Zna pan zapewne dużą meksykańską firmę Pemex? Należą do niej wszystkie stacje benzynowe. Ale może pan nie wie, że jest to przedsiębiorstwo państwowe, które jako jedyne ma konstytucyjnie zagwarantowane prawo do poszukiwania, wydobywania, rafinowania, dostarczania na rynek wewnętrzny i eksportowania ropy naftowej oraz produktów pochodnych. Tak się jednak składa, że Pemex, który jest potęgą w wydobywaniu ropy, praktycznie nie posiada rafinerii. Nasza ropa jest więc wywożona do Stanów Zjednoczonych, gdzie jest przetwarzana i wraca w postaci gotowych produktów. Jednym z produktów ubocznych rafinowania ropy jest właśnie koks naftowy. Używa się go między innymi jako paliwa w elektrowniach. Przewozi się go masowcami, które dobijają głównie do dwóch meksykańskich portów – Veracruz i Tampico. Moją rolą było zarządzanie tym transportem, a ściślej, optymalizacja całego ruchu.

– Imponujące! – powiedział Roman z nieukrywanym podziwem. – Jest pani taka młoda, musiało to być dla pani bardzo wyczerpujące zajęcie.

– Nie było łatwo – zgodziła się – ale poradziłam sobie. Teraz jednak jestem gotowa podjąć się mniej ambitnej pracy, jeśli nic lepszego się nie trafi.

– Tak – powiedział Roman z ociąganiem. – Muszę się przyznać, że chyba źle zrozumiałem pani list dotyczący pracy. Wyobrażałem sobie panią jako osobę będącą w desperackiej potrzebie podjęcia się jakiegokolwiek zajęcia, a że mam do przetłumaczenia z angielskiego na hiszpański kilka stron, pomyślałem sobie, że mógłbym zlecić to właśnie pani. Niestety, mój interes nie ma nic wspólnego ani z importem, ani z eksportem. Więc jeśli jest pani w pilnej potrzebie jakichkolwiek zarobków, to służę moją propozycją. Nie sądzę jednak, żeby moje zlecenia zajęły

pani więcej niż miesiąc, najwyżej sześć tygodni.

– Dziękuję bardzo – odpowiedziała Luisa. – Może skorzystam.

Dalej rozmowa zeszła na tematy bardziej ogólne. Mimo późnej pory Luisa nie spieszyła się z wyjściem. Rozmawiali między innymi o miejscach, które oboje znali w Stanach Zjednoczonych. Luisa opowiedziała Romanowi wiele bardzo interesujących rzeczy o Meksyku. Jej wiedza o tym kraju wydawała się ogromna, więc rzeczywiście miała o czym mówić. Opowiadała na tyle ciekawie, że Roman zdał sobie sprawę z upływającego czasu dopiero wtedy, gdy zegar wybił godzinę drugą. Gong zegara zaalarmował również Luisę.

– Och, przepraszam! – powiedziała nieco zmieszana. – Muszę już uciekać! Nie zdawałam sobie sprawy, że jest już tak późno.

Roman odprowadził ją do samochodu. Gdy otworzyła drzwi i odwróciła się twarzą do niego, by wypowiedzieć słowa pożegnania, nie mógł się oprzeć pokusie, żeby ją pocałować. Powoli zbliżył usta do jej warg. Nie odsunęła się. Całował z początku nieśmiało, a czując, że kobieta odwzajemnia pocałunek, objął ją ramionami i przytulił do siebie. Było to cudowne doznanie, które ogarnęło całe ciało i eksplodowało natychmiastową erekcją. Całował więc namiętnie, czując w ramionach drobną, uległą osobę. Zaskoczyło go to, jak bardzo zapragnął tej kobiety, jak nagle stała się dla niego kimś bliskim, komu chciałby oddać i serce, i duszę. Pozwolił jej jednak odjechać.

Tej nocy długo nie mógł usnąć. Czuł się zauroczony tą kobietą. W myślach próbował ją określić w kilku słowach. Zdecydowanie miała ujmujący sposób bycia. Ponadto była bardzo miła, inteligentna, elegancka, opanowana, kontrolująca siebie. Poza tym była bardzo ładna i bardzo zgrabna. Zaskoczony i zaniepokojony wrażeniem, jakie na nim zrobiła, postanowił dać sobie trochę czasu na otrzeźwienie i skontaktować się z nią dopiero za kilka dni. „A może to ona zadzwoni do mnie pierwsza?” – pomyślał. Długo jednak nie wytrzymał – zadzwonił już następnego dnia wieczorem i zaproponował wyjście na kawę. Było mu bardzo miło, gdy Luisa przyjęła zaproszenie.

Randka była bardzo udana. Luisa przyszła ubrana w elegancki beżowy kostium. Spódnica kończyła się powyżej kolan. Spod rozpiętego zakietu widoczna była biała bluzka z częściowo przezroczystego materiału, która podkreślała ładny biust Luisy. Przez bluzkę uwidaczniał się zarys białego stanika. W uszach miała srebrne kolczyki w kształcie niewielkich kręgów, zakończone małą kuleczką. Strój uzupełniały eleganckie buty na szpilce, z cienkim paskiem zapiętym powyżej kostki i z odkrytymi palcami stóp. Wysoki obcas czynił ją wyższą o jakieś piętnaście centymetrów. Romana zdziwił oryginalny kształt buta, który przypominał węża owijającego się dookoła stopy. Kobieta wyglądała urzekająco.

Wrażenie spotęgowało się jeszcze bardziej, gdy zdjęła żakiet i powiesiła go na oparciu krzesła. Biała bluzka ukazała się w całości. Miała koronkowe rękawy zakończone szerokim mankietem, który sięgał do połowy przedramienia i był uszyty z tego samego przezroczystego materiału co przód bluzki. Biel bluzki stanowiła idealne tło dla jej włosów. Długie, czarne, faliście opadające na ramiona prezentowały się wyjątkowo ładnie, kontrastując z białym kolorem. Wyglądała o wiele młodziej niż poprzedniego dnia. Oczy miała podkreślone bardzo dyskretnie czarnym tuszem, bez użycia jakichkolwiek cieni, usta natomiast pociągnęła delikatnie szminką w kolorze jasnego różu. Luisa była piękną kobietą, to nie ulegało wątpliwości.

Wieczór zaczął się od aperitifów, a skończył kolacją w restauracji Pujol, uznanej za jedną z pięćdziesięciu najlepszych restauracji świata. Niemal od razu i bez zbędnych ceregieli przeszli na ty. Luisa była znakomitą rozmówczynią. Powiedziała Romanowi, że ma trzydzieści osiem lat oraz trzynastoletniego syna, którego wychowuje samotnie – chociaż ma pomoc dochodzącej gosposi. Syn nie ma kontaktu z ojcem i nosi jej nazwisko. Sama nigdy nie była zamężna, jakkolwiek przez ostatnich sześć lat żyła w stałym związku, który skończył się około roku wcześniej. Roman zaś powiedział jej, że mieszka w Meksyku od trzech lat i prowadzi tutaj interesy. Powiedział jej również, że ma pięćdziesiąt dziewięć lat, dwoje dorosłych dzieci i jest rozwiedziony już od dziesięciu lat.

W sumie był to bardzo udany wieczór. Luisa była otwarta i sporo mówiła o sobie. Romana po raz kolejny urzekła jej inteligencja – zdecydowanie była bardzo mądrą kobietą.

Od tego dnia życie jakby przyspieszyło. Przez kolejny tydzień spotykali się codziennie. W sobotę zaprosił ją do siebie na obiad. Menu przygotował z rozmachem, chciał, żeby obiad zachwyił ją tak bardzo, jak ona urzekła jego. Na początek zdecydował się podać pesto ze świeżą bazylią i piniowymi orzeszkami. Później zamierzał zaserwować sałatę boston z pikantnym dressingiem ze świeżych malin, a jako danie główne beef wellington, czyli polędwicę wołową obłożoną farszem z prawdziwków i podgrzybków i upieczoną w otoczce z ciasta francuskiego. Na deser natomiast zamierzał przygotować tiramisu.

Mimo że obiad był zaplanowany na godzinę siódmą, na przygotowywaniu składników i gotowaniu Roman spędził praktycznie cały dzień. Przede wszystkim poszedł na rynek, żeby kupić świeże grzyby. Zawsze zadziwiał go fakt, że w kraju tak odległym od Europy można kupić swojskie grzyby. Nigdy przedtem nie widział takiej ilości rydzów, kurek, koźlaków, podgrzybków i prawdziwków w jednym miejscu. Co więcej, grzyby były zdrowe, zupełnie nietknięte przez robaki.

Roman uwielbiał grzyby, toteż zawsze z utęsknieniem czekał na początek

sezonu. W sumie co roku kupował około czterdziestu kilogramów prawdziwków, z których część konsumował, a resztę suszył. Przynajmniej dwa razy w tygodniu objadał się rydzami smażonymi na maśle lub kurkami w śmietanie. Kilka słoików kurek konserwował w klarowanym maśle, które sam przyrządzał.

Tym razem jednak kupił tylko kilogram prawdziwków oraz kilogram koźlaków. Bazylię kupił żywą, w doniczce – miał w ten sposób zagwarantowaną zupełną świeżość. Dokupił jeszcze świeży czosnek do pesto oraz bukiet czerwonych róż, by przyozdobić stół, a w drodze powrotnej do domu w supermarkecie kupił mascarpone, biszkopty oraz jajka do tiramisu, zieloną sałatę, włoski makaron, polędwicę wołową i mrożone ciasto francuskie. Inne produkty, również maliny, miał już w domu, dokupił więc tylko butelkę Châteauneuf-du-Pape oraz butelkę chilijskiego chardonnay.

Po powrocie z zakupów Roman od razu zabrał się za gotowanie. W pierwszej kolejności przyrządził tiramisu, ponieważ deser ten wymagał chłodzenia w lodówce przynajmniej przez kilka godzin. Następnie przygotował z grzybów farsz i odstawił go, aby ostygł. W międzyczasie zrobił pesto. Ponieważ wyszło go więcej, część wlał do pojemnika i wstawił do zamrażalnika do wykorzystania później.

Na godzinę przed przybyciem Luisy wszystko było już gotowe – stół nakryty, polędwica czekała w lodówce na włożenie do piekarnika, zielona sałata leżała na półmisku i wymagała tylko polania sosem, który gotowy czekał w słoiku obok, a do pesto należało tylko jeszcze ugotować świeży makaron. Białe wino chłodziło się w lodówce, a czerwone odpoczywało w dekanterze. Roman był już wykąpany i ogolony. Na tę okazję założył brązowe sztruksowe spodnie i szarozieloną koszulę polo, na nogi zaś eleganckie brązowe mokasyny.

Gdy do siódmej pozostało już tylko pół godziny, Roman jeszcze raz spojrzął na stół, by upewnić się, czy przypadkiem o czymś nie zapomniał.

– Ach tak, kwiaty! – Przeniósł róże ze stolika w salonie na stół w jadalni. – Teraz już na pewno wszystko jest gotowe! – Puścił nastrojową muzykę i czekał.

Luisa przybyła prawie punktualnie. Było kilka minut po siódmej, gdy zadzwoniła do bramy wejściowej. Otworzył jej drzwi do mieszkania, gdy tylko usłyszał zatrzymującą się windę. Weszła, piękna jak zawsze. Miała na sobie szykowną krótką czarną sukienkę bez rękawów. Suknia była uszyta z materiału w srebrzyste abstrakcyjne kwiaty, której góra była wykończona przezroczystym czarnym materiałem o podobnym desenie. Na nogi włożyła wysokie koturny ze skórzanymi, wąskimi, czarno-srebrnymi paskami, zapiętymi powyżej kostki, co podkreślało jej zgrabne nogi.

Kolacja była bardzo udana. Luisa była oczarowana tym, że gotował specjalnie dla niej. Jak powiedziała, w Meksyku, typowym kraju macho, jest to niezwykle. W tym momencie przypomniała się Romanowi anegdotka, którą

opowiedziała mu znajoma Meksykanka. Powtórzył ją Luisie.

– Na szkoleniu integracyjnym imigrantów w Nowym Jorku prelegentka żegna kursantki słowami: „Podsumowując, pamiętajcie, że teraz żyjecie w wolnym świecie, gdzie kobiety i mężczyźni mają równe prawa, ale i równe obowiązki. Pochodzicie z różnych krajów i różnych kultur. Może być tak, że wasi mężowie różnie zareagują na wasze dążenie do równouprawnienia. Nie zapominajcie jednak, że jesteście kobietami i jako takie macie niezawodną broń – możecie odmówić współżycia seksualnego, jeśli mężczyzna nie uzna waszych praw. Mamy długi weekend, macie okazję przećwiczyć w praktyce to, o czym mówiłyśmy. Po weekendzie opowiecie o swoich doświadczeniach”. Na wtorkowym spotkaniu instruktorka pyta: „Która z pań chciałaby się podzielić swoim doświadczeniem z walki o równouprawnienie?”. Pierwsza zgłosiła się Nicolle, która przybyła z Francji. Mówi: „W piątek rano powiedziałam do mojego Jeana, że nie będziemy uprawiać seksu, dopóki on nie wyfroteruje podłogi. Minął pierwszy dzień – nic się nie dzieje. Podłoga jak była szara, tak została. Minął drugi dzień – nadal nic się nie dzieje. Ale w poniedziałek zobaczyłam, że podłoga lśni”. „To świetnie” – skwitowała opowieść instruktorka. – „Kto następny?”. Tym razem zgłosiła się Kinga, która przyjechała z Niemiec. „W piątek rano powiedziałam do Johana, że nie będziemy uprawiać seksu, dopóki nie pomoże mi przy dzieciach. Minął pierwszy dzień – nic się nie dzieje. Zapłakane dzieci biją się, a Johan nie reaguje. To samo na drugi dzień. Za to na trzeci dzień zobaczyłam dzieci na jego kolanach, a on czytał im bajkę”. „Brawo! Widzę, że też dobrze ci poszło” – skwitowała instruktorka. – „Kto następny?”. Zgłosiła się Meksykanka Maria. „W piątek rano powiedziałam do mojego Pancho, że nie będę kochać się z nim do czasu, aż sam wypierze i wyprasuje swoje koszule. Minął pierwszy dzień – nie widzę nic. Minął drugi dzień – nie widzę nic. Dopiero trzeciego dnia zaczęłam trochę widzieć na lewe oko”.

Mimo że, jak odkrył później Roman, Luisa w ogóle nie miała poczucia humoru i wszystkie anegdoty odbierała jako prawdziwe, ten żart ją rozbawił. Wszystkie dania bardzo jej smakowały, a tiramisu zachwyciło. Siedzieli przy stole prawie trzy godziny, delektując się jedzeniem i rozmawiając przy przyciszonej muzyce. W pewnym momencie Roman poprosił Luisę do tańca. Z początku była zaskoczona, chętnie jednak się zgodziła. Tańczyli i całowali się w rytm wolnej muzyki. Tak jak poprzednio, trzymając ją w ramionach, poczuł narastające pożądanie. Przygarnął ją mocniej do siebie i namiętnie całował, obracając się wolno przy nastrojowej muzyce. W pewnym momencie odsunął się od niej, wziął za rękę i poprowadził do sypialni. Podszedł z nią do szerokiego łóżka, odwrócił przodem do siebie, podniósł do góry i posadził. Następnie delikatnie ułożył na środku łóżka. Zdjął jej buty. Potem obszedł łóżko dookoła i położył się obok.

– Poczekaj chwileczkę – poprosiła Luisa, gdy próbował ją objąć. Uklękała na

łóżku plecami do niego. – Pomóż mi zdjąć sukienkę!

Posłusznie rozsunął suwak. Luisa pozwoliła sukience opaść na kolana. Następnie położyła się na plecach z nogami w górze, zdjęła ją z siebie i położyła obok łóżka. Była bez stanika, miała na sobie tylko czarne koronkowe majteczki. W międzyczasie Roman zdjął z siebie spodnie, natomiast Luisa, wolna już od sukienki, chętnie pomogła mu uporać się z koszulą. Nadzy, przylgnęli ponownie do siebie. Całując i pieszcząc jędrne piersi Luisy, Roman wyraźnie czuł jej podniecenie. Wsunął rękę pod jej majtki, była wilgotna i gotowa. Pod jego dotykiem lekko ugięła nogi w kolanach i bardziej rozchyliła uda. Pieścił ją przez kilka minut, czując narastające podniecenie. W pewnym momencie poczuł jej rękę w swoich slipach. Pod wpływem dotyku jej dłoni jego podniecenie sięgnęło zenitu. Luisa uniosła biodra, gdy zaczął zdejmować jej majteczki, a następnie podciągnęła do siebie kolana, żeby mógł zdjąć je całkowicie. Natychmiast zrzucił z siebie slipy i klęknął między jej lekko rozchylonymi nogami.

Wszedł w nią delikatnie i przez chwilę pozostał bez ruchu, namiętnie całując. Zaczął powoli, synchronizując ruchy z jej oddechem. Luisa zupełnie otworzyła się na niego. Szeroko rozwarte nogi oparła mu na barkach. Na każdy jego ruch odpowiadała swoim, który potęgował rozkosz. Po chwili Roman zatracił się całkowicie. Czuł się zupełnie zjednoczony z Luisą, a ruchy, które wykonywał, stały się bezwiedne i niezależne od niego. Narastająca przyjemność zapowiadała eksplozję rozkoszy. Wybuchnął chwilę po Luisie. Od dawna nie czuł tak ogromnej przyjemności.

Życie jeszcze bardziej przyspieszyło! Luisa spędzała u niego co drugą, a czasami co trzecią noc. Nadal go zadziwiała i poznawanie jej ciągle było dla niego źródłem dużej przyjemności. Roman szczególnie cenił długie rozmowy, które prowadzili zwykle na początku wizyty. Luisa opowiadała mu o zasadach handlu międzynarodowego, komplikacjach w zarządzaniu transportem morskim, pracy agencji importowych i eksportowych. Mówiła mu też bardzo dużo o Meksyku, o miejscach wartych zwiedzenia, o lokalnych tradycjach małych miasteczek, ale generalnie mało mówiła o sobie. Wspomniała tylko, że jej tato nie żyje, i że ma jedną rodzoną i dwie przyrodnie siostry. Niewiele też mówiła o swoim synu. Gdy ją o niego pytał, odpowiadała, że ma się dobrze.

Rozmawiali na przemian, raz po angielsku, innym razem po hiszpańsku. Było to trochę skomplikowane i komiczne. Luisa chciała szlifować angielski, podczas gdy Roman chciał ćwiczyć hiszpański. Zdarzało się więc często, że język, w którym rozmawiali, zmieniał się w połowie konwersacji albo zdanie było wyrażone w obydwu językach. Zwłaszcza Roman miał tendencję do używania angielskich słów, gdy zabrakło mu hiszpańskiego odpowiednika.

Luisa coraz bardziej intrygowała Romana. Była bystra i sprawiała wrażenie bardzo inteligentnej, równocześnie jej zachowanie cechował pewien rodzaj uległości, która go pociągała. Ta uległość i podporządkowanie fascynowały go zwłaszcza w łóżku, gdzie oddawała się całą sobą. Uprawianie miłości z Luisą było czymś, czego nigdy nie zaznał z inną kobietą. Nic dziwnego, że chodził jak na haju. Zaczynał za nią tęsknić już w momencie, gdy opuszczała jego dom. Podniecało go prawie każde wspomnienie z poprzednich upojnych nocy.

Wygodnie rozciągnięty na rozłożonym fotelu, ukojony cichą muzyką z iPod'a nie wiedział nawet, kiedy usnął.

ROZDZIAŁ 4

Piątek, 19 listopada 2010, godzina 7:00 CEST

Roman obudził się w typowy dla siebie sposób – czujny i z pełną świadomością tego, gdzie się znajduje. W słuchawkach iPoda leciała meksykańska muzyka. Rozpoznał piosenkę *Andar Contigo* w wykonaniu Marco Di Mauro. Piosenka była spokojna i miła dla ucha. Roman zdjął opaskę z oczu. Mimo że za oknami było całkowicie jasno, w kabinie główne światła były zapalone, a stewardessa zajęta była serwowaniem śniadania. Domyślił się, że jest już ranek. Spojrzał na zegarek. Nie mylił się, było dwie po północy według czasu meksykańskiego, a więc dwie po siódmej czasu europejskiego. Zauważył, że nie przestawił jeszcze zegarka na polski czas, postanowił więc zrobić to teraz. Pozostało mu jeszcze około sześciu godzin lotu.

Stewardesa podała mu niewielką broszurkę z menu śniadaniowym. Miał do wyboru omlet lub francuskie tosty, zdecydował się na te drugie. Rozłożył stolik, a stewardessa położyła na nim białą serwetkę i postawiła tacę ze śniadaniem.

– Życzy pan sobie kawę czy herbatę? – spytała. Poprosił o kawę. – Czy mogę panu zaproponować coś jeszcze do picia?

Widząc, że sąsiad delektuje się szampanem, Roman zastanowił się przez chwilę, czy nie poprosić o mimozę. Uzmysłował sobie jednak, że jego ciało jest ciągle w czasie meksykańskim, że sporo wypił przy kolacji, i że za jakieś dziesięć godzin będzie prowadził samochód. Poza tym z zasady nigdy nie pijał alkoholu przed południem, a przecież był wczesny ranek.

– Tak, poproszę o sok pomarańczowy i czarną herbatę – powiedział.

Śniadanie było smaczne. Grzanka z białego chleba namoczona w rozbełtanym jajku z mlekiem i usmażona na maśle smakowała wybornie. Na talerzyku miał trzy grzanki z plasterkami świeżej gruszki i posypane cynamonem. Obok stała miseczka z sałatką owocową z papai, mango i winogron udekorowana listkami świeżej mięty. Poza tym na tacy znajdował się mały jogurt ananasowy i paczka wafli w czekoladzie, obok której leżała mała czekoladka Lindor.

Roman wypił sok duszkiem. Widząc grzanki, zastanawiał się przez chwilę nad tym, jak Air France to robi, że jedzenie na podniebnej drodze smakuje tak samo, jak w domu – grzanki były świeżutkie. Roman lubił latać z Air France właśnie ze względu na jedzenie, zawsze było bowiem świeże, urozmaicone i smaczne. Skończył herbatę, odłożył serwetkę i ponownie oddał się rozmyśleniom.

Przez prawie trzy tygodnie Luisa nie wspomniała o pracy. W któryś kolejny piątek przyszła jednak do niego na proszony obiad ze smutnym wyrazem twarzy. Gdy zaczął dopytywać, co się stało, odpowiedziała, że chyba przegrała konkurs na

dyrektora agencji importowo-eksportowej. Zaskoczony poprosił, aby mu dokładnie o wszystkim powiedziała.

– Jakież sześć tygodni temu, jeszcze zanim poznałam ciebie, natknęłam się na ofertę pracy na stanowisko dyrektora, którego zadaniem miało być utworzenie agencji importowo-eksportowej od podstaw – zaczęła Luisa. – Wybór odpowiedniego kandydata miał się odbyć w drodze konkursu. Przygotowałam więc wszystkie wymagane dokumenty i zgłosiłam swoją kandydaturę. Jakież trzy dni po naszym pierwszym spotkaniu zostałam wezwana na rozmowę kwalifikacyjną. Dzisiaj miałam trzecie i ostatnie spotkanie – z właścicielem o największych udziałach. Powiedział mi, że na chwilę obecną z szesnastorga startujących kandydatów pozostało tylko dwoje. Powiedział mi też, że jakkolwiek mam lepsze kwalifikacje, to drugi kandydat jest mężczyzną, co wyrównuje szanse. Wytknął mi jednak, że nie przedstawiłam żadnych referencji. Podkreślił, że bez nich nie może dalej rozpatrywać mojej kandydatury. W poniedziałek w południe mają podjąć ostateczną decyzję i do tego czasu muszę dostarczyć referencje, jeśli chcę, żeby moja kandydatura była dalej rozpatrywana.

– Co zatem stoi na przeszkodzie, żebyś dostarczyła referencje? – zapytał Roman, nie do końca rozumiejąc, w czym tkwi problem.

– Obawiam się, że mój były szef nie wystawi mi żadnych. Chciałby, żebym wróciła do pracy u niego, na stare stanowisko.

– Rzeczywiście masz kłopot – powiedział Roman. – Czy ktoś inny w twojej poprzedniej pracy nie mógłby ci wystawić referencji? Nie masz żadnych listów pochwalnych od klientów? – zapytał.

– Chcesz powiedzieć, że listy pochwalne mogłyby za nie posłużyć? – spytała ożywionym głosem.

– Wszystko zależy od tego, jak dalece pochwalny byłby to list, ale jeśli jest dobry, zdecydowanie nadaje się na referencje.

– Dziękuję za pomysł! Mam nawet kilka listów od różnych przedstawicieli Pemexu, z podziękowaniami albo wyrazami uznania.

– To świetnie! Masz się czym pochwalić. Radzę ci jeszcze dzisiaj napisać list z wyjaśnieniem, że z uwagi na małą ilość czasu nie byłeś w stanie uzyskać formalnej opinii od pracodawcy, który przebywa na przykład gdzieś w Europie, ale w zamian przesyłasz listy od klientów z uznaniem dla twojej działalności. Zeskanuj i dołącz do niego te referencje i jeszcze jutro, mimo że jest to sobota, wyślij mailem. To powinno załatwić sprawę.

Rada okazała się dobra. Luisa dostała pracę dyrektora powstającej agencji. Miała zacząć od początku nowego roku. Pozostający dwutygodniowy okres w grudniu miała wykorzystać na szczegółowe uzgodnienie zasad operacyjnych agencji z właścicielami, którzy dla ułatwienia kontaktów wyznaczyli jednego spośród siebie do bezpośredniej z nią współpracy. Był to czas, kiedy Luisa była

bardzo zajęta.

Po uzyskaniu od właścicieli wymagań operacyjnych i biznesowych dla agencji, za radą Romana i z jego pomocą Luisa przygotowała plan biznesowy, który bardzo spodobał się właścicielom. To ułatwiło jej pracę. Musiała tylko konsekwentnie wdrażać plan. Ale i tak była bardzo zajęta. Siłą rzeczy spotykali się o wiele rzadziej. Regularnie przyjeżdżała do Romana w środku tygodnia, bezpośrednio po pracy, i zostawała do późnego wieczora. Spędzała z nim również większość sobót. W te dni przyjeżdżała wieczorem i zostawała na noc, by w niedzielę późnym rankiem wrócić do siebie do domu.

Roman był bardzo zaintrygowany i zaciekawiony, jak Luisa radzi sobie w nowej pracy. Wiedząc, jak trudno jest stworzyć przedsiębiorstwo od podstaw, zaczął ją pytać o doświadczenia w tym zakresie. Zaskoczyło go niezmiernie, gdy stwierdził, że Luisa praktycznie nie ma żadnych doświadczeń w zarządzaniu ludźmi. Okazało się, że w przeszłości z początku była agentem importowo-eksportowym, a w ostatniej pracy była bardziej koordynatorem operacyjnym niż managerem. Podziwiał ją za to, że potrafiła przekonać przedsiębiorców do swoich kwalifikacji na stanowisko dyrektora. W jej życiorysie nie było ani jednej wzmianki o umiejętnościach administracyjnych, kadrowych czy organizacji stanowisk pracy. Roman z wielkim zainteresowaniem obserwował zatem, jak ona sobie radzi. Przewidywał też, że nie uniknie pomyłek.

Pierwszą wielką wpadkę Luisa zaliczyła w połowie trzeciego miesiąca pracy. Zgodnie z planem biznesowym agencja posiadała już wtedy tymczasowe biuro wynajęte na lotnisku i zatrudniała trzy osoby. Prowadziła też aktywną działalność gospodarczą, obsługując import artykułów dla dwóch właścicieli. Jednak, mimo że Luisa uzyskała już wszelkie wymagane pozwolenia, nie zdążyła jeszcze założyć kont bankowych niezbędnych do płacenia ceł, opłat portowych i gwarancji handlowych otrzymanych od klientów. Poradziła więc sobie w ten sposób, że poleciła importerom wpłacać wymagane kwoty na konto biura rozliczeniowego prowadzonego przez jej przyjaciela, który następnie miał dokonywać wymaganych wypłat. Nie pomyślała jednak, by podpisać jakąkolwiek umowę z przyjacielem, która gwarantowałaby jego rzetelność.

– O jakiej kwocie mówimy? – spytał Roman, gdy Luisa poinformowała go o swoich poczynaniach.

– Wczoraj wpłacono mu na konto około dziewięćset osiemdziesiąt tysięcy pesos – odpowiedziała.

– Matko Boska, to więcej niż dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów, nieprawdaż? – spytał niedowierzająco.

– Coś koło tego...

Przeraził się.

– To biuro rozliczeniowe twojego przyjaciela... Ile zatrudnia osób?

– Razem z nim – dwie – odpowiedziała.

– Więc rocznie twój przyjaciel może zarobić maksymalnie trzydzieści, w najlepszym razie czterdzieści tysięcy dolarów. Obawiam się, że dziewięćdziesiąt tysięcy może być dla niego wielką pokusą. To więcej niż dwuletni dochód jego firmy. Nie chcę cię straszyć, ale najprawdopodobniej możesz tych pieniędzy już nigdy więcej nie zobaczyć.

– Naprawdę tak myślisz? – Luisa wyglądała na przestraszoną.

– Trochę znam świat biznesu. Dziewięciu na dziesięciu biznesmenów zagarnęłoby tę forszę, zwłaszcza że bardzo trudno byłoby ci ją odzyskać na drodze sądowej. Przecież twoi klienci wpłacali dobrowolnie pieniądze na jego konto, a ty nie masz żadnego poświadczenia, żeby całą sprawę reklamować.

Świadomość tego, że Roman może mieć rację, prawie zwała ją z nóg.

– Mogę ci coś doradzić? – zaproponował. – Napiszę ci maila, którego wyślesz do swojego kolegi. Wytlumaczę ci, co trzeba zrobić. Wiadomość do niego musi być bardzo precyzyjna, w przeciwnym wypadku mój plan może nie zadziałać. Jeszcze tylko jedno pytanie – powiedział. – Rozumiem, że za jego usługi oferowałaś mu jakąś prowizję. Możesz powiedzieć, na ile się umówiliście?

– Jeden procent od zadysponowanej kwoty – odpowiedziała.

– Rozsądnie. Czy mogłabyś przygotować teraz dla twojego przyjaciela dyspozycję płatności na jutro? Rozlicz tak całą kwotę, żeby po opłaceniu wszystkiego nie zostało mu więcej niż jedenaście tysięcy pesos, czyli trochę ponad jeden procent całości kwoty.

– Dobrze – zgodziła się.

Roman szybko zabrał się do pisania listu. Stawiał na ludzką pazerność. Wiedząc, że Luisa przetłumaczy list na hiszpański, zredagował go po angielsku. Napisał, że w załączniku przesyła dyspozycję opłat, które muszą być wykonane następnego dnia rano. Dodał, że później tego samego dnia wieczorem, a najpóźniej następnego dnia przed południem, na jego konto zostanie przelana kwota jednego miliona sześciuset tysięcy pesos i że dyspozycja opłat dla tej kwoty zostanie mu przedstawiona wkrótce potem. Na koniec listu podziękował za pomoc i wyraził nadzieję, że ich współpraca również w dalszej przyszłości będzie układała się pomyślnie. Po napisaniu przeczytał list Luisie i wyjaśnił jego cel. Powiedział wprost, że jeśli jej przyjaciel uwierzy w jego treść, to wypłaci pieniądze, które dostał wcześniej, licząc na to, że następna kwota będzie prawie dwa razy większa. Nie wie, że następna kwota zostanie wpłacona dopiero po podpisaniu odpowiedniej umowy.

– Radzę ci, trzymaj kciuki, żeby dał się nabrać!

Luisa przetłumaczyła list z angielskiego na hiszpański, Roman natomiast

w tym czasie sprawdził listę przygotowanych przez nią płatności. Tej nocy Luisa była podenerwowana i była to chyba pierwsza noc, podczas której się nie kochali. Nazajutrz Luisa zadzwoniła do Romana z wiadomością, że przyjaciel dokonał wymaganych przez nią wpłat. Po kilku dniach okazało się, że obawy Romana co do chęci przywłaszczenia przez przyjaciela przekazanych mu pieniędzy okazały się słuszne. Ten bardzo się zeźlił, gdy już żadne pieniądze nie wpłynęły na jego konto, a gdy Luisa zażądała podpisania formalnej umowy przed powierzeniem mu następnej kwoty, odmówił dalszej współpracy. Co więcej, zażądał odszkodowania za rzekome zerwanie przez nią umowy, szantażując, że nie zwróci jej dokumentów kompanii, które musiała mu przekazać, by mógł przeprowadzać w jej imieniu operacje finansowe.

Wpadek było więcej, ale zawsze z pomocą Romana jakoś udawało się im zaradzić. Luisa nabierała coraz większej pewności siebie i coraz bardziej lubiła swoje nowe zajęcie. Jej praca wpływała pozytywnie na ich związek. Luisa darzyła Romana dużym zaufaniem i chętnie opowiadała mu o swoich zadaniach. Jeśli nie liczyć seksu, temat jej pracy w zasadzie wypełniał ich cały wspólny czas.

Podczas gdy Roman czuł się coraz bardziej zakochany, ze strony Luisy nastąpiło ochłodzenie. Nadal była fantastyczną kochanką i okazywała dużą sympatię i uległość, jednak coraz częściej zdarzały jej się niepohamowane wybuchy gniewu. Roman specjalnie się nimi nie przejmował. Usprawiedliwiał je stresem wynikającym z trudnej i wymagającej pracy. Poza tym osiemnaście lat małżeństwa, w którym na początku sceny hysterii zdarzały się dosyć często, nauczyły go, jak sobie radzić z agresywną kobietą. Ileż to razy wiozł rozhisteryzowaną eksmałżonkę na jej żądanie do szpitala w środku nocy, by niemal u kresu drogi zawracać do domu, również na jej usilną prośbę? Ileż to razy wysłuchiwał obelg i wyzwisk... Żona jednak z czasem uspokoiła się, sceny hysterii zdarzały się coraz rzadziej, cichych dni nie było wcale, a dramaty bez powodu praktycznie przestały się zdarzać. Toteż z początku Roman traktował furie Luisy jako coś normalnego i naturalnego dla kobiet i naiwnie wierzył, że podobnie jak przedtem, spokojem, opanowaniem i tolerancją uda mu się wyeliminować tego typu zachowanie z ich wspólnego życia. Okazało się jednak, że jej agresywny charakter był o wiele trudniejszy do zniesienia niż jego byłej żony. Mimo to wierząc, że agresja Luisy wynika ze stresu związanego z pracą, starał się być pomocny i opiekuńczy, a przy tym wyrozumiały, zwłaszcza że na co dzień Luisa była bardzo słodką osobą. Potrafiła przymilić się i czynić gesty, które zmiękczały jego serce. Zaczęła też się dopytywać, kiedy Roman zamierza się z nią ożenić. Zaproponował jej zatem umowę – dwa miesiące bez agresji, hysterii, wrzasków i natychmiast się jej oświadcza. I chociaż nie zdarzył się ani jeden miesiąc bez

awantury, pierwszą rocznicę poznania spędzili w szczęściu i harmonii. Dla uczczenia ich pierwszego wspólnie spędzonego roku Roman kupił jej złoty łańcuszek i kolczyki z różowymi szafirami do pary. Był to niezwykle elegancki prezent i Luisa przyjęła go z radością. Wręczając jej biżuterię, zapytał:

– Czy nie sądzisz, że jest już najwyższa pora, żebyś przedstawiła mi swoją rodzinę? Upłynął już rok, a ja nie miałem jeszcze okazji poznać twojego syna – powiedział z lekkim wyrzutem.

– Nie martw się, wkrótce go poznasz – odpowiedziała krótko.

Następnego dnia Luisa nagle poinformowała Romana, że ma poważny problem. Okazało się, że w ciągu miesiąca musi opuścić mieszkanie, które nieodpłatnie wynajmowała od siostry.

– Zaczęłam już szukać nowego mieszkania – dodała uspokajająco, podkreślając w ten sposób, że nie oczekuje od niego pomocy.

– Dobrze – skwitował wiadomość, nie dopytując się, dlaczego własna siostra kazała jej prawie z dnia na dzień opuścić mieszkanie. – Ja, niestety, nie mogę ci pomóc – ciągnął Roman. – Moje mieszkanie, mimo że jest duże, ma tylko dwie sypialnie. Nie zdążyłem ci jeszcze tego powiedzieć, ale za dwa tygodnie przyjeżdża mój dorosły syn Tomasz, który będzie ze mną pracował tutaj, w Meksyku. Zajmie sypialnię dla gości, a chyba sama przyznasz, że trudno sobie wyobrazić, by dorosły mężczyzna dzielił sypialnię z dzieckiem. Z powodu Tomasza nie miałbym gdzie umieścić twojego syna.

– Doskonale to rozumiem – odpowiedziała spokojnie.

Luisa przyjęła Tomasza bardzo serdecznie. Wyraźnie było widać, że stara się zdobyć jego sympatię. Jednak trzy tygodnie po wypowiedzeniu przez siostrę umowy najmu mieszkania Luisa ciągle nie znalazła nowego, do którego mogłaby się wyprowadzić.

– Znalazłaś już jakieś lokum? – zapytał ją Roman pewnego wieczoru, gdy termin jej umowy zbliżał się ku końcowi.

– Niestety, nie. Co gorsza, nie bardzo mam czas, by przeglądać ogłoszenia...

– Więc co zamierzasz dalej z tym zrobić? Przecież termin wyprowadzki upływa jutro – spytał Roman, wyraźnie zaniepokojony.

– Nie wiem...

– Myślałaś w ogóle o tym, co się stanie, jeśli nie zdążysz się wyprowadzić?!

– Nie, bo nie ma takiej możliwości. Muszę się wynieść najpóźniej jutro.

– W najgorszym razie tymczasowo możesz wprowadzić się z synem tutaj, ale musiałby spać w salonie, jeśli to by mu nie przeszkadzało – zaproponował Roman po chwili namysłu, gdyż zrobiło mu się żal kobiety i jej dziecka.

– Sądzę, że nie będzie z tym problemu.

Na wiadomość o tym, że może przenieść się do Romana, Luisa wyraźnie poweselała. Wprowadziła się wraz z synem następnego dnia. Był to miły chłopiec o imieniu Juan. Był niezbyt wysoki jak na swój wiek i bardzo szczupły. Wyraźnie Ignął do Tomasza; widział w nim starszego brata. Pomimo niewygody z powodu większej liczby osób, w mieszkaniu zrobiło się wesoło. Roman obserwował jednak stopniową zmianę w zachowaniu Luisy. Przypuszczalnie z uwagi na obecność Tomasza nie robiła mu już większych awantur, ale często, praktycznie bez powodu, groziła, że odejdzie. Pakowała wtedy walizki do swojego samochodu i czekała z kluczami w ręku, aż Roman będzie ją błagał, żeby została. Jednak gdy on tego nie robił, wpadała we wściekłość i histeryzowała. Ze swej strony Roman specjalnie jej nie zatrzymywał. Wiedział, że takie demonstracje nie miały sensu, i tak nie miała dokąd pójść. Starał się tylko wytłumaczyć jej absurdalność takiego zachowania. Tak czy inaczej, każda taka scena kończyła się wnoszeniem bagaży z powrotem do mieszkania. W takich momentach Roman najbardziej martwił się o Juana. Współczuł mu bardzo, ponieważ nie raz się zdarzyło, że Luisa wyrывała go ze snu tylko po to, aby odegrać kolejną scenę z wynoszeniem walizek. Na szczęście tego typu sytuacje nie zdarzały się często, chociaż z czasem coraz częściej. Po każdej z nich coraz więcej walizek pozostawało nierozpakowanych. Wyglądało na to, że Luisa tak na dobre nigdy się nie wprowadziła. Początkowo wydawało się, że było tak właśnie z uwagi na tymczasowość jej pobytu w mieszkaniu Romana. Mówiła, że nie ma motywacji, by rozpakować swoje bagaże, bo wie, że nie będzie mieszkała z nim na stałe. I faktycznie: mimo że przydzielił jej miejsce na ubrania w garderobie, część jej walizek pozostała spakowana. Przyjął więc jej tłumaczenie za prawdziwe i zdecydował się zmienić mieszkanie na większe, z przynajmniej trzema sypialniami. Poszukiwaniem mieszkania zajęła się Luisa. Wkrótce pokazała mu ofertę samodzielnego domu z ładnym ogródkiem i basenem. Miał trzy sypialnie, każda z łazienką, oraz dodatkową łazienkę z wejściem z salonu. Plusem było to, że dom był już umeblowany. Cena dwóch i pół tysiąca dolarów za miesiąc wynajmu również nie wydawała się Romanowi zbyt wygórowana, zwłaszcza że dom był położony przy jednej z głównych ulic Meksyku – Paseo de la Reforma, w bogatej dzielnicy Lomas de Reforma. Wejście było od bocznej uliczki, całkowicie zamkniętej, strzeżonej przez policję. Zatrudnili na stałe dochodzącą gosposię, która zajmowała się porządkami i opiekowała się Juanem w czasie nieobecności matki. Luisa uwolniła się także od obowiązku codziennego odwożenia Juana do szkoły, angażując na stałe zaprzyjaźnionego taksówkarza, który codziennie rano odwoził, a po południu przywoził go do domu. Okazjonalnie Luisa przygotowywała jakieś tradycyjne meksykańskie danie i, trzeba przyznać, gotowała świetnie.

W sumie po przeprowadzce atmosfera w domu znacznie się poprawiła, chociaż nie zdarzył się miesiąc, w którym nie byłoby awantury. Szczególnie nieprzyjemna awantura wybuchła na wycieczce do Huamantli. To niewielkie jak na meksykańskie warunki miasto liczy około osiemdziesięciu tysięcy mieszkańców. Powszechnie znane jest jako *pueblo magico* – magiczne miasto, ze względu na wyjątkową architekturę – dużą liczbę kościołów, których jest tu około trzydziestu, oraz wiele uroczych hacjend w sąsiedztwie. Przede wszystkim znane jest jednak ze swoich wyjątkowych tradycji. Jedną z nich jest *la noche donde nadie duerme* – noc, podczas której nikt nie śpi, oraz następujący wkrótce po niej dzień gonitwy byków.

Roman odkrył uroki Huamantli, gdy pojechał tam z Luisą zwiedzać okoliczne hacjendy. Zatrzymali się wówczas w jednej z nich, niezwykle uroczej, przerobionej na hotel. Przydzielono im okazały apartament z ogródkiem i dwiema łazienkami, z których jedna była wyposażona w jacuzzi w kształcie serca. Hotelowa restauracja oferowała oryginalne dania kuchni lokalnej, które okazały się bardzo smaczne. Zgodnie z lokalną tradycją, kolacja była celebrowana, spędzili przy niej trzy i pół godziny, mieli zatem dosyć czasu na wypicie *apetisers*, dwóch butelek wina i po kilka *digestives*. Luisa rozsmakowała się w Grand Marnier, podczas gdy Roman delectował się wspaniałym kalwadosem. Później, po długim spacerze po okolicy, wymasowani w jacuzzi, poszli spać w doskonałym nastroju. Cisza i prawie całkowita ciemność spowodowały, że Roman spał jak zabity. Zerwał się na równe nogi, gdy nagle w środku nocy obudził go ze snu przerażający krzyk Luisy.

– Widziałam śmierć! Widziałam śmierć! – wrzeszczała.

Zapalił światło i przytulił ją do siebie. Długo nie mogła się uspokoić, tuląc głowę do jego piersi. Dopiero gdzieś po półgodzinie otrząsnęła się na tyle, by opowiedzieć mu, co się stało. Obudziła się w środku nocy i zobaczyła plamkę światła kręcącą się na suficie. Było to intrygujące i ładne, więc przyglądała się temu przez dłuższą chwilę, gdy nagle światło przekształciło się w przerażającą twarz kościotrupa, która zbliżyła do jej głowy. Roman przypomniał sobie, że w recepcji mówiono im żartem, że według niektórych gości hotelowych w tym pokoju straszy. Kolejne pół nocy tkwili więc w łóżku przy zapalonych światłach, Luisa nie spała z przerażenia, a Roman czuwał przy jej boku. Rankiem zdecydowali, że następną noc spędzą w innej hacjendzie.

Huamantla tak go urzekła, że zdecydował się wrócić do niej, aby zobaczyć obydwa popularne wydarzenia. By świętować noc, podczas której nikt nie śpi, przyjechali całą czwórką, z Tomaszem i Juanem. Dojechali do miasteczka późnym wieczorem. Luisa, wyraźnie w złym nastroju, oświadczyła, że będzie spędzała czas z Juanem, dając tym samym Romanowi do zrozumienia, że nie życzy sobie jego towarzystwa, i zasugerowała, żeby oglądał atrakcje z Tomaszem. Nie wiedząc, co

ją ugryzło, mimo próśb i perswazji nie udało mu się jej przekonać, by się nie rozdzielali. Wyruszyli więc osobno.

Dla Romana i Tomasza tajemnica magii tej bezsennej nocy wyjaśniła się prawie natychmiast. Spacerując, zauważyli, że na tę okazję całe miasto zostało udekorowane w szczególny sposób. Wszystkie mijane przez nich ulice były wyłożone kolorowymi dywanami oraz przyozdobione ciętymi żywymi kwiatami, podczas gdy latarnie oraz słupy elektryczne i telefoniczne, jak również kable doprowadzające elektryczność do domów oraz same domy udekorowane były lampionami, ozdobnymi światełkami lub wieńcami z kwiatów. Na wielu ulicach widzieli również kolorowe girlandy rozciągnięte pomiędzy domami. Co więcej, każda ulica była udekorowana inaczej, jakby przygotowana do konkursu. Podczas wędrowki zauważyli, że kolorowe dywany, które wyściełały ulice, nie były w rzeczywistości dywanami. Zrobili je mieszkańcy, wysypując fantazyjne i zawile wzory z piasku w różnych kolorach, wykorzystując do tego specjalne szablony. Efekt był fascynujący. Wzory, które dzięki temu powstały, emanowały pięknem i radością i widać było, że były źródłem podziwu i fascynacji również dla mieszkańców. Jak się później dowiedzieli, mieszkańcy w ten sposób przygotowali ponad dwadzieścia kilometrów „dywanów”.

Przechodząc główną ulicą, Roman i Tomasz z ciekawością spoglądali w głąb bocznych ulic. Wszędzie to samo – oszałamiające bogactwo kolorów, zmieniały się tylko wzory i dekoracje. Wyglądało to tak, jakby mieszkańcy każdej ulicy rywalizowali ze sobą, kto najpiękniej udekoruje swoją ulicę. Największe wrażenie zrobiły na mężczyznach te ulice, które prowadziły do centrum miasta oraz znajdujące się przy katedrze. Tam też zebrał się tłum ludzi z zamiarem uczestniczenia w procesji, która miała przejść przez całe miasto. W wielu miejscach, przeważnie na rogach ulic, ustawiono ołtarze. Wszystkie były bardzo bogato ozdobione kwiatami, figurkami i obrazami świętych. Na kilku skwerkach odbywały się koncerty muzyczne, od *Mariachis* po grupy rockowe. Ku zdziwieniu Tomasza na jednym z głównych placów grała Metallica. Procesja skupiła tłumy mieszkańców. Na początku pochodu, po obu stronach drogi szły długie szeregi trzymających się za ręce dziewcząt, ubranych w białe długie sukienki. Na końcu tego szpaleru jechał wolno samochód, bogato udekorowany, przez co tak dalece zmieniony, że trudno było rozpoznać jego typ. Pod ozdobnym baldachimem rozpiętym nad samochodem stała niewielka figurka Matki Boskiej Dziewicy Troskliwej. To właśnie na jej cześć odbywała się ta uroczystość. Za pojazdem szła grupa księży w uroczystych szatach, a za nimi tysiące pielgrzymów. Przeniesieniu figurki z katedry do pojazdu towarzyszył bardzo uroczysty nastrój. Huk odpalanych petard i fajerwerków zagłuszał piękny śpiew zebranych wiernych, w powietrze natomiast unosiły się niezliczone ilości oświetlonych lampionów, potęgując jeszcze wrażenie magicznego charakteru tego wydarzenia. Zdecydowanie była to wielka

uroczystość. Procesja szła po usypanych dywanach. Dziesiątki tysięcy stóp zdeptały dekoracje i zmiądzły świeże kwiaty. Przy każdym ustawionym ołtarzu odbyło się nabożeństwo. Również i tam uroczystym śpiewom, niekiedy wspomagany przez lokalną grupę muzyczną, towarzyszyły sztuczne ognie. Roman z Tomaszem chcieli jak najwięcej zobaczyć i zapamiętać, lecz udało im się je obejrzeć zaledwie pobieżnie, przez cały bowiem czas Luisa natarczywie wydzwaniała na komórkę Romana, żądając, by jak najszybciej wrócili. Roman był tym zaskoczony, ponieważ przy rozstaniu zostawił jej klucze do samochodu właśnie po to, żeby w razie zmęczenia ona i Juan mogli w nim odpocząć. Siedzenia jeepa można było rozłożyć, mogli się więc w nim zamknąć i nawet zdrzemnąć. Chociaż z ogromnym żalem, zdecydowali się wrócić. Było im zwłaszcza żal pozostawić procesję. Przyjechali przecież tutaj po to, żeby obejrzeć to fascynujące całonocne wydarzenie.

Było około drugiej nad ranem, gdy Roman z Tomaszem dotarli do samochodu. Juan spał na tylnym siedzeniu, natomiast Luisa siedziała na odchylonym siedzeniu pasażera, w pozycji półleżącej. Sprawiała wrażenie pijanej; w rękę trzymała puszkę piwa, a u jej stóp leżał karton z kolejnymi pięcioma pełnymi puszkami. Obok leżał sześciopak z pustymi puszkami.

Gdy tylko ruszyli do domu, Luisa zaczęła się awanturować. Najpierw zarzuciła mu, że zostawił ją samą na tyle godzin. Dalej Roman dowiedział się, że dostała wiadomość, że jej matkę zabrano do szpitala, ona natomiast musiała czekać na ich powrót, zamiast być przy niej. Mówiła bez przerwy. W zamkniętej przestrzeni samochodu jej podniesiony głos był trudny do wytrzymania, nic więc dziwnego, że w pewnym momencie Tomasz kazał jej się zamknąć. Atmosfera zrobiła się jeszcze bardziej nieprzyjemna. Luisa w ogóle nie zareagowała na słowa Tomasza – wręcz przeciwnie, wpadła w jeszcze większą furję. Widząc to, Roman zatrzymał samochód na poboczu przy przydrożnym hotelu.

– Albo się w tej chwili uspokoisz, albo zostawię cię w tym hotelu! Wybieraj!
– powiedział, wyraźnie zdenerwowany.

Luisa zamilkła, przestraszona. Pierwszy raz usłyszała w głosie Romana taką stanowczość. Siedziała bez słowa i przez resztę podróży słychać było już tylko jej ciche pochlipywanie. Nie przestała jednak pić piwa. Mniej więcej po godzinie jazdy dotarli do przedmieść Meksyku. Mimo niedzieli i bardzo wczesnej godziny, czteropasmowa autostrada w kierunku centrum miasta była pełna samochodów, ale ruch odbywał się sprawnie. Roman zwyczajowo trzymał się lewego, wewnętrznego pasa ruchu.

– Proszę cię, przestań już pić! – powiedział spokojnie, lecz stanowczo do Luizy, widząc kątem oka, że sięga po dziesiąte już tej nocy piwo.

– Moja mamusia, biedna mamusia... – pochlipywała w odpowiedzi. – Ona tam umiera, a ja siedzę tutaj z wami!

Nagle, ku przerażeniu wszystkich, otworzyła drzwi samochodu i zaczęła odpinać pas bezpieczeństwa. Rozległ się przerażający krzyk Juana. Roman niewiele myśląc, złapał Luisę za ramię, włączył kierunkowskaz i nie zwracając uwagi na otwarte drzwi, zaczął wciskać się między samochody z jego prawej strony, próbując zjechać na pobocze. Tomasz również chwycił Luisę za ramię. Romanowi udało się zjechać na prawy pas, jednak z uwagi na duży ruch samochodów mężczyzna zdecydował nie zatrzymywać się. Skręcili natomiast w pierwszy napotkany zjazd z autostrady. Na szczęście tutaj ulica była prawie pusta. Roman zwolnił, szukając miejsca do postoju. Drzwi, które dzięki pędowi powietrza podczas szybkiej jazdy były lekko przymknięte, teraz otworzyły się niemal całkowicie. Wyglądało na to, że Luisa otrzeźwiała. Przestała się wyrwać i chyba sama przeraziła się tego, co zrobiła. Roman zatrzymał samochód na poboczu ulicy.

– Masz wybór – zwrócił się do Luisy – siądziesz z Juanem na tylnym siedzeniu, włączę blokadę drzwi i pojedziesz dalej w całkowitym milczeniu albo zostawiam cię tutaj. Jeśli życzysz sobie, żebym cię zawiózł do twojej chorej matki do szpitala, proszę, podaj mi adres, pojedziemy tam od razu. W przeciwnym razie jedziemy do domu. Proszę, chcę usłyszeć wyraźną odpowiedź. Dokąd jedziemy?

– Do domu – odpowiedziała, nie patrząc na niego.

– Więc przesiadaj się!

Posłusznie zamieniła się z Tomaszem miejscami. Roman, tak jak zapowiedział, włączył blokadę drzwi i ruszyli w dalszą drogę. Przez pozostałą część jazdy, która trwała jeszcze około pół godziny, Luisa zachowywała się spokojnie. Roman słyszał tylko, że do kogoś dzwoni i rozmawia przez telefon przyciszonym głosem. Słyszał też, jak cicho popłakuje.

W domu byli przed trzecią. Luisa odświeżyła się w łazience, ale odmówiła położenia się spać.

– Muszę czuwać – zakomunikowała. – Moja mama zmarła około pierwszej nad ranem. Jeszcze dzisiaj rano odbędzie się msza za jej duszę, o ósmej w kościele Świętego Niepokalania.

– Jest mi niezmiernie przykro – powiedział Roman, podchodząc do niej, by ją przytulić. – Serdecznie ci współczuję. Oczywiście pojedę z tobą na mszę, zawiozę cię. Zostały nam jakieś cztery godziny, żeby się przespać. Chodź do łóżka, odpoczniesz choć trochę.

– Dobrze – zgodziła się w końcu.

Nastawili budzik na siódmą i położyli się spać. Luisa wtuliła się w ramiona Romana i obejmowała go bardzo mocno. Obudzili się przed budzikiem. Luisa nie chciała budzić Juana, by razem z nimi jechał na mszę.

– Niech śpi... Jeszcze będzie miał czas na to, by przeżyć śmierć babci – stwierdziła.

O siódmej rano miasto jeszcze spało. Drogi były niemal zupełnie puste, toteż przybyli do kościoła pół godziny przed czasem. Był jeszcze zamknięty, w pobliżu nie było żywej duszy. Luisa próbowała dodzwonić się do siostry, żeby upewnić się co do kościoła, ale wybrany numer nie odpowiadał. Dziesięć po ósmej kościół był ciągle zamknięty. Stało się oczywiste, że zaszła pomyłka – albo msza się nie odbędzie, albo właśnie się odbywała w jakimś innym miejscu. Z braku lepszego pomysłu Roman zabrał Luisę do pobliskiej restauracji, gdzie zjedli śniadanie, po którym wrócili do domu, żeby odespać zarwaną noc. Luisa skontaktowała się z rodziną po południu. Jak później wyjaśniła Romanowi, okazało się, że ze zdenerwowania źle zrozumiała słowa siostry. Msza miała odbyć się dopiero następnego dnia, w poniedziałek, w całkowicie innym kościele niż ten, do którego pojechali.

Na życzenie Luisy Roman nie uczestniczył w uroczystościach pogrzebowych. Powiedziała, że byłoby to źle przyjęte, gdyby nagle przyprowadziła zupełnie obcego mężczyznę na pogrzeb. Roman przyznał jej rację.

Po tych wydarzeniach Luisa przez kilka kolejnych miesięcy stopniowo zapoznawała go ze wszystkimi członkami swojej rodziny. Jej trzy siostry okazały się bardzo sympatyczne. Rodzona siostra Luisy, młodsza od niej o rok, była bezdzietna. Najstarsza, przyrodnia siostra miała już dorosłe dzieci, druga przyrodnia siostra również miała już dorosłego syna i prawie piętnastoletnią córkę, której urodziny właśnie się zbliżały. Luisa z Juanem oraz Roman z Tomaszem zostali zaproszeni na *quinceañera*.

W Meksyku piętnastą rocznicę urodzin dziewczynki obchodzi się bardzo hucznie. Jest to tak zwana *fiesta de quince años* lub potocznie *quinceañera*. Z tej okazji rodzice wydają przyjęcie często z większym rozmachem niż wiele polskich wesel. W bogatych rodzinach zaprasza się do restauracji nawet do dwustu gości, a uroczystość często przeciąga się od godzin popołudniowych do późnej nocy. Jubilatka zazwyczaj ubrana jest w długą wieczorową suknię, a niekiedy ma ich nawet kilka i w ciągu przyjęcia je zmienia. Przez cały wieczór towarzyszą jej też młodzi mężczyźni – członkowie rodziny lub przyjaciele. Tradycją jest, że młodzi przygotowują krótkie spektakle artystyczne, najczęściej taneczne.

Romanowi było bardzo miło, gdy siostra Luisy zaprosiła całą ich czwórkę na piętnaste urodziny córki. Uroczystość miała miejsce w dużej sali domu kultury przy ambasadzie francuskiej, która mogła pomieścić około dwustu dwudziestu gości. Ostatecznie Luisa zdecydowała, że Juan z nimi nie pójdzie. Mężczyźni elegancko ubrani w garnitury, a Luisa w wytworną wieczorową suknię, przybyli na miejsce nieco spóźnieni. Ku wielkiemu zaskoczeniu Romana, zaraz po wejściu, gdy gospodarze posadziwszy Tomasza przy stole chcieli przedstawić im młodą

jubilatkę i innych członków rodziny, Luisa nagle poprosiła go na stronę.

– Chodź, muszę ci koniecznie coś powiedzieć! – oznajmiła, ciągnąc go za ramię. Na jej twarzy malował się niepokój.

Stanęli w kącie niedaleko od wejścia. W pobliżu znajdował się tylko ochroniarz, zajęty sprawdzaniem zaproszeń wchodzących gości.

– Stało się coś złego? – zapytał ją Roman.

Milczała przez chwilę.

– Muszę ci coś wyznać... Widzisz, w powrotnej drodze z Huamantli zachowałam się paskudnie. Bardzo się tego wstydziłam i, żeby się usprawiedliwić, okłamałam cię. – Czekał w milczeniu. – Moja mama nie umarła i jest tutaj na sali.

Tym oświadczeniem zaskoczyła go całkowicie. Nigdy przedtem nie spotkał się z takim wierutnym kłamstwem. Wiele lat uczył w Akademii Morskiej, był więc przyzwyczajony do tego, że jego studenci regularnie uśmiercali dziadków i babcie, ale żeby uśmiercić własną matkę – to przytrafiło mu się po raz pierwszy. Na dodatek uśmiercić matkę w oczach chłopaka, a może i przyszłego męża... Takie kłamstwo miało przecież bardzo krótkie nogi. No chyba że matka Luisy tak czy inaczej była w drodze na drugi świat, a tylko spóźniła się ze swoją śmiercią o kilka tygodni. Przecież równie dobrze mogła już dawno nie żyć, i tak by o tym nie wiedział. W tej sytuacji nie wiedział, jak zareagować. Może powinien odwrócić się i po prostu wyjść, żeby jak najprędzej wystawić przed dom jej walizki, które zresztą i tak były ciągle częściowo spakowane. Zawahał się jednak, zwłaszcza że Luisa błagała o przebaczenie.

– Proszę cię, wybac mi. Byłam głupia, nie wiedziałam, co zrobić. Bardzo się wstydziłam tego, co zrobiłam. A moja mama rzeczywiście tego dnia zachorowała, wzięto ją do szpitala na obserwację, bo istniało ryzyko, że umrze.

Roman nie mógł się zdecydować, co powinien zrobić. Pomyślał o Tomaszu, który cieszył się na możliwość uczestniczenia w egzotycznej uroczystości. Tylko z powodu głupiego zachowania i kłamstw Luisy nie chciał odbierać mu przyjemności poznania meksykańskiej kultury. Uderzyła go też myśl, że mimo wszystko ciągle kocha tę kobietę.

– Dobrze, porozmawiamy o tym później. A teraz chodźmy, przedstawię ci mnie twojej mamie! – wziął ją za rękę i weszli na salę.

Pomieszczenie było olbrzymie. Goście siedzieli przy dziesięcioosobowych stołach, przy których kręciło się dużo kelnerów. Stoły zastawione były przystawkami. Znajdowały się też na nich butelki wina i tequili. Nie brakowało też coca-coli, sprite'a i innych bezalkoholowych napojów. Kelnerzy podawali wina i inne typy alkoholi na indywidualne zamówienia.

Roman z Luisą zostali posadzeni przy stole z dalszą rodziną matki dziewczyny. Tomasz siedział przy innym stole w towarzystwie grupy osób w podobnym do niego wieku. Wszyscy mężczyźni byli w garniturach, kobiety

w wieczorowych sukniach.

Przy stole Luisy i Romana siedziały tylko pary. Panowała radosna atmosfera. Wyglądało na to, że Luisa wszystkich znała. Widać też było, że jest przez wszystkich lubiana. Roman, którego Luisa przedstawiła kolejno każdej parze, szybko został uznany za swojego, gdy tylko wypił kolejkę z każdym z obecnych mężczyzn. Ponieważ nie przepadał za tequilą, zamówił i wypił cztery porcje whisky. Wiedział, że u Meksykanów, podobnie jak u Polaków, nie wykpiłby się winem.

Obiad został podany z pompą: grupy po dziesięciu kelnerów, ustawionych według wzrostu, wchodziły przez drzwi kuchenne w rytm marszu granego przez orkiestrę, dźwigając dania na dłoniach trzymany na wysokości ramienia – na początek wazy z zupą, później tace z głównymi daniami nałożonymi już na talerze.

Roman nie mógł przestać myśleć o kłamstwie Luisy. Fakt, że skłamała tak perfidnie, poruszył go bardzo. Jednak, co było zgodne z jego naturą, próbował znaleźć dla niej wytłumaczenie. „Zachowała się głupio i absurdalnie, ale była wtedy przecież pijana i poruszona chorobą matki” – myślał. Mimo to nie umiał przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego. Kłamstwo było zbyt perfidne, wypowiedziane w określonym celu, więc Roman stwierdził ostatecznie, że nie może tego tak zostawić. Żeby się uspokoić, po obiedzie i przemówieniach na cześć jubilatki poprosił Luisę o chwilę rozmowy na osobności. Posłuszenie poszła za nim, a w jej oczach i całej postawie widać było napięcie i strach. Zatrzymali się w kącie w korytarzu.

– Musisz wiedzieć, że brzydzę się kłamstwem – zaczął. – Sam nigdy nie kłamię i oczekuję, że bliskie mi osoby również nie będą tego robić. Toteż dla mnie to, co się zdarzyło, jest czymś ohydny. Jednak dopuszczam taką możliwość, że z uwagi na różnice kulturowe między nami możemy przykładać różną wagę do kłamstwa. Wiedz jednak, że dla mnie to jest sprawa niezwykle ważna i jeżeli mamy dalej być razem, nie możemy dopuścić kłamstw do naszego związku. Chcę jednak zakończyć całą sprawę, więc proponuję, żebyś jak najszybciej udała się w towarzystwie Tomasza do swojej mamy i wyznała jej to wszystko. Proponuję, żebyście pojechali do niej jutro wieczorem, po odespaniu tej imprezy.

Manito czuł się znudzony. Od przeszło dwóch godzin stał przy drzwiach wejściowych do sali przyjęć i sprawdzał zaproszenia wchodzących osób. Zajęcie wymagało uwagi. Wszyscy goście trzymali zaproszenia w ręku, a ci z dziećmi niepytani wskazywali miejsce w tekście potwierdzające, że dzieci są również zaproszone.

Robota nie była zła, a w jego obecnej sytuacji nawet bardzo przydatna. Manito był ważną figurą w kartelu La Familia. Ostatnio został oddelegowany na

trzy miesiące do Meksyku, żeby ocenić możliwości rozszerzenia biznesu na stolicę. Został mu już niecały miesiąc do powrotu. Dla kamuflażu na ten trzymiesięczny okres podjął się pracy ochroniarza w przedsiębiorstwie Security Guard sa de cv. Pracował dorywczo, zarabiając za określone zlecenia. Ochrona tego przyjęcia przyniesie mu osiemset pesos, a zabierze mu tylko kilka godzin wieczorem. Uważał, że tego typu fucha była miłą odmianą w jego życiu. „Tak, obserwowanie tych wszystkich ludzi odstawionych w garnitury i wieczorowe suknie to zdecydowanie miła odmiana w moim monotonnym życiu” – pomyślał. Ze szczególnym zainteresowaniem obserwował kobiety. Był po czterdziestce i czuł, że już najwyższa pora, żeby założyć rodzinę. Może więc nie tyle czuł się znudzony, co zniechęcony. Większość przybyłych kobiet była albo matronami, albo piętnastoletnimi dziewczynkami. Trudno zresztą było spodziewać się czegoś innego, przecież była to uroczystość z okazji piętnastej rocznicy urodzin. Na pewno zaproszono wszystkie koleżanki, kuzynki i inne ciotki i pociotki dziewczynki.

Te dwa miesiące na wygnaniu pozwoliły Manitowi uważnie przyjrzeć się swojemu życiu. W siedzibie kartelu zawsze było pełno dziewcząt, które jak ćmy do światła lgnęły do mężczyzn cieszących się sławą mafioso. W normalnym życiu Manito nie mógł więc narzekać na brak kobiet, jednak teraz zatęsknił za czymś lepszym, za kobietą z klasą. Dostyc już miał dziewcząt, nawet ładnych, które praktycznie każdej nocy przechodziły z rąk do rąk. Teraz, żyjąc poza kartelem, Manito marzył o czymś więcej. Posiadał ładny dom, mógłby więc założyć rodzinę. Ale lata mijały, a w jego życiu nic się nie zmieniało. Marzyła mu się kobieta właśnie taka jak te, które przyszły na przyjęcie. Niestety, większość obecnych tam kobiet, mimo że we właściwej grupie wiekowej, nie była dla niego. Przede wszystkim dlatego, że wyglądały jak matrony. Na dodatek były już zajęte. Praktycznie wszystkie przyszły w towarzystwie mężczyzny – jakiegoś dupka zadowolonego z siebie i ze swojego życia. „To będzie kolejny wieczór zmarnowanych szans” – pomyślał Manito ze smutkiem, gdy nagle pojawiła się kobieta, która pasowała do jego ideału. Jej wiek oszacował na nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Miała piękne czarne włosy do ramion i śliczne, duże, czarne oczy. Była niezbyt wysoka, szczupła. Miała na sobie biały dopasowany kostium, który podkreślał doskonałą figurę, taką, o jakiej marzą wszystkie kobiety. Była ucieleśnieniem jego marzeń. Przyszła w towarzystwie dwóch mężczyzn. Na zaproszeniu widniało jej nazwisko – na imię miała Luisa. Zaproszenie obejmowało również trzy osoby towarzyszące. Jeden z mężczyzn był zdecydowanie po pięćdziesiątce, drugi był młody, przed trzydziestką, trzecia osoba nie przybyła. Mimo że czuł się bardzo poruszony, Manito obojętnie wpuścił trójkę gości na przyjęcie. Zaczął myśleć, że dla niego będzie to jednak udany wieczór. Zobaczyć taką kobietę – to dowód, że jego ideał istnieje i było tylko kwestią czasu, kiedy go spotka. A może uda mu się poderwać właśnie tę kobietę? To się jeszcze okaże. Jak

na razie nie było okazji, aby to sprawdzić. Zobaczył co prawda tę kobietę wkrótce ponownie, ale była w towarzystwie tego starszego mężczyzny. Stali w korytarzu niedaleko od niego i o coś się kłócili. Czuł, że jego szanse na podryw wzrosły. Widział ich, jak wracali. Mężczyzna był poirytowany, kobieta smutna. Była to chyba jedna z nielicznych kobiet, którym było do twarzy ze smutkiem. Manito, który miał zwyczaj nadawania znaczących imion ludziom, których poznał, zdecydował, że będzie nazywał tę kobietę Smutną. Sprawdził godzinę na swoim zegarku. Było już po dwudziestej. Miał przykazane zamknąć drzwi na klucz o ósmej wieczorem. Był już czas. Wyszedł na zewnątrz, by zapalić cygaretkę. Zamknął za sobą drzwi. Czekala go długa sobotnia noc. Było już całkiem ciemno. „Nic dziwnego” – pomyślał, był już jedenasty września, a o tej porze roku dni były krótkie.

Tego wieczoru widział Smutną jeszcze kilka razy, chociaż niezbyt często, ponieważ po zakończeniu dyżuru przy drzwiach został skierowany do wydawania alkoholi kelnerom. Pozostawał więc w odosobnieniu, na zapleczu głównych wydarzeń. Dopiero pod koniec wieczoru szef skierował go do pilnowania porządku na sali. Wtedy to mógł obserwować Smutną bardziej dokładnie. Odkrył, że ma przeuroczy uśmiech, zobaczył też, że ma bardzo zgrabne nogi. Później widział ją jeszcze, jak wychodzi z przyjęcia w towarzystwie obu mężczyzn. Mimo że nie udało mu się jej poderwać, ta kobieta zmieniła jego nudny dzień w przyjemne przeżycie. Ba, zmieniła cały nudny tydzień. Marzył, by kiedyś jeszcze ją spotkać.

Luisa, co prawda niechętnie, lecz przystała na rozwiązanie zaproponowane przez Romana. Tomasz, który mówił biegle po hiszpańsku, również zgodził się z nią pojechać. Po powrocie z wizyty potwierdził, że Luisa wyznała mamie całą prawdę o zaistniałej sytuacji. Roman podziękował Tomaszowi za przysługę i uznał całą sprawę za zamkniętą.

Od czasu wycieczki do Huamantli stosunek Luisy do Tomasza zmienił się diametralnie. Przestała już zabiegać o jego względy, tak jak to miało miejsce na początku. Mało tego, coraz częściej mówiła o nim nieprzychylnie.

– Dlaczego pozwalasz na to, żeby dorosły syn mieszkał razem z tobą? – mówiła często. – Czy nie uważasz, że jest już najwyższa pora, by odciąć pępowinę?

Po kilku próbach nawiązania przez nią rozmowy na ten temat Roman uświadomił sobie, że w jej przekonaniu Tomasz stanowi zagrożenie. Odbierał uwagę jej ukochanego mężczyzny, zabierał też przestrzeń życiową, która w innym przypadku przypadłaby Juanowi i jej. Toteż mimo że naciski z jej strony stawały

się coraz częstsze, mimo że często kończyły się awanturą, Roman i tak nie zgadzał się na jakąkolwiek dyskusję na temat obecności Tomasza w jego domu.

Jak do tej pory ani jeden miesiąc ich związku nie upłynął w spokoju. Awantury zaczęły się zdarzać z pewną regularnością i na dobre zagościły w ich życiu. Zaczęły się też kłótnie z ciskaniem przedmiotami. Zdarzyło się nawet, że Luisa w złości rzuciła o ścianę swoim laptopem. Z najbardziej spektakularnych scen Roman zapamiętał tę, podczas której Luisa potłukła wyroby z drogiego kryształu Swarovskiego. Gdy wprowadzili się do nowego domu, w sypialni zastali przeszkloną, podświetlaną gablotę, idealną do wyeksponowania jakichś pięknych przedmiotów. Po pewnym czasie Luisa wypełniła ją kryształowymi ozdobami, które kupiła za własne pieniądze. W czasie jednej z awantur rzuciła na podłogę i stłukła jedną z ozdób. Roman, który stał obok gabloty, podał jej następną. Zaskoczona przestała się na chwilę awanturować, ważąc przedmiot w rękę. Po chwili jednak rzuciła nim o podłogę, rozbijając na drobne części. Podał jej następną – spotkał ją taki sam los. W ten sposób pozbyli się całej kolekcji. Musiał jednak przyznać, że w tym szaleństwie była metoda. Luisa zazwyczaj niszczyła przedmioty, które uznawała za swoje.

Roman zauważył przy tym duże zmiany nastrojów Luisy. W jednym momencie potrafiła z cudownej partnerki i kochanki albo wyrafinowanej szefowej kuchni, która właśnie przygotowywała wyśmienity posiłek, przekształcić się w osobę posępną i agresywną. Zmiana ta zazwyczaj następowała bardzo gwałtownie i uwidaczniała się na jej twarzy. W jednej chwili widziało się piękną, młodą twarz z miłym uśmiechem, której nie można było dać więcej niż dwadzieścia kilka lat, a już w następnej widziało się ponure spojrzenie i zwiędłą twarz starej kobiety. Romana zawsze zadziwiała i jednocześnie w pewien sposób fascynowała ta metamorfoza. Co więcej, gdy w grę, oprócz zwyczajnej złości, wchodziła jeszcze agresja, twarz Luisy przypominała bardziej wiedźmę niż młodą kobietę. Przy okazji jednej z takich awantur Roman zastanawiał się nawet, czy to właśnie takie kobiety jak ona były w średniowieczu palone na stosie. Na szczęście jednak tak drastyczne zmiany w jej wyglądzie nie zdarzały się często. Wyglądało też na to, że Luisa zdawała sobie sprawę ze zmienności swojego nastroju, bo któregoś dnia sama zaczęła na ten temat rozmowę. Powiedziała Romanowi, że tego dnia poszła do psychiatry i opowiedziała mu o swoich agresywnych wybuchach. Lekarz powiedział jej, że cierpi na zaburzenia afektywne dwubiegunowe.

– Przykro mi z tego powodu. Chciałabym móc się kontrolować, bo nie chcę cię utracić – powiedziała, tuląc się do niego. – Kocham cię i nie mogłabym żyć bez ciebie – dodała.

– Spróbujemy sobie jakoś z tym poradzić – odpowiedział. – Zawsze możesz

liczyć na wsparcie z mojej strony.

Mówiąc o wsparciu, nie rzucał słów na wiatr. Wiele razy obserwował, jak Luisa stara się opanować. Nie był zdziwiony, że poszła do lekarza. Widział, że stara się być kochającą i szanującą partnerką. To wszystko wzbudzało w nim tkliwość i chęć pomocy, jakkolwiek świadom był, że niewiele może zrobić. Za to Luisa chcąc pomóc zarówno sobie, jak i ich związkowi, czepiała się każdej deski ratunku. Zaproponowała nawet, by poszedł z nią do hipnotyzera. Miała nadzieję, że taka wizyta pomoże jej lepiej kontrolować emocje. Niestety, zawiodła się, gdyż nie udało im się znaleźć żadnego specjalisty, który by się zajmował tego typu przypadkami.

Luisa coraz natarczywiej dopominała się, żeby wzięli ślub. Na kilka tygodni przed świętami Bożego Narodzenia zakomunikowała Romanowi, że mimo zabezpieczenia zaszła w ciążę. Według jej obliczeń był to już trzeci miesiąc. Ponieważ planowali zaprosić całą jej rodzinę na uroczystą kolację wigilijną w polskim stylu, zaproponowała, żeby wykorzystać tę okazję dla ogłoszenia zaręczyn. Od tego dnia zaczęła zachowywać się jak osoba w zaawansowanej ciąży. Poruszała się powoli i ostrożnie, do łóżka kładła się z przesadną ostrożnością, stała się całkowitą abstynentką, a do domu przynosiła najprzeróżniejsze preparaty zalecane ciężarnym kobietom. Fakt bycia w ciąży niemal natychmiast ogłosiła wszystkim wspólnym przyjaciołom.

Dla Romana zachowanie to wydawało się bardzo podejrzane – będąc w trzecim miesiącu ciąży, nie miała najmniejszego zaokrąglenia brzucha ani powiększonych piersi, a przez ostatnie dwa miesiące nie zauważył u niej żadnych dolegliwości związanych z początkiem ciąży, tak męczących przyszłe matki: ani nudności, ani wymiotów, ani senności czy bólów głowy. Ponieważ zgodnie z obliczeniami Luisy, czwarty miesiąc zaczynał się w połowie grudnia, zaproponował więc, żeby jeszcze przed świętami zrobić pierwsze badanie USG, jednak Luisa się nie zgodziła. Roman postanowił więc poczekać z oświadczeniami do czasu, aż badanie zostanie zrobione. Wściekła się, gdy jej to zakomunikował. Mimo braku przekonania co do realności ciąży, postanowił na wszelki wypadek kupić pierścionek. Uważał, że raczej nie powinien kupować jej z diamentem, wybrał więc pierścionek z białego złota z podłużnym szmaragdem, elegancko oprawionym w złotą otoczkę i ozdobionym brylancikami. Była to piękna i kunsztownie wykonana biżuteria. Pierścionek zapakowany w elegancką drewnianą szkatułkę wręczył Luisie jako prezent gwiazdkowy w czasie wigilijnej kolacji. Jednak mimo że ukochana nie omieszkała zakomunikować rodzinie, że jest w ciąży, on ani słowem nie wspomniął o zaręczynach.

Kolacja upłynęła w bardzo miłej atmosferze. Gościom, z których większość

po raz pierwszy próbowała śledzia i karpia, bardzo smakowały polskie dania. Z ochotą próbowali również zmrożonej polskiej żubrówki, także tej zmieszanej z sokiem jabłkowym. To połączenie uznano powszechnie za wyśmienity drink. Ku zdziwieniu Romana Luisa wypła kilka kieliszków wina. Zachowywała się poprawnie i z dużą elegancją pełniła honory pani domu. Wszyscy w wesołych nastrojach z chęcią kosztowali dań i drinków, nic dziwnego zatem, że kolacja przeciągnęła się prawie do rana i goście wyszli dopiero po czwartej. Wkrótce po wyjściu ostatnich gości, gdy Roman pomagał *muchachy* sprzątać ze stołu i chować pozostałe jedzenie, Luisa wtargnęła do kuchni z wielką awanturą i obelżywymi wyzwiskami.

– Mam gdzieś twój pierścionek! – wrzeszczała i z całej siły rzuciła kasetką o ścianę, pod wpływem czego pękła, a pierścionek wypadł i potoczył się po podłodze. – Nie ma zaręczyn, nie jest więc potrzebny pierścionek! – krzyczała, próbując zgnieść biżuterię podeszwą buta.

Trzy dni później w środku nocy wybiegła do łazienki, wrzeszcząc, że ma krew na udach. Roman również podniósł się z łóżka i przez zamknięte drzwi łazienki spytał, czy nie trzeba wezwać pomocy.

– Odejdź stąd, ty bandyto! To twoja wina! – wrzeszczała. – Przez ciebie poroniłam!

Wróciła do łóżka po półgodzinie, szepcząc pod nosem:

– Moje biedne dzieciątko, moje biedne dzieciątko... Zabiłeś je, ty bandyto! – oskarżała Romana.

Tydzień później jeszcze raz poruszyła kwestię ciąży. Powiedziała mu, że zrobiła badanie USG, które wykazało, że była w ciąży z bliźniakami i – na szczęście – straciła tylko jedno dziecko.

– To super – odpowiedział Roman, jednak jego mina wskazywała na to, że jej nie wierzy. – Proponuję, żebyśmy poszli jutro razem do lekarza, którego ja wybiorę, żeby przeprowadził badanie w mojej obecności.

Rozpląkała się. Więcej kwestii ciąży nie poruszała.

Z końcem stycznia wygasł kontrakt Luisy w firmie. Jako dyrektor okazała się bardzo konfliktowa i poczyniła tak wiele błędów, że właściciele zdecydowali nie przedłużać jej umowy o pracę. Ponieważ nie zaproponowali jej żadnego innego stanowiska, Luisa musiała odejść. Przez kolejne dwa miesiące nie znalazła żadnej pracy, zaczęła więc rozważać założenie własnego przedsiębiorstwa importowo-eksportowego. Roman uważał, że jest to dobry pomysł. W końcu stworzyła już jedną firmę od podstaw, powinno jej zatem pójść o wiele łatwiej z utworzeniem drugiej. Zgodził się finansować to przedsięwzięcie w wysokości do pięćdziesięciu tysięcy dolarów, w zamian za pięćdziesiąt jeden procent udziałów

w spółce. Korzystając ze wsparcia finansowego, Luisa zabrała się z zapałem do pracy. W ciągu dwóch tygodni od momentu zarejestrowania przedsiębiorstwa miała już własne biuro, całkowicie wyposażone w wymagany sprzęt, zatrudniła dwoje ludzi oraz miała dwóch stałych i całkiem pokaźną listę potencjalnych klientów.

Jednak dla Romana zaczęły się trudne dni. Coraz częściej łapał Luisę na kłamstwach. Coraz częściej robiła mu też sceny zazdrości bez jakichkolwiek powodów. Przypomniał sobie scenę, którą mu zrobiła w restauracji, bo jakaś kobieta podobno na niego spojrzała. Było to tym bardziej absurdalne, bo poza Luisą on nie zauważył tam żadnej innej kobiety. Ale szczytem wszystkiego było przejęcie przez Luisę należącego do Romana konta mailowego na Yahoo. Coraz częściej czyniła mu też awantury o Tomasza, aż w końcu, dla świętego spokoju, w kwietniu Roman oddelegował go na pół roku do pracy w Europie. Przez kolejne miesiące ich związek szybko się rozpadał. Próbuąc go ratować, na początku lipca Roman zabrał Luisę na dwutygodniową wycieczkę do Polski i Tunezji. Miał to być bardzo atrakcyjny wyjazd. W Polsce Roman planował pokazać jej Warszawę, Toruń, Bydgoszcz, Biskupin i Poznań oraz proponował wycieczkę na Saharę.

Ta ostatnia próba ratowania ich związku nie powiodła się. Historia zmiany haseł na internetowym koncie mailowym i bankowym całkowicie podważyła zaufanie Romana do Luisy. Mimo że w czasie wycieczki Luisa sprawiała wrażenie szczęśliwej, jej zachowanie po powrocie do Meksyku nie zmieniło się. Toteż po pierwszej bezsensownej awanturze Roman polecił jej się wyprowadzić. Ponieważ nie bardzo miała gdzie się wynieść, jako tymczasowe rozwiązanie zaproponował jej, żeby zainstalowała się w pokoju Tomasza aż do czasu znalezienia nowego lokum. Luisa na początku nie chciała o tym słyszeć, ostatecznie jednak, pod koniec lipca wyniosła się ze wspólnej sypialni, a następnie wyprowadziła się całkowicie z domu w ostatnim tygodniu września. Żeby jej to umożliwić, Roman opłacił jej wynajem atrakcyjnego mieszkania do końca roku oraz pożyczył jej na trzy miesiące auto i podarował trzydzieści tysięcy dolarów. Ponadto opłacił jej hotel za cały ostatni tydzień września.

Musiał przyznać, że Luisa była bardzo pomysłowa w walce o pozostanie w jego domu. Trzeciego dnia po wyprowadzce do hotelu nagle otrzymał telefon od *muchachy* (pomocy domowej), która mówiła, że pani leży w łóżku chora i potrzebuje, żeby pan zapłacił za butlę tlenu, którą zamówiła. Szybko wrócił do domu. Luisa rzeczywiście leżała w jego łóżku. Miała na twarzy maskę tlenową, która była podłączona do stojącej obok łóżka wysokiej butli. Dopiero groźba Romana, że zadzwoni do szpitala po doktora, żeby ją zbadał i, w przypadku kłamstwa, poprosi go o umieszczenie jej w szpitalu psychiatrycznym,

poskutkowała. Luisa szybko ozdrowiała i opuściła jego dom, pozostawiając butlę z tlenem. Tego samego dnia Roman zwolnił muchacę za to, że wbrew jego zakazowi, wpuściła Luisę do domu.

Z rozmyślań wyrwał go głos kapitana, nakazującego zapięcie pasów, złożenie stolików i ustawienie foteli w pozycji siedzącej. Spojrzał na zegarek – była dwunasta trzydzieści, pozostało jeszcze pół godziny lotu do Paryża. Czuł, jak samolot zwalnia i obniża wysokość.

ROZDZIAŁ 5

Piątek, 19 listopada 2010, godzina 15:30 CEST

Popołudniowy lot Air France z Paryża do Warszawy obsługiwał duży samolot typu Airbus A320. Do Warszawy pozostał Romanowi jeszcze około dwugodzinny lot.

Zaraz po starcie stewardesa podała podwieczorek. Poprosił o kawę. Zjadł kanapkę, popijając sokiem pomarańczowym, po czym zamknął oczy i, delektując się kawą, oddał się marzeniom.

Leciał do Polski na spotkanie, jak wierzył, kobiety swojego życia. Miał nadzieję, że będzie czekała na niego na lotnisku. Mimo zmęczenia wynikającego z zarwanej nocy, był podekscytowany. Zawsze tak reagował na myśl o Jowicie – wydawała się stworzoną dla niego przysłowiową drugą połówką jabłka. Poznał ją na portalu internetowym cafegazeta.pl, gdy zniechęcony i rozczarowany związkiem z Luisą zdecydował się zrezygnować z egzotycznych dziewczyn i szukać partnerki w Polsce.

Założył konto na tym portalu jakieś trzy miesiące po rozstaniu z Luisą. Miał sporo doświadczenia w randkach internetowych. Samotny od ponad dziesięciu lat, po rozstaniu z żoną poszukiwał partnerki na resztę życia właściwie wyłącznie przez Internet. Wkrótce po rozpadzie małżeństwa zwolnił się z dużej firmy i zaczął pracować na własne konto. Firma, którą założył wraz z trzema partnerami, tworzyła złożone oprogramowanie do automatycznej optymalizacji sieci telefonii komórkowej. Oprócz partnerów firma zatrudniała tylko jednego pracownika. Każdy ze współwłaścicieli pracował we własnym domu. Jego opustoszały po rozpadzie rodziny dom został zaadaptowany na główną siedzibę firmy. Siłą rzeczy Roman spędzał więc większość czasu w domu, całymi dniami nie widując innych ludzi. Nie miał ani czasu, ani możliwości, żeby poznać jakąś interesującą kobietę. Randkowe strony internetowe były więc jedynym sposobem zawierania znajomości z płcią przeciwną. Używał głównie dużych, płatnych, często drogich stron, takich jak [lovealife](http://lovealife.com) lub match.com.

Z początku wykazał się dużą naiwnością. Zdarzało mu się lecieć na randkę w ciemno z Montrealu do Calgary albo jechać samochodem prawie czterysta mil z Montrealu do New Jersey w Stanach Zjednoczonych. Oba te spotkania okazały się wielkim niewypałem, z czasem nabrał jednak doświadczenia. Odkrył, że za internetowymi ofertami kryje się wiele fałszu. Fotografie większości kobiet miały często więcej niż dwadzieścia lat albo przedstawiały zupełnie inne osoby. Ponadto spora liczba kobiet ujmowała sobie wieku. On sam konsekwentnie przedstawiał siebie takim, jakim jest, nie ukrywając ani wieku, ani statusu matrymonialnego, ani swojej pozycji socjalnej. Szybko też zauważył, że kobiety wierzą w autentyczność jego ogłoszenia. Zauważył też, że najczęściej interesowały się nim kobiety eleganckie,

które oczekiwały, iż zapewni im utrzymanie wysokiego standardu życia, do którego przywykły, albo ładne kobiety młodsze, które oczekiwały, iż pomoże rozwiązać im jakieś problemy, najczęściej natury finansowej, w których się znalazły. Sam czuł się człowiekiem wolnym, bez jakichkolwiek zobowiązań, czy to finansowych, czy rodzinnych, bez konieczności udowadniania czegokolwiek sobie czy innym osobom. Miał sześćdziesiąt dwa lata i na koncie dużą kwotę zaoszczędzonych pieniędzy, która nawet przy inflacji zapewniała mu luksusowe życie bez konieczności zarobkowania przez następne dwadzieścia kilka lat. Spokojnie mógł wydawać do czterech tysięcy dolarów miesięcznie, co w większości krajów na świecie jest kwotą wystarczającą na zapewnienie wysokiego standardu życia oraz podróżowanie, pod warunkiem że nie będzie się inwestowało w domy i samochody. Poza tym był właścicielem firmy, która posiadała w swojej ofercie sprzedaży oprogramowanie warte kilka milionów dolarów. Tylko jedna sprzedaż pozwoliłaby mu zatem na nawet dziesięciokrotne zwiększenie kwoty miesięcznej na dwudziestoletnie wydatki. A cały sztab ludzi wytrwale pracował nad sprzedażą.

Roman posiadał w Polsce niewielkie, ale luksusowo urządzone mieszkanie. Nie istniała więc potrzeba, żeby kupować czy wynajmować jakieś lokum. Nie widział też konieczności, żeby zmienić mieszkanie. Na pewno nie musiał go zamienić na większe lub wolnostojący dom. Jeśli chodzi o samochód, od osiemnastu już lat stosował długoterminowy – dwu- lub trzyletni – wynajem aut, co pozwalało mu na częstą zmianę marki oraz zapewniało posiadanie zawsze nowego auta, które na dodatek miało mały przebieg na liczniku. Zamierzał też nadal się tego trzymać. Co więcej, rozważał również możliwość wynajmu krótkoterminowego, wypożyczając auto tylko na weekendy albo tylko wtedy, gdy zajdzie taka potrzeba. Zamierzał też częściej używać taksówek, które na krótki okres okazywały się łatwiej dostępne, wygodniejsze, a nawet tańsze od wynajmowania samochodu. Nie, posiadanie auta oraz domu lub supermieszkania nie było na liście jego priorytetów. Te rzeczy praktycznie nic nie znaczyły w jego aktualnym systemie wartości. I tak nie da się ich zabrać na drugą stronę płyty grobowej.

Pamiętał historię jednej bezdzietnej ciotki, która po owdowieniu odziedziczyła sporą rentę we frankach francuskich oraz duży majątek z kilkoma zobowiązaniami na rzecz członków rodziny zmarłego męża. Mimo podeszłego wieku, ciotka zdecydowała się nic nikomu nie płacić i swego nie odpuściła. Zabezpieczona finansowo okazałą emeryturą, tak długo sądziła się z każdym z innych spadkobierców, aż zubożały, zmęczony lub uniesiony honorem rezygnował ze swojej części spadku. W międzyczasie leciwa już ciotka nawiązała romans ze starszym sąsiadem – razem hodowali świnie. Jednak wkrótce po zrzeczeniu się spuścizny przez ostatniego ze spadkobierców ciotka zachorowała

i wylądowała w szpitalu. Nigdy już z niego żywa nie wyszła. Na łożu śmierci zapisała cały majątek swojemu partnerowi, który zresztą był jedyną osobą obecną przy jej śmierci. W testamencie ciotka zastrzegła jednak, że ma być pochowana obok swojego zmarłego męża w grobowcu, który wcześniej kazała wybudować. Był to największy i najładniejszy grobowiec na cmentarzu, usytuowany w samym jego centrum. Wyglądał imponująco – zbudowany z ciemnego marmuru, z dwiema nagrobnymi tablicami z białego marmuru, które złotymi literami głosiły światu, że ciotka i wujek są tam pochowani. Trzeba przyznać, że partner od świni się wykazał. Dodatkowe marmurowe tablice były jego inicjatywą. Niestety, wkrótce potem i on zmarł. Jego rodzina, która dzięki majątkości ciotki bardzo się wzbogaciła, bez najmniejszych skrupułów sprzedała grobowiec. Ciało ciotki i wujka zostały przeniesione do nowego grobu w głębi cmentarza, tuż pod płotem. Z początku obie marmurowe tablice znalazły się na tym grobie. Jednak po kilku tygodniach obie zniknęły i, przypuszczalnie, służyły innym duszom na cmentarzu. Zdarzenia te miały miejsce kilka lat wcześniej. Dzisiaj trudno by było odszukać grób ciotki i wujka. Przypuszczalnie został rozdeptany, a może zasypany zwałem śmieci.

Roman nie chciał gromadzić dóbr. Pod tym względem zgadzał się z bezdomnymi milionerami, którzy pojawiają się na świecie coraz liczniej. Jakiś czas temu czytał o jednym z nich, który po rozwodzie sprzedał wszystkie dobra z wyjątkiem rzeczy osobistych, wynajął całe najwyższe piętro hotelu w Nowym Jorku, wypożyczył na długi okres limuzynę z kierowcą i żył w komforcie bez zmartwień i jakichkolwiek przymusów – nie musiał się martwić o utrzymanie i wygląd domu czy floty samochodów, jak również nie miał zmartwień związanych z zarządzaniem służbą. Dla Romana miało to sens. Chociaż sam nie był w stanie pozwolić sobie na taki luksus, postanowił jednak równie maksymalnie uprościć swoje życie. Zamiast posiadania dużego domu czy mieszkania, domów lub mieszkań, postanowił jak najczęściej podróżować i korzystać z hoteli. Uznał, że istotne wydarzenia kulturalne, takie jak opera, operetka, kabarety, ciekawe spektakle teatralne i muzyczne czy festiwale oraz zwykłe zwiedzanie będą stanowiły doskonałe cele i zasadne powody do podróżowania. Życ z kulturą i dla kultury – to miało być jego motto na kilka najbliższych lat. Szpanowanie wyjątkową marką samochodu już go nie kręciło. Postanowił, że jeśli będzie potrzebował samochodu, to po prostu wynajmie takie auto, na jakie będzie miał ochotę. W miarę możliwości będzie jednak jak najczęściej korzystał z samolotów, kolei i taksówek. W jego przekonaniu przelot samolotem czy przejazd pierwszą klasą pociągiem zakończone dojazdem taksówką do celu na dłuższej trasie dawało o wiele więcej komfortu niż jazda samochodem: w samolocie i pociągu przynajmniej było się pasażerem i można było czytać.

Od czasu rozwodu jego była małżonka, Beata, już dwa razy wyszła za mąż. Obecnie była żoną dolarowego milionera, trzydzieści lat starszego od niej

i wreszcie całkowicie się od niego finansowo uniezależniła. Ciekawy jest fakt, że pierwszy następca Romana (mąż numer dwa) po sześciu latach spędzonych z Beatą zbankrutował z hukiem i stracił przeszło półtora miliona dolarów. Widać było, że gotów był zrobić wszystko, żeby ją zdobyć i uszczęśliwić. I zrobił, chociaż z bardzo złym skutkiem – został porzucony tego samego dnia, kiedy komornik zajął jego nowo wybudowany dom.

Roman uważał, że każdy mężczyzna, w odniesieniu do kobiet, ma swój kaliber. Mąż numer dwa poza potężną fizyczną posturą był małego kalibru. Gdy poznał Beatę, był kierownikiem trzyosobowego biura kredytowego, którego zadaniami było z jednej strony udzielać pożyczek, z drugiej zaś nękać dłużników. Kierownicza pensja była tam niewielka, toteż stać go było zaledwie na mały domek, mały stary samochód oraz nieciekawą żonę. Biedak miał pecha, bo eksmałżonka Romana była przyzwyczajona do luksusów: mieszkała w dużym domu, jeździła dużym volvo, była współwłaścicielką dużej agencji podróży i była bardzo zadbaną oraz szykownie i drogo ubraną kobietą. Aby utrzymać taką kobietę, potrzeba miesięcznie kilku tysięcy dolarów, a tyle mąż numer dwa nie zarabiał. Toteż nie miał wyboru, jak rzucić pracę i zająć się robieniem interesu. Właśnie ta decyzja zakończyła się tak bardzo opłakanym skutkiem.

Roman ciągle czuł się odpowiedzialny za swoją byłą małżonkę. Dlatego największym jego zmartwieniem było to, by mąż-milioner również nie zbankrutował. Nie bardzo wierzył w inspirujący wpływ kobiet na powiększanie majątku przez mężczyzn. Już bardziej wierzył w powiedzenie, że jest tylko jedna możliwość, żeby kobieta uczyniła z męża milionera: tylko wtedy, gdy mąż wcześniej był miliarderm.

Jego dzieci – syn i starsza córka – były już dorosłe. Gdy Roman emigrował z Polski do Kanady, miał czterdzieści jeden lat, jego żona dwadzieścia sześć, a dzieci odpowiednio pięć i siedem lat. Wtedy był czas na posiadanie domu. Po roku pobytu w Kanadzie Roman wynajął więc duży dom na przedmieściu Montrealu, a po dwóch latach pobytu kupił siedmiopokojowy dom z basenem i ogrodem. Było go na to stać, pracował wtedy dla bardzo dużej korporacji działającej na całym świecie i był w grupie najlepiej opłacanych pracowników w Kanadzie. Po rozpadzie małżeństwa dzieci pozostały z nim. Chociaż już wtedy można je było uznać za w miarę dorosłe – miały odpowiednio szesnaście i osiemnaście lat – jednak chodziły jeszcze do szkoły, toteż Roman zdecydował się poświęcić dalsze trzy lata swojego życia na ich wychowanie. Był świadomy, że pozbył się największych wydatków związanych z utrzymaniem żony, dlatego zdecydował się zaryzykować – zwolnił się z korporacji i założył własną firmę. Za całkowicie zwolnionego z obowiązków rodzicielskich uznał się dopiero wtedy, gdy dzieci przestały uczęszczać do college'ów. Wtedy to pozbył się domu i ruszył w świat w pogoni za interesami. Przyrzekł sobie również nigdy więcej nie kupować

domu, a zwłaszcza domu z basenem.

Dla Romana relacje damsko-męskie nie ograniczały się tylko do romansu. Uważał, że romans pasuje ludziom młodym, którzy niewiele posiadają i zazwyczaj do związku nie wnoszą nic, z wyjątkiem deklaracji i nadziei: on, że będzie kochającym i troskliwym mężem i ojcem, będzie dbał o swoje zdrowie i kiedyś, dzięki nabytemu wykształceniu lub zaradności, będzie dobrze zarabiał; ona, że będzie dbała o męża i dzieci, o swoje zdrowie i urodę i będzie zaradną i troskliwą gospodynią. Chociaż Roman podejrzewał, że młodzi zaangażowani w romans wcale sobie nie uświadamiają, iż grają w swoistą loterię. Z drugiej strony wierzył, że nie może istnieć prawdziwy damsko-męski związek bez romansu, niezależnie od wieku. Przecież tych dwoje również w dojrzałej parze dzielą jakąś wspólną przestrzeń, zazwyczaj też śpią razem, wychodzą razem, oczekują wzajemnych pieszczot i wszystkiego tego, co robią młodzi, no może tylko poza płodzeniem dzieci. Ostatecznie dobieranie się kobiet i mężczyzn w pary lub angażowanie się w małżeństwo nie służy tylko prokreacji. Zdaniem Romana, żaden prawdziwy damsko-męski związek bez uczuć i romansu nie miałby sensu. Jednak przyznawał, że gdy młoda kobieta wiąże się z dużo starszym od siebie mężczyzną, słusznie powinna się spodziewać materialnego zabezpieczenia. Na świecie jest to całkiem powszechne, przy czym działa w obie strony – również w związkach, gdzie mężczyzna jest młodszy. Z drugiej strony, jako romantyk, Roman poszukiwał kobiety do stałego związku, która doceniłaby w nim fajnego faceta, która umiałaby kochać, a której on mógłby zaoferować w miarę bogate i ciekawe życie. Jej dziecko lub dzieci w tym względzie nie stanowiły żadnego problemu. Jednak do właściwego wyboru kobiety Roman przywiązywał bardzo duże znaczenie. Uważał, że nie da się zmienić dorosłego człowieka. Kierował się zasadą *What you see is what you get* (Co widzisz, to dostaniesz). A że sam uchodził za atrakcyjnego mężczyznę, istotne dla niego były i wygląd, i kultura osobista, i sposób ubierania, i sposób wysławiania, i seksapil kobiety. Bardzo ważne też było, żeby kandydatka miała klarowną sytuację matrymonialną. Nie interesowały go kobiety szukające przygód lub alternatywy dla mężczyzn, z którymi były związane. Szukał wdówki, rozwódki lub panienci bez, jak to mówią Amerykanie, szkieletów w szafie – innymi słowy, bez jakichś zobowiązań moralnych lub cywilno-prawnych oraz bez związków emocjonalnych z partnerami z przeszłości. Wypracował też swoją własną, w jego przekonaniu, dobrze sprawdzającą się metodę wyboru potencjalnej kandydatki na odległość, przez Internet. Po zapisaniu się na nową stronę internetową i założeniu konta, to znaczy po wpisaniu wymaganych danych oraz załączeniu kilku fotografii, zazwyczaj przez dwa tygodnie pozostawał bierny. W tym okresie odpowiadał na każdą propozycję kontaktu ze strony kobiet – albo odmawiając, jeśli nie była odpowiednia, albo wysyłając przyrzeczenie, że napisze w późniejszym czasie. W międzyczasie przeglądał oferty kobiet, które go

zainteresowały. Sam inicjował lub pogłębiał kontakt wyłącznie z kobietami, które zamieściły w swoich ofertach zdjęcia i które – według opisów – jak najbardziej odpowiadały jego wymaganiom. Po tej wstępnej eliminacji wybierał zazwyczaj nie więcej niż pięć kobiet, z którymi zaczynał korespondencję. Z każdą z kandydatek prowadził listownie indywidualny dialog, który albo nawiązywał do podanych przez nią w opisie informacji, albo też był związany z pytaniami lub wydarzeniami, o których pisała we wcześniejszych wiadomościach. Na dalszym etapie proponował wymianę aktualnych fotografii, których datę wykonania można było w jakiś sposób udokumentować. W trakcie tego procesu zazwyczaj udawało mu się wyeliminować część kandydatek, tak żeby na końcu pozostawało ich nie więcej niż dwie, które – według Romana – warte były poznania osobiście. Nie był to jednak łatwy proces. Spora liczba mężczyzn będących w aktualnych związkach, czy to z nudów, czy dla podbudowania swojego ego raczej zabawiała się w randkowanie w Internecie, niż szukała swojej drugiej połowy, z jednej strony tworząc sztuczną konkurencję, a z drugiej ogłupiając mniej doświadczone kobiety. Ponieważ zazwyczaj kadzili kobietom bez żadnych ograniczeń, wiele z nich nabierało fałszywego przeświadczenia o swojej wyjątkowości. Nie potrafiły oddzielić ziarna od plew i często traciły czas na uprzyjemnianiu życia sfrustrowanym oszustom.

Jednak metoda Romana całkowicie nie sprawdziła się w przypadku Jowity. W ofercie na cafegazeta.pl poza rokiem urodzenia nie podała żadnych innych informacji. Jej oferta zaintrygowała go użytym w niej pseudonimem – La Belle de Jour. Pamiętał francuski film z Catherine Deneuve w reżyserii Buñuela o takim tytule. Film przedstawiał historię pięknej żony bogatego arystokraty, która na co dzień znakomicie spisywała się w roli żony i arystokratycznej pani domu, podczas gdy nocami, kiedy nadarzała się jej sposobność, udawała się do podrzędnego burdelu, gdzie pracowała jako prostytutka, znana pod pseudonimem Piękność Dnia lub w oryginale La Belle de Jour. Z tym filmem zresztą zawsze kojarzył mu się dowcip, którego bohaterami była uboga para. Po długich namowach ze strony żony, młody mąż wreszcie zgadza się na to, żeby ta wyszła wieczorem z domu, by trochę dorobić. Żona wróciła nieco po północy bardzo z siebie zadowolona i położyła na stole całą garść pieniędzy. Mąż je przeliczył i powiedział: „Jest tego dwieście dwadzieścia cztery sześćdziesiąt. Rozumiem dwieście, mogę zrozumieć i dwadzieścia, ale skąd masz te cztery sześćdziesiąt?”. „No wiesz, różnie płacili – odpowiedziała żona. – Czasami też w nikłówkach lub miedziakach”. W ofercie Jowity właśnie pseudonim Piękność Dnia we francuskim brzmieniu zaintrygował Romana. Również sama oferta Jowity urzekła poetyckością i intrygowała tajemniczością. Zamiast opisu swojej osoby Jowita umieściła przerobiony fragment wiersza *Rozmowa liryczna* Gałczyńskiego:

Kochaj mnie w słońcu i przy blasku świec.

*Kochaj w kapeluszu i berecie.
W wielkim wietrze na szosie, i na koncercie.
W bzach i w brzozach, i w malinach, i w klonach.
I gdy śpię. I gdy pracuję skupiona.
I gdy jajko roztlukuję ładnie –
nawet wtedy, gdy mi łyżka spadnie.*

Mocno zaintrygowany Roman napisał więc do La Belle de Jour. Odpisała mu. W krótkim czasie całkowicie go oczarowała. Jowita nie była zwykłą kobietą. Po skończeniu studiów prawniczych w Polsce kontynuowała je na Sorbonie i w Harvardzie w Stanach Zjednoczonych. Wyszła za mąż za Amerykanina i zamieszkała w Stanach. Tam po uzupełnieniu studiów rozpoczęła pracę w dużym biurze adwokackim. Jakies dwa lata wcześniej, zanim nawiązała znajomość z Romanem, całą rodziną przenieśli się do Polski, gdzie Jowita zarabiała na życie jako tłumaczka. Podobnie jak on, Jowita mówiła biegle po francusku i angielsku. Fascynowała Romana pod każdym względem. Była bardzo odczytana i dobrze orientowała się w aktualnej sytuacji politycznej na świecie. Ponadto miała dużą wiedzę w zakresie psychologii. Cechowała ją też dobra znajomość historii świata, a szczególnie historii Stanów Zjednoczonych i Polski. Przede wszystkim jednak pasjonowała ją literatura piękna i poezja. Rozmowy z nią były wprost ucztą dla duszy Romana. Potrafili godzinami gawędzić na Skypie, zarywając noce z uwagi na siedmiogodzinną różnicę czasu między Meksykiem a Warszawą. Rozmawiali zwykle od późnego wieczoru do wczesnego ranka czasu polskiego. Niestety, Jowita nie miała kamery przy swoim komputerze, nie mogli więc siebie widzieć. Im dłużej trwała ich znajomość, tym Roman był coraz bardziej ciekawy, jak Jowita wygląda. Aktualne zdjęcia, które mu przysyłała, były fotografiami grupowymi i praktycznie na żadnym nie było widać dokładnie jej sylwetki. Dwa zdjęcia ukazujące ją całą były artystyczną wariacją odbić w dwóch lustrach znajdujących się w przyciemnionym korytarzu, więc też nie mógł jej wyraźnie obejrzeć. Trochę go to martwiło, bo w końcu wygląd kobiety był dla niego ważny. W kontraście do własnej mocnej budowy i niewielkiego brzuszka preferował kobiety filigranowe i szczupłe. I tak naprawdę chyba było to jedyne istotne fizyczne kryterium ważne dla niego przy wyborze partnerki. Nie omieszkał o tym powiedzieć Jowicie. Inną rzeczą, która go trochę martwiła, był matrymonialny status Jowity. Już na samym początku wyznała mu, że jest w trakcie rozwodu i w chwili obecnej mąż poszukuje mieszkania, by się wyprowadzić. Jednak po trzech miesiącach ciągle mieszkali razem. Roman nie lubił takich sytuacji i czuł się z tym źle. Jego zdaniem małżonkowie z rozbitego związku powinni się jak najszybciej rozdzielić. Uwierzył jednak Jowicie, że rozpad jej małżeństwa jest całkowity, a fizyczny rozdział był tylko kwestią czasu.

Podróż z Paryża do Warszawy odbyła się bez zakłóceń i samolot wylądował o czasie. Chociaż nie zostało to dokładnie sprecyzowane, Roman łudził się, że Jowita będzie na niego czekać na lotnisku. Nie mógł więc ukryć rozczarowania, gdy przy wyjściu z hali przylotów nigdzie jej nie zauważył. Od razu zwrócił uwagę na mężczyznę stojącego z tekturową tabliczką w ręku, na której widniało jego nazwisko. „Zawsze to miło, że ktoś czeka” – pomyślał Roman. Był to przedstawiciel firmy, od której Roman wynajął samochód. Ponieważ nie mieli garażu na miejscu, na prośbę klienta, o określonej godzinie, podstawiali samochód na lotnisko. Podeszedł do mężczyzny i razem udali się w kierunku parkingu, gdzie został zaparkowany jego wynajęty samochód. Było to BMW 530D. Roman wynajął samochód przez Internet. W zasadzie wybrał Volvo S80, ale okazało się, że samochód został wynajęty i będzie niedostępny przez kolejne dwa tygodnie. Właśnie na te pierwsze dwa tygodnie firma zaproponowała mu na zastępstwo bmw, które mieściło się w tej samej klasie co volvo. Przynajmniej w tym samym przedziale cenowym – obydwie były piekielnie drogie. Obydwie miały skórzane fotele, wbudowany GPS i czujniki wspomagające parkowanie. Roman generalnie nie przepadał za bmw, ale trudno było mieć zastrzeżenia do tego konkretnego modelu. Chyba tylko takie, że była to bardzo krowiasta maszyna – szerokie, długie i ciężkie auto – ale, jak większość samochodów tej marki, charakteryzowała się bardzo dużym przyspieszeniem i, jak się później Roman przekonał, jazda bmw sprawiała mu dużą radość.

Tego dnia Roman jednak nigdzie w dalszą drogę się nie wybierał. Po załatwieniu formalności dotyczących wynajętego samochodu od razu pojechał do hotelu. Planując pozostać w Warszawie przez kilka dni, aby móc nacieszyć się Starówką, wynajął pokój w hotelu Mamaison Hotel Le Regina Warszaw zlokalizowanym tamże. Był to niewielki, ale bardzo uroczy hotel, który Roman cenił sobie szczególnie za doskonałą kuchnię. Był też wysoko oceniany przez innych gości. Znajdował się w historycznym budynku i miał ładne wnętrza. Oferowano dania fuzyjne na bazie kuchni francuskiej. W hotelu znajdował się również elegancki lounge bar, w którym podawano wyszukane drinki. Mimo niewielkiego rozmiaru budynku, hotel posiadał basen, niedużą salę gimnastyczną i saunę. Roman znał ten hotel z poprzednich pobytów i bardzo go sobie chwalił. Niezależnie od doskonałej lokalizacji i luksusu pokoje oferowano w rozsądnych cenach. Również tym razem się nie zawiodł. Wziął apartament typu suit – z dużym salonem, dużą dwuosobową sypialnią i przestronną, ładną łazienką. Pokoje urzekały elegancją i czystością.

Zaraz po rozgoszczeniu się w hotelu Roman zadzwonił do Jowity. Odebrała po pierwszym sygnale. Najprawdopodobniej czekała na jego telefon. Nie wspomniała, dlaczego nie było jej na lotnisku i od razu zaproponowała spotkanie następnego dnia po południu, w pobliżu jej domu. Zapowiedziała, że wyśle SMS z nazwą ulicy i prosiła, żeby czekał na nią o czternastej pod kwaciarnią, która znajdowała się na końcu ulicy.

– Łatwo ją znajdziesz. To jest krótka ulica, na pewno zobaczysz ją, jak tylko wjedziesz na osiedle. Ulica się kończy i przechodzi w poprzeczną, kwaciarnia jest na rogu. Proszę, zaparkuj tam i na mnie czekaj. Powinam być punktualnie.

Czuł się rozczarowany, że musi czekać na spotkanie do następnego dnia do godziny drugiej po południu, ale rozumiał jej powody: uzasadniła, że nie może wyjść z domu ze względu na syna. Za to obiecała, że jutro poświęci Romanowi całe popołudnie.

– Postaram się wynagrodzić ci to oczekiwanie – dodała po chwili.

Ta obietnica złagodziła nieco jego rozczarowanie. Mimo to długo nie mógł tej nocy usnąć, wyobrażając sobie spotkanie z Jowitą następnego dnia. SMS doszedł w dwie minuty po zakończeniu rozmowy. Jowita mieszkała na nowym osiedlu na Ursynowie. Następnego dnia Roman wpisał nazwę kwaciarni z nazwą ulicy do GPS-a, który bezbłędnie doprowadził go do celu. Przybył na miejsce około piętnastu minut wcześniej.

Mimo że była dopiero połowa listopada, dzień był mroźny, chociaż słoneczny i bezwietrzny. Ponieważ Jowita kazała mu czekać na końcu ulicy, Roman zawrócił i zaparkował tak, że mógł widzieć każdą osobę idącą po jednej lub drugiej stronie ulicy. Zresztą nie było szczególnie czego oglądać, praktycznie nie było żadnego ruchu: ani samochodów, ani pieszych. Po obydwu stronach ulicy ciągnęły się nowe bloki, sześć- lub siedmiopiętrowe. Co prawda już nie z wielkiej płyty, ale ciągle była to sztapowa konstrukcja takich samych budynków. Jowita się spóźniła. Wyznaczyła spotkanie o czternastej, ale minęło osiemnaście minut, a jej ciągle jeszcze nie było. Roman zaczął się już poważnie niepokoić, czy przypadkiem on albo GPS czegoś nie pokręcili, gdy wreszcie zobaczył kobietę nadchodzącą z drugiego końca ulicy. Szła w jego kierunku. Musiała wyjść z bramy pierwszego bloku. Uważnie obserwował zbliżającą się kobietę. Ubrana była w kostium z grubego wełnianego materiału w dużą, szaro-zieloną kratkę, na głowie miała harmonizujący z kostiumem берет, a na nogach wysokie brązowe kozaczki. Na szyi miała zielony wełniany szalik. Spódnica do kolan, opinająca się na jej wystającym brzuchu, odstawała z przodu i sprawiała, że kobieta wyglądała jak poruszająca się beczułka. Z bliska zobaczył łydki, tak grube, że błyskawiczne zamki kozaczków nie dały się do końca zasunąć.

Obserwując zbliżającą się postać, Roman pragnął, żeby to nie była Jowita. Przypominała mu sąsiadkę z czasów dzieciństwa, która ubierała się i wyglądała podobnie, ale było to przeszło czterdzieści lat temu i sąsiadka była wtedy w wieku sześćdziesięciu kilku lat. Niestety, jego nadzieje okazały się płonne, gdyż zbliżająca się kobieta patrzyła w jego kierunku i uśmiechała się. Mimo że nie rozpoznawał w niej tej Jowity, którą znał ze zdjęć, gdy – ciągle się uśmiechając – zbliżyła się na odległość mniej więcej dziesięciu metrów, wysiadł z samochodu i wyszedł jej na spotkanie. Starał się ukryć rozczarowanie, równocześnie mając nadzieję, że się nie wygłupia, zaczepiając całkowicie obcą kobietę. Spotkali się w miejscu niewidocznym z kwaciarni. Upewnił się, że była to Jowita, gdy powiedziała:

– Przepraszam za spóźnienie.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział. – Bardzo się cieszę, że już jesteś.

Ucałował ją w policzek, wziął pod rękę i zaprowadził do samochodu od strony pasażera. W czasie długich konwersacji Jowita obiecała, że pokaże mu Warszawę z najlepszej strony. Roman usiadł na miejscu kierowcy, włączył GPS i zapytał:

– Dokąd jedziemy? Co mam wpisać? – trzymał ręce na klawiaturze GPS.

– Park Łazienkowski – odpowiedziała.

Roman wprowadził nazwę do urządzenia, które od razu pokazało trasę przejazdu na mapie. Ruszyli, gdy urządzenie podało głosem pierwszą komendę: „Za sto pięćdziesiąt metrów skręć w lewo”.

– Mam nadzieję, że nie jadłeś jeszcze lunchu – odezwała się Jowita. – Znam w Łazienkach bardzo fajną restaurację, nazywa się Belweder. Ma ładne wnętrza i duży wybór dań.

Restauracja okazała się godna nazwy. Była ładnie położona w centrum parku, w środku miała sporo roślin i była elegancka. Roman dałby jej pięć gwiazdek, zwłaszcza że menu okazało się bogate w wykwintne dania kuchni polskiej. Po sugestii ze strony kelnera usiedli w Szampańskim Ogrodzie i zamówili gulasz z kurkami i krokietami, a do tego butelkę szampana, który oferowano po bardzo przystępnej cenie.

Jowita wyglądała na całkiem inną osobę niż znajoma ze Skype’a. Była mało rozmowna, praktycznie milcząca. Roman, który ciągle jeszcze odczuwał trudy podróży, a zwłaszcza siedmiogodzinną różnicę czasu, również był małomówny. Z początku więc jedli w milczeniu. Wreszcie odezwała się Jowita.

– Miałam dzisiaj rano dziwną rozmowę na Skypie. Odezwała się z twojego konta Luisa. Przedstawiła się jako twoja dziewczyna i powiedziała mi, że jest z tobą w czwartym miesiącu ciąży i ty obiecałeś się z nią ożenić po powrocie z Polski. Gdy zapytałam ją, jak to możliwe, że rozmawia z twojego Skype’a, powiedziała, że umożliwiłeś jej dostęp, podając hasło. Gdy zapytałam, czy jesteś

obok niej, odpowiedziała, że nie, gdyż wyleciałeś do Polski. Pamiętam, jak mówiłeś mi, że Luisa zhakowała twoje konta mailowe i dostęp do Skype'a. Mogłam się więc spodziewać kłamstwa. Ale widzisz, jej telefon był taki nieoczekiwany, a wszystko, co mówiła, wydawało się takie prawdziwe, że nie jestem już pewna. Czy możesz mi szczerze odpowiedzieć na jedno pytanie: czy Luisa jest w ciąży?

– No nie! Rozstaliśmy się pięć miesięcy temu. Jeśli byłaby w ciąży, to w najlepszym razie w końcu piątego miesiąca, a nie w połowie czwartego, jak twierdzi. Pozwól, że opowiem ci, co zdarzyło się wczoraj wieczorem na lotnisku w Meksyku – powiedział Roman, po czym opowiedział Jowicie wydarzenia poprzedniego dnia.

– Rzeczywiście, leciałeś z przygodami – skwitowała jego opowieść Jowita. – A wracając do sprawy wczorajszego telefonu... Niewiele więcej mi powiedziała. Ale zdecydowanie cię nie lubi. Cały czas mówiła o tobie źle. W ogóle zachowywała się jak psychopatka.

– Bo nią jest – odpowiedział krótko Roman. – Pamiętam, że trochę już ci o niej mówiłem. Chyba winien ci jestem całą historię z większą liczbą szczegółów.

Opowiedział więc pokrótce Jowicie historię jego znajomości z Luisą – jak ją poznał i w jaki sposób manipulowała nim, by pozwolił się jej wprowadzić wraz z synem do jego domu. Wreszcie wyjaśnił, dlaczego zdecydował się zakończyć tę znajomość.

– Powiem ci, dlaczego myślę, że jest psychopatką. Przede wszystkim notorycznie kłamała. O śmierci matki i groźbach porzucenia mnie już ci opowiadałem na Skypie, teraz opowiem ci o innych nienormalnych zachowaniach Luisy. Jednym z nich były kradzieże. Tomasz pewnego dnia poskarżył mi się, że zginęły mu mp3 i pendrive'y z muzyką. Specjalnie się tym nie przejąłem. Myślałem, że w bałaganie, jaki Tomasz ma w swoim pokoju, niewielkich rozmiarów rzeczy łatwo się gdzieś zapodziejają i jest tylko kwestią czasu, aż Tomasz je odnajdzie. Zainteresowałem się jednak bliżej całą sprawą, gdy któregoś dnia i ja nie mogłem odnaleźć swojego odtwarzacza. Pamiętałem dokładnie, że mojego iPod'a położyłem na stercie książek. Natomiast nigdzie nie mogłem go później znaleźć. Przeszukałem cały dom, ale – niestety – iPod jakby zapadł się pod ziemię. Była to dla mnie duża strata. Nie tyle żał mi było urządzenia, ile moich ulubionych piosenek, które udało mi się zgrać z najróżniejszych źródeł. Luisa od razu rzuciła podejrzenie o kradzież na sprzątaczkę, która miała klucze do mieszkania i przychodziła trzy razy w tygodniu sprzątać i prać. Jednak trudno mi było w to uwierzyć. Kobieta pracowała dla mnie już od trzech lat i nigdy nie zdarzyło się nic, co podważyłoby moje zaufanie do niej. Najgorsze było to, że na tych małych kradzieżach się nie skończyło, zaczęły bowiem ginąć coraz droższe rzeczy. W odstępie kilku dni od zniknięcia iPod'a zaginął drogi aparat

fotograficzny. Luisa tym razem rzuciła podejrzenie na osoby dokonujące przeprowadzki. Później ginęły jeszcze różne drobne przedmioty.

– Naprawdę ginęły ci rzeczy? – zdziwiła się Jowita.

– Tak. Ale to jeszcze nie wszystko – odpowiedział Roman. – Posłuchaj dalej. Któregoś dnia Luisa poprosiła mnie, żebyśmy wybrali się wspólnie do Veracruz. „Pojedziemy całą czwórką, spędzimy parę dni nad morzem – zachęcała. – Ja potrzebuję tylko przeznaczyć jeden poranek na moje sprawy. Muszę iść do urzędu miejskiego w sprawie działki budowlanej, którą tam posiadam, a całą resztę czasu możemy spędzić wspólnie, wygrzewając się w słońcu”. Zaskoczony zapytałem: „Masz działkę w Veracruz?! Nigdy mi o tym nie mówiłaś!”. „A, bo nie było okazji... – odpowiedziała wymijająco. – Ale teraz, gdy mamy się pobrać, warto by było się zastanowić, co dalej możemy z tą działką zrobić. Może pobudowalibyśmy na niej dom dla nas?” „W jakiej części Veracruz leży ta działka?” – zapytałem. „Boca del Rio” – odpowiedziała. „Naprawdę?! Przecież to jedna z bogatszych, jeśli nie najbogatsza dzielnica Veracruz!” – wykrzyknąłem. Przypomniałem sobie hotel położony w Boca del Rio, w którym się kiedyś zatrzymałem. Była to dzielnica nad brzegiem morza, z pięknymi domami, nad którymi na wzgórzu wznosił się pałac byłego prezydenta stanu, oraz ciągiem eleganckich hoteli położonych wzdłuż wybrzeża. „Dobrze, możemy pojechać – powiedziałem w końcu. – Ja i Tomasz w zasadzie jesteśmy wolni, możemy sobie pozwolić na kilka dni odpoczynku, ale jak ty stoisz ze swoją pracą?” „Myślę, że też mogę się urwać z pracy na trzy dni. Mogę wziąć wolny czwartek i piątek w tym tygodniu oraz poniedziałek w następnym” – oznajmiła. „To postanowione, wyjeżdżamy w czwartek rano” – powiedziałem. Spędziliśmy trzy dni w Nautli, niewielkim turystycznym miasteczku położonym sto trzydzieści kilometrów na południe od Veracruz. W niedzielę po południu pojechaliśmy do Veracruz. Jeszcze tego samego dnia wieczorem zaraz po kolacji pojechaliśmy obejrzeć działkę Luisy. Jednak po ciemku jej nie znaleźliśmy. Wróciliśmy więc do Boca del Rio w poniedziałek rano. Pamiętam, jak krążyliśmy przez ładnych kilkanaście minut po uliczkach niedaleko od plaży, aż wreszcie Luisa znalazła to, czego szukała. Działka rzeczywiście była atrakcyjnie położona, do plaży nie było więcej niż sto pięćdziesiąt metrów, a tuż obok stał ten mój ulubiony elegancki hotel. Luisa zaproponowała nam, żebyśmy pozostali na plaży przy hotelu, podczas gdy ona będzie załatwiała sprawy w urzędzie. Chciałem ją odwiedzić samochodem, ale uparła się, że pojedzie taksówką. Dołączyła do nas po jakichś trzech godzinach i resztę dnia spędziliśmy już wspólnie na plaży. Do domu wróciliśmy późnym wieczorem.

– Pewnie nie była to jej działka? – zgadywała Jowita.

– Zaraz się dowiesz – odpowiedział Roman. – Nie pamiętam dokładnie, kiedy to się zaczęło, chyba wkrótce po tym, jak Luisa została zwolniona z pracy. Któregoś dnia napomknęła, że najprawdopodobniej będzie musiała pojechać do

Stanów Zjednoczonych w ciągu najbliższych kilku tygodni. Gdy zaintrygowany spytałem, po co, powiedziała, że musi stawić się na procesie spadkowym w Galveston w Teksasie. „Skoro musisz, to jedź” – skwitowałem. Byłem zajęty swoimi sprawami, nie przywiązywałem więc specjalnie wagi do tego, co powiedziała. Kilkanaście dni później przypomniała mi o sprawie, oświadczając, że za cztery dni musi lecieć do Galveston. „No to leć. A tak przy okazji – po co?” – zapytałem zaintrygowany. „Mówiłam ci – odpowiedziała poirytowana. – Mam sprawę spadkową”. „A jakiego spadku dotyczy ta sprawa, oczywiście jeśli nie jest to jakiś sekret?”. Powiedziała, aczkolwiek niechętnie. Mówiąc w skrócie, dowiedziałem się, że kilka lat wcześniej, w trakcie podróży służbowej, Luisa zatrzymała się na kilka dni w Mudy Gardens Hotel. Tam poznała właściciela hotelu, Seana. Mimo swoich sześćdziesięciu czterech lat, Sean był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Niewysoki, szczupły i dobrze ubrany zaimponował jej swoją elegancją i obyciem, z radością przyjęła więc zaproszenie na kolację do restauracji. Przy kolacji Sean wypytywał ją o jej życie oraz stan cywilny. Wyznał jej, że jest wdowcem i ma dwoje dorosłych dzieci. Powiedział też, że jest właścicielem czterech hoteli w różnych miastach nad Atlantykiem w Stanach Zjednoczonych. Pod koniec kolacji wyznał Luisie, że jest zainteresowany bliższym jej poznaniem w poważnych zamiarach. Z początku przerażała ją różnica trzydziestu czterech lat między nimi, jednak przy kolejnym spotkaniu z Seanem obiecała mu, że będzie mógł liczyć na jej towarzystwo, gdy następnym razem zawita do Galveston. W jej przekonaniu taka sytuacja mogła się już nigdy nie powtórzyć. Zaskoczył ją całkowicie, gdyż następnego dnia po powrocie do Meksyku otrzymała przesyłkę z biletem na przelot do Galveston na piątek wieczorem. Sean zadzwonił do niej następnego dnia i namawiał ją na wyjazd tak gorąco, że w końcu uległa. W ten sposób wdała się w trwający prawie trzy lata romans ze starszym mężczyzną. Spędzała z nim średnio dwa weekendy w miesiącu. Uwielbiała wyprawy do Galveston. Sean za każdym razem przygotowywał jakąś atrakcję, najczęściej wyjście do teatru, a od czasu, gdy dowiedział się, że bardzo lubi balet, praktycznie każde ich wyjście kończyło się na oglądaniu Czajkowskiego. Sean organizował też różne eskapady. To dzięki niemu nauczyła się jeździć konno i sterować żaglówką, to on pokazał jej Wielki Kanion i zaszczepił w niej miłość do nart. Kilka razy zabrał ją na kolację w towarzystwie swoich przyjaciół, w tym raz na jego jachcie. Sean był hojnym człowiekiem. W ciągu roku praktycznie całkowicie wymienił jej garderobę i bieliznę. Często przy okazji wyjścia na kolację z przyjaciółmi dawał jej nowe eleganckie kolczyki, które, jak zwykł mawiać, szły w parze z sukienką wieczorową. Jednak nigdy nie podarował jej pierścionka. Zaskoczył ją więc całkowicie, gdy któregoś razu przy kolacji nagle położył na stole srebrną szkatułkę. Gdy ją otworzyła, jej oczom ukazał się śliczny pierścionek z dużym lśniącym diamentem. Sean poprosił ją

o rękę, a ona z radością się zgodziła. Po kolacji zabrał ją do swojego apartamentu, w którym, jak powiedział, chciałby, żeby zamieszkali po ślubie. Mieszkanie było imponujące. Był to penthouse na szczycie ośmiopiętrowego budynku, który od plaży dzieliła tylko nadmorska droga, toteż ze wszystkich okien apartamentu rozciągał się widok na morze. Apartament miał duży otwarty salon, kuchnię i trzy sypialnie, każda z własną garderobą, przez którą przechodziło się do prywatnej łazienki. Salon wyposażony był w eleganckie meble i gadżety. Ale tym, co rzucało się najbardziej w oczy, była kolekcja obrazów na ścianach. Były tam dwa obrazy Franza Marca, *Marzenie* i *Trzy konie*, oraz dwie prace Egona Schiele. Nazwisk siedmiu innych artystów, których obrazy wisiały na ścianie, Luisa nie zapamiętała. Sean oprowadził ją po całym mieszkaniu, pokazał jej pokój, w którym miał zamieszkać jej syn. „Przemeblujemy go tak, żeby mu się podobało” – powiedział Sean, po czym wziął ją za rękę i zaprowadził do sypialni. „Tamtej nocy długo nie mogłam zasnąć – opowiadała mi Luisa. – Leżałam obok Seana i marzyłam, jak pięknie będzie mieszkać w tym miejscu”. Był wtedy koniec listopada 2006 roku. Sean zaproponował jej, żeby pobrali się w połowie lipca następnego roku, co pozwoliłoby Juanowi zakończyć rok szkolny w dotychczasowej szkole w Meksyku. Równocześnie dawało im to dosyć czasu, by przygotować papiery imigracyjne dla Luisy i jej syna przed początkiem nowego roku szkolnego.

Bardzo podobały jej się te plany, toteż była całkowicie zdruzgotana, gdy w maju następnego roku u Seana rozpoznano raka trzustki. Było to wczesne stadium i Sean przeszedł operację, a później chemioterapię. Była to bardzo zła wiadomość dla obojga. Zdecydowali się przełożyć ślub na bliżej nieokreśloną przyszłość. Sean stracił zapal do życia. Od tego dnia spotykali się jeszcze przez kilka miesięcy, jednak coraz rzadziej. Luisa w końcu przestała go odwiedzać, gdy zauważyła, że jej wizyty bardziej go krępują, niż przynoszą radość.

– A to miała pecha – skwitowała opowieść Jowita.

– Sean zmarł na początku 2010 roku – kontynuował Roman. – O jego śmierci powiadomił ją adwokat i długoletni przyjaciel Seana, który znał ją osobiście. „Pilne sprawy służbowe zatrzymały mnie w Meksyku i nie mogłam polecieć na pogrzeb – niepotrzebnie tłumaczyła się Luisa. – Nie wydawało mi się też konieczne, bym musiała wspominać ci o tym, jako że taka informacja nie miałaby sensu bez dokładniejszych wyjaśnień. Napisałam jednak do adwokata z prośbą, żeby podał mi nazwę cmentarza i miejsce, gdzie Sean został pochowany. Obiecałam sobie, że pojedę na jego grób, by złożyć przynajmniej wiązanek kwiatów. W odpowiedzi adwokat poinformował mnie, że Sean zostawił mi zapis w testamencie, a mianowicie mieszkanie w Galveston razem z całą jego zawartością. Poinformował mnie też, że jakkolwiek od lat jest już na emeryturze i zawodowo nie prowadzi żadnej sprawy, to jednak przyrzekł Seanowi, że przypilnuje, żebym mój spadek otrzymała, i że nie muszę się martwić o koszty, bo

Sean zabezpieczył na to specjalny fundusz. Obawiał się bowiem, że jego dzieci mogą chcieć unieważnić tę część testamentu, jako że same obrazy w mieszkaniu są warte kilkanaście milionów dolarów. Na prośbę adwokata wysłałam mu pełnomocnictwo do reprezentowania mnie w sądzie. Właśnie kilka dni temu poprosił mnie, żebym przyjechała na rozprawę”.

– To jest bardzo ciekawa historia. I co? Dostała ten spadek? – spytała Jowita.

– Zaraz się dowiesz. Bądź cierpliwa. Dla mnie też to była zaskakująca historia. „No cóż, skoro musisz jechać, to jedź – powiedziałem w końcu. – Mam nadzieję, że sprawa zakończy się dla ciebie sukcesem. Naprawdę serdecznie ci gratuluję. Czy mogę ci w jakiś sposób pomóc?” „Cieszę się, że pytasz. Bardzo bym chciała, żebyś się ze mną tam udał” – powiedziała. „Nie ma sprawy – odpowiedziałem. – Kiedy dokładnie musimy polecieć?” „Rozprawa została wyznaczona na czwartek w przyszłym tygodniu, mamy więc trochę więcej niż tydzień”. „To może zamówię bilety?” – zapytałem. „Myślę, że nie musisz się tym przejmować. Wiesz przecież, że jestem w branży od lat i mam całą masę przyjaciół w liniach lotniczych. Załatwię dla nas bilety po niżkowej cenie” – oświadczyła. „Świetnie” – odpowiedziałem, nie zastanawiając się, po co jej niżkowy bilet, skoro za niego i tak nie płaci. „A czy ty kiedykolwiek byłeś w Galveston?” – spytała. „Nie, nigdy nie miałem okazji tam pojechać” – odpowiedziałem. „To jest naprawdę przepiękne miasto! Skoro nigdy go nie widziałeś, to może zostaniemy tam do niedzieli?” – zaproponowała. „Bardzo chętnie, przyda nam się kilka dni wakacji. Myślę, że Tomasz i Juan ucieszą się z naszej nieobecności w domu”.

– I co, podobało ci się Galveston? Prawda, że jest ładne?

– Nie widziałem go, bo do wyjazdu nie doszło. Luisa rozchorowała się we wtorek. Rozprawa spadkowa została przełożona o pięć tygodni. Po pierwszym tygodniu Luisa zwróciła się do mnie z niecodzienną prośbą. Powiedziała mi, że adwokat sądzi, iż byłoby lepiej, gdyby miała swojego przedstawiciela, który reprezentowałby ją w tej sprawie, że w ten sposób uniemożliwi się, a przynajmniej utrudni dzieciom Seana podejmowanie prób wykluczenia jej z testamentu. „Nie mam nikogo, komu mogłabym w pełni zaufać. Mam tylko ciebie – powiedziała błagalnym tonem. – Bardzo cię proszę, zgódź się. Podpiszemy tymczasowe pełnomocnictwo, które na razie wyślę adwokatowi faksem, a dokumenty zostaną podpisane u niego w biurze przed rozprawą. Bardzo proszę, zgódź się!” – powtórzyła jeszcze raz po chwili. Wahalem się. Przecież nie byłem prawnikiem i nie widziałem się w roli pełnomocnika. Sam proces wydawał mi się również jakiś dziwny, ale w końcu, po jej usilnych naciskach, zgodziłem się. Następnego dnia otrzymałem kopię maila wysłanego przez adwokata do Luisy z załączonym pełnomocnictwem i oświadczeniem, że się zgadzam na reprezentowanie jej. Podpisaliśmy je i Luisa przefaksowała dokumenty do biura adwokata. Na dwa dni przed rozprawą otrzymałem maila przypominającego mi o konieczności przyjazdu

do Galveston razem z Luisą. W tym momencie uzmysłowiłem sobie, że moja roczna wiza stałego pobytu w Meksyku skończyła się i że mój adwokat będzie musiał wystąpić do urzędu imigracyjnego na lotnisku o wizę wyjazdową, do uzyskania której konieczny był bilet. Następnego dnia mój adwokat pojechał więc na lotnisko razem z Luisą – ona, by odebrać bilety od znajomego agenta, on, żeby załatwić wizę. Luisa wróciła do domu około południa z wizą, ale tylko z jednym biletem. Okazało się, że jej przyjaciela nie było w pracy, więc żeby uzyskać wizę, musieli kupić bilet, za który zapłacił mój adwokat. „Mój odbiorę jutro rano na lotnisku” – zapewniła, wręczając mi bilet. Obejrzałem go uważnie. „Nie bardzo rozumiem – powiedziałem w końcu. – Przecież to jest bilet tylko w jedną stronę! To w ogóle nie ma sensu. Mogliście chociaż kupić bilet tam i z powrotem!” „Rzeczywiście, jak mogłam tego nie zauważyć! – zdziwiła się Luisa. – Ale bilet kupował twój adwokat, to z nim musisz wyjaśnić tę sprawę”. Spojrzałem na rachunek dołączony do biletu. Zaskoczyła mnie wysoka cena sześciuset osiemdziesięciu dolarów za bilet w jedną stronę za półtoragodzinny lot. „Przypuszczalnie bilet powrotny będzie kosztował tyle samo – pomyślałem. – To prawie tysiąc czterysta dolarów za tak krótki lot. Idiotyzm! Za te pieniądze w klasie ekonomicznej mógłbym lecieć z Meksyku do Polski i z powrotem. Bilet w dwie strony do Galveston nie powinien kosztować więcej niż trzysta dolarów”. „Czy dobrze zrozumiałem, że twój bilet będziemy kupowali jutro rano? – zwróciłem się do Luisy. – Czy nie byłoby lepiej kupić go dzisiaj? Przecież przewidujemy trzydniowy pobyt. Zarezerwowałem już hotel i samochód na ten czas. Rozsądniej by było kupić twój bilet już teraz” – powiedziałem. „Wstrzymaj się chwilę, proszę. Może uda mi się złapać mojego znajomego agenta, wtedy zwrócimy twój bilet przez niego i polecimy tanio. Jestem przekonana, że da się jeszcze to wszystko załatwić” – poprosiła. „Dobrze by było” – powiedziałem i, żeby okazać swoje niezadowolenie, bez dalszego słowa wyszedłem do mojego gabinetu.

– To jest bardzo ciekawa historia. Nie rozumiem tylko, dlaczego mi ją opowiadasz – wtrąciła Jowita.

– Zaraz zobaczysz – odpowiedział. – Wyobraź sobie, że kilkanaście minut później, gdy przeglądałem moje maile, znalazłem mail od adwokata Luisy, który informował, że: „Jutrzejsza sprawa została przełożona”. „Gorzej być nie może” – pomyślałem. Mój drogi bilet w jedną stronę właśnie stracił ważność. Mógłbym spróbować go przełożyć na inną datę, ale nie wiedziałem na kiedy, a że linia lotnicza najprawdopodobniej doliczyłaby dodatkowe koszty za zmianę, taka akcja nie miałaby większego sensu. Odpowiednio wcześniej kupiony bilet w obie strony na pewno będzie kosztował mniej niż opłacenie zmian i dokupienie biletu powrotnego.

– Słusznie! – skomentowała Jowita.

– Później, z dystansu, historia odziedziczonego przez Luisę spadku

wydawała się niebywała, niemal jak z bajki – kontynuował Roman. – Staralem się sobie przypomnieć, czy od razu w nią uwierzyłem, czy nic nie wzbudziło moich podejrzeń. Na samym początku miałem wątpliwości. Na pewno moją uwagę zwróciły listy adwokata, bo brakowało w nich profesjonalizmu. Jednakże gdy o tym wspomniałem, Luisa wyjaśniła mi, że ma on osiemdziesiąt trzy lata i od wielu lat nie prowadzi już praktyki. Sprawa spadku była wyjątkiem z uwagi na przyrzeczenie, które złożył Seanowi.

– Czy chcesz powiedzieć, że ona to wszystko zmyśliła?

– Poczekaj! Jest więcej. Kilka dni po tej rozmowie ktoś przejął dostęp do mojego konta mailowego. Było to nieoczekiwane i kłopotliwe zdarzenie. To konto było moim głównym narzędziem do korespondencji. Trzymałem tam wszystkie listy biznesowe i prywatne z ostatnich dziesięciu lat. Próbowałem wszystkiego, nie ulegało wątpliwości, że ktoś je zhakował. Gdy rozmawiałem o tym z Luisą, powiedziała mi, że mógł to zrobić haker zatrudniony przez jej bogatego znajomego, który od dawna się nią interesuje jako kobietą. „Właśnie przesłał mi kilka maili, które ponoć pochodzą z twojego konta. Maile, które wysyłałeś i otrzymywałeś od innych kobiet. Czy mógłbyś mi powiedzieć, kto to jest pani Urszula Nowowiejska?” To pytanie mnie zaskoczyło. Nie uwierzyłem w bajeczkę o hakerze przyjaciela. Nagle uświadomiłem sobie, że musiała to być jej sprawka. Przypomniałem sobie, że kilka dni wcześniej pożyczyłem jej dysk, na którym mógł znajdować się plik z hasłami do moich kont internetowych. Ogarnęło mnie niedowierzanie, poczułem też złość. Z trudem się opanowałem. Uznałem, że najważniejsze było odzyskać moje konto mailowe. Postanowiłem jej to ułatwić. Wziąłem czystą kartkę papieru, napisałem na niej: „hasło: morris1983”, podałem ją Luisie i powiedziałem: „Jutro w południe spróbuję zalogować się do mojego konta. To jest hasło. Jeśli mi się nie uda, jutro wieczorem ma cię tutaj nie być. Musisz również wiedzieć, że w tym wypadku zgłoszę sprawę na policję. Jutro w południe!” – powtórzyłem i nie słuchając jej protestów, wyszedłem z pokoju. Następnego dnia odzyskałem dostęp. Domyślasz się, że po tym wydarzeniu całkowicie straciłem zaufanie do Luisy.

– Chytrze to rozegrałeś. Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego Luisa używa twojego Skype’a?

– Zaraz ci powiem, ale po kolei. Któregoś wieczoru Luisa opowiedziała mi dziwną historię, którą usłyszała od swojej mamy. Mianowicie jej siostrzeniec, wracając ze swoją narzeczoną z restauracji w Santa Fe, został zaatakowany przez gangsterów, którzy zajechali im drogę i zabrali samochód. „To rzeczywiście przykre” – powiedziałem. Chociaż historia wydała mi się dziwna, jednak nie komentowałem. Traf chciał, że siostrzeniec wraz z narzeczoną jeszcze tego samego dnia wpadli do nas z niezapowiedzianą wizytą. „Słyszałem, że miałeś bardzo nieprzyjemną historię z samochodem. Podobno ci go zabrali?” – zapytałem, gdy

tylko weszli do domu. „To nic takiego, już mam go z powrotem” – odpowiedział siostrzeniec. „Jak to? Przecież ci go skradziono!” „Nie, nie, nie! – zaprzeczył. – Miałem tylko niewielką kolizję z jakimś głupkiem na skrzyżowaniu. Zamiast się dogadać, on wezwał policję, a ta w przypadku konfliktowych zeznań po prostu ściąga obydwie samochody, które uczestniczyły w kolizji, na parking policyjny do czasu wyjaśnienia sprawy. Wczoraj odebrałem już swoje auto”. „Aha...” – mruknąłem w odpowiedzi. Relacja siostrzeńca dała mi wiele do myślenia. Czyżby to było możliwe? Luisa jest patologiczną kłamczuchą! Uzmysłowiłem sobie, że mną manipulowała: wszystkie jej historie były nieprawdziwe, począwszy od szukania pracy na randkowej stronie internetowej, przez rzekomą utratę mieszkania, co pozwoliło jej wprowadzić się do mnie wraz z synem, a na kradzieży mojego konta mailowego kończąc. Najprawdopodobniej wszystko, co mi mówiła, było fałszem. Przypomniałem sobie, jak przez dwa dni jeździliśmy po Boca del Rio w Veracruz w poszukiwaniu jej działki. Zgadłaś! Ona nie szukała swojej działki. Ona szukała jakiejś niezajętej działki, żeby mi ją pokazać! Byłem pewien, że historia romansu z Seanem i spadku również była nieprawdziwa. Zastanawiałem się też, które z nich kradło – Luisa czy Juan? „Raczej Juan” – zawyrokowałem. Przecież kradzieże zaczęły się dopiero po tym, jak się do nas wprowadził. Postanowiłem osaczyć ją jeszcze tego samego wieczoru. Zażądałem, żeby przedstawiła mi określone dowody na potwierdzenie swoich historii – akt notarialny działki oraz jakikolwiek fizyczny list, w tym wydruk z komputera od adwokata, albo natychmiast ma się wynieść z domu.

– Rzeczywiście wymyśliła romans z Seanem? – zdziwiła się Jowita. – Szkoda, to była taka romantyczna historia.

– Chyba tak. W każdym razie nie miała dowodów. W odpowiedzi przyznała się do kłamstw. Tak jak przypuszczałem, wszystko, co się zdarzyło, było nieprawdą. Nawet nie zastanawiałem się, dlaczego to robiła. Jej zachowanie pokazywało, że niezależnie od zaburzenia afektywnego dwubiegunowego Luisa jest psychopatką. Co więcej, uznałem, że jest niebezpieczną psychopatką. Zastanawiałem się, do czego jest zdolna, żeby uzasadnić swoje kłamstwa. Przecież kupiła mi drogi bilet w jedną stronę tylko po to, żeby udowodnić fałszywy spadek! Ile czasu musiało jej zabrać pisanie listów po angielsku czy całostronicowego pełnomocnictwa, podszywając się pod nieistniejącego adwokata! Nie mogłem więcej ryzykować dalszego wspólnego mieszkania z psychopatką pod jednym dachem.

– Rzeczywiście jest psychopatką. Rozumiem teraz, dlaczego się z nią rozstałeś.

– Pamiętam, że kiedyś wspomniałem ci na Skype, że zabrałem Luisę na wakacje do Polski i Tunezji. Niestety, ta próba ratowania związku się nie udała. W rzeczywistości po powrocie było gorzej niż przed wyjazdem. Nie było dla nas

szansy. Kazałem więc jej się wyprowadzić. Oczywiście, łatwiej było powiedzieć, niż wykonać. Luisa nie miała się dokąd wyprowadzić. Na początek kazałem jej wynieść się z naszej sypialni do pokoju Tomasza, a od października przeprowadzić się do apartamentu, który zgodziłem się opłacić do końca roku.

Roman zamilkł. Widać było, że jest poruszony wspomnieniami.

– Sierpień i wrzesień to było piekło – kontynuował po chwili. – Drzwi do mojej sypialni musiałem trzymać zamknięte na klucz, bo zdarzyło się kilka razy, że Luisa próbowała sforsować sobie do niej drogę. Raz, trzymając w ręku duży kuchenny nóż, groziła, że zrobi sobie krzywdę, jeśli jej nie przyjmę z powrotem. Przy kilku innych okazjach szła z tym nożem prosto na mnie. Na szczęście sypialnia była na piątym piętrze, prowadziły do niej kręcone schody z salonu. Wystarczyło wziąć ciężkie krzesło, postawić na którymś stopniu schodów na górze i Luisa praktycznie nie mogła przejść, zwłaszcza że stawałem w bojowej postawie i groziłem, że oberwie krzesłem. Ta groźba skutkowała, dwa razy Luisa zrezygnowała z ataku, chociaż tak naprawdę nie wiedziałem, czy te próby były rzeczywistymi atakami, czy tylko demonstracją. Oczywiście wolałem tego nie sprawdzać, nóż był prawdziwy i duży. Zauważyłem też, że dobrym sposobem na zatrzymanie Luisy z nożem w ręku było nagrywanie jej kamerą. To zawsze ją skutecznie zatrzymywało i zazwyczaj odnosiła wówczas nóż do kuchni na jego miejsce. Nie muszę oczywiście dodawać, że każdej takiej scenie towarzyszył wrzask Juana. Dziecko było przerażone.

– Mogę sobie wyobrazić. Boże, co za matka – wtrąciła Jowita.

– Mówiąc o Juanie, dziwną sprawą była zazdrość Luisy o jego uczucia. Dziecko widząc, że nie boję się Luisy, znalazło we mnie naturalnego sprzymierzeńca w walce z demoniczną matką. Możliwe też, że dorósł do wieku, w którym potrzebował obecności dorosłego mężczyzny w swoim życiu. Czymkolwiek się kierował, faktem jest, że okazywał mi dużo sympatii. To często wywoływało furię u Luisy. „Ten pan nie jest twoim ojcem. Ten pan ma cię dokładnie w dupie! – mówiła do syna. – Tak czy inaczej, będziesz się musiał ze mną wyprowadzić. Nie myśl, że tutaj pozostaniesz, jeśli ja stąd odejdę”. Ta zazdrość była doprowadzona do takiego absurdu, że w dniu, kiedy coś takiego się zdarzyło, Juan nie szedł z tego powodu do szkoły. Głównie dlatego, że rozeźlona Luisa nie była w stanie przygotować syna na czas. Nie uwierzysz! W ciągu sześciu miesięcy Juan opuścił dwadzieścia sześć dni szkoły.

– Ale historia!

– Prawda? Teraz znasz już ją całą – skończył Roman. – Z tą kobietą nie dało się żyć; ja nie wiedziałem jak. Na szczęście obyło się bez stosowania jakichś drastycznych środków. Udało mi się ją przekonać, że najlepszym rozwiązaniem dla

nas było rozstanie. Po pewnym czasie Luisa pogodziła się z tym faktem. Nie obyło się oczywiście bez targów. Między innymi poprosiła mnie o pożyczkę trzydziestu tysięcy dolarów i samochodu Tomasza. Zgodziłem się. Byłem gotów zrobić wszystko, żeby tylko się jej pozbyć. Nie spodziewam się, że mi kiedykolwiek te pieniądze i samochód odda. Co więcej, żeby na pewno się wyniosła, na ostatnie siedem dni września wynająłem dla niej pokój w hotelu. Nawet nie umiesz sobie wyobrazić, jaką odczułem ulgę, gdy wreszcie Luisa odeszła na dobre z mojego życia.

– Z tego, co mówisz, wyraźnie widać, że przypuszczalnie jest to osoba chora psychicznie – odezwała się Jowita – a zdecydowanie jest psychopatką. Dobrze, że udało ci się uniknąć fizycznego starcia. Mogłaby cię tym nożem zranić albo nawet zabić. Muszę przyznać, że miałaś dużo szczęścia. Teraz rozumiem, dlaczego ona się tak na ciebie użala wobec innych ludzi. Nie może przeboleć, że ją wyrzuciłeś ze swojego życia. Musisz wiedzieć, że masz w niej dużego wroga, i bądź ostrożny, bo nigdy nie wiadomo, czy któregoś dnia cię nie zaatakuje.

– Wiem – odpowiedział Roman. – Kilka dni po jej wyprowadzce zmieniłem mieszkanie. Tak się złożyło, że trzydziestego października skończyła się umowa najmu. W rzeczywistości zamiana mieszkania i chęć ukrycia tego faktu przed Luisą powodowały mną, gdy wynajmowałem jej pokój w hotelu. W ten sposób spokojnie mogłem zająć się moimi sprawami. Załatwiłem z gospodarzem, że pozostanę do piętnastego listopada, co dało mi dwa tygodnie na spakowanie wszystkich rzeczy. W tym czasie zająłem się wyłącznie przeprowadzką. Ponieważ zwolniłem *muchachę*, musiałem zatrudnić kogoś do pomocy przy pakowaniu. Nowe mieszkanie wynająłem nieumeblowane. A że w zasadzie nie mieliśmy mebli, cała przeprowadzka polegała właściwie na spakowaniu, przewiezieniu i ustawieniu kartonów na nowym miejscu. Udało mi się zakończyć przeprowadzkę tuż przed odlotem. Zostawiłem nowe mieszkanie zawalone kartonami oraz workami pełnymi ubrań. Tomasz wraca na początku stycznia, będzie miał więc czas, żeby zająć się rozpakowywaniem. Nowe mieszkanie jest chronione przez policję. Zdaje mi się, że budynek jest monitorowany całodobowo. Mieszkanie ma własny ogród, a w budynku znajduje się dosyć duży basen oraz sala gimnastyczna. Zresztą, co tu dużo mówić, mam nadzieję, że przyjedziesz do mnie i będziesz mogła je obejrzeć. Teraz proszę, powiedz mi, czy dysponujesz w najbliższych dniach wolnym czasem. Pamiętasz, że mamy w planach podróż do Pragi? Od poniedziałku wieczorem mamy tam zarezerwowany Kings Court Hotel. Jeszcze z Meksyku wysłałem ci link, więc możesz go sobie obejrzeć w Internecie. Niemniej, jeśli mamy tam nocować w poniedziałek, musielibyśmy wyjechać rano. Tutaj, w Warszawie, zatrzymałem się na Starówce w hotelu Le Regina. Mam tam pokój dwuosobowy, nie powinno więc być problemu, żebyś się u mnie zatrzymała.

– Wiesz, z tym może być kłopot – odpowiedziała Jowita. – Niestety, dzisiaj

wieczorem muszę być w domu.

– Nie rozumiem dlaczego – odpowiedział Roman. – Przecież od dwóch miesięcy wiedziałaś, że przyjeżdżam.

– No wiesz, nadal mieszkam ze swoim byłym mężem i muszę się liczyć z jego opinią.

– Czy to dlatego kazałaś mi zaparkować na drugim końcu ulicy, żeby było daleko od twoich okien? – zapytał Roman.

– Częściowo tak, a trochę dlatego, że nie chciałam, żeby sąsiedzi widzieli, że wsiadam do obcego samochodu. Wszyscy mnie tutaj znają.

– A masz już rozwód?

– Jeszcze nie.

– Nie oszukujmy się, nie jesteś wolna! Bo albo jesteś, albo nie jesteś z mężem. Jeśli musisz spowiadać się mężowi z tego, co robisz, jeśli nie możesz się spotykać, z kim chcesz, to znaczy, że masz w stosunku do niego zobowiązania, a to oznacza, że jesteś z nim nadal w związku. Zapewniałaś mnie na Skypie, że jesteś osobą wolną. Twierdziłaś, że mieszkanie z twoim eksmężem pod wspólnym dachem wynika tylko z konieczności kupienia drugiego mieszkania i jest to tymczasowe. Widzę teraz, że mnie okłamałaś. Chyba wyraźnie ci powiedziałem przy kilku okazjach, że nie angażuję się w związki z kobietami, które mają niejasną sytuację matrymonialną. Nie sądzę, byśmy mogli kontynuować naszą znajomość. Uważam, że to zwykła pomyłka i nie ma sensu dalej tego ciągnąć. Chodź, odwiozę cię do domu – dodał Roman. – Będiesz mogła spędzić nawet cały weekend na łonie rodziny.

Jowita posmutniała, ale stanowczość w głosie Romana powstrzymała ją od komentarza. Roman bezzwłocznie przywołał kelnera i zapłacił rachunek. Szybkim krokiem wrócili przez park do samochodu. Podwiózł Jowitę pod kwiaciarnię, a następnie wrócił do hotelu.

Ten nieoczekiwany zwrot w znajomości z Jowitą zrewolucjonizował całkowicie jego plany na pobyt w Polsce. Pierwsze, co zrobił po powrocie do pokoju, było wykonanie telefonu do hotelu w Pradze i anulowanie rezerwacji. Następnie, mając przed sobą wolną niedzielę, zdecydował się odwiedzić kilku przyjaciół, którzy mieszkali w Otwocku. Zadzwoił więc do nich i zapowiedział się z wizytą. Obiecał, że przyjedzie kolejką zamiast samochodem, żeby móc wypić w ich towarzystwie lampkę lub dwie wina. Było to już niemal tradycją, że kiedykolwiek Roman przylatywał do Polski, odwiedzał przyjaciół. Zazwyczaj zabierał ze sobą butelkę szampana. Szybko wyszedł więc na miasto, mając nadzieję, że będzie jeszcze otwarty jakiś sklep alkoholowy. Kupił Don Perignon w pierwszych delikatesach po drodze na Starówkę. Kupił też elegancką

bombonierkę dla gospodyni i wrócił do hotelu. W perspektywie miał kolejną noc w olbrzymim łóżku, spędzoną w samotności. Włączył telewizor i zaczął oglądać filmy na zamówienie. Zdołał obejrzeć trzy filmy, zanim usnął. Spał nieprzerwanie dziewięć godzin. Mimo lekkiego niesmaku z powodu zdarzenia z Jowitą, czuł zadowolenie. Kobieta mu się nie spodobała. Odsuwał od siebie myśl, że Jowita zainteresowała się nim wyłącznie po to, żeby wykorzystać go materialnie – miała nadzieję, że kupi dla jej męża mieszkanie. Ach, te kobiety...

ROZDZIAŁ 6

Niedziela, 21 listopada 2010, godzina 9:04 CEST

Roman wstał w niedzielę rano kilka minut po dziewiątej i poszedł na Stare Miasto. W pierwszej napotkanej kawiarence zjadł ciepłego croissanta z odrobiną dżemu, popijając go espresso. Ciągłe się czuł jak na moralnym kacu, oszukany i ośmieszony przez Jowitę. Ta cała wypróbowana metoda na poszukiwanie partnerki w Internecie nie przydała się na nic. Podświadomie wiedział dlaczego. W kontaktach z Jowitą praktycznie nie przestrzegał żadnej ze swoich zasad. Nie powinien się w to dać wciągnąć, gdy już wiedział, że kobieta nadal mieszka ze swoim rzekomo eksmężem. Powinien domyślić się, że jeśli nie wysyłała zdjęć, to chciała coś ukryć. „*She was just fishing and playing around*” – pomyślał. Była jak wiele innych znudzonych żon. W Internecie poszukiwała rozrywki, a może fantazjowała o lepszym życiu. Dopuszczał jednak możliwość, że Jowita miała dobre intencje. Jeśli wierzyć w to, że jej małżeństwo się rozpadło, to może poszukiwała mężczyzny z kasą, który kupiłby nieduże mieszkanie dla eksmęża, a tym samym wyciągnął ją ze skomplikowanej sytuacji. Jednak nie wyglądało na to, że jej małżeństwo już się definitywnie zakończyło. Może więc dobrze się stało, że nie wyszło z Jowitą. Możliwe, że pozbawiona lepszych możliwości pogodzi się z losem i popracuje nad własnym małżeństwem.

Roman zdecydował pospacerować jeszcze z godzinę po Starym Mieście, a później wrócić do hotelu na lunch. Ostatnim razem, gdy zatrzymał się w Le Regina, miał okazję spróbować w hotelowej restauracji czegoś, co chyba nazywało się „Próbki degustacyjne”. Miał nadzieję, że również tym razem będzie mógł dostać to samo danie – było przepyszne. Spacerując, natknął się na otwarty sklep monopolowy. Mimo że dzień był słoneczny, od Wisły wiał przenikliwy wiatr. Roman zdecydował więc wejść do środka, żeby się trochę ogrzać. Sklep oferował szampany i miał o wiele bogatszą ofertę niż sklep poprzedniego dnia. Mężczyzna pomyślał, że kupi dodatkową butelkę. Jego przyjaciele byli bardzo gościnnymi ludźmi, przypuszczał więc, że jak zwykle kolacja odbędzie się przy suto zastawionym stole. „Dwie butelki szampana będą dobrym dodatkiem do kolacji” – pomyślał i kupił butelkę Moët & Chandon.

Restauracja hotelowa nadal oferowała „Próbki degustacyjne”. Zamówił je i zjadł z przyjemnością, popijając dwiema lampkami chardonnay. Po raz kolejny stwierdził, że będzie to jego ulubione danie, kiedykolwiek zawita do tej restauracji. Po lunchu wrócił do pokoju, żeby przygotować się do wizyty u przyjaciół. Wziął gorący prysznic, żeby się dobrze rozgrzać po doświadczeniach zimnego poranka. Sześć lat spędzonych w Meksyku odzwyczaiło go od polskiej zimy, której i tak nie można porównać do przenikliwej zimy kanadyjskiej. Ubrał się ciepło, chociaż na sportowo. Spakował szampany i bombonierkę do reklamówki, wsiadł do taksówki

i kazał się zawieźć na Dworzec Centralny. Tak jak się spodziewał, u przyjaciół został podjęty sutą kolacją, do której szampan doskonale pasował. Ostatni tego dnia pociąg powrotny miał o 21:54. Ledwie co kolacja się skończyła, a już była 21:30. Pożegnał więc przyjaciół, obiecał, że się jeszcze odezwie, i udał się na dworzec. Wchodząc na peron, zobaczył przed sobą bardzo wysoką, szczupłą kobietę, z długimi, rozpuszczonymi włosami. Stanowiła bardzo przyjemny widok, toteż starał się nie wyprzedzać jej. Kobieta wyraźnie szła do pociągu jadącego do Warszawy. Szedł za nią. Gdy podjechał pociąg, wsiadł tuż za nią i usiadł naprzeciwko. Była bardzo atrakcyjna. Miała regularne rysy twarzy, duże niebiesko-zielone, z żółtymi plamkami oczy. Ciemna oprawa oczu kontrastowała z ciemnoblonde włosami. Miała na sobie długi, czarny pikowany płaszcz, a pod nim długą, wełnianą sukienkę w ciemnym kolorze. Na nogach miała krótkie czarne botki, a na kolanach widać było ciepłe getry. W pociągu było bardzo gorąco, kobieta zdjęła więc czarny beret i rękawiczki i położyła na stoliku przy oknie. Jej włosy sięgały do biustu. „Zdecydowanie jest bardzo ładna i elegancka” – pomyślał Roman. Jej wiek oszacował na około trzydzieści lat. Chyba trochę zbyt natarczywie jej się przyglądał, ponieważ po chwili zareagowała. Podochocony szampanem i widząc, że kobieta przygląda mu się również z zainteresowaniem, zdecydował się odezwać.

– Czy może jest pani warszawianką? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała.

– A czy mogłaby pani mi powiedzieć, która stacja jest najbliżej Starego Miasta?

– Przy takim zimnie wysiadłabym na Dworcu Centralnym i stamtąd wzięła taksówkę.

– Tak też myślałem, dziękuję bardzo. Zatrzymałem się w hotelu Mamaison Le Regina na Starym Mieście.

– Można wiedzieć, skąd pan przyjechał, że musiał się pan zatrzymać w hotelu?

– Z daleka. Z ciepłego kraju, z Meksyku – powiedział Roman.

– Och! To interesujące. Był pan tam na wakacjach?

– Nie, tam mieszkam. Na wakacje przyjechałem tutaj.

– Interesujące – powtórzyła. – Akurat wszyscy Polacy jadą w przeciwnym kierunku. Każdy marzy, by o tej porze roku wyjechać gdzieś do ciepłych krajów, a co dopiero do Meksyku. A pan akurat odwrotnie.

– Tak się złożyło. Wie pani, jak to jest z urlopami. Latem ciężko pracowałem, więc nie mogłem wyjechać. Z drugiej strony dla Meksykanów grudzień jest najlepszym miesiącem na wakacje. Dla mnie chyba też. Myślę po prostu, że mam urlop o właściwej porze, tylko pojechałem w niewłaściwym kierunku albo przyjechałem w niewłaściwe miejsce... Pozwoli pani, że się

przedstawię. Mam na imię Roman.

– Katarzyna, ale proszę mi mówić Kasia.

– Dobrze, miło mi.

– Uwielbiam podróże – powiedziała Kasia. – Możesz mi powiedzieć coś więcej o Meksyku? Rozumiem, że znasz dobrze ten kraj?

– Znam go zdecydowanie lepiej niż większość moich meksykańskich przyjaciół. Ja w ogóle powinienem nazywać się Romek Wędrowniczek. Uwielbiam podróżować. Meksyk, podobnie jak kiedyś Polskę i Europę, później Kanadę i Stany Zjednoczone, przejechałem wzdłuż i wszerz. Zwiedziłem też wiele krajów w Afryce. Pochwalę się, że byłem też na Antarktydzie i za kołem podbiegunowym w Arktyce.

– A to zazdroścę. Ja też dużo podróżuję – powiedziała Kasia – ale w Meksyku jeszcze nie byłam. Taka podróż jest ciągle jeszcze na mojej liście rzeczy do zrobienia.

Roman zaczął opowiadać o Meksyku, o tym, jak lubi ten kraj, jak fascynuje go jego kultura. Opowiedział o kilku interesujących miejscach. Przy pogawędce czas upływał bardzo szybko. Po chwili byli już w Warszawie Wschodniej.

– Niedługo będziesz musiał wysiadać – powiedziała Kasia. – Ja jadę trochę dalej.

– Szkoda. Fajnie się gawędziło. Może umówimy się któregoś popołudnia na kawę albo obiad? Najlepiej na obiad, będzie mi miło jeść w towarzystwie tak uroczej dziewczyny jak ty. Będzie okazja pogadać jeszcze o Meksyku.

– Bardzo chętnie.

– No to super. W zasadzie nie mam żadnych planów. Wiesz, jestem na wakacjach – powiedział, robiąc do niej oko. – Zgaduję, że pracujesz?

– Tak, jutro będę wolna dopiero po godzinie czwartej po południu.

– Wobec tego umówmy się na wieczór. Co powiesz na kolację? Lubisz sushi? – zapytał.

– Szczerze mówiąc, nigdy nie jadłam – odpowiedziała. – Ale chętnie spróbuję – dodała.

– Pewnie nie znasz jakiegoś dobrego miejsca z sushi? – zapytał. – Mam wolne przedpołudnie, więc postaram się poszukać jakąś restaurację lub bar z prawdziwym japońskim sushi. Podaj mi swój numer telefonu – poprosił. – Znajdę restaurację i powiem ci, gdzie się spotkamy. Co o tym sądzisz?

– Dobrze – odpowiedziała.

Podyktowała mu numer telefonu. Zapisał go w swojej komórce i od razu zadzwonił. Sygnał w jej telefonie potwierdził, że numer był poprawny.

– No to jesteśmy umówieni – dodał na koniec, widząc, że pociąg zwalnia. – Będę dzwonił około godziny drugiej, czy to ci odpowiada?

– Druga jest okej – odpowiedziała Kasia.

Pociąg się zatrzymał.

– Dobranoc – powiedział Roman i wysiadł.

Poniedziałkowy rano Roman spędził, szukając w Internecie jakiegoś baru lub restauracji z sushi niedaleko Starówki. Najbliższa od hotelu znajdowała się przy ulicy Moliera. Nazywała się Sakana. Zjadł późne śniadanie w hotelu i poszedł obejrzeć restaurację. Chciał zebrać jak najwięcej szczegółów dla Kasi, żeby nie miała trudności ze znalezieniem miejsca.

Sakanę łatwo było rozpoznać po charakterystycznym szyldzie nad wejściem. Potrzebną informację o godzinach otwarcia znalazł w menu, które było wywieszone w gablocie przy drzwiach. Restaurację zamykano o północy. Oferowała nigiri sushi, sashimi, długą listę oryginalnych egzotycznych sałatek i zup oraz różnorodne tempury. Podany też był numer telefonu do rezerwacji. „Nada się, nawet jeśli Kasia nie polubi sushi” – pomyślał Roman. Wrócił do hotelu. Tak jak zapowiedział, o czternastej zadzwonił do Kasi i przekazał jej informacje o restauracji. Umówił się z nią w środkiem na godzinę dziewiętnastą. Następnie zadzwonił do restauracji i zarezerwował stolik dla dwóch osób.

Przyszedł na miejsce kilka minut przed siódmą. Stolik był już przygotowany. Usiadł, zerknął w kartę i zamówił kieliszek szampana Moët & Chandon Nectar Imperial. Popijając go, czekał na przybycie Kasi. Pojawiła się kilka minut po siódmej. Była ubrana w ten sam długi płaszcz i kozaczki co wczoraj, ale tym razem miała na sobie czarną spódnicę i ciemny sweterek z angory. Wstał, by się przywitać, i zauważył, że na wysokich obcasach Kasia dorównywała mu wzrostem. Przyznała się, że lubi wysokie obcasy i mimo wysokiego wzrostu, bardzo chętnie je nosi.

– Chociaż nie lubię mężczyzn niższych od siebie – dodała. – Ty jesteś w sam raz – powiedziała po chwili.

Roman był oczarowany jej urodą. Jej długie włosy połyskiwały w świetle lamp.

– Mówisz, że to jest twoja pierwsza wizyta w barze sushi? – zagał.

– Tak. Nigdy jeszcze nie jadłam sushi.

– Pozwól zatem, że ci pomogę w wyborze. Ja piję szampana, chciałabyś może również się napić kieliszek? – zapytał, wskazując na swój kieliszek. – Ten szampan jest naprawdę dobry.

– Chętnie – odpowiedziała Kasia.

Roman kiwnął na kelnera i poprosił go o podanie całej butelki szampana Moët & Chandon Nectar Imperial.

– Jest tutaj duży wybór egzotycznych sałatek, mają również japońskie zupy i tempury. Jadłaś już kiedyś tempurę? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała.

– Typowa tempura to talerz owoców morza lub warzyw smażonych na gorącym oleju. Ale najpierw panieruje się je w czymś, co nazywa się „lekkie masło”. Lubię tempurę, i to zarówno warzywną, jak i z owocami morza, chociaż najczęściej jem sushi. Są trzy rodzaje: nigiri sushi, sushi maki i sashimi. Podstawą sushi jest specjalny, lepiący się ryż. Nigiri sushi to po prostu surowa ryba z małą ilością ryżu. W sushi maki kawałki ryb znajdują się w środku rolki z tego samego ryżu, która jest owinięta płatem sprasowanych alg. Obecnie w środek tych sushi wkłada się warzywa, sery, owoce, a kiedyś w Polsce jadłem nawet z kawałkami kurczaka. Zazwyczaj kucharz przyprawia je odrobiną wasabi. To taki japoński chrzan, który w Polsce można kupić albo w tubce jako gotową pastę, albo w proszku. Wasabi jest zielone i bardziej pikantne niż chrzan, ma też trochę inny smak. Oprócz wasabi do sushi dodaje się marynowany imbir. Zazwyczaj rolkę kroi się na sześć kawałków. Ale dosyć już teorii. Istotnym pytaniem jest, czy chcesz spróbować sushi, czy może wolisz jakąś sałatkę, zupę albo tempurę?

– Chętnie spróbuję sushi – powiedziała Kasia.

– No to musimy wybrać i zamówić. – Roman jeszcze raz zerknął w menu. – Widzę, że mają sushi maki z warzywami i owocami morza. Z warzyw oferują cukinię, bakłażany, szparagi, ziemniaki, dynię i brokuły. Z grzybów pieczarki, boczniki i shiitake. Osobiście nie lubię tych japońskich grzybów. Nie umywają się do prawdziwków. Mam swoją własną metodę na sushi. Zazwyczaj przygotowuję swoje własne, zamawiając po prostu kawałki ryb oraz sushi maki z jakimś warzywem w środku. Możesz zrobić to, co ja. Na początek zamówię sobie sałatkę z glonów wakame i ogórka. Jest bardzo oryginalna i smaczna. Następnie zamówię dwie rolki sushi ze szparagami i każdą z nich każę pociąć na osiem części. Wezmę jeszcze trzy porcje sashimi z pięcioma rodzajami ryb. Jestem przekonany, że wasabi i marynowany imbir podają w zestawie, więc chyba nie musimy tego zamawiać.

Kasia posłuchała jego rady i złożyła podobne, chociaż mniejsze zamówienie: poprosiła o sałatkę, jedną rolkę sushi ze szparagami oraz o jedną porcję sashimi.

– Myślisz, że to ci wystarczy? – zapytał Roman.

– Najzupełniej, bierz pod uwagę, że może mi nie smakować.

– Nie ma sprawy, zawsze będzie można domówić, jeśli będzie ci smakowało.

Kasia uznała sushi za bardzo smaczne. Roman podzielił się z nią częścią swojej porcji.

Czy to z uwagi na ich charakter, czy dzięki butelce szampana, oboje byli w doskonałych humorach. Rozmowa toczyła się szybko i płynnie. Kasia opowiedziała mu co nieco o sobie. Wspomniała, że pracuje w Urzędzie Miejskim w Otwocku jako sekretarka burmistrza i codziennie dojeżdża z Warszawy, gdzie mieszka z matką. Dodała, że jej tato żyje, ale nie mieszka z nimi już od dawna.

Wyprowadził się, gdy Kasia miała dziesięć lat. Powiedziała, że teraz ma trzydzieści dwa lata. Podkreśliła, że nie utrzymuje bliskich kontaktów z ojcem.

– Właściwie należałoby powiedzieć – dodała – że nie utrzymuję żadnego kontaktu z ojcem. Mam też starszą siostrę, która mieszka na południu Polski, ale często się widzimy.

– Nie przeszkadza ci, że jestem dużo starszy od ciebie?

– Szczerze mówiąc, to nie. Przez to, że moja siostra była starsza ode mnie, zawsze miałam do czynienia z chłopakami mającymi więcej lat niż ja. Ile masz lat?

– Sześćdziesiąt dwa – odpowiedział Roman.

– Tak mniej więcej myślałam.

– Niektórzy twierdzą, że nie wyglądam na swoje lata. Ale zmieńmy temat. To, że siedzimy tutaj razem, oznacza, że nie masz chłopaka?

– Nie mam – powiedziała Kasia. – Długo nie mogłam się zdecydować na żadnego, a teraz, gdy pracuję, nie mam za wiele okazji, aby spotkać kogoś odpowiedniego.

– Chyba nie jest aż tak źle. Jesteś piękna, bardzo sympatyczna i inteligentna. Myślę, że wszystko, co najlepsze, jest jeszcze przed tobą. Co nie znaczy, że nie jestem zainteresowany znajomością z tobą. Jestem, i to bardzo. Tyle tylko, że przeraża mnie różnica wieku pomiędzy nami.

– Nie musisz się martwić – powiedziała Kasia. – Obiecuję, że nie będę ci wytykała twoich lat.

– No to mam dużo szczęścia – odpowiedział Roman.

Zrobiła się prawie dziesiąta, zanim uporali się z jedzeniem.

– Może jutro zjemy kolację u mnie w hotelu. Szef kuchni jest mistrzem. Jadłem tam kilka razy i zawsze byłem zachwycony jakością, smakiem i wyborem dań. Czy osiemnasta trzydzieści będzie ci pasowała?

– Tak, zdążę jeszcze po pracy się odświeżyć, więc osiemnasta trzydzieści jest okej.

– Sugeruję, żebyś przyjechała taksówką, a ja zwrócę ci pieniądze. Myślę, że tak będzie uczciwie. Przecież mnie transport nie będzie nic kosztował.

– Wiesz co? Proponuję, żebyś zwrócił mi połowę kwoty. W ten sposób będzie tak, jakbyśmy spotkali się w połowie drogi.

– To brzmi rozsądnie. A więc załatwione, czekam na ciebie jutro w hotelu.

Roman odprowadził Kasię na postój taksówek. Spytał ją o adres, podał go taksówkarzowi i opłacił kurs z góry.

– Proszę tę panią odwieźć bezpiecznie do domu! – powiedział.

Pocałował ją w usta i Kasia odjechała. Roman wrócił do hotelu. Kilka minut później był już w łóżku i zaczął rozmyślać o Kasi. Nurtowało go pytanie, dlaczego

tak piękna i młoda kobieta może interesować się mężczyzną trzydzieści lat starszym. Była wykształcona i finansowo niezależna. Nie wyglądała też na taką, która ma kłopoty i należy ją z nich wyciągnąć. Uznał, że jest wspaniałą towarzyszką i świetnie się z nią rozmawia. Stwierdził, że tak sympatycznego wieczoru nie spędził już od bardzo dawna. Pomyślał też, że Kasia albo ma uraz emocjonalny po jakimś nieudanym związku, albo jej akceptacja starszego mężczyzny ma jakiś związek z faktem, że gdy miała dziesięć lat, ojciec porzucił rodzinę. Możliwe, że Kasia nieświadomie poszukuje starszych mężczyzn, żeby mścić się na nich za ojca. Po dojściu do tego wniosku zaczął się zastanawiać, w jaki sposób Kasia może go ukarać. Może chce go rozkochać w sobie i porzucić? Gotów był zaryzykować. Na pewno gra jest warta świeczki i należy spróbować, co z tej znajomości wyniknie.

W rozległym holu hotelu znajdował się bar koktajlowy. Oferowano w nim kolorowe drinki. Następnego wieczoru Roman usiadł w wygodnym fotelu, zamówił virgin mojito i czekał na przybycie Kasi. Była za dwadzieścia pięć siódma, kiedy zobaczył ją wchodzącą do hotelu. Wstał, przywitał się, poprosił barmana, żeby zaniósł jego drinka do restauracji, a Kasię zaprowadził do stolika, który już był dla nich przygotowany

– O! Jak tu jest ładnie! – wykrzyknęła Kasia.

– Prawda? Wiedziałem, że ci się spodoba – powiedział Roman. – Pamiętam, że podają tu coś o nazwie „kolacja degustacyjna”. Kiedyś to jadłem. Taka kolacja składa się z paru wyśmienitych dań, które zazwyczaj są całkowitą niespodzianką. Zdaje mi się jednak, że w zestawie jest przynajmniej jedno danie rybne i jedno z owoców morza. O ile wiem, jesteś smakoszką mięs, a że wczoraj jedliśmy rybę, proponuję więc, żebyś zamówiła sobie coś z karty.

Kasia się zgodziła. Roman poprosił kelnera o podanie kart menu.

– Zauważ – zwrócił się do Kasi – że według karty restauracja specjalizuje się w kuchni francuskiej, z akcentami kuchni polskiej i włoskiej. Dla mnie jest to jedna z najlepszych kuchni na świecie; osobiście bardzo lubię tutejsze dania – przejrzał kartę i po chwili dodał: – Jestem już gotowy. Jak skończysz wybierać, daj mi znać, poprosimy kelnera i złożymy zamówienie.

– W zasadzie już wiem, co chcę zamówić – powiedziała Kasia.

Roman przywołał kelnera. Kasia poprosiła o krem z dyni z łososiem szkockim, imbirem i kolendrą jako przystawkę, czym zaskoczyła Romana całkowicie. „Znowu ryba” – zdziwił się w myślach. Wzięła też risotto z grzybami i małżami świętego Jakuba w emulsji homarowo-truflowej. Jako danie główne zamówiła grillowaną polędwicę wołową z burratą i suszonymi pomidorami w sosie pieprzowym, a na deser parfait z czekolady mandżari, który był podawany

z kremem z chałwy i sorbetem ananasowym. Roman zamówił carpaccio z tuńczyka czerwonego z papryką, fetą i anchois, pierogi z sumem, algami i sosem kawiorowym, risotto z grzybami i małżami świętego Jakuba oraz emulsją homarowo-truflową. Jako danie główne wziął pieczoną perliczkę z daktylami, jadalnymi kasztanami i sosem musztardowym, a na deser wybór serów i kieliszek porto.

– A może ty też chciałabyś się napić porto do deseru?

– Chyba nie. W zasadzie bardzo mało piję – powiedziała Kasia.

– Okej. Poproszę więc tylko jeden kieliszek porto – zwrócił się do kelnera. –

Poproszę też kartę win.

– Czy mam panu doradzić? – zapytał kelner.

– Tak. Proszę mi polecić jakieś dobre bordo.

– Mamy w piwnicy bardzo dobry rocznik, 2004. Jest on powszechnie uznawany za najlepszy w ostatnim dwudziestoleciu.

– Poprosimy więc butelkę.

Po raz kolejny Roman przekonał się, że jest to znakomita restauracja. Jego carpaccio z tuńczyka było bukietem niepowtarzalnych smaków. Pierogi z sumem już kiedyś jadł w rosyjskiej restauracji, nie były więc dla niego czymś nowym, ale na pewno nie ustępowały tym rosyjskim. Risotto skubnął na tyle, na ile starczyło emulsji homarowo-truflovej. Wyjadł z niego również wszystkie grzyby i małże. Natomiast perliczkę zjadł w całości. Była wyśmienita. Smak mięsa doskonale harmonizował z daktylami i pieczonymi kasztanami. Porto było doskonałe. Na desce serów znajdował się rokfor, Caprice des Dieux, camembert oraz ostry Danish Blue. Sery były udekorowane zielonymi winogronami, ćwiartkami daktyli i gałązkami mięty. Roman zwykł jadać sery na modłę francuską, to znaczy brał kawałek bagietki, dużo sera i popijał to dużą ilością wina. W taki sposób wypił trzy kieliszki bordo, opróżniając butelkę do końca.

Sądząc po apetycie, z jakim Kasia zjadała swoje dania, jej również kolacja smakowała. Parfait z czekolady wyglądało jak gigantyczna góra. Składało się z pięciu warstw – na dole znajdował się krążek czekolady mandżari, na nim porcja kremu czekoladowego w kształcie szerokiego walca, na który nałożony był drugi krążek czekolady mandżari. Na tym wszystkim spoczywała duża porcja kremu z chałwy, a na samym czubku sorbet ananasowy. Widać było, że Kasia jest zadowolona z tej ogromnej góry słodkości. Podobnie jak poprzedniego dnia, konwersacja była żywa i toczyła się gładko. Okazało się, że Kasia jest podróżniczką. Była w wielu krajach. Niektóre Roman też znał. Zwiedziła wiele miejsc, które wspominała z dużą przyjemnością i o których mogła wiele powiedzieć. Roman, który nigdy nie był w Turcji, Egipcie czy Grecji, z zainteresowaniem słuchał jej opowieści o tych krajach. Tym razem był to wieczór Kasi. Ona mówiła najwięcej, Roman zaś słuchał. Po kolacji zamówili espresso.

Była już za dwadzieścia dziesiąta, gdy skończyli biesiadować. Przypomniawszy jej o umowie, że zwróci jej połowę pieniędzy za taksówkę, ale Kasia nie chciała o tym słyszeć, nawet nie powiedziała, ile zapłaciła, więc Roman dał za wygraną. Po kolacji, bez specjalnego uzgadniania, udali się do jego pokoju. Położyli się na łóżku i zaczęli całować. Roman zaproponował, żeby rozebrać się i położyć pod kołdrą, co też uczynili. Kasia miała piękne, szczupłe ciało i przyjemną w dotyku skórę. Była nieskrępowana i chętna na pieszczoty. Wieczór jednak zakończył się dużym rozczarowaniem dla Romana. Mimo że Kasia wyglądała na gotową do seksu, w rzeczywistości była niezdolna do odbycia stosunku. Zapytał ją, czy zawsze tak się zdarza. Kasia potwierdziła, że tak. Zrozumiał, dlaczego była samotną dziewczyną. Kasia miała pochwicę, która objawia się skurczem mięśni pochwy przy próbie wprowadzenia weń członka.

– To zaraz przejdzie. To tylko reakcja na nową osobę. Jutro na pewno będzie lepiej – powiedziała Kasia.

Skończyło się na tym, że pieścił ją, aż dostała orgazmu. Sam zaś musiał pocieszyć się pieszczotami i faktem, że trzymał w ramionach tak piękne, młode i zgrabne ciało. Po wszystkim wzięli prysznic. Kasia nastawiła budzik na szóstą dwadzieścia rano i położyli się spać. Następnego dnia zeszli razem do hotelowej restauracji. Przy śniadaniu Roman zapytał, czy Kasia nie mogłaby wziąć wolnego piątku, żeby pojechać z nim na krótką wycieczkę do Pragi. Bardzo chętnie na to przystała. Uzgodnili wyjazd wcześniej rano przed godziną ósmą, po czym Kasia pojechała do pracy. Przez kolejne trzy dni Kasia codziennie przyjeżdżała po pracy do jego hotelu. Spędzali wieczory, wałęsając się po Starówce, jedząc kolacje w różnych lokalach i kończąc dzień w hotelowym pokoju. Kasia mówiła prawdę – następnego dnia pochwica nie objawiła się, ale i tak było ciasno.

Roman zadzwonił do hotelu w Pradze. Zrobił nową rezerwację na dwie weekendowe noce. Na szczęście hotel miał wolne pokoje, z rezerwacją nie było więc problemu. Następnie zajął się planowaniem trasy. Otworzył Google maps. Zdecydował się jechać Gierkówką do Gliwic, następnie drogą E40 do Wrocławia, później E35 do Liberca, skąd do Pragi droga była już prosta. Całość trasy liczyła trochę ponad siedemset pięćdziesiąt kilometrów i spodziewany czas przejazdu był szacowany na około siedem i pół godziny. Ponieważ chciał spędzić piątkowy wieczór, całą sobotę i niedzielny poranek na zwiedzaniu Pragi, zdecydował, że najlepiej będzie, gdy wyjadą w piątek rano. Pozwoli im to również na zwiedzenie co ciekawszych miasteczek po drodze. Kiedy następnego dnia pokazał Kasi planowaną trasę, poprosiła, żeby zatrzymali się w Libercu i w Mlada Boleslav.

– Są tam ciekawe zabytki historyczne, warte zwiedzenia – wyjaśniała.

Roman zaproponował, żeby wyjechali o godzinie siódmej rano.

– W ten sposób będziemy mogli zatrzymać się w tych miastach i przyjechać do Pragi nie później niż o dziewiętnastej, co pozwoli nam przeznaczyć trzy godziny na nocne zwiedzanie miasta.

Kasia okazała się bardzo zdyscyplinowaną turystką i przybyła przed siódmą rano. Wyjechali więc zgodnie z planem. Udało im się dojechać do Pragi kilka minut po dziewiętnastej, mimo że spędzili po pół godziny zarówno w Libercu, jak i w Mlada Boleslav. Miasta okazały się bardzo atrakcyjne turystycznie i warte zwiedzania. Oboje z Kasią przyrzekli sobie, że jeszcze kiedyś tam wrócą. Hotel, w którym zarezerwowali pokój, miał SPA, mały basen, saunę fińską, łaźnię parową i fitness. Lepszej lokalizacji nie mogli sobie wymarzyć. Znajdowali się w samym centrum Pragi, blisko ratusza oraz eleganckiej ulicy handlowej Na Prikope. Hotel mieścił się w secesyjnym budynku z końca dziewiętnastego wieku, z wieżyczkami i pokojami na poddaszu. Miał eleganckie, stylowo i nowocześnie urządzone, klimatyzowane pokoje z Wi-Fi, dużymi telewizorami, zestawem do parzenia kawy i herbaty i sejfem. W holu znajdował się elegancki bar o nazwie Vodka. Od strony ulicy Na Prikope znajdowała się elegancka restauracja. Rozciągał się z nich wspaniały widok na olbrzymi Plac Republiki.

Wyszli na miasto zaraz po zameldowaniu się w pokoju. Kolację zjedli w hotelowej restauracji, która była otwarta do północy. Menu było atrakcyjne i zawierało zarówno typowe czeskie specjały, jak i dania kuchni międzynarodowej. Roman generalnie nie przepadał za hotelowymi restauracjami. Zaproponował więc Kasi, żeby w hotelu jedli tylko śniadania, natomiast obiady i kolacje na mieście. Kasia się zgodziła. Śniadania były serwowane w przeszklonej lounge. Bufet był bardzo bogato zaopatrzony, oferował wszystko, czego dusza zapagnie. Od dań z owocami morza, przez ryby, wędliny, pasztety, sery, owoce, nabiał – praktycznie każdy, nawet o bardzo wyrafinowanym guście, mógł tu znaleźć dla siebie coś dobrego. Następnego dnia zjedli śniadanie w małym bistro na rynku, a obiad w Belview Restaurant, w miejscu znanym z doskonałego jedzenia i pięknych widoków na Stare Miasto.

W sumie był to bardzo uroczy wypad. Kasia każdego ranka przed śniadaniem ćwiczyła w sali fitnessu. Zarówno piątkowy, jak i sobotni wieczór spędzili w hotelowym pokoju, kochając się. Mimo że pochwica się już nie ujawniała, to jednak wpływała na jakość seksu. Było to jednak nowe przeżycie dla Romana.

W niedzielę zaraz po śniadaniu wyruszyli w drogę powrotną. Roman miał zarezerwowany pokój w hotelu Le Regina z niedzieli na poniedziałek. Poza tym chciał, żeby ten ostatni wieczór przed jego dalszą podróżą spędzili razem w Warszawie. Prowadząc samochód, intensywnie rozmyślał o Kasi i ich szansie na udany związek. Zdecydował jednak, że jest zbyt młoda dla niego. Mimo że była bardzo chętna do utrzymywania tej znajomości, była wspaniałą partnerką

i cudowną dziewczyną, Roman stwierdził, że nie powinien się w ten związek angażować. Ciągle nie był pewien prawdziwych intencji Kasi i podejrzewał, że może być zabawką w jej ręku. Obawiał się, że może zrobić coś dla zaspokojenia potrzeby ukarania „wiarołomnego” ojca. Dopuszczał jednak możliwość, że się myli. Mogło również być i tak, że Kasia zniechęciła się poszukiwaniami mężczyzny, który by do niej pasował fizycznie. Było też możliwe, że akceptując starszego mężczyznę, spodziewała się, że będzie on miał mniejsze wymagania erotyczne, chociaż było to mało prawdopodobne, sądząc po jej swobodnym zachowaniu. Jedno było dla niego oczywiste – Kasia chciała przeżyć romans. Była finansowo niezależna i nie potrzebowała żadnego materialnego wsparcia. Nie potrzebowała też bogatego partnera, aby ułatwić sobie życie. Postanowił więc po przyjeździe szczerze z nią porozmawiać i wyjaśnić, że nie powinna się dalej angażować w związek z nim, a raczej szukać partnera bardziej odpowiadającego jej wiekiem i zapatrywaniom, który byłby zainteresowany założeniem rodziny.

Dojechali do Warszawy późno. Było już po dwudziestej, kiedy dotarli do hotelu. Roman zabrał Kasię do baru, żeby móc z nią spokojnie porozmawiać.

– Jesteś otwartą dziewczyną, więc myślę, że mogę rozmawiać z tobą szczerze – zaczął. – Chociaż może nie powinienem, bo pewnie się obrazisz. Ale ja naprawdę cię lubię i chciałbym, żebyś była szczęśliwa. Dlatego podzielę się z tobą teorią o seksualnym dopasowaniu. Na pewno słyszałaś o krzywej Gaussa, zwanej też krzywą dzwonową – kontynuował po długiej chwili, widząc, że Kasia milczy. – Stosuje się ją w pomiarach razem z prawem trzech sigma, które mówi, że statystycznie pomiar czegoś mieści się w 68% przypadków w zakresie jednej sigmy, z każdej strony wartości średniej, w 95,5% przypadków – w zakresie dwóch, a 99,7% – w zakresie trzech. Sigma oznacza szóstą część zakresu wymiarów od minimum do maksimum. Innymi słowy, pomiędzy minimum i maksimum jest ich sześć.

– Tak, wiem, co to jest krzywa dzwonowa i jak liczy się sigmę – przerwała Romanowi Kasia.

– To super, będzie mi łatwiej wytłumaczyć ci tę teorię – odpowiedział Roman. – Według Biblii człowiek jest tworem zero-jedynkowym, jeden twór w dwóch stanach – z jednej strony mamy idealnego mężczyznę, a po przeciwnej stronie idealną kobietę. W rzeczywistości tak nie jest. Ludzie rodzą się z różnymi wymiarami organów płciowych – penisa i pochwy. W przypadku pochwy istnieje powszechne przekonanie, że pasuje do wszystkich penisów, niezależnie od ich kształtów czy rozmiarów. To przekonanie dominuje od XVII wieku, kiedy holenderski lekarz, Regnier de Graaf ogłosił, że pochwa przystosowuje się do każdego penisa: skraca się dla krótkiego, cofa się przed długim, rozszerza dla grubego i zaciska dla cienkiego. Ta teoria, a zwłaszcza twierdzenie, że pod względem seksualnym mężczyzna może zjednoczyć się z każdą kobietą, a kobieta

z każdym mężczyzną, jeśli odpowiadają sobie pod innymi względami, padła na bardzo podatny grunt – doskonale wyjaśniała biblijny obraz świata, toteż zyskała wielkie poparcie Kościoła. Znalazła też powszechne uznanie pośród kobiet, bo głosiła ich perfekcyjność. Nic więc dziwnego, że z czasem stała się dogmatem. Nawet dzisiaj cała masa specjalistów od anatomii jest przekonana o jej prawdziwości. W rzeczywistości teoria nie sprawdza się. Dzisiaj coraz częściej słyszane są u seksuologów głosy mężczyzn, którzy doskonale sprawdzali się w seksie aż do czasu napotkania tej jednej, z którą im nie wychodzi, bo albo jest za luźno, albo ciasnota uniemożliwia współżycie. Ci heretycy podważają biblijną doskonałość kobiet i, według opinii partnerek, zasługują na najwyższe potępienie. Na świecie krąży anegdota, która najlepiej pokazuje nieugiętość kobiet w sprawie kobiecej doskonałości. Chłopak narzekał, „że coś tam było zbyt luźno”. Na to dziewczyna: „Wsuń tam cztery place. No i co?”. „Ano luźno” – odpowiada chłopak. „A wsuń rękę. No i co?” „Ano luźno” – odpowiada chłopak. „A wsuń drugą rękę. Weszła?” „Ano weszła” – odpowiada chłopak. „A teraz klaśnij!” „A nie mogę” – odpowiedział zgodnie z prawdą. „A widzisz! Ciasna, no nie?” Ta anegdota najlepiej ilustruje naturę twojego problemu.

– O czym ty mówisz? Ja nie mam takiego problemu – oburzyła się Kasia.

– Powiedziałem naturę, a nie problem, bo musisz wiedzieć, że jako problematyczne adresuje się częściej pochwy zbyt luźne – odpowiedział Roman. – Przypadek pochwy ciasnej uzasadnia się najczęściej pochwicą lub młodym wiekiem kobiety. Osobiście nie uważam, że ciasne wejście pochwy to deformacja. Wyobraź sobie, że stwierdzono przez badania, iż to charakteryzuje większość Azjatek. A trudno byłoby uznać jakieś dwa miliardy kobiet za „zdeformowane”. O penisie wiadomo więcej – kontynuował. – W zwodzie jego najmniejsza średnica wynosi około jednego centymetra, a największa około sześciu centymetrów. Aby właściwie opisać pochwę, używa się trzech obwodów. Najmniejszy z nich – obwód wejścia pochwy lub jej odpowiednik – średnica – determinuje dopasowanie seksualne pomiędzy mężczyzną i kobietą w parze. Bo w przeciwieństwie do tego, co głosił Regnier de Graaf, ta średnica jest kształtowana przez układ kostny i chociaż zawsze się zmienia przy porodzie, u większości kobiet niewiele zmienia się wraz z emocjami w trakcie stosunku. Za to sprawa się komplikuje w przypadku matek, bo poród wpływa na rozszerzenie wejścia pochwy średnio od kilku do kilkunastu milimetrów.

– Jest to ciekawe. Przypomnij mi tylko, dlaczego o tym mówimy – przerwała mu Kasia.

– Dzielę się z tobą teorią o seksualnym dopasowaniu – Roman nie dał się zbić z tropu. – Wbrew temu, co głosi Kościół, Bóg kreuje ludzi z dużym rozrzutem, a wymiary żeńskich i męskich organów płciowych dadzą się opisać krzywą dzwonową. U kobiet, które nie rodziły, krzywa rozkładu średnicy wejścia pochwy

powinna mieć kształt podobny do krzywej rozkładu średnicy penisów – sigma będzie taka sama, chociaż krzywa kobiet będzie przesunięta o kilka milimetrów w prawo. Z różnicy pomiędzy maksymalną i minimalną średnicą penisa policzymy, że sigma wynosi dziewięć milimetrów. Krzywe wyglądają tak.

Roman wykreślił dwie krzywe na serwetce.

– Spójrz na ten rysunek! – Roman podał Kasi zabazgraną serwetkę. – Wyraźnie widać, że dla każdej przyszłej matki istnieje jakiś penis, który idealnie pasuje. Jednakże będzie wiele niedopasowań w parach, gdzie wymiary średnic penisa i wejścia pochwy znajdują się po przeciwnych stronach krzywych. Dlatego niektóre pary budzą się po nocy poślubnej ze świadomością niedopasowania.

Widząc, że Kasia ogląda rysunek, Roman zrobił przerwę.

– To jest moja teoria – powiedział po chwili – ale podejrzewam, że niedopasowanie fizyczne jest częste. Dotyczy przynajmniej kilkunastu procent par. Bo żeby znaleźć właściwego partnera lub partnerkę, powinno się stosować metodę prób i błędów. Jednak w tym leży problem. Ile prób trzeba, żeby znaleźć właściwą partnerkę lub partnera? Według Kościoła, żadnej, bo pary zawsze muszą do siebie pasować. W życiu, jeśli jest problem, trzeba próbować, aż się trafi na swoją przysłowiową „połówkę”. Jak wiele prób trzeba wykonać, jest kwestią szczęścia i rachunku prawdopodobieństwa. Dla większości par jedna próba wystarczy. Załóżmy jednak, że do jakiejś kobiety pasuje tylko czternaście procent mężczyzn. To oznacza, że gdzieś tam jeden na siedmiu jest w sam raz. Problemem jest, jak go znaleźć. Jeśli ma się szczęście, to może się udać za pierwszym lub drugim razem. W przeciwnym wypadku trzeba próbować aż do skutku. Na przykład połowa szans na sukces jest już przy piątej próbie, sto procent – po trzydziestu próbach. Z drugiej strony trzeba tylko piętnastu prób, żeby ze stuprocentowym prawdopodobieństwem spotkać swojego, jeśli co czwarty jest odpowiedni.

Widząc, że Kasia nadal uważnie ogląda rysunek, Roman zrobił przerwę.

– Już kończę – odezwał się po chwili. – Jedno jest pewne: w kulturze seksualnej wstrzemięźliwości, dla wielu ludzi znalezienie właściwego partnera nie jest proste. Może stąd bierze się dzisiaj tyle zdrad i rozwodów. Sądzę, że w przeszłości pary też cierpiały na niedopasowanie, ale ze względów obyczajowych, religijnych i moralnych do tego się nie przyznawały. Małżonkowie cierpieli w milczeniu, gdyż nie były znane problemy z fizycznym dopasowaniem. Zwłaszcza mężczyźni cierpieli z poczuciem winy, bo przecież kobiety były tworem idealnym. Dodam, że u większości par sytuacja dopasowania znacznie się pogarsza po porodzie. Głównie dlatego, że średnice wejścia pochwy u matek generalnie są większe.

Kasia odłożyła rysunek. Roman zrobił przerwę.

– W dzisiejszych czasach wiedza o płciowym niedopasowaniu jest ciągle

niewielka. Chociaż znane są negatywne skutki, jakie za sobą pociąga – podsumował Roman. – Specjaliści mówią, że niedopasowana para może uprawiać seks, chociaż w przypadku ciasnoty może to być bolesne, uciążliwe i może doprowadzić do różnego rodzaju zaburzeń – ona może dostać pochwicy, jemu może przytrafić się okresowa impotencja, zaburzenia erekcji albo tendencja do przedwczesnych wytrysków. „Zbyt luźno” jest też problemem. Na szczęście matki usprawniły swoją sztukę kochania, by mieć seksualną satysfakcję. Chociaż i tutaj dochodzi do zaburzeń – najczęściej mężczyźni mogą mieć trudności z osiągnięciem orgazmu.

Roman zauważył, że Kasia przygląda mu się z coraz większym zdziwieniem.

– Już kończę – powiedział. – Ja kwalifikuję cię do kobiet „nierozwartych”. Moim zdaniem pasuje do ciebie co siódmy kaukaski mężczyzna. Jak go rozpoznać? Powinnaś szukać mężczyzny rozwiedzionego z powodu fizycznego lub psychicznego niedopasowania, albo takiego, który się rozwiódł wkrótce po urodzeniu dziecka. Taki rozwodnik będzie psychicznie sponiewierany przez swoje poprzednie „doskonałe” partnerki i przypuszczalnie będzie unikał związku z kobietami – będzie wolny od dłuższego czasu. Przypuszczalnie będzie też neurotyczny, przewrażliwiony na krytykę i pełen kompleksów. Myślę jednak, że tego typu przywary przy tobie mu miną. Z drugiej strony, jesteś młoda i szukasz romansu – chciałabyś mieć dzieci, chciałabyś się w życiu sprawdzić. Jesteś wykształcona, piękna, miła i reprezentujesz bardzo fajne moralne wartości. Jestem pewien, że zasługujesz na szczęście w udanym związku z kimś bardziej w twoim wieku, kto będzie zainteresowany posiadaniem dzieci. Ja, niestety, nie jestem dla ciebie właściwym mężczyzną. Nie pragnę dzieci i wątpię, czy miałbym czas je wychować. Jeśli mogę, radziłbym ci jednak nie dawać za wygraną i szukać tego właściwego.

Tak jak Roman się spodziewał, Kasia obraziła się. Kobięca doskonałość nie może być poddawana w wątpliwość. Typowa mentalność katolickich kobiet. Jeśli w seksualnym współżyciu coś nie wychodzi, to wina na pewno leży po stronie partnera. Dla Romana wszyscy ludzie są normalni – jeśli już szukać winnego, należałoby wskazać palcem na Stwórcę – to on taki niedoskonały świat stworzył, albo na Kościół, który od wieków narzuca ludziom normy kulturowe oparte na idealistycznym, niezgodnym z rzeczywistością obrazie świata.

ROZDZIAŁ 7

Poniedziałek, 29 listopada 2010, godzina 9:00 CEST

Następnego dnia Roman wyjechał z Warszawy do swojego mieszkania w Aleksandrowie Kujawskim. Prowadząc samochód, rozmyślał o możliwościach spotkania właściwej partnerki w Polsce. Z siedemdziesięciu kilku dni pobytu, które planował, minęło już dziesięć, a nie poznał żadnej odpowiedniej kobiety. Postanowił więc skorzystać z usług biura matrymonialnego. Zaraz po przyjeździe wszedł w Internet i rozpoczął poszukiwania takiego biura w okolicy. Nie miał zbyt wiele czasu, więc postanowił pójść do biura i poprosić o odpowiadające mu ogłoszenia pań. Może się powiedzie.

Najbliższe biuro znajdowało się w Toruniu. Roman zadzwonił pod podany numer. Odpowiedziała kobieta. Okazało się, że to ona je prowadziła – umówił się więc na spotkanie następnego dnia. Biuro mieściło się na przedmieściach Torunia w niewielkim domku. Udało mu się tam dotrzeć dzięki GPS, przybył więc przed czasem. Punktualnie o umówionej godzinie zobaczył zbliżającą się starszą panią, która uśmiechnęła się do niego i otworzyła żelazną furtkę. Roman wysiadł z samochodu i podążył za nią do biura. Kobieta posadziła go na niewielkiej kanapie. Sama usiadła na krześle. Patrzyła na niego pytająco. Roman przedstawił jej swoje oczekiwania. Powiedział, że przyjechał z Meksyku na wakacje i będzie w Polsce około dwóch i pół miesiąca, z czego tydzień spędzi w Tunezji, i nie bardzo ma czas, żeby zabiegać o kontakty z zarejestrowanymi u niej kobietami. Toteż byłby wdzięczny, gdyby mogli to pominąć. Powiedział, że rozumie, że właścicielka musi zweryfikować jego dane, w związku z tym jest gotów przedstawić wszelkie dowody potwierdzające jego status matrymonialny oraz odpowiedzieć na każde pytanie, ale nie jest zainteresowany pozostawieniem zdjęć. Nie będzie w Polsce dostatecznie długo, żeby czekać, aż któraś klientka znajdzie jego ofertę i się do niego odezwie. Byłby natomiast wdzięczny za pokazanie mu ofert kobiet, które odpowiadają jego oczekiwaniom.

– Mam nadzieję, że jest to możliwe do zrobienia? – zapytał na końcu.

– Ależ oczywiście – odpowiedziała.

– Widzi pani, wiem, że sprawiam pani kłopot. Jestem więc gotów zapłacić więcej – odliczył pieniądze i położył na stole.

Widząc, że kobieta bierze pieniądze, powiedział, że jest zainteresowany rozwódkami, wdowami lub niezamężnymi, obojętne – z dziećmi czy bez – w wieku od czterdziestu do czterdziestu siedmiu lat, wzrost obojętny. Ważne natomiast jest, żeby kandydatka była szczupła i miała średnie lub wyższe wykształcenie. Kobieta wzięła duże pudełko pełne kolorowych teczek z cienkiego kartonu. Roman zauważył, że przeglądała tylko teczki niebieskie i żółte. Z niektórych wyjęła duże fotografie klientek i podała mu do obejrzenia, głośno odczytując dane, które były

zapisane w ankietach znajdujących się w teczkach. Po jakimś czasie Roman miał numery telefonów do pięciu szczupłych i eleganckich kobiet, które mu się spodobały i spełniały jego wymagania. Pożegnał kobietę i zadowolony udał się z powrotem do domu. Po drodze zdecydował, że spotka się każdego dnia z jedną z tych kobiet. Miał przy tym nadzieję, że nie będzie musiał spotykać wszystkich pięciu kobiet.

ROZDZIAŁ 8

Wtorek, 30 listopada 2010, godzina 19:20 CEST

Jeszcze tego samego dnia Roman zadzwonił do pierwszej kobiety z listy. W notatkach, przy numerze telefonu, miał napisane, że ma na imię Teresa, trzydzieści siedem lat, bezdzietna, nigdy nie była zamężna, średnie wykształcenie, pracowała w hotelarstwie, spędziła dużo czasu za granicą w Niemczech i bardzo dobrze mówi po niemiecku. Przedstawił się, krótko opowiedział, kim jest i skąd ma jej numer telefonu i zaproponował spotkanie następnego dnia. Powiedział, że nie zna specjalnie Torunia, w związku z czym kobieta zaproponowała, żeby spotkali się w restauracji Cafe Molus na Starym Rynku.

Umówili się przed restauracją o godzinie osiemnastej. Roman krótko opisał kobiecie swój wygląd. GPS doprowadził go bezbłędnie na Stary Rynek, jednak wszędzie obowiązywał zakaz wjazdu. Zaparkował więc na najbliższym parkingu i pieszo udał się na miejsce. Szybko odnalazł restaurację. Przybył dziesięć minut przed czasem. Teresa przyszła bardzo punktualnie. Roman pamiętając kobietę z fotografii, rozpoznał ją, gdy tylko ją zobaczył. Nie było to zresztą trudne. Oprócz niego była jedyną osobą w pobliżu restauracji. Widząc, jak się zbliża, zaczął jej się przyglądać. Była niewysoka i szczupła. Ubrana w szarą kurtkę trzy czwarte, czarne kozaki i szarą, długą wełnianą spódnicę. Teresa chyba również go rozpoznała, bo od razu do niego podeszła. Po przywitaniu weszli do restauracji, która była prawie pusta. Na ścianach wisiały ozdoby pozostałe po wieczorze andrzejkowym, który odbył się poprzedniego dnia. Z tego też względu kelnerka poinformowała ich, że restauracja tego dnia będzie czynna tylko do godziny dwudziestej pierwszej i nie wszystkie dania z karty są dostępne.

– To może ułatwi nam pani zadanie i po prostu powie, co jest dostępne, a my wtedy coś wybierzemy. Albo jeszcze lepiej, niech nam pani poleci to, co dzisiaj serwujecie świeżego i najlepszego, i poprosimy o dwa takie dania. Chyba że towarzysząca mi pani miałaby ochotę na coś innego.

Teresa zaakceptowała propozycję kelnerki. Roman, który nie miał pojęcia o jakości dań w tej restauracji, również zaakceptował to, co mu zasugerowano. Teresa wzięła krem grzybowy w chlebie, a Roman skusił się na krewetki na ostro zapiekane z pomidorami, fetą i grzankami. Wybrali też polędwicę wołową faszerowaną ziemniakami i brokułami z sosem pieczeniowym na grillowanych pomidorach. Okazało się, że wszystkie desery w menu są dostępne. Teresa wzięła suflet czekoladowy z gałką lodów waniliowych i syropem czekoladowym, Roman natomiast skusił się na deskę serów i kieliszek porto.

Gdy złożyli zamówienia, Roman powiedział:

– Jak mówiłem przez telefon, na imię mam Roman. Proszę się tak do mnie zwracać.

– Teresa – odpowiedziała. – Też proszę się tak do mnie zwracać.

– Miło mi.

Następnie Roman opowiedział jej o sobie. Powiedział, skąd przybywa, że będzie w Polsce do końca stycznia, że ma nadzieję spotkać w tym czasie jakąś interesującą osobę, która będzie miała czas, żeby pojechać z nim do Meksyku, a później podróżować po świecie. Wspomniał też, że znajomość języków obcych – angielskiego lub hiszpańskiego – bardzo by się przydała. Dalsza konwersacja toczyła się z wymuszeniem. Teresa sprawiała wrażenie niepewnej siebie. Z trudem mówiła po polsku i na podstawie tego, co o sobie powiedziała, Roman odniósł bardzo negatywne wrażenie. Okazało się, że Teresa zaraz po maturze wyemigrowała do Niemiec, gdzie miała nadzieję ułożyć sobie życie z Niemcem, którego spotkała w czasie wakacji, gdy była jeszcze w szkole. Z chłopakiem jej nie wyszło, zaczęła więc pracować jako sprzątaczką w małym hotelu w Bremen. Po ośmiu latach została dyrektorką tegoż hotelu. W czerwcu bieżącego roku, po dwudziestoletnim pobycie w Niemczech, wróciła do Polski. Mieszka z matką. W Polsce szuka pracy od pięciu miesięcy, ale jak do tej pory jeszcze niczego nie znalazła. Nigdy nie miała męża ani dzieci.

Roman uważnie ją obserwował i pilnie słuchał. Teresa nie była atrakcyjna. Ciemna blondynka z niezdrową cerą, bez makijażu – wyglądała szaro i nijako. Ubrana była bardzo skromnie i sprawiała wrażenie niechlujnej. Gdy zdjęła kurtkę, okazało się, że pod spodem miała nie spódnicę, ale nieładną sukienkę z grubej wełny w szarym kolorze, która z przodu pod szyją miała dwie tłuste plamy. Patrząc na zabrudzoną sukienkę, przypomniała mu się anegdota: W trakcie obiadu w pewnym momencie żona wylała na siebie zupę. Patrząc na poplamioną sukienkę, mówi: „Wyglądam jak świnia”. Mąż spojrzał na nią uważnie i stwierdził: „Rzeczywiście! I jeszcze się zupą oblała!”.

Teresa aż tak źle nie wyglądała, chociaż prawie – włosy miała przetłuszczzone, a kurtka miała wystrzępione rękawy. Teresa dała mu do zrozumienia, że nie wierzy, iż się nią zainteresuje. „Ma rację! Dobrze mnie wyczuła!” – pomyślał. Teresa zachowywała się dziwnie. Chwilami sprawiała wrażenie całkowicie zagubionej, jak neurotyczka. Jej historia też nie trzymała się kupy. „W jaki sposób imigrantka bez wykształcenia nagle ze sprzątaczką została awansowana na dyrektorkę? Dlaczego zrezygnowała albo z niej zrezygnowano po dwudziestu latach pracy? Dlaczego wygląda tak biednie? Przecież będąc samotną, z pensją dyrektora hotelu w Niemczech powinno ją stać na fajne ciuchy – dziwił się w myślach. – Dlaczego przyszła na spotkanie tak niechlujnie ubrana?”. Roman ocenił, że Teresa musiała być osobą nieprzystosowaną do życia. Nie! Zdecydowanie nie była w jego typie i raczej nie miał ochoty się z nią spotykać.

Kiedy wstali od stolika, było po ósmej. Roman wiedział już, że to nie była właściwa osoba. Był przekonany, że Teresa miała poważne problemy emocjonalne.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że jest w depresji. Teresa przegrała swoje życie. Przypuszczalnie po utracie pracy siedziała w Niemczech z nadzieją na znalezienie nowego zajęcia, aż wydała wszystkie oszczędności. W końcu splukana wróciła do Polski. Przypomniała mu się piosenka zespołu Gogol Bordello o znamienym tytule *Last One Goes The Hope (Nadzieja odchodzi ostatnia)*. Teresa była świadoma zmarnowanych lat w Niemczech. Nie знаła życia w Polsce. Podejrzał też, że znalazła się w pułapce, z której nie widziała wyjścia. Poszukiwała więc mężczyzny zasobnego, który by z tej sytuacji ją wyciągnął. Roman doszedł do wniosku, że Teresa jest typem kobiety, która przyniesie tylko kłopoty. Mimo że była młoda i mogła być jeszcze matką, Roman wiedział, że nie chciałby takiej kobiety za matkę swoich dzieci. A przecież wchodząc w relację z młodą kobietą, nigdy nie wiadomo, dzieci mogły się przydarzyć. Jedno dla Romana było pewne: Teresa szukała jakiegokolwiek faceta z forszą, który wyciągnąłby ją ze skomplikowanej sytuacji życiowej.

Na zewnątrz było zimno i ślisko. Roman wziął Teresę pod rękę. zaproponował, że ją odwiezie, więc ruszyli w kierunku parkingu. Teresa mieszkała w bloku niedaleko Starówki. Wprowadził do GPS adres, który mu podała, i ruszyli. Po pięciu minutach byli na miejscu.

– To tutaj – powiedziała Teresa, wskazując na wysoki dziesięciopiętrowy blok. – Mieszkam na szóstym piętrze – dodała.

– Tak wysoko nie uda mi się wjechać – zażartował – ale podwiozę cię pod klatkę. Pod którą?

– Druga – odpowiedziała Teresa.

– To był bardzo uroczy wieczór. Dziękuję ci bardzo za poświęcony czas – rzekł. – W tej chwili nie mogę ci powiedzieć, czy i kiedy się jeszcze spotkamy. Umówmy się, że jeśli nie zadzwonię do piątego grudnia, to już się nie odezwę nigdy.

Niezdecydowanie Teresy po raz kolejny dało o sobie znać.

– Ja wiem, że i tak nie mam u ciebie żadnych szans. Jestem przekonana, że już nie zadzwonisz. Ale zgadzam się. Jeśli nie odezwiesz się do piątego, to znaczy, że już się nie spotkamy.

– No cóż, jeszcze raz dziękuję za przyjemny wieczór. Było mi miło cię poznać – powiedział, otwierając dla niej drzwi.

Teresa wysiadła, a Roman wrócił do Aleksandrowa.

ROZDZIAŁ 9

Środa, 1 grudnia 2010, godzina 20:52 CEST

Do domu Roman dotarł za dwanaście dziewiąta wieczorem, uznał więc, że nie jest zbyt późno, żeby zadzwonić pod kolejny numer. Kobieta odebrała już po drugim sygnale. Roman się przedstawił. Powiedział, że uzyskał jej numer z agencji matrymonialnej, której nazwę wymienił.

– Chciałbym zapytać, czy ma pani ochotę się ze mną spotkać – powiedział Roman.

– Tak – odpowiedziała kobieta.

– A co by pani powiedziała na spotkanie jutro wieczorem, może około osiemnastej? Czy to by pani odpowiadało?

– Jak najbardziej – odpowiedziała kobieta. – Może spotkajmy się w kawiarni Relaks?

– Jeszcze jedno – mam na imię Roman. Czy nie przeszkadzałoby pani zwracać się do mnie po imieniu? Będzie nam łatwiej rozmawiać.

– Jestem Wanda – odpowiedziała kobieta.

– Bardzo mi miło, Wandziu. Mam nadzieję, że mogę tak do ciebie mówić? Wanda brzmi zbyt oficjalnie.

– Ależ oczywiście, proszę bardzo – odpowiedziała.

– Muszę ci się przyznać, że nie za bardzo znam Toruń. Nie mam pojęcia, gdzie znajduje się kawiarnia Relaks. Proponowałbym w związku z tym spotkać się w jakimś miejscu, które znam, na przykład pod pomnikiem Kopernika albo przy Dworze Artusa.

– Spotkajmy się przy pomniku.

– Dobrze, jesteśmy więc umówieni – odpowiedział. – Jestem wysokim mężczyzną, będę miał na sobie czarną kurtkę i czapkę z daszkiem. Poza tym sztruksowe czarne spodnie i czarne buty. Przyjdę trochę wcześniej i będę czekał od strony ratusza.

– Znajdziemy się – dopowiedziała Wanda. – Będzie mi miło cię spotkać. Dobranoc!

– Dobranoc – odpowiedział i się rozłączył.

W czwartek Roman ubrał się tak jak zapowiedział przez telefon, wszedł w auto i pojechał do Torunia. Zaparkował pod mostem, skąd piechotą udał się na miejsce spotkania. Jak to miał w zwyczaju, przybył kilkanaście minut wcześniej. Czekał, obserwując przechodniów i zastanawiając się, z której strony nadejdzie Wanda. Dzień był mroźny. Na ulicy leżał szary rozdeptany śnieg. Była już osiemnasta, gdy wreszcie ją zauważył. Już z daleka uśmiechała się do niego. „Jest ładna, elegancka i zadbana” – stwierdził. Wanda miała na sobie ciepły beżowy płaszcz z kołnierzem ze srebrnego lisa, na nogach brązowe kozaczki, a na głowie

czapkę z czarnego futerka. „To chyba czarny królik” – pomyślał.

Zrobił kilka kroków w jej kierunku, żeby ją upewnić, że to o niego chodzi. Przywitali się uściskiem dłoni. Potem weszli do Domu Czekolady, aby się rozgrzać, i usiedli przy stoliku na piętrze. Pomógł jej zdjąć płaszcz. Pod spodem miała ładną bordową sukienkę z obcisłym zakietem w takim samym kolorze. Na szyi miała szeroki złoty łańcuszek. Czapki nie zdjęła. Wyglądała atrakcyjnie i uroczo, jak kobieta z renesansowego obrazu. Roman obserwował ją uważnie. „Jest bardzo atrakcyjna, ale nie w moim typie” – pomyślał. Prezentowała się jak typowa matka-Polka. Z jej akt w biurze matrymonialnym wynikało, że ma czterdzieści dwa lata, ale wyglądała na starszą. Ocenił ją na jakieś czterdzieści pięć, do czterdziestu ośmiu lat. „Wygląda starzej ze względu na dużą masę ciała” – pomyślał. Wanda była, jak to się mówi, kobietą przy kości. Zachowywała się jak pięćdziesięciolatka. Mentalnie była przede wszystkim matką i potencjalną babcią. Wanda miała dorosłego syna, który mimo że studiował w Trójmieście i na co dzień z nią nie mieszkał, był jej oczkiem w głowie. Widać było, że żyła głównie jego sprawami. Syn był głównym tematem jej opowieści. Mimo to Roman spędził uroczy wieczór. Wanda była bardzo miłą osobą i wdzięczną rozmówczynią z poczuciem humoru. Wyczuwało się w niej jednak pewien niepokój. Wanda nie była szczęśliwą kobietą. Chyba dokuczała jej samotność. Od sześciu lat rozwiedziona, przez cały ten czas była sama.

Roman znał takie kobiety. Mimo że w Polsce większość małżeństw rozwodzi się z inicjatywy kobiet, po rozwodzie to kobiety znajdują się w o wiele gorszym położeniu pod względem perspektywy powtórnego zamążpójścia. Częściowo bierze się to stąd, że w większości przypadków sąd przyznaje opiekę nad niepełnoletnimi dziećmi wyłącznie matce. Ma to miejsce dwadzieścia cztery razy częściej niż przyznanie wyłącznej opieki ojcu. W sumie prawie wszystkie rozwiedzione kobiety są zaangażowane w wychowanie dzieci, jako jedyne opiekunki albo jako główne współopiekunki, w porównaniu z tylko dwudziestoma trzema procentami rozwodników, z których zdecydowana większość pozostaje w przyznanym przez sąd obowiązku tylko sporadycznej opieki nad dziećmi, obejmującej najczęściej co drugi weekend. Roman podejrzewał, że w polskim patriarchalnym i głęboko konserwatywnym społeczeństwie była to forma ukarania kobiet za ich marzenia o szczęściu przy boku nowego mężczyzny oraz za inicjatywę rozwodu. Nie dziwiło go więc, że większość matek-Polek nie miała szansy na ułożenie sobie ponownie życia po rozwodzie. Zanim obciążona balastem wychowania dzieci rozwiedziona matka doczeka się, aż jej pociechy dorosną, ma już czterdzieści kilka lat oraz mentalną i fizyczną nadwagę. Nie ma żadnej szansy w rywalizacji z dwudziestokilkuletnimi panienkami lub młodymi bezdzietnymi rozwódkami, które chętnie angażują się w związki ze starszymi rozwiedzionymi mężczyznami – byłymi ojcami bez rodzicielskich obowiązków lub byłymi mężami

kobiet z dziećmi. Są to przecież sprawdzeni już tatusiowie i wyszkoleni mężowie. Roman podejrzewał, że podobnie jak większość rozwiedzionych Polek, Wanda czekała sześć lat, aż syn wydorósł na tyle, żeby ona mogła się zająć swoim własnym szczęściem. Nie wiedziała, biedula, że te lata samotnej matki nie skończą się wraz z odejściem syna w świat. Te lata wykształciły przecież mechanizmy i utrwaliły więzi, które długo jeszcze będą trzymały ją na końcu smyczy rodzicielskiej miłości do syna. Nie wiedziała, że czeka ją jeszcze wielka batalia z przyszłą synową o uczucia syna i o kobiecą dominację, walka, która może zakończyć się jej całkowitą klęską – utratą relacji z synem. Bo – jego zdaniem – Wanda miała wszelkie cechy przysłowiowej teściowej. Roman wyobraził sobie, jak któregoś dnia jej syn zaprosi do domu kilka koleżanek, a wśród nich swoją dziewczynę. A gdy już wszystkie wyjdą, syn zapyta matkę: „I co, mogłabyś powiedzieć, która jest moją dziewczyną?” „Myślę, że ta, co siedziała na kanapie jako pierwsza.” „Rzeczywiście! A jak to zgadłaś?” „Bo tej jednej nie polubiłam!” Wanda właśnie dojrzała do tego okresu życia, kiedy to polska matka-rozwódka wreszcie decyduje się szukać szczęścia w ramionach innego mężczyzny. Chociaż, zdaniem Romana, Wanda ciągle nie była na to gotowa. Nie rozumiała, że jej najlepszy czas na znalezienie wartościowego partnera już minął, ciągle jeszcze miała nadzieję spotkać księcia, ciągle jeszcze szukała romansu. Ale Wanda była osobą samodzielną, niezależną finansowo i dumną. Nie potrzebowała mężczyzny dla finansowego wsparcia. Chociaż przypuszczalnie marzyła o mężczyźnie, który da jej wsparcie moralne. W duszy życzył, żeby się jej udało. Jego wizja pary, w której kobieta będzie jego partnerką w podróżach, w ogóle jej nie zainteresowała. Toteż mimo że obdarowywała go komplementami, Roman zauważył, że się jej nie spodobał. Z ciągłego nawiązywania do jego wieku w słowach typu „Jak na swoje lata, to doskonale wyglądasz” – Roman wiedział, że przeszkadza jej jego wiek. Poza tym nie przemawiała do niej wizja wspólnego życia, którą jej przedstawił. Może dlatego, że nie znała żadnego obcego języka. Chociaż zadeklarowała, że chętnie nauczy się angielskiego. Tak czy inaczej, perspektywa jeżdżenia po świecie w ogóle jej nie pociągała. Zaskoczyło go to bardzo. Ponieważ wyemigrował z Polski jeszcze przed upadkiem komunizmu, pamiętał innych Polaków – każdy wtedy marzył, żeby pojechać gdzieś za granicę. A on naiwnie myślał, że jak przedstawi perspektywy podróży zagranicznych, to kandydatka od razu chwyci przynętę. Wanda jednak stąpała twardo po ziemi. Miała swój świat: swoją pracę, swojego syna, swoich przyjaciół – miała wszystko, czego potrzebowała do szczęścia. Może brakowało jej tylko tego wyśnionego księcia. Roman miał świadomość, że nim nie jest i że życie wędrowca w ogóle jej nie pociągało. I, chociaż nie powiedziała tego wprost, dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie jest zainteresowana większymi zmianami w swoim codziennym życiu.

Po czekoladzie odwiedzili pobliskie centrum handlowe, a później poszli do kina. Na sali Wanda zdjęła czapkę. Miała ładne długie włosy farbowane na kolor czerwono-rudawy, który doskonale harmonizował z sukienką. Musiał przyznać, że wyglądała prześlicznie. Po kinie Roman odwiózł ją do jej mieszkania. Żegnając się z nią, powiedział tylko, że przez następny tydzień będzie bardzo zajęty. Wiedział, że jej już więcej nie zobaczy.

– Masz mój telefon, proszę, zadzwoń, gdybym dłużej nie dawał znaku życia – powiedział, idąc do samochodu.

Zarówno on, jak i Wanda nigdy nie zadzwonili.

ROZDZIAŁ 10

Czwartek, 2 grudnia 2010, godzina 22:12 CEST

Roman wrócił do domu lekko sfrustrowany. Na liście pozostały mu już tylko trzy telefony, a jego początkowy optymizm i entuzjazm opadły. Dwa spotkania okazały się niewypałem. Zdecydował się zadzwonić pod kolejny numer dopiero następnego dnia, w piątek. Zadzwonił około dziesiątej rano. Miły damski głos odpowiedział już po pierwszym dzwonku. Tym razem z dużą swobodą Roman przedstawił się i wyjaśnił, dlaczego dzwoni.

– Mówiąc krótko, jeśli jest pani zainteresowana, to ja bardzo chętnie bym się z panią spotkał.

– Z przyjemnością się z panem spotkam – odpowiedziała.

– To może spotkajmy się dzisiaj? – zapytał Roman.

– Bardzo chętnie, ale nie wiem, skąd pan dzwoni, a ja jestem w Brodnicy. Poza tym pracuję do godziny czwartej. Czy przeszkadzałoby panu podjechać pod Urząd Miejski w Brodnicy około godziny szesnastej?

– Absolutnie nie, nie widzę przeszkód – odpowiedział Roman. – Będę czekał o szesnastej pod urzędem miejskim w czarnym bmw. Czy mógłbym tylko prosić o adres, a przynajmniej nazwę ulicy, przy której znajduje się urząd? Zgaduję, że jest tam jakiś parking?

– Tak, jest, i to spory, nie powinno być problemu z parkowaniem. To jesteśmy umówieni – odpowiedziała kobieta. – Ulica Kamionka numer 23. Do zobaczenia!

– Do zobaczenia – odpowiedział Roman.

Brodnica nie była daleko, jednak miał do przejechania przeszło osiemdziesiąt kilometrów. Na wszelki wypadek, żeby się nie spóźnić, wyjechał pół godziny wcześniej. Dojechał pół godziny przed szesnastą, miał więc dosyć czasu, żeby znaleźć dogodne miejsce na parking. Ustawił samochód przodem do drzwi wejściowych urzędu, dzięki czemu mógł obserwować wszystkich wychodzących ludzi. Kobieta, z którą się umówił, ukazała się w drzwiach dokładnie o godzinie szesnastej. Rozpoznał ją po tym, że po wyjściu rozejrzała się po parking, a zauważywszy bmw, ruszyła prosto w kierunku samochodu. Mimo że była dopiero czwarta, na zewnątrz było już ciemno. Parking oświetlały latarnie, Roman mógł więc ją obserwować w miarę, jak się zbliżała. Podeszła do samochodu od strony pasażera, otworzyła drzwi i usiadła na fotelu.

– No to żeśmy się spotkali – zaczęła.

– Ja też się cieszę – odpowiedział Roman. – Przypomnę, że na imię mam Roman i proszę się tak do mnie zwracać.

– Danusia – odpowiedziała kobieta.

– To pięknie – stwierdził Roman. – Mogłabyś mi podpowiedzieć jakieś fajne

miejsce, kawiarnię lub restaurację, gdzie moglibyśmy usiąść i porozmawiać w spokoju? Chyba że wolisz, żebyśmy pogadali w samochodzie?

– Nie, nie. Jest taki zajazd pod miastem i pomyślałam, że będzie nam miło spędzić tam czas i pogadać. Nawet zrobiłam już rezerwację.

– No to świetnie! Proponuję, żebyś mną pokierowała, jak tam dojechać.

Ruszyli. Roman prowadził według wskazówek Danusi i po jakichś dziesięciu minutach zobaczył duży przydrożny zajazd.

– To tam – powiedziała Danusia.

Wjechał na parking. Zajazd był typową chatą góralską. Jednak w odróżnieniu od większości zajazdów tego typu, ten składał się z dużej liczby małych pomieszczeń. Kelnerka przywitała Danusię jak dobrą znajomą.

– Wszystko gotowe – powiedziała. – Proszę za mną.

Roman bez słowa podążał za Danusią, która szła śladem kelnerki. Ta zaprowadziła ich do małej salki, w której znajdowały się tylko dwa różnej wielkości stoły.

– Proszę się rozgościć – wskazała ręką większy stół.

Stał na nim pojemnik z lodem, z którego wystawała butelka szampana.

– Mam nadzieję, że to nie jest prawdziwy szampan. Muszę prowadzić samochód – powiedział Roman.

– Nie obawiaj się. To jest bezalkoholowe wino musujące – odpowiedziała.

– Wobec tego wszystko w porządku.

Usiedli. Kelnerka położyła przed nimi menu, po czym się oddaliła. Roman z ciekawością obserwował Danusię. Zdjęła futro i czapkę, w które była ubrana, wychodząc z biura. I futro, i czapka wyglądały na drogie. Uszyte były z naturalnego futerka w kolorze brązu z ciemnymi smugami. Roman podejrzewał, że to norki. Danusia miała na sobie elegancki seledynowy kostium, na nogach przezroczyste rajstopy i brązowe kozaczki. Ładna, pozbawiona zmarszczek, owalna twarz otoczona była czupryną krótkich rudawych włosów. Oczy i rzęsy miała umalowane na czarno. Na powiekach miała dyskretne cienie wpadające w pomarańcz. Wyglądała zjawiskowo. Zaciekawiała go. Czy mogę ci zadać niedyskretne pytanie? – zapytał Roman. – Czy zawsze chodzisz tak elegancko ubrana do pracy, czy przebrałaś się po moim telefonie? Muszę przyznać, że wyglądasz prześlicznie.

– Zawsze tak się ubieram do pracy. Na moim stanowisku to konieczność.

– Jeśli pozwolisz, to ja zamówię – zaproponowała po chwili. – Dostyc dobrze znam tutejsze menu i jakość produktów. Wiem, co jest dobre, i myślę, że w ten sposób unikniesz przykrej niespodzianki.

– Zamów, proszę – zgodził się Roman. – To twoje podwórko. Zdaję się całkowicie na ciebie.

Na stole znajdował się wbudowany dzwonek, który Danusia przycisnęła,

żeby przywołać kelnerkę. Roman niespecjalnie przysłuchiwał się, jak składała zamówienie, toteż było dla niego miłą niespodzianką, gdy po jakichś piętnastu minutach kelnerka wróciła z tacą, na której leżała upieczona kaczka faszerowana jabłkami. Po chwili kelnerka postawiła obok niej miskę z czerwoną kapustą, a przed każdym z nich talerz z dwoma pampuchami. Na stole znalazła się też żurawina oraz pieprz i sól. Kaczka była bardzo smaczna. Doskonale komponowała się z kapustą duszoną w winnym occie i z pampuchami. Danusia polala pampuchy sosem, który wyciekł z kaczki, i smakowały wyśmienicie. Również musujący szampan okazał się smaczny, był wytrawny i doskonale harmonizował z kaczką. Jedli, nie spiesząc się.

– Może na początek opowiesz mi coś o sobie – poprosiła Danusia.

– Oczywiście – odpowiedział. – Zacznę od tego, że jestem w Polsce na wakacjach i będę tutaj do końca stycznia. Później wracam do swojego domu w Meksyku, gdzie od sześciu lat mieszkam na stałe. Prowadzę tam biznes i mieszkam z dorosłym synem. Mam sześćdziesiąt dwa lata. Dużo pływam i regularnie ćwiczę w sali gimnastycznej, którą mam u siebie w domu. Ze sportów lubię wszystko, ostatnio najwięcej chodzę po górach. Ale najbardziej lubię jeździć na łyżworolkach, chociaż ostatnio nie miałem wiele okazji, aby to robić. Bo chociaż w Meksyku jest sporo tras do jeżdżenia, są przeznaczone głównie dla rowerów. Trudno po nich jeździć na rolkach, bo są źle utrzymane: są pęknięcia, leżą na nich kamienie, kamyczki i gałązki, więc łatwo jest się przewrócić i poturbować. Po dwóch próbach, które zrobiłem na początku pobytu, zrezygnowałem z jazdy i rolki od lat leżą nieużywane w szafie. Uwielbiam też jeździć na nartach, ale w Meksyku – niestety – praktycznie nigdzie nie ma warunków. Trzeba by jechać do Stanów Zjednoczonych. Aż takim zapalonym narciarzem nie jestem, w związku z tym muszę się ze wstydem przyznać, że ani razu nie pojechałem do Kolorado na narty. Jestem rozwiedziony od dziesięciu lat – kontynuował Roman. – Mam dorosłe dzieci: córkę i syna. Jak już wspomniałem, syn ze mną mieszka i pracuje. Córka mieszka w Kanadzie, dokąd zawiozłem całą rodzinę po emigracji z Polski. Wyemigrowaliśmy w 1987 roku. Moja eksmałżonka też mieszka w Kanadzie, natomiast ja po czternastu latach pobytu wyjechałem najpierw do Polski, a później do Meksyku. To chyba wszystko, jeśli chodzi o mnie. Może teraz ty mi opowiesz trochę o sobie?

– Zgoda – odpowiedziała Danusia. – Mam czterdzieści trzy lata. Jestem naczelnikiem wydziału oświaty w Brodnicy. Pracuję dla obecnego burmistrza. Mam dom pod miastem, w którym mieszkam z dorosłą córką i zięciem. Dom jest duży i w zasadzie nie wchodzimy sobie w drogę. Proponuję, żebyśmy po skończeniu obiadu pojechali do mnie – zapraszam na kawę i ciasto. Wtedy przedstawię ci moją córkę i zobaczysz, gdzie mieszkam.

– Dobry pomysł – powiedział Roman.

– Jeśli chodzi o moją sytuację zawodową – kontynuowała Danusia – to jest w miarę stabilna, chociaż to może się wkrótce zmienić. Nie wiem, czy się orientujesz, jak wygląda obsada kierowniczych stanowisk w urzędach miejskich. Co cztery lata odbywają się wybory i wybrany burmistrz mianuje swoich kandydatów. Wybory w tym roku już się odbyły, ale nie zostały rozstrzygnięte. W najbliższą niedzielę odbędzie się druga tura. Należy się spodziewać, że w tę niedzielę nastąpi rozstrzygnięcie. Jeśli wygra obecny burmistrz, wówczas moja posada jest bezpieczna na następne cztery lata. Jednak jeśli burmistrz przegra, to przypuszczalnie będę musiała się pożegnać ze stanowiskiem.

– A to ciekawe – powiedział Roman. – I mówisz, że rozstrzygnięcie będzie już w tę niedzielę?

– Tak, w niedzielę.

– Rozumiem – skwitował Roman.

W międzyczasie olbrzymia kaczka została prawie w całości skonsumowana. Danusia jadła z apetytem, Romanowi również bardzo smakowało. Była prawie siódma wieczorem, kiedy skończyli posiłek. Roman nacisnął dzwonek i przywołał kelnerkę, której zapłacił za obiad.

– Jeśli pozwolisz, pojedziemy z powrotem pod urząd. Zabiorę stamtąd swoje auto, a później ty będziesz jechał za mną do mojego domu – powiedziała Danusia.

– Zgoda – odpowiedział Roman.

Pomógł Danusi się ubrać i poszli do samochodu. Już był pewien. Futro było z norek, było bardzo lekkie i miłe w dotyku. Podjechali pod urząd, zabrali samochód i udali się w drogę do jej domu. Przy wejściu natknęli się na córkę Danusi, która chyba na nich czekała. Danusia mu ją przedstawiła. Obie kobiety bardzo się różniły. Danusia nie liczyła więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, była szczupła i filigranowa. Jej córka natomiast była kobietą wysoką i potężną. Danusia zaprowadziła go do swojej części domu i poczęstowała kawą i ciastem, tak jak obiecała.

– Będę z tobą szczerą – powiedziała w pewnym momencie Danusia. – Nie widzę możliwości, żebym mogła z tobą wyjechać do Meksyku. Jak widzisz, mam tutaj swoją pracę, swoje życie, córkę, która niedawno wyszła za mąż, i bardzo możliwe, że wkrótce zostanę babcią. Poza tym nie znam specjalnie języków. Poza polskim nie władam żadnym innym.

– Rozumiem – odpowiedział Roman. – Dziękuję za szczerą. Chyba będę już uciekał, bo jednak ciągle mam przed sobą daleką drogę, a już jest po ósmej. Będę ci wdzięczny, jeśli powiesz mi, jak stąd wyjechać, bo pamiętam, że skręciliśmy w kilka polnych dróg i nie jestem pewien, czy uda mi się odnaleźć powrotną drogę.

– Nie musisz jechać tą samą drogą. Jak wyjedziesz z podjazdu, to skręć w lewo, a później, po ujechaniu jakichś stu pięćdziesięciu metrów – w prawo.

Potem pojedziesz prosto. Dojedziesz bezpośrednio do drogi S10, która prowadzi z Warszawy do Torunia. W ten sposób ominiesz całkowicie miasto.

– Wspaniale, to mi rzeczywiście uprości drogę.

Roman skończył kawę, wstał, podziękował za poczęstunek, uściskał Danusię i się oddalił.

Jadąc zaśnieżonymi polnymi drogami, skupił się całkowicie na prowadzeniu samochodu. Dopiero gdy znalazł się na drodze S10, uzmysłowił sobie, że dostał kosza. „Cholera! – pomyślał. – Prawie cała lista z głowy i w zasadzie nie znalazłem nikogo”. Wracał ze świadomością przegranej. Dojechał do domu z myślą o poniesionej porażce. Danusia mu się bardzo podobała.

ROZDZIAŁ 11

Piątek, 3 grudnia 2010, godzina 22:48 CEST

Następnego dnia była sobota. Roman zdecydował się zadzwonić pod czwarty, przedostatni numer telefonu ze swojej listy dopiero po południu. Zadzwonił około dziewiętnastej. Damski głos odezwał się dopiero po czwartym dzwonku. Mówiąca osoba sprawiała wrażenie rozbawionej. Rozmawiała w sposób radosny i zachęcający. Szybko też udzielił mu się jej nastrój. Swobodnym głosem przedstawił się i wyjaśnił, dlaczego dzwoni.

– Bardzo chętnie się z panem spotkam – powiedziała kobieta. – Może spotkajmy się jutro wieczorem o osiemnastej gdzieś w centrum Torunia? – zaproponowała.

– Jutro wieczorem mi odpowiada – powiedział Roman. – Z tym że muszę się do czegoś przyznać. Nie jestem z Torunia i nie bardzo znam miasto. Prosiłbym, żeby pani wyznaczyła miejsce spotkania.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała kobieta. – Proponuję, żebyśmy spotkali się Pod Modrym Fartuchem. Jest to gospoda, która znajduje się na Nowym Rynku i bardzo łatwo pan ją znajdzie.

– To jesteśmy umówieni jutro Pod Modrym Fartuchem – powtórzył Roman. – Do zobaczenia, do jutra! Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedziała kobieta i się rozłączyła.

Następnego dnia, około godziny drugiej po południu, Roman dostał zaskakującego SMS-a. Ze zdziwieniem stwierdził, że pochodzi od Danusi. „Kupiłam nową sukienkę. Mam nadzieję, że będziesz przy mnie, żeby mi powiedzieć, jak w niej wyglądam, a potem pomożesz mi ją zdjąć” – przeczytał i się uśmiechnął. Przypomniał mu się stary dowcip, w którym kobieta ze Szczecina wysłała SMS-a do swojego przyjaciela w Ustrzykach Górnych o treści: „Mąż wyjechał, przyjeźdź, proszę”. Jednakże przyjaciel zignorował wiadomość. Godzinę później dostał SMS-a o treści ponaglącej: „Mąż już wypłynął, przyjeżdżaj!”. Także tę wiadomość zignorował. Po następnej godzinie otrzymał trzeci SMS o treści: „Mąż wyjechał, będziemy się kochać. Przyjeźdź, proszę”. Natychmiast odpisał: „Aluzję zrozumiałem. Przyjeżdżam”. Jednakże Roman, w przeciwieństwie do bohatera anegdotki, całkowicie zignorował treść SMS-a. Za to sprawdził w Internecie wyniki wyborów w Brodnicy. Aktualny burmistrz wybory przegrał.

Romana ciekawiła bardzo ta ostatnia kobieta, która dzień wcześniej rozmawiała z nim takim wesołym głosem przez telefon. Starannie więc się wyszykował i około godziny siedemnastej wyszedł z domu. Jak zwykle przyjechał wcześniej, zaparkował pod mostem i piechotą przeszedł przez Stare Miasto.

Specjalnie wyjechał z domu wcześniej, żeby mieć czas na odnalezienie gospody. Znalazł ją prawie natychmiast. Znajdowała się na rogu ulicy Browarnej i Rynku Nowomiejskiego. Czując, że zmarzł, wszedł do środka. Restauracja miała dwa poziomy, gości nie było na żadnym. Zdecydował się zająć miejsce przy stoliku pod oknem na górze. Usiadł na wprost wejścia. Zamówił herbatę i czekał. Oczekiwana kobieta okazała się osobą zjawiskową. Przyszła punktualnie. Weszła, a raczej jakby frunęła. Długi czarny płaszcz, który miała na sobie, nosiła rozpięty – falował jak peleryna wróżki. Była bez nakrycia głowy. Jej krótkie czarne włosy falowały w rytm jej kroków. Na nogach miała kozaki i ubrana była w czarną bluzkę i czarne spodnie rybacki. Jej twarz wyglądała bardzo młodo, co zdziwiło Romana, który obok numeru telefonu miał wpisaną liczbę czterdzieści trzy. Kobieta zdecydowanie nie wyglądała na tyle lat. Była szczupła i bardzo wysoka. Jako że był jedynym gościem w całej restauracji, zdecydowanym krokiem podeszła do jego stolika. Wstał i się przywitał. Przedstawił się i poprosił, żeby się do niego zwracała po imieniu.

– Jestem Krystyna – odpowiedziała kobieta.

Krystyna urzekła i zafascynowała go od pierwszej chwili. Miała tę rzadką zdolność kontrolowania swojego nastroju i widać było, że wprowadziła się w stan pozytywny, toteż rozmowa z nią była lekka, bardzo łatwa i dawała wiele przyjemności. Roman, który nie jadł kolacji, zaproponował, że może by coś zjedli, jednak Krystyna odmówiła. Zamówiła tylko herbatę. Roman opowiedział jej o sobie. Napomknął, jakiej osoby poszukuje. Powiedział, że dobrze by było, gdyby jego nowa partnerka mówiła jednym z dwóch języków – po hiszpańsku albo angielsku.

– Nie mówię żadnym z tych języków, ale bardzo chętnie się nauczę – powiedziała po prostu.

Bardzo go tym ujęła. Spędzili w restauracji jeszcze około dziesięciu minut, chociaż od początku widać było, że się doskonale zgadzają i rozumieją. Krystyna opowiedziała mu, że pracuje w urzędzie miejskim w Toruniu na stanowisku kierownika wydziału ewidencji i rejestracji. Ma dorosłą córkę, z którą mieszka w domku pod Toruniem. Powiedziała mu też, że dzień wcześniej były jej imieniny, które obchodzi w dniu Barbórki. W tym momencie Roman skonstatował, że właśnie następnego dnia stukną mu sześćdziesiąt trzy lata. Zaprosił więc Krystynę na obiad urodzinowy z sushi. Przyjęła zaproszenie z wdzięcznością. Roman odnosił wrażenie, że Krystyna dokąds się śpieszy. Nie zatrzymywał jej więc i zdecydował się zjeść obiad w restauracji Radwan w pobliżu swojego domu. Zapłacił za herbatę i wyszli na zaśnieżony rynek. Okazało się, że auto Krystyny jest zaparkowane w pobliżu. Spytał, czy mogłaby go podrzucić na parking pod mostem, do którego z tego miejsca było przynajmniej półtora kilometra.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała Krystyna.

Jeździła brązową toyotą avensis. „Bardzo sympatyczne auto dla kobiety” – stwierdził Roman. Podwiozła go do samochodu i tam się pożegnali.

– To rozumiem, że jesteśmy umówieni. Jutro spotykamy się na obiedzie, a później zobaczymy. Zadzwońię około szesnastej trzydzieści, żeby podać ci nazwę restauracji. Poproszę cię o numer telefonu.

Zapisał numer w swojej komórce. Był to ten sam, który już znał.

– Czy to jest numer komórkowy? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała.

Od razu zadzwonił. Prawie natychmiast zabrzmiał fragment sonaty Beethovena *Moonlight* w komórce Krystyny.

– Nie musisz odbierać, to ja dzwonię – powiedział. – W ten sposób masz już mój numer.

– Aha – skwitowała Krystyna.

– Dziękuję za podwiezienie. Dobrej nocy i do jutra – powiedział Roman na pożegnanie.

– Dobranoc, do jutra.

Tym razem Roman wrócił do domu jak na skrzydłach. Krystyna podobała mu się bardzo. „Miałem dużo szczęścia” – pomyślał. Zaczął patrzeć w przyszłość z olbrzymią nadzieją i z dużym optymizmem. Następnego dnia, gdy obudził go sygnał komórki, była prawie godzina jedenasta. Ku jego zdziwieniu otrzymał następny SMS od Danusi, która pisała: „No i sama musiałam zdjąć sobie sukienkę. Mam nadzieję, że pomożesz mi przy następnej”. Roman się uśmiechnął i zignorował wiadomość. Z niecierpliwością czekał na następne spotkanie z Krystyną.

ROZDZIAŁ 12

Niedziela, 5 grudnia 2010, godzina 19:11 CEST

Krystyna wracała ze spotkania z Romanem cała w skowronkach. Randka była ekscytująca. Znowu czuła się jak nastolatka. Miło było poznawać i odkrywać tego nowego mężczyznę, jej mężczyznę. Bo nie wątpiła, że im się uda. Roman podobał się jej bardzo. Był przystojny i miał przyjemną aparycję. Był zrównoważonym i miłym człowiekiem. Ona chyba też mu się spodobała. Przed nimi prawie dwa miesiące, żeby lepiej się poznać. Znajomość zapowiadała bardzo ciekawe perspektywy na podróżowanie. W głowie miała mętlik. Sytuacja dla niej była nowa. Była wdową od trzech lat, a że jej świętej pamięci mąż ciężko chorował przez dwa ostatnie lata, w sumie już prawie od pięciu lat była samotna. „Ciekawe, jak zareaguje Dorota” – pomyślała o swojej córce. Dorota była już dorosła, chociaż jako studentka pozostawała na jej utrzymaniu. Uważała ją za najbliższą swoją przyjaciółką. To właśnie Dorota zachęciła ją, żeby zajęła się sobą i kogoś sobie znalazła. To ona wysłała ją do biura matrymonialnego. Była szczęśliwa i dumna, że ma takie dobre relacje z córką. Śmierć męża bardzo je do siebie zbliżyła. Podekscytowana, nie mogła się już doczekać, żeby jej wszystko opowiedzieć. Zaczęła myśleć o tym, co jej powie, i nawet nie zauważyła, kiedy zaczęła marzyć na jawie. Nigdy nie była za granicą. Bo przecież trudno za taki uważać wyjazd do NRD, jeszcze za czasów komuny. Była więc ciekawa świata i innych ludzi. Mogła mieć tylko nadzieję, że Roman dotrzyma słowa i rzeczywiście ją zaprosi do Meksyku. W zasadzie mu wierzyła, ale mimo to miała wątpliwości. W dobrym nastroju dojechała do domu.

– I jak udała się randka? – zapytała Dorota, gdy tylko matka stanęła w progu domu.

– Było bardzo miło – odpowiedziała Krystyna.

– A ten facet? Jaki jest? – zapytała Dorota.

– Wysoki, potężny, szpakowaty, trochę łysiejący na czubku głowy. Bardzo miły i przyjemnie spędziłam z nim czas.

– I co, będziecie się spotykali? – indagowała Dorota.

– Myślę, że tak – odpowiedziała Krystyna. – Ale on mieszka w Meksyku, wyjeżdża na początku lutego. Zaprosił mnie, żebym go tam odwiedziła. Mam pojechać tam na wiosnę.

– A, to wspaniale! – uradowała się Dorota. – Ale masz szczęście! Pojechać do Meksyku – sama bym tak chciała!

– Powolutku, powolutku! Jeszcze nie jadę – sceptycyzm wziął jednak górę. – To wszystko jeszcze przede mną. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Pozwolisz, że pójdę spać – dodała po chwili. – Czuję się zmęczona, a jutro znowu trzeba wstać rano do pracy. Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedziała Dorota i wróciła do swoich zajęć.

Krystyna poszła do swojej sypialni i położyła się do łóżka. Nie mogła zasnąć. Podobał się jej ten mężczyzna. Pragnęła męskiej obecności w swoim życiu. Miała już dość samotnych nocy i samotnego życia. Pragnęła wesprzeć się na mocnym ramieniu mężczyzny. Wierciła się na łóżku, rozmyślając o tym, co przyniesie jej przyszłość, oraz o wyjeździe do Meksyku. Przypominała sobie, o czym rozmawiali – że dobrze by było, żeby nauczyła się jakiegoś obcego języka. Hiszpański jej nie pociągał. Zastanawiała się natomiast, czy jest możliwe, żeby nauczyła się angielskiego. Zawsze marzyła, żeby móc porozumiewać się w tym języku. Jakoś do tej pory nie miała motywacji, żeby się go nauczyć. Teraz postanowiła się za to wziąć, zdecydowała zapisać się na kurs jak najszybciej. „Może jednak nie ma się co spieszyć? Będzie jeszcze na to czas – pomyślała sceptycznie. – Teraz najważniejsze jest lepiej się poznać”. Uzmysłowała sobie, że jutro znowu ma z nim randkę. Ucieszyła ją ta myśl. Roman zaprosił ją do restauracji na sushi. Nigdy w życiu nie jadła sushi i była ciekawa, jak będzie smakowało. Z tego, co mówił Roman, był ich smakoszem. Powiedział jej, że jest to drugie jego ulubione danie po homarach. To była ostatnia jej myśl, zanim usnęła.

Po raz pierwszy jadła sushi. Kęs, który próbowała przełknąć, rósł jej w ustach. Z trudem się przemogła, żeby w ogóle ugryźć kawałek. Gdyby nie popijała sake, przypuszczalnie nie dałaby rady przełknąć tego kęsa. Już wie, sushi to nie dla niej. Może spokojnie się bez niego obyć. Roman widząc, że jej nie smakuje, przywołał kelnerkę i zamówił dla niej warzywną tempurę. Następnie opowiedział jej o sobie, o swojej pracy w Meksyku, o tym, jak żyje. zaproponował też, żeby zanim on wyjedzie, jak najwięcej czasu spędzali razem. Powiedział jej, że jego syn przylatuje w następnym tygodniu i dwudziestego trzeciego wyjeżdżają na świąteczny tydzień do Tunezji. Poprosił też, aby następnego dnia umówili się na kawę w Toruniu. Przyjęła zaproszenie z ochotą. Będzie doskonała okazja, żeby się wyrwać na krótko z pracy i spędzić kolejną chwilę razem. Roman zapowiedział, że wróci trzydziestego grudnia, i zaproponował, żeby spędzili razem sylwestra – jeśli oczywiście ona nie ma innych planów. Nie miała, więc zgodziła się bardzo chętnie. Następnie zaproponował, żeby przez okres jego pobytu trochę pojeździć i pozwiedzać Polskę.

– W każdy weekend możemy gdzieś pojechać – powiedział. – W najbliższy najchętniej zwiedziłbym Wrocław. Nigdy nie widziałem Panoramy Raławickiej. Sprawdziłem w Internecie – zimą jest otwarte. Byłabyś zainteresowana? A jeśli tak, to czy mogłabyś wziąć wolne na czwartek i piątek? Wrócilibyśmy w niedzielę po południu.

– Myślę, że mogę – odpowiedziała Krystyna i w ten sposób plany zaczęły się

krystalizować.

– A mogłabyś wziąć wolne od poniedziałku dwudziestego do czwartku dwudziestego trzeciego i pojechałobyśmy do Warszawy? Albo chociaż na środę i czwartek?

– Od środy na pewno. Spróbuję jednak załatwić sobie wolne od poniedziałku.

– No to postanowione. Mamy plany do końca roku. Tak przy okazji – zrobiłem już rezerwację na bal. Przepraszam, że tak bez uzgodnienia z tobą. Musiałem, bo miejsca szybko się sprzedają. Styczeń zaplanujemy po moim powrocie z Tunezji.

Brzmiało to dobrze. Krystyna chętnie się zgodziła. Jeszcze raz obiecała, że weźmie urlop, żeby mogli pojechać i do Wrocławia, i do Warszawy. Roman, poza obejrzeniem Panoramy Raławickiej, innych specjalnych planów nie miał. Powiedziała, że ma tam przyjaciół i jeśli jemu to nie przeszkadza, będzie jej miło ich spotkać. Chętnie się zgodził. Ze swej strony powiedział jej, że ma przyjaciół w Warszawie i jeśli ona z kolei nie ma nic przeciwko, chętnie ją im przedstawi. Zgodziła się.

Do Wrocławia pojechali pociągiem. Roman kupił bilety na pierwszą klasę i powiedział, że tak będzie lepiej, niż jechać samochodem. Na miejscu mieli korzystać z taksówek. Zatrzymali się w nowo otwartym hotelu Platinium Palace. Jej przyjaciele nawalili i na spotkanie przyszedł tylko jeden znajomy. Mężczyzna okazał się nijaki, ale Krystyna okazywała mu zainteresowanie i widać było oznaki wielkiej zażyłości między nimi. „To chyba jej były kochanek” – pomyślał Roman. Czuł się jak piąte koło u wozu. Czuł się poniżony i zlekceważony. Starał się wytłumaczyć jednak sobie, że przecież ona jest zdrową kobietą z potrzebami i jako taka na pewno ma jakąś przeszłość, że nie ma w stosunku do niego żadnych zobowiązań, że przecież dopiero co ją poznał. Ale było mu przykro. Zajął mu też dużo czasu, żeby przejść nad tym do porządku. Uznał, że zaproszenie tego faceta na randkę z nim było zwykłym świństwem. Gdyby nie to wydarzenie, uznałby wycieczkę za bardzo udaną.

Mimo zimy – śniegu i mrozu, również dla Krystyny była to urocza wyprawa. Dużo czasu rano spędzali w hotelu na pieszcotach. Później szli zwiedzać muzea, a wieczorami wędrowali po odświętnie wystrojonym rynku w towarzystwie jej przyjaciela, wstępując do knajpek na ciepłe napoje lub posiłki. W sobotę jej przyjaciel się nie pokazał. Gdy przechodzili koło sklepu Mody Polskiej na Starym Mieście, Roman zaproponował, żeby wstąpili poszukać dla niej kreacji na sylwestra. Krystyna przymierzyła kilka sukienek. Wybrała jedną, bardzo ozdobną, całą pokrytą czarnymi cekinami. W sumie wyjazd okazał się atrakcją w jej dotychczas monotonnym życiu. Trzy dni upłynęły bardzo szybko i ani się spostrzegła, jak była już niedziela i trzeba było wracać do domu. Jednak były to

trzy dni pełne wrażeń i wydarzeń. Panorama Raławicka ich zachwycała. Zwiedzanie innych muzeów też było dużą atrakcją. Wrocław urzekł ich swoim urokiem. Przyjaciel podpowiedział jej, że na rynku jest sporo figurek krasnali, które są jedną z ciekawostek miasta. Spędzili więc sporo czasu na wyszukiwaniu i lokalizowaniu każdej z nich.

Mimo że pociąg był wyłącznie z miejscówkami, korytarze były pełne podróżnych, głównie młodzieży. „No tak, dwudziesty trzeci grudnia, dzień przedświąteczny – pomyślała Krystyna. – Studenci i uczniowie jadą do domów na święta”. Wracła do domu po wycieczce do Warszawy. Wcześniej rano pożegnała Romana, który o dziewiątej rano odlatywał z synem do Tunezji. Nie pojechała z nim na lotnisko. Głównie dlatego, że nie lubiła pożegnań, ale także dlatego, że Roman nalegał, żeby została w hotelu i chociaż trochę odespała zarwaną noc. W środę wieczorem odwiedzili przyjaciół Romana w Otwocku. Była to bardzo miła para. Krystyna i Roman zostali podjęci wystawną kolacją. Wyszli od nich późno. W hotelu byli dopiero po pierwszej w nocy.

– Doba hotelowa kończy się w południe. Pociąg masz o pierwszej po południu. Stąd taksówką do Centralnego zajmie nie więcej niż piętnaście minut. Możesz spokojnie spać. Śniadania serwują co prawda tylko do dziesiątej, ale przyniosę ci kanapkę. Kawę zrobisz sobie w pokoju. Masz jakieś życzenie co do kanapki? – zapytał.

Roman był już gotowy do wyjścia na śniadanie do hotelowej restauracji.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Zrób mi kanapkę z żółtym serem – dodała, gdy się zbliżył, aby ją pocałować.

Zegar obok łóżka wskazywał 6:52. Była wdzięczna Romanowi, że nie musi jechać na lotnisko. Potrzebowała kilku godzin dobrego snu.

Z trudem precyzyjnie się do swojego przedziału. Na jej miejscu siedział jakiś facet. Na szczęście odszedł bez protestu, gdy pokazała mu swoją miejscówkę. Usiadła i próbowała czytać – specjalnie w tym celu kupiła książkę, ale szybko się zniechęciła. Wtuliła głowę w płaszcz i zaczęła rozmyślać. Od czasu poznania Romana jej życie uległo dużej zmianie, przestało być monotonne. Nadal chodziła do pracy i w tym względzie nic się nie zmieniło. Wstawała jak przedtem o szóstej rano, by o ósmej być w biurze. Rzadko była w domu przed siedemnastą. Niewiele więc czasu zostawało jej dla niej samej. Od razu też brała się za prace domowe. Najpierw trzeba było przygotować obiad, potem ogarnąć mieszkanie, a później zostawało tylko tyle czasu, że, jeśli nie była zbyt zmęczona, mogła obejrzeć jakiś program w telewizji. Dawno już jednak uznała, że telewizja jest nudna, i najczęściej po prostu szła wcześniej spać, z książką do poduszki. Sobotę zwykle poświęcała na sprzątnięcie mieszkania, a niedzielę na przygotowanie obiadów na

następny tydzień. Obecność Romana w jej życiu wszystko zmieniła. Wreszcie miała sensowny powód, żeby wziąć urlop. Po raz pierwszy wzięła wolne w grudniu. Warto było. Wypad do Warszawy też bardzo się jej podobał. Żałowała, że ta eskapada upłynęła tak szybko. „Pewnie dlatego, że było tak fajnie” – pomyślała. Ledwie co zameldowali się w hotelu, zaraz pędzili do teatru. Zupełnie jak za panińskich czasów weszli na wejściówki, a że spóźnili się kilka minut, musieli do antraktu siedzieć na schodach. Było warto. *Klimakterium* to świetna komedia, dawno już tak serdecznie się nie uśmieła. Zatrzymali się w hotelu Le Regina na Starówce. Roman powiedział jej, że zawsze zatrzymuje się w tym hotelu, gdy przyjeżdża do Warszawy na dłużej. Hotel też się jej bardzo podobał. Zgodziła się z nim, że dania w hotelowej restauracji są wyśmienite, chociaż najczęściej jadali na mieście. Roman twierdził, że poznawanie restauracji, barów i kawiarni to jak odkrywanie duszy miasta.

W Warszawie trudno jest się nudzić, nawet zimą. W odróżnieniu od Wrocławia, nie zwiedzali muzeów. Skupili się na „oddychaniu” ogólną atmosferą miasta – wałęsali się po Starówce i zaśnieżonych parkach, trzymając się za ręce, od czasu do czasu się całując. Jak zmarzli, wstępowali do knajpek na ciepłe napoje lub posiłki. Któregoś razu, gdy przechodzili w pobliżu dużego centrum handlowego, Roman zaproponował, żeby weszli do środka. Krystyna zgodziła się z ciekawości, co zamierza tam kupić. Zaprowadził ją do butiku z bielizną Triumpha.

– Muszę ci się przyznać do mojej słabostki. Uwielbiam ładną damską bieliznę. Będziemy więc często ją dla ciebie kupowali. Nie pogniewasz się, jeśli coś dla ciebie wybiorę? – zapytał nieśmiało.

– O! Taką słabostkę na pewno polubię – odpowiedziała.

– Jest więcej! Będę podglądał, jak przymierzasz. Będzie okej?

– Jak tylko nie będziesz złośliwie komentował, to będzie mi się to nawet podobało.

Mieli dużo uciechy z przymierzania przez nią bielizny. Roman bardzo rozsądnie jej doradzał i był bardzo pomocny w wybieraniu modeli. To też było dla niej nowe. Wyszli z butiku z dwoma kompletami szykownej bielizny.

– Czuję się rozpieszczana. Dziękuję ci bardzo – Krystyna gorąco pocałowała Romana.

– Ja też się cieszę. Nie ma za co dziękować. Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział Roman, odwzajemniając pocałunek.

Dużo czasu spędzili w hotelu, na kochaniu się, długich pogaduszkach, poznawaniu i odkrywaniu siebie nawzajem. W sumie była to cudowna wycieczka. Ten mężczyzna ją urzekł. Sercem wiedziała, że też zrobiła na Romanie duże wrażenie. Ciekawa była, jak mu tam będzie w Tunezji bez niej. Ciekawe, czy będzie tęsknił?

Krystyna zaczynała już tracić cierpliwość. Od kilkunastu minut stała przed lustrem, najpierw układając fryzurę, a później nakładając makijaż. Sporo czasu zajęła fryzura. Krótkie, świeżo umyte włosy w żaden sposób nie chciały się poddać. Trochę przeszkadzała jej też obecność Romana, który już w garniturze i pod krawatem czekał na kanapie, aż ona będzie gotowa do wyjścia na ich pierwszy wspólny bal sylwestrowy. Mimo że nic nie mówił, wydawało jej się, że jest zniecierpliwiony. Nie okazywał tego. To nie było w jego stylu, ale kto tam wie?

To było dla niej nowe – robić się na bóstwo dla mężczyzny. Zawsze dbała o swój wygląd, nawet wychodząc tylko do sklepu. Zawsze zadbana i umalowana szła też do pracy. Ale tamte przygotowania były czymś naturalnym. Nagle twarz Romana pojawiła się obok jej w lustrze.

– Widzę, że jesteś już gotowa. Muszę przyznać, że w tej sukni wyglądasz rewelacyjnie. Masz figurę modelki. Suknia jest wystrzałowa. Nie widziałem nigdy tak eleganckiej sukni wieczorowej na tak doskonałej modelce. Leży na tobie rewelacyjnie. Gdy byłem w Tunezji, pomyślałem sobie, że przydałoby ci się coś na szyję. Pozwól, że ci założę. Przyjmij to jako prezent świąteczno-noworoczny i dowód, że za tobą tęskniłem – powiedział Roman.

Zaskoczył ją całkowicie. W rękach trzymał łańcuszek z wisiorkiem.

– Jest z białego złota. Wisior symbolizuje Rękę Fatimy. Podobno przynosi szczęście – wyjaśnił. – Pochyl trochę głowę, to ci go założę. A wydawało mi się, że jestem bardzo wysoki – dodał po chwili, wspinając się na palce, żeby założyć jej łańcuszek.

– Jakie to ładne. Serdecznie ci dziękuję – odpowiedziała Krystyna szczerze uradowana. Prezent bardzo jej się podobał.

Lubiła słuchać, jak mówił, że za nią tęsknił. Wypytała go o to zaraz po powrocie. Powiedział, że zaczął za nią tęsknić już w samolocie. Żałował, że nie leciała razem z nimi. W Tunezji bardzo dużo o niej myślał i dużo o niej opowiadał Tomaszowi. Powiedział mu, że urzekła go swoim charakterem i kobiecością, otwartością i ciekawością świata.

– To, co teraz powiem, jest tylko dla twoich uszu. Tego nikomu nie powiedziałem. Jest w tobie coś, czego nie umiem opisać, a co jest bardzo ujmujące. Myślę, że może to ta młoda dziewczyna, która w tobie tkwi, i jej dziewczęca niewinność – powiedział.

Było jej bardzo miło to usłyszeć. Jak do tej pory ich znajomość układała się znakomicie. Ale to właśnie po tych słowach zdecydowała zapisać się na kurs angielskiego zaraz na początku nowego roku kalendarzowego.

Ciekawa była, jak mu minęły święta – było, nie było – w arabskim kraju.

– Chyba było to moje najbardziej świąteczne Boże Narodzenie od dawna.

Może dlatego, że hotel był luksusowy, może dlatego, że zarządzany przez Hiszpanów, a może dlatego, że było w nim bardzo dużo Europejczyków. W każdym razie dyrekcja zrobiła wszystko, żeby goście czuli atmosferę świąt, począwszy od ślicznych dekoracji, z prawdziwą dużą choinką, sztucznym śniegiem, inscenizacją żłóbka i furą „prezentów”, a skończywszy na dużej liczbie imprez i występów. W całym hotelu słyszało się kolędy. Podobno serwowana była też kolacja wigilijna, ale nie postna, jak w Polsce. Ja i Tomasz byliśmy zaproszeni na Wigilię do półpolskiej rodziny. Tam uroczystość nie odbiegała praktycznie od polskiej tradycji. Stół zastawiony był postnymi daniami – opowiadał.

Na salę weszli ze sporym opóźnieniem. Znaleźli swoje miejsca przy dziesięcioosobowym stole. Pozostali współbiesiadnicy byli bardzo młodzi. Ani Roman, ani ona nie znali nikogo. Krystyna była oczarowana tym, jak jej towarzysz szybko i błyskotliwie wpasował się w towarzystwo. Bardzo dobrze się bawili. Z zainteresowaniem obserwowała swojego nowego faceta, jak sobie radzi w nieznanym towarzystwie. Był bardzo kontaktowy i dowcipny. A ponieważ świetnie tańczył, więc dobrze się bawiła, zwłaszcza że sukienka budziła podziw i zawiść innych kobiet.

W Nowy Rok Roman zaprosił ją wraz z córką na świąteczny obiad do restauracji Hotelu Solaris w Toruniu, jednej z nielicznych czynnych tego dnia. Nie wiedziała jeszcze wtedy, że zapoczątkowali własną tradycję – od tego dnia co roku jedli noworoczny obiad w tej restauracji.

Styczeń zleciał nie wiadomo kiedy, jak na jej gust – za szybko. Krystyna chciała się nacieszyć swoim nowym mężczyzną, poświęcała mu więc każdą wolną chwilę. Spotykali się prawie codziennie, a w weekendy wyjeżdżali do okolicznych dużych miast, żeby pozwiedzać. Niestety, niewiele weekendów już pozostało do wyjazdu Romana, raptem trzy. Spędzili je kolejno w Poznaniu, Bydgoszczy i Szczecinie. Każdy z tych wyjazdów był inny i każdy pozwolił jej lepiej poznać Romana. W Szczecinie, gdzie pojechali odwiedzić grupę przyjaciół Romana, odkryła, że był przez nich lubiany. W Poznaniu, w wyśmienitej francuskiej restauracji, zaimponował jej znajomością międzynarodowej kuchni, a w Bydgoszczy odkryła, że nie można się z nim nudzić – Roman ją rozweselał tak, że od śmiechu dostawała kolki. Czuła się z nim bardzo szczęśliwa i z żalem patrzyła na datę trzydziestego stycznia – dzień jego wyjazdu. Jednego była pewna – bardzo się jej podobał. Lubiła jego mocne, męskie ramiona. Lubiła czuć się kochana, znajdować się w jego objęciach. Była też pewna, że i ona podoba się jemu. Traktował ją tak, jakby była tą jedną. Czuła, że się coraz bardziej w nim zakochuje. Uświadomiła sobie, że nie jest łatwo ponownie się z kimś związać, będąc w jej wieku. Człowiek o wiele mniej ufa innym, a równocześnie ma się

o wiele większe oczekiwania i wymagania w stosunku do partnera. Na szczęście Roman spełniał większość jej oczekiwań i czuła się zadowolona. Czuła, że dobrze wybrała, że spotkała właściwego człowieka.

Po raz kolejny Krystyna wracała do domu pociągiem z Warszawy sama. Tym razem pojechała z Romanem na lotnisko. Jego samolot do Paryża odlatywał o trzynastej, a musiał być na lotnisku o jedenastej, miała więc dosyć czasu, żeby się wyspać i przygotować. Było jej trudno z nim się rozstać. Chciała wykorzystać każdą minutę, aby być z nim. „A więc to tak wygląda związek na odległość!” – pomyślała, zajmując miejsce w przedziale pociągu. Tym razem pociąg był prawie pusty. Gdy tylko ruszył, wyciągnęła z kieszeni walizki książkę, którą przygotowała na drogę. Jednak po chwili odłożyła ją na kolana i wtuliła twarz w swój płaszcz. Miała nadzieję się zdrzemnąć. Jednak nie usnęła. W przedziale oprócz niej była tylko jeszcze jedna osoba. Bała się, że może zostać okradziona. Poza tym w głowie kotłowały się jej wspomnienia z wyprawy. Tym razem nie działo się nic szczególnego. Nie miała więcej zaległego urlopu, a tegoroczny musiała oszczędzać na wyjazd do Meksyku i późniejsze podróże. Przyjechali więc do Warszawy w sobotę około południa, tylko na jedną noc. Zatrzymali się w hotelu usytuowanym blisko lotniska. Po południu ponownie odwiedzili przyjaciół Romana w Otwocku, żeby wybrać kilka obrazów do mieszkania Romana w Meksyku. I tym razem zostali podjęci sutą kolacją, obficie zakrapianą czerwonym winem.

„Chyba musi już być w Paryżu. Za godzinę będzie odlatywał z Europy. Prawie jedenaście godzin w samolocie... Ciekawe, jak on to wytrzymuje” – jej myśli znowu powróciły do Romana. Przypomniała sobie, że już za trzy miesiące ona sama będzie leciała tym samolotem i ta myśl całkowicie ją otrzeźwiła. Po raz kolejny zastanawiała się, co musi zrobić przed wyjazdem. Przede wszystkim załatwić sobie urlop. Dopiero w maju, bo Roman powiedział, że wcześniej może być bardzo zajęty. Weźmie dwa tygodnie, co z weekendami da szesnaście dni. Powinno wystarczyć.

Przez pierwsze dni po wylocie Roman prawie się nie odzywał. W poniedziałek wysłał tylko SMS-a, informując ją, że doleciał szczęśliwie i żeby się nie martwiła o niego, gdy przez kilka dni nie będzie dawał znaków życia. Mimo tej zapowiedzi, Krystynę to milczenie trochę niepokoiło. Codziennie wchodziła na Skype'a, żeby zobaczyć, czy przypadkiem nie jest dostępny. Nie był ani razu. Aż w pierwszą sobotę lutego po południu nieoczekiwanie odezwał się do niej, gdy tylko się zalogowała.

– Przepraszam, że nie dawałem znaku życia – powiedział. – Szukałem cię na

Skypie każdego dnia po powrocie z biura do domu, około dziewiętnastej, ale z uwagi na różnicę czasu, wtedy u ciebie była już druga rano, zawsze byłaś wylogowana. Nawet nie mogłem zostawić ci wiadomości, bo oboje musimy być zalogowani, żeby Skype ją przesłał.

– O drugiej to ja już głęboko śpię. A że używam komputera Doroty, więc na koniec zawsze się wylogowuję – odpowiedziała.

– Racja! Zapomniałem.

– A jak u ciebie z pracą?

– Tak jak się spodziewałem, jest dużo roboty i jestem bardzo zajęty.

Krystyna przypomniała sobie, co wiedziała od niego na temat jego biznesu. Był autorem i właścicielem oprogramowania do automatycznego optymalizowania radiowych sieci komórkowych. Jego dotychczasowa praca w Meksyku polegała na poprawianiu ustawienia anten w bazach radiowych lokalnego operatora. Odbywało się to w ramach serwisu, który Roman świadczył na rzecz pośrednika – dużego przedsiębiorstwa na światową skalę, które od lat miało kontrakty usługowe bezpośrednio z operatorem. Te usługi angażowały tylko jedną czwartą oprogramowania.

– A co nowego u ciebie? – zapytał po chwili Roman.

– Zapisalam się na kurs angielskiego. Mam lekcje trzy razy w tygodniu.

– To świetnie. Nie pamiętam, czy ci mówiłem, ale chciałbym partycypować w kosztach. Twój angielski to przecież nasza wspólna inwestycja. Ile płacisz tygodniowo za lekcje?

– Tylko siedemdziesiąt pięć złotych, nie ma o czym mówić.

– Jest o czym mówić, kochanie. Przeleję ci trzysta złotych na konto na lekcje za ten miesiąc. W przyszłym miesiącu też przeleję, jeśli wytrwasz.

– Dobrze. Dziękuję ci. A dlaczego masz dużo roboty? Czy zacząłeś już demonstracje następnej części twojego oprogramowania? – zapytała.

– Właśnie się do tego szykujemy. Musimy się zgrać z pracownikami operatora, jest dużo przygotowań.

– Rozumiem. Mówiłeś też, że musisz umeblować mieszkanie. Zacząłeś już to robić?

– Tak. Wyposażyłem już kuchnię. Kupiłem też stół i cztery krzesła do kontuaru. Poza tym nabyłem stolik, krzesła i komputer do kwatery *muchachy*. Kupiłem też łóżko do mojej sypialni – king size – ma dwa na dwa metry. Jest super wygodne. Spodoba ci się.

– I jak się prezentuje kuchnia z nowymi meblami? – zapytała po chwili.

– Bardzo ładnie. Pozostały jeszcze do wstawienia: jadalnia, salon i meble ogrodowe. Wszystko będzie gotowe na twój przyjazd. Niestety, nie przygotuję sali telewizyjnej, nie mam telewizora. Po moim powrocie odkryłem, że Luisa zniszczyła ekran pięćdziesięciodwucalowej plazmy. Ta psychopatka musiała go

chyba kopnąć, żeby tak go zniszczyć. Uszkodzenia nie można naprawić. Poza tym koszt naprawy przekroczyłby koszt zakupu nowego telewizora. Co gorsza, okazało się, że w podobny sposób został uszkodzony telewizor, który był w pokoju Juana. Wolę wierzyć w ludzkość i uznać, że ten został uszkodzony przez głupotę lub przypadek. Ponieważ telewizor wisiał na ścianie, Juan mógł go uszkodzić w zabawie. To był dziki dzieciak, bez dobrych nawyków i wyobraźni – mógł na przykład rzucić piłką albo czymś innym i trafił w ekran. Cokolwiek by to nie było, myślę, że właśnie to zainspirowało Luisę do akcji. W każdym razie jedyny sprawny telewizor mamy w mojej sypialni. Za to zaaranżowałem już bufet, który wcześniej zamierzałem zorganizować dopiero po twoim przyjeździe. Został zrobiony na zamówienie. Kupiłem też do niego sześć barowych taboretów. Wiele kartonów jest jeszcze ciągle nierozpakowanych. Kochanie, na Skypie wysłałem ci link do strony internetowej. Obejrzyj, proszę, i coś wybierz – Roman zmienił temat. – Proponuję, żebyśmy pogadali jutro o tej samej porze i wtedy przedyskutujemy twój wybór. Okej?

– Dobrze, kochanie. Do jutra – skończyła szybko rozmowę, bo była ciekawa, co zawiera strona, do której Roman przysłał jej link.

Gdy po kliknięciu na link strona się otworzyła, szybko zamknęła Skype'a. Strona zawierała katalog polskiego sklepu internetowego z bielizną marki Triumph. Spędziła resztę wieczoru na przeglądaniu majtek i staników. Strona była dobrze zaprojektowana – barwna i łatwa w obsłudze. Niestety, wiele modeli, które jej się podobały, nie było w jej wymiarach. Na szczęście majtki można było kupić osobno. Dawało to trochę swobody w wyborze, chociaż dobranie kilku zestawów zajęło dużo czasu. Zabrało jej przeszło dwie godziny wybranie kilku modeli do pokazania Romanowi. „Fajny facet” – pomyślała. Pierwszy raz w życiu wybierała bieliznę w Internecie. Coraz bardziej podobało się jej to nowe życie. Roman pochwalił jej wybór. Okazało się, że sam wcześniej też przejrzał całą kolekcję i miał wybrane swoje typy. Pokrywały się z jej wyborem. Poprosił ją o przesłanie mu numerów katalogowych dwóch wybranych modeli, żeby uniknąć pomyłek przy zamawianiu. Paczka z bielizną dotarła do jej domu dokładnie czternastego lutego, w walentynki. Zawierała dwa wybrane przez nią komplety bielizny. Przymierzyła, pasowały jak ulał. Żałowała, że nie było go przy niej w tym momencie, pamiętała, jak przymierzała bieliznę w Warszawie. Wspomnienie podnieciło ją, w brzuchu poczuła motylki. Paczka sprawiła jej ogromną radość.

Brak stałego kontaktu z Romanem trochę przeszkadzał Krystynie. Zdecydowała więc kłaść się później spać w poniedziałki i środy, co razem z weekendami pozwoliło im gadać cztery razy w tygodniu. W inne dni kontaktowali się, pisząc maile. Z początku pisanie wydawało się trudne i trochę

dziwne, ale z czasem to polubiła, a zwłaszcza otrzymywać listy. Szczególnie miłego maila Roman napisał jej ósmego marca. Załączył link do okazjonalnej kartki i poinformował ją, że oprócz pieniędzy na lekcje angielskiego w marcu, pozwolił sobie również przelać na jej konto pewną kwotę pieniędzy, żeby mogła z córką pójść gdzieś na obiad uczcić Dzień Kobiet. Okazało się, że kwota wystarczyła na cztery takie wyjścia. Roman uczynił więc z tego tradycję – od tego dnia co miesiąc przelewał na jej konto pieniądze: i na lekcje angielskiego, i na niedzielne obiady – żeby, jak to mówił, w niedziele nie musiała gotować. Bardzo się jej to podobało.

Na początku maja Krystyna dostała maila z British Airways z biletem business class na przelot z Warszawy do Mexico City Juarez, z przesiadką w Londynie. Miała wylot w dniu siódmego maja o 7:10 rano, a powrót dwudziestego pierwszego maja o 21:40 wieczorem. List bardzo ją ucieszył. Nie to, że będzie leciała w klasie biznesowej. Nigdy wcześniej nie leciała samolotem i w zasadzie było jej wszystko jedno – klasa biznesowa czy ekonomiczna. I tak nie znała różnicy. Ucieszył ją sam fakt, że Roman kupił bilet, że poleci, aby się z nim spotkać, i będzie miała okazję zwiedzić Meksyk. Od tego dnia zaczęła przygotowywać się do podróży. Roman bardzo przejmował się jej lotem. W kolejnych mailach i na Skypie podał jej całą masę wskazówek, jak ma zachowywać się na lotnisku w Londynie, żeby się nie zagubić. Doradził, żeby przy przesiadce, zaraz po przylocie z Polski, w pierwszej kolejności odszukała swój lot do Meksyku, zlokalizowała bramkę odlotu i dopiero później zwiedzała czy robiła zakupy na lotnisku. Radził jej też, jak zabezpieczyć paszport oraz karty pokładowe. Powiedział jej nawet, że w samolocie dostanie menu po angielsku i doradził, żeby zabrała ze sobą i miała pod ręką słownik angielsko-polski oraz rozmówki, co pozwoli jej komunikować się ze stewardesami. Powiedział jej, że po przylocie do Meksyku będzie musiała przejść odprawę imigracyjną, a następnie zgłosić się po bagaż. Cały jej bagaż zostanie prześwietlony przy wyjściu. Zapowiedział, że tuż przed bramką wyjściową celnicy każą jej wcisnąć duży czerwony przycisk. Jeśli zapali się czerwone światło, to jej bagaż dodatkowo przeszukają, jeśli zielone, każą jej przejść bez kontroli. Na koniec poprosił ją o zrobienie kilku zakupów według listy, którą jej przysłał, oraz o przywiezienie czterech obrazów, które kupili od zaprzyjaźnionej malarki. Prosił, żeby obrazy zrolować i włożyć do tuby. Było jej miło, że Roman tak się o nią troszczy. Cieszyła się też, że może mu pomóc.

ROZDZIAŁ 13

Sobota, 7 maja 2011, godzina 21:22 CST

Podróż samolotem bardzo ekscytowała Krystynę. Wszystko było takie inne. Szokowała świadomość, że leci na wysokości powyżej dziesięciu kilometrów nad ziemią. Żałowała tylko, że niewiele było widać, bo gdy wystartowali z Londynu, niebo było pochmurne, a później zrobiło się ciemno. Samolot zresztą wyleciał z dwugodzinnym opóźnieniem. Bawiła ją próba komunikowania się z ludźmi, czy to po angielsku, czy później po hiszpańsku za pomocą rozmówek. Rozśmieszyła ją zwłaszcza reakcja meksykańskiego celnika, któremu pokazała w rozmówkach, że nie mówi po hiszpańsku. Ludzie ciekawie reagowali.

Doleciała tego samego dnia późnym wieczorem, bardzo szczęśliwa i z całą masą pozytywnych wrażeń z podróży. Roman z Tomaszem czekali na nią na lotnisku. Do auta wsiadła całkowicie rozluźniona. Samochód prowadził Tomasz. Roman usiadł obok niej na tylnym siedzeniu. Była tak zmęczona, a może zestresowana podróżą, że gdy tylko oparła głowę na jego ramieniu, natychmiast usnęła. Roman obudził ją, gdy dojechali do domu.

Otworzyła okno i zaczęła z zainteresowaniem się rozglądać. Już sam budynek ją zadziwił. Nie tak go sobie wyobrażała. Roman powiedział jej, że mieszka w czternastopiętrowym apartamentowcu, podczas gdy budynek, do którego zmierzali, nie miał więcej niż trzy piętra. Chyba widziała siłownię. Przez okna było widać szereg przyrządów do fitness i kilka ćwiczących osób. Budynek otoczony był kępami egzotycznych roślin, których nie знаła. Przez otwarte okno auta słychać było szum wody spływającej z fontanny.

Widząc jej zdziwione spojrzenie, Roman powiedział, że część budynku, którą widzi, to siłownia i duży basen.

– Apartamenty są w głębi – powiedział. Po chwili dodał: – Budynek stoi przy głębokim wąwozie i wjeżdża się do niego od góry. Składa się jak gdyby z dwóch części oddzielonych otwartą przestrzenią o szerokości około dziesięciu metrów. Parking dla gości oraz wejścia znajdują się w pierwszej części na piętrze dziesiątym, a wjazd do garażu na piętrze dziewiątym. Siłownia, basen, wejściowy hol, stanowisko kontrolne policji oraz dwie sale przyjęć zlokalizowane są nad ulicą, siłownia i basen na samej górze. A propos pięter – trzynastego nie ma. Od piętra dziewiątego do siódmego znajdują się garaże. Od głównego wejścia, które jest na piętrze dziesiątym, z każdego piętra garażu, od basenu i sali gimnastycznej nad tą otwartą przestrzenią znajdują się pomosty prowadzące do mieszkalnej części

budynku.

Minęli wejście z fontanną i główny wjazd do budynku. Dalej ulica opadała w dół. Wjazd do garaży był w odległości nie większej niż dziesięć metrów od głównego wjazdu. Zatrzymali się przed stalową bramą – specjalny znak na przedniej szybie samochodu został zeskanowany i brama automatycznie się otworzyła. Trzy miejsca postojowe należące do Romana znajdowały się przy końcu poziomu siódmego. Mijane po drodze drogie samochody wskazywały, że mieszkają tutaj ludzie zamożni. Tomasz zaparkował na siódmym piętrze. Roman wyjął z bagażnika jej walizki i poprowadził ją przez pomost do dwóch identycznych wind. Dopiero z mostku mogła ocenić wielkość budynku. Otwarte wnętrze było ogromne. Przez oszklony sufit widać było gwiazdy. Winda, do której wsiedli, wyglądała bardzo elegancko. Ciemna boazeria, nieskazitelne lustro oraz wszystkie metalowe części lśniły czystością. Wewnątrz windy Roman nacisnął przycisk pierwszego piętra, zaznaczony tabliczką z napisem „Garden house”. Kiedy zjeżdżali, powiedział jej, że jest jeszcze trzecia winda, tak zwana towarowa, ale używa się jej głównie do przewożenia zakupów.

– Pewnie zauważyłaś przy drzwiach wejściowych z garażu na mostek metalowy wózek podobny do tych, jakie mają w dużych marketach. Jeden lub dwa takie wózki znajdują się na każdym piętrze garażu. Służą one do przewożenia zakupów tą trzecią windą. Poza tym windą towarową jeżdżą pracownicy. Mówiąc o pracownikach, powiem ci coś ciekawego. Budynek ma trzynaście pięter, po trzy mieszkania na każdym, czyli trzydzieści dziewięć apartamentów. W każdym zatrudnione są od jednej do trzech kobiet, jako gosposia, opiekunka do osoby starszej lub niania do małych dzieci, poza tym przynajmniej połowa lokatorów zatrudnia kierowcę. To czyni razem ponad stu pracowników. Jeśli dodasz do tego administrację: ośmiu policjantów, cztery sprzątaczkę, dwóch konserwatorów urządzeń gospodarczych, dwóch ogrodników, zarządcę i księgową, to można powiedzieć, że z pracy w takim budynku utrzymuje się przeszło setka rodzin. I to żyje nieźle. Ja na przykład płacę swojej *muchachy* odpowiednik dwóch tysięcy złotych miesięcznie za czterdzieści godzin pracy w tygodniu. Ma przy tym u mnie prywatny „mały apartament” i całonocne utrzymanie.

W międzyczasie winda zatrzymała się na parterze. Po wyjściu znaleźli się w dużym korytarzu. Podłoga była ułożona z płytek ceramicznych. Wejście do mieszkania Romana znajdowało się tuż obok windy. Na wprost wejścia znajdowały się dwie fontanny i dwa duże klomby z palmami oraz inne rozłożyste rośliny w dużych glinianych donicach.

– Czy wszystkie te rośliny są prawdziwe? Przecież tutaj jest całkiem ciemno – zauważyła Krystyna, widząc, że wnętrze budynku było oświetlone tylko potężnymi latarniami na odległym o jakieś sześćdziesiąt metrów suficie.

– Tak. Teraz jest ciemno, bo jest noc. W ciągu dnia jest zupełnie jasno. Przez

sufit wpada dosyć światła dla roślin.

Weszli do apartamentu. Był przestronny i nowoczesny, ale jednocześnie przytulny. Podłoga była wyłożona jasnym parkietem. Już od wejścia Krystyna zauważyła, że Roman lubi gromadzić różne przedmioty z duszą – widziała wiele figurek, masek oraz innych ozdób: z zielonego malachitu, przezroczystego połyskliwego kryształu górskiego, czarnego onyksu, drewna. Salon połączony był z jadalnią oraz salą telewizyjną, co dawało poczucie przestrzeni. Wrażenie to potęgował jasny kolor ścian i dyskretne oświetlenie punktowe, umieszczone w podwieszanym suficie. Roman podprowadził ją do stojących w głębi skórzanych kanap i poprosił, by się rozgościła. Sam podszedł do barku i zaczął przygotowywać drinki. Usiadła na kanapie. Rozejrzała się dookoła. W salonie stał skórzany zestaw w stylu włoskim: dwie ustawione prostopadle do siebie kanapy, jedna duża trzyosobowa, na której siedziała, i mniejsza dwuosobowa oraz potężny fotel, wszystko wykonane z miękkiej ciemnobrązowej skóry. Pośrodku stał niewysoki, ale szeroki, kwadratowy stolik do kawy w kolorze ciemnej wiśni. Środek stolika zdobiła duża płyta w kolorze kości słoniowej. Z sufitu zwisa olbrzymi kryształowy żyrandol. Po bokach mniejszej kanapy ustawione były dwa inne stoliki. Za dużą kanapą znajdował się stół separacyjny. Takiego mebla w Polsce nie widziała. Wysoki i długi wyraźnie oddzielał salon od reszty pomieszczenia. Na nim, obok drobnych pamiątek, stały dwa ogromne bukiety kwiatów w pięknych wazonach – wszystko to w tak doskonałej harmonii kolorów, że niemal oniemiała z wrażenia.

– Masz wyjątkowo gustownie urządzone mieszkanie – powiedziała.

– Dziękuję – odpowiedział Roman.

Na wprost, pod oknem znajdowała się ława, na której pośrodku stał duży monitor, klawiatura i myszka, a po bokach dwa spore głośniki w metalowych obudowach. Na dolnej półce ławy, w specjalnej przegrodzie, stał komputer, obok sporej wielkości wzmacniacz akustyczny.

– Czy to służy do odtwarzania muzyki? – zapytała Romana, wskazując na wzmacniacz.

– Między innymi. Ten komputer, który tam jest, to taki domowy serwer. Każdy domownik ma do niego dostęp przez swój komputer w sypialni. Oczywiście ma też dostęp bezpośredni. Każdy kopiuje tam swoją muzykę lub filmy, którymi chce się podzielić z innymi. Głównie robi to Tomasz. Jeśli coś się ogląda lub odsłuchuje w salonie, używamy wzmacniacza. Cały zestaw jest trochę tak jak kino domowe z centralnym dyskiem na filmy i muzykę. Każdy domownik może słuchać tutaj muzyki lub oglądać filmy. Ale głównie słuchamy muzyki. Powiedziałbym, że w salonie muzyka brzmi cały czas, chyba że nikt nie pomyśli o tym, żeby ją włączyć. Na szczęście nasza gosposia lubi muzykę i ją nam puszcza każdego dnia. Filmy najczęściej ogląda się w sypialniach. Sala telewizyjna wygląda, jak widzisz – Roman wskazał na dużą pustą przestrzeń w drugim końcu pokoju. Stało tam tylko

elektryczne pianino, a obok niego krzesło.

– Grasz na pianinie?

– Czasami. Ty też możesz. Stoi tam, żeby każdy mógł go używać.

Po przeciwnej stronie sali telewizyjnej znajdowała się jadalnia. Chociaż i sala telewizyjna, i jadalnia nie miały ścian, obydwie pomieszczenia były wyraźnie wyznaczone przez dwa prostopadłe chodniki z szarej ceramiki, z czarnymi ozdobnymi krawędziami po bokach – jeden przecinał pokój w poprzek i prowadził od kuchni do sypialni, drugi w kierunku wejścia; obydwie układały się w kształt litery T. Pośrodku jadalni stał elegancki duży stół z ośmioma ciężkimi wyściełanymi krzesłami. Podobnie jak w przypadku stolika do kawy, na środku stołu znajdował się duży kwadrat w kolorze kości słoniowej, a nad nim wisiał kryształowy żyrandol. Przy jednej ścianie stał kredens, nad którym wisiało lustro oprawione w drewnianą ramę. Druga była pusta; później zawisł na niej jeden z obrazów, które przywiozła Krystyna. Sypialni nie było widać. Były oddzielone od salonu wysepką, zaadaptowaną na bar. Stało tam sześć wysokich czarnych taboretów z oparciami i miękkimi siedzeniami. Bar oddzielony był od salonu narożnym barkiem z lustrami. Przy przeciwległej ścianie stało duże eleganckie biurko w kolorze wiśni, a przed nim brązowy fotel ze skórzanym siedzeniem. Na podłodze między barem i biurkiem leżał gruby, okrągły, biały dywan z wielbłądziej wełny, w czarne dyskretne wzorki. Kolor dywanu harmonizował z kolorem ścian i doskonale ożywiał centralną przestrzeń salonu, który ze względu na swój ogrom był ciemny. Krystyna pomyślała, że jedno okno, nawet tak szerokie jak tutaj, na pewno nie wystarczy, aby oświetlić tak dużą przestrzeń. Następnego dnia przekonała się, że miała rację – w jadalni przez cały dzień panował półmrok.

Roman podszedł do niej i podał jej drinka. Usiadł obok niej.

– Za szczęśliwy przyjazd. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że już jesteś. Trochę się o ciebie martwiłem. Tomasz i przyjaciele nie pomagali. Stroili sobie żarty, że będę cię musiał szukać gdzieś w Londynie. Z przesiadką nie miałaś kłopotów? – zapytał.

– Żadnych. Wyobraź sobie, w pierwszym samolocie poznałam polskiego biznesmena, który mieszka w Londynie. Trochę mi pomógł. Musiałam mu się chyba spodobać, bo dał mi swoją wizytówkę i zaprosił do siebie, gdy będę w Londynie.

– No to miałaś szczęście – odpowiedział Roman.

„Ona nadal szuka chłopca – pomyślał. – Swoją drogą ciekawe, dlaczego mi o tym mówi? Może w drodze powrotnej ma zamiar zatrzymać się u tego typu? Albo... Kto wie? Może uznała, że to tamten może być jej «księciem»? A może jest tylko naiwna i chce wzbudzić we mnie zazdrość? Jeśli jednak rzeczywiście wierzy, że facet zainteresował się nią dla jej wdzięków, to zdecydowanie jest naiwna. Nie rozumie, że typ z Londynu zwrócił na nią uwagę nie dlatego, że była taka

nadzwyczajna, ale wydała mu się interesująca, bo leciała na wakacje do Meksyku, i to klasą biznesową. Bo nawet przy całej swojej atrakcyjności, Krystyna bez tej oprawy była tylko jeszcze jedną ładną buzią, których biznesmen z Londynu, jeśli był nim naprawdę, przypuszczalnie miał na pęczki”. Jednak nie powiedział tego głośno. Zaproponował jej natomiast, że oprowadzi ją po domu. Zgodziła się bardzo chętnie. Najpierw pokazał jej kuchnię. Była olbrzymia i urządzona w nowoczesnym stylu. W centrum znajdowała się wysepka, z dwóch stron otoczona blatem, z czteropalnikową gazową kuchenką w środku. Przy blacie stały cztery wygodne krzesła. Za wysepką znajdowało się czteroosobowe dinette. Była tam też wypełniona po brzegi spiżarnia oraz pomieszczenie na pralkę i suszarkę oraz duży piec grzewczy na gaz.

– Ale macie tutaj jedzenia! – zawołała.

Spiżarnia bowiem była zastawiona słoikami z przetworami, suszonymi i marynowanymi grzybami, koszykami warzyw i owoców, różnego typu konserwami oraz workami z grochem i fasolą. Poza tym stało tam sporo butelek z winem, wodą i gazowanymi napojami.

– Czy wy macie tutaj centralne ogrzewanie? – zapytała, wskazując metalowy piec.

– Tak, ogrzewamy pomieszczenia klimatyzatorem – odpowiedział Roman. – W korytarzu jest termostat, którym można regulować ogrzewanie. Za tymi drzwiami jest kwatera gosposi, którą w Meksyku nazywa się *muchachą*. Niestety, nie mogę ci jej przedstawić. Dziewczyna wyjechała na weekend i wróci dopiero w poniedziałek około południa, a bez niej nie chcę wchodzić do jej prywatnego pomieszczenia.

W sumie były trzy sypialnie. Każda miała garderobę i łazienkę.

Roman wskazał na zamknięte drzwi i powiedział, że tam znajduje się sypialnia Tomasza.

„No tak, jest już bardzo późno, Tomasz pewnie śpi” – pomyślała Krystyna.

– A teraz chodźmy do mojej sypialni.

Sypialnia Romana była wielkości mieszkania M4 w Polsce. Składała się z ogromnej sypialni, przynajmniej o powierzchni czterdziestu metrów kwadratowych, z dużej walk in garderobe oraz łazienki z jacuzzi i prysznicem. Wygląd sypialni ją zaskoczył – praktycznie była prawie nieumeblowana. Stało tam tylko olbrzymie łóżko i dwie brzydkie plastikowe szafeczki po jego bokach, a w kącie mały stolik z krzesłem. Na ścianach znajdowały się dwie bliźniacze grafiki z węgla i piasku morskiego, które przedstawiały akty dwóch różnych kobiet. Widać było, że w przeciwieństwie do salonu Roman nie dba o urządzenie sypialni. Zapytała go o to.

– Ja tu praktycznie nie przebywam – odpowiedział. – Tyle tylko, że śpię. Jest tu wszystko, czego potrzebuję – wskazał na garderobę. – Lewa strona jest na twoje

ubrania. W łazience też przygotowałem dla ciebie wolne miejsce w szafce. Masz tam też do dyspozycji cztery szuflady i dużą powierzchnię blatu na kosmetyki. W szafce pod zlewem są ręczniki, ale mogą kazać je przenieść, jeśli będziesz potrzebowała więcej miejsca na swoje rzeczy.

– Nie będzie takiej potrzeby – odpowiedziała. – Ani w garderobie, ani w łazience nie będę w stanie zapełnić swoimi rzeczami nawet dziesiątej części przestrzeni, którą mi przygotowałeś. Spójrz tylko na moje walizki, a sam się przekonasz.

Na dobrą sprawę, cała zawartość walizek zmieściłaby się w jednej szafce w garderobie.

Pierwszą noc w Meksyku Krystyna spała jak zabita. Obudziła się przed siódmą, ale już przy jaskrawym świetle dnia. Za oknem widziała las w oddali, a bliżej intensywną zielenią ogrodu. W mieszkaniu czuło się rześkie powietrze. Później dowiedziała się od Romana, że to dzięki górskiemu klimatowi. Dowiedziała się też od niego, że dom znajduje się na wysokości dwóch tysięcy pięciuset metrów.

– Mieszkać tutaj to jest trochę tak, jak wejść na Rysy i tam już pozostać – powiedział.

Roman jeszcze spał. Nie chcąc go budzić, wstała po cichutku, przeszła przez kuchnię i wyszła do ogrodu. Był olbrzymi i zadziwiający. Z jednej strony okolony przez mury potężnego budynku, z drugiej przez wysoki na kilka metrów płot – ogrodzenie z siatki, z kolczystymi drutami na górze, które, jak się później dowiedziała, były pod napięciem. Za płotem teren gwałtownie się wznosił. Rosło tam mnóstwo wysokich drzew, wyglądał jak gęsty las. Wzdłuż płotu, od strony wewnętrznej, biegła wyasfaltowana ścieżka, obok której płynęła niezbyt głęboka rzeczka. „Jak w oazie!” – pomyślała. Równolegle, po drugiej stronie rzeczki, ciągnął się niewysoki żywopłot, za którym rozciągał się szeroki na kilkanaście metrów trawnik. Z jednej strony oddzielony był od sąsiedniej parceli bardzo wysokim żywopłotem, przez który nic nie było widać, z drugiej zaś zwykłą siatką, przez którą prześwitywało podwórko sąsiedniego apartamentowca. Oceniała, że nie było tak ładne jak ogród przy budynku, w którym mieszkał Roman. Pod żywopłotem wzdłuż rzeki stały leżaki, a przy ogrodzeniu z siatki znajdowały się huśtawki oraz domek na palach do zabawy dla dzieci. Kolejny żywopłot ograniczał trawnik z drugiej strony pasa trawy. Za tym ostatnim żywopłotem były prywatne ogródki. Domyśliła się, że cały ogród składa się z części wspólnej oraz trzech ogródków należących do lokatorów mieszkań na parterze. Zauważyła też, że tylko z ogródka Romana było przejście do wspólnego ogrodu. Roman później jej wyjaśnił, że wszyscy lokatorzy mają prawo korzystać z części wspólnej, i że jego

mieszkanie wynajmowała przed nim rodzina z małymi dziećmi.

– Zgaduję, że to oni kazali zrobić przejście w żywopłocie, żeby dzieciom było bliżej do placu zabaw – powiedział.

Przeszła mostkiem nad rzeczką. Znalazła się na sporej polanie. Z boku znajdowały się stoły i krzesła piknikowe, w środku była trampolina dla dzieci. Chętnie by sobie poskakała. Była tam jednak jakaś tabliczka z napisem po hiszpańsku, którego nie rozumiała. Sądziła, że głosi, iż trampolina jest przeznaczona wyłącznie dla dzieci. Zgadywała to po tym, że trampolina była zabezpieczona nylonową siatką. Wróciła do ogródka Romana. Pas trawy ciągnął się wzdłuż całego apartamentu. W jednym końcu znajdował się stolik ogrodowy z dużym parasolem i czterema wygodnymi fotelami. Z drugiej strony, bliżej wyjścia z kuchni, znajdował się duży grill na gaz oraz duży stół ogrodowy z sześcioma plastikowymi krzesłami. Przy żywopłocie, na niewielkich klombikach rosły różne egzotyczne kwiaty. Rosły też drzewka limonek i granatów oraz grusza. Bliżej domu rosła olbrzymia sosna kalifornijska i dwie wysokie tuje. „Śliczne miejsce – pomyślała. – Będę się tu dobrze czuła”. Zarówno wspólny, jak i prywatny ogród były bardzo zadbane. Później Roman wyjaśnił jej, że administracja budynku zatrudnia dwóch ogrodników, którzy zajmują się wszystkimi ogrodami.

Następnego dnia udali się w trójkę do ramiarza, aby oprawić obrazy, które przywiozła. Musiała przyznać, że oprawione dodały uroku mieszkaniu. Dwa, które przedstawiały ukwiecone łąki, zawisły obok siebie w salonie. Inny, przedstawiający zachód słońca oglądany przez ludzi w łódce, zawisł w jadalni. W myślach zatytułowała go *Zachód słońca*. Musiała przyznać, że jest bardzo ładny.

W środku tygodnia Krystyna poprosiła Romana, żeby ją zawiózł do kościoła. Powstał kłopot. Ani Roman, ani Tomasz nie wiedzieli, gdzie znajduje się najbliższy kościół.

– Zgaduję, że nie chodzicie do kościoła? – zapytała. – Czyżbyś nie wierzył w Boga?

– Nie wierzę – odpowiedział Roman. – Straciłem wiarę w szkole średniej. Byłem przewodniczącym licealnej organizacji ZMS. Pewnego razu poproszono mnie, żebym przygotował referat na temat wyższości moralności świeckiej nad katolicką. Zabrałem się za to zadanie z zapałem. Mniej więcej po dwóch tygodniach referat był gotowy. Mogę ci go streścić. Pamiętam, że referat zaczynał się od pytania: „Czy może istnieć moralność bez Boga? Jeśli słuchać teologów, to nie może” – odpowiadałem. – Niektórzy nawet twierdzą, że odpowiedzi na wszystkie pytania dotyczące moralności można znaleźć tylko w świętych księgach. Nie dziwi to! Istnieją przecież teolodzy katolicki, którzy twierdzą, że w Biblii

znajduje się wytłumaczenie dla wszystkich praw i zjawisk fizycznych, astronomicznych czy astrofizycznych.

Później pokazywałem historyczne uwarunkowania, w których powstawało chrześcijaństwo. Mówiłem coś w rodzaju: „Potrzeba wiary u ludzi w jakąś nadrzędną inteligencję bierze się z podziwu dla misterności konstrukcji wszechświata, z homocentryzmu, przy równoczesnym niezrozumieniu roli człowieka we wszechświecie, a przede wszystkim z ludzkich pragnień o nieśmiertelności i nieprzemijaniu. Obserwując rzeczywistość, łatwo jest zauważyć, że wszystko, co nas otacza, przemija – żywe jest śmiertelne, nieżywe jest niestałe, ulotne i nieciągłe. Naturalne jest więc, że w poszukiwaniu sensu istnienia i drogi do życia wiecznego ludzkość szuka nadziei w transcendencji, zwłaszcza że alternatywa bez Boga jest mało pociągająca – bylibyśmy sierotami pozostawionymi na pastwę żywiołów i bardzo groźnego nieznanego, które – być może – w miarę postępu wiedzy jest coraz mniej groźne, to ciągle jednak jest nieokiełzane i prędzej czy później nas dopadnie. Z drugiej strony okresy naszego śmiertelnego życia byłyby tylko mikroskopijnymi punkcikami na linii czasu w historii wszechświata. Zdechnąć jak zwierzęta? Nie może być!

Chrześcijaństwo jest jedną z najbardziej znanych religii monoteistycznych – kontynuowałem. – Warto popatrzeć, jak według teologów moralność została nam dana przez Boga. Wróćmy do czasów, gdy powstawało chrześcijaństwo. Ludzkość miała już jedynego Boga w judaizmie i w zaratustryzmie. Wiele społeczeństw ciągle jednak wierzyło w wielu bogów, gdzie każdy jeden był odpowiedzialny za jakiś znany kataklizm, zjawisko lub grupę społeczną. Istniały też społeczeństwa lub grupy, które uprościły panteon do limitowanej grupy bogów immanentnych. W tamtych czasach na terenie współczesnego Iranu i Iraku od tysiąca już lat człowiek, wyznawca zaratustryzmu miał duszę”.

Musisz wiedzieć, że nawet dzisiaj na świecie jest kilkaset tysięcy wyznawców zaratustryzmu, którzy wierzą, że dusza zmarłego opuszcza ciało i wędruje w kierunku nieba. Po drodze napotyka strażnika Mitrę, który na dwóch szalach sprawiedliwości kładzie uczynki, słowa i myśli z całego życia zmarłego – na jednej szali dobre, na drugiej złe. Mitra przepuszcza duszę do nieba, tylko gdy dobre przeważały. Dusze, u których przeważały złe, idą do piekła, a te, u których szale pozostawały w równowadze, idą do krainy umarłych.

„Oczywiście, według założycieli chrześcijaństwa, wszyscy ludzie powinni mieć takie fajne dusze, a nie tylko wyznawcy zaratustryzmu – referowałem. – Nic więc dziwnego, że po stworzeniu Adama z gliny, Jahwe tchnął w niego duszę, w ten sposób ożywiając go na ziemi i czyniąc go, a wraz z nim całą ludzkość, uduchowionym (na podobieństwo Boga) i nieśmiertelnym. Najprawdopodobniej z zaratustryzmu pochodzi również koncepcja czasowo śmiertelnego ciała, które na nowo ożywa po sądzie ostatecznym, a także pojęcie diabła oraz nadejście mesjaszy.

W tych czasach żydowski Bóg Jahwe skupiał moc i właściwości wszystkich bogów, nawet tych z najpotężniejszego panteonu. Brakowało mu jednak miłosierdzia. Obwiniając pierwszą parę o złamanie przymierza na życie w raju, uznał ludzi za grzesznych. Człowiek, dzieło Boga, ze względu na wolną wolę okazał się tworem niedoskonałym. Już na zawsze został napiętnowany grzechem pierworodnym. Bez boskiego błogosławieństwa zarówno jednostki, jak i cała ludzkość sobie nie poradzą. Trzeba człowieka nauczyć moralności, żeby ludzkość przetrwała. Pomóc w tym miał dekalog, dar boży dziesięciu przykazań z absolutnymi wymogami moralności, dany Mojżeszowi, żeby przekazał go ludziom. Jahwe przyjął rolę egzekutora, sprawiedliwego sędziego i kata. Żydowski Bóg karał bezlitośnie za nieprzestrzeganie przykazań, zsyłając na grzeszników klęski. Ktoś oszacował, że Jahwe w Starym Testamencie zabił więcej ludzi, karząc ich, niż wszystkie wojny od początku ludzkości. Straszne, jeśli prawdziwe!

Ludzie potrzebują Boga, ale nie okrutnego. Potrzebują Boga, który jest dobrem, miłosierdziem, sprawiedliwością i doskonałością. Potrzebują Boga idealnego. Jaki miałby być taki Bóg idealny? – pytałem. – Przede wszystkim musi być świętością – niematerialnym duchem. Następnie musi być wieczny i nieśmiertelny. Musi być wszechwiedzący, rozumną wyrocznią oraz prawem i moralnością. Musi być wszechmocnym stwórcą wszystkiego. Musi więc być idealnym, nieskończonym i absolutnym wzorcem dla wszelkiego istnienia oraz wzorcem dla praw ludzkich. Musi też umieć wybaczać. Czyli jednak Jahwe, ale w miłosiernej wersji. Jahwe, który wybaczałby ludziom ich słabości na drodze do moralnej doskonałości. Naturalnie należałoby zadać sobie pytanie: Dlaczego ta wspaniała istota miałaby znowu zaufać grzesznym i niewdzięcznym ludziom? Chyba należałoby coś dać w zamian, żeby odzyskać jej łaskę?

Spróbujmy razem udobruchać Jahwę – proponowałem. – W tamtych czasach w cenie było dziewictwo. Może by dać dziewicę, najlepiej taką bez grzechu, nawet tego pierworodnego. Jeśli tylko uda się taką znaleźć?” – tutaj zawsze rozbrzmiewał śmiech.

„Dlaczego dziewicę? Bo to było modne i na czasie. Bo sam fakt istnienia błony dziewiczej coś znamionował. Był dowodem na to, że z natury kobieta od urodzenia jest samą czystością. Nic więc dziwnego, że przy takim zapatrywaniu w starożytnym świecie istniał kult dziewictwa. Nic więc dziwnego, że posiadanie potomka z dziewicą było przez bogów pożądane i zdarzyło się praktycznie wszędzie w rozwiniętych starożytnych cywilizacjach, w tym i w Indiach, i w Chinach, i w Syjamie, i w Grecji (te zapewne znacie z lekcji historii – weźmy na przykład cnotliwą Alkmenę – matkę Heraklesa, Danae – matkę Perseusza oraz zwiedzioną Ajtrę – matkę Tezeusza), i w Rzymie (na przykład Rea – matka bliźniąt Romulusa i Remusa), a jak pokazuje przypadek Maryi – również w starożytnym Izraelu. Maryja, jako pochodząca w prostej linii od Dawida, nie była napiętnowana

grzechem pierworodnym, a że była dziewicą, stała się więc oblubienicą Boga. Nieważne, że była małżonką Józefa, duchowo nie miała przecież skonsumowanego małżeństwa, o czym Bóg wszechwiedzący doskonale wiedział, możliwe nawet, że jako wszechmocny specjalnie zaaranżował taką sprzyjającą sytuację, bo przecież potrzebny był „chłop”, żeby wychować chłopca – uznanego przez Jahwe Syna Bożego. Dzięki temu znalazło się miejsce w Biblii i dla Józefa. Chyba ludzkość nie spodziewa się, że Bóg będzie pełnił funkcje wychowawcze i bawił się w ojca. Nie! Byłoby to jakoś mało po bożemu. Jednak nie nam, ludziom, sądzić! Przecież my chcemy Jahwe udobruchać. Dać mu wszystko co najlepsze. Dostał już dziewicę. A może by tak dorzucić jeszcze coś? Dać coś naprawdę cennego, najcenniejszego, na co człowieka było stać – ofiarę z własnych dzieci. Chociaż w tamtych czasach była to praktyka znana – powszechnie stosowana tuż „za miedzą” w Kartaginie i Fenicji, to jednak Biblia potępiała ofiary z dzieci. Przykład w Księdze Rodzaju, gdzie wystawiony na próbę Abraham był zdecydowany złożyć Bogu ofiarę ze swojego jedyne go syna Izaaka, a Bóg odmówił, pokazuje, że Bóg nie chce od ludzi ofiar z ich dzieci. Ale może zechce ofiarę ze swojego syna? Nam też będzie łatwiej ofiarować cudze dziecko. Zechciał. Syn boski umiera na krzyżu śmiercią okrutną, chociaż powszechnie stosowaną w tamtych czasach. Uff! Jesteśmy uratowani. A może nie. Kataklizmy – powodzie, huragany, lodowe burze, trzęsienia ziemi, upadki meteorytów – ciągle się zdarzają, potężniejsze i groźniejsze niż kiedykolwiek w przeszłości. Epidemie jak zabijały, tak zabijają miliony ludzi. Zerknijmy na liczby:

Wiek VI – epidemia dżumy dymienicznej. Szacuje się, że zmarło 60% Europejczyków.

Wiek XVII – czarna śmierć. Szacuje się, że zmarło około 60 milionów osób w Europie.

Pandemia ospy – szacuje się, że na świecie zmarło od 75 do 200 milionów osób, a w Europie około 50 milionów osób.

Wiek XIX – pandemie cholery. Szacuje się, że zmarło 40 milionów ludzi w Indiach oraz około 100 tysięcy w innych częściach świata.

Wiek XX – początek – pandemia grypy hiszpanki. Szacuje się, że zmarło od 50 do 100 milionów osób.

Pandemia dżumy – szacuje się, że tylko w Indiach i Chinach zmarło na nią 12 milionów ludzi.

Epidemie tyfusu – szacuje się, że zmarły trzy miliony osób.

Czyżby Syn Boży zmarł niepotrzebnie? Czyżby Jahwe się nie udobruchał? A może już pora zacząć szukać na nowo dziewicy? – pytałem sarkastycznie. – Mniejsza z tym. Pozostał nam dekalog jako wzorzec moralności, a w nim, jeśli pominąć te punkty, które stosują się do religii, pozostaje siedem bardzo ważnych nakazów moralnych:

Czczij ojca swego i matkę swoją.

Nie zabijaj.

Nie cudzołóż.

Nie kradnij.

Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu.

Nie pożądaj żony bliźniego swego.

Ani żadnej rzeczy, która jego jest.

Nic dodać, nic ująć – kontynuowałem. – Wszyscy się zgadzamy z takimi zasadami moralności. Chociaż zauważmy, że dekalog jest zbiorem nakazów zero-jedynkowym – „stosuj się” – „nie stosuj się”. Na dodatek niektóre z punktów zostały poprawione lub zmienione w czasach późniejszych, długo po Chrystusie, komplikując interpretację i możliwości stosowania. Weźmy na przykład punkt „nie zabijaj”, który w oryginale brzmiał „nie morduj”. O ile w układzie zero-jedynkowym „nie morduj” ma sens, o tyle „nie zabijaj” już tak wiele sensu nie ma. Bo przecież morduje się zawsze intencjonalnie, a zabić można niechcący, a nawet wina może być po stronie ofiary. Również niektóre oryginalne punkty mogą być przedmiotem debaty. Na przykład: Czy znalezione jest kradzione? Czy świadectwo oparte o ułomną pamięć jest fałszywe? Czy cudzołożyć znaczy dosłownie «uprawiać miłość z cudzym małżonkiem»? W tym ostatnim przypadku odpowiedź brzmi: nie. W kościelnej interpretacji przykazanie «nie cudzołóż» zabrania jakichkolwiek praktyk seksualnych poza małżeństwem. Również w małżeństwie ogranicza rolę seksualnego współżycia wyłącznie do celów prokreacji, broń Boże dla przyjemności. Należy się uznanie dla papieża Augustyna za to, że w V wieku w punkcie o pożądaniu rozdzielił pożądanie cielesne od zawiści oraz uznał kobiety za ludzi, oddzielając «żonę» od zwierząt (osła, wołu) oraz rzeczy, jak to było w oryginale: Nie będziesz pożądał żony bliźniego twego ani sługi, ani służebnicy, ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest. Powstaje jednak pytanie, czy po zmianach dokonanych przez papieża dekalog ciągle jeszcze stanowi prawo boże, czy może już tylko prawo Kościoła. Zresztą, to chyba jest mało ważne. Przecież nawet dekalog przekazany ludzkości nie był tym oryginalnym, został napisany przez Mojżesza. Ten oryginalny, wyryty w kamieniu przez Boga, potłukł się, zanim Mojżesz miał szansę go przekazać pobratymcom. Niestety, nie mamy pewności, czy Mojżesz czegoś nie pomylił. Zresztą, to też jest mało istotne. Już na pierwszy rzut oka widać wyraźnie, że według Starego Testamentu Bóg stworzył człowieka amoralnego, który musi się dopiero nauczyć moralności, w czym jest miejsce dla Kościoła. Inaczej mówiąc, moralność jest relatywna, jest częścią kultury – czymś, co nie jest wrodzone, a raczej nabyte. Stoi to w sprzeczności z potocznymi obserwacjami. Popatrzmy na małe dzieci. One nie znają znaczenia rzeczy i pojęć moralnych. Ich świat opiera się na systemie wartości odrębnym od systemu osób dorosłych i w niewielkim tylko stopniu jest

kształtowany wzorcami kulturowymi. Ale już w zachowaniu dzieci widać wartości moralne – poczucie honoru, dumy, braterstwa i sprawiedliwości. To zostało usankcjonowane w Biblii przez świętego Pawła, który twierdził, że prawo moralne jest zapisane w ludzkim sercu. Również wielu współczesnych teologów jest skłonnych przyznać, że młode dusze dzieci mają poczucie moralności.

Stop! Panowie – szydziłem, niby to zwracając się do teologów. – Trzymajmy się świętych ksiąg. Małe dzieci nie mają moralności. Dopiero dorośli poprawiają im ten świat. Na przykład mówią: «Zrób to, a dostaniesz cukierka», «A podziękowałaś cioci? A dałeś cioci buziaka?». Swoją drogą, ciekawe jest, ile fajnych rzeczy można kupić za buziaka.

Ale mówiąc poważnie – kontynuowałem – biblijna moralność jest kontradycją dwóch postaw, z których jedna najdobitniej wyraża się w starotestamentowej zasadzie: «oko za oko, ząb za ząb», a druga nakazuje «nie opierać się złu». Ta pierwsza z powodzeniem stosowana była w historii; stała się podstawą prawa talionu, według którego, żeby było sprawiedliwie na danym poziomie społecznym, kara musiała nieść takie same skutki jak przestępstwo. Z drugiej strony Chrystus na przykładach nauczał, żeby nie opierać się złu. Najśłynniejszy z tych przykładów nakazywał: «Jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu drugi».

Podsumowując – mówiłem – moralność katolicka stała się więc bardziej złożona niż żydowska. Nadal wymagane jest posłuszeństwo wobec Boga oraz życie bogobojne według nakazów z dekalogu, ale również promowana jest miłość i miłosierdzie według nauczania Chrystusa. Za odstępstwo z bogobojnej drogi zapowiedziana jest kara, za życie w miłości do bliźnich obiecana jest nagroda. I kara, i nagroda zostały przeniesione w bardzo odległą przyszłość, na czas po zakończeniu świata. Chociaż tylko Bóg jeden wie, kiedy to nastąpi. Wątpliwości budzi, jak można ukarać śmiertelnego człowieka po zakończeniu świata? Przecież to może się zdarzyć dopiero za tysiące lat, a człowiek żyje osiemdziesiąt, może sto lat? Proste! Kara i nagroda stosują się tylko do nieśmiertelnych, wolnych od ciała dusz, a więc najwcześniej mogą być stosowane dopiero po śmierci, a ostatecznie po zakończeniu świata ziemskiego, kiedy to dusza odzyska ciało duchowe – dusza grzeszna trafi do piekła, bogobojna do nieba, a taka nijaka do czyśćca. Tak, tak – «ciało duchowe». Nie myślcie sobie, że w niebie będziecie się mogli całować. Jakkolwiek żaden z teologów nie jest dzisiaj w stanie wskazać, gdzie we wszechświecie jest miejsce na niebo, piekło i czyściec, zdolne do pomieszczenia miliardów cielesno-duchowych ludzkich istot z nagrodzoną lub ukaraną duszą. Do niedawna, jak w Starym Testamencie, niebo umieszczano za nieboskłonem – stąd zresztą w wielu językach wzięła się nazwa. Dzisiaj jednak zarzucono tę koncepcję. Teolodzy ostatecznie uznali, że we wszechświecie nie ma miejsca ani na niebo, ani na piekło. Chociaż w Biblii pojęcia «nieba» i «piekła», tak istotne dla trzymmania

wiernych w ryzach, są zdefiniowane precyzyjnie jako miejsca, dzisiaj teolodzy mówią, że niebo nie jest miejscem, że «jest spełnieniem miłości», «pochodzącą od Boga przyszłością człowieka», «ostatecznym spełnieniem życia człowieka przez spełnioną miłość», «ostatecznym i głębokim zrozumieniem rzeczywistości, w której żyjemy», czy «zjednoczeniem z Chrystusem». A jeśli niebo jest miejscem, to tylko takim do czczenia Boga. Podobnie, według współczesnych teologów, miejscem też nie jest piekło. Jest to «samotność daleko od Boga». Bardzo to wszystko jest nieprecyzyjne, zagmatwane, transcendentne i mało pociągające. Nie na ludzkie pojmowanie. Chyba jednak tym, co spisali świadectwa, zabrakło inwencji, żeby spytać tych, co wiedzieli lepiej, albo zabrakło im wyobraźni, żeby coś lepszego wymyślić. Jest więc nadzieja dla grzeszników: Hulaj dusza, piekła nie ma” – tutaj zwykle kończyłem pierwszą część referatu i robiłem przerwę.

„Jedno jest pewne – kontynuowałem po przerwie. – Przez promowanie kary i nagrody po śmierci, moralność katolicka stała się destrukcyjna dla życia. Dla pośmiertnego zbawienia nakazywała wyrzeczenie się radości, nakazywała ascezę, wstrzeźliwość seksualną, w zabawie, w jedzeniu i picciu. Nic więc dziwnego, że bez jasno sprecyzowanej nagrody i kary kolejne pokolenia śmiertelników mają wątpliwości, czy warto poświęcać życie dla czegoś, co może okazać się złudą? Zwłaszcza że Bóg machnął już ręką na los niewdzięcznych ludzi na Ziemi i przestał karać za grzechy duże skupiska ludzkie. Nie obserwuje się obecnie zagłady miast dla ukarania paru grzeszników.

Czas na podsumowanie – mówiłem w końcu. – Prawo boskie jako takie nie istnieje, raczej zostało sformułowane przez Kościół, bo ani nie jest absolutne, ani idealne. Również moralność chrześcijańska niewiele ma w sobie boskości – jest nieprecyzyjna, pełna kontradycji, w żaden sposób nie jest absolutna i nie pasuje do realnego świata. Narzuca człowiekowi zachowania, które nie sprzyjają szczęśliwemu życiu. Wymaga od ludzi wyrzeczeń, które w żaden sposób nie służą Bogu. Nakazując miłość do bliźniego, równocześnie ogranicza miłość w małżeństwie wyłącznie dla celów prokreacji. Wiele religijnych nakazów straciło rację bytu. Należy pamiętać, że gdy powstawała religia chrześcijańska lub – jak mówią niektórzy heretycy – religia pastuchów, świat był płaski i koncentrował się dookoła Morza Śródziemnego, obiegało go Słońce, zamieszkiwało go mniej niż pół miliarda ludzi, a człowiek był tworem idealnym. Dzisiaj każdy słyszał o kulistości ziemi, o Galileuszu, Koperniku i systemie heliocentrycznym oraz o tym, że na Ziemi żyje siedem miliardów ludzi, że mniej więcej co tysięczna osobniczka rodzi się z penisem, a co tysięczny osobnik z pochwą. Jako ciekawostkę powiem, że w Polsce te osobniczki z penisem, wbrew woli Boga, zaraz po urodzeniu fiksuje chirurg. Podobnie jak kiedyś religia nie pasowała do systemu heliocentrycznego, tak dzisiaj, wraz z gwałtownym postępem wiedzy, zwłaszcza anatomii, fizyki, astrofizyki, astronomii, kosmologii i kosmogonii, religia staje w sprzeczności

z potocznymi obserwacjami i odkryciami naukowymi. To właśnie te obserwacje i odkrycia powodują, że prawo boskie coraz bardziej odstaje od rzeczywistości, że jest coraz mniej miejsca we wszechświecie dla Boga i jego świty. Przynajmniej dla Boga sprzed 2 tysięcy lat – stwórcy flory, fauny i idealnego człowieka, Słońca, Księżyca i gwiazd tylko dla dziennego i nocnego światła oraz dla ozdoby. To wszystko powoduje, że coraz więcej wiernych zaczyna wątpić w słowo boże, a rzesze świątłych wiernych szybko się zmniejszają. Coraz więcej ludzi zadaje sobie pytanie: Co to jest prawo boskie? Czy jest to Księga Rodzaju? Chyba nie! Przecież z naukowego punktu widzenia, jeśli odrzucić „inteligentny design” jako pseudonaukę, jest to stek bzdur. Nic więc dziwnego, że od strony dogmatycznej religia katolicka coraz bardziej upodabnia się do filozofii naturalizmu, chociaż pozbawionego elementów egzystencjalizmu. Dekalog też nie! Przecież, jak to pokazałem wcześniej, większość nakazów dekalogu jest wątpliwego pochodzenia, nie podaje absolutnych zakazów moralnych, a wręcz podlega interpretacji człowieka. Toteż dzisiaj teolodzy coraz bardziej odchodzą od słowa pisanego w Biblii, przedstawiając prawa natury, oczywiście filtrowane na modłę Kościoła, jako prawo boskie. Trzeba być świadomym, że od wieków toczy się wojna o dusze, którą w Europie, od średniowiecza, kiedy liczba wiernych była największa, Kościół powoli przegrywa.

Z obecnym Bogiem nie ma dla nas pomocy od niebios na ziemi. Chociaż niewielu ludzi to sobie uświadamia, a tym uświadomionym jest trudno z tym się pogodzić – Bóg przestał się wtrącać w nasze ziemskie sprawy. Kataklizmy, pandemie i epidemie są zjawiskami naturalnymi, niezależnymi do Boga. Bóg pozostawił człowieka samemu sobie, może mu co najwyżej pobłogosławić. Toteż powinniśmy się modlić tylko o błogosławieństwo. A my, nieświadomi szarzy ludzie, ciągle modlimy się «o zdrowie dla tatusia», «o zdrowie dla mamusi», «o nasze zdrowie», «o dobre plony/wyniki», «o dobrą pracę», «o szczęście w miłości» i o wiele innych temu podobnych rzeczy. Faktem jest, że przysłowie: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie – straciło ważność. Prawdziwą rolę Boga w życiu dzisiejszego człowieka najlepiej pokazuje poniższa anegdota” – kończyłem, po czym opowiadałem anegdotę:

„Młody, bardzo bogaty i bardzo religijny rolnik, który właśnie odziedziczył wielką spuściznę, modli się do Boga: «Panie, daj mi plony. Pobuduję ci kapliczkę w wiosce». Kapliczkę pobudował, ale na jesieni plonów nie było. Następnej wiosny znowu się modli: «Panie, chyba byłeś zajęty, że pominąłeś mnie w swojej łaskawości w ubiegłym roku. Pobuduję ci w tym roku kościół w stolicy powiatu. Ale proszę, daj mi plony». Już latem kościół był gotowy, niestety, przyszła jesień, a plonów nie było. Następnej wiosny znowu się modli: «Może nie spodobał ci się mój ostatni dar. Obiecuję, że w tym roku pobuduję ci katedrę w stolicy kraju, ale proszę, daj mi plony». Gotowa katedra jeszcze latem służyła stołecznej religijnej

społeczności, niestety, jesienią plonów nie było. Zrozpaczony rolnik klęka na pustym polu i się modli: «Panie, pobudowałem ci kapliczkę, kościół i katedrę, dlaczego nie dałeś mi plonów?». W tym momencie zebrała się nad nim wielka czarna chmura. Po chwili dwie potężne dłonie robią w środku szparę, przez którą wychyla się siwa głowa i mówi: «Chłopie, zlituj się, zasiej coś!». Rolnik zrozumiał swój błąd. W następnym roku na wiosnę obsiał olbrzymie pole pszenicą i się modli: «Panie posiałem, daj mi plony. Pobuduję ci kapliczkę w wiosce». Już w maju zielone pole całe pokryte dorodną pszenicą radowało mu serce; kapliczka była gotowa, sąsiedzi zazdrościli. Niestety susza latem wypaliła zboże na wiór. Nie załamał się, zorał wszystko. W następnym roku zatrudnił ludzi i posadził kartofle. Znowu się modli: «Panie, zasadziłem, daj mi plony, pobuduję ci kościół w stolicy powiatu». Niewielkie łęty w kolorze ciemnej zieleni zapowiadały dobry urodzaj. A że lato zapowiadało się deszczowe, rolnik pospieszył się z budową kościoła i był gotowy już w czerwcu. Niestety, rozpadało się i padało przez cały czas, i w czerwcu, i w lipcu, i w sierpniu. We wrześniu nie było co zbierać. Na polu leżały tylko zgniłe, czarne kartoflane łęty. Rolnik znowu wszystko zorał. Jednak był twardy, nie załamał się. Pod koniec kwietnia następnego roku posadził 40 tysięcy pomidorów i znowu się modli: «Panie, posadziłem. Pomyślałem, że przyda ci się druga katedra w stolicy. Zacząłem już ją budować. Za miesiąc będzie gotowa. Ale proszę, wspomóż mnie, daj mi plony». Tamtego roku był wyjątkowo zimny czerwiec. W nocy temperatury spadały nawet do minus dziesięciu stopni. Nic więc dziwnego, że pewnej najzimniejszej nocy 39 999 pomidorowych sadzonek zmarzło. Zrozpaczony rolnik klęka na polu pełnym czarnych kikutów i się modli: «Panie, pobudowałem ci kapliczkę, kościół i katedrę, dlaczego nie dałeś mi plonów?» Znowu zebrała się nad nim wielka czarna chmura, w której dwie potężne dłonie zrobiły szparę w środku. Wychyla się siwa głowa i mówi: «Bo wiesz co, chłopie? Ja coś ciebie nie lubię». Na taką deklarację rolnik zrobił coś, co każdy by zrobił na jego miejscu – odwrócił się od Boga. Za resztę spadku kupił transport cejlońskiej herbaty i zarobił fortunę na imporcie. Jesienią poszedł grać z pobożnym w golfa. Zarobił, więc stać go było na luksusy. Pobożny jak to pobożny – z pobożnym skupieniem uderza piłkę putterem, ta zatrzymuje się metr od dołka. Z kolei rolnik uderza, ale robi to z taką nonszalancją i tak niefortunnie, że piłka wpada do wody. «Cholera, nie trafiłem!» – woła wkurzony. «Uważaj, nie bluźnij! Bóg słucha» – strofuje rolnika pobożny. Historia powtarza się przy drugim dołku, z tym że tym razem piłka rolnika wpada w piasek. Rozeźlony rolnik znowu woła: «Cholera, nie trafiłem!». «Uważaj, nie bluźnij! Jeszcze Bóg cię ukarze» – ostrzega rolnika pobożny. Historia powtarza się również przy trzecim dołku, gdzie piłka rolnika wpada w krzaki. Rozeźlony znowu woła: «Cholera, nie trafiłem». «Uważaj, nie bluźnij! Jeszcze Bóg ześle na ciebie piorun» – grozi rolnikowi pobożny. I rzeczywiście, zebrała się wielka czarna chmura i wałnął piorun – wuuuuub. Po

chwili dwie potężne dłonie robią szparę w środku chmury. Wychyla się siwa głowa i mówi: «Cholera, nie trafiłem»».

W tym miejscu zawsze rozlegał się śmiech uczniów. Ale ja kończyłem na poważnie:

„Anegdotka niesie poważny morał, który najprościej można by sformułować jako: jak nic nie zrobisz, na pewno Bóg ci nie pomoże. Jeśli zrobisz wszystko, co powinieneś – Bóg może pomóc, ale nie musi, może wręcz przeszkodzić. Bóg też może się pomylić. Niezbadane są wyroki boże. Żadna z zasad ludzkiej sprawiedliwości: ani «każdemu według potrzeb», ani «każdemu według zasłu» u Boga nie obowiązuje. Niemniej dobrze jest mieć do kogo się zwrócić z błaganiami, gdy nie ma już innej nadziei».

Tego dnia nie pojechali do kościoła.

Nadszedł wieczór powrotu Krystyny do Polski. Roman osobiście odwiózł ją na lotnisko, a ponieważ udało im się dojechać bardzo szybko, mieli więc dużo czasu w zapasie. Poza tym przy odprawie paszportowej poinformowano ich, że lot jest opóźniony o czterdzieści minut. Usiedli więc w restauracji Baron Rojo, żeby poczekać. Roman powiedział jej, że ma odczucie déjà vu – znowu siedział w tej samej restauracji i przy tym samym stoliku co sześć miesięcy temu.

– Kochanie, chciałam ci bardzo podziękować. Dla mnie to były wspaniałe wakacje. Mogę nawet powiedzieć, że były to wakacje mojego życia. Chcę ci też powiedzieć, że cię bardzo kocham i z utęsknieniem będę na ciebie czekała, aż przylecisz na początku sierpnia, jak to obiecałeś. To ponad dwa miesiące czekania. Wiem, że będę bardzo tęskniła. No ale cóż innego mi pozostaje? Zrób coś, proszę, żebyśmy już nie musieli się rozłączać – powiedziała Krystyna.

– Nie ma za co – skwitował podziękowania Roman. – To ja ci dziękuję za przybycie.

Roman sprawiał wrażenie zmęczonego i smutnego. Jeśli Krystyna chciała w nim wzbudzić zazdrość, przekazując mu informację o czekającym na nią biznesmenie w Londynie, to się jej udało. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie wysiądzie ona w Londynie. Bilet klasy biznesowej można łatwo przebukować na inną datę bez konieczności dopłaty. Pomyślał, że popełnił błąd, kupując taki bilet. Dlatego gdy Krystyna powiedziała: „Chcę ci powiedzieć, że cię kocham”, najpierw zachnął się, ale po chwili zawstydzził się swojej reakcji.

– Powiem ci coś – kontynuowała Krystyna. – Jak dla mnie, te dwa tygodnie upłynęły zbyt szybko. I nie boję się już latania.

– To bardzo dobrze – odpowiedział. – Radzę ci do kolacji napić się wina. Pozwoli ci to łatwiej usnąć. Dolecisz do Londynu wypoczęta. Tam na przesiadkę musisz poczekać cztery godziny. Jeszcze jedno – powiedział po chwili. –

Najwyższa pora, żebyś miała własny laptop i nie musiała używać komputera Doroty. Proponuję, że wybiorę kilka modeli i wyślę ci moje propozycje, żebyś mogła wybrać. Będzie mi miło móc kupić ci nieduży laptop. Robię to nie tylko dla ciebie, ale dla nas, żeby usprawnić naszą komunikację.

Na zakończenie Roman obiecał, że następnym razem przyleci przynajmniej na dwa miesiące. Później zaplanują, co będą robić dalej. Przyrzekł, że zrobi wszystko, żeby jak najszybciej mogli być razem na stałe.

Podróż do Europy odbyła się bez przygód. Z lotniska w Warszawie odebrała ją Dorota. Przyjechała po nią ze swoim chłopakiem, jej samochodem, którego używała w czasie nieobecności matki.

– No to opowiadaj dokładnie, jak tam było – zagaiła Dorota, gdy tylko wszyscy usadowili się w samochodzie.

– Było wspaniale. W życiu nie miałam takich wakacji. Żałuję, że wzięłam tylko dwa tygodnie urlopu i musiałam tak szybko wracać – odpowiedziała Krystyna. – Pierwszy tydzień spędziłam głównie w mieście Meksyk. Roman był zajęty, dlatego organizował dla mnie wycieczki w okolicy. Miałam do towarzystwa *muchachę*, Tomasza lub jego. Z *muchachą* byłam na bardzo ciekawej wycieczce w Muzeum Antropologicznym i w Parku Chapultepek, a także pojechałyśmy autobusem turystycznym na całodniową wycieczkę do Teotihuacan. To starożytne miasto zostało założone około sto lat przed Chrystusem. Dzisiaj miasto jest słynne z uwagi na zabytkowe i bardzo znane w Ameryce piramidy Słońca i Księżycy. To trzeba koniecznie zobaczyć. Przewodnik mówił, że już za czasów Chrystusa miasto liczyło sto tysięcy mieszkańców. To była pouczająca i atrakcyjna wycieczka. W drodze powrotnej w programie był obiad w restauracji, w trakcie którego odbywały się występy taneczne lokalnych zespołów folklorystycznych.

– Słyszałam o tych piramidach – weszła jej w słowo Dorota. – Czy rzeczywiście są takie duże?

– Tak, są ogromne. Schody w tej większej mają chyba 365 stopni wysokości przynajmniej na trzydzieści centymetrów – odpowiedziała Krystyna. – Z Tomaszem zwiedziłam miasto w tak zwanym turibusie. To taki dwupoziomowy autobus z otwartą górą. Wykupiliśmy karnety na całodniową wycieczkę na określoną trasę. Mogliśmy wysiadać, aby zwiedzić konkretny zabytek, a potem zabrać się w dalszą drogę którymkolwiek innym. Z Romanem natomiast zwiedziłam Polanco. Jest to bardzo ładna dzielnica miasta Meksyk, z prześlicznymi domami w stylu kolonialnym, wspaniałymi parkami i skwerami. Odwiedziłam z nim też dwa centra handlowe, aby mieć porównanie do polskich. Dzielnica była cudowna, ale centra od naszych specjalnie się nie różniły.

– To Roman rzeczywiście poświęcał ci mało czasu – znowu przerwała jej Dorota. – Naprawdę był taki zajęty?

– Był zajęty, ale i tak spędzałam z nim dużo czasu. W pierwszym tygodniu

byłam z nim cztery razy na kolacji w restauracjach... i to jakich! W argentyńskiej, irańskiej, libańskiej i kuchni fuzyjnej. W domu pokażę wam zdjęcia. Takie restauracje w Polsce nie istnieją. Ta ostatnia zresztą miała bardzo interesującą nazwę El Poco de Vino, co po polsku oznacza „odrobina wina”. Byliśmy tam z przyjaciółmi Romana. Ciekawe w niej było to, że kupowało się specjalną kartę, którą później płaciło się za wino w bezobsługowym dystrybutorze. Był on wyposażony w różne wina. Po wczytaniu karty należało podstawić kieliszek pod kranik i ten automatycznie zostawał napełniony, a w miejsce wina do butelki wlatywał azot. Ta restauracja serwowała też bardzo wyszukane dania. Siedziało się na tarasie, z którego rozciągał się bardzo ładny widok na całe miasto. W pamięci utkwiała mi też argentyńska restauracja o nazwie Rincorn Argentino, gdzie byłam tylko z Romanem. Jedliśmy tam całą wołową polędwicę. Według Romana zachowałam się jak typowa Polka, bo zażyczyłam sobie mięso dobrze wysmażone. On oczywiście zamówił rojo, czyli „czerwone”, co w praktyce oznaczało prawie surowe. Na deser zamówił dla nas kawę po irlandzku. Ciekawie ją przyrządzają. To był pokaz, który Roman nazwał flambe. W restauracji libańskiej byłam też z Romanem, w towarzystwie Tomasza i Romana przyjaciela. Tam obejrzelśmy występ z prawdziwymi tańcami brzucha i flamenco. Najśmieszniejsze było to, że po występie to ja prowadziłam samochód i zostaliśmy zatrzymani na punkcie kontroli trzeźwości.

– Naprawdę? Ale miałaś fajną przygodę – roześmiała się Dorota. – I co, nie zaaresztowali cię?

– Nie, ale muszę się wam przyznać, że przeżyłam wtedy spory stres. Oczywiście nie dlatego, że coś wypiałam, bo nie piłam. Gdyby mnie złapali pijaną, poszłabym do ciupy na siedemdziesiąt dwie godziny. Ale kontrola nie była taka dokładna jak w Polsce. Nie kazano mi w nic dmuchać. Policjant tylko ze mną rozmawiał. I tak zresztą nie miałam dużo do powiedzenia, bo uparł się, żeby mówić tylko po hiszpańsku. Roman musiał mi więc tłumaczyć jego słowa. A zestresowałam się dlatego, bo po raz pierwszy prowadziłam auto za granicą. Poza tym dlatego, że pasy ruchu są tam węższe niż w miastach w Polsce, a prowadziłam wielkiego jeepa, na dodatek auto miało automatyczną skrzynię biegów i ciągle się myliłam, bo albo szukałam drążka do zmiany biegów, albo wciskałam sprzęgło.

– Ale fajne! – Dorota dobrze się bawiła. – To teraz pewnie zmienimy samochód. Też chcę jeepa „automata”.

– Bardzo wygodne auto. Też bym je chciała, ale nie tak od razu – odpowiedziała Krystyna. – Powiem wam, że dużo czasu spędziłam w samochodzie, bo w piątek po południu pojechaliśmy z Romanem jeepem nad morze. To była dopiero wycieczka! Prawie całą drogę jechaliśmy autostradami, z początku przez w miarę płaski teren, później przez zalesione góry. Pod koniec trasy jechaliśmy

serpentynami. Wyobraźcie sobie – prawie trzysta kilometrów pustkowia – ani miast, ani wiosek. Dopiero jak dotarliśmy do stanu Veracruz, kraj się zagęścił. Tam już było bardziej jak w Polsce – wioska następowała za wioską, czasami jakieś miasteczko. Jedyne różnica to bardzo zielone i gęste ogrody i sady bananowców. O zmierzchu zatrzymaliśmy się w hoteliku w jakimś niewielkim miasteczku. Zjedliśmy tam kolację. Było bardzo uroczo. Pełen folklor, tak jakbym zatrzymała się w wiejskiej knajpie w Polsce, tylko bardziej zatłoczonej. W cenie hotelu było śniadanie. Zjadłam sałatkę owocową – całą furę owoców, a Roman omlet. Zresztą on w hotelu zawsze je na śniadanie omlet. Dopiero około południa ruszyliśmy w dalszą drogę. Niewiele później dotarliśmy do celu.

– Musiało być gorąco? – zgadywała Dorota.

– Nie było tak źle. Jeep ma klimatyzator. A hotel był tuż przy plaży i też był klimatyzowany. Było to bardzo romantyczne miejsce. Hotel był niewielki, zatopiony w środku olbrzymiego gaju palmowego i był na całkowitym bezludziu. Do najbliższego miasteczka było około dziesięciu kilometrów. To zapewniało spokój i ciszę. A sąsiednie miasteczko, w którym było dużo barów i restauracji, dostarczało wystarczających atrakcji i zróżnicowanej gastronomii. Zresztą sam hotel oferował gościom wszelkiego rodzaju wygody: olbrzymią prywatną plażę, duży ładny basen, wodny bar, w którym siedziało się na stołkach zanurzonych w wodzie, własną restaurację, indiańską saunę, małe zoo, korty tenisowe oraz inne obiekty sportowe – nie było możliwości, żeby się tam nudzić. Z obydwu stron gaju były rzeki. Jedna z nich była szeroka i miała wiele odnóg, dzięki czemu hotel oferował dodatkowe atrakcje. Można było na przykład wypożyczyć łódkę albo kajak i popływać wzdłuż rzeki lub jej rozlewisk, albo po prostu kąpać się w niej. Na plaży, po drugiej stronie tej rzeki, w każdy weekend otwierano pod namiotami kilkanaście restauracji i barów, które obsługiwały plażowiczów przybyłych z pobliskich miasteczek. Byliśmy tam i napiliśmy się piwa. Dodam, że stan Veracruz słynie z dużej liczby zabytków. Jeden ze słynniejszych to Tajin. Od hotelu do tego miejsca nie było daleko. Jednak obiekt jest tak olbrzymi, że na zwiedzanie potrzeba całego dnia. Toteż, mimo że wyjechaliśmy zaraz po śniadaniu, wróciliśmy już po kolacji, którą zjedliśmy po drodze. O Tajinie opowiem więcej innym razem. Teraz powiem tylko, że jest to uznany przez UNESCO zabytek światowej klasy – bardzo dobrze zachowane pozostałości miasta założonego jakieś sześćset lat po Chrystusie.

– A masz zdjęcia? – zapytała Dorota.

– Mam, i to dużo – odpowiedziała Krystyna. – Pokażę je wam w domu. Wtedy opowiem wam więcej. Teraz skończę to, co mogę powiedzieć bez zdjęć. W hotelu nad plażą spędziliśmy pięć uroczych dni. Ostatniego dnia po południu przenieśliśmy się do Veracruz. Tam zatrzymaliśmy się w hotelu położonym w samym centrum. Roman zapowiedział mi, że jest to bardzo ładne portowe

miasto, które on bardzo lubi, gdyż o każdej porze roku tętni życiem i przyciąga turystów. To była prawda. Na centralnym placu, tuż przy naszym hotelu, była na stałe zainstalowana scena, na której co wieczór odbywały się występy. Trafiliśmy akurat na koncerty chórów, po których później odbywały się potańcówki. Pierwszego dnia był chyba „wieczór dojrzałych par”, bo tylko takie tańczyły. Muszę się wam pochwalić, że też tańczyliśmy. Obok można było oglądać występ linoskoczka. Czego to on nie wyprawiał!

– A co oni tam tańczą? – zapytała Dorota.

– To samo co u nas. Myśmy tańczyli „przytulanego” – odpowiedziała Krystyna. – Zgadza się z Romanem, że Veracruz jest uroczym miastem. Z boku centralnego placu znajduje się ciąg restauracji, łącznie przynajmniej tysiąc stolików. Powiem wam, największe ogródki w polskich miastach nie są nawet w połowie tak duże. Co więcej, byliśmy tam w środku tygodnia, a te restauracje były pełne ludzi. A to, co urzekło mnie najbardziej, to wszechobecna muzyka. Pomiędzy stolikami cały czas przeciskały się „różnej maści” zespoły, żeby grać „na żądanie”. Zdziwiło mnie, że cały czas mieli klientów. Meksykanie widocznie lubią muzykę. Powiedziałam „różnej maści”, bo w różnych zespołach muzycy byli rzeczywiście różnie ubrani, grali w różnych składach i na różnych instrumentach. Roman powiedział mi, że ubrani na biało to Veracruzanos. Grają na gitarach i harfie. Inni byli ubrani jak kowboje. Tych zazwyczaj było czterech. Nazywają ich Norteños. W zestawie instrumentów mieli akordeon i przynajmniej jedną sześciostunową gitarę basową. Dowiedziałam się od Romana, że akordeon przywieźli do Meksyku Polacy w armii Napoleona. Wielu z nich zresztą później osiedliło się w tym kraju. Grupa trzech Meksykanów bardzo ładnie grała na dużym ksylofonie – wszyscy trzej naraz. Widziałam też dużą grupę Mariachis. Jak mówił Roman, zazwyczaj jest to dziewięcioosobowa grupa muzyków, zawsze ze skrzypcami, trąbkami, czasami saksofonem altowym i gitarami. Wszyscy są ubrani w stroje podobne do polskich strojów góralskich, ale są zrobione z cieńszego filcu lub bawełny i są kolorowe. Przeważają barwy: czarna, brązowa i szara. Nie widzi się natomiast koloru białego jak u górali, chyba że u kobiet. Mariachis noszą szerokie sombrera, dopasowane kolorem do stroju. Wszyscy w grupie śpiewają, chociaż zdarza się, że mają solistę. Obecnie jest ich najwięcej w stolicy, a zwłaszcza na Placu Garibaldi, który Roman obiecał mi pokazać w czasie następnego mojego pobytu. Powiedział też, że w Meksyku jest coraz mniej grup Mariachis. Chociaż ciągle są popularni, to jednak przegrywają konkurencję z innymi grupami, bo ze względu na wielkość zespołu i rodzaj strojów są za drodzy. Kiedyś podobno byli wszechobecni. Modne było oświadczać się dziewczynie przy muzyce Mariachis albo zaprosić ich na uroczystości rodzinne. Dzisiaj taka przyjemność jest za droga. Toteż najczęściej widuje się ich w dobrych restauracjach, gdzie grają na żądanie, lub na dużych imprezach zakładowych lub

prywatnych. W dzisiejszych czasach obecność Mariachis na imprezie znamionuje ważne wydarzenie.

– Lubiałaś, jak grają Mariachis? W Polsce chyba wszyscy o nich słyszeli – stwierdziła Dorota.

– Nie wiem, dla mnie grali Norteños – odpowiedziała Krystyna i zamilkła. – Cały czas stołowaliśmy się w restauracjach, czasami w wyjątkowych – kontynuowała po chwili. – Ładna była ta w hotelu przy plaży. Raz pojechaliśmy do prześlicznej restauracji nad rzeką w centrum miasteczka. Było to naprawdę cudowne przeżycie. Siedzieliśmy prawie po ciemku i obserwowaliśmy wracające z połowów kutry. Podobała mi się też knajpka w Tajin. Ale najbardziej przypadła mi do gustu jedna w Veracruz. Pojechaliśmy tam wieczorem, następnego dnia po przyjeździe. Nazywała się La Mera Madre. Oferowała świeże, wyśmienicie przyrządzone ryby i owoce morza. Jest to ulubiona restauracja Romana, a teraz i moja. Obiecałam sobie odwiedzać ją za każdym pobytom w Veracruz. Pochwalę się wam, że przez całą wycieczkę jadłam tylko ryby. Były zawsze świeże i wyśmienite. I pomyśleć, że w Polsce nie lubiłam ryb.

– Naprawdę? – zdziwiła się Dorota.

– Naprawdę – odpowiedziała Krystyna. – Teraz szykujcie się na to, że będziemy jedli ryby przynajmniej dwa razy w tygodniu. A wracając do mojej wycieczki... W Veracruz na plażę nie chodziliśmy. Za to dużo spacerowaliśmy. Miasto jest znane z uroczych nadbrzeżnych bulwarów. Jest tak duże i ciekawe, że dwa dni nie wystarczyły na zwiedzanie. Niestety, w piątek musieliśmy już wracać, jako że na sobotę byliśmy zaproszeni na kolację do przyjaciół Romana, a na niedzielę miałam już zabukowany bilet powrotny do Polski. Wyjechaliśmy około południa, bo Roman chciał mi jeszcze pokazać w Meksyku restaurację Rincorn Polaco, co oznacza „polski kącik”. Dojechaliśmy tam około osiemnastej. Restauracja słynie z tego, że stołował się w niej papież Jan Paweł II, niektórzy polscy prezydenci z żonami i wiele polskich sław. Na ścianach zresztą jest pełno zdjęć tych osób w towarzystwie obsługi. Mojego zdjęcia, niestety, tam nie znajdziecie. Mimo że się tam stołowałam, nikt z obsługi mi tego nie zaproponował. Dodam, że restauracja jest bardzo elegancka i pełna polskich symboli. Roman powiedział mi, że trzy razy w tygodniu odbywają się tam koncerty jazzowe. To ciekawe uczucie, gdy obsługują cię Meksykanie ubrani w białe koszule, czarne spodnie i czarne kamizelki z biało-czerwonym orłem. Menu poleca głównie polskie dania – gęsinę, perliczkę, kaczkę, tatar, pierogi, śledzie i inne tego typu. Wszystko kilka, a nawet kilkanaście razy droższe niż w Polsce. Furorę robi zwłaszcza dobrze zmrożona żubrówka, którą podają tak zimną, że jest jak olej.

– Teraz, gdy już jesteś światowej klasy damą, pewnie nie będziesz piła byle czego. Mamy w domu tequilę – oświadczyła Dorota.

– Niepotrzebnie. Przejęłam to od Romana – nie lubię tequili. A kończąc

moją historię – jak wspomniałam, w sobotę byliśmy zaproszeni na kolację do meksykańskiej rodziny. Para jest w wieku około czterdziestu lat, mają uroczę dziewięcioletnie trojaczki i dwuletniego chłopca. Wyglądali na bardzo szczęśliwą rodzinę. Ich dom był bardzo ładny. Usytuowany jest na wzgórzu, z którego rozciąga się uroczy widok na miasto w dole. Nadzwyczajną rzeczą jest to, że na szczycie wzgórza jest plac zabaw, wspólny dla wszystkich okolicznych domów. W niedzielę w południe Roman zorganizował uroczysty pożegnalny obiad – ostatni z nim i Tomaszem w czasie tego pobytu. Uczestniczyła w nim też *muchacha*, którą Roman traktuje jak członka rodziny. Poprosił ją o pracę w sobotę i niedzielę, a dał jej dni wolne w poniedziałek i wtorek. Wspólnie przygotowali specjalne menu. Obiad składał się z wielu dań, w tym sałatek, ze względu na Tomasza, który jest wegetarianinem. Jako danie główne on jadł rybę, reszta grube T-bone steki. Jako dodatek marchewkę na słodko – duszoną w sosie z miodu, musztardy i soku pomarańczowego. To tyle.

Krystyna zamilkła.

– Podróż powrotna do Polski nie była uciążliwa, a powiedziałabym nawet, że przyjemna – powiedziała po chwili. – Posłuchałam rady Romana i napiłam się do kolacji wina. Zaraz po niej usnęłam i spałam całą drogę do Londynu. Obudziła mnie dopiero stewardesa na śniadanie. Myślę, że lubię latać samolotami, a zwłaszcza klasą biznesową.

Zmęczona długą podróżą i przesunięciem w czasie, skupiona na wspomnieniach, Krystyna nie zauważyła nawet, że w międzyczasie dojechali do Torunia. Zorientowała się dopiero, gdy zatrzymali się przed bramą domu.

– O! Widzę, że już dojechaliśmy. Dziękuję wam za odebranie mnie z lotniska i dowiezenie całej do domu. Więcej o Meksyku opowiem wam innym razem – zakończyła swoją opowieść.

Następnego dnia wstała jak zwykle o szóstej rano i na ósmą poszła do pracy. Gdy wieczorem zalogowała się na Skypie, Romana nie było. Za to dostała od niego maila. Wysłał jej sześć linków z ofertami laptopów. W liście i on, i Tomasz polecali jej zwłaszcza Acer Ferrari One, wysoko oceniany przez innych użytkowników. Kliknęła na ten link. Pojawiła się strona poświęcona wyłącznie temu modelowi komputera. Próbowała zapoznać się ze specyfikacją, ale szybko ją znudziła. Komputer miał cztery gigabajty pamięci i dobry procesor. Dysk twardy o pojemności trzystu dwudziestu gigabajtów. Dla niej najważniejsze było to, że będzie mogła pracować na akumulatorze przez trzy i pół godziny. Poza tym wiedziała od Romana, że dobry laptop musi mieć kartę Wi-Fi. Ten miał. Miał też wbudowany bluetooth i trzy wejścia USB. Najbardziej podobało jej się to, że komputer miał wbudowaną kamerę i mikrofon oraz Windows 7. Podobało jej się

też, że był niewielki i cienki. Niewiele też ważył – tylko półtora kilograma. Odpisała Romanowi, że Acer Ferrari bardzo jej się podoba i ma być w kolorze czarnym. Kilka dni później przyszła paczka z komputerem i brązowym etui do niego. Komputer był śliczny. Na środku pokrywy widniał znak firmowy Ferrari. Po włączeniu komputer wystartował, wydając dźwięk potężnego silnika samochodu sportowego. „Tak więc brzmi ferrari” – pomyślała, pełna radości. Ma swój pierwszy własny komputer. Ma swoje ferrari.

Znowu zaczęły się dla niej długie monotonne dni w samotności, tym razem w oczekiwaniu na przyjazd Romana. Ale teraz nie była ograniczona w dostępie do komputera. Zabierała go ze sobą do łóżka.

ROZDZIAŁ 14

Niedziela, 31 lipca 2011, godzina 17:55 CEST

Jej miejsce w przedziale było zajęte. Krystyna jeszcze raz sprawdziła bilet. Wagon szesnasty, miejsce trzydzieste piąte, nie było wątpliwości.

– Czy to wagon szesnasty? – zapytała, chcąc się upewnić.

– Tak – odpowiedziała kobieta siedząca na lewo od drzwi.

A więc wszystko się zgadzało. Z wyjątkiem tego, że na jej miejscu siedział starszy, korpulentny mężczyzna. Ale ponieważ trzy inne miejsca były wolne, nie zaprotestowała. Usiadła przy oknie. Czekala ją jeszcze godzina jazdy do Warszawy. To był dzień, na który Krystyna czekała prawie dwa i pół miesiąca – dzień przyjazdu Romana. Jak dotąd jej podróż przebiegała zgodnie z planem. Jechała z przesiadką. Roman przylatywał samolotem z Paryża o 21:25, a bezpośredni pociąg z Torunia dojeżdżał do Warszawy o 21:04. Mogłaby nie zdążyć na czas na lotnisko. A za nic na świecie nie chciała zrezygnować z niespodzianki, którą mu szykowała, czyli powitania go na lotnisku. Z przesiadką będzie w Warszawie o 19:05. Zostanie jej więc dużo czasu, żeby spokojnie dojechać autobusem na lotnisko. Pewnie będzie nawet musiała jeszcze trochę poczekać. Stęskniła się już za Romanem. Zwłaszcza ostatnie dni były trudne, gdy już wiedziała, że Roman na pewno przyjedzie. Datę przyjazdu знаła od dawna, uzgodnili ją już w czasie jej pobytu w Meksyku. Jednak nie widzieli się przeszło dwa miesiące. „To długo” – pomyślała. Niby tylko dwa miesiące, ale czas na czekaniu bardzo jej się dłużył. Wróciła do starego rytmu dnia: sen – praca – dom – sen. Zmieniło się tylko to, że krócej sypiała, bo albo czekała na Skypie, aż Roman się pojawi, albo gawędziła z nim przez Internet. Z tego też powodu weekendy zrobiły się krótsze. W soboty i niedziele Roman logował się na Skypie wcześniej, u niego była ósma rano, u niej piętnasta. W te dni rozmawiali długo. Opowiadała mu o wszystkim, o pracy, o progresie w angielskim, o tym, jak używa komputera do medialnych lekcji angielskiego, i o tym, że tęskni.

Pociąg dojechał o czasie. No tak – międzynarodowy ekspres! Ten na pewno ma wszędzie zielone światło. Autobus też jakby na nią czekał. Podjechał, jak tylko przyszła na przystanek. Co za licho tym rządzi? Pewnie zajęłoby mu o wiele więcej czasu, żeby przyjechać, gdyby się spieszyła, a tak będzie musiała czekać na lotnisku prawie dwie godziny. Na dodatek ogłoszono, że samolot z Paryża ma dwadzieścia minut opóźnienia. W sumie przeszło dwie godziny czekania. Usiadła w Flying Bistro i zamówiła kawę. Zaczęła układać plany na czas pobytu Romana, ale wkrótce złapała się na tym, że marzy na jawie. Znowu poczuła motylki w brzuchu. Im bliżej daty przyjazdu, tym częściej je czuła. Bardzo tęskniła. Pociągał ją fizycznie i, co tu dużo mówić, brakowało jej go w łóżku. Od czasu poznania Romana czuła się seksualnie bardzo pobudzona. Podobno weszła w wiek,

kiedy kobieta ma większe potrzeby seksualne. Nie było faceta w pobliżu, nie było potrzeb. Teraz podniecała ją nawet sama myśl o tym, że znowu znajdzie się w jego ramionach.

Roman wyraził nadzieję, że lato będzie ciepłe i długie. W końcu przyjeżdżał na sierpień i wrzesień. W planach mieli zwiedzanie. Jak do tej pory pogoda była wyjątkowo ciepła i ładna, już od początku maja przez cały czas dni były słoneczne. Roman zaproponował jej, żeby w każdy weekend zwiedzili przynajmniej jedno miasto. Zapowiedział też, że polecą na tydzień do Szwecji. Uzgodnili, że w razie potrzeby będzie brała krótkie urlopy.

„Chyba już czas iść do hali przylotów” – pomyślała, patrząc na ścienny zegar. Dopiła kawę i przeniosła się do hali. Okazało się, że nie jest jedyną osobą czekającą na Romana. Zobaczyła młodego mężczyznę trzymającego w ręku tabliczkę z nazwiskiem Romana.

– Widzę, że pan też czeka na pana Romana – odezwała się do nieznajomego.

– Tak – odpowiedział. – Jestem kierowcą z biura wynajmu samochodów. Przyproceedziłem dla pana Romana zamówiony samochód.

Upłynęło jeszcze prawie pół godziny, zanim Roman pojawił się w bramce. Wyraźnie ucieszył się na jej widok. Zrobiło się jej tak przyjemnie, że aż się zarumieniła. Niespodzianka się udała.

Od razu poszli z kierowcą do samochodu. Był to wielki SUV Infinity FX70 z dużymi kołami, w kolorze ciemny metalik.

Było już po dwudziestej drugiej, gdy wreszcie udało im się ruszyć w drogę do domu. Auto było bardzo wygodne. Gdy znaleźli się na autostradzie, jechali szybko, powyżej stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Prędkości praktycznie się nie czuło. Od czasu do czasu uruchamiał się dziwny alarm. Niepokoiło to Romana i nawet dwa razy się zatrzymał, aby sprawdzić, czy wszystkie drzwi są zamknięte, a za drugim razem, czy poprawnie działają światła. Ponieważ wszystko było w porządku, zdecydowali się to ignorować. Dopiero po następnej godzinie jazdy tajemnica się wyjaśniła.

– Coś ci pokażę – powiedział nagle Roman. – Już wiem, co uruchamia ten alarm. Słuchaj, zaraz się włączy.

Mówiąc to, najechał na przerywaną białą linię na jezdni i przez chwilę po niej jechał. Alarm zaczął piszczeć.

– Teraz go wyłączę – powiedział i zjechał z linii. Hałas prawie natychmiast ustał.

– Nie rozumiem! Dlaczego piszczy? – zapytała Krystyna.

– Opowiem ci anegdotkę, sama się domyślisz. Na lekcji religii poświęconej śmierci i życiu pozagrobowemu katecheta mówi, że nie jest ważne, jaką ma się śmierć, bo tak naprawdę umiera się tylko przez krótką chwilę, chociaż każdy sobie życzy dobrej śmierci. Następnie pyta przerażonych czwartoklasistów: „A kto mi

„poda przykład dobrej śmierci?”. Zgłasza się Jasio i mówi: „To chyba by była śmierć mojego wujka Łukasza, który zmarł we śnie”. „Bardzo dobrze, Jasiu”, pochwaliła katechetka. „A teraz kto poda przykład złej śmierci?”. Znowu zgłasza się Jasio: „To by chyba była śmierć trzech kolegów wujka, pasażerów w samochodzie, który prowadził”.

– Chcesz powiedzieć, że alarm się włącza, jak usniesz za kierownicą? – spytała. – Ale ty przecież nie spałeś! Widziałam, miałeś otwarte oczy i byłeś skoncentrowany na drodze.

– Fakt, nie spałem. Ale zachowałem się tak, jakbym usnął. Podobno po uśnięciu można jeszcze przejechać kilkaset metrów prosto, ale później kierowca ma tendencję do zjeżdżania na pobocze. Dlatego na drogach boczna ciągła linia jest specjalnie poprzecznie „pocięta”, żeby zaczęło trząść samochodem. To zwykle budzi kierowcę i może uratować życie jemu i pasażerom. W tym samochodzie jest czujnik, który uruchamia alarm, gdy się jedzie po linii, albo jeśli linia znajdzie się między kołami. To może być trochę upierdliwe przy zmianie pasa ruchu, ale w sumie nie jest głupie.

Tajemnica alarmu została wyjaśniona. Roman starał się nie najeżdżać na boczne linie i dalej jechali bez hałasu.

Było już dobrze po pierwszej w nocy, gdy dojechali do Aleksandrowa.

– To już poniedziałek. Nie zapytałem cię, czy idziesz do pracy – powiedział Roman, zatrzymując samochód na parkingu przed swoim apartamentem. – Może wolisz, żebym cię odwiózł do domu?

– Nie trzeba. Wezmę „urlop na telefon”.

– Miałem taką nadzieję – odpowiedział z uśmiechem.

W środku tygodnia, korzystając z tego, że była ładna pogoda, pojechali do Chełmna. Był to pomysł Romana, który był tam w czasach młodości, towarzysząc swojej starszej siostrze jako partner na studniówce w liceum pedagogicznym, do którego uczęszczała. Ale to było dawno temu i niewiele pamiętał. Ciekawiło go, jak miasto wygląda dzisiaj. Na rynku znajdowało się kilka piwnych ogródków. Ratusz w centrum rynku był świeżo odnowiony. Ciekawie prezentowały się mury obronne z bramami i basztami. Zwiedzili też kilka kościołów. Ale samo miasto go rozczarowało. Uliczki wyglądały na zaniedbane, kościoły nie były odrestaurowane, w mieście było niewiele restauracji, zajazdów czy kawiarni. Krystyna wiedziała, że w parku jest ławeczka zakochanych. Według tradycji, para, która chce żyć szczęśliwie, musi koniecznie usiąść na tej ławeczce i się pocałować.

– Dla samej tej ławeczki warto było tu przyjechać – powiedział Roman, namiętnie ją całując.

Ławeczka uratowała dzień. Nastroje im się poprawiły. W sumie spędzili

bardzo urocze popołudnie. Zjedli smaczny obiad w zajeździe w pobliżu rynku, pospacerowali po parku. Obejrzelili wszystko, cokolwiek było do obejrzenia. Pogoda też dopisała – dzień był słoneczny i ciepły. Wrócili do domu zadowoleni, z miłymi wspomnieniami. Na weekend zapowiadano ładne, słoneczne dni. Roman był ciekaw nowej autostrady A1, zaproponował więc wyprawę do Władysławowa, żeby odwiedzić przyjaciół z Otwocka, którzy mieli tam domek letniskowy. Wycieczka zapowiadała się atrakcyjnie, więc Krystyna chętnie się zgodziła. Wyjechali w sobotę rano. Na autostradzie Roman pozwolił jej poprowadzić samochód. Była zachwycona.

Okazało się jednak, że autostrada nie była skończona. Toteż mimo że pojechali obwodnicą omijającą Trójmiasto, do Władysławowa dojechali dopiero po południu. Miasto bardzo im się podobało, zwłaszcza że przyjaciele pokazali im jego atrakcje: przeszli się drewnianą kładką wzdłuż plaży, zwiedzili port rybacki, zjedli świeżą rybkę pod piwko w barze na Hryniewickiego i na koniec przeszli się Aleją Gwiazd Sportu. Mimo późnej pory, deptak tętnił życiem. Udzieliła się im atmosfera wakacji. Było tak uroczo, że mimo iż pierwotnie planowali tego samego dnia pojechać do Gdyni, ostatecznie zdecydowali się zostać we Władysławowie, co pozwoliło im spędzić więcej czasu z przyjaciółmi. Zdziwiło ich, że w środku sezonu udało im się dostać pokój w ładnym, niewielkim hotelu. W ostateczności chyba to zdecydowało o zmianie planów. Rano przeszli plażą do Rozewia, żeby obejrzeć latarnię morską z 1821 roku. Spacer, a zwłaszcza świeże morskie powietrze dodało im energii – całą trasę tam i z powrotem przebyli w niecałą godzinę. Mogli iść szybciej, ale zachwycali się pięknymi widokami. Prawie cała trasa wiodła wzdłuż stromego klifu porośniętego drzewami. Oświetlony porannym słońcem robił niesamowite wrażenie. Do Gdyni pojechali dopiero po południu. W Trójmieście zaczął siąpić kapuśniaczek. Musieli więc zrezygnować z wielu planów na zwiedzanie, chociaż udało im się spędzić w miarę sucho i atrakcyjnie czas na skwerze Kościuszki. Roman zachowywał się jak nastolatek, widać było, że jest szczęśliwy. Dał nawet „dychę” trzem młodym chłopakom stojącym z tekturową tablicą z napisem: „*We do not bullshit!* Zbieramy na piwo”.

– Dałem im za uczciwość, pomysłowość i znajomość angielskiego – powiedział. – Nauczyłem się tego od mojej byłej żony. Dawała datki tylko alkoholikom i narkomanom. Zwykła wtedy mówić: „Tym już nic nie zaszkodzi, a dolar i używka dadzą im odrobinę szczęścia. Inni mogą sobie zarobić na chleb”. W zasadzie zgadzam się z nią. Może dlatego w piątek rano w Aleksandrowie, gdy jakiś menel mnie zaczepił przy sklepie i poprosił, żebym mu dał czterdzieści groszy na chleb, powiedziałem: „Czterdzieści groszy na chleb to pan może sobie zarobić, wynosząc na przykład u mnie śmieci. Mogę panu dać dwa złote na piwo”.

– I co, dałeś?

– Okazało się, że z drobnych miałem tylko pięćdziesiąt złotych, więc poszedłem z nim do sklepu i kupiłem mu puszkę piwa. A propos „menela”, opowiem ci dowcip. Do eleganckiego faceta na ulicy podchodzi brudny, zarośnięty menel i prosi; „Poratuj pan głodnego, daj pan kilka złotych”. „O, nie ma mowy! Pewnie zbierasz na flaszkę?” „Ja? Ależ nie! Ja w ogóle nie piję!” „To pewnie idziesz grać w karty?” „Panie, gdzie tam głodnemu karty w głowie? Poza tym ja brzydzę się hazardem!” „To pewnie idziesz na kobiety?” „O co mnie pan posądza? Ja jestem wiernym mężem!” „A, to co innego. Zabieram pana do domu i nakarmię”. Menel jednak odmawia: „Raczej nie pójdę. Zobacz pan, jak wyglądam. Pana żona się obrazi. Lepiej daj mi pan te parę złotych i sobie pójdę”. „O nie! Muszę pana pokazać mojej żonie. Niech zobaczy, co się dzieje z mężczyzną, który nie pije, nie gra w karty i jest wiernym mężem”.

W Gdyni najpierw zjedli obiad w smażalni ryb, później rurki ze śmietaną w nadmorskiej kawiarence. Nie planowali plażowania. W kawiarence spędzili mile czas na pogaduszkach. Między innymi omówili plany na następny weekend.

– Wiele słyszałem o Kanale Elbląskim – powiedział Roman. – Czytałem gdzieś, że już na początku XX wieku kanał został uznany za jeden z siedmiu cudów polskich. Ma osiemdziesiąt kilometrów długości i jest jednym z najdłuższych kanałów żeglownych w Polsce. Na szlaku stosuje się pochylnie, po których statki pokonują różnice wysokości na specjalnych platformach, wykorzystując przy tym różnice poziomu wody. Może więc w następny weekend popłyniemy kanałem? Z Elbląga do Ostródy. Żeby było atrakcyjniej, proponuję trzydniową wycieczkę ze zwiedzaniem Grudziądza, Kwidzyna, Sztumu, Malborka i Ostródy. Wykorzystamy fakt, że w poniedziałek, piętnastego sierpnia jest święto i dzień wolny od pracy – zaproponował Roman.

Na początku tygodnia Roman załatwił bilety na wycieczkę statkiem z Elbląga do Ostródy oraz zarezerwował hotel w Ostródzie na dwie noce. Wyjechali w sobotę wcześniej rano. Zgodnie z planem, zatrzymali się w Grudziądzu, pierwszym miejscu na ich liście zwiedzania. Chociaż prowadzono tam dużo prac renowacyjnych – miasto obojgu się spodobało. Widać było, że Grudziądz nabiera europejskiego charakteru. W rynku większość kamieniczek była już odnowiona, sporo uliczek zamieniono na deptaki, pełne urokliwych kawiarenek i restauracji. Krystynie bardzo podobał się też Kwidzyn, Romanowi mniej, poza zamkiem krzyżackim. W przeciwieństwie do Kwidzyna, Krystynę rozczarował zamek w Sztumie. Nie prowadzono tam żadnych prac konserwatorskich, a obiekt praktycznie był niedostępny dla zwiedzających. Natomiast Malbork jak zwykle nie zawiódł. Był fantastycznym obiektem do zwiedzania, a że minęło już kilka lat od jej ostatniej tu wizyty, oglądała go z dużym zainteresowaniem.

Podróż statkiem po Kanale Elbląskim zajęła im całą niedzielę, ale było

warto. Krystyna cały dzień spędziła na pokładzie, fotografując. Roman czytał książkę w pustej kantine i tylko od czasu do czasu wychodził na pokład, gdy ona go wołała, żeby zobaczył coś, co ją szczególnie zainteresowało. Dla niej wszystkie widoki były urzekające i wołałaby, żeby był z nią cały czas na pokładzie. Ale wiedziała, że jak zainteresowała go jakaś książka, to nie umiał się od niej oderwać. Poza tym po obejrzeniu pierwszej pochylni, gdy zawołała go przy drugiej, stwierdził, że „jest trochę więcej tego samego...” i wrócił z powrotem pod pokład. Ją zadziwiały wszystkie pochylnie, zwłaszcza że każda była inna i przy każdej coś się działo. Z zainteresowaniem obserwowała, jak wielki rzeczny statek pełen turystów jest opuszczany na platformie utrzymywanej przez stalową linę. Ciekawe było również, w jaki sposób ich statek przepływał pod niskimi mostami. Jego konstrukcja pozwalała na opuszczenie mostku kapitańskiego w dół, dzięki czemu mieścili się pod każdym mostem. Do Ostródy dopłynęli późnym wieczorem.

Na poniedziałek mieli zaplanowaną kolejną wizytę u przyjaciół z Otwocka, którzy niedaleko, w pobliżu Brodnicy, mieli wiejską posiadłość. Po drodze mieli przejeżdżać przez Nowe Miasto Lubawskie, zdecydowali się więc je również zwiedzić. Nie spodobało się im. Mimo że miało dwie stare baszty i ratusz, to jednak nie było tam nic takiego, co by ich zachwyciło. Za to wizyta u przyjaciół upłynęła w bardzo miłej atmosferze. Zjedli doskonały obiad. Spędzili kolejny bardzo przyjemny dzień. Do domu wrócili późnym wieczorem. Po drodze dyskutowali, czyj sposób na życie jest lepszy – Romana, który programowo nie posiadał ani żadnego domu, ani samochodu, czy jego przyjaciół z Otwocka, którzy posiadali trzy domy i trzy samochody. Zdaniem Krystyny sposób przyjaciół był lepszy.

Następny weekend zaplanowała Krystyna. Zaproponowała zwiedzanie Biskupina. Było tam kilka zrekonstruowanych chat. Po drodze zatrzymali się w pałacyku w Lubostroniu, a w drodze powrotnej w Szubinie. Wszystkie te miejsca Krystyna widziała po raz pierwszy i wszystkie jej się spodobały. Wymogła na Romanie obietnicę, że kiedyś jeszcze przyjadą do Lubostronia, żeby zanocować w pałacyku. Kolejne dwa weekendy mieli spędzić w Linköping w Szwecji, gdzie Roman musiał jechać w sprawach służbowych. Jednak nie było łatwo znaleźć jakiś lot bezpośredni.

– Niewiele linii lotniczych lata do Linköping – powiedział Roman. – Na szczęście z Warszawy istnieje lot bezpośredni do Sztokholmu. Stamtąd do Linköping i z powrotem trzeba jechać pociągiem, proponuję więc zwiedzanie tego miasta.

– Zgadzam się na wszystko – powiedziała Krystyna.

– Cieszę się – uśmiechnął się Roman. – Kocham cię – dodał po chwili.

Samolot lecący do Linköping był tak mały, że zabierał tylko czterdziestu pasażerów. Nie leciał on wysoko, przez cały czas widzieli więc ziemię, a przez

moment i Bałtyk. Na morzu widać było fale. Ale statki wyglądały jak miniaturowe modele.

– Lot dużym pasażerskim samolotem jest o wiele bardziej bezpieczny, ponieważ wznosi się wysoko ponad chmury, ponad wszelkie burze, porywy wiatru i turbulencje. Ponieważ na dużej wysokości powietrze jest rozrzedzone i daje mały opór, samolot może lecieć szybciej. Musisz wiedzieć, że najczęściej ulegają wypadkom małe samoloty.

– Ale mnie pocieszyłeś. Dziękuję ci bardzo – powiedziała z przekąsem Krystyna.

– Nie ma za co. Pomyślałem, że jakby przytrafiło się najgorsze, może będziesz chciała wiedzieć, dlaczego masz umrzeć – powiedział Roman, puszczając do niej oczko. – Jeśli chcesz, to ci opowiem parę lotniczych dowcipów na ten temat – dodał po chwili.

– Obejdę się bez twoich dowcipów. Już mi dosyć naopowiadałeś.

– Okej. To opowiem tylko jeden. Lotniczy, ale nie na ten groźny temat. Zapewne widziałaś, jak samolot odrzutowy kołuje na pas startowy, a później tuż przed startem pilot trzymając samolot w miejscu na hamulcach, rozkręca silniki do dużych obrotów. Potem gwałtownie puszcza hamulce i mając już duży odrzut, samolot szybko nabiera prędkości. Ta technika jest powszechnie stosowana zwłaszcza na lotniskach z krótkimi pasami startowymi. Otóż historia przytrafiła mi się osobiście. Leciałem wtedy z Budapesztu do Montrealu. Pamiętam, jak w Budapeszcie dokołowaliśmy do pasa startowego i słyhać było, a nawet czuć poprzez wstrząsy, jak pilot rozpędza silniki. Po chwili jednak zamiast puścić hamulce, zwolnił gaz. Silniki zwolniły i samolot wrócił do bramki. Czekaliśmy przeszło dwie godziny, zanim zapowiedziano nasz odlot. Słyszałem, jak jakiś zaniepokojony pasażer obok mnie pytał stewardesę, co się stało i dlaczego zawróciliśmy. „A bo kapitan przy rozpędzaniu silników słyszał jakieś dziwne hałasy w motorach” – odpowiedziała. „No i co, naprawiono? W dwie godziny! To chłopcy od napraw szybko się uwinęli”. „To nie tak – odpowiedziała stewardesa. – Dwie godziny zajęło znalezienie innego kapitana”. Kochanie, szczęśliwego lotu. Daj buzi – zakończył Roman.

Nadąsana Krystyna odwzajemniła pocałunek. Lot trwał nieco więcej niż trzy i pół godziny i jeszcze tego samego ranka byli w Sztokholmie. Stamtąd superszybkim pociągiem, który chwilami pędził nawet trzysta kilometrów na godzinę, dostali się na główną stację Sztokholmu, skąd pociągiem pospiesznym, a następnie taksówką dotarli do domu przyjaciół Romana. Przyjechali na bardzo smaczną kolację.

Przez cały pobyt w Linköping Roman był bardzo zajęty. Na szczęście udało mu się wygospodarować dwa dni na zwiedzanie razem z Krystyną okolicy. W inne dni, niestety, była zmuszona zwiedzać sama. Odkryła, że Linköping jest ciekawym

i pełnym zabytków miastem. Razem z Romanem zwiedzili kościół. Różnił się od polskich tym, że miał surowe wnętrza, typowe dla protestantów. Poza tym zwiedzili skansen miasta Linköping z XVIII wieku.

Ale najbardziej podobała się Krystynie wycieczka motorówką, na którą zabrali ich przyjaciele Romana, i piknik na jednej z wielu małych wysepek na rzece, przy której stał ich dom.

W ostatni wieczór Roman zaprosił wszystkich na kolację do Restaurant Parisien. Była to elegancka restauracja, więc panie odpowiednio się ubrały. Kolacja była smaczna, a atmosfera bardzo serdeczna. Po kilku kieliszkach wina Krystyna odważyła się rozmawiać po angielsku. Był już piątek, koniec ich pobytu w Szwecji. Następnego ranka udawali się do Sztokholmu, gdzie Roman wynajął pokój w hotelu Viking.

Sztokholm to piękne i bogate miasto, które – jak większość miast w Szwecji – zbudowane jest na wodzie; jest tam duży port i rozległy kanał wodny, prowadzący do centrum. Zaraz po przyjeździe poszli zwiedzać miasto. Spędzili tam dwa dni, od ciągłego chodzenia aż rozbolały ich nogi. Byli w muzeum Wazy, słynnego żaglowego okrętu wojennego z początku XVII wieku, który budowano siedem lat, a który zatonął w momencie wodowania. Przeszli też całą King Strasse, obejrzelili zmianę królewskiej warty i zwiedzili zamek królewski oraz kilka muzeów. Roman zabierał ją też do restauracji, które serwowały szwedzkie potrawy. Do domu wrócili w niedzielę wieczorem. Krystyna czuła się zmęczona, ale szczęśliwa.

Był już początek września, ale pogoda ciągle dopisywała. Dni były słoneczne i bezchmurne. Do wyjazdu Romana pozostały jeszcze cztery tygodnie. Postanowili wykorzystać je na podróże, dopóki pogoda się utrzymywała. Z inicjatywy Romana w kolejny weekend pojechali do Skierniewic oraz Łowicza i jego okolic. Roman chciał zobaczyć te miasta, bo nigdy tam nie był. Skierniewice bardzo się jej podobały. Miasto miało duży rynek, na którym akurat w dniu ich przyjazdu odbywał się handel starociami. Na rynku znajduje się ławeczka słynnego profesora Pieniążka. Tuż obok odkryli bistro, gdzie zjedli smaczny obiad. Niedaleko znajdował się również bardzo ładny kościół, który z zainteresowaniem obejrzelili. Ze Skierniewic pojechali do Łowicza. Miasto nie było duże, więc wystarczyło im pół dnia na jego zwiedzenie. Na rynku odkryli tablicę informacyjną z mapą atrakcji turystycznych w okolicach Łowicza. Było ich wystarczająco dużo, żeby zatrzymać się tam na dłużej. Roman pamiętał, że tuż przed Łowiczem mijali zajazd. Zaproponował, żeby się tam zatrzymali. Zajazd znajdował się w miejscowości Małoczyce. Był to bardzo uroczy hotelik. Mieli dość wrażeń na ten dzień i zdecydowali się zjeść kolację na miejscu. Roman zapytał kelnerkę o skansen, o którym informowała tablica przed hotelem. Okazało się, że znajduje się on niedaleko. Przy śniadaniu opracowali plan zwiedzania na cały dzień,

posługując się mapką z rynku i informacjami uzyskanymi od kelnerki. Zdecydowali się zwiedzić skansen, a następnie ogród Heleny Radziwiłłówny oraz pałac Radziwiłłów. Krystynie bardzo podobała się taka forma spędzania czasu. Pomyślała, że jest trochę tak jak w piosence Maryli Rodowicz o wsiadaniu do pociągu byle jakiego. Wyruszyli z domu, nie mając pojęcia, co będą robić, a teraz mieli już całkowicie wypełnione dni.

Do skansenu poszli zaraz po śniadaniu. Był tam stary drewniany kościółek, domy malowane na niebiesko, stara studnia z żurawiem i wiatraki. W osobnej części wyeksponowano stare pojazdy strażackie – pompy ręczne i stare samochody strażackie. W zabytkowych stodołach można było obejrzyć stare młockarnie, siewczarnie i wiele innych maszyn używanych w przeszłości w gospodarstwie. Po zwiedzeniu skansenu pojechali do Nieborowa, aby zwiedzić Arkadię. Krystyna uznała, że ogród jest cudowny. Tak zawsze sobie wyobrażała „tajemniczy ogród” w powieści Burnett, chociaż ten wyglądał raczej na zaczarowany. Bardzo stary drzewostan tworzył miejscami taki gąszcz, że przez liście docierało niewiele światła. Znajdowały się w nim ciekawy wodne i kanały z wysepkami i miejscami izolowanymi, na których można było odkrywać najprzeróżniejsze budowle. Były tam: Grota Sybilli, Grobowiec Żłudzeń, Świątynia Diany i Chata przy Wodospadzie. Wszędzie było dużo kwiatów. Szczególnie podobał się jej Akwedukt. Zdjęcie, które zrobiła przy nim Romanowi, uznała za najładniejsze ze wszystkich, jakie zrobiła w życiu. Na zdjęciu utrwaliło się dodatkowo krystalicznie wyraźne ich odbicie w wodzie. Za inne ciekawe budowle uznała Bramę Czasu i Grobowiec na Wyspie Topolowej. Był to niezwykle ogród i niezapomniane wrażenia. Po zwiedzeniu Arkadii udali się do pałacu Radziwiłłów. Mieli jednak pecha, bo tego dnia był udostępniony do zwiedzania tylko w części. Wnętrza ich rozczarowały. Poszli więc do przypałacowego parku, który wyglądał atrakcyjnie. Z jednej strony wyznaczony sztucznym kanałem ze spacerową alejką nad jego brzegiem, a z drugiej znajdowały się liczne klomby, które ze względu na barwę kwiatów i liści były nazwane: czerwony, niebieski i zielony. W małym domku w parku było muzeum grafiki z wystawą prac nieznanego im artystki. Innym obiektem godnym zwiedzania było imponujące muzeum ceramiki. Po obejrzeniu pałacu zostało jeszcze wiele godzin jasnego dnia. Krystyna zaproponowała więc, żeby pojechać do pobliskiego Uniejowa.

– Miasto słynie z gorących źródeł – powiedziała.

– Bardzo chętnie je zobaczę – odpowiedział Roman.

Niezwłocznie też wyruszyli. Dojechali tam wczesnym wieczorem.

Również to miasto urzekło ich urodą, szczególnie rynek. Po drugiej stronie Warty znajdował się ufortyfikowany zamek, który był w trakcie przebudowy na hotel. Wokół gorących źródeł rozciągał się kompleks hoteli i basenów. Przy wejściu ustawiono fontannę, z której tryskała parująca woda. Roman podstawił

rękę.

– Jest gorąca – stwierdził.

Z uwagi na przebudowę, nie mogli obejrzeć zamku. Zwiedzili tylko przyzamykowy park, gdzie obejrzeli pomnik Białej Damy, która podobno kiedyś tam straszyla. Obiad zjedli w czynnej już hotelowej restauracji. Później, po obejrzeniu pomnika diabła nad Wartą, udali się w drogę powrotną do domu. Jadąc, zaplanowali zwiedzanie na następny weekend. Wybrali Kazimierz Dolny i Sandomierz. Postanowili, że Krystyna weźmie na poniedziałek urlop.

W następny weekend pogoda znowu dopisała. Ruszyli w piątek zaraz po zakończeniu przez nią pracy. Jeszcze tego samego dnia ujechali około trzystu kilometrów i zanocowali w przydrożnym motelu. Dzięki temu następnego dnia mogli znaleźć się szybko u celu.

Roman stwierdził, że Kazimierz Dolny jest przereklamowany. Uznał, że jest to ładne miasto, ale jego uroki bardziej pasowały do czasów przedwojennych, kiedy to Kazimierz był unikalny i bardzo słynny. Przejechali się dorożką nad Wisłę, po drodze przeszli się bajkowym wózkiem Korzeniowy Dół, pogłaskali figurkę psa Werniksa i zrobili sobie z nim zdjęcia, zwiedzili stare spichlerze oraz ruiny zamku. Pospacerowali po wałach nad Wisłą i zafundowali sobie rejs statkiem po rzece. Przedtem zjedli smażoną rybę w jednym z barów w pobliżu przystani. Później przeszli piechotą większość uliczek, aby obejrzeć zabytkowe kamienice. Zanocowali w Kazimierzu. Rano zjedli śniadanie na rynku i poszli na targowisko pamiątek i staroci, które znajduje się obok. Jednak uznali, że wszystko jest zbyt drogie, ale i nie znaleźli nic interesującego. Kupili więc tylko po kazimierskim kogucie, żeby spróbować, jak smakuje. Po południu pojechali do Sandomierza.

Krystyna z przyjemnością oglądała miejsca znane jej z jakiegoś serialu w telewizji. Dla Romana, który nie widział żadnego odcinka, miasto było całkowicie nowym odkryciem. Zaimponowały mu zwłaszcza duży rynek, ratusz, świeżo odrestaurowane kamieniczki oraz kościoły. Spodobał mu się również pałac królewski na skarpie. Roman uznał Sandomierz za perełkę pełną turystycznych atrakcji. Imponujące mury obronne, bramy oraz ulice i kościoły były wystarczającymi atrakcjami na cały dzień. Na zwiedzenie wszystkiego zabrakło im czasu, zatrzymali się więc w hotelu, odkładając resztę na poniedziałek. Ponieważ zaczęło padać, kolację zjedli na miejscu. Krystyna założyła na tę okazję elegancką czerwoną sukienkę zdobioną białymi suwakami, prezent od niego, którą on bardzo lubił. Czy to sukienka, czy monotonia deszczu spowodowały, że wieczór skończył się bardzo romantycznie. Chyba jednak sukienka, a raczej procedura jej zdejmowania. Dla obojga była to bardzo krótka noc. Drobnym deszczykiem padał również, z małymi przerwami, w poniedziałek. Zrezygnowali więc ze zwiedzania słynnych podziemi sandomierskich, gdzie podobno straszy duch Białej Damy. W chwilach przejaśnienia obejrzeli katedrę i weszli na szczyt Bramy Opatowskiej,

skąd podziwiali panoramę miasta. Potem zjedli lody w przyulicznej knajpce pod parasolami, wrócili do hotelu, zabrali bagaże i udali się w drogę powrotną do domu. Przyrzekli sobie, że któregoś dnia tam wrócą.

Po powrocie z Sandomierza Romanowi pozostały już tylko dwa tygodnie do wyjazdu. Ponieważ prognoza pogody była dobra, zaproponował Krystynie wypad nad morze.

– Jest połowa września, dzieci są już w szkole, rodzice wrócili do pracy, nie będzie więc tłoku – przekonywał. – Proponuję zwiedzenie Gdańska i plażę w Sopocie.

Dała się przekonać i pojechali. Gdańsk jak zwykle urzekł swoim urokiem. Roman uważał, że jest to jedno z najładniejszych miast Polski. Kamieniczki Starego Miasta zostały bardzo ładnie odmalowane i całkowicie odrestaurowane. Wędrowali po mieście jak inni turyści, robiąc dziesiątki zdjęć. Przeszli ulicą Długą, potem nad kanałem, by dojść do ulicy Szerokiej. Roman pamiętał, że jest tam wyśmienita restauracja Pod Łososiem. Była słynna już za komuny. Właśnie w tamtych czasach gościł w niej kilka razy. Restauracja jest stara. Jej historia sięga końca XVI wieku, kiedy to naturalizowany Holender Ambroży Ver Mulen utworzył tam wytwórnię i probiernię alkoholu. Najślawniejszym produktem był goldwasser, czyli alkohol z płatkami złotej folii. Już wtedy nadał miejscu nazwę „Łosoś”. Z czasem probiernia stała się restauracją o nazwie Pod Łososiem. Jej wnętrze zostało odrestaurowane według starych sztychów i wyposażone w stylowe meble, obrazy i inne zabytkowe przedmioty. Zaprowadził tam Krystynę i zaproponował, aby weszli i zjedli w niej obiad.

– Jest to restauracja wysokiej klasy, która serwuje wyśmienite dania – powiedział. – Cieszę się, że mogłem cię tutaj zaprosić.

Po obiedzie ruszyli spacerkiem do Bazyliki Mariackiej. Zatrzymali się koło fontanny z lwami, aby zrobić kilka zdjęć. Katedra jest największym kościołem gdańskim i chyba najbardziej popularnym wśród turystów. Później zatrzymali się przed Arsenalem.

Następnie ruszyli w drogę do Sopotu. Ponieważ nie mieli zarezerwowanego hotelu, Roman zjechał w Jelitkowie nad drogę nadmorską i dalej podążali wzdłuż plaży, rozglądając się za jakimś przyjemnym hotelikiem. Sprawdzili kilka miejsc, ale mimo że było po sezonie, wszystkie były nadal wypełnione. Dojechali aż do końca Sopotu, gdzie zatrzymali się przy małym hoteliku. Szczęśliwie mieli wolny pokój. Jeszcze tego samego wieczoru wyszli na koncert do baru w pobliżu hotelu. Następnego dnia udali się na długi, wielokilometrowy spacer po plaży. Doszli aż do Jelitkowa, zatrzymując się często po drodze na piwo lub kawę, robiąc liczne zdjęcia albo po prostu obserwując plażowiczów. Mimo że był wrzesień, widzieli wielu amatorów słonecznej kąpieli. Sporo też młodzieży żaglowało lub surfingowało. Na obiad pojechali do Sopotu. Wrócili późnym wieczorem.

W kolejny weekend Krystyna była zajęta sprawami rodzinnymi. Dopiero pod koniec miesiąca wzięła urlop na ostatnie trzy dni tygodnia i w środę rano razem z Romanem wyruszyli w Tatry. Podróż do Zakopanego zajęła im cały dzień. Głównie dlatego, że zdecydowali się trochę pozwiedzać po drodze. Zatrzymali się między innymi w Wadowicach, gdzie zwiedzili muzeum poświęcone Janowi Pawłowi II oraz kościół, w którym pełnił posługi kapłańskie. Do Zakopanego dojechali późnym wieczorem. Mieli zarezerwowany pokój, więc nie musieli się martwić o nocleg.

Następnego dnia rano wybrali się w góry. Taksówką udali się do Palenicy Białczańskiej, skąd dalej z grupą innych turystów pojechali furmanką do Morskiego Oka. Stamtąd pieszo ruszyli do Doliny Pięciu Stawów. Wycieczka zajęła im cały dzień i gdy zeszli z powrotem do Morskiego Oka, nie było już żadnej podwózki, musieli więc iść na piechotę. Z Palenicy do Zakopanego pojechali taksówką. Krystyna zaimponowała Romanowi kondycją. Jego zdaniem, biegła po górach jak kozica, a ostatnie kilometry maszerowała, nie okazując zmęczenia. Wieczorem spacerowali po Krupówkach, aż znaleźli prawdziwą góralską restaurację. Zamówili pieczoną golonkę z dużą ilością surówki i pieczonymi ziemniakami. Była to ogromna porcja. Po Krystynie nie widać było zmęczenia. Roman natomiast z przyjemnością wyciągnął zmęczone nogi pod stołem.

Już za trzy dni miał wrócić do Meksyku. Wcześniej rano ruszyli z Zakopanego w drogę do Warszawy, gdzie planowali zostać aż do jego wyjazdu. Polska była rozkopana. Zmian i remontów dróg było tak dużo, że droga do Warszawy zajęła im cały dzień i dopiero późnym wieczorem wjechali w granice miasta. Roman zatrzymał się przy pierwszym napotkanym centrum handlowym. Zaprowadził Krystynę do sklepu Media Markt. Wiedząc, że Krystyna marzy o dobrym aparacie fotograficznym, postanowił przed odjazdem zrobić jej prezent i polecił jej wybrać jakąś lustrzankę. Zdecydowała się na czarnego Canona EOS 650D z obiektywem 18-55 mm. Roman zasugerował, żeby od razu dokupiła dodatkową kartę pamięci i futerał, tak żeby miała wszystko, co potrzebne do robienia zdjęć, kiedy przyjedzie do Meksyku. Po zakupach udali się do hotelu Ibiz w pobliżu lotniska. Następnego dnia oddali wynajęty samochód. Został tylko jeden dzień do odlotu Romana. Byli co prawda niezmotoryzowani, ale wreszcie mogli, a zwłaszcza Roman, wypić piwo lub kieliszek wina do obiadu. Spędzali czas na nicnierobieniu – wałęsali się po Starówce, oglądając uliczne pokazy, chodzili po knajpkach, aby spróbować oferowane drinki lub dania. Roman kupił trochę sosów w proszku do sałatek, prawie dwa kilo wiśni i śliwek w czekoladzie oraz sporo torebek zupy Gorący Kubek.

– Cukierki są na prezenty dla meksykańskich przyjaciół. Wszyscy je uwielbiają. Zupa natomiast jest dla *muchachy*. Bardzo ją lubi. A przydaje się, gdy

mnie i Tomasza nie ma w domu – Roman wyjaśnił, dlaczego dokonał takiego zakupu.

Wieczorem ponownie pojechali do przyjaciół do Otwocka, gdzie – jak zwykle – zostali podjęci bardzo serdecznie.

Krystyna znowu sama wracała popołudniowym pospiesznym z Warszawy do Torunia. Była niedziela drugiego października. Kilka godzin wcześniej tego ranka Roman odleciał do Paryża, gdzie miał przesiadkę do Meksyku. Pociąg był prawie pusty. Siedziała przy oknie twarzą w kierunku jazdy. W rękę trzymała swój nowy nabytek – zgrabny futerał z czarnej skóry z canonem w środku. Myślała o tym, jakie ładne zdjęcia będzie mogła nim robić. Później pomyślała, jak bardzo zmieniło się jej życie od czasu poznania Romana. Nie zaszły jakieś diametralne zmiany. Nadal chodziła do pracy. Ale jej życie stało się ciekawsze. Zwłaszcza gdy byli razem. Wtedy bardzo dużo się działo. Lubiła zwiedzać z Romanem. Wszystko było takie nieskomplikowane. Roman był pełen inicjatywy, dobrze się przygotowywał do każdej wycieczki, toteż zawsze wiedzieli, co chcą zobaczyć. Ale mieli też na tyle luzu, że niekiedy musieli improwizować, co sprawiało, że wycieczki stawały się o wiele ciekawsze.

Chodzili też przynajmniej raz w tygodniu do kina i bardzo często do różnych lokali. Zdążyła poznać wszystkie toruńskie restauracje. Nadal też chodziła dwa razy w tygodniu na kurs języka angielskiego. Zastanawiała się nawet, czy nie wziąć więcej lekcji. Jej to nic nie kosztowało, bo Roman płacił. Chyba jednak nie dałaby rady. Już teraz nie miała czasu dla siebie. A jeszcze chciała znaleźć czas na robienie zdjęć. Nie musiała co prawda gotować obiadów w niedziele – Roman nadal przesyłał pieniądze na niedzielne wyjścia do restauracji dla niej i dla Doroty. Przed wyjazdem Roman powiedział jej też, że uzgodnił z kobietą, która sprzątała jego mieszkanie, że po jego wyjeździe będzie w piątki przychodziła sprzątać u niej. Bardzo się ucieszyła – odpadną jej sobotnie porządki. Będzie więc miała całkowicie wolne weekendy. Tak, zdecydowanie jej życie się zmieniło. Stało się ciekawsze i bogatsze w wydarzenia.

ROZDZIAŁ 15

Czwartek, 17 listopada 2011, godzina 22:32 CST

Mimo że dyskoteka była już otwarta od przeszło pół godziny, o wpół do dwunastej w nocy kolejka niewiele się zmniejszyła. Przeważali w niej mężczyźni, głównie dlatego, że kiedy któryś z bramkarzy widział grupę dziewcząt lub samotnych kobiet, natychmiast wpuszczał je do środka. Manito z zainteresowaniem obserwował wejście do klubu. Stał przy oknie pustego mieszkania znajdującego się w budynku po przeciwnej stronie ulicy. Stojąc w ciemnym oknie, był niewidoczny z zewnątrz, mógł więc spokojnie obserwować pracę bramkarzy. Ciekawił go każdy szczegół. Spodziewał się, że wkrótce będzie szefem ochrony w tym klubie. Bramkarze pracowali solidnie. Właśnie zaobserwował, jak wyprowadzali dwóch gości, których grzecznie, ale zdecydowanie pozostawili przed dyskoteką. Manito patrzył na nich z uznaniem. On również był przeszkolony do tego typu akcji. Był wyćwiczony w krav madze, izraelskim typie walki, powszechnie wykorzystywanym w policji i wojsku, stał się również popularny w zbrojnych jednostkach karteli. Prosta i skuteczna, była doskonałym systemem ataku i obrony. Manito zawsze lubił treningi krav magi. W odróżnieniu od niezwykle wyczerpujących wschodnich sztuk walki, w których celem jest doskonalenie siebie albo stosowanie widowiskowych chwytów, ta sztuka zapewniała skuteczność w realnej walce.

Przez chwilę przed klubem nie działo się nic ciekawego. Manito zauważył, że jeden z bramkarzy wpuścił do środka dwie pary. „Wygląda na to, że samotni mężczyźni są wpuszczani jako ostatni” – pomyślał. Chwilę potem zobaczył, że do wejścia, bez kolejki, podchodzi dwóch dobrze ubranych typów około trzydziestki. Jeden z nich wyciągnął rękę do bramkarza w geście powitania, chociaż kciuk dłoni miał złożony do wewnątrz. Manito domyślił się, że właśnie opłacał swoje wejście poza kolejką.

– Ciekawe, ile zapłacił – powiedział do siebie na głos, widząc, że mężczyźni zostali wpuszczeni. – Na pewno nie mniej niż dwieście pesos.

Manito odsunął się od okna, by zapalić cygaretkę. Czekala go długa noc. Właśnie kończył się czwartek siedemnastego listopada, zostało sześć tygodni do końca roku. Nie był to dobry rok dla niego. „W zasadzie dwa ostatnie lata były bardzo gówniane” – pomyślał. Jego świat runął w gruzy w grudniu 2010 roku, gdy jego przyjaciel Nazario Moreno González został zabity w strzelaninie z meksykańską policją. Moreno był jego rówieśnikiem, jak również synem jego ojca chrzestnego. Całe dzieciństwo spędzili razem, a w młodości zdarzyły im się nawet trójki z tymi samymi dziewczynami. Ich przyjaźń przetrwała wszystkie próby. To właśnie Nazario wiele lat temu wciągnął go do kartelu. Moreno był wówczas zastępcą szefa Los Zetas, grupy paramilitarnej pracującej dla Gulf Cartel.

Organizacja ta składała się głównie z dezertersów z armii meksykańskiej, z jednostki szkolonej do zwalczania gangów i karteli narkotykowych. To właśnie w Los Zetas Manito przeszedł militarne szkolenie – przynajmniej takie samo, jeśli nie lepsze, jak szkolenia jednostek elitarnych w wojsku. Dzięki poparciu Nazario Manito szybko awansował. W 2005 roku został dowódcą jednego z trzech oddziałów szturmowych w randze odpowiadającej kapitanowi, a wkrótce po tym, w 2006 roku, szefem ochrony osobistej Nazario, gdy ten oddzielił się od Gulf Cartel i założył własną organizację La Familia Michoacana. Mniej więcej w tym samym czasie Los Zetas również oddzielili się od macierzystego kartelu i założyli własną organizację.

Nazario zmienił się przez te lata. Stał się bardziej religijny – do tego stopnia, że przez cały czas chodził z Biblią w rękę, z której obok cytatów odczytywał również swoje notatki, dotyczące własnych przemyśleń. Nawiązując do odległych korzeni, kiedy to w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku La Familia zrzeszała zmilitaryzowanych obrońców pokoju, Nazario przedstawiał swoją organizację jako kontynuatorkę tych tradycji. Od swoich handlarzy narkotyków i armii zabójców wymagał, aby nie krzywdzili postronnych ludzi i kierowali się zasadami sprawiedliwości społecznej. Wymagał od nich również, aby nie zażywali narkotyków. W swoim nawiedzeniu Nazario posunął się tak daleko, iż głosił, że jego organizacja działa z boskiego prawa i służy do wyeliminowania przeciwników, którymi paradoksalnie stali się Los Zetas.

Mistyczne poglądy, osobista odwaga granicząca z brawurą i gwałtowność charakteru przyniosły z czasem Nazario przydomek „Szalony” (*El Mas Loco*). Nazario był jednak doskonałym organizatorem. W ciągu czterech lat La Familia stała się najpotężniejszym kartelem w Meksyku. Głęboko zakorzeniona w stanie Michoacan i posiadająca duże zasoby finansowe praktycznie kontrolowała politykę stanu, zapewniając zwycięstwo popierającym ją kandydatom i zmuszając do rezygnacji przeciwników. W obliczu wspólnego zagrożenia ze strony Los Zetas, La Familia zawiązała sojusze z potężnymi kartelami – Sinaloa Cartel oraz Gulf Cartel. Pod protekcją Nazario Manito szybko awansował. Wojna z Los Zetas pochłaniała wiele ofiar, istniała też pilna potrzeba zwiększenia siły militarnej kartelu. W roku 2007 Manito został dowódcą prawie pięćdziesięciosobowej grupy szturmowej, której zadaniem była identyfikacja i likwidacja bojowników Los Zetas. Grupa wkraczała do akcji na podstawie informacji pozyskiwanych od sieci szpiegów, miała do dyspozycji osiem półciężarówek z kuloodpornymi szybami i jeden wykonany przez kartel pojazd opancerzony. Manito cenił swoją rolę w organizacji. Każdą informację o pojawieniu się przeciwnika, czy to w jakimś miasteczku, czy na jakimś punkcie kontrolnym autostrady, analizował pod kątem wymaganej siły ognia i wysyłał na miejsce odpowiednio przygotowany oddział. W najważniejszych akcjach uczestniczył osobiście. Sprzyjało mu szczęście. Jeśli nie liczyć fałszywych

alarmów, gdy po dotarciu na miejsce okazywało się, że przeciwnika w ogóle tam nie było, większość akcji kończyła się bez walki. Przeciwnik wycofywał się, zanim jego oddział docierał na miejsce. Na przeszło czterdzieści interwencji, tylko w kilkunastu przypadkach doszło do strzelaniny. Przez cztery lata stracił dziewięciu ludzi, zabijając dziewiętnastu przeciwników, z czego osobiście zastrzelił cztery osoby, z których jedna była kobietą. „To były dobre czasy” – pomyślał. Żyjąc w kampusie kartelu, praktycznie nie ponosił żadnych kosztów związanych z utrzymaniem, toteż z przeszło osiemdziesięciotysięcznej pensji udało mu się przez dwa lata zaoszczędzić prawie dwa miliony pesos.

Te dobre czasy skończyły się wraz ze śmiercią Nazario. Nowym szefem został Jose de Jesus Mendez Vargas. Na jego wspomnienie Manito czuł zalewającą go falę wściekłości. „Sukinsyn! Zdegradował mnie do roli zwykłego zabójcy” – zaklął. W jego przekonaniu Jose Vargas był bardzo złym przywódcą. Nie potrafił zjednoczyć ludzi wokół siebie, a tarcia na górze nie pozwalały na zorganizowanie i przeprowadzenie jakiegokolwiek sensownej akcji. Z obawy o swoje życie nowy szef poruszał się wyłącznie w towarzystwie dwunastoosobowej ochrony, której z uwagi na drugie jego imię – Jesus – nadano miano Dwunastu Apostołów. Według Manita największym błędem Vargasa było to, że wprowadził do organizacji kilkanaście nowych osób, w tym aż pięciu „apostołów”. Kompletny idiotyzm! Manito uważał, że to może doprowadzić do zguby Vargasa i rozpadu kartelu. Tak też się stało. Wśród nowych musiała być policyjna wtyczka, bo rząd w jednorazowej akcji w grudniu 2010 zwinął czterdziestu najważniejszych przywódców organizacji, w tym pięciu nowych szefów operacyjnych. Wszyscy zostali złapani w jednym miejscu, oczekując na zebranie integracyjne zwołane przez Vargasa. Sam Vargas, który dzięki spóźnieniu uniknął wtedy aresztowania, został ostatecznie złapany kilka tygodni później. „Skończony idiota, kretyn!”. Manito powoli zaczynało brakować właściwych epitetów, żeby wyrazić to, co czuje i myśli o Vargasie. W końcu w ciągu pół roku doprowadził on do całkowitej likwidacji największego kartelu w Meksyku. „Z drugiej strony, miałem szczęście – myślał Manito. – Gdybym został na stanowisku dowódcy brygady szturmowej, dzisiaj na pewno siedziałbym w pierdlu”.

Aresztowania pomniejszych członków mafii trwały przez całe lato 2011 roku. Manito nie czekał, aż przyjdą po niego – skrzyknął dwóch swoich najlepszych ludzi z grupy szturmowej – Bertoldo i Enrique – i razem zaszyli się w Tijuanie. Wrócił do domu dopiero na początku września, gdy okazało się, że nikt go nie szuka i że prawdopodobnie w jakiś sposób policja federalna przeoczyła jego rolę w strukturze organizacji za czasów szefostwa Nazario Moreno Gonzáleza.

Mafię można rozbić, ale trudno ją wykończyć. Jeszcze w marcu 2011 roku grupa głównych szefów Familii, niezadowolona z rządów Jose Vargasa, czy to z uwagi na niespełnione ambicje, czy też z powodu degradacji, utworzyła

konkurencyjną organizację pod nazwą Caballeros Templarios (Kawalerowie Templariusze). Grupa ta, z początku niewielka i działająca w ukryciu, zgarnęła wszystkie niedobitki z La Familii i z czasem stała się znaczącym kartelem w przestępczym świecie Meksyku. Nawiązując do swoich korzeni w La Familii, Templariusze w swoim politycznym credo również głosili, że ich rolą jest walczyć i umierać za sprawiedliwość społeczną. Credo to wdrażali w praktycznym szkoleniu zbrojnego ramienia, które działało pod nazwą La Resistencia. Szefami Templariuszy zostało dwóch współzałożycieli kartelu La Familia, z których jeden, Enrique Plancarte Solis, był dobrym przyjacielem Nazario, a co za tym idzie, również i Manita – został on więc bez problemu przyjęty w jej szeregi. Odzyskał rangę i ponownie pełnił funkcję przywódcy, chociaż tym razem podlegała mu grupa operacyjna przeznaczona do przejmowania od innych karteli lub przedsiębiorców prywatnych lukratywnych biznesów, głównie takich, które z jednej strony zapewniały solidne dochody, a z drugiej pozwalały na pranie mafijnych pieniędzy. Drugim ważnym zadaniem jego grupy była ochrona nowo powstałych lub przejętych interesów.

Grupa wraz z Manito liczyła dwadzieścia dwie osoby. Pod jego przywództwem wykazała się już dwiema udanymi akcjami. W pierwszej dokonała w mieście Cuernavaca przejęcia restauracji z rąk lokalnej mafii, która uzyskała ją w drodze wymuszenia od prawowitego właściciela. Akt kupna i przekazania własności na rzecz Templariuszy został podpisany przez najważniejszego członka lokalnej mafii, którego nazwisko było na akcie własności, w obecności świadków, z których czwórkę stanowili jego zamordowani współtowarzysze. Drugi przypadek okazał się o wiele trudniejszy. Dotyczył przejęcia burdelu w Toluca. Burdel należał do byłego komendanta policji stanowej i był pod kontrolą lokalnego gangu Cartel del Centro, który za ochronę liczył sobie pięćdziesiąt procent dochodu plus ekstra dwadzieścia tysięcy pesos od każdej przyprowadzonej do pracy prostytutki. Szefostwo Templariuszy szacowało, że burdel przynosił roczny dochód nie mniejszy niż trzy miliony dolarów. Mimo dumnie brzmiącej nazwy Cartel del Centro był małą organizacją, która liczyła nie więcej niż pięćdziesięciu członków, z czego zdecydowana większość była zwykłymi dilerami prochów z Toluki i okolicznych miasteczek. Templariusze, którzy dostarczali im narkotyki, spodziewali się przejąć burdel poprzez negocjacje. Zaproponowali dowództwu kartelu spotkanie w celu zacieśnienia współpracy. Dla celów bezpieczeństwa, na życzenie „centrystów”, spotkanie odbyło się na ich terenie, na otwartej przestrzeni, przy opuszczonej posiadłości w górach w pobliżu wulkanu Toluca. Na umówione spotkanie stawili się siedmiu lokalnych przywódców operacyjnych, a ze strony Templariuszy negocjator w towarzystwie Manita i pięciu jego ludzi. Z wyjątkiem negocjatora wszyscy byli uzbrojeni w broń krótką. Na rozkaz Manita w niewielkiej odległości od miejsca spotkania zostawiono dwóch strzelców

wyborowych. Negocjator zaczął w przyjacielskim tonie:

– Biorąc pod uwagę ilość sprzedawanych przez was narkotyków, zdecydowaliśmy się obniżyć ich cenę od dziesięciu do dwudziestu procent, w zależności od rodzaju.

Oświadczenie spotkało się z aprobatą drugiej strony.

– Jakkolwiek uważamy, że powinniście zwiększyć sprzedaż o dwadzieścia procent, dobrze wicie, że macie konkurenta w grupie Los Beltrán Leyva. Jak na razie nie robimy z nimi interesów, szanując naszą umowę z wami. Wiemy jednak, że wasi konkurenci mają problem z dostępem do tanich źródeł, zawsze więc możemy zaoferować im nasz towar. Musicie więc sprzedawać więcej. Nie chcielibyśmy być zmuszeni do zmiany klienta.

– Nie ma obawy, nie będzie takiej potrzeby! – odezwał się szef lokalnych o pseudonimie El Gordo. – Pracujemy nad wyeliminowaniem Beltrantystów z naszego terytorium. Dziękujemy za zaufanie, nie nawalimy! Zwiększymy sprzedaż w najbliższym kwartale przynajmniej o dwadzieścia procent.

– To byłoby wspaniale – negocjator pokiwał z uznaniem głową. – Jakkolwiek jak na razie słyszymy tylko słowa. Mam więc propozycję, która będzie dla nas najlepszym gwarantem, że nie stracimy na naszej hojności. A mianowicie: proponujemy, że przejmniemy na rok ochronę burdelu Maripoza. Propozycja ta nie podlega dyskusji. Proponujemy, żeby niezwłocznie, jeszcze dzisiaj, zaraz po tym spotkaniu to zrealizować. Obecny tu Manito i jego ludzie pojedą z wami, by zorganizować nową ochronę na miejscu.

Zapadła cisza. Widać było ogólną konsternację po stronie Cartelu del Centro. Aż wreszcie niewysoki mężczyzna stojący obok El Gordo wrzasnął:

– Pieprzcie się!

W jego ręku pojawił się niewielki czarny pistolet. Tym razem odezwał się Manito:

– Spokojnie, chłopcy! Jesteśmy przyjaciółmi, nie musimy grozić sobie bronią! Jesteś El Pelon, zgadza się? – zwrócił się do typa z pistoletem w ręku. – Radzę ci, schowaj to, zanim komuś stanie się krzywda!

W trakcie gestykulacji nieznacznie podniósł prawą rękę, wskazując na faceta z pistoletem. W tym momencie rozległ się strzał. El Pelon wypuścił broń z ręki i odrzucony siłą pocisku runął na plecy. Lewą ręką złapał się za ramię, z którego sączyła się krew. Nieoczekiwany wystrzał i upadek Pelona wywołał popłoch wśród jego towarzyszy. Wszyscy wyciągnęli pistolety, rozglądając się w panice w poszukiwaniu strzelca. W międzyczasie Manito i jego ludzie też wyciągnęli broń. Kolejny strzał oddany przez niewidzialnego strzelca powalił El Guero. Trafiony, upuścił pistolet i osunął się na ziemię. Widząc to, jego koledzy wreszcie zrozumieli, że wpadli w zasadzkę. Próbowali skierować broń przeciwko Templariuszom. Ci jednak stali już z bronią gotową do strzału. Prawie jednoczesna

salwa oddana przez grupę Manita położyła trupem trzech członków kartelu del Centro, stojących dalej od szefa. Widząc to, El Gordo rzucił broń i podniósł ręce do góry. W ślad za nim poszedł stojący najbliżej niego El Hongo. Manito pokazał gestem swoim ludziom, żeby zajęli się przeciwnikami. Całą piątką zebrali wszystką broń. Następnie obszukali żyjącą czwórkę gangu. Później dwóch poszło do samochodu i wróciło z apteczką i dwoma kocami. W milczeniu zajęli się rannymi. Po zakończeniu opatrywania, obydwu leżących mężczyzn okryto kocami, by chronić ich przed chłodem. Widząc, że El Guero próbuje wstać, pomogli mu stanąć na nogi. Wszystko to działo się w głębokiej ciszy, którą po chwili przerwał negocjator.

– Sami widzicie, mogliśmy was wszystkich zabić, ale nie zrobiliśmy tego. Nadal traktujemy was jak przyjaciół. To nie my pierwsi wyciągnęliśmy broń, musicie o tym pamiętać! Jeśli chodzi o Maripozę, ty, El Gordo, od razu pojedziesz z Manito i jego ludźmi, żeby na miejscu ustanowić nową ochronę. Masz załatwić wszystko z właścicielem tak, żeby nie było najmniejszych wątpliwości, że jest to przyjacielska zamiana ról. Wy trzej – zwrócił się negocjator do pozostałej trójki z Cartel del Centro – zrobicie tutaj porządek. Nie radzę próbować żadnych sztuczek, jeśli nie chcecie, żebyśmy was zlikwidowali, a wasze głowy podali Beltranom na tacy.

Przejęcie Maripozy zakończyło się całkowitym sukcesem. Zastraszone dowództwo Cartel del Centro poinformowało właściciela burdelu o przekazaniu kontroli nad przybytkiem, jak również zainteresowanych policjantów będących na liście płac. Jednak przejęcie dyskoteki La Gata Rosa to całkiem inna historia. Różnica polegała na tym, że klub ten znajdował się w stolicy Meksyku, na terytorium, na którym Templariusze, jak do tej pory, nie prowadzili interesów. Manito jeszcze raz przeanalizował argumenty, które przemawiały za podjęciem akcji.

Po pierwsze, właściciel dyskoteki był niezwiązany z żadną przestępczą organizacją, nie trzeba więc będzie później walczyć o utrzymanie zdobyczy. Był to bogaty przedsiębiorca, który operował na granicy półświatka, utrzymując własną ochronę i opłacając lokalną policję, aby chroniła obiekt w godzinach, gdy dyskoteka była zamknięta, jak również przed konkurencją oraz mafią. Poza dyskoteką posiadał on również kilka restauracji i sklepów, a możliwe, że jeszcze jakieś inne, bardziej utajnione interesy. Ale to ochrona dyskoteki wymagała największej koncentracji uzbrojonych strażników.

Po drugie, Templariusze przeprowadzili bardzo głębokie rozpoznanie sytuacji i infiltrację pracowników. Przez ostatnie trzy tygodnie każdego dnia dwóch lub trzech ich agentów bawiło się w dyskotece, zbierając potrzebne informacje, filmując i fotografując ochronę oraz wszystkich pracowników. Kartelowi udało się też przekupić jedną z kelnerek, Rosannę, i jednego z siedmiu strażników, Adriana,

oraz zidentyfikować trzech najważniejszych agentów policji, którzy zapewniali cichą ochronę dyskoteki.

I po trzecie – dogłębna inwigilacja właściciela pozwoliła na identyfikację i rozpoznanie jego rodziny, miejsca zamieszkania, domów letniskowych i rodzinnych zwyczajów.

Manitowi przypadło w udziale przygotowanie planu i wykonanie ataku. Swoją plan oparł na trzech założeniach. Przede wszystkim wszystko musiało się odbyć bez strzelaniny. Właściciel musiał się zgodzić na dobrowolne oddanie klubu. I na koniec właściciel musiał w przekonujący sposób poinformować przekupionych policjantów o sprzedaży dyskoteki i przedstawić im nowego właściciela. W przekonaniu Manita najprostszym zadaniem było uniknięcie strzelaniny. Z doświadczenia wiedział, że w każdej niewielkiej jednostce zbrojnej znajduje się dwóch, maksimum trzech prawdziwych żołnierzy, podczas gdy reszta to zazwyczaj pionki, zwykli stróże z bronią. W ochronie tego klubu widział tylko dwóch prawdziwych wojowników. Pierwszym był szef, Mateo Vargas, drugim natomiast Amerykanin, były sierżant sił specjalnych armii Stanów Zjednoczonych z oddziałów antynarkotykowych operujących w Panamie i Kolumbii, a później służący w Iraku. Nazywał się John Kirkpatrick. W Meksyku ukrywał się przed amerykańskim wymiarem sprawiedliwości po zabiciu kochanka swojej żony, którego zastał w domu, gdy niespodziewanie wrócił z misji. Był to groźny przeciwnik, ponieważ niewiele miał do stracenia. Fama głosiła, że w przeszłości był osobistym ochroniarzem Hektora Beltrana Leyva, szefa kartelu narkotykowego. Fama głosiła również, że w pojedynkę zapobiegł przynajmniej czterem atakom na swojego szefa, zabijając w sumie osiem osób. Manito był pewien, że aby w ogóle było możliwe przejęcie dyskoteki, tych dwóch osobników musiało być wyeliminowanych w pierwszej kolejności. Według jego planu miało się to odbyć właśnie tej nocy, po zakończeniu przez nich służby w klubie.

ROZDZIAŁ 16

Piątek, 18 listopada 2011, godzina 1:20 CST

Manito spojrział na zegarek, była pierwsza dwadzieścia. Kolejka przed dyskoteką praktycznie zniknęła, przed wejściem stało już tylko trzech mężczyzn palących papierosa; nie wiedział, czy czekają na wpuszczenie do środka, czy po prostu wyszli na papierosa. Jeszcze raz przemyślał zaplanowane działania. Plan był prosty. Manito zdecydował się zaatakować Johna Kirkpatricka w miejscu, gdzie prawdopodobnie czuł się najbardziej komfortowo – w jego własnym domu, który dzielił ze swoją dziewczyną. Ponieważ był to groźny przeciwnik, do tej roboty wyznaczył swoich dwóch najlepszych ludzi, Bertolda i Enrique oraz siebie. Szefem ochrony mieli zająć się Miguel, Ricardo i Ivan – nowi w jego grupie, ale z dużym doświadczeniem bojowym. Ich zadaniem było zaatakowanie Mateo Vargasa przed jego domem, gdy ten wysiądzie z samochodu, żeby wpisać kod do otwarcia bramy. Ponieważ dom Mateo stał na odludziu, było bardzo mało prawdopodobne, by napatoczyli się jacyś niepożądani świadkowie. Jeśliby coś takiego się zdarzyło, mieli ich wyeliminować, a zwłoki zabrać ze sobą. Wszystko miało się odbyć bez strzelaniny. O opuszczeniu klubu przez Kirkpatricka i Vargasa miała go poinformować Rosanna. Przejęcie dyskoteki miało nastąpić następnej nocy. To właśnie w każdą piątkową noc skorumpowani policjanci wstępowali do klubu po swoją zapłatę. Był to dobry moment na poinformowanie ich o zmianie patronów dyskoteki.

Manito ponownie spojrział na zegarek. Zbliżała się druga. Była już najwyższa pora, by rozpocząć akcję. Opuścił swój punkt obserwacyjny i stanął w rogu pokoju z dala od okna. Przez ostatnie trzy tygodnie on i jego ludzie na zmianę spędzali tutaj wszystkie noce. Był to dobry punkt obserwacyjny. Pozwalał na stworzenie grafiku przyjazdów i odjazdów wszystkich ważnych dla klubu osób. Jemu osobiście dał lepsze rozeznanie w zadaniach, które go czekały, gdy już będzie odpowiedzialny za bezpieczeństwo dyskoteki. Wybrał numer Bertolda.

– Gotowi? – zapytał, gdy usłyszał w słuchawce jego głos.

– Tak! – odpowiedział Bertoldo. – Tak jak kazałeś, przyjechaliśmy taksówką, a ostatni odcinek przeszliśmy piechotą. Jesteśmy już w środku. Wszystkie światła są pogaszone.

– Co z dziewczyną?

– Związana i zakneblowana. Jest z nią Enrique. Pilnuje, żeby nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

– Myślisz, że Kirkpatrick będzie do niej dzwonił przed przyjazdem do domu?

– Nie sądzę – odpowiedział Bertoldo. – Po co miałby to robić? Byłoby to głupie. Skoro pracuje co dzień w dyskotece i co dzień wraca rano, byłoby bez

sensu dzwonić, żeby tylko powiedzieć, że już wraca.

– Na wszelki wypadek wyłączcie jej komórkę – zasugerował Manito. – Już tam jadę. Będę za jakąś godzinę. Czekać na mnie na dole, żeby mnie wpuścić.

– Okej! – Bertoldo się rozłączył.

Następnie Manito zadzwonił do Miguela.

– *Hola*, Manito! – usłyszał jego głos w słuchawce.

– *Hola*, Miguel. Jak wygląda sytuacja?

– Jesteśmy na miejscu, czekamy w samochodzie – powiedział Miguel. – Zaparkowaliśmy w głębi lasu na ścieżce jakieś sto pięćdziesiąt metrów za jego domem. Jak się podejdzie kawałek w kierunku domu, to widać jego podjazd. Od strony samochodu nic nie widać. To znaczy, że on też nie będzie widział naszego auta. Miałeś rację co do altany, daje doskonale schronienie. Vargas nie będzie mógł nas zobaczyć od strony, z której będzie nadjeżdżał. Będziemy działać zgodnie z planem.

– Dobrze. Przypominam: ty i Ricardo czekacie za altaną, Ivan siedzi w samochodzie. Wy wkraczacie do akcji, gdy tylko Vargas wysiądzie z auta. Podchodzicie blisko i terroryzujecie go bronią. Potem założycie mu kajdanki i zakneblujecie go. Przywieziesz go jego samochodem na wyznaczone miejsce, a Ricardo niech siedzi z tyłu i pilnuje więźnia. Rolą Ivana jest dodatkowe wsparcie dla was. Niech pozostaje w odwodzie. Ma wkroczyć do akcji tylko wtedy, gdy to będzie konieczne. Ty decydujesz. Niech wyjedzie z lasu na drogę bez świateł, gdy tylko zobaczy, że Vargas przyjechał. Ma podjechać nie dalej niż na skraj lasu i obserwować. Stamtąd będzie miał doskonały widok na podjazd. Niech stara się nie pokazywać. Nie stanie się jednak nic złego, jeśli Vargas go zobaczy, byle nie za wcześnie, będzie to dodatkowa presja. Niech czeka, aż skończycie, później pojedzie za wami naszym autem. W każdym razie jest do twojej dyspozycji. Rozumiemy się?

– Tak, szefie, wszystko jasne.

– To dobrze – skwitował Manito. – Dam ci znać, gdy tylko Vargas ruszy spod dyskoteki, będziecie mieli około godziny, żeby się przygotować.

– Zrozumiałem – powiedział Miguel.

– Zadzwoń do mnie po zakończeniu akcji i powiedz, jak wam poszło. Wcześniej mój telefon będzie wyłączony. Nie chciałbym, żeby przypadkiem zadzwonił, gdy będę rozprawiał się z Kirkpatrickiem.

– Zrozumiałem – potwierdził Miguel.

– Zatem powodzenia! – powiedział Manito i się rozłączył.

Było już dobrze po trzeciej, gdy Manito dojechał do domu Johna Kirkpatricka. Tak jak się spodziewał, okna były ciemne. Zaparkował samochód na

ulicy jakieś dwieście metrów dalej i ruszył na piechotę w stronę domu. Drzwi otworzył mu Bertoldo, gdy tylko się do nich zbliżył. Wszedł do środka. Sprawdził, co z dziewczyną. Tak jak się tego spodziewał, leżała na łóżku związana i zakneblowana. Enrique siedział na krześle obok.

Była za dwadzieścia szósta, gdy Rosanna zadzwoniła do Manita z informacją, że Kirkpatrick opuścił dyskotekę. Zostało im więc około godziny czekania. Usiedli na progu drzwi prowadzących z garażu do mieszkania. Dookoła panował półmrok. Jedyne oświetlenie dawały światła urządzeń gospodarczych w kuchni oraz smugi światła wpadające przez okna od ulicznej latarni. Kilka minut później Rosanna zadzwoniła ponownie z informacją, że dyskotekę opuścił Mateo Vargas. Manito natychmiast przekazał wiadomość Miguelowi.

Była za kwadrans siódma, gdy usłyszeli szum silnika podjeżdżającego pod dom samochodu. Obaj wstali i zajęli wcześniej uzgodnione pozycje za drzwiami prowadzącymi z garażu do mieszkania, Bertoldo po lewej, Manito po prawej stronie. Gdy zaczęły się otwierać drzwi garażu, Manito zobaczył, że Bertoldo zakłada na prawą rękę szeroki metalowy kolczasty kastet. Sam wyjął z kabury pistolet. Czekali w gotowości. Nasłuchiwali: zamykające się drzwi do garażu, trzask otwieranych drzwi od samochodu, podwójne kliknięcie automatycznej blokady drzwi. Przyłgnęli do ściany. Drzwi do garażu otworzyły się do środka. Zobaczyli smugę światła. Usłyszeli kliknięcie kontaktu i ponownie nastąpił półmrok. W tym momencie Bertoldo gwałtownie wysunął się zza drzwi i z całej siły uderzył w głowę ciemnej sylwetki w drzwiach garażu. Dłoń z kastetem trafiła w twarz mężczyzny, oddaloną nie więcej niż o trzydzieści centymetrów. Usłyszeli, że Kirkpatrick upadł na betonową podłogę. Bertoldo zapalił światło w garażu. Przez chwilę przyglądał się leżącemu mężczyźnie. Lewe oko zostało wyrwane z oczodołu, a rany na policzku i złamany nos obficie krwawiły. Klubowy ochroniarz krztusił się krwią, jednak jego prawe oko wciąż pozostało czujne. Obserwował zbliżającego się Bertolda. Prawa ręka sięgnęła po pistolet. Bertoldo jednak nie czekał. Skoczył, padając kolanami na pierś mężczyzny. Ponownie uderzył kastetem, tym razem w krtań. Kirkpatrick zadławił się i zaczął głośno charczeć. Pęknięta krtań nie pozwalała mu na oddech, jednak jego ręka nadal kierowała się ku kaburze. Bertoldo przycisnął rękę przeciwnika do jego piersi. Wyraźnie było widać, że Kirkpatrick się dusił, Bertoldo nie musiał więc nic więcej robić, niż tylko czekać. Po upływie minuty jego ciałem wstrząsnęły drgawki, a na spodniach w kroczu pojawiła się duża ciemna plama. Po chwili jego pierś przestała się poruszać.

Bertoldo odsunął bezwładną rękę i wyciągnął pistolet ochroniarza z kabury. Potem przeszukał wszystkie jego kieszenie. Znalezione przedmioty podał Manitowi. Ten pobieżnie je przejrzał, po czym włożył do prawej kieszeni swojej marynarki, wcześniej wyłączając nowoczesnego iPhone'a i radiotelefon

Pininfarina. Klucz od samochodu zatrzymał w ręku. Bertoldo skończył z kieszeniami i zaczął oglądać ciało denata. Zdjął z palca jego prawej dłoni szeroki sygnet, na lewym nadgarstku znalazł złoty zegarek, a na szyi szeroki złoty łańcuch. Manito sprawdził markę zegarka – był to Hublot Big Banger. „Musi być sporo wart” – pomyślał. Był zrobiony z różowego złota, również bransoleta. Schował klucz i podane mu przez Bertolda przedmioty do drugiej kieszeni. Manito otworzył bagażnik samochodu, którym przyjechał Kirkpatrick. Razem z Bertoldem spróbowali podnieść ciało, aby włożyć je do bagażnika, ale im się to nie udało. Ochroniarz był potężnym mężczyzną i ważył przynajmniej sto kilogramów, wezwali więc Enrique’a do pomocy. W trójkę z trudem ułożyli bezwładne ciało w bagażniku. Manito rozejrzał się w poszukiwaniu śladów krwi na podłodze. Nie było żadnych, zamknęli więc bagażnik i poszli na piętro po kobietę. Wyciągnęli ją z pokoju, ubraną tak jak była, czyli tylko w koszulkę, bez majtek. Manito zgarnął ubrania, które leżały przy łóżku. Rozejrzał się i w szafie wnękowej znalazł szpilki. Na kozetce leżała damska torebka, a na nocnym stoliku smartfon. Obok łóżka leżała kolorowa narzuta. Pozbierał i podał to wszystko Enrique, i kazał zanieść do samochodu. Potem z pomocą Bertolda przeniósł dziewczynę do garażu, ułożył na tylnym siedzeniu samochodu i całą nakrył narzutą. Przerazona dziewczyna leżała w bezruchu. Było dwadzieścia po siódmej, gdy skończyli. Bertoldo usiadł za kierownicą samochodu. Enrique usiadł na miejscu pasażera. Manito otworzył drzwi garażu, a gdy Bertoldo wyjechał, ponownie je zablokował. Następnie poszedł do swojego auta. Dwoma samochodami udali się w drogę na wyznaczone miejsce spotkania.

„Miguel powinien dzwonić lada chwila – pomyślał Manito, włączając komórkę. – Mateo Vargas powinien już dawno dojechać do domu”. Rzeczywiście, nie mylił się. Vargas dojechał do domu około godziny siódmej. Tak jak przewidział, wysiadł z samochodu, żeby wpisać kod do bramy. W tym momencie Miguel i Ricardo wyszli zza altanki z bronią w ręku, mieli założone tłumiki, żeby nie narobić hałasu, gdyby musieli strzelać. Jakimś trafem Vargas zauważył ruch po swojej lewej stronie i błyskawicznie sięgnął po broń. Dostał cztery kule, które przygniotły go do ziemi, zdążył jednak wystrzelić. W ciszy poranka huk wystrzału z dziewięciomilimetrowego Rugera zabrzmiał nadzwyczaj głośno. Miguel z zaskoczeniem zobaczył, że Ricardo klęknął, a po chwili upadł na ziemię. Kula wystrzelona przez Vargasa trafiła go w brzuch. Miguel szybko oszacował stan Ricarda, nie miał jednak czasu, żeby się nim zająć. Akcja była na pierwszym miejscu. Kiwnął ręką na Ivana, który zgodnie z planem siedział w samochodzie na skraju lasu, żeby podjechał bliżej. Nie mieli czasu do stracenia. Huk wystrzału mógł zaalarmować kogoś z odległych sąsiadów albo jakiegoś niepożądanego

przechodnia. Gdy tylko Ivan wysiadł z samochodu, Miguel nakazał mu pomóc ukryć ciało w bagażniku i umieścić rannego Ricarda na tylnym siedzeniu samochodu Vargasa. Ricardo jęczał przy każdym poruszeniu i widać było, że bardzo cierpi. Miguel wiedział, że nie jest w stanie mu pomóc. W tej chwili najważniejsze było ograniczyć krwawienie, żeby w miarę możliwości nie pobrudzić siedzenia samochodu. Był to Chrysler 300 i wyglądał na prawie nowy, byłby więc dodatkową korzyścią dla kartelu.

Miguel był zły na siebie – wszystko poszło nie tak, jak było zaplanowane. Mateo Vargas miał być schwytany żywcem i zastrzelony później, w odległym miejscu. Chodziło o to, żeby nie pozostawić żadnych śladów. Teraz jednak na asfalcie przed bramą widniała duża plama krwi, a druga znajdowała się w miejscu, gdzie upadł Ricardo. Co więcej, pojedyncze plamy krwi znaczyły również drogę, jaką przebyło ciało niesione do bagażnika. Nie było czasu do stracenia. Miguel zaczął rozglądać się za czymś, czym mógłby wyczyścić albo zatuszować ślady krwi. Przed domem nie znalazł niczego przydatnego, ewentualnie mógł użyć trochę ziemi z niewielkiego ogródka. Otworzył bagażnik w poszukiwaniu środków czystości. Znalazł tylko trzylitrowy kanister z płynem do mycia szyb. „Nada się” – pomyślał. Wyjął z kieszeni nóż i odciął dwa duże kawałki materiału z nogawek spodni Vargasa. Jeden z nich dał Ivanowi, wylał płyn na plamę krwi i kazał mu ją zmyć. Sam zajął się drugą plamą. Po kilkukrotnym myciu plamy praktycznie były niewidoczne, jakkolwiek w ich miejsce pojawiły się połyskliwe plamy po płynie. Miguel zdecydował się zasypać je ziemią. To samo zrobił z małymi plamkami.

– Może być – skostatował po zakończeniu, zwracając się do Ivana.

Efekt może nie był powalający, ale, co najważniejsze, śladów krwi nie było widać.

– Możesz już jechać – nakazał Ivanowi. – Resztę sam dokończę.

Gdy Ivan odjechał, Miguel podszedł do bagażnika i wytarł brudne od krwi ręce w czysty fragment marynarki Vargasa. Zatrzasnął bagażnik, a następnie podszedł do tylnych drzwi, za którymi leżał Ricardo. Ten przestał już jęczeć, oddech miał urywany i z trudem łapał powietrze. Miguel postanowił zakończyć jego cierpienia. Złapał ręce Ricarda, ułożył je na nosie i ustach i mocno przycisnął. Po chwili Ricardo przestał oddychać. Następnie Miguel usiadł za kierownicą, wycofał i odjechał na wyznaczone miejsce spotkania. Jadąc, rozglądał się uważnie po okolicy. Nic nie wskazywało, by huk wystrzału zaalarmował mieszkańców. Ulica była prawie opustoszała, a nieliczni przechodnie nie zwracali uwagi na przejeżdżający samochód, zwłaszcza że miał przyciemniane szyby, przez które nie było nic widać. Po drodze Miguel zadzwonił do Manita, żeby złożyć meldunek. Opowiedział mu, co się zdarzyło i co zrobił, żeby oczyścić teren. Poinformował go też, że Ricardo zginął od postrzału.

ROZDZIAŁ 17

Piątek, 18 listopada 2011, godzina 10:40 CST

Na miejsce zbiórki Manito wyznaczył hacjendę, własność nieżyjącego już członka La Familia. Posiadłość leżała około dwunastu kilometrów od Villa del Carbon. W okolicy znajdowało się wiele niewykończonych domów, których właściciele albo wyjechali do Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu pracy, albo z braku środków porzucili domy. Miejsce nadawało się więc bardzo dobrze na dyskretne spotkanie.

Bertoldo i Enrique z ciałem Johna Kirkpatricka i dziewczyną dotarli na miejsce nieco przed godziną dziewiątą, Manito kilka minut później. Okolica była dzika, pełna niewielkich jarów i rowów wyżłobionych przez bystre strumyki, tworzące się w tym górzystym obszarze z gwałtownych ulew w porze deszczowej. Manito, który odwiedzał posiadłość już w przeszłości, przeprowadził ostatnio dokładne rozeznanie pod kątem wykorzystania jej do celów operacyjnych i możliwości ukrycia zwłok. Znalazł odpowiedni, niezbyt szeroki rów, głęboki na jakieś trzy metry, przez który, na skutek osunięcia się ziemi nie przepływała woda. Przygotował osiem worków żwiru, a jego ludzie ułożyli na krawędzi rowu stertę sporych rozmiarów kamieni. Był to w zasadzie jedyny materiał nadający się do pochówku, jako że obszar był ubogi w ziemię. Zaraz po przyjeździe Manito nakazał pochować ciało Kirkpatricka. Do tej pory jednak nie zdecydował, co zrobić z dziewczyną. Żywa stanowiła dla nich spore zagrożenie, chyba że udałoby się ją umieścić w jakimś burdelu w Stanach Zjednoczonych. Manito nie miał jednak na to czasu, nie miał też zgody szefostwa:

– A co z dziewczyną? – zapytał Bertoldo.

– Też do piachu! – odpowiedział.

Podczas gdy Bertoldo i Enrique oddalili się, by pogrzebać ofiary, Manito zajął się przeglądaniem rzeczy Kirkpatricka. W portfelu znalazł niecałe cztery tysiące pesos i trzy karty kredytowe. Jedna była wystawiona przez amerykański bank City Group, natomiast dwie inne przez duże banki meksykańskie. Odłożył karty na bok, jako że mogły się kiedyś przydać do zrobienia zakupów. Model iPhone'a był starszy od jego, więc odłożył go na bok. Natomiast z zainteresowaniem obejrzał Pininfarinę. Kartel nie używał radiotelefonów, posługiwali się wyłącznie komórkami, więc raczej na nic mu się nie przyda. Postanowił jednak ją zatrzymać i włączyć przed wieczorem, żeby posłuchać, czy ktoś będzie wywoływał. Prawo jazdy i dwa inne dokumenty ze zdjęciami wrzucił do plastikowej torebki z rzeczami do spalenia. W międzyczasie jego ludzie pogrzebali Kirkpatricka. Prerażona kobieta, związana i zakneblowana, przykryta narzutą, ze zgrozą przyglądała się z krawędzi rowu, jak gangsterzy składają ciało jej kochanka do grobu. Po chwili obaj mężczyźni wyszli z dołu i zatrzymali się

przy niej. Enrique zsunął z niej narzutę i zaczął się jej przyglądać. Koszulka była krótka i oczom gangsterów ukazały się jej pośladki oraz owłosione krocze. Dla Enrique był to kuszący widok. Piękna blondynka z długimi rozpuszczonymi włosami, z kształtnymi piersiami, z których jedna wylewała się z dekoltu koszulki, naga i gotowa. Bez słowa podszedł więc do kobiety, przekręcił ją na wznak i klęknął w rozkroku na wysokości jej bioder. Jednym gwałtownym ruchem ręki zerwał szeroką samoprzylepną taśmę z jej ust. Widząc, że kobieta zamierza wrzasnąć, przysłonił jej usta lewą ręką i, kręcąc powoli głową, dał znak, aby tego nie robiła. Powoli zdjął rękę z jej ust. Nie próbowała już wrzeszczeć. Wyjął z kieszeni sprężynowy nóż i, ku jej zgrozie, otworzył go. Złapał ją za ręce i przeciął krępujące więzy. Przez chwilę obserwował ją, po czym zaczął bawić się jej piersiami. Nie protestowała i nie wrzeszczała. Po kilku minutach zsunął spodnie i położył się na niej. Zaczął ją całować, a po chwili wcisnął się między jej uda i w nią wszedł. Gwałcili ją na zmianę z Bertoldo w dwóch rundach. Kobieta, która przyjęła uwolnienie jej ust i rąk za dobry znak, nabrała przekonania, że uda jej się przeżyć. Zaczęła nawet z nimi współpracować. Obejmowała ich ramionami, odwzajemniała pocałunki, a nawet zaczęła szukać pocałunków i coraz wyraźniej wiała się w udawanej lub prawdziwej rozkoszy. Gwałcąc ją po raz drugi, Bertoldo przyglądał się jej twarzy. Oczy miała zamknięte, twarz zaróżowioną, oddychała bardzo szybko. Nie przerywając, Bertoldo wyciągnął prawą rękę do tyłu. Po chwili poczuł, jak Enrique wkłada mu w dłoń sprężynowy nóż. Wbił jej go prosto w serce w momencie, gdy oboje szczytowali. Gwałtownie otworzyła oczy, które wyrażały bezbrzeżne zdumienie. Widać było, że nie rozumiała, co się właśnie stało. Wkrótce jej oczy zamarły w bezruchu, a ciało przeszły drgawki. Bertoldo wyszedł z niej z ciągle potężną erekcją. Żałował, że tak szybko umarła. Chyba nawet żałował, że w ogóle umarła.

– Przynajmniej miała ładną śmierć – skwitował Enrique. – Wyglądała, jakby miała ekstra orgazm od noża.

Owinęli jej ciało w zakrwawioną narzutę i rzucili na zwłoki kochanka. Wrzucili też do grobu jej ubrania, buty i torebkę. Trzy worki żwiru wystarczyły na przykrycie obu ciał. Następnie zrzucili do rowu połowę kamieni ze sterty. Ich część grobu była gotowa. Podobnie jak wiele innych jarów i rowów w okolicy, ten również wyglądał całkiem naturalnie. Leżące na dnie głazy wyglądały, jakby były wypłukane przez wartkie potoki wody.

Manito był z ich pracy zadowolony. Był też zadowolony z siebie i z tego, że jego pomysł z pochówkiem tak dobrze się sprawdził. Zabrał ich więc do domu, żeby podzielić się zdobyczami. Gotówkę oddał im do podziału, zatrzymując dla siebie karty kredytowe. Bertoldo dostał złoty łańcuch, a Enrique sygnet. Zegarek zatrzymał dla siebie, oceniając go jako najbardziej wartościowy ze wszystkich przedmiotów. Poleciał towarzyszom odprowadzić samochód do warsztatu mafii.

Tam zdecydują, czy pójdzie na rozbiórkę, czy przeróbkę.

– Możecie już jechać – powiedział. – Bądźcie o ósmej w punkcie obserwacyjnym naprzeciwko dyskoteki. Tylko się nie spóźnijcie!

– Będziemy na czas – odpowiedział Bertoldo.

Krótko po ich odjeździe przyjechał Ivan, a wkrótce później Miguel z dwoma trupami. Miguel w obecności Manita i Ivana przeszukał kieszenie Vargasa. Nie nosił on żadnej biżuterii. Jego zegarek marki Tissot Manito uznał za mało wartościowy i podarował Miguelowi. W portfelu znaleźli tylko jedną kartę bankową, prawo jazdy i kilkanaście wizytówek. Wszystko trafiło do plastikowego worka z rzeczami do spalenia. W innej kieszeni marynarki znaleźli mały skórzany portfel przeznaczony specjalnie do trzymania banknotów. Vargas miał przy sobie prawie osiem tysięcy pesos w dwusetkach i pięćsetkach, przypuszczalnie lewy dochód z ostatniej nocy. Manito podzielił pieniądze na trzy części. Nic więcej wartościowego nie znaleziono. Zgodnie z polityką mafii, broń, komórki i samochody stawały się automatycznie własnością kartelu. Należało je niezwłocznie oddać, czym zajął się Manito. Ciała Vargasa i Ricarda zostały złożone w rowie jedno obok drugiego, zasypane żwirem i przykryte kamieniami, podobnie jak uczynili to Bertoldo i Enrique z ciałami Kirkpatricka i jego dziewczyny. Gdy skończyli, było już po jedenastej. Manito polecił Miguelowi odprowadzić chryslera do mafijnego garażu i nakazał stawić się im przed ósmą w mieszkaniu naprzeciwko dyskoteki.

ROZDZIAŁ 18

Piątek, 18 listopada 2011, godzina 19:50 CST

Posiadłość znajdowała się w bardzo bogatej części Cuernavaca, w dzielnicy Fraccionamiento Rinconada Palmira. Obejmowała ona prawie półhektarowy teren położony na końcu ulicy, przy której stały tylko dwie inne posiadłości. Ulica wychodziła na drogę prowadzącą do autostrady 95D, która łączy Acapulco z Meksykiem. Zapewniała więc mieszkańcom posiadłości łatwy dostęp do głównej arterii komunikacyjnej miasta. Z tyłu posesji znajdował się czterohektarowy park miejski, a raczej dziki las. To właściciel posiadłości, Bentez, opłacił kogoś w biurze burmistrza, by pozostawiono ten teren w dzikim stanie. Dom w stylu kolonialnym o powierzchni prawie tysiąca trzystu metrów kwadratowych posiadał dziewięć pokoi, w tym pięć sypialni, każda z własną łazienką. W sumie łazienek było osiem. Posiadłość miała kształt kwadratu. Była otoczona murem o wysokości ponad dwóch metrów, na szczycie którego zainstalowane były przewody pod napięciem. Przewody były kontrolowane przez system alarmowy. Jakakolwiek przerwa natychmiast uruchomiła sygnał. Szesnaście zdalnie sterowanych kamer i reflektorów praktycznie całkowicie uniemożliwiała wtargnięcie w niezauważalny sposób na posesję. Do posiadłości prowadziła stalowa brama, z obydwu stron wzmocniona jeszcze grubą blachą. Ciężka brama zainstalowana była na małych kółkach, umieszczonych w prowadnicach, dzięki którym brama przesuwiała się na boki. Od bramy do domu wiódł dwudziestometrowy podjazd. Dom okalały rabaty z wielobarwnymi kwiatami. Droga kończyła się szeroką pętlą, w której centrum znajdowała się fontanna z białego alabastru z figurą Diany w środku. Ją również otaczała szeroka rabata z kwiatami. W tej chwili fontanna nie działała.

Tuż za bramą, niewidoczny z zewnątrz, znajdował się budynek straży. Posiadłość była pod stałą ochroną przez siedem dni w tygodniu. W stróżówce zawsze znajdował się przynajmniej jeden uzbrojony ochroniarz, a w dni, gdy do posiadłości przybywali goście, bywało ich dwóch, a nawet trzech. Tego wieczoru służbę pełnił Jorge Montana. Ubrany był w ciemny, podobny do policyjnego mundur, na którym, zgodnie z wymogami pracodawcy, nosił kamizelkę kuloodporną. Przy pasie, w kaburze tkwił pistolet, na pasie nakładka z nabojami. W zasięgu jego ręki na stojaku znajdowały się dwa karabiny winchester 1300 z ręcznym przeładowaniem. Jorge siedział za stalowym biurkiem przed czterema dużymi ekranami. Wyświetlały obrazy ze wszystkich kamer.

Tego dnia Jorge nie był w dobrym nastroju. Był przybity, zrozpaczony i wściekły, wszystko naraz i na zmianę. Jego rodzina została uprowadzona. Porywacze obiecali mu, że ją wypuszczą, gdy zrobi to, co mu każą. Mimo że był uzbrojony, czuł się bezsilny i nie mógł nic zrobić, gdy przy zjeździe z autostrady jadący przed nim samochód nagle się zatrzymał. Musiał stanąć, nie było jak go

wyminąć ani się cofnąć, bo tuż za nim ustawił się drugi samochód. Dwóch typów wysiadło z samochodu z tyłu i zaszło go z obu stron. Byli bez broni. Jeden machał jakąś kartką, którą przyłożył do szyby jego samochodu. Jorge z przerażeniem zobaczył, że jest to zdjęcie jego rodziny – żony i dwóch synów, w towarzystwie dwóch uzbrojonych, zamaskowanych zbirów.

– Poznajesz? – zapytał ten z kartką. – Odblokuj drzwi i wpuść nas do samochodu – dodał, widząc, że Jorge potakująco kiwa głową.

Jorge wykonał polecenie. Ten z kartką usiadł na miejscu pasażera, drugi usadowił się za nim na tylnym siedzeniu.

– Jedź za samochodem przed nami – rozkazał ten z prawej. Po chwili powiedział przez walkie-talkie: – Ruszamy!

Samochody ruszyły. Ujechali jakieś sto metrów i wszystkie trzy zatrzymały się na poboczu drogi. Jorge był w szoku. Nie odzywał się, podobnie jak i jego pasażerowie. Cisza się przedłużała. Wreszcie Jorge nie wytrzymał.

– Panowie, po co to robicie? Nie mam pieniędzy, żeby wam zapłacić.

– Wiemy – odpowiedział typ siedzący z przodu. – Zapewniamy, że nie chcemy skrzywdzić twojej rodziny. Musisz tylko zrobić to, czego od ciebie zażądamy. Wtedy jeszcze dziś w nocy wszyscy znajdą się w domu – zrobił pauzę, ale Jorge milczał. – Wpuścisz czterech naszych ludzi do środka. Jeśli nikogo nie zawiadomisz, o jedenastej wieczorem rodzina będzie w domu. Odmówisz lub zdradzisz – pożegnaj się z rodziną. Masz – powiedział typ z kartką, podając mu komórkę. – Porozmawiaj z żoną.

Jorge czuł ogarniające go przerażenie. Wziął telefon. W słuchawce słyszał sygnał połączenia. Jego żona odezwała się po trzecim sygnale. Musieli jej powiedzieć, że to on dzwoni, bo od razu zaczęła mówić:

– Jorge, ratuj! Zabrali nas wszystkich z domu!

Na dźwięk przerażonego głosu żony Jorge nieco się opanował.

– Czy wszyscy jesteście cali? Nie jesteście ranni?

– Tak. Wszyscy cali – odpowiedziała już spokojniej, słysząc jego spokojny głos.

– Czy wiesz, gdzie jesteście?

– Nie, nie wiem. Wtargnęli do domu, mieli broń. Nakazali, żebyśmy z nimi poszli albo nas zabiją. Wyszliśmy, nawet nie zamknęłam domu. Wsadzili nas do takiego dużego samochodu. W środku założyli nam na głowy worki z jakiegoś ciemnego materiału. Jesteśmy w samochodzie i ciągle jedziemy.

– Wystarczy! – warknął typ siedzący obok niego.

– Wszystko będzie dobrze, nic wam się nie stanie, przyrzekam – obiecał Jorge, zanim komórka została mu odebrana.

W samochodzie ponownie zapadła cisza. Jorge rozmyślał, co ma zrobić.

– Wpuścić was nie mogę – odezwał się po chwili. – Nagrania z kamer są

zapisywane na serwerze, do którego nie mam dostępu, bo znajduje się w domu. Dowiedzieliby się, że was wpuściłem. Zabiją mnie wtedy albo wsadzą do więzienia. Kamer też nie mogę wyłączyć. Komputer zapisuje log zdarzeń ze wszystkich urządzeń systemu zabezpieczenia. Wyłączenie kamery byłoby także zapisane. Obrazy z kamer przy bramie są również pilnowane.

– A co z detektorami ruchu? Czy komputer też zapisuje, jak ktoś je wyłączy?

– Nie wiem, chyba tak – odpowiedział z wahaniem.

– Czy istnieje jakiś wyłącznik świateł?

– Tak. Są dwa centralne włączniki – jeden dla świateł z przodu, a drugi z tyłu posesji.

– Czy w domu są psy albo jakieś inne zwierzęta? – zapytał typ z prawej.

– W domu nie ma. Ale są dzikie psy w lesie z tyłu posesji. Często uaktywniają czujniki ruchu, co powoduje, że zapalają się światła. Jak dzieje się to zbyt często, wyłączamy wtedy tylne światła – odpowiedział Jorge.

– Czy dom też zabezpieczono alarmem?

– Nie wiem.

– W porządku. Jest 19:47. Rozumiem, że zaczynasz służbę o ósmej wieczorem. Czy tak?

– Tak.

– Oto, co masz zrobić. Zaraz po przejęciu służby i odjeździe twojego poprzednika skierujesz dwie tylne kamery narożne wzdłuż płotu do przodu. Następnie wyłączysz światła, żeby nie zapalały się przy ruchu. Będzie ciemno, więc nie sądzę, żeby zapisał się jakikolwiek czytelny obraz. Światła wyłączysz z powrotem, jak tylko przyjadą gospodarze, jednak nie później niż o dziesiątej. W ten sposób nikt się nie domyśli, że nam pomogłeś. Jeśli się dobrze wywiązesz, o jedenastej twoja rodzina będzie z powrotem w domu. To jak, zrobisz to? – zapytał po chwili, widząc, że Jorge milczy.

– Tak – odpowiedział Jorge niepewnym głosem.

– I radzę ci nie dzwonić do żony. Powiemy jej, żeby do ciebie zadzwoniła, gdy już będzie w domu. Jak wszystko pójdzie dobrze, oczekuj telefonu po jedenastej.

– Muszę już jechać – powiedział Jorge. – Nie wolno nam się spóźniać.

– Okej, jedź – nieproszeni pasażerowie przesiedli się do samochodu jadącego z tyłu.

Samochód z przodu zjechał na bok, umożliwiając Jorgemu wyjazd. Pięć minut później był już w stróżówce. Po przejęciu służby przestawił kamery, tak jak mu kazano. Świateł nie musiał wyłączać, zrobił to już jego poprzednik, bo często się zapalały z powodu dzikich psów. Zbliżała się już godzina dziesiąta, a on ciągle był w rozterce, czy dobrze zrobił. Z jednej strony widział, że bandyci niewiele od niego oczekują. Przeszycie kamer i wyłączenie światła wydawało się niegroźne.

Na ekranach przez większość czasu i tak widać było tylko typowe dla ciemności śnieżenie. Chyba że zapali się światło uruchomione przez psy. Ale i wtedy niewiele było widać. Jedynie drzewa. Jeszcze nigdy na ekranach nie pojawił się żaden dziki pies. Sądząc po hałasie, dzisiaj dzikie psy były wyjątkowo aktywne. Pewnie nagranie będzie pełne alarmów z detektorów ruchu. Chyba dlatego poprzednik wyłączył światło. Ostrożnie przestawił tylne kamery z powrotem na obserwację płotu z tyłu. Generowane przez nie obrazy nie zmieniły się – nadal był tylko śnieg. Była już za dwie minuty dziesiąta w nocy. Nie czekając dłużej, włączył światła z powrotem. Nic się nie zmieniło, żadne ze światel się nie zapaliło. „Ciekawe, gdzie są i co robią intruzi” – zastanawiał się.

Kilka minut później na ekranie pokazującym obraz z kamery skierowanej na ulicę zobaczył światła dwóch nadjeżdżających samochodów. Jak zwykle w piątek wieczorem przyjechała żona pana Benteza z dziećmi w towarzystwie eskorty. Powiększył obraz na cały ekran i czekał, aż się zbliżą. Samochody się zatrzymały. Jorge zgodnie z procedurą zrobił zbliżenie kamery na znaki rejestracyjne, a następnie na twarze kierowców i pasażerów, w każdym z samochodów. Pierwszy – czarny, opancerzony truck yukon prowadził Diego. Obok niego siedziała pani Bentez, a z tyłu jej dzieci, Nicolas i Sandra. Chłopiec miał tyle lat, co jego młodszy syn. Sandra była w wieku jego starszego syna. W przeszłości czasami zabierał swoich chłopców na sobotnią służbę, którą pełnił w dzień. Dzieci bawiły się wtedy razem. Drugi samochód – dwuosobowy Sabre GT turbo prowadził Oskar, przy nim jako pasażer siedział Carlos. Diego i Carlos mieli potężne postury. Oskar uchodził za znakomitego kierowcę. Może właśnie dlatego jeździł pancernym sabre, jak potocznie nazywano ten samochód. Jorge zazdrościł Carlosowi tej fuchy, w przeszłości sam się o nią starał.

Zakończył inspekcję. Przycisnął duży czerwony guzik i brama zaczęła się z hałasem otwierać. Niewielkie kółka co chwilę blokowały się na małych kamykach lub piasku, które dostawały się do prowadnicy. Brama przeraźliwie skrzypiała. Hałas był tak intensywny i nieprzyjemny, że widział na ekranie, jak dzieci państwa Bentez zatykają sobie uszy. Obydwa samochody przejechały przez bramę. Jorge zdjął rękę z przycisku i brama zaczęła się z hałasem zamykać. Przez tylną szybę stróżówki Jorge widział, jak obydwa samochody zatrzymały się przed domem. Pierwszy wysiadł Diego, obszedł auto dookoła, otworzył boczne drzwi yukona i pomógł wsiąść seniorze, ta z kolei pomogła dzieciom. Z pancernego sabre wysiadła dwójka ochroniarzy. Stanęli tuż za rodziną. W międzyczasie Diego otworzył bagażnik, z którego wyjął dwie małe walizki i trzymając jedną w każdej ręce, ruszył po schodach do drzwi wejściowych. Rodzina z ochroniarzami z tyłu podążała za nim w odstępnie kilku metrów. W tym momencie Jorge dostrzegł cztery osoby wychodzące z fontanny. Dwie trzymały pistolety maszynowe. Pozostali też mieli broń maszynową, ale przewieszoną przez ramię, widział jednak, że

w prawych dłoniach trzymają pistolety. Widząc zagrożone dzieci, lojalność Jorgego dla pana Benteza, napędzana dodatkowo złością na bandytów za porwanie jego rodziny, przeważała. Chwycił winchestera i wybiegł przed stróżówkę.

Grupa Rogelio była niewielką bandą. Razem z szefem liczyła tylko sześć osób. Rogelio był przywódcą grupy i jednym z czterech ludzi kryjących się w fontannie. Jego banda była tak mało znacząca na przestępczym rynku, że mimo iż działała już od przeszło dwóch lat, niewiele osób o niej wiedziało lub znało jej nazwę. Inna sprawa, że do dziś nie udało im się wymyśleć jakiejś groźnie brzmiącej nazwy. Od samego początku nie szło im zbyt dobrze. Próbowali rozprowadzać narkotyki, ale im nie wyszło. Nie mieli „wsadu”, kwoty wystarczającej na zakup większej partii prochów, a nikt nie chciał im zaufać i powierzyć towaru na kredyt. Zaczęli więc rabować sklepy, z nadzieją zarobienia na ów „wsad”. Też bez sukcesów. Pierwsza akcja przyniosła im niecałe dwa tysiące dolarów, ale od tamtego czasu policja deptała im po piętach. Na wymuszanie haraczu byli zbyt słabi, żeby wygryźć konkurencję. Brakowało im dobrych kryjówek, żeby pokusić się na porwanie kogoś. Tym razem jednak – Rogelio czuł to całym sobą – szczęście uśmiechnęło się do nich. Kilka dni temu skontaktował się z nim jeden z szefów operacyjnych Templariuszy z propozycją współpracy w porwaniu. Nie powiedziano mu, kogo mają porwać. Rogelio później domyślił się, że chodzi o rodzinę seniora Benteza. Sami na takie szaleństwo nigdy by się nie pokusili. Bentez miał na zawołanie przynajmniej trzy razy więcej karabinów niż on, a o ochroniarzach Benteza mówiło się, że są doskonale wyszkoleni. Porwanie do spółki z Templariuszami to co innego. Oni mieli największą siłę ognia w Meksyku. Mieli dostęp do bezpiecznych kryjówek. Zapewniali jemu i jego ludziom ochronę przed zemstą Benteza. A co najważniejsze, użyczyli im swoich samochodów i potrzebnego sprzętu. Toteż mimo że nie podobało mu się, iż musi oddać połowę okupu, w sumie był to dobry układ. Zwłaszcza że Templariusze gwarantowali mu zysk dwóch milionów dolarów. Przecież z Templariuszami w grze okup będzie o wiele większy. To tak jak w tym starym kawale o ludziach znających się na biznesie, w którym właściciel słabo prosperującego biznesu mówi do kolegi: „Mosiek, twoja Salcia puszcza się z Abrahamem, Ezechielem, Jeremiaszem i Zachariaszem”. „No i co z tego?” – odpowiada Mosiek. – Lepiej mieć 20 procent w dobrym interesie niż 100 procent w gównianym”. „Racja – pomyślał Rogelio. – Może tylko 50 procent, a może aż 50 procent, ale biznes jest pewny”. Zwłaszcza że dla nich będą to dwa miliony dolarów gwarantowane. Z tą forszą wreszcie będą mogli stanąć na nogi. Później mogą zająć się narkotykami lub zostać przy kidnappingu. Zobaczy się. Później będzie czas, by o tym pomyśleć. Plan nie wyglądał na skomplikowany, a wręcz

wydawał się genialny i pewny. Na początek mieli utworzyć dwu- i czteroosobową grupę. Rogelio zastanawiał się, skąd Templariusze wiedzieli, że jest ich sześciu. „Nieważne” – pomyślał. Pierwsza grupa miała porwać rodzinę strażnika, który w noc akcji miał pełnić służbę. Mieli to zrobić zaraz po wyjściu Jorgego z domu, około 7:30 wieczorem. Mieli gdzieś ukryć rodzinę albo wozić w samochodzie do godziny 22:40, potem odwieźć ich do domu, udać się bezpośrednio do bezpiecznego domu i czekać na przybycie reszty bandy. Polecono im, aby do momentu zapłaty okupu wszyscy byli razem w bezpiecznym miejscu. Nie mogli dopuścić, aby ludzie Benteza kogoś dorwali. Bez współpracy od środka nie udałooby im się wejść na teren posesji Bentezów. Jorge miał być wtyczką. Porwanie i przetrzymywanie jego rodziny miało zmusić go do współpracy. Zdjęcie było fałszywe, zwykły fotomontaż, na którym była matka z dziećmi i dwóch zakamuflowanych Templariuszy z bronią w ręku. Miało to sprawić, żeby Jorge chciał współpracować. Dopiero telefon miał potwierdzić porwanie. Na posesję mieli wejść nie wcześniej niż po ósmej, gdy upewnią się, że drugi strażnik już wyjechał. Najważniejsze było to, by bezpiecznie dostać się do środka. W tym celu mieli usunąć kawałek elektrycznej zapory. Do tego celu mieli użyć izolowanych kabli. Po usunięciu zabezpieczenia na drabinach mieli przejść przez płot. Drabiny i izolowane kable mieli pozostawić na miejscu. Następnie mieli schować się w fontannie i czekać na przyjazd rodziny. Muszą działać z zaskoczenia. To jest jedyna szansa na porwanie rodziny bez poniesienia strat. Ochrona musi zginąć, Jorge niekoniecznie, a nawet lepiej pozostawić go przy życiu, żeby zawiadomił Benteza o porwaniu. Ostatnią rzeczą, jaką im nakazali Templariusze, było to, że muszą pamiętać, iż Bentez nie zapłaci nawet jednego peso, jeśli komuś z jego rodziny przydarzy się coś złego. Templariusze w trakcie negocjacji muszą dać Bentezowi dowód, że rodzina jest żywa i cała. Mieli spodziewać się telefonu po północy. Zadzwonią na numer żony Benteza. Mieli pozwolić jej porozmawiać z mężem. Po zabiciu ochrony mieli natychmiast udać się z seniorą Bentez i dziećmi pod wskazany adres, do hacjendy w Villa del Carbon. Tam mieli czekać na wynik pertraktacji z Bentezem. Potrzebne im dwie drabiny, trzy ośmiometrowe grubo izolowane przewody z klemami, dwie pary grubych gumowych rękawic, dwie ślepe latarki, dwa przecinaki do drutu, cztery pistolety maszynowe typu Uzi mini 20, cztery pistolety Browning 2 z nabojami 9 mm i dwa samochody, w tym jeden van mieli dostarczyć Templariusze. Inne samochody, jeśli byłyby konieczne, mieli załatwić sobie sami. Potrzebowali trzech. Mieli jeden własny. Dalsza część planu zawierała głównie instrukcje: jak zainstalować kable, żeby usunąć elektryczną zaporę, jak posłużyć się drabinami, gdzie zawieźć rodzinę oraz jak rozmawiać z Jorgem.

Rogelio obserwował, jak rodzina Benteza i jej ochrona wysiadają z samochodów. Widział, jak kierowca trucka wchodzi pierwszy po schodach, obie ręce miał zajęte. Dwóch ochroniarzy z drugiego samochodu podążało za rodziną. Mieli kamizelki kuloodporne. Jeden z nich był bardzo potężny.

Rogelio czuł, że trójka jego ludzi uważnie go obserwuje. Podjął decyzję. On zajmie się typem z walizkami. Gość stał dalej niż reszta i nie nosił kamizelki kuloodpornej. Może mu posłać serię z uzi. Eduardo i Javier jako dobrzy strzelcy z broni krótkiej zajmą się pozostałymi ochroniarzami. Ci dwaj nosili kamizelki, muszą więc strzelać w głowę. Fernando miał pilnować Jorgego.

Rogelio gestem pokazał Eduardo i Javierowi, że mają używać broni krótkiej. Wstali wszyscy jednocześnie. Eduardowi wskazał niższego z ochroniarzy i dotknął tyłu swojej głowy. Javierowi wskazał potężnego ochroniarza i powtórzył gest. Fernandowi gestem pokazał, że ma obserwować stróżówkę. Wycelował uzi w plecy ochroniarza z walizkami.

Walka trwała krótko. Pierwszy wystrzelił serię z uzi Fernando. Musiał strzelić, widząc wybiegającego ze stróżówki Jorgego z winchesterem w ręku. Jorge padł na progu stróżówki. Miał dwie rany w udach i jedną w lewej łydce. Żył, ale nie mógł się ruszać. Prawie w tym samym momencie wystrzelili Eduardo i Javier. Dwaj ochroniarze padli martwi. Obydwaj strzelcy trafili dokładnie w potylicę. Cel Rogelia nie zdążył porzucić walizek. Dostał serię z uzi w korpus w momencie, gdy pochylał się, żeby je postawić. Pod wpływem siły pocisków runął do przodu na twarz, chwilę później potoczył się w dół schodów, strącając po drodze walizki. Turlał się prosto na seniorę Bentez. Na szczęście na czas się odsunęła. Zatrzymał się dopiero na podjeździe. Dziewczynka zaczęła histerycznie wrzeszczeć, chłopiec głośno płakać. Seniora Bentez przytuliła dzieci i zaległa cisza. Rogelio ze swoimi ludźmi podeszli do ochroniarzy. Wszyscy trzej nie żyli. Wyjął kluczyki z kieszeni kierowcy yukona i podał je Javierowi. Wbrew instrukcjom szefa kierowca nie nosił kamizelki kuloodpornej. Gdyby ją miał, byłoby o wiele trudniej go zabić. A tak któraś z kul z uzi musiała przejść przez serce albo inny ważny organ. Rogelio kazał Javierowi natychmiast odwieźć rodzinę do Villa del Carbon. Poleciał też Fernandowi i Eduardowi usiąść z rodziną, żeby jej pilnować. Sam poszedł otworzyć bramę. Przechodząc obok, pochylał się nad Jorge'em i doradził mu, żeby się nie ruszał.

– Wykazałeś się – powiedział. – Twoja rodzina cała i zdrowa niedługo wróci do domu.

Przycisnął duży czerwony guzik. Brama z hałasem zaczęła się otwierać. Odczekał, aż yukon przejedzie i zdjął rękę z guzika. Brama z hałasem się zamknęła. Zdjął ze ściany apteczkę. Znalazł w niej dwie opaski uciskowe i podał je Jorgemu.

– Załóż to – powiedział. – Żebyś się nie wykrwawił. Warto żyć.

Jorge z trudem założył opaski na uda. Krwawienie, które i tak nie było duże, ustało całkowicie.

– Jest 22:48. Wyjdę stąd po dwudziestej trzeciej – powiedział Rogelio. – Wtedy zadzwonisz do szefa i powiesz mu, co się stało. Niech zorganizuje dla ciebie pomoc.

Chwilę później podał Jorgemu swoją komórkę.

– Możesz zadzwonić do domu. Żona już powinna tam być. Radzę nic jej nie mówić o twoich kłopotach – powiedział. – Po co martwić kobietę?

Jorge zadzwonił. Rozpląkał się, gdy usłyszał w słuchawce jej głos. Dowiedział się, że wszyscy są już w domu, cali i zdrowi.

– Do zobaczenia jutro rano, kochanie – powiedział.

– Do zobaczenia rano – odpowiedziała żona. – *Te amo*.

Oddał Rogelio komórkę i głęboko się zamyślił. Doświadczył najgorszego kryzysu w życiu. Nie obawiał się przykrych konsekwencji. Nie miał pojęcia, jak ci bandyci dostali się na posesję, ale on na pewno ich nie wpuścił. Co więcej, ryzykował życie w obronie rodziny szefa. No cóż? Nie udało się. Nie jego wina. Byli to straszni ludzie. Zabili trzech najlepszych ochroniarzy pana Benteza.

W międzyczasie Rogelio podniósł z ziemi winchestera, załadował i dwa razy strzelił w kierunku fontanny, wyraźnie ją uszkadzając. Podał karabin Jorgemu.

– Za pięć minut wychodzę. Wyłączysz światła z tyłu na dziesięć minut, dobrze? – powiedział.

– Dobrze.

Rogelio podszedł do fontanny i pozbierał wszystkie rzeczy, które tam porzucili jego ludzie. Wszystko zmieściło się w jednej myśliwskiej torbie. Podniósł ją i wrócił do stróżówki.

– Jest jedenasta. Wychodzę. Światła – przypomniał.

– Już zrobione – odpowiedział Jorge.

– Powodzenia – rzucił Rogelio, idąc na tył ogrodu.

Przeszedł po drabinach nad płotem, a następnie przez las do samochodu, którego użyczyli im Templariusze. Po godzinie był już w hacjendzie. Pozostali też już byli na miejscu. Rodzina spała w gościnnym pokoju. Nastrój był radosny. Akcja udała się znakomicie. Wszyscy przyznali, że ochroniarze byli dobrzy i tylko dzięki zaskoczeniu udało im się ich pokonać bez strat. Czas na tequilę.

ROZDZIAŁ 19

Piątek, 18 listopada 2011, godzina 22:20 CST

Manito w zamyśleniu obserwował strugi deszczu w świetle latarni po drugiej stronie ulicy. Deszcz o tej porze roku był w Meksyku zjawiskiem niezwykłym. Listopad był zazwyczaj typowym miesiącem pory suchej. Dni zwykle były słoneczne, niebo bezchmurne, a tak ulewne deszcze jak ten praktycznie się nie zdarzały. „Deszczowy piątek oznacza duże korki i opóźnienia. Czyli jest dobrze – skonstatował Manito. – W dyskotecce nikt nie powinien niepokoić się nieobecnością Kirkpatricka i szefa ochrony”. Zerknął na zegarek. Było dwadzieścia dwie minuty po dziesiątej. Ponownie wyjrzał przez okno. Duży neon, zawieszony na ścianie przeciwległego budynku, wyświetlał różowy napis: La Gata Rosa, a kilka mniejszych świateł oświetlało wejście do dyskoteki. Drzwi były jeszcze zamknięte, jednak mimo deszczu i wczesnej pory zdażyła się już przed nimi zebrać grupka osób. Trzymali się blisko ściany budynku, szukając schronienia przed deszczem. Nie zdziwiło go tak wczesne przybycie gości – widział to każdego dnia. Ludzie przychodzili wcześniej, by zająć stoliki tuż przy głównym parkiecie klubu, gdzie dwa razy w ciągu nocy odbywał się występ. „Gdzie jest ten cholerny Antonio?” Manito zaczął się denerwować. Nie bez powodu wyznaczył spotkanie na godzinę ósmą – doskonale wiedział, że zgodnie z meksykańskim zwyczajem cały zespół będzie na miejscu nie wcześniej niż o dziesiątej. Spóźnienie Antonia było jednak grubą przesadą. Odwrócił się w stronę swoich ludzi, którzy stali w głębi pokoju. Oprócz Antonia siedmiu mężczyzn i dwie dziewczyny, wszyscy młodzi, żadne z nich nie przekroczyło jeszcze trzydziestki. On ze swoimi czterdziestoma czterema latami był jednym z nielicznych seniorów w kartelu. Przyjrzał się im z zainteresowaniem. Dziewczyny były ubrane w małe czarne minisukienki bez rękawów, kreację dopełniały biżuteria i wysokie szpilki. Mężczyźni natomiast byli ubrani w czarne garnitury, białe eleganckie koszule i czarne krawaty. Na nogach mieli dobrej jakości skórzane buty, tak wypolerowane, że lśniły nawet w półmroku.

Po chwili odezwała się komórka Manita.

– Już jestem na miejscu – usłyszał damski głos w słuchawce.

– Okej. Jak nastroje? – zapytał.

– Wszyscy już są, nie wyglądają na zaniepokojonych – odpowiedziała kobieta.

– Dobrze, dziękuję. Dzwon tylko wtedy, gdy wydarzy się coś niezwykłego. Do potem!

– Do potem.

Manito rozłączył się. Zauważył, że podczas jego rozmowy przybył Antonio. Ponownie spojrzął na zegarek – była dziesiąta trzydzieści dwie. „Nie ma już czasu do stracenia, pogadam z nim innym razem” – zdecydował.

– Okej, jesteśmy już wszyscy – powiedział Manito. – Zapewne już wiecie o śmierci Ricarda – dodał przyciszonym, poważnym głosem. – Uhonorujemy go po zakończeniu akcji. Ricardo miał być tutaj razem z nami. Zastępuje go Eduardo. Wszyscy znacie swoje zadania, więc nie będę się powtarzał. Enrique, Bertoldo i Paola, możecie już iść. Pamiętajcie, jeden z ochroniarzy na bramce to nasz człowiek. W czasie nieobecności szefa ochrony i Kirkpatricka on tam rządzi. To ten, który wszystkich przeszukuje. Wygląda na to, że przestało padać – dodał, zerkając przez okno. – Idźcie już. Stańcie w kolejce. Bertoldo i Enrique, zdejmijcie krawaty. Dajcie broń Paoli, przeniesie ją w swojej torebce. Bertoldo, użycz jej swojej marynarki, niech dziewczyna nie marznie – powiedział Manito, widząc, że grupa zbiera się do wyjścia.

– Powodzenia – rzucił. Czuł się jak matka wyprawiająca dzieci na kolonie.

W odpowiedzi usłyszał niesynchronizowane „okej”.

– Miguel i Eduardo, też zdejmijcie krawaty i oddajcie broń Alejandrze. Podejdźcie bliżej okna. Poczekajcie, aż tamci staną w kolejce i za nimi ustawi się kilka innych osób, to wtedy wyjdziecie.

Cała trójka stanęła w pobliżu okna, czekając na swoją kolej.

– Antonio, działasz z Juanito. On ci powie, co macie robić. Ivan i Juan, wchodźcie ze mną. Zdejmijcie krawaty, a pistolety wsuńcie za pasek spodni.

Ponownie zerknął przez okno, by sprawdzić, jak wygląda sytuacja przed wejściem do klubu. Jego ludzie stali już w kolejce. Za nimi ustawiło się kilka innych osób.

– Idziemy – powiedział po chwili, widząc, że tłum przed dyskoteką szybko się zwiększa.

Po chwili i oni stali już w kolejce, obserwując drzwi. Za pięć jedenasta drzwi się otworzyły i zobaczyli Adriana, jak z jednym ze swoich kolegów z ochrony ustawiają błyszczące metalowe słupki połączone grubą czerwoną liną w celu odgrodzenia wejścia. Oczekujący z przodu ludzie ustawili się wzdłuż liny, tworząc niezbyt szeroką kolejkę. Chwilę później w drzwiach ponownie ukazali się Adrian z kolegą, ustawiając podobną linę z drugiej strony kolejki.

Gości zaczęto wpuszczać dokładnie o jedenastej. Tak jak spodziewał się Manito, nieznanego kolega Adriana stał w drzwiach i przepuszczał ludzi małymi grupkami. Ze swojego miejsca nie widział Adriana, ale domyślał się, że stoi w głębi i przeszukuje wchodzących. Wszystko szło dosyć sprawnie, toteż kolejka szybko topniała. Tego dnia ze względu na deszcz było mniej ludzi i wpuszczali wszystkich bez wyjątku. Zauważył wchodzących Enrique, Bertolda i Paolę, przeszli bez problemu. Podobnie jak kolejna trójka z ich bandy. Wkrótce miała być ich kolej. Manito przygotował pięćsetpesetowy banknot. Przy wejściu, gdy przyszła jego kolej, dyskretnie pokazał go wpuszczającemu.

– Znalazłbyś dla mnie jakiś dobry stolik? – spytał.

Facet bezceremonialnie wziął banknot i schował do kieszeni, po czym odwrócił się do Adriana i powiedział coś, czego Manito nie dosłyszał. Musieli coś między sobą uzgodnić, ponieważ na chwilę w drzwiach ukazał się Adrian, patrząc w jego stronę, a po chwili bramkarz powiedział do Manita i jego dwóch ludzi:

– Wchodźcie.

Gdy tylko weszli, Adrian nie rewidując ich, ruszył przed nimi i zaprowadził do stolika w pierwszym rzędzie, tuż przy parkiecie. Pokazał im, które miejsce mają zająć, po czym odwrócił się i poszedł na swoje stanowisko. Manito udał się od razu do toalety, po drodze lokalizując stoliki, przy których siedzieli jego ludzie – oba dość daleko od parkietu. Wszedł do kabiny, wyjął pistolet, załadował go i schował do kabury pod pachą. W drodze powrotnej sprawdził ustawienie ochrony. O tak wczesnej porze, kiedy goście jeszcze było mało i wszyscy byli trzeźwi, ochrona nie miała wiele do roboty. Zauważył, że wszyscy trzej ochroniarze stali w pobliżu baru z rękoma założonymi nonszalancko z tyłu. Gdy wrócił do stolika, była już tam kelnerka, która przyjmowała zamówienie. Tak jak się spodziewał, podeszła do nich Rosanna. Zamówili butelkę tequili Reposado, butelkę sangrity i trzy wody mineralne. Rosanna wróciła po chwili z ich zamówieniem. Butelka tequili była w połowie pusta. Manito nie pozwalał pić ludziom w czasie akcji, a trudno byłoby siedzieć przy stoliku z pełną butelką przez cały wieczór. Kazał jej rozlać do kieliszków po trochu sangrity i dopełnić wodą mineralną. Miejsca w klubie powoli zapełniały się, nie pozostało im więc nic innego, jak tylko czekać. Manito wiedział z doświadczenia, że goście siedzący przy dalszych stolikach podchodzą do parkietu w czasie występów. O 23:30 wszystkie stoliki w pobliżu estrady były już zajęte, a goście nadal napływali. Manito spodziewał się przybycia właściciela dyskoteki w każdej chwili.

Spektakl rozpoczął się rytmami salsy. W świetle reflektorów ukazało się sześć ciemnoskórych dziewcząt ubranych w obcisłe szorty, króciutkie topy we wszystkich kolorach tęczy oraz białe buty sięgające prawie do pół uda. Cztery tancerki wiły się pośrodku parkietu, dwie inne na ustawionych po bokach stolikach. „Trzeba przyznać, że potrafią się ruszać” – pomyślał Manito, obserwując zadziwiająco szybki i dynamiczny ruch nóg, bioder i falujące biusty – w tych dziewczynach wszystko tańczyło. Publiczność skupiła się dookoła parkietu. Wszyscy ludzie z grupy Manita również znajdowali się w pobliżu. Wolna od zamówień grupa kelnerów i kelnerek stała nieco w oddaleniu, przyglądając się spektaklowi.

Trzej ochroniarze stali razem, trochę dalej od estrady, bliżej wejścia, i również przyglądali się tańcom. „Na pewno chcieliby podejść bliżej – pomyślał Manito. – Ale nie bardzo mogą, w każdej chwili spodziewają się przyścia właściciela. A oto i on” – powiedział do siebie, gdy zauważył wchodzącego do klubu wysokiego mężczyznę w sportowej koszuli i dżinsach, z dużą teczką w ręku.

O krok za nim postępował ubrany w czarny garnitur osobisty ochroniarz. Nie rozglądając się i nie zatrzymując, właściciel udał się po schodach usytuowanych w głębi sali na pierwsze piętro do swojego biura. Ochroniarz podążał za nim jak cień. Wkrótce zniknęli z oczu. Manito zwrócił z powrotem uwagę na występ. Na scenie pojawiło się pięciu muzyków. Jeden z nich, w jasnych spodniach i wzorzystej amarantowej koszuli zdobionej wzorami różnych białych kwiatów, stanął za trzema wysokimi bębnami bata i parą bongosów. Drugi zajął miejsce za szerokimi klawiszami, a trzeci usiadł przy perkusji. Zespół uzupełniał facet z trąbką i stojącym obok saksofonem oraz inny z gitarą klasyczną. Zaczęli grać, bezbłędnie synchronizując się z poprzednim kawałkiem puszczanym z płyty przez DJ-a, by po chwili, zachowując rytm, zmienić melodię. Grał już tylko zespół. Nagle na scenie pojawił się solista z marakasami, a rytm muzyki stał się jeszcze bardziej gorący. W tym samym momencie na parkiet wkroczyło sześć dziewcząt oraz dwunastu młodych mężczyzn. Była to grupa Soñadores Cubanos – Kubańscy Marzyciele. Dziewczyny były ubrane w kolorowe kuse spódniczki i jednokolorowe bluzki. Rozpoczął się bardzo gorący taniec dwunastu par, pełen zadziwiających figur i widoku białych majtek ukazujących się spod kusych spódniczek unoszących się przy szybkich obrotach. Manito zerknął na zegarek. Zgodnie z planem mieli zacząć akcję dziesięć minut po wejściu właściciela. Zostały jeszcze trzy minuty.

Gdy Manito zmierzał do toalety, Antonio i Juanito obserwowali przez okno, jak czarne audi 8 w wersji opancerzonej zatrzymuje się przed głównym wejściem do dyskoteki. Pierwszy wysiadł kierowca, obszedł samochód i stanął po jego prawej stronie, przy tylnych drzwiach. Po chwili z przodu, od strony pasażera wysiadł potężny facet w czarnym garniturze, osobisty ochroniarz właściciela. Podczas gdy kierowca uważnie obserwował ludzi stojących przed dyskoteką, ochroniarz otworzył prawe drzwi samochodu i stanął wyprostowany w odległości około metra, osłaniając wysiadającego pasażera od strony tłumu. Właściciel wysiadł z teczką w ręku. W tym czasie z drzwi wysunął się bramkarz i napierając ciałem na oczekujących gości, zmusił najbliższych do cofnięcia się. Pod czujną ochroną bramkarza i kierowcy właściciel w towarzystwie ochroniarza, który – cały czas idąc u jego prawego boku – odgradzał go od oczekujących gości, ruszyli w kierunku wejścia. Po chwili zniknęli wewnątrz klubu. Kierowca zamknął drzwi samochodu, po czym wsiadł do niego i odjechał na parking. Bramkarz tymczasem wrócił na swoje miejsce przed wejściem do klubu.

– Idziemy! – powiedział Juanito.

Opuścili swoje stanowisko obserwacyjne i ruszyli do samochodu. Po dwóch minutach wjeżdżali na parking dyskoteki, ignorując tablicę z napisem „Parking prywatny! Wyłącznie dla obsługi dyskoteki”. Zaparkowali obok audi. Kierowca

stał na zewnątrz i palił papierosa. Juanito, który siedział na miejscu pasażera, wysiadł pierwszy i obchodząc samochód, zaczął się przeciągać i rozprostowywać nogi.

– Możesz mnie poczęstować papierosem, kolego? – zapytał kierowcę.

– Tu nie wolno parkować. Przy wjeździe jest tablica, która wyraźnie to mówi. – Kierowca wskazał głową w kierunku szerokiej bramy.

W tym czasie z samochodu wysiadł Antonio. Trzymał broń w ręku w sposób niewidoczny dla obserwatora. Ponieważ audi stało tyłem do ściany budynku, a on postawił swój samochód przodem do ściany, gdy wysiadł, znalazł się blisko kierowcy, stojącego tuż przy drzwiach.

– Rzeczywiście nie można tu parkować? – zdziwił się Antonio. – Bardzo przepraszamy.

W ukryciu skierował pistolet w kierowcę. Dwa kroki później Juanito stał obok nich, z pistoletem ostentacyjnie wycelowanym w kierowcę.

– Połóż ręce na dachu samochodu – powiedział Juanito.

Kierowca zignorował rozkaz. Odwrócił się w kierunku Juanita. Antonio końcem lufy dotknął jego skroni.

– Zachowuj się spokojnie – powiedział cicho. – Nie chcemy nikogo zabijać. Przyszliśmy pogadać z twoim szefem. Nic ci się nie stanie, jeśli nie będziesz stawiał oporu.

Kierowca położył ręce na dachu audi. Juanito zabrał mu pistolet z kabury pod pachą, a następnie dokładnie go obszukał. Nie miał innej broni.

– Złóż ręce z tyłu! – nakazał kierowcy Antonio.

Ten usłuchał bez protestu. Juanito założył mu kajdanki. Antonio ponownie zwrócił się do kierowcy:

– Nic ci nie grozi, jeśli tylko zachowasz się spokojnie. Jeśli będziesz próbował kogoś zaalarmować, mój kolega będzie musiał cię zastrzelić. – Wskazał ręką na Juanita, który w tym czasie demonstracyjnie zakładał tłumik na pistolet.

– Nie będziemy cię kneblować. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za dwie, trzy godziny będziesz wolny. A teraz siadaj tutaj – powiedział Juanito i otworzył tylne drzwi ich samochodu.

Kierowca usiadł na wskazanym mu miejscu. Juanito zajął miejsce z przodu. Broń z tłumikiem położył ostentacyjnie przed sobą na desce rozdzielczej. Antonio w tym czasie wybrał numer telefonu.

– Gotowe. Możecie wjeżdżać – zakomunikował. – Obyło się bez incydentów – dorzucił, po czym się rozłączył.

Po chwili przez bramę wjechały na parking trzy pojazdy: duży van marki Chrysler, jeep cherokee i toyota camry. Wszystkie zaparkowały obok samochodu Antonia. Wysiadło z nich dziewięć osób. Antonio zerknął na zegarek. Od momentu opuszczenia przez nich stanowiska obserwacyjnego w mieszkaniu upłynęło

dziewięć minut.

Plan Manita był prosty. Po wyeliminowaniu szefa ochrony i Kirkpatricka na sali pozostało tylko trzech ochroniarzy plus dwóch stojących przy wejściu. Do tego dochodził osobisty ochroniarz właściciela. Ponieważ ani ci przy wejściu, ani ochroniarz właściciela nie wiedzieli, co się dzieje na sali, Manito zdecydował w pierwszej kolejności wyeliminować trzech ochroniarzy z sali. Dlatego rozdzielił swoich ludzi na trzy grupy – każda miała zająć się jednym ochroniarzem. Jego trójka miała wyeliminować tego stojącego przy barze. Jeszcze raz spojrzął na zegarek. Pozostała minuta. „Pora zaczynać” – pomyślał. Rozejrzył się. Wszyscy trzej ochroniarze nadal stali razem w pobliżu baru. To trochę komplikowało zadanie. Trzeba będzie improwizować. Muszą uderzyć wszyscy naraz. Manito dał znak pozostałym, że mają zaczynać. Ruszyli, wszyscy mniej więcej w tym samym czasie, idąc spokojnym krokiem, ze świadomością, że nie wolno strzelać. Nie chcąc zaalarmować przeciwników, jego trójka skierowała się prosto do baru. Paola i Alejandra podeszły do ochroniarzy. Ich czterech towarzyszy zatrzymało się trochę z tyłu.

– Czy mogliby panowie powiedzieć nam, gdzie możemy kupić coś do zajarania?

– Chodźcie ze mną – odpowiedział jeden z ochroniarzy, ruszając w stronę toalet.

W tym samym czasie Manito zadał podobne pytanie barmanowi.

– Pogadajcie z nimi – odpowiedział barman, wskazując ruchem głowy na ochroniarzy.

Pozostała dwójka ochroniarzy bezczelnie gapiła się na nogi i zadki oddalających się dziewczyn. Gdy tylko ochroniarz idący z Paolą i Alejandrą zniknęli w korytarzu prowadzącym w kierunku toalet, wszyscy czterej równocześnie wyciągnęli broń. To samo uczynił Manito i jego towarzysze.

– Oddajcie pukawki – powiedział Bertoldo do dwóch ochroniarzy. – Nic wam się nie stanie, chyba że podniesiecie alarm. Zabierzemy wam zabawki tylko na chwilę. Kilku naszych kolegów chce pogadać z waszym szefem. Rano wrócicie do domu jak zwykle.

Ochroniarze bez oporu pozwolili się rozbroić.

– Stój tam, gdzie jesteś – powiedział Manito do barmana. – Nie podnoś alarmu i nie próbuj żadnych sztuczek, jeśli chcesz żyć i nie chcesz mieć tu jatki.

– Obszukać go – rozkazał Manito swoim ludziom, widząc, że barman współpracuje.

Okazało się, że barman nie ma broni. Sprawdzili też bar, ale nic nie znaleźli.

– Jak masz na imię? – zapytał go Manito.

– Antonio – odpowiedział.

– Rób swoje jak zawsze, Antonio – polecił. – To tylko przyjacielska zmiana ról. Spodziewam się, że od dzisiaj będziesz pracował pod naszą ochroną.

Rozkazał Ivanowi i Juanowi zająć miejsce przy barze.

Paola i Alejandra rozbroiły trzeciego ochroniarza, gdy ten tylko się zatrzymał, żeby dobić targu za marihuanę. Chwilę potem dołączył do swoich towarzyszy pilnowanych przez ludzi Manita. Cała trójka została wyprowadzona tylnym wyjściem na parking. Po dwóch minutach wszyscy ochroniarze z sali, skuci kajdankami, siedzieli obok kierowcy audi w vanie. Następnie zgodnie z planem ludzie Manita wrócili tylnym wyjściem z powrotem na salę i przyłączyli się do szefa, który wyglądał na zadowolonego. Jak do tej pory akcja przebiegała bez zakłóceń. Kolejnych trzech ochroniarzy zostało wyeliminowanych i wszyscy jego ludzie byli na miejscu gotowi do dalszej akcji.

W międzyczasie występ Soñadores Cubanos dobiegł końca. Na zakończenie, w środku samby, niespodziewanie cała grupa rozbiegła się po sali, porywając do tańca widzów – tancerze bezceremonialnie wciągali na parkiet kobiety, a tancerki mężczyzn. Przez chwilę grał zespół, a następnie prowadzenie przejął DJ. Muzycy zebrali instrumenty i wyszli za kulisy. Gorąca samba zmieniła się w cumbię. Potem DJ puszczał popularne utwory dyskotekowe. W tym czasie prawie wszyscy goście byli już na parkiecie. Nadeszła pora, by zająć się bramkarzami. To okazało się łatwe. Najpierw został zdjęty Adrian. Dla niepoznaki on również został skuty kajdankami. Odbyło się to za jego przyzwoleniem, bez hałasu i bez słowa. Na jego miejscu ustawił się Bertoldo. W tym samym czasie Enrique podszedł do bramkarza stojącego przed drzwiami. Przedstawił się i powiedział, że on i trzech innych zostali wezwani do pomocy przez właściciela, bo podobno dwóch ludzi z ochrony nawaliło. Dodał, że właściciel chce rozmawiać ze wszystkimi i on tymczasem ma go zastąpić. Bramkarz nawet się nie zdziwił. Został zneutralizowany zaraz potem, jak wszedł na salę. On również dołączył do innych w vanie. Okazało się, że Manito niepotrzebnie się martwił – z osobistym ochroniarzem właściciela poszło o wiele łatwiej, niż się spodziewał. Wykorzystali fakt, że ochroniarz w ciągu wieczoru miał zwyczaj wypijać kilka drinków. Stracił przytomność już po pierwszym nafaszerowanym porcją silnych prochów. Podtrzymywany pod pachami przez Juanita i Antonia bez problemów został odprowadzony do vana. Po jego wyjściu dyskoteka znalazła się pod całkowitą kontrolą Templariuszy. Tylnym wejściem wszedł negocjator w towarzystwie czterech kolegów. Manito złożył mu krótki raport. Powiedział, że dyskoteka jest całkowicie w ich rękach, że rodzina właściciela jest przetrzymywana przez współpracujący z nimi gang w bezpiecznym, odległym o godzinę jazdy miejscu i mogą ją dostarczyć w ciągu

półtorej godziny. To negocjatorowi wystarczyło. W towarzystwie czterech innych osób wszedł do gabinetu właściciela. Jak zwykle był bez broni.

– Jak się tutaj dostaliście? – spytał właściciel.

– Jeśli pyta pan, co jest z tym gorylem za drzwiami, to muszę powiedzieć, że podobnie jak inni pańscy ludzie, ma się dobrze, chociaż jest skuty kajdankami i przetrzymywany w samochodzie stojącym w pobliżu. Przyszliśmy do pana z ofertą. Proponujemy, że w zamian za dyskotekę odbijemy z rąk porywaczy pańską rodzinę.

– Moja rodzina jest teraz w Cuernavaca – odpowiedział właściciel, chociaż widać było, że się zaniepokoił.

Włączył komórkę. Prawie natychmiast zadzwoniła.

– Senior Bentez? O jak dobrze. Od kilkunastu minut próbuję się dodzwonić – usłyszał głos Jorgego. – Stało się nieszczęście, senior. Zostaliśmy zaatakowani. Ochroniarze nie żyją, ja jestem ranny. Uratowała mnie kamizelka. Seniora i dzieci zostali zabrani i wywiezieni. Nie wiem przez kogo i dokąd. Gdy bandyci odjeżdżali, byłem nieprzytomny.

– Rozumiem – powiedział Bentez. – Wytrzymasz jeszcze trochę? Zaraz wyślę tam kogoś.

– Tak. Myślę, że tak. Dziękuję – odpowiedział Jorge.

Bentez rozłączył się. Tym razem poważnie się zaniepokoił.

– Wykonam jeszcze tylko jeden telefon – zwrócił się do negocjatora. – Zaraz będę do pańskiej dyspozycji.

– Proszę się nie spieszyć – odpowiedział negocjator. – Nigdzie się nie spieszymy. Mamy czas. Tutaj jest numer telefonu, pod którym może pan skontaktować się z żoną.

Negocjator położył na biurku karteczkę z numerem telefonu. Bentez bezwiednie ją podniósł. Wybrał jednak numer do centrum swojej ochrony. Gdy usłyszał głos operatora, poinformował go o sytuacji w Cuernavaca. W odpowiedzi usłyszał, że zaraz tam kogoś wyślą. Zaczął wybierać numer z karteczki. Po każdej wprowadzonej cyfrze komórka pokazywała, że wybiera numer Gabrieli. W końcu porównał numer na karteczce z numerem Gabrieli.

– To przecież numer mojej żony! – wykrzyknął.

– Czyż nie z żoną chce pan rozmawiać? – zdziwił się negocjator.

– No tak.

– To wszystko w porządku.

Bentez dokończył wybieranie numeru.

– To ja – powiedział, gdy usłyszał głos żony. – Powiedz mi, gdzie jesteście.

– Nie wiem.

– Czy są z tobą jacyś ludzie?

– Tak.

- Czy są uzbrojeni?
- Tak.
- Dzieci są całe?
- Tak. Są tylko wystraszone.
- A ty?
- Ja też jestem cała, chociaż się boję.
- Zrobię wszystko, żebyście jak najszybciej wrócili do domu.
- Dobrze, kochanie. Dziękuję, kochanie.
- Trzymaj się dzielnie. Zdzwonimy się znowu, jeśli nam pozwolą.
- Pa, kochanie. Pamiętaj o nas.

Bentez się rozłączył. Był bardzo blady. Pierwszy raz w życiu spotkało go coś takiego.

- Coś pan mówił? – zwrócił się do negocjatora.
- Mówiłem, że domyślamy się, kto ich przetrzymuje i możemy ich uwolnić, ale będzie to pana kosztowało dyskotekę.
- My to kto? I jak pan to widzi?
- My to grupa biznesmenów. Podpiszemy akt kupna-sprzedaży z klauzulą wykonalności po spełnieniu warunków finansowych do soboty w południe. Pan dostaje rodzinę bez uszczerbku, a my dyskotekę. Nowy właściciel będzie osobą prywatną. Uprości to robotę papierkową. Będzie to zwykła transakcja kupna-sprzedaży. Dzisiaj oczekujemy od pana, że powiadomi pan swoich gliniarzy o sprzedaży. Oni tu będą gdzieś za godzinę, nieprawdaż?
- Mogę też kazać was aresztować i odszukać rodzinę na własną rękę.
- Może pan. Pański wybór – odpowiedział spokojnie negocjator. – Tak się składa, że dwaj towarzyszący mi panowie są adwokatami. Przyprowadziłem ich na wypadek, gdyby pan mi groził. Pozwoli pan, że powtórzę, żeby nie było nieporozumień. To nie ja przetrzymuję pańską rodzinę, ale moi ludzie domyślają się, kto to może być. Jak mówiłem, myślę, że jeszcze dziś możemy ich odbić. Ale trzeba to zrobić szybko, zanim pańskiej rodzinie stanie się krzywda. Musi pan więc zdecydować szybko. Zaczniemy działać, jeśli powie pan „tak”. W przeciwnym wypadku za dwie minuty wychodzimy. Jeśli jednak zdecyduje się pan na działanie, to akt kupna-sprzedaży musi być sporządzony, zanim przyjdą policjanci.
- Dobrze. Zróbmy to – zgodził się Bentez.

Niecałą godzinę później akt był gotowy. Około 24:53 do dyskoteki weszło trzech policjantów. Byli to najwyżsi dowódcy lokalnej jednostki policji. Nie zdziwili się specjalnie, widząc nowe twarze ochrony przy wejściu. Co rusz byli tam inni ludzie. Zdziwiła ich natomiast i zaalarmowała nieobecność osobistego ochroniarza Benteza, ten zawsze był na posterunku. Uspokoili się jednak natychmiast, gdy weszli do gabinetu i zobaczyli ich „płacodawcę” w dobrym zdrowiu i humorze, w towarzystwie pięciu innych mężczyzn. Bentez poinformował

ich, że właśnie sprzedaje dyskotekę i „ci panowie będą ich nowymi zleceniodawcami”. Było im wszystko jedno, kto płaci, byle płacił.

Manito w towarzystwie Enrique’a i Bertolda od pół godziny byli już w drodze do hacjendy w Villa del Carbon. Wyjechali wkrótce po tym, jak Bentez zgodził się na sprzedaż. Pozostało im niecałe pół godziny drogi.

El Grupo de Rogelio właśnie kończyli piątą butelkę tequili, gdy Manito ukazał się w drzwiach.

– Pakować się. Już pora, by przenieść się w inne miejsce. Widzę, że na parkingu nie ma waszego samochodu. Pojedziecie yukonem. Umiesz prowadzić? – spytał Manito członka grupy, który wyglądał na najmniej pijanego.

– Umim.

– To dobrze. Poprowadzisz yukona.

– Rogelio, obudź rodzinę. Ty i Enrique pojedziecie z nimi w vanie. Ja poprowadzę – dodał Manito, widząc, że Rogelio z trudem utrzymuje się na nogach.

– Załóżcie im worki na głowy, niech nie widzą zbyt dużo – dodał.

– Bertoldo, pojedziesz przodem naszym samochodem. Pozbieraj naszą broń, nie będziemy już jej potrzebowali, i włóż do bagażnika swojego samochodu. Za wami pojedzie van, a kolumnę zamknie yukon. Uważajcie na tyły. Jeśli ktokolwiek chciałby nam przeszkodzić, zaatakowałby z tyłu.

Członkowie grupy Rogelio poczuli się ważni. Kilkanaście minut później kolumna pojazdów była gotowa. Tak jak rozkazał Manito, na czele znajdował się chrysler, a na końcu truck. Dzieci z workami na głowach siedziały w ostatnim rzędzie minivana, kobietę, też z workiem na głowie, posadzili w środkowym rzędzie. Jej ręce przypięli kajdankami do zagłówka fotela kierowcy. Na prawo od niej usiadł Enrique. Prowadził Manito. Rogelio usiadł obok kierowcy. Przejechali przez uśpione miasteczko. Później droga wiodła brzegiem zbocza przez las. Nagle Bertoldo zjechał na pobocze i się zatrzymał. Manito również stanął. Wszyscy trzej wysiedli z vana. Yukona z nimi nie było, nie było go też widać na drodze. Dopiero od Bertolda dowiedzieli się, że widział we wstecznym lusterku, jak nagle truck stoczył się ze zbocza w przepaść, a później zamienił się w kulę ognia. Zdarzyło się to niedaleko miejsca, gdzie się zatrzymali. W rzeczywistości było odwrotnie. Yukon najpierw zmienił się w kulę ognia, a dopiero potem wypadł z drogi. Ale oprócz Bertolda wiedział o tym tylko Manito. Też obserwował trucka we wstecznym lusterku. Jednak nic nie powiedział.

– Patrzcie, o tam! Ciągłe widać w dole ogień! – krzyknął Bertoldo.

Rzeczywiście w dole coś się paliło. Rogelio i Enrique ruszyli, by obejrzeć z bliska. Rogelio szedł chwiejnym krokiem. Po kilku minutach wrócił tylko Enrique.

– Rogelio spadł w przepaść w tym samym miejscu, gdzie stoczył się yukon – powiedział.

Dwa auta kontynuowały drogę przez następne dwadzieścia minut. Później zatrzymały się na parkingu stacji benzynowej przy restauracji McDonald. Tutaj Manito zdjął kajdanki z rąk seniora Bentez i przesiadł się do chryslera. Dopiero wtedy Enrique zdjął worki z głów ofiar.

– Jest pani wolna. Proszę wejść z dziećmi do restauracji i czekać na męża – powiedział do kobiety. – Powinien tu być nie później niż za trzydzieści minut.

– Bardzo panu dziękuję – odpowiedziała seniora Bentez.

– Nie ma za co. Życzę powodzenia i następnym razem radzę unikać spotkania z typami jak ci z El Grupo de Rogelio.

Dyskoteka La Gata Rosa przeszła w ręce Templariuszy, chociaż w akcie kupna-sprzedaży nazwisko nabywcy brzmiało Tomas Rubio Bonaventura Medina. Zgodnie z aktem, z wyjątkiem ochrony, wszyscy inni pracownicy dyskoteki pozostali na swoich stanowiskach. Nowa administracja zgodziła się warunkowo również zatrudnić dwóch ochroniarzy, zastrzegając sobie jednak prawo wyboru. Wszyscy ludzie z ochrony dyskoteki zostali uwolnieni w sobotę rano. Spośród nich wybrano Adriana Medinę i Paula Corteza do dalszej pracy w dyskotece. Trzech innych Bentez zatrudnił w Cuernavaca. Ochroniarz osobisty pozostał na swoim stanowisku. Bentez posłał też ludzi na poszukiwanie typów z El Grupo de Rogelio. Nigdy ich nie znaleziono. John Kirkpatrick oraz Mateo Vargaz z jakichś powodów ukrywali się. Nigdy więcej się nie pojawili. Bentez podejrzewał, że mieli coś wspólnego z porwaniem jego rodziny i utratą przez niego dyskoteki. Nie był zaskoczony. Każdego można kupić.

ROZDZIAŁ 20

Piątek, 16 grudnia 2011, godzina 16:32 CEST

Tym razem na przyjazd Romana Krystyna nie musiała wyruszać nigdzie w drogę. Umówili się, że zaraz po pracy przyjedzie do jego mieszkania. Zdecydowali się na takie rozwiązanie, bo nie musiała tracić dnia urlopu na przyjazd do Warszawy. Dzięki temu już o 16:23 była w jego ramionach. Wieczorem poszli do Radwanu coś zjeść i poczynić plany na czas jego pobytu. Przy kolacji Roman wręczył jej duży flakonik wody kolońskiej Flower Summer For Women by Kenzo. Przyjęła prezent z uśmiechem. Zapach jej się spodobał.

– Co robimy w sylwestra? – zapytał Roman.

– Nie mam pomysłu – odpowiedziała Krystyna.

– Dobrze by było gdzieś pójść, może w większym gronie? Do sylwestra jeszcze dwa tygodnie. Popytaj znajomych, może ktoś jeszcze nic nie zaplanował. Rozmawiałem ze swoją siostrzenicą i zaprosiłem ją wraz z mężem, żeby wybrali się z nami do Radwana, z zastrzeżeniem, że najpierw porozmawiam z tobą. Pozwól, że zarezerwuję cztery miejsca. Zawsze możemy zrezygnować, jeśli trafi się nam coś innego.

Jej życie ponownie nabrało tempa. Krystyna miała wrażenie, że dni są bardzo krótkie. Może ze względu na świąteczne przygotowania? Mimo że byli na święta zaproszeni do jej rodziny, Roman uparł się, że przygotuje śledzie w oleju oraz marynowanego łososia.

– Będę potrzebował dwa kilogramowe kawałki łososia ze skórą, sól morską, brązowy cukier, trochę kolorowego pieprzu w ziarnkach i pęczek koperku. Także setkę wódki, ale tę już mam – powiedział Roman – Mówię o tym, bo zrobimy danie u ciebie. Nie będzie to problemem?

– Oczywiście, że nie. Chętnie ci pomogę – odpowiedziała Krystyna.

– Ja, niestety, nie mam miejsca w lodówce na marynowanie takiej ilości ryby. Nie będziesz musiała nic robić. Trzeba tylko codziennie rybę raz obrócić, żeby dobrze nasiąkła sosem. Kładę ją w tym celu do szklanej brytfanny. Poza tym dobrze jest przycisnąć ją czymś ciężkim. Rybę musimy zrobić minimum cztery dni przed wigilią, żeby się dobrze zamarynowała.

Przygotowali rybę we wtorek. Nie było to trudne. Ale rzeczywiście ryba zajęła sporo miejsca w lodówce. Roman był zadowolony. Powiedział jej, że gotowanie to jego hobby.

– Wiesz co? Taki facet jak ty, to skarb – powiedziała Krystyna.

– Tak myślisz? Niekoniecznie – odpowiedział. – Nie umiem ugotować pomidorowej ani żurku, ani zrobić gołąbków czy wielu innych tego typu prostych dań z polskiej kuchni.

Sporo czasu zajęło im szukanie prezentów. Krystyna któregoś dnia usłyszała,

jak Roman mówił do Doroty, że zamierza kupić sobie dyktafon. Ucieszyła się – miała pomysł na prezent z głowy. Pojechała do Media Markt i kupiła najlepszy, jaki tam znalazła. Roman też miał dylemat z zakupem prezentów. W końcu kupił trzy wody kolońskie, z których jedna była na prezent dla Doroty, a dwie pozostałe przypadły Krystynie jako zaległe prezenty: imieninowy i urodzinowy.

– Przecież przysłałeś mi kwiaty do biura – próbowała protestować Krystyna.

– To się nie liczy – odpowiedział. – Ładna kobieta powinna dostawać kwiaty bez okazji.

Roman kupił również srebrne kolczyki jako prezent gwiazdkowy dla Krystyny. Poprosił ją, aby od razu je przymierzyła. W stoisku rybnym kupił wędzonego węgorza.

– Trzeba go jeść, dopóki jest – powiedział. – Na świecie cena węgorza szybko wzrasta. To przez Japończyków. Dla nich wędzony węgorz to rarytas. Podobno Japończycy wykupili już wszystkie zapasy węgorza w Azji. Jestem przekonany, że wkrótce dobiørą się też do polskiego. Wtedy zrobi się drogo.

Święta upłynęły w rodzinnej atmosferze. Potraw było trochę więcej niż zwykle, dzięki Romanowi. Łosoś wyszedł świetnie i wszystkim bardzo smakował. Śledzie też się udały. Na bal sylwestrowy Krystyna założyła nową sukienkę, którą kupiła razem z Romanem. Nabyli dwie sukienki, bo Krystyna nie mogła się zdecydować, którą wybrać.

– Potem się zastanowisz, którą z nich włożysz na bal – powiedział.

Jedną z nich założyła do pracy. W biurze sukienka zrobiła furorę. Druga jednak była zbyt elegancka, aby ją nosić do pracy. Była granatowa, sięgała do kolan i miała duży dekolt. Założyła do niej cieliste koronkowe pończochy i czarne niewysokie szpilki, do tego złoty wisiołek z Tunezji i srebrne kolczyki. Wyglądała prześlicznie. Roman obsypał ją komplementami, ale i bez tego wiedziała, że świetnie się prezentuje. Na balu bawili się doskonale. Tradycyjnie już poszli na późny noworoczny obiad do hotelu Solaris w Toruniu. Zaprosili też Dorotę i jej chłopaka. Później wszyscy udali się do domu Krystyny, by uczcić Nowy Rok butelką szampana.

ROZDZIAŁ 21

Wtorek, 10 stycznia 2012, godzina 2:20 CEST

Na początku drugiego tygodnia stycznia Roman poinformował Krystynę, że musi znowu wyskoczyć na jeden dzień do Linköping.

– Może byś wzięła jeden dzień urlopu i pojechała ze mną? – zapytał. – Pojechalibyśmy twoim autem i przepłynęli do Szwecji promem. Płynęłaś już kiedyś promem?

– Nie – odpowiedziała.

– To co? Płyniemy czy lecę sam?

– Powiedziałaś koniec tygodnia?

– Tak. Urlop musisz wziąć na piątek.

– Okej, wezmę urlop. Możemy pojechać.

– To świetnie. Będziemy płynęli całą noc, weźmiemy więc kabinę. Rano pojedziemy dalej samochodem. Z powrotem wrócimy do Karlskrony w sobotę wieczorem, skąd następnego dnia rano wypłyniemy do Gdyni. W domu powinniśmy być w niedzielę około dwudziestej drugiej.

– Kochanie, jeśli jedziemy moim samochodem, obiecaj, że to ja będę prowadziła. Nigdy jeszcze nie jeździłam za granicą – dodała po chwili.

– Bardzo chętnie pojedę jako pasażer – odpowiedział Roman.

Krystynie bardzo podobał się rejs. Prom był olbrzymi. Rozgościli się w kabinie. Wszystko w niej było małe i wąskie – i łóżka, i łazienka. Tylko fotel był normalnych rozmiarów. Ale tylko jeden, na drugi nie było miejsca. Na promie było pełno sklepów, barów i restauracji, chociaż wszystko zostało otwarte dopiero, gdy ruszyli. Krystyna jednak nie była w nastroju na zakupy. Stała na pokładzie i mimo wiatru i deszczu oglądała wyjście z portu. Starła się robić zdjęcia. Na pokładzie Krystyna solidnie przemarzła. Mimo że starała się chować za ścianami nadbudówek, przenikliwy wiatr wszędzie ją dopadał. Z wdzięcznością przyjęła zaproszenie na kolację. Przy wejściu do restauracji stała duża tablica z reklamą w języku angielskim. Krystyna bezbłędnie przetłumaczyła tekst.

– Kochanie – powiedział Roman. – Dobrze ci idzie z angielskim! Wspaniale! Dzisiaj więc ty zamawiasz.

– Nabijasz się ze mnie – zawstydzila się.

– Wcale nie. Przetłumaczyłaś bezbłędnie. Teraz jeszcze tylko musisz odważyć się mówić.

Weszli do środka. Miejsce było ogromne – widzieli dziesiątki stolików, ale ani jednego gościa. Usiedli w rogu, przy dużym oknie. Na zewnątrz była czarna noc i poza rozbłyskującymi białą pianą fal w światłach padających z niższych pokładów nic innego nie było widać. Ale i tak Krystyna była zadowolona. Podszedł kelner.

– Jestem Ingve – powiedział po angielsku. – Mam przyjemność państwa obsługiwać.

Wszystko zrozumiała. To jeszcze bardziej poprawiło jej humor. Przejrzała menu. Za namową Romana zdecydowała się na trzydaniowy obiad – na bruschettę, new england clam chowder i filet mignon. Roman natomiast wybrał bruschettę, krewetki w cieście kokosowym i comberki jagnięce. Do tego zamówili czerwone wino Chianti Ruffino Santedame Classico Riserva i dwie butelki wody mineralnej Perrier. Zrezygnowali z deseru.

Krystynie podobała się jazda autem w Szwecji. Drogi były dobre, ruch bardzo mały, a kierowcy zdyscyplinowani. Nikt nie zajeżdżał drogi i nikt się nie ścigał. Jadąc przepisowo i zgodnie ze wskazówkami uzyskanymi od przyjaciela Romana, bez specjalnego pośpiechu dojechali do celu. Roman przez całe popołudnie był na służbowym spotkaniu – była prawie dwudziesta, gdy udali się do hotelu. Po rozpakowaniu się wyszli pospacerować po zaśnieżonym mieście. Jeśli nie liczyć czasu spędzonego w samochodzie, były to pierwsze chwile, kiedy Krystyna miała Romana dla siebie. Linköping wydawało się inne niż latem; z trudem poznawali znajome miejsca. Weszli do irlandzkiego pubu na piwo. Śniadanie było w formie szwedzkiego bufetu. Było przepyszne. Był tam smalec ze skwarkami, kielbaski, parówki, jajka na twardo, przeróżne sery, chrzan, ryby w galarecie, śledzie na kilka sposobów i różne pasty rybne. Było też bardzo dużo owoców. Dom przyjaciół Romana znajdował się po drodze do Karlskrony. Dojechali zgodnie z planem. Na miejscu okazało się, że Karlskrona jest rodzinnym miastem pani domu. Dostali więc całą masę wskazówek na temat interesujących miejsc do zwiedzenia. Przyjaciele zarezerwowali dla nich stolik w restauracji oraz pokój w hotelu Conrad. Po lunchu Roman i Krystyna ruszyli w drogę. Przed osiemnastą byli już na miejscu.

Karlskrona okazała się bardzo ładnym miastem, położonym na archipelagu wysp. Żałowali, że jest zima. Od Bałtyku dął przenikliwie zimny wiatr i zwiedzanie nie sprawiało przyjemności. Po kilkunastu minutach zapał na zwiedzanie im minął i wrócili do hotelu. Wyszli ponownie na kolację do restauracji, gdzie mieli zarezerwowany stolik. Gdy się zjawili, było tam mnóstwo gości. Na szczęście ich stolik już na nich czekał.

Rano udali się promem do Gdyni. Tym razem płynęli w ciągu dnia. Zaraz na wejściu spotkała ich niemiła niespodzianka. Przez głośniki ostrzegano pasażerów przed szalejącym na Bałtyku sztormem. Komunikat zaniepokoił Krystynę – bała się, że będzie kołysała statkiem. Na szczęście Roman ją pocieszył, że nowoczesne promy mają stabilizatory zapobiegające zbyt dużym przechyłom. Nieprzyjemna może być tylko fala od dziobu. I rzeczywiście tak było. Krystyna z trudem powstrzymywała mdłości. Na szczęście udało się jej nie rozchorować. Później fale się uspokoiły i mdłości ustąpiły. Toteż zdołała zjeść lunch. Tym razem zjedli

w barze polskie kielbaski z rusztu z musztardą i chrzanem. O dziwo, nawet ceny były polskie. Krystyna piła herbatę, Roman skorzystał, że nie musi prowadzić samochodu, i napił się Żywca. Na dwie godziny przed końcem rejsu podano komunikat, że zostanie otwarty sklep wolnocłowy. Poszli więc i Roman kupił dwie wody kolońskie – dla siebie Channel Alure, a dla niej Chanel No 5. Woda pachniała prześlicznie. Romana to nie zaskoczyło. Nie była pierwszą kobietą, która zakochała się w tych perfumach.

Cały pozostały czas do wyjazdu Romana starali się spędzić razem, jednak nie wyjeżdżali poza Toruń. Nie sprzyjała temu zima. W środy chodzili do kina, a w weekendy do restauracji na obiad. Krystyna praktycznie wprowadziła się do niego. Na co dzień jedli w Radwanie, w Aleksandrowie. Z uwagi na duży poranny ruch samochodowy na moście w Toruniu i ciągle ryzyko spóźnienia dojeżdżała do pracy pociągiem. W te dni Roman był bardzo opiekuńczy. Wstawał razem z nią. Przygotowywał dla niej kawę oraz pierwsze i drugie śniadanie. Czasami też odprowadzał ją na pociąg. Nigdy się nie spóźniła, ale zdarzyło się kilka razy, że musiała kawalek podbiec. Roman zawsze wtedy z niej żartował. Gdy pierwszy raz jej się to zdarzyło, opowiedział jej dowcip. Para szykuje się do podróży. Mąż nieustająco pogania żonę, żeby się pospieszyła, bo spóźnią się na pociąg. Wreszcie udało się, wpadają zdyszani na dworzec. Daleko na horyzoncie widać oddalający się pociąg. „Widzisz – mówi mąż – gdybyś się tak nie guzdrała, to byśmy teraz jechali w tamtym pociągu”. A na to siedząca na walizce żona mówi ze spokojem: „Widzisz, gdybyś mnie tak nie poganiał, to teraz nie musielibyśmy czekać dwie godziny na dworcu, na następny”. Drań! Opowiedział jej dowcip, a potem robił sobie podśmiejki. Za każdym razem, gdy biegli, mówił: „Nie pędź tak, proszę, bo będziemy czekać dwie godziny na następny”. Superdrań! Zauważyła, że towarzyszył jej tylko w te dni, w które musiała bieć. Miał ubaw. Pewnie był ciekaw, czy zdąży. Teraz Krystynie było żal, że te dni się skończyły. Dwa tygodnie później Roman wrócił do Meksyku, ona do Torunia, a jej życie do normy.

ROZDZIAŁ 22

Niedziela, 3 czerwca 2012, godzina 8:20 CEST

Krystyna bardzo tęskniła. Tym razem nie widzieli się aż cztery miesiące. Na szczęście wkrótce miała go zobaczyć. Miała już bilet, za kilka dni miała polecieć do Meksyku. Tym razem na długo, bo aż na pół roku. Za radą Romana złożyła podanie o urlop bezpłatny i go dostała. Na czas urlopu Roman zadeklarował się płacić jej co miesiąc równowartość jej pensji.

Podróż i tym razem Krystynę ekscytowała.

– Żebyś była szczęśliwa ze mną, przede wszystkim musisz się czuć dobrze na obczyźnie – powiedział jej kiedyś, jeszcze na początku znajomości. – Widziałem wiele par, które rozpadły się ze względu na trudności, jakie wiążą się z imigracją. Żeby czuć się dobrze w nowym miejscu, muszą być spełnione dwa warunki. Po pierwsze, musisz sobie znaleźć jakieś zajęcie lub hobby. W przeciwnym wypadku będzie ci dokuczała nostalgia. Oczywiście, bardzo ważna jest też znajomość języka używanego w kraju pobytu.

Dlatego Krystyna zaplanowała sobie różne zajęcia na pobyt w Meksyku. Roman czekał na nią z Tomaszem w hali przylotów.

– Jak ci się leciało, kochanie? – zapytał Roman, gdy tylko usadowili się w samochodzie.

Auto prowadził Tomasz, Roman usiadł na tylnym fotelu obok niej.

– Fajnie było. Obok mnie siedziało dwóch Meksykanów. Miałam okazję poćwiczyć angielski. Z jednym nawet umówiłam się na korespondencję. Dał mi swojego maila.

Roman nic na to nie powiedział. „Ona rzeczywiście szuka chłopca” – pomyślał. Nie widział nic złego w tym, że rozmawiała ze współpasażerami w samolocie. To, co mu się nie podobało, to fakt, że wymieniła z obcym mężczyzną adres mailowy. Zastanawiało go, dlaczego mu o tym mówi.

– A jak z bagażami? – zapytał.

– Bez najmniejszych problemów. Muszę ci się pochwalić, że już nic mnie nie stresuje i myślę, że lubię latać samolotami.

W domu czekała na nich *muchacha* z przepyszną kolacją. Dziewczyna była nowa.

– A co się stało z Jessiką? – zapytała Krystyna.

– Zaszła w ciążę i zrezygnowała z pracy – odpowiedział. – To już trzecia dziewczyna od czasu Jessiki. Ma na imię Maira i tylko siedemnaście lat. Zarekomendowała ją jej mama, która jest sprzątaczką w tym budynku.

Dla Krystyny zaczęło się niekończące się lato pełne ciekawych wydarzeń. Dwa dni po jej przyjeździe przyleciał ze Szwecji przyjaciel Romana. Roman, Tomasz i przyjaciel mieli następnego dnia w południe spotkanie z bardzo ważnym klientem. Pojechała z nimi. Rozstali się na parterze, przy głównym wejściu do budynku. Roman zostawił jej swoją komórkę i powiedział, że zadzwoni po spotkaniu.

– Nie gniewaj się, proszę, ale nie mam pojęcia, ile czasu nam zajmie to spotkanie. Zostawiam ci na wszelki wypadek komórkę, żebyśmy się nie pogubili. Zadzwonię, jak skończymy wcześniej. Ale nie sądzę, abyśmy byli wolni przed czternastą. Proponuję więc, żebyś poczekała na nas w kawiarence Second Cup na drugim piętrze.

– Życzę wam powodzenia! – odpowiedziała.

Krystyna wyszła na zewnątrz. Słońce przypiekało. Rozejrzała się. Przy wejściu zobaczyła basen z małą fontanną. Na środku małej wysepki stała rzeźba *Triumphant Elephant* Salvadora Dalego. Weszła do środka budynku. Zobaczyła kolejne dwie rzeźby Dalego: *Dalinian Dancer* i *Dance of Time*. Na parterze znajdowało się wiele eleganckich sklepów znanych marek. Piętro wyżej było duże kino, wiele kawiarenek, restauracji oraz stoisk z żywnością. Wjechała ruchomymi schodami na drugie piętro, żeby poszukać kawiarni Second Cup. Znajdowała się ona tuż przy schodach. Sprawdziła czas. Do drugiej pozostało jeszcze przeszło dwie godziny. Zjechała więc z powrotem na parter do sklepów. Jeszcze raz obejrzała rzeźby i wyszła przed budynek. W pobliżu znajdowało się Muzeum Soumaya pełne wspaniałych dzieł sztuki. Roman sugerował jej zwiedzenie go. Powiedział, że łatwo je rozpozna, bo znajduje się w nowoczesnym budynku bez okien. Gmach miał zadziwiający kształt. Według Romana przypominał duży kielich, a według niej ogromny poler do zakładania cumy, który widziała na promie. Cała zewnętrzna ściana wyłożona była tysiącami błyszczących sześciokątnych płytek aluminiowych. Były identycznych rozmiarów, a całość sprawiała wrażenie modelu olbrzymiej sieci komórek. Widziała kiedyś taki model w komputerze Romana. Od Romana wiedziała, że płytek jest czterdzieści sześć tysięcy i rzeczywiście symbolizują komórki.

– Do właściciela muzeum należy też jedna z największych sieci telekomunikacyjnych na świecie – America Movil – powiedział. – Byłoby więc naturalne interpretować kształt płytek jako komórki, zwłaszcza że w telekomunikacji sześciokąt jest symbolem komórki.

Krystyna zdecydowała się nie zwiedzać muzeum. Obiecała sobie jednak, że wróci tu innym razem. Wstęp był bezpłatny. Roman nie dzwonił. O czternastej poszła więc do Second Cup. Pół godziny później znalazła ich w kawiarni. Byli bardzo zadowoleni. Spotkanie było udane, kontrakt prawie mieli w kieszeni. Zaraz

potem przyjaciel udał się do swojego hotelu, a oni wrócili do domu. Po drodze opowiedzieli jej o przebiegu spotkania.

Gdy dotarli do domu, Roman i Tomasz wyglądali na zmęczonych, ale byli zbyt podnieceni, aby usiedzieć na miejscu. Wyszli na zewnątrz, aby zapalić papierosa.

– Powinniśmy jakoś to uczcić – powiedział Roman. – Obojętne, co będzie jutro. Dzisiaj odnieśliśmy zwycięstwo.

Poszli na kolację do chińskiej restauracji w pobliskim centrum handlowym, a po powrocie usiedli przy barze w domu. Roman z Tomaszem ciągle byli w euforii. Wrażenia ze spotkania były jedynym tematem.

– Teraz trzeba uzgodnić formalną umowę z klientem, a później przepchnąć ją przez ich dział sprzedaży – powiedział Roman. – To trudny klient. Mogą być jeszcze jakieś problemy. Mam nadzieję, że nie dopadnie nas żadne z praw Murphy’ego.

– A co to są te prawa Murphy’ego? – spytała Krystyna.

– To takie reguły, które opisują losowe przypadki rządzące technologią i biznesem. Murphy sformułował je w żartobliwy sposób. Niestety, dotyczą poważnych spraw i najgorsze, że cholerstwa przeważnie się sprawdzają. Zwłaszcza jedno, które mówi, że jeśli coś może się spieprzyć, to na pewno się spieprzy.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że ten kontrakt to jeszcze nic pewnego?

– Tak. Przed nami jeszcze daleka i skomplikowana droga.

Uzgodnienie kontraktu z działem technicznym klienta zajęło prawie trzy miesiące. Ostatecznie ustalono cenę usług na dwa miliony dolarów rocznie. Był to okres, kiedy Roman był bardzo zajęty. Nie jeździli więc na wycieczki. Kręcili się głównie po okolicy, chociaż miasto Bosques de las Lomas, gdzie mieszkał Roman, było urocze i trudno było się nudzić; zwłaszcza urzekła w nim mieszanina nowego i starego. Poza tym niewiele się działo. W ciągu następnych kilku tygodni tylko raz byli na uroczystej kolacji w restauracji, kilka razy na drinku, a raz udali się do przyjaciół Romana na przyjęcie z okazji urodzin ich córki. Tak jak przyrzekł, Roman zabrał ją też na Plac Garibaldiego, żeby obejrzała i posłuchała zespołu Mariachi, a czternastego sierpnia pojechali do Huamantli na noc, podczas której nikt nie śpi. Kilka razy w sobotę rano pojechali na rynek do Huixquilucan kupić grzyby. Całą trójką w czwartki chodzili do kina VIP; czasami zabierali ze sobą *muchachę*.

Krystyna i tak nie miała czasu na nudę. Piękny zielony ogród, słońce, basen i fitness na miejscu – czego więcej było trzeba? Wstawiała z Romanem około

ósmej. Jedli razem śniadanie. Cztery razy w tygodniu szli na basen lub siłownię. Potem Roman zostawał w domu, a ona siadała z komputerem w ogródku. Mężczyźni chowali się w mieszkaniu przed słońcem, ogród więc miała dla siebie. Każdego dnia obkładała się słownikami i rozmówkami i zabierała ze sobą aparat, żeby był pod ręką; prawie każdego dnia było coś interesującego do sfotografowania. Następnie otwierała komputer i albo uczyła się angielskiego, albo pisała pamiętnik. Dużo też korespondowała. Dopiero gdzieś koło południa dołączał do niej Roman i razem pili kawę, jedli ciasto lub owoce podawane przez *muchachę*. Miło jej było być obsługiwaną i czuć się gościem.

– Jak ci idzie korespondencja z tym Meksykaninem z samolotu? – zapytał któregoś ranka Roman.

– Dobrze – odpowiedziała. – Piszę też do Fotografą. Chciałabym, żeby ocenił moje zdjęcia. Piszę też do siostry i do mojej koleżanki z biura.

Fotograf to były facet Krystyny.

Roman wrócił do swoich zajęć. Na komputerze otworzył plik o nazwie „Plan_podróży_na_pobyt_Krystyny”, w którym miał zapisane zaplanowane wycieczki. Był zły na Krystynę. „Dam jej listę tych miejsc, niech Meksykanin albo Fotograf ją tam zabierze” – pomyślał. Ostatecznie zdecydował się nic jej nie mówić. Krystyna ma prawo wybrać i być, z kim zechce. Nie może jej mieć za złe, że woli innego. Lista zawierała dwadzieścia dwie propozycje. Usunął szesnaście. Wszystkie te miejsca już widział, zwiedzał lub spędzał tam wakacje. Żadne nie było dla niego nowością. Ale wszystkie te miejsca były interesujące turystycznie. Chciał je Krystynie pokazać, podzielić się z nią tym, co widział i lubił. Na pewno bardzo by się jej spodobały. Ale co tam...

Krystyna nie lubiła siłowni. Na wysokości dwóch tysięcy pięciuset metrów szybko się męczyła. Za pierwszym razem, gdy ćwiczyła, w pewnym momencie źle się poczuła i myślała, że zemdleje. Przestała więc chodzić na siłownię. Za to chętnie pływała. Roman w tym czasie robił, jak to nazywał, water-robic. Leżąc na plecach, pływał w miejscu, robiąc przy tym bardzo dużo ruchów nogami i rękoma, albo, też w miejscu, robił śruby, skręty i inne dynamiczne ćwiczenia, cały czas unosząc się na wodzie. Za każdym razem starali się spędzić na basenie przynajmniej godzinę. Chociaż ona wychodziła z wody o dziesięć minut wcześniej niż on, bo potrzebowała więcej czasu na prysznic, suszenie i przywrócenie urody. Jemu było łatwiej. Wychodził z basenu, szybko namydlał ciało, splukiwał, wycierał i, zanim jeszcze doszedł do fotela nad basenem, żeby na nią poczekać, już miał włosy suche.

Krystyna lubiła te wspólne kąpiele. Lubiła też wspólne poranki. Później spotykali się na lunchu. Ponieważ mimo pory deszczowej pogoda była cały czas

słoneczna, jadali w ogródku. Na jej zdziwienie na temat małej ilości deszczu, Roman wyjaśnił, że pora deszczowa dotyczy obszarów położonych niżej.

– Na przykład w tych dniach nie posiedziałybyś na plaży – powiedział. – Co chwilę dopadłby cię szkwał i ulewa. Tutaj na wysokości zwykle pada wieczorem albo w nocy. Piękny klimat! – skwitował.

– Rzeczywiście – odpowiedziała, ciesząc się słońcem.

Na początku lipca wypadały urodziny Tomasza. Poszli wtedy do pobliskiego centrum handlowego Los Arcos, do bardzo eleganckiej restauracji Puerto Madero. I centrum, i restauracja zachwyciły ją. Centrum było usytuowane na parterze dwóch olbrzymich wieżowców, z których jeden potocznie nazywano Pantalones, czyli Spodnie, a drugi przypominał duże H i nie miał żadnej nazwy. Krystyna obejrzała budynek z zewnątrz. Rzeczywiście, były to dwie wysokie wieże połączone na górze kilkoma piętrami, razem wszystko wyglądało jak para długich spodni. Tomasz powiedział, że budynek ma około stu sześćdziesięciu metrów wysokości. Później odkryła, że było go widać prawie z każdego miejsca miasta Meksyk. Centrum zaimponowało jej zwłaszcza podłogą z zielonego hartowanego szkła, a właściwie przezroczystymi pomostami. Idąc, po bokach, w otwartej przestrzeni w dole, widziało się bary i restauracje tonące w zieleni. Wiele miejsc było otoczonych wodą; sprawiało to wrażenie, jakby znajdowały się na wyspach. Wszystkie baseny były fantazyjnie oświetlone. Niektóre lampami wystającymi ponad wodę, inne dużymi lampionami w kształcie balonów pływających w wodzie. Na końcu pomostu, poniżej, tuż przy windach, zobaczyła śliczny, tonący w zieleni bar. Przyciągał uwagę długi klomb, wzdłuż którego pośrodku buchał prawdziwy ogień z gazowego paleniska.

– Służy do podgrzewania czy to dekoracja? – zapytała Krystyna.

– I jedno, i drugie. Wkrótce tam pójdziemy. Sama się przekonasz – odpowiedział.

Kolacja była wyśmienita. Namówiona przez Romana, Krystyna zamówiła sałatkę Madero, później olbrzymi stek wołowy Rib Eye, a na deser różowy sernik z truskawkami i jeżynami na bitej śmietanie. Tomasz zamówił sałatkę z krabów, mrożone nogi królewskich krabów z Alaski, a na deser espresso. Nie bardzo pamiętała, co jadł Roman, ale chyba langustę. Na koniec zamówili płonącą kawę z amaretto. Oczywiście, jak zwykle z Romanem, nie obyło się bez aperitifów i dwóch butelek białego wina francuskiego Blanc de Blancs.

– To wino jest znakomite – powiedział.

– Jest rzeczywiście smaczne – zgodziła się Krystyna po spróbowaniu.

Na takie właśnie okazje przywiozła granatową sukienkę, tę samą, którą nosiła w sylwestra. Tego dnia ją założyła – czuła się atrakcyjna i szczęśliwa.

Wieczór był udany, dużo się śmiali. Jej dania były bardzo smaczne. Zwłaszcza zachwylił ją deser. „Jaka szkoda, że nie mamy takich restauracji w Polsce” – pomyślała. I nie chodziło jej tylko o wybór dań czy wystrój. Wiele polskich restauracji też jest bardzo ładnych i mają wykwintne menu. Podstawową różnicą w tej meksykańskiej było to, że w niej kelnerami byli sami mężczyźni, wszyscy jednakowo ubrani i wypadało przynajmniej pół kelnera na statystycznego gościa. Podziwiała, jak ci faceci pracowali. Mimo że nie rzucali się w oczy, cały czas tam byli, czy to żeby zmienić nakrycie, czy to żeby poleć wino, wodę lub napój, czy żeby przynieść pieczywo. Oczywiście, gość za to płacił. Ale to dawało ludziom pracę. Nakręcało ekonomię, bo jeśli w innej restauracji gościem był tutejszy kelner, to nie był bezrobotny i miał czym zapłacić. Gościom też to służyło – dawało poczucie luksusu i powód, żeby wyjść z domu i zjeść w restauracji. W przeciwnym wypadku, jeśli nie ma różnicy – to po co wychodzić? W domu będzie, jak uważają Polacy – i tak taniej, i z lepszą obsługą. I będą mieli rację. Pamiętała, jak kiedyś poszli oboje do nowo otwartej i podobno szykownej restauracji w Toruniu. Była pusta. Kelnerka zajęta przygotowaniem stołu zerknęła na nich spode łba. Pomyślała pewnie, że będą jej przeszkadzać. I rzeczywiście przeszkadzali, po to tam poszli. Dokładnie po dziesięciu minutach czekania Roman podszedł do kelnerki i poprosił, żeby przysłała do ich stolika, bo chcą złożyć zamówienie. Przysłała! Od niej się dopiero dowiedzieli, że zadrukowany świstek na stole to karta dań. Nie domyślili się. Ich błąd. Wzięli świstek i zaczęli czytać. Kelnerka widocznie gdzieś się spieszyła, bo powiedziała:

– Dam państwu dziesięć minut na zapoznanie się z menu i wrócę.

Ku jej zdziwieniu, kelnerka rzeczywiście sobie poszła, chociaż potem okazało się, że kłamała – wróciła dopiero po czternastu minutach, a nie dziesięciu, jak zapowiedziała. Krystyna obserwowała, jak Roman się nakręca. Wiedziała, że jest wkurzony. Siedzieli już prawie pół godziny przy stoliku w pustej restauracji i nie mieli jeszcze okazji nawet złożyć zamówienia. Ale złości nie okazał. Za to zimnym, obojętnym głosem przepytwał kelnerkę na temat każdego dania, które było wyszczególnione na świstku, a ponieważ przeważnie nie wiedziała ani co podaje, ani jak jest zrobione, trzy razy wysłał ją po informacje do kuchni. Dopiero wtedy powiedział:

– Wie pani co, chyba zrezygnuję.

– Idziemy – powiedział do Krystyny, podając jej rękę.

Poszli, zjedli w pierogarni obok. Krystyna pomyślała o kelnerce: „Głupia. Roman zostawia w restauracjach duże napiwki, zawsze 20 procent i nigdy poniżej 20 złotych. Ale skąd ta głupia mogła to wiedzieć?”

Później Krystyna była częstym gościem w Pantalones. Od domu Romana można było dojść w kwadrans. Udali się tam pieszo już w pierwszą sobotę po urodzinach Tomasza. Poszli na drinka.

Roman miał rację: gazowy płomień rzeczywiście i grzał, i zdobił. Ale wytwarzał też niepowtarzalną atmosferę. Dookoła wysepki stały rozmaite siedziska – ławy, pokryte futrem taborety i wygodne kanapy. Usiedli w łoży, trochę dalej od ognia. Wypiła Virgin mojito. Z żalem opuszczała to miejsce. Później była jeszcze w tym barze kilka razy i zawsze jej się podobało.

Praktycznie co tydzień pojawia się w Meksyku jakiś nowy dobry hollywoodzki film. Tomasz i Roman co czwartek chodzili do kina VIP w Los Arcos. Czasami też zabierali ze sobą *muchachę*. Gdy przyjechała Krystyna, zaczęła też uczestniczyć w tych wyjściach.

W ostatnich latach kina VIP stały się w Meksyku bardzo modne. W porównaniu do zwykłego kina mają nieco większy ekran, a sala jest mniejsza i ma większe nachylenie podłogi. Najistotniejsza różnica jednak tkwi w rodzaju i usytuowaniu siedzeń – wszystkie są skórzane i miękkie i rozkładają się jak łożko. A że zajmują więcej miejsca niż zwykłe fotele, na sali jest mniej rzędów z siedzeniami. Wszystkie siedzenia ustawione są parami i odgradzone od siebie niewielką ławą, z małą lampką, która daje bardzo dyskretne światło. Jest tam też niewielki, pomysłowo składany stolik, na którym można jeść. Można zamawiać drinki, kanapki, sushi oraz ciepłe dania, takie jak paella, parówki, pizza czy quessadillas. Salę obsługują kelnerzy. Jest to kino-restauracja – dyskretne, ciemne miejsce, gdzie para oglądając film, może się przytulić, a nawet popieścić, jako że na życzenie obsługa dostarcza koce. Krystyna bardzo polubiła to kino. Lubiła tulić się do Romana na wygodnych fotelach w ciemnej sali kinowej. Filmy też jej się podobały. Chodzili wyłącznie na te z językiem angielskim. Czasami musiała prosić Romana, aby jej coś przetłumaczył.

Pod koniec lipca Roman poinformował Krystynę, że zostali zaproszeni przez zaprzyjaźnioną meksykańską rodzinę na trzecią rocznicę urodzin ich córki. W Meksyku jest to okazja do wielkiego świętowania, dzień, w którym trzylatkę rodzice prezentują Bogu, a dziewczynka po raz pierwszy w życiu zakłada suknię balową i ma swój pierwszy prawdziwy taniec.

Jak zwykle zabłądzili. Meksyk to ogromne miasto. GPS nie działał, a bez wskazówek Roman zawsze błądził. Ale w końcu jakoś dojechali. Spóźnili się jednak godzinę, przyjęcie było już w pełni. Było im głupio, nie nawykli się spóźniać. Okazało się, że niepotrzebnie. Nie dotarli jako ostatni. Goście ciągle przybywali.

Przyjęcie odbywało się na wolnym powietrzu. Duże podwórko osłonięte było ogromną plandeką. Dwa rzędy stolików i sto krzeseł wskazywały, że

spodziewano się setki gości. Dziewczynka, jej rodzice i inni bliżsi krewni siedzieli przy stole honorowym, ustawionym centralnie na końcu podwórka. Na stole przyozdobionym kawałkami fioletowego szyfonu stał olbrzymi pięciokolorowy tort owocowy: żółte mango, zielone plasterki kiwi oraz intensywnie czerwone połówki truskawek rozłożone były w galaretkę o kolorze amarantowym. Brzegi tortu pokryte były ozdobnym paskiem z bitej śmietany. Pośrodku tortu widniał napis: „*Mis 3 anos, Citlalli*”. Również nad stołem zawieszono napis „*Citlalli*”, uformowany z kolorowych baloników w różnych odcieniach fioletu. Z tyłu za stołem na podwyższeniu ustawił się zespół muzyczny. Po przeciwnej stronie podwórka, przy polowej kuchni, krzatali się kucharze i kilka osób z obsługi.

Citlalli wyglądała na bardzo szczęśliwą. To był jej dzień, na który czekała przez ostatnie kilka tygodni. Ubrana była w długą rozkloszowaną sukienkę w kolorze wrzosowym, bez rękawów. Dół sukienki był obszyty falbankami. W górnej części, z przodu, sukienka miała dekol w łódkę, również ozdobiony falbankami. Citlalli była ładną dziewczynką. Miała długie ciemne włosy, z krótką grzywką. Włosy rozdzielała wąska wstążka w kolorze sukienki. Z tyłu we włosach miała ozdobną kokardę. Citlalli wyglądała prześlicznie. Poruszała się jak mała kobietka. Pośród gości wyróżniało się czterech „przystojniaków” w czarnych spodniach, długich modnych czarnych marynarkach, z białymi kamizelkami i koszulami, z chusteczkami w butonierkach i włosami zaczesanymi gładko na żel. Chłopcy nie mogli mieć więcej niż po dziesięć lat. Krystyna domyśliła się, że są to kawalerowie Citlalli, wyznaczeni spośród krewnych lub przyjaciół, żeby umilić jej dzisiejszy dzień. Potem okazało się, że byli to jej tancerze. Pod wieczór dzieciaki pokazały uroczy show: Citlalli i jej kawalerowie zatańczyli zmodernizowanego menueta. Było to ładne wykonanie przystosowane do okoliczności – Citlalli w centrum, przechodziła od partnera do partnera w rytm menueta granego przez meksykański zespół rockowy.

Krystyna była zachwycona. Całe przyjęcie bardzo jej się podobało. Smakowało jej jedzenie i trunki. Z przyjemnością słuchała obco brzmiącej muzyki. Podobało się jej zwłaszcza zainteresowanie, które wzbudzała jako przybysz z odległej Polski. Ludzie byli dla niej bardzo mili. Głównie mężczyźni. Może dlatego, że nawet najwyższych przerastała o głowę. Roman później wytłumaczył jej, że dla niewysokich Meksykanów wysoka Europejka to marzenie, a jeśli do tego byłaby jeszcze blondynką, to wszyscy by dla niej potracili głowy.

Do domu wrócili późno. Oczywiście w drodze powrotnej znowu zabłądzili. Ale odnaleźli drogę sami, bez telefonowania do znajomych. Przywieźli ze sobą małe akwarium wyłożone fioletowymi kamykami, ze złotą rybką w środku. Złoty napis na akwarium głosił: „*3er aniversario de Citlalli*”. Krystyna była pewna, że to wydarzenie na zawsze pozostanie w jej pamięci jako niezwykle uroczy dzień w kolorach fioletu i wrzosu.

Po trzech miesiącach pobytu Krystyna odkryła, że czuje się w Meksyku jak w domu. Nie to, że angażowała się w sprawy domowe. Nie musiała, do tych spraw mieli *muchachę*. Zauważyła jednak, że Roman stopniowo wciąga ją w planowanie i robienie zakupów. Prawie codziennie wychodzili wieczorem do pobliskiego centrum handlowego. Krystyna bardzo to lubiła. Centrum miało przeszło ćwierć wieku, nie było więc ani tak nowoczesne, ani tak atrakcyjne jak te budowane w ostatnich latach. Miało jednak niezaprzeczalną atrakcję – duże lodowisko usytuowane na parterze zaraz przy wejściu. Tuż obok była niewielka włoska restauracja Giornale, z ogródkiem, który prawie stykał się z lodowiskiem. Często siadali z Romanem w ogródku i, delektując się drinkami, oglądali ludzi na lodzie. A działo się tam wiele – były treningi hokeja, lekcje jazdy figurowej, lekcje tańca na łyżwach, a czasami jakieś turnieje. Ceniła sobie te wypady za miłe chwile sam na sam z Romanem, których nigdy nie było jej dosyć. Zgadzała się z nim, że „w domu, w odosobnieniu to para powinna uprawiać miłość, a jeśli chodzi o pogaduszki, to najlepiej poza domem, w jakimś uroczym miejscu”. Odkryła że ma w tym względzie rację, o wiele łatwiej im się rozmawiało w Giornale niż w łóżku czy przy domu w ogrodzie. Wyjście miało jeszcze jedną zaletę – spacer po górach. Musieli iść pod górę. Potrzeba było włożyć dużo wysiłku, żeby dostać się tam na piechotę.

W każdą sobotę szli na pobliski rynek, aby kupić świeże warzywa i owoce. Czasami wstępowali tam w drodze powrotnej z Huixquilucan, gdzie jeździli po grzyby. Krystyna stwierdziła, że Roman jest wielkim amatorem grzybów. Tak dużym, że nie przeszkadzało mu po nie pojechać na rynek do miasteczka odległego o prawie pięćdziesiąt kilometrów. Kupował ich dużo – za każdym razem dziesięć kilogramów prawdziwków, trzy kilogramy rydzów i tyle samo kurek. Krystyna stwierdziła, że chyba nigdy wcześniej nie jadła i chyba nigdy nie będzie już jadła tyle grzybów co w Meksyku.

ROZDZIAŁ 23

Piątek, 14 września 2012, godzina 17:45 CEST

W połowie września Roman zabrał ją na wycieczkę do Huamantli na uroczystość „noc, podczas której nikt nie śpi”. Wcześniej wiele słyszała od niego o tym wydarzeniu, które on już kiedyś widział, i bardzo chciała tam pojechać. Wyruszyli z domu przed osiemnastą i dotarli na miejsce około dwudziestej, w sam raz na czas – miasto było gotowe do uroczystości. Na wszystkich ulicach usypano dywany i pięknie je ozdobiono. Zauważyła, że na ulicach są głównie turyści. Można było ich łatwo rozpoznać, bo – podobnie jak ona – dużo fotografowali. Piaskowe dywany były tak ładne i oryginalne, że trudno było oprzeć się pokusie, żeby ich nie uwiecznić. Roman nie robił zdjęć. Znał miasto dobrze i okazał się znakomitym przewodnikiem. Powiedział też, że można obejrzeć zdjęcia z tej uroczystości w Internecie.

– Przypomnij mi w domu – powiedział. – Jeśli chcesz, pokażę ci zdjęcia z mojego poprzedniego pobytu tutaj. Są na naszym serwerze. Poza tym w Internecie jest pełno zdjęć i filmów wrzuconych tam przez zachwyconych turystów, którzy przewijają się tutaj co roku.

– Wolę mieć swoje własne zdjęcia – odpowiedziała Krystyna.

– Rozumiem. Ale i tak, jak wrócimy do domu, dam ci link do jakiejś strony z ładnymi zdjęciami.

Na oglądaniu festynu i fotografowaniu zeszła im prawie cała noc. Po północy natknęli się na procesję. Była długa na kilometry. Wyjaśniło się, dlaczego na ulicach widzieli tylko turystów – wszyscy mieszkańcy brali w niej udział. Dopiero gdy procesja zniknęła w innej części miasta, poszli na parking do samochodu. Po drodze zatrzymali się, żeby zjeść sandwicza. Była prawie piąta rano. „Zadziwiające, wszystko jest ciągle otwarte” – pomyślała Krystyna. Usiedli na ławce w parku przy placu centralnym (*zocalo*, jak powiedział Roman). Zdziwiło ją, że miasto było już całkowicie posprzątane. Roman powiedział, że tuż za procesją szła brygada sprzątaczy zaopatrzonych w specjalistyczny sprzęt i samochody. Uznała to za świetną organizację. Ani odrobiny śmieci, ani śladu po wydarzeniach. Czystymi ulicami doszli do samochodu. W domu byli przed ósmą rano.

ROZDZIAŁ 24

Poniedziałek, 1 października 2012, godzina 14:20 CEST

Roman spodziewał się, że zatwierdzenie kontraktu będzie długim i żmudnym procesem, zwłaszcza że klient był bardzo wymagający i miał wiele innych możliwości do utrzymania swojej sieci na najwyższym poziomie. Nie spodziewał się jednak, że jego pomysł spodoba się na tyle, że dołączą jeszcze inne wydziały. Wkrótce zakres usług powiększył się wielokrotnie – obejmował większy obszar i wydłużył się w czasie. Szybko też wzrastała wartość kontraktu. Roman szacował, że pod koniec września osiągnie wartość przeszło trzydziestu milionów dolarów za rok. Był to bardzo konkurencyjny rynek. Obawiał się więc, że przy tak dużych pieniądzach wielkie kompanie specjalizujące się w usługach telekomunikacyjnych złożą konkurencyjne oferty. Niestety, miał rację. Z uwagi na dużą liczbę ofert klient ogłosił przetarg otwarty na usługi.

Roman wiedział już, że wszystko się spieprzyło. Teraz ich mała firma startowała przeciwko wielkim graczom, z których wielu było aktualnymi dostawcami produktów i usług dla klienta. Roman był świadomy, że wraz z wartością kontraktu odpowiedzialność za rozstrzygnięcie konkursu przenosiła się na wyższy poziom w przedsiębiorstwie klienta, a co za tym idzie, kryteria wyboru dostawcy coraz bardziej opierały się na względach politycznych. Niemniej, jak przystało na prawdziwego gracza, nie poddał się. Był zdecydowany wytrwać w przetargu do samego końca. Naiwnie myślał, że może jednak jako najlepszy zwycięży. A według działu technicznego klienta ich oferta była najlepsza. Postanowił wykorzystać dodatkowy czas niezbędny do przeprowadzenia przetargu na zaprezentowanie wszystkich funkcji swojego komputerowego narzędzia. Zaproponował ludziom odpowiedzialnym za jakość sieci komórkowych serię testów, które z jednej strony miały od razu poprawić jakość usług, z drugiej zaś strony równocześnie pozwolić im lepiej poznać proponowane narzędzie. Testy trwały kilka miesięcy i zakończyły się pod koniec listopada. Wszystkie funkcje oprogramowania pracowały zgodnie z oczekiwaniami.

Chociaż miesiące testów były dla Romana okresem intensywnej pracy, Krystyna była wdzięczna, że mimo wszystko znalazł dla niej czas i nadal zabierał ją na wycieczki. Szczególnie podobały się jej wyprawy do Desierto de los Leones i Tepoztlan oraz kilka wypadów do San Angel.

Desierto de los Leones to park narodowy położony niedaleko od domu Romana. Park rozciąga się na wysokości od 2600 do 3700 metrów nad poziomem morza, co powoduje, że w wyższych jego partiach jest zimno i wilgotno. W całości porasta go stary las sosnowy z niewielką ilością jodeł i dębów. Cały teren poryty

jest jarami i wąwozami, które w porze deszczowej zamieniają się w rwące potoki. Na terenie parku znajduje się stary ufortyfikowany klasztor karmelitów oraz dziesięć odosobnionych, również ufortyfikowanych chatek pustelników, usytuowanych poza terenem klasztoru. Każda chatka ma swoją nazwę i każda jest inna. Do tych najbliższych prowadziła od klasztoru uformowana droga. Inne znajdowały się na całkowitym odludziu w lesie. Najdalej od klasztoru, na szczycie wysokiej góry, znajdowała się ufortyfikowana kaplica. I klasztor, i pustelnie zostały zbudowane na początku XVII wieku.

Spędzili tam wspólnie dzień. Po powrocie do domu Krystyna podłączyła się do Internetu, żeby przeczytać więcej o tym interesującym miejscu.

Natomiast Tepoztlan to przeurocze i niezwykle atrakcyjne miasteczko. Od domu Romana nie było daleko, jechali tam około godziny pełną serpentyn autostradą. Jest to popularne miejsce, zawsze pełne turystów, którzy przybywają zwiedzać bardzo starą, przeszło tysiącletnią świątynię lub, jak mówią niektórzy, piramidę, zbudowaną na szczycie góry Tepozteco. Miasto leży w dolinie otoczonej przez oryginalnie ukształtowane góry, które wyglądają jak wyrzeźbione.

Jest to największa atrakcja turystyczna miasta. Świątynia-piramida nie jest duża. Nietypowe jest to, że stoi na czubku prawie półkilometrowej góry-klifu i dominuje nad miastem. Żeby się tam dostać, trzeba przejść przez całe miasto, a następnie wspiąć się na górę po bardzo stromej ścieżce. Satysfakcja, że w tym zabójczym upale weszła na górę, oraz widoki z góry stanowiły dla Krystyny najlepszą nagrodę. Była pewna, że ten spacer pozostanie na zawsze w jej pamięci. Wycieczka zajęła im cały dzień. Wszyscy byli zadowoleni. Wieczorem wypili butelkę białego pulque.

– Nie martw się – powiedział Roman, widząc przerażone spojrzenie Krystyny na widok ogromnych butelek pełnych alkoholu. – Pulque ma nie więcej niż dwa procent alkoholu. To tutaj pewnie jeszcze mniej. Pamiętaj, że kupiliśmy je w turystycznym miejscu. Pewnie je rozwodnili.

– A szkoda – powiedziała po chwili z uśmiechem. – Pulque uchodzi w Meksyku za afrodyzjak dla mężczyzn. Gdyby było pełnowartościowe, mielibyśmy wyjątkową noc.

Do San Angel jeździli przez kolejne cztery środowe popołudnia. Tomasz zapisał się tam na kurs „Znawców wina”. Roman dowoził go na miejsce. Od nich do San Angel jechało się godzinę i, jeśli Tomasz nie pojechałby samochodem, to nie miałby ani jak dojechać na kurs, ani jak wrócić. Krystyna też chętnie tam jeździła, zwłaszcza że Roman powiedział jej, iż San Angel jest atrakcyjnym turystycznie miejscem. Pierwszy raz pojechała z ciekawości, później dlatego, że je polubiła. Oczywiście, gdy tylko Krystyna usłyszała nazwę, od razu ją sprawdziła i obejrzała zdjęcia w Internecie. To ją jeszcze bardziej zachęciło do zwiedzania. Roman powiedział jej, że dawniej jeździł do San Angel w soboty, bo wtedy

odbywały się tam targi wyrobów artystycznych. I zawsze coś tam kupował.

– Ponieważ w większości sprzedają tam swoje prace artyści, czasami za bezcen można tam kupić prawdziwe perełki – powiedział. – Te akty w mojej sypialni kupiłem właśnie w San Angel. Również figurki z brązu.

Rzeczywiście jej się tam podobało. Brukowane ulice, śliczne kolorowe domy w stylu kolonialnym, mnóstwo kwiatów i zieleni w ogrodach, liczne skwery i parki – wszystko to było takie swojskie i niepasujące do ogromnego miasta Meksyk. Któregoś dnia wstąpili do lokalnego kościółka i uczestniczyli w mszy po hiszpańsku. Liturgia nie różniła się niczym od polskiej. Za każdym razem udawali się też do lokalnej restauracji i jedli wyśmienite, typowo meksykańskie dania. Zawsze siadali na zewnątrz w ogródku. Siedząc tam, Krystyna czuła się dziwnie. Taka piękna dzielnica w środku ogromnego miasta, czuło się tam spokój, jakby człowiek był tysiące mil z dala od zgiełku i chaosu molocha. Wyjazdy do San Angel miały wiele innych zalet. Jedną z nich było to, że tuż przy „szkole” znajdowały się delikatesy. Dopiero widząc to miejsce, Krystyna odkryła, co słowo „delikatesy” naprawdę znaczy. Sklep był pełen wyjątkowych produktów, głównie importowanych, których na pewno nigdzie indziej nie można było spotkać. Wracali więc do domu obładowani smakołykami z różnych krajów, oryginalnym pieczywem, z wieloma butelkami doskonałych win i innych trunków. Inną zaletą była wiedza, którą zdobywał Tomasz, a którą chętnie się z nimi dzielił. To od niego dowiedzieli się, że hiszpański szampan, tak zwany cava, nie jest wcale gorszy od francuskiego.

Krystyna polubiła też czwartkowe wypadki do Beer Factory. Była to restauracja mieszcząca się w centrum handlowym w Santa Fe. Od domu Romana jechało się tam tylko piętnaście minut. Roman spotykał się tam z przyjaciółmi w każdy czwartkowy wieczór. Był tam stałym klientem i w restauracji traktowano go jak kogoś uprzywilejowanego. Za każdym razem dostawał zniżki na konsumpcję. Nie obejmowało to piwa, które w czwartki wieczorem i tak było oferowane za pół ceny. Co czwartek udawali się więc do Beer Factory, lub Biura, jak po pewnym czasie zaczęli nazywać to miejsce – chyba dlatego, że zawsze albo dyskutowali o interesach, albo robili tam biznesowe plany. Po jej przyjeździe zwyczajów nie zmienili, zabierali ją ze sobą. Krystyna polubiła te wyjścia. Zawsze było wesoło i jedli smaczne jedzenie. Polubiła też meksykańskich przyjaciół Romana. Jeden z nich był zagorzałym maratończykiem. Jeździł po świecie, żeby uczestniczyć w znanych maratonach. Roman przyniósł kiedyś ze sobą i pokazał mu artykuł o najstarszym studwuletnim maratończyku świata, który po ostatnim biegu w Nowym Jorku, gdzie zajął „odległe” czterdzieste trzecie miejsce (na jedenaście tysięcy biegaczy) zdecydował się przestać biegać.

– Zostało ci już tylko pięćdziesiąt osiem sezonów – powiedział Roman do swojego przyjaciela.

– Pięćdziesiąt dziewięć – odpowiedział. – Muszę być lepszy od tego typu.

Na początku listopada Krystyna zauważyła, że Roman zaczął się martwić o wyniki przetargu. Byłoby jej przykro, gdyby nie wygrał kontraktu. Pamiętała ich radość ze spotkania z operatorem w czerwcu, zaraz po jej przylocie. Byli wtedy jedynym kandydatem do kontraktu, nie mieli żadnej konkurencji i byli niemal pewni wygranej. Świadomość, że rywalizuje z największymi potentatami na świecie w tej dziedzinie, w ogóle nie deprymowała Romana. Ale mało go miała dla siebie. Przez cały listopad miał mnóstwo pracy. Często usypiała, a Roman nadal pracował, pracował też, gdy się budziła.

– Czy ty w ogóle nie sypiasz? – zapytała któregoś ranka.

– Spałem. Dlaczego pytasz?

– Bo pracowałeś, jak usypiałam, i pracujesz, gdy się budzę. Zastanawiam się po prostu, kiedy śpisz.

– Nie potrzebuję dużo snu. Wystarczy mi kilka godzin.

Po raz pierwszy w życiu Krystyna uczestniczyła w Halloween. Roman zamierzał kupić kilka kilogramów cukierków, czekoladek i innych słodczy. Udała się z nim do dużego sklepu spożywczego w Pavillon Bosques. Tam odkryła, że w Meksyku Halloween traktują bardzo poważnie. Całe działy sklepu przygotowane były na to święto. Kilkanaście rzędów półek było wypełnionych strojami dla halloweenowych przebierańców. Kilka innych specjalnie przygotowanymi paczuszkami słodczy. Dekoracje w centrum handlowym też przypominały o zbliżającym się święcie duchów. Mimo to niełatwo było zdecydować, co i ile kupić. Zastanawiali się, czy w ogóle do budynku z ochroną zostaną wpuszczani przebierańcy z ulicy. Sytuację wyjaśniła informacja wywieszona przez administrację budynku, że Halloween odbędzie się tylko dla dzieci mieszkańców.

– Chyba mamy za dużo słodczy – powiedział Roman, pokazując jej ogłoszenie. – Raczej nie ma tutaj tyle dzieciaków, żebyśmy byli w stanie rozdać osiem kilo cukierków i czekoladek.

– I co teraz zrobisz? – zapytała.

– Coś wymyślimy.

Chociaż dzieci z budynku rozmnożyły się o przyjaciół z innych okolic i mimo że Roman poprosił *muchachę* o przygotowanie hojnych porcji słodkości, udało się rozdać tylko połowę słodczy. Krystynie bardzo podobali się przebierańcy. Kilkoro poprosiła o pozowanie do zdjęć. Roman zaproponował jej, żeby później wyszli na ulicę i rozdali resztę słodczy pomysłowo przebranym dzieciakom. Będzie wtedy mogła poprosić ich o pozowanie. Tak też zrobili. Udało jej się zrobić sporo zdjęć. Słodczy jednak było tyle, że nie udało się wszystkich rozdać. To, co pozostało, podjadali jeszcze przez cały listopad.

Ostatnie cztery tygodnie jej pobytu w Meksyku upłynęły pod znakiem wizyt u dentysty. W kolejne weekendy jechała do zaprzyjaźnionej dentystki do Villa del Carbon i musieli zrezygnować ze zwiedzania. Udało się im jednak wygospodarować dzień, żeby pojechać do San Mateo Atenco, słynnego z produkcji ubrań, butów oraz ubrań ze skóry, gdzie Krystyna kupiła sobie dwie ładne skórzane kurtki i szykowne kozaki. W dniu jej wyjazdu Roman ofiarował jej parę kolczyków i pierścionek z żółtego złota z rubinami. Prezent bardzo się jej spodobał.

ROZDZIAŁ 25

Sobota, 15 grudnia 2012, godzina 19:30 CEST

Do Polski wrócili w połowie grudnia. Roman wykorzystał fakt, że na przełomie roku u klienta nic się nie działo i przyleciał z Krystyną na święta i sylwestra. Po raz kolejny zjedli kolację wigilijną z jej rodziną. Znowu nie obyło się bez gravlaxa, śledzi w oleju i wędzonego węgorza. Sylwestra spędzili na uroczystej kolacji połączonej ze spektaklem w teatrze. Krystyna odkryła, że był to świetny sposób na przywitanie Nowego Roku, zwłaszcza że Roman wynajął pokój w hotelu w pobliżu restauracji, żeby nie musieli ograniczać się w toastach. Podtrzymując tradycję, zjedli obiad noworoczny w restauracji hotelu Solaris. Dwa tygodnie potem Roman wrócił do Meksyku. Obiecał, że przyleci pod koniec marca na Wielkanoc.

Po jego wyjeździe życie Krystyny unormowało się – wróciła do pracy i od razu wpadła w kierat. Wyglądało to tak, jakby w biurze oczekiwano, że nadrobi te wolne pół roku bezpłatnych wakacji.

W walentynki Roman zrobił jej miłą niespodziankę. Dostarczono jej do biura bukiet kwiatów z kuponem na masaż orientalny. Ucieszyła się bardzo. „Jak to miło, że pamiętał” – pomyślała. Wspomniała mu kiedyś, że uwielbia masaż. Wkrótce potem Roman poinformował ją, że wraca na stałe do Polski.

– Właśnie otrzymałem od klienta wiadomość, że przetarg został anulowany. Kontrakt rozdzielono między trzy duże przedsiębiorstwa usługowe, które są aktualnymi dostawcami produktów i usług dla operatora – powiedział Roman na Skypie.

– Jest mi naprawdę przykro to słyszeć – powiedziała szczerze.

Wiedziała przecież, jak bardzo był zaangażowany w to przedsięwzięcie.

– To nic takiego – powiedział, słysząc w jej głosie współczucie. – Wiadomość nie była dla mnie wielkim zaskoczeniem. Potwierdziła tylko, że względy polityczne przeważyły. Wiesz przecież, że byłem przygotowany na takie zakończenie. Moim zdaniem na tym, że nas nie wybrał, traci tylko klient. No cóż, zgrałem i tym razem nie wygrałem. Nie zmienia to mojego nastawienia do życia. Ciągle wierzę, że to, co się naprawdę w życiu liczy, to grać. Toteż tak naprawdę szkoda mi tylko tego, że gra się skończyła. Ale to rozwiązuje sprawy dotyczące nas. Zrywam z moim życiem w Meksyku i przyjadę do ciebie.

– Kocham cię – Krystyna tylko tyle była w stanie z siebie wydusić.

Pomyślała, że byłoby egoistycznie z jej strony pokazać mu, jak bardzo się cieszyła z takiego obrotu sprawy.

– Będę z tobą szczerzy – dodał Roman. – Wracam ze względu na ciebie.

Gdyby nie ty, pozostałbym tutaj. Przylecę do Polski w okresie świąt i będziemy już zawsze razem. Ale chcę, aby było jasne, że pragnę wieść życie bez stresów, wypełnione rozrywkami i turystyką. Nie kupujemy ani domów, ani mieszkań, ani samochodów. Nasze motto – żyć przez kulturę dla kultury. Zgoda?

– Zgoda! – odpowiedziała Krystyna.

– Pozwól, że coś dodam. W moim życiu skończył się ważny etap. Mieszkałem w Meksyku siedem lat i bardzo dużo się tutaj nauczyłem. Meksyk jest najciekawszym i najbardziej przyjemnym miejscem do życia. Będę więc z tobą szczerzy – z żalem żegnam i zostawiam za sobą Meksyk.

ROZDZIAŁ 26

Poniedziałek, 7 stycznia 2013, godzina 15:00 CST

Grudy ziemi z hałasem padały na trumnę. Każdy z żałobników z powagą rzucał swoją garstkę na brązową trumnę w dole, szepcząc: „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz!”. Niektórzy dodawali: „Niech ci ziemia lekką będzie”. Luisa z trudem przełamała się, żeby rzucić swoją garść. Ziemia była zbita. W rękę trzymała dużą ciemnoszarą grudę. Głośno szlochała: „Synku, syneczku, dlaczego mi to zrobiłeś?”. Przez ostatnie trzy dni, a nawet teraz na cmentarzu jakoś się trzymała. W końcu jednak świadomość utraty jedynej bliskiej jej istoty dopadła ją. Wraz z tym przyszła rozpacz. Właśnie odbywał się pogrzeb jej piętnastoletniego syna Juana. Umarł z przedawkowania ecstasy, popitej dużą ilością alkoholu. Oficjalnie śmierć została uznana jako skutek przedawkowania, jednak policja podejrzewała samobójstwo. Denat dwa lata wcześniej porzucił szkołę, nigdy nie ukończył szóstej klasy. Był za młody, żeby pracować, i nie miał żadnego wyuczonego zawodu. Wywiad środowiskowy ustalił, że mógł trudnić się sprzedażą narkotyków, był też skłócony z matką. Miał jej za złe, że dwa lata wcześniej doprowadziła do rozpadu rodziny i odejścia ojca. To niekoniecznie zgadzało się z faktami. Ojciec Juana nigdy nie mieszkał z matką i nie interesował się synem. Jak potem stwierdzono, nie było go nawet na pogrzebie.

Gdy już raz uległa rozpacz, Luisa nie mogła się powstrzymać – łzy popłynęły strumieniem. Jej dwie siostry podtrzymywały ją mocno, trzymając za ramiona, żeby nie upadła. Bezskutecznie też próbowały ją pocieszyć. Jednak ona nie mogła przestać płakać. Spokój spłynął na nią nagle, po jakichś dwóch minutach. Przypomniała sobie, kto jest winien jej nieszczęściu. „Ty draniu – pomyślała – zapłacisz mi za śmierć mojego syna, zapłacisz mi”. W myślach zaczęła składać synowi obietnice: „Przyrzekam ci, syneczku, że ten drań drogo za to zapłaci. Nawet gdyby zajęło mi to resztę życia, przyrzekam ci, że go dopadnę i ukarzę za to, co nam zrobił. Za to, że nas odrzucił. Ty przecież kochałeś go. Traktowałeś go jak ojca. Nie słuchałeś mnie. Mówiłam ci, że on tylko udawał, że cię lubi. Tak samo jak mnie, ciebie też miał w dupie. Wyrzucił nas oboje, i ciebie, i mnie. Przyrzekam ci: zapłaci nam za to!”. Cała jej rozpacz przekształciła się w złość. Jej twarz nabrała purpurowych rumieńców i zmieniła wygląd – oczy się zwężyły, a policzki opadły, stała się twarzą wiedźmy. „Bądź przeklęty, Romanie! Niech cię szlag trafi! Dopadnę cię, ty draniu. Prędzej czy później przyjedziesz do Meksyku, ja to wiem. Przyrzekam ci, Juanie – Roman zapłaci nam za to nieszczęście”.

ROZDZIAŁ 27

Sobota, 16 marca 2013, godzina 11:50 CST

W połowie marca Roman powiedział Krystynie, że kupił już bilet na samolot. Ucieszyła ją ta wiadomość. Teraz już nie miała wątpliwości, że na pewno przyjeżdża. Roman poprosił, żeby nie wyjeżdżała po niego na lotnisko.

– Przylecę w poniedziałek około południa – powiedział. – Będę w domu gdzieś przed szesnastą. Najlepiej przyjedź do mnie do Aleksandrowa prosto po pracy. W ten sposób będziemy się widzieli zaraz po moim przylocie. Szkoda tracić dzień z twojego urlopu.

Zgodziła się z nim. Fakt, że przylatywał w dzień powszedni i do tego rano, uniemożliwiał jej przybycie na lotnisko, żeby go powitać, bez konieczności wzięcia urlopu. Zajęło mu jednak sporo czasu, żeby ją przekonać, że jej przyjazd do Warszawy nie miałby większego sensu. Ostatecznie spotkali się u niego w mieszkaniu. Była bardzo szczęśliwa, że znowu go widzi. On też wyglądał na szczęśliwego. Wieczorem dała mu odczuć, jak bardzo za nim tęskniła. Później jeszcze raz przedyskutowali wizję Romana ich wspólnej przyszłości. Ustalili, że tak jak sugerował, będą korzystali z życia na maksa: jak najwięcej rozrywek kulturalnych – teatru, kina, spektakli muzycznych i widowisk oraz mnóstwo zwiedzania.

ROZDZIAŁ 28

Wielka Sobota, 30 marca 2013, godzina 16:20 CST

Każdej soboty od śmierci Juana Luisa czuła się bardzo osamotniona i nie mogła znaleźć sobie miejsca w domu. Była w głębokiej depresji. Tego dnia czuła się lepiej. Miała zajęcie. Kręciła się po domu, sprząając rozrzucone ubrania, książki i płyty. Spodziewała się wizyty przyjaciółki, Eriki. Musiała się spieszyć. Była już godzina 16:30, a Erika miała przyjść o siedemnastej. Pozostało jej już tylko pół godziny na przywrócenie porządku w mieszkaniu. Salon już jako tako wyglądał. Poszła do kuchni. Tam pochowała do szafek stertę naczyń z suszarki, umyła stół oraz Kuchenkę i zamiotła podłogę. Sprawdziła, czy ma kawę i herbatę. Erika przybyła dwadzieścia minut po piątej. Jak zwykle wniosła z sobą radość życia. Z natury była bardzo pogodną osobą. Nigdy niczym się nie przejmowała i jako taka była doskonałym i uzupełnieniem, i przeciwieństwem Luisy. Przyjaźniły się od bardzo wielu lat, od czasów szkoły średniej. Razem przeżyły zwariowane wypadki i eskapady nastolatki. Czasami pożyczaly sobie ciuchy, jakkolwiek częściej robiła to Erika. Niektórych zresztą do dzisiaj jej nie oddała. Mimo to ich przyjaźń utrzymała się przez wiele lat. Erika była nauczycielką angielskiego w szkole średniej. Według Luisy Erika była puszczalska. Aktualny jej chłopak to uczeń klasy czwartej liceum. Na imię miał Adrian. Dla porządnej Luisy taki romans nie mieścił się w głowie. Bała się o przyjaciółkę, że wpadnie i zwolni ją z pracy, a w najgorszym wypadku wylądować w więzieniu. Jednak Erika nie przejmowała się niczym. Również podczas tej wizyty wniosła do jej domu radość, żadnych trosk. Widząc Luisę w ponurym nastroju, powiedziała:

– A może byśmy wybrały się dzisiaj na dyskotekę? Są święta. Adrian mówi, że w Polanco, od kiedy zmienił się właściciel, dyskoteka la Gata Rosa stała się bardzo modna. Każdego dnia walą tam tłumy. Chodź, idziemy! Dziewczyny wchodzi poza kolejką i za darmo – namawiała Luisę.

Entuzjazm Eriki ją przekonał, zwłaszcza że Erika nie rozumiała słowa „Nie”. Zaciągnęła ją do sypialni, wybrała z szafy najbardziej wyzywający strój, jaki znalazła, i powiedziała:

- Ubieraj się!
- W tym nie pójdę – odpowiedziała Luisa.
- To wybierz, co chcesz.

To przeniosło dyskusję z tematu „Czy iść na dyskotekę?” na temat „W czym iść na dyskotekę?”. Luisa zaczęła grzebać w szafie. Wyjęła swoją ulubioną czarną sukienkę bez rękawów, w której kiedyś była u Romana na kolacji. Do tego założyła ciemne rajstopy i czarne szpilki. A z biżuterii gruby srebrny łańcuszek i kolczyki w kształcie dużych kół. Do tego ciemne bolerko, które narzuciła na ramiona.

- Jeszcze tylko się umaluję i możemy iść – powiedziała do Eriki.

– Pomogę ci – zaproponowała koleżanka.

Nie chciała, żeby Luisa zmieniła zdanie. Poszła z nią do łazienki i przyglądała się, jak ta się maluje. Po chwili usłyszały dzwonek u drzwi. Luisa, która nie spodziewała się gości i do której od miesiący nikt nie przyszedł, spojrzała pytająco na Erikę.

– To tylko Adrian. Został na zewnątrz, żeby coś załatwić. Pewnie już skończył i wrócił – powiedziała Erika i poszła otworzyć drzwi.

To był rzeczywiście Adrian. Jego przyście przyspieszyło jej zabiegi upiększające. Luisa wrzuciła kosmetyki do plastikowego etui i powiedziała:

– Skończę u ciebie, chodźmy.

Udali się do samochodu Eriki. Prowadził Adrian. Jakies pół godziny później znaleźli się w jej domu.

– Proponuję, żebyśmy coś zjedli przed wyjściem – powiedziała Erika. – Mam gotowe guacamole oraz chile relleno. Dajcie mi pół godziny, a wszystko przygotuję, ty w tym czasie możesz dokończyć makijaż – zwróciła się do Luisy.

Tak też zrobili. Pół godziny później usiedli przy stole. Luisa i Adrian byli już gotowi do wyjścia. Po kolacji Erika poprosiła, aby wynieśli naczynia do kuchni i dali jej chwilę na wyszykowanie się.

– Za pół godziny będziemy mogli wyjść – powiedziała i poszła do łazienki.

Pół godziny później rzeczywiście była już gotowa. Wyruszyli więc do Polanco. La Gata Rosa rzeczywiście była popularnym miejscem. Mimo że do otwarcia pozostało jeszcze trochę czasu, przed wejściem kłębił się już tłum ludzi. Parking był zapelniony. Adrian znalazł wolne miejsce dopiero trzy ulice dalej, skąd musieli przejść piechotą. Stanęli w kolejce i czekali na wpuszczenie.

Manito siedział w kącie przy barze. Wszyscy jego ludzie byli już na miejscu i zdążył przydzielić im zadania. Teraz pozostało mu tylko ich nadzorować. Za jakieś piętnaście minut otworzą bramę i jak zwykle wtargną setki gości. Barman Antonio postawił przed nim coca-colę.

– Napij się! Ponuro wyglądasz. Coś cię męczy, Manito? – zapytał.

– Jestem zmęczony – odpowiedział.

– Muszę przyznać, że ciężko pracujesz. Ja też w zasadzie czuję się zmęczony. Co noc siedzieć do czwartej, to człowieka wykańcza. Marzę o tym, żeby pójść na plażę, położyć się, pobyczyć i być obsługiwanym przez innych.

– Mnie też coś takiego by się przydało – odpowiedział Manito.

Obydwaj zamilkli.

– Wiesz co? Ty też wyglądasz smutno. Podejdz bliżej, powiem ci okolicznościowy dowcip. Może poprawi ci się humor. Rzecz dzieje się w czasie drugiej wojny w Iraku, tej rozpoczętej przez syna. Do baru w Nowym Jorku

wchodzi facet i prosi o dwa drinki. Oba wypija z marszu i wychodzi. To samo następnego dnia i następnego... Aż zaciekawiło to barmana, dlaczego gość ciągle wypija tylko dwa, nie jeden, nie trzy – trzeciego mu oferował na koszt zakładu – tylko zawsze dwa. „Bo widzi pan, piję za przyjaciela i z przyjacielem, który walczy w Iraku”. To było zrozumiałe. Przez kolejne kilka dni barman serwował dwa drinki bez zadawania dalszych pytań. Aż któregoś dnia gość poprosił tylko o jeden drink. „Mam nadzieję, że nic się nie stało pańskiemu przyjacielowi?” – zapytał zaniepokojony barman. „Nie, z nim jest wszystko w porządku. To tylko ja przestałem pić”.

Antonio szczerze się roześmiał.

– Dobrze – powiedział. – Tak to i ja mogę przestać. Mogę pić z tobą i za twoje zdrowie?

– A pij! – odpowiedział z powagą Manito.

Ponownie pogrążył się w ponurych rozmyślaniach. Nie było mu do śmiechu. Upłynął już rok od czasu, gdy został szefem ochrony w dyskotecie. Praca nie była ciężka, ale męcząca, bo zarywało się noce. Dawała jednak zarobić. Oprócz wysokiej pensji miał dodatkowe dochody. Ci z bramy płacili mu za to, aby tam pozostać. Inni dzielili się zyskami z pokątnej sprzedaży narkotyków, żeby nie patrzył w ich stronę. Manito nie trudnił się żadnym procederem. Nie brał pieniędzy bezpośrednio od gości, ale i tak miesięcznie wyciągał sto tysięcy pesos, w tym dużo gotówki – każdego wieczoru zarabiał od jednego do dwóch tysięcy pesos ekstra. Dyskoteka była czynna pięć dni w tygodniu, nie mógł więc narzekać na zarobki, ale czuł się wykończony. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio miał wolną sobotę. „Chyba nigdy” – pomyślał. Co gorsze, martwiło go, że czas płynie, a w jego życiu nic się nie zmieniło.

Tęsknił za tym, żeby mógł wreszcie założyć rodzinę. Przestał już nawet jeździć do swojego domu w San Nicholas de Obispo. Samotne wieczory w tak pięknym domu stały się zbyt uciążliwe. Doszło do tego, że wolne dni w niedzielę i poniedziałek wolał spędzić w Polanco, niż jeździć do Morelii. W niedzielę zazwyczaj dzwonił do Gabi, która oferowała swoje usługi na telefon. Manito był jej stałym klientem. Lubił seks z nią, chociaż irytował go fakt, że w pozostałe dni tygodnia ona obsługuje innych mężczyzn. Nie miał natury alfonsa i niechętnie dzielił się nią z kimkolwiek. Chociaż rozumiał, że w przypadku Gabi nie ma nic do powiedzenia – taki był jej zawód, z tego żyła. Pamiętał swoje nadzieje związane z nową pracą. Spodziewał się, że będąc szefem ochrony, będzie mógł wyrwać dowolne dziewczyny. To jednak okazało się ułudą. Fajne dziewczyny przychodziły w towarzystwie mężczyzn i były zazwyczaj zajęte. Te wolne natomiast, które przychodziły z koleżankami, niewarte były zachodu. Poza tym miał już czterdzieści pięć lat i wiele młodych dziewcząt nie było nim zainteresowanych ze względu na różnicę wieku. Nie bardzo miał też czym im zaimponować. Dla dziewcząt był tylko

ochroniarzem i to o skromnej posturze. „Dni i tygodnie mijają – ponuro myślał Manito – a u mnie ciągle bez zmian”.

Nadszedł czas otwarcia dyskoteki. Ochroniarze przy bramie otworzyli drzwi i zaczęli wpuszczać gości. Manito obserwował wchodzących. Jak zwykle, grupy młodych kobiet w towarzystwie mężczyzn. Jak zwykle żadna nie była dla niego. Żadna z wchodzących kobiet nie miała też odpowiedniego wieku. Aż nagle... „Czyżby to była Smutna? – zapytał sam siebie Manito. – Tak, to ona!” Uważnie przyjrzał się kobiecie w czarnej krótkiej sukience. Wyglądała uroczo, chociaż też na bardziej smutną, niż gdy ją widział ostatnim razem. Była w towarzystwie koleżanki, mniej więcej w jej wieku, i młodego mężczyzny. Manito szybko się zorientował, że chłopak towarzyszy tej drugiej. Wreszcie los się do niego uśmiechnął! Kobieta jego marzeń przyszła sama do niego.

Chociaż on sam tak o sobie nie myślał, Manito był mordercą. Nie był świadomy tego, ale był psychopata. Sam uważał siebie za wartościowego człowieka. Był głęboko religijny. To właśnie on był inicjatorem zawieszenia powitalnych transparentów na przyjazd papieża Benedykta XVI do Meksyku pod koniec marca 2012 roku. Z jego inicjatywy Templariusze zgodzili się i zobowiązali nie stosować żadnych aktów przemocy podczas wizyty papieża. Tekst na jednym z transparentów głosił, że w czasie wizyty kartel Templariuszy nie będzie uczestniczył w żadnych działaniach zbrojnych. Inny tekst głosił, że „Templariusze nie są mordercami” i że „Templariusze witają papieża”. Transparenty zostały zawieszane na mostach na trasie przejazdu papieża w okolicach Guanajuato, jednak zostały zdjęte przez służby porządkowe, zanim papież zdążył je zobaczyć. Ale Manito był dumny ze swojej akcji. W każdą niedzielę uczestniczył we mszy i chętnie spotkałby się z papieżem. Równocześnie Manito był przesądny. Fakt przybycia Smutnej do dyskoteki potraktował jako dobry omen. Chociaż go to poruszyło, jednak spokojnie obserwował, jak trójka nowo przybyłych podążała za kelnerem, który prowadził ich do stolika.

Manito przywołał Antonia i poprosił go o przygotowanie butelki szampana Veuve Clicquote Ponsardin. Następnie przywołał Rosannę i poprosił, żeby podała go do stolika, przy którym siedziała Smutna. Obserwował, jak Rosanna podchodzi do stolika, stawia butelkę szampana z trzema kieliszkami i pokazuje palcem na niego. Spotkał się z wdzięcznymi uśmiechami. Smutna nawet pomachała mu ręką. Manito zdecydował, że musi zrobić następny krok. Serce biło mu bardzo mocno. Było to dla niego nowe przeżycie, nigdy wcześniej nie czuł się tak poruszony przed poznaniem nieznanego kobiety. Odczekał jednak chwilę, zebrał się na odwagę i podszedł do trójki gości, pośród których znajdowała się Smutna. Widział, że młody mężczyzna tuli się do tej drugiej, jasnowłosej. Ciemnowłosa Smutna siedziała po przeciwnej stronie blondynki, sama. Podszedł z zapytaniem, czy stolik im odpowiada i czy nie chcieliby przenieść się do łoża. Stwierdzili, że chętnie to

zrobią. Manito kiwnął na Rosannę i poprosił, żeby przeniosła drinki i butelkę z szampanem na stolik w łoży. Tak jak przewidywał, blondynka ze swoim chłopakiem usiedli na ławce po jednej stronie stolika, Smutna po drugiej. To dawało mu szansę przysiąc się do nich i mieć Smutną tylko dla siebie. Zapytał, czy może się przysiąc. Zgodzili się. Zaczął rozmawiać ze Smutną przyciszonym głosem. Widząc, że druga para była całkowicie zajęta sobą, zwrócił się do Luisy:

– Pozwoli pani, że się przedstawię. Mam na imię Jose, chociaż przyjaciele nazywają mnie Manito. Niestety, nie jestem tutaj gościem, lecz pracuję. Jestem szefem ochrony i muszę mieć baczenie na moich ludzi oraz gości, więc nie będę dzisiaj mógł pani poświęcić dużo czasu. Ale byłbym wdzięczny, jeśli moglibyśmy się spotkać, na przykład jutro.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała Luisa.

– Ja po nocce zwykle śpię do południa, może więc umówimy się na lunch?

– Lunch? Tak, z przyjemnością – powiedziała.

– Czy lubi pani włoską kuchnię?

– Bardzo.

– Znam sympatyczną restaurację na Homero. Nazywa się Santino. W niedzielę serwują tam doskonałe ossobuco. Będzie mi bardzo miło tam się z panią spotkać. O której najbardziej by pani odpowiadało?

– W zasadzie mam całą niedzielę wolną – odpowiedziała Luisa. – Może o drugiej? Czy ta godzina panu pasuje?

– Jak najbardziej – odpowiedział Manito.

– No to jesteśmy umówieni.

– Świetnie – dopowiedział Manito. – A czy byłaby pani tak uprzejma i podała mi swój numer telefonu, żeby nie było kłopotu ze spotkaniem się?

– Nie ma problemu. Proszę zapisać – i podyktowała mu numer.

– Dziękuję bardzo. Zarezerwuję stolik. Pozwolicie państwo, że się pożegniam – Manito zwrócił się do pozostałych, mówiąc głośniej. – Niestety, obowiązki wzywają, muszę już iść. Było mi bardzo miło państwa poznać – powiedział, odchodząc. – Życzę miłej zabawy.

Następnego dnia Manito przybył do restauracji dziesięć minut przed czasem i usiadł przy przydzielonym mu stoliku. Z uwagi na to, że był tu częstym gościem, znał dobrze właściciela. Poprosił, żeby odłożył dla niego dwie porcje ossobuco, jako że danie było bardzo popularne i zdarzało się w niektóre niedziele, że mogło zabraknąć.

Luisa przyszła punktualnie. Była w białym kostiumie, a na nogach miała sandaalki na szpilce. Wyglądała zjawiskowo.

– Rozumiem, że skusi się pani na ossobuco? – zapytał Manito.

– Tak, bardzo chętnie – odpowiedziała Luisa. – Jak je tu przyrządzają? W warzywach?

– Nie jestem pewien. Na pewno podają z dużą ilością marchewki i duszonej cebuli. Jest naprawdę smaczne i robią je rzeczywiście z przeciętych w poprzek nóżek cielęcych, a nie, jak w wielu innych restauracjach, z golonki. Nie wiem, czy pani wie, że ossobuco to po włosku „dziura w kości”.

– Tak, wiem, jadłam je kilka razy. Uwielbiam szpik.

– No to mamy podobne gusta, bo ja też jadam ossobuco dla szpiku.

Zamówili. Jako dodatek wzięli pieczone ziemniaki. Manito zamówił też na deser dwie porcje cannoli.

– Tutaj cannoli są wyśmienite – powiedział. – Nie będzie pani mogła im się oprzeć.

Zamówił również dwa espresso. Nie czekali długo. Ossobuco przygotowuje się w dużych ilościach i nie wymaga indywidualnego przyrządzenia.

– Rzeczywiście ossobuco jest wyśmienite – powiedziała Luisa po spróbowaniu. – Jest soczyste i dobrze przyprawione.

– Zgadza się – odpowiedział Manito. – A co by pani powiedziała, żebyśmy po obiedzie udali się do Puebli do Parque Africam Safari? Jeśli oczywiście nie ma pani innych planów na dzisiaj.

– Bardzo chętnie.

Spędzili razem całe popołudnie. W parku Manito zaparkował auto przy dużym centrum rekreacyjnym. Było tam kilka restauracji, toalety, place zabaw dla dzieci i wiele stołów i ławek na zewnątrz.

– Może będziemy mówili do siebie po imieniu? – zaproponował Manito. – Mów do mnie Jose.

– Okej – odpowiedziała. – Luisa.

Było już po dwudziestej pierwszej, gdy Manito odwiózł ją do domu.

– Może spotkamy się jutro? Nie lubię jeść w samotności. Możemy spotkać się jutro po południu?

– Myślę, że możemy – odpowiedziała Luisa. – Jestem wolna i bez zobowiązań – dodała po chwili.

Umówili się na lunch w poniedziałek. Manito obiecał, że przyjedzie po nią i pójdą do jakiejś restauracji. Chyba że Luisa ma jakiś inny pomysł.

– W zasadzie to jest mi wszystko jedno – odpowiedziała. – Czyli do zobaczenia jutro – powiedziała, wysiadając z samochodu.

Na odchodne cmoknęła go w policzek.

Następny tydzień był dla Manita zupełnie inny niż poprzednie. Spotykał Luisę każdego dnia i zabierał ją do różnych restauracji. Podobało mu się to, że na wszystko się zgadzała. Podobała mu się także pod każdym innym względem. Dowiedział się, że Luisa miała piętnastoletniego syna, który niedawno zmarł, że jest samotna, nie pracuje już od przeszło dwóch lat i utrzymuje się z oszczędności. W czwartek po lunchu udał się na zakupy do Palacio de Hierro. Chciał kupić dla

siebie trochę bielizny i skarpet. Przy okazji zrobił Luisie prezent, płacąc za bieliznę, którą sobie wybrała. W zamian obdarzyła go buziakiem. Po tygodniu wspólnych lunchów Luisa zaproponowała, żeby w niedzielę przyjechał na obiad do niej. Bardzo chętnie się zgodził.

– Nie jestem zbyt dobrą kucharką – powiedziała. – Ale przygotuję guacamole i quesadillas.

– To w zupełności wystarczy – odpowiedział Manito.

Jednak gdy przybył w niedzielę, zastał stół suto zastawiony. Luisa rzeczywiście przygotowała guacamole, ale tylko jako jedną z przekąsek. Podała je razem z kukurydzianymi chipsami. Na początek zaserwowała zieloną sałatę. A jako główne danie podała quesadillas z grzybami portebello i pałeczkami surimi. Były wspaniałe i Manito zjadł aż pięć sztuk. Po obiedzie Luisa podała kawę i ciastka. Alkoholu nie pili. Manito żałował, że nie przyniósł butelki wina. Jakkolwiek Luisa powiedziała, że nie pije i stara się unikać alkoholu. Po lunchu Manito znalazł się z Luisą w jej sypialni. Pozostał w jej mieszkaniu do późnego wieczoru. Ponownie umówili się na lunch w następnym tygodniu.

Po wspólnie spędzonej niedzieli Manito czuł, że się zakochał. Nie mógł wyjść z podziwu dla Luisy – był zachwycony nią jako kobietą, gospodynią i kochanką. Była też doskonałą towarzyszką i zauważył, że trudno było się z nią nudzić. Wracając do domu, zdecydował, że w następnym tygodniu zaproponuje jej, żeby zamieszkali razem. Tak też zrobił. W poniedziałek zaprosił Luisę na lunch do szczególnego miejsca. Był to sklep, w którym można było wybrać dowolne produkty mięsne, z którymi przechodziło się do pomieszczenia obok i tam kucharze przygotowywali z zakupionych produktów grilla. W sklepie oprócz mięsa można było kupić wszystko, co do grilla jest konieczne: pikantne salsy i alkohole – wino, piwo, a nawet tequilę. Można też było kupić marynowane korniszony, paprykę i szparagi. Pośrodku stała półka z pieczywem i tortillami, a obok nich duże pojemniki z sałatkami z ryżu, makaronu i kuskusu. W lodówce opakowane w folię znajdowały się ziemniaki przygotowane do pieczenia. Luisie bardzo podobał się taki pomysł na lunch. Z mięs wybrała T-bone stek oraz aracherę. Do tego dokupiła pęczek dymki, ziemniaka do pieczenia i słoik korniszonów. Manito zaś dwa duże T-bone steki, ziemniaka oraz słoik marynowanych szparagów. Manito wybrał stolik na drugim piętrze, w rogu, z dala od innych biesiadników. Chciał porozmawiać z ukochaną o możliwości wspólnego zamieszkania. Powiedział jej, że wynajmie dla nich apartament, o którym nikt nie będzie wiedział ze względu na jej bezpieczeństwo. Dlatego zaproponował, żeby apartament był na jej nazwisko. Powiedział, że pokryje wszelkie koszty. Ku jego radości Luisa zaakceptowała propozycję bez jakichkolwiek oporów i bardzo chętnie zgodziła się na taki układ.

Nie dociekała, dlaczego martwi się o jej bezpieczeństwo. Ustalili, że to ona poszuka mieszkania, które następnie wspólnie obejrzą. Manito nalegał, żeby zrobić to jak najszybciej.

Luisa się postarała. Przez następne kilka dni obejrzelili sześć mieszkań. Każde było w rozsądnej cenie i miało rozkład, który im odpowiadał. Ostatecznie o wyborze zdecydowała cena. Wszystkie te mieszkania były w pobliżu jego pracy w Polanco. Wybrali lokum z dwiema łazienkami i dwiema sypialniami, każda z własną garderobą. Znajdowało się niecałe pięć minut drogi od dyskoteki. Miało garaż na jeden samochód oraz dostęp do wspólnego ogrodu. Posesja była ogrodzona, a wstęp zabezpieczony bramą, do której każdy z lokatorów miał własny klucz. Ustalili, że Luisa zatrzyma swoje dotychczasowe mieszkanie, Manito natomiast zrezygnuje ze swojego i oficjalnie będzie mieszkał w hotelach. Piętnastego kwietnia, zgodnie z planem, wprowadzili się do wspólnego mieszkania. Było już umeblowane i wyposażone w sprzęt gospodarstwa domowego, nie wymagało więc żadnych dodatkowych uzupełnień. Było też wyposażone w sprzęty domowe i kuchenne. Nie musieli więc niczego kupować. Gospodarz dostarczył również pościel i ręczniki, tak że można było wprowadzić się od razu.

Manito czuł się szczęśliwy. Luisa okazała się bardzo gospodarną kobietą. Utrzymywała mieszkanie w doskonałym porządku. Również sprawami domowymi zajmowała się tak, że nie musiał się martwić o zakupy czy gotowanie. Przestali wychodzić na lunchy do restauracji, ponieważ Luisa przygotowywała każdego dnia coś smacznego i pożywnego. Śniadań razem nie jadali, z wyjątkiem poniedziałku i wtorku, kiedy Manito miał wolne noce. W inne dni Manito pracował długo w nocy i prawie każdego dnia wracał do domu około godziny czwartej, a nawet piątej nad ranem. W te dni spotykali się dopiero przy lunchu około godziny drugiej po południu.

Dwa dni po przeprowadzce Manito zainstalował w szafie sejf. Musiał być dla niego ważny, bo został przytwierdzony do muru. Ponieważ Manito używał sejfu prawie każdego dnia, zaintrygowało Luisę, co takiego w nim ukrywa. Nie był to jakiś supersejf. Ten, mimo że był olbrzymi, podobnie jak sejfy w hotelach był zabezpieczony tylko czterocyfrowym kodem. Luisa wiedziała, kiedy Manito używa sejfu, bo guziki klawiatury pod naciskiem wydawały dźwięki – każdy inny. Dźwięki kombinacji, której używał Manito, układały się w łatwo wpadającą w ucho sekwencję. Następnego nocy, gdy Manito był w pracy, spróbowała ją odtworzyć. Udało jej się za piątym razem. Ucieszyła się. Miała dostęp do sejfu! Zaskoczyła ją jego zawartość. Były tam grube paczki studolarowych banknotów

i setki tysięcy pesos. Naliczyła siedemset sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Pesos było jednaście milionów czterysta tysięcy. Zdziwiło ją to. Nie wiedziała, że jej chłopak jest takim bogatym człowiekiem. „Toż to przecież fortuna, prawie dwa miliony dolarów w gotówce!” – pomyślała. Manito nie wyglądał na takiego bogatego. Do pracy chodził ciągle w tym samym czarnym garniturze i białej koszuli. Miał tylko dwie pary butów i kilka sztuk sportowych ubrań. Nawet jego samochód ford taurus nie miał dużej wartości ani klasy. „I co z tym teraz zrobić?” – zastanawiała się przez chwilę. Zdecydowała na razie nie robić nic. Usunęła ślady swojej ingerencji i zamknęła sejf.

ROZDZIAŁ 29

Wtorek, 2 kwietnia 2013, godzina 21:00 CEST

Prawie cały kwiecień był zimny i padał śnieg. Pogoda nie sprzyjała zwiedzaniu. Z tego względu, jak również z uwagi na wczesną porę roku, cała turystyczna infrastruktura w Polsce ciągle jeszcze trwała w zimowym śnie. Roman zaproponował więc Krystynie, żeby weekendy spędzali na imprezach kulturalnych. Obiecał, że przygotuje program wyjazdów i go jej przedstawi. Zaplanował je następnego dnia, gdy była w pracy. Sprawdził programy teatralne w Internecie i zamówił bilety na cały miesiąc, a dla spektakli w innych miastach również pokoje w hotelach.

Koncert życzeń w Toruniu okazał się słabym spektaklem muzycznym, w którym aktorzy prezentowali polskie piosenki z drugiej połowy XX wieku. Oboje ocenili, że spektakl był słaby.

W następny weekend obejrzeli *Cyrulika sewilskiego* w Poznaniu.

W kolejny weekend udali się do Teatru Muzycznego w Gdyni. Mimo remontu teatr działał w tak zwanej Małej Sali. Do Gdyni dotarli na dwie godziny przed rozpoczęciem spektaklu. Mieli więc sporo czasu, wzięwszy pod uwagę fakt, że Hotel Gdynia, w którym mieli zanocować, znajdował się niedaleko teatru. Krystyna założyła na tę okazję elegancką kolorową sukienkę, prezent od Romana, w której wyglądała jak zwykle urzekająco. W hotelu Roman zarezerwował pokój z widokiem na morze. Krystyna zabrała ze sobą aparat fotograficzny, do którego dostała od córki statyw, miała więc nadzieję porobić ładne zdjęcia nocne. Wieczór zapowiadał się nieźle. Mieli obejrzeć *Różowy młynek*, który kojarzył się Romanowi z Moulin Rouge, słynnym francuskim kabaretem. Roman miał nadzieję, że spektakl w Teatrze Muzycznym będzie podobnego kalibru. Rzeczywiście się nie zawiódł. Była to składanka piosenek, pogrupowanych tematycznie i prezentowanych przez konferansjerkę, która sama w sobie tworzyła kabaret i rozbawiała publiczność. Spędzili przeszło dwie godziny, szczerze się śmiejąc pośród dobrze bawiącej się publiczności. Gdy po powrocie do hotelu usiedli przy oknie, by podziwiać widoki, doleciały ich dźwięki dyskotekowej muzyki.

– A co byś powiedziała, żebyśmy poszli na dyskotekę? – zaproponował Roman.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała.

Poszła się przebrać.

– Czy dobrze wyglądam? – zapytała po kilku minutach, obracając się przed nim z wdziękiem w krótkiej spódniczce, wydekoltowanej bluzeczce i w długich butach.

Założyli skórzane kurtki i wyszli. Wbrew obawom, nie byli najstarszą parą na parkiecie. Kobiet po czterdziestce było dużo, nawet więcej niż mężczyzn.

Krystyna poczuła się nawet trochę zazdrosna, kiedy niektóre zaczęły podrywać Romana. Bawili się doskonale i zadowoleni wrócili do hotelu dopiero nad ranem. Ranek był zamglony. Poprzedniego dnia Roman wypatrzył cukiernię, w której sprzedawano racuchy z jagodami w polewie czekoladowej. Zasugerował jej, że będzie to doskonale śniadanie. Tak też zrobili. Gdynia w niedzielny ranek była całkowicie opustoszała – ani samochodów, ani pieszych na ulicach. Na szczęście cukiernia była otwarta. Zamówili racuchy i uraczyli się do syta. Były pyszne.

– Warto było wstać rano i przyjść tutaj – powiedział Roman.

Niebo zaczęło się przejaśniać, było coraz więcej słońca.

Roman pamiętał Gdynię sprzed trzydziestu lat, kiedy uczył tutaj w Akademii Morskiej. Według niego niewiele się zmieniło – Gdynia ciągle była tak samo ładna. Z nowości Roman odkrył bulwar, który ciągnął się wzdłuż plaży aż do Orłowa. Udali się więc na długi spacer. Okazało się, że w odróżnieniu od reszty miasta, deptak tętnił życiem. Był pełen ludzi – jeździli na łyżworolkach lub rowerach, biegali, ćwiczyli, niektórzy spacerowali z psami, inni z dziećmi, a niektórzy nawet się kąpali. Mimo sporej liczby potencjalnych klientów, większość barów i restauracji była zamknięta. Te, które otwarto, były zatłoczone. Wyglądało na to, że szefowie gastronomii nie spodziewali się dobrej pogody. Chociaż niektórzy uwierzyli w błękitne bezchmurne niebo – część nadmorskich restauracji była dopiero w przygotowaniu. Kelnerzy myli stoliki, sprząтали tarasy i podesty prowadzące do lokalu.

Krystyna była szczęśliwa. Pogoda zrobiła się letnia. Zdecydowali więc, że będą wracać dopiero wieczorem. Wypili po piwie. Roman, który musiał później prowadzić samochód, uznał, że do wieczoru daleko i zdąży je strawić. Około czternastej udali się na skwer Kościuszki, żeby w jednym z barów rybnych zjeść świeżą rybkę. Po obiedzie, mijając długie kolejki turystów do akwarium i planetarium, poszli na koniec skweru, żeby nacieszyć się morską bryzą, wilgotnym powietrzem i widokiem morza. Gdy wracali, zaczęło padać. Biegiem popędzili więc do samochodu i udali się w drogę powrotną do domu.

Mieli jeszcze bilety do Och-Teatru w Warszawie na *Zemstę*, na ostatnią sobotę miesiąca. Wyruszyli wcześniej rano. Jak zwykle przybyli na miejsce o wiele wcześniej. Krystyna miała więc czas na przygotowanie się. Roman zazwyczaj potrzebował na to tylko kilku minut. Przeważnie obserwował jej zmagania, gdy ona szykowała się do wyjścia. Powiedział, że uwielbia ją wtedy obserwować.

– Zastanawiam się tylko, czy robisz to dla siebie, dla mnie, czy może dla innych mężczyzn lub kobiet – powiedział. – Jest to odwieczny dylemat, który mają mężczyźni przy boku eleganckich i pięknych kobiet.

Nie za bardzo wiedzieli, gdzie znajduje się Och-Teatr, więc na wszelki

wypadek wyszli z hotelu godzinę wcześniej. Okazało się, że niepotrzebnie, bo teatr znajdował się cztery przystanki tramwajowe dalej. Dotarcie zajęło im niecałe pięć minut. Mimo że byli godzinę wcześniej, zostali wpuszczeni do dużego holu, gdzie w bufecie można było kupić coś do picia i ciastka.

Krystyna była zachwycona. Nie tyle sztuką, bo oboje ją znali bardzo dobrze, ile aktorami. Były to sławy polskiej telewizji, znane jej z różnych seriali. Roman niewiele wiedział o polskich aktorach. Nazwiska, które mu podawała, nic mu nie mówiły, ale docenił kunszt aktorski jej ulubieńców.

Następnego dnia okazało się, że w Warszawie odbywa się maraton. Ulice były pozamykane, a w Alejach Jerozolimskich praktycznie nie było ruchu samochodowego. Tradycyjnie już zrezygnowali ze śniadania w hotelu. Natomiast pojechali tramwajem na pączki do Bliklego. Było to marzenie Krystyny. Usiedli w ogródku od strony ulicy i zamówili po trzy pączki. Roman uznał, że nie różniły się niczym od zwykłych pączków. Krystyna zgodziła się z nim. Gdyby nie fakt, że tutejsze pączki zostały podane z bitą śmietaną, w smaku były takie same jak te z piekarni przy jej domu. Może niezupełnie. Różniły się ceną – kosztowały przynajmniej cztery razy tyle. Ale uznała, że warto było tutaj przyjść, kawa była znakomita, pączki też były smaczne, a co najbardziej się liczyło, to razem spędzony czas. Z Romanem nie można było się nudzić. Zawsze wymyślił coś interesującego. Tym razem stwierdził, że na ulicach jest zdecydowanie więcej kobiet niż mężczyzn. Zajęło im pół śniadania liczenie przechodniów, żeby sprawdzić, czy ma rację. Mieli podzielone zdania. W końcu uznali, że mają remis.

ROZDZIAŁ 30

Środa, 24 kwietnia 2013, godzina 14:00 CST

Dwa dni potem, jak Luisa odkryła, jak bardzo bogatego ma chłopaka, Manito zapowiedział, że chciałby z nią porozmawiać o czymś ważnym. Powiedział jej, że planuje przerzut narkotyków do Stanów Zjednoczonych. Gra jest warta ryzyka. Wartość narkotyków po drugiej stronie granicy wzrasta cztero-, a nawet pięciokrotnie.

– Chcę się odkuć. Przecież nie będę całe życie stróżował – powiedział. – Jeśli zainwestuję milion dolarów, mogę zarobić minimum cztery miliony.

Powiedział też, że w Chicago ma kuzyna, który zajmie się dystrybucją narkotyków na miejscu. Jego zadaniem jest kupić towar i przerzucić przez granicę z Tijuany do San Diego. Powiedział też, że ma przyjaciół, którzy dysponują tunelami podziemnymi do przerzutu między innymi narkotyków do Stanów.

– A czy nie jest to zbyt niebezpieczne? – zmartwiła się Luisa.

– I tak, i nie. W najgorszym razie ryzykuje się sporo gotówki. Jeśli federalni lub ktoś inny przechwycą narkotyki, to się je traci. Wtedy forsa jest utopiona. Reszta to kwestia zaufania do ludzi i kontroli. Osobę, która przerzuca towar przez tunel, mamy pod kontrolą, ponieważ ja obstawiam ten koniec tunelu, a mój kuzyn drugi. Mam tutaj kilku zaufanych chłopaków, a mój kuzyn swoich w San Diego. To, co mnie martwi, to dystrybucja w Chicago. Potrzebuję tam kogoś zaufanego, kto odbierze forszę od kuzyna i przywiezie ją tutaj. Ja, niestety, jestem persona non grata, czyli – jak to się potocznie mówi – na czarnej liście Stanów Zjednoczonych. Moim ludziom mogę zaufać, ale nie w wypadku tak dużej forsy. Pomyślałem, że może ty mi pomożesz. Zgodzisz się?

– To zależy. Ciągle nie bardzo rozumiem, czego dokładnie ode mnie oczekujesz – odpowiedziała Luisa.

– Okej, wyjaśnię ci. Pojedziesz do Chicago, zatrzymasz się w hotelu i będziesz pilnowała mojego kuzyna, żeby nie zrobił przekrętu. Chodzi o to, że jeśli nie zapłaci od ręki, to potem byłoby trudno odzyskać forszę, bo ją przepuści. Na koniec przewieziesz pieniądze do Meksyku. Dla bezpieczeństwa pojedziesz pod fałszywym nazwiskiem.

– Jeśli tak, to powinno się udać – odpowiedziała Luisa.

– To super. Będę potrzebował twoje zdjęcia do paszportu i amerykańskiej wizy oraz jedno do prawa jazdy.

– Czy podróżowanie pod fałszywym nazwiskiem nie jest przestępstwem?

– Nie musisz się obawiać. Dokumenty będą jak prawdziwe. Wiza będzie autentyczna, wydana przez amerykańską ambasadę w Guadalajara. Jeśli byłoby cokolwiek podejrzanego z paszportem, wizy byś nie dostała. Natomiast prawo jazdy będzie legalnie nabyte i nie będzie się różniło od innych praw jazdy

w Meksyku.

– Jeśli tak, to nie ma sprawy, chętnie ci pomogę – obiecała Luisa.

Następnego dnia zrobiła dziesięć odpowiednich zdjęć i jeszcze tego samego dnia wieczorem wręczyła je Manito.

– O! Świetnie! – powiedział. – Za kilka dni będziemy mieli paszporty.

Minął tydzień, zanim Manito pokazał jej dwa paszporty. Jeden był na nazwisko Guadalupe Teresa Salas, a drugi na Eva Maria Carinio. Do paszportu Guadalupe było dołączone prawo jazdy i karta płatnicza Visa na to samo nazwisko. Luisa zaczęła porównywać swój prawdziwy paszport z amerykańską wizą i z paszportami fałszywymi. Nie znalazła żadnych różnic. Zarówno paszporty, jak i wizy wyglądały identycznie.

– A jaki jest limit na tej karcie?

– To nie jest karta kredytowa, trzeba wpłacić jakąś kwotę.

– Rozumiem – odpowiedziała.

– Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby ta karta była ci potrzebna. W miarę możliwości staraj się płacić gotówką. Być może będziesz musiała płacić kartą za hotel i przy wynajmie samochodu.

– Aha, rozumiem – odpowiedziała Luisa.

– Planujemy akcję na około piętnastego maja – zakończył Manito. – Na razie niech te paszporty leżą w bezpiecznym miejscu – dodał i zamknął dokumenty w sejfie.

Na niedzielę Manito zaproponował Luisie wypad do Villa del Carbon.

– Jest tam taka mała hacjenda – powiedział zachęcająco. – Należy do mojego przyjaciela, ale on już od kilku lat przebywa w Stanach Zjednoczonych. Ja i jeszcze kilku ludzi mamy klucze i używamy tego domu dla naszych potrzeb. Spędzimy tam niedzielę i poniedziałek, zrobimy grilla, pozwiędzamy okolicę i może zrobimy jakieś zakupy. Villa del Carbon słynie z wyrobów skórzanych. Hacjenda jest oddalona od miasteczka o jakieś dziesięć kilometrów i w zasadzie leży na całkowitym odludziu. Ale łatwo tam dojechać. Teren jest górzysty i jest dużo zieleni. Pooddychamy więc czystym powietrzem i pobędziemy na otwartej przestrzeni. Na pewno będziesz zadowolona.

Wyjechali w niedzielę w południe i o czternastej byli na miejscu. Manito, tak jak obiecał, po przyjeździe rozpalił grilla i zjedli późny lunch. Przed wyjazdem Luisa zamarynowała mięsa – dania były naprawdę smaczne.

W poniedziałek rano Luisa wstała wcześniej, żeby się przejść po okolicy. Manito, który sypiał długo, pozostał w łóżku. Rzeczywiście było cicho, ładnie i bezludnie. Kilka domów w sąsiedztwie było niewykończonych albo zostały porzucone. Nie widać było w pobliżu domu zamieszkanego. Gdy wracała ze spaceru, przechodząc koło głębokiego wąwozu, wydało się jej, że na dnie spod kamieni wystaje ludzka ręka.

– Chyba mi się przywidziało – powiedziała głośno do siebie. Wolą nie sprawdzać. Szybko wróciła do domu przygotować południowy posiłek.

O trzynastej wszystkie produkty na lunch były już gotowe, wymagały tylko grillowania. Obudziła więc Manita z prośbą, żeby wstał i rozpałił grilla. Przy lunchu wspomniała mu, że chyba widziała w wąwozie, w głębi działki wystającą spod ziemi ludzką rękę.

– Musiało ci się przywidzieć – powiedział szybko Manito.

Zamilkł. Coś jakby rozważał. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się ponownie:

– Może jednak ci się nie przywidziało. Widzisz, mafia ma tutaj masowy grób. Jestem członkiem Templariuszy, dlatego mam dostęp do tego domu. Mogło się zdarzyć, że ktoś źle zasypał zwłoki. Zgłoszę to, żeby poprawili.

– Ach! – odpowiedziała Luisa. – Jesteś ważnym mafiosem?

– Dostycie ważnym.

– Zabiłeś kogoś?

– Zdarzyło się. Ale był to albo biznes, albo przytrafiło się w walce.

– Rozumiem, że nikogo nie porowasz i nie mordujesz kobiet i dzieci?

– No coś ty! Oczywiście, że nie – oburzył się Manito. – Jestem porządnym mafioso. Strzelam, nie morduję.

– No tak, to jest różnica – odpowiedziała Luisa. – Rozumiem, że masz pistolet. Możesz mi pokazać, jak się strzela?

– Chodź, pokażę ci.

Poszli za dom, gdzie Manito udzielił jej krótkiego kursu. Pokazał, jak się broń odbezpiecza i wprowadza nabój do komory. Pozwolił jej nawet postrzelać do puszek. Przeszkadzał jej jednak huk wystrzałów i po kilku próbach się zniechęciła. Mimo że przy drugiej próbie trafiła w puszkę, strzelanie jej się nie spodobało.

Więcej do tematu grobu i mafii już nie wracali. Pod koniec tygodnia Manito wystąpił z następną propozycją:

– A co byś powiedziała na to, żeby wyskoczyć na dwa dni do Morelii? Mam tam własny dom w dzielnicy San Nicholas de Obispo, około pięciu kilometrów od centrum Morelii. Samochodem to tylko cztery godziny jazdy stąd. Wyjedziemy w niedzielę rano. Ty będziesz prowadziła, a ja się prześpię w samochodzie. Zgoda?

– Bardzo chętnie pojedę – odpowiedziała jak zwykle zgodna Luisa.

ROZDZIAŁ 31

Czwartek, 2 maja 2013, godzina 13:40 CST

Teraz, gdy miał już swoją dziewczynę, Manito zdecydował, że będzie częściej jeździł do domu w San Nicholas. Ewentualnie zamierzał tam przenieść się na stałe. Czasami myślał o tym, żeby namówić Luisę na wspólne dziecko, zawieźć ją tam i zamieszkać. Powinna się zgodzić. Przecież straciła jedyne dziecko. Chociaż nie – było na to za wcześnie. Najpierw będzie musiał pogadać z Bertoldem i Enrique, żeby zrezygnowali z przywileju korzystania z domu. Będzie musiał też odnowić dom i lepiej go wyposażać. A że był człowiekiem czynu, od razu zaczął wprowadzać te plany w życie. Od czegoś trzeba było zacząć, na przykład od rozmowy z kumplami na osobności. Na początek musiał jednak przekonać Luisę, aby zechciała się tam przenieść – musiał pokazać jej dom. Trzeba było dokupić trochę nowoczesnych mebli, zwłaszcza do kuchni i salonu. Te po Ramirezach go irytowały. Kilka dni temu udało mu się okazjnie kupić dwa skórzane klubowe fotele do salonu. Zdecydował się więc kupić vana do ich przewiezienia. „A co tam... I tak drugi samochód będzie potrzebny – pomyślał. – Duży już jest potrzebny”. Trafiła mu się okazja, więc kupił vana chrysler town and country. Auto wyglądało bardzo rodzinie. Przy dachu na wysokości przednich foteli miało płaski ekran do wyświetlania filmów z DVD dla dzieciaków. Zastanawiał się przez moment, czy nie pozostawić go w takim stanie, jak jest, żeby Luisa też poczuła chęć posiadania rodziny. Kto wie, może sama mu zaproponuje, żeby był ojcem jej dziecka? Ładne marzenie, ale może poczekać. Teraz potrzebował duży samochód do przewozu dużych ładunków. Ostatecznie kazał wymontować siedzenia z drugiego i trzeciego rzędu. Na razie będzie używał vana jako ciężarówki.

Wypad do San Nicholas de Obispo uzgodnili na następną niedzielę, piątego maja. Wyjechali zgodnie z planem o godzinie ósmej rano. Całą drogę prowadziła Luisa.

Do Morelii dojechali przed południem. Pamiętała, że trzeba zrobić zakupy. Zatrzymała się więc na parkingu dużego centrum handlowego. Manito, który spał całą drogę, obudził się, gdy samochód się zatrzymał.

– Czy to już Morelia? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała. – Chciałeś zrobić zapasy na weekend. Powiedziałeś też, że chcesz kupić produkty pochodzące z Michoacán, bo podobno niełatwo je dostać w Meksyku.

– No tak. Racja. Dziękuję – odpowiedział. Widać było, że jeszcze nie oprzytomniał. – To chodźmy na zakupy.

Kupili dużo. Tak jakby przyjechali na tydzień, a nie na dwa dni. Najwięcej nabyli artykułów regionalnych. Te mieli zabrać ze sobą do Meksyku. Przy okazji Manito kupił też po butelce tequili, whisky, ginu, wódki oraz po kilka butelek

białego i czerwonego wina.

– Najwyższa pora, żebyśmy sobie zorganizowali prawdziwy bar – wyjaśnił.

Po zrobieniu zakupów udali się prosto do domu. Tym razem prowadził Manito. Przejeżdżali główną ulicą miasteczka, Luisa mogła więc wszystko obejrzeć.

Po przyjeździe do domu zakupione fotele ustawili w salonie. Jej zdaniem niezbyt pasowały do pozostałych mebli. Potem Manito rozpałił grilla i upiekł broszetki. Po sutym lunchu zrobili sjęstę połączoną z seansem gorącej miłości. Luisa zaczynała się coraz lepiej czuć w towarzystwie Manita. Dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Nie musiała się już martwić o to, skąd weźmie pieniądze na przeżycie. Była więc zadowolona, że z nim jest.

Po sjęście Manito otworzył butelkę tequili i siedząc w fotelu, zaczął pić w samotności. zaproponował jej kilka razy, aby się przyłączyła, ale odmówiła. Poprosiła też, żeby nie pił za dużo.

– Nie musisz się martwić – odpowiedział. – Mam mocną głowę i doskonale się kontroluję.

Jednak około godziny dwudziestej był już całkiem mocno wstawiony. Gdy mu to zarzuciła, zdenerwował się i pięścią uderzył ją w twarz. Cios rzucił ją na ścianę i powalił na podłogę. Pozostała tam w pozycji pólśiedzającej, głośnie płacząc. Manito oprzytomniał. Był to zimny zabójca i psychopata, ale wiedział, że bicie kobiet jest niewłaściwe. Nieporadnie podszedł do niej, pomógł jej wstać i usiąść w fotelu. Nie współpracowała. „Niech mu będzie trudno, niech mu będzie przykro” – myślała.

– Nigdy mi nie mów, że jestem pijany – powiedział. – Mam mocną głowę i się kontroluję.

– Tak, kochanie – odpowiedziała ugodowo. – Może napijemy się herbaty? To nam dobrze zrobi. Zaraz pójdę nastawić – powiedziała. Wstała z fotela i wyszła do kuchni.

Po kilku minutach wróciła z dwiema filiżankami naporów.

– Zrobiłam ci ulubioną wiśniową teasan – powiedziała, podając mu słodki napor. – Uważaj, gorące.

Dla siebie zaparzyła herbatę czarną bez cukru. Oboje popijali ciepły płyn, który stopniowo ich uspokajał. Po chwili Manito odstawił filiżankę, położył się na kanapie i usnął. Luisa również odstawiła filiżankę z resztą niewypitej herbaty. Wstała z fotela, poluźniła mu krawat, rozpięła górny guzik koszuli, zdjęła buty i wyjęła z kabury pod pachą pistolet. Położyła go na stoliku przy kanapie i poszła do sypialni. Wróciła z grubym kocem. Uniosła głowę Manita i położyła mu koc pod głowę i ramiona. Następnie wzięła do ręki pistolet, załadowała i odbezpieczyła, tak jak ją nauczył. Małą poduszkę położyła mu na czole, przystawiła pistolet i wystrzeliła. Podniosła zakrwawioną poduszkę. Manito nie

żył. Jego oczy były otwarte. Najprawdopodobniej obudził go wystrzał pistoletu. A może obudziła go ostatnia myśl przed zgonem? A może, w co wierzyła Luisa, szatan otworzył mu oczy, żeby widział swoją drogę do piekła?

W pokoju czuć było zapach prochu. Luisa wyszła przed dom, żeby sprawdzić, czy nikt nie słyszał huku wystrzału. Hałas był tak duży, że ciągle jej dzwoniło w uszach. Jednak wystrzał nie wzbudził niczyjzego zainteresowania. Posiadłość znajdowała się na odludziu, w pobliżu nie było nikogo. Luisa wróciła do domu, zaciągnęła zasłonki tak, żeby nic nie można było zobaczyć z zewnątrz i zgasiła górne światło, zostawiając tylko małą lampkę w rogu. Następnie przyniosła z sypialni drugi wełniany koc, który rozłożyła obok kanapy. Z trudem udało jej się ściągnąć ciało Manita na podłogę i ułożyć na plecach na kocu. Na moment zastygła w bezruchu. Zastanawiała się. Po chwili poszła do kuchni, przyniosła duży worek na śmieci i podłożyła go na kocu pod ramionami i głową Manita. Założyła gumowe rękawiczki, które znalazła pod zlewem w kuchni przy paczce z workami na śmieci. Ponownie poszła do kuchni i wróciła z dużym kuchennym nożem. Nucąc pod nosem słowa „Już mnie nigdy nie uderzysz, ty draniu” w rytm walca z refrenu piosenki *Y Te Vas*, zaczęła ciąć szyję trupa. Z jakiegoś powodu przypomniawszy jej właśnie ta piosenka, śpiewana przez Jose Luisa Peralesa. Może to przez podobieństwo imion, a może z powodu podobieństwa do piosenki śpiewanej przez Charlesa Aznavoura, z którą była osłuchana. Zajęło jej to przeszło pół godziny, w czasie której zmuszona była obracać, zginać, naciągać, jak również ciągnąć za głowę, trzymając ją za włosy, aby oddzielić ją od tułowia. Odetchnęła z ulgą, gdy to się jej w końcu udało. Gardło miała wysuszone od śpiewania. Postawiła głowę pionowo obok ciała. Oczy Manita wyglądały, jakby patrzył z wyrzutem. Wypiła resztę zimnej już herbaty.

– I po co ci to było, ty draniu? – zapytała surowym głosem, patrząc na jego twarz. – Masz teraz za swoje! – dodała po chwili.

Wzięła kluczyki od vana i podprowadziła go tyłem w pobliże drzwi wejściowych. Była podekscytowana i czuła się bardzo silna. Przyniosła z kuchni drugi worek i położyła go z boku przy kocu. Przełożyła głowę na worek. Następnie owinęła nogi trupa kocem i ciągnąc go za nie, przesuwając ciało na kocu po parkiecie w kierunku vana. Nie było takie ciężkie.

– Ty świni! – powiedziała w pewnym momencie Luisa, gdy zauważyła, że Manito w ostatnich chwilach swojego życia złał się. Na spodniach w kroczu była widoczna wyraźna plama.

Dociągnęła trupa do vana. Następnie weszła do samochodu, próbując wciągnąć ciało do auta. Niestety, uda wygięły się i pupa zablokowała się o próg. Wysiadła z auta. Przeszła na drugą stronę zwłok. Przykryła fragmentem koca kikut szyi, odwróciła korpus nogami od vana, podniosła tułów do góry i wepchnęła ciało do auta. Tym razem jej się udało. Ponownie weszła do samochodu. Znowu

odwróciła ciało nogami do przodu auta i pociągnęła, aż dotknęły fotela. Następnie weszła do domu, wzięła z kanapy drugi koc i przykryła nim ciało. Na wierzch wrzuciła zakrwawioną poduszkę i obie filizanki po naporach. Żałując, że nie pomyślała o tym wcześniej, weszła ponownie do samochodu, odsunęła koc i obszukała kieszenie Manita. Wyjęła z nich wszystkie znalezione przedmioty. Nie było tego dużo. W portfelu miał dokumenty, kartę kredytową na swoje nazwisko, trzy inne karty na nazwisko John Kirkpatrick oraz kilkanaście tysięcy pesos. W kieszeniach znalazła smartfona i pęk kluczy. Zdjęła mu złoty zegarek i dwa złote sygnety. Pamiętała, że Manito nosił złoty łańcuch na szyi, ale okazało się, że jak ciągnęła ciało po podłodze, zsunął się on i leżał przy progu domu. Był trochę pobrudzony krwią. Zamknęła tylne drzwi vana, podniosła łańcuch, weszła do domu i rozejrzała się, czy nie pozostały jakieś ślady. Okazało się, że nie pozostawiła najmniejszej kropli krwi. Koce i worek pomogły. Poza tym Manito mało krwawił. Nie żył już, gdy odcinała mu głowę. Najwięcej było krwi na kocu. Na szczęście nie było śladów na podwórku. Sprzątnęła więc dom, poprawiła łóżka w sypialni, umyła łańcuch w zlewie w kuchni, przy okazji zmyła kilka naczyń, które pozostały po lunchu, otworzyła bramę, wsiadła do samochodu i wyprowadziła auto na ulicę. Wyłączyła silnik i zgasiła światła. Wróciła do domu. Podniosła za włosy głowę Manita, podtrzymując na dole worek na śmieci, i nadziała ją na ozdobny bolec po lewej stronie bramy. Zamknęła ją na klucz, wsiadła do samochodu, wrzuciła worek na tył vana i ruszyła w drogę. Pojechała w kierunku wjazdu z Capuli, omijając Morelię. Jakies pięć minut później była już na autostradzie. Jechała do hacjendy w Villa del Carbon. Droga zajęła jej niecałe cztery godziny. Było około drugiej nad ranem, kiedy dojechała na miejsce. Zbliżając się do miasteczka, martwiła się tylko, czy trafi do domku. Była tam tylko raz i wtedy prowadził Manito. Na szczęście udało jej się dojechać bezbłędnie. Martwiła się też, czy przypadkiem na miejscu nie zastanie jakichś Templariuszy. I te obawy okazały się płonne. Nikogo nie było. Hacjenda była pusta. Luisa podjechała więc w pobliże wąwozu, w którym widziała grób, i przy świetle gwiazd i księżyca, posługując się kocem tak jak poprzednio w domu, zaciągnęła ciało do rowu. Po tym wszystkim położyła się spać. Spała niecałe cztery godziny. Obudziło ją światło wpadające przez niezastłonięte okno. Było dwanaście po szóstej. Jak zwykle w tej okolicy ranek był słoneczny, ale rzeński, nie było więcej niż dziesięć stopni. W vanie ciągle znajdowała się większość produktów regionalnych, które kupił Manito w Morelii. Przygotowała więc sobie śniadanie, a resztę produktów razem z pistoletem, kocami, workiem i poduszką wrzuciła do rowu. Później już tylko czekała, aż zacznie się zwykły ruch w miasteczku. Planowała udać się po zakupy. O siódmej sprawdziła, czy van nie jest poplamiony krwią. Zmyła nieliczne plamy widoczne na blasze i wyprała dywaniki. Na szczęście udało się usunąć wszystkie plamy. Filizanki zaniósła do kuchni, umyła i postawiła na suszarce. Za dziesięć dziewięta pojechała do

miasteczka i kupiła cztery worki żwiru oraz cztery worki kamieni rzecznych. Wróciła do hacjendy i zasypała ciało Manita oraz wrzucone do grobu rzeczy żwirem i kamieniami. Następnie wsiadła do vana i ruszyła w kierunku domu. Porzuciła auto z kluczykami w stacyjce i otwartymi drzwiami na obskurnej ulicy w Vatisopan de Saragossa. Stamtąd autobusem dojechała do Meksyku. Taksówką wróciła do mieszkania, w którym zamieszkała z Manitem. Postanowiła je zatrzymać. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po wejściu do domu, było otwarcie sejfu. Nadal był wypchany pieniędzmi. Znalazła też swoje paszporty z amerykańską wizą, prawo jazdy oraz kartę kredytową. Przeliczyła pieniądze. Ku jej radości było ich więcej niż poprzednio. Znalazła też jeszcze jeden złoty zegarek i szeroki złoty łańcuch. Ze smartfona wyjęła kartę SIM, a telefon włożyła do sejfu. Dołożyła oba złote zegarki, łańcuchy i sygnety. Zmieniła kod, schowała pieniądze z powrotem i zamknęła sejf. Dokumenty Manita i kartę z jego telefonu spaliła w zlewie. Poczula się szczęśliwa. Była wolna i bogata. Teraz wreszcie może dopaść Romana i mu odpłacić za wszystkie krzywdy, które wyrządził jej i synowi. Na wieczór wróciła do swojego apartamentu po jej zmarłej matce.

Następnego dnia z zainteresowaniem przeczytała notatkę w „Reformie” o porachunkach mafijnych w Morelii. Podejrzewano, że bojówkarze Los Zetas zabili Jose Morano alias Manito, jednego z ważnych bossów Templariuszy. Zginął w klasyczny sposób wskazujący na porachunki – od strzału w głowę, którą następnie odcięto i nabito na bramę posiadłości należącej do Morano. Ciało nie znaleziono.

ROZDZIAŁ 32

Wtorek, 7 maja 2013, godzina 20:20 CST

Gdy tylko Luisa wstała, zaczęła przygotowywać się do podróży do Polski. Zastanawiała się, co musi zrobić, żeby odnaleźć Romana. Wiedziała, że mieszka on gdzieś w pobliżu Torunia. Pamiętała, jak w czasie ich ostatniego pobytu w Polsce kilka razy jechali do tego miasta. Przez przypadek odkryła też nazwisko tej jego kurwy – Krystyny Szymbarskiej. Dostała od przyjaciela kopie grudniowych zbiorczych listów przewozowych bagaży. Znalazła nazwisko Romana w samolocie linii Air Canada odlatującego do Toronto. Bagaż nadany był do Warszawy. Jako punkt dostawy na wypadek zagubienia zaznaczony był Toruń. W tym samym samolocie była tylko jedna Polka – Krystyna Szymbarska. Jej bagaż też leciał do Warszawy. Jako punkt docelowy na wypadek zgubienia też wskazano Toruń. Niestety, nie udało jej się dostać szczegółowych listów transportowych. Mogłaby wtedy poznać ich adresy. Pierwszym zadaniem w Polsce było zdobycie adresów Romana i tej jego kurwy. Co dalej? W Polsce nie знаła nikogo. Przede wszystkim potrzebowała więc znaleźć jakiegoś przewodnika. Później musi albo sama znaleźć, albo zatrudnić kogoś do odszukania Romana lub Krystyny. Tak czy inaczej, sama sobie nie poradzi. Dobrze byłoby poznać jakiegoś Polaka. Najlepiej, żeby był bez rodziny, znał angielski, miał powyżej czterdziestu lat i posiadał własny samochód. Postanowiła poszukać takiego człowieka przez Internet. Przypomniała sobie, że na dysku Romana znajdował się link do polskiej strony randkowej, na którą nawet zajrzała, żeby sprawdzić ogłoszenie Romana. Postanowiła zamieścić swoje ogłoszenie. Odszukała stary plik Romana z hasłami i adresami stron. To, czego szukała, znalazła prawie natychmiast. W Google wpisała adres www.cafe.gazeta.pl. Posługując się słownikiem polsko-angielskim, zaczęła wypełniać formularz. W rubryce płeć wybrała „mężczyzna”, „wiek” – od czterdziestu do sześćdziesięciu, „województwo” – „dowolne” oraz „cel znajomości” – „dowolny”. Zaznaczyła też kwadracik „preferowane oferty ze zdjęciami”. Wyszukiwarka znalazła osiemdziesięciu dwóch mężczyzn, którzy odpowiadali tym kryteriom. Zaczęła przeglądać ogłoszenia. Domyśliła się, że liczba przy zdjęciu określa wiek mężczyzny. Posługując się programem Google’a, przetłumaczyła z polskiego na angielski opisy wybranych ogłoszeń. W ten sposób zawęziła listę interesujących ją kandydatów do dwudziestu. Najbardziej zainteresowało ją ogłoszenie Zorata. Pochodził z Mińska Mazowieckiego, miał czterdzieści pięć lat, nie zamieścił zdjęcia, a w opisie napisał, że jest „wysoki, łyсы, pryszczaty, chuderlawy i w okularach”. „Oby tylko mówił po angielsku i miał samochód” – pomyślała Luisa. Wypełniła formularz w swoim ogłoszeniu, nie załączając zdjęcia, i gdy tylko jej profil został zaakceptowany, napisała po angielsku do Zorata. Po namyśle postanowiła jednak wziąć również inne ogłoszenia pod uwagę. Odpisała jeszcze na

spot Kaziczka. Miał on pięćdziesiąt lat i pochodził z Lubartowa. Okazało się jednak, że miała szczęście i dobrze trafiła za pierwszym razem. Zorat znał angielski i miał samochód. Kaziczek natomiast odpisał: „*Ja dont spik inglish*”. Zaczęła więc korespondować z Zoratem, przygotowując grunt do spotkania. W pierwszym liście napisała mu, że jest Meksykanką, że miała kiedyś chłopaka z Polski, że związek z nim jej się bardzo podobał i postanowiła poznać następnego Polaka, żeby ewentualnie ułożyć z nim sobie życie albo spędzić miło czas. Następnie napisała, że wybiera się do Polski i byłaby wdzięczna, gdyby mógł być jej przewodnikiem. Byłaby też zobowiązana, gdyby mogli używać jego auta. Przyrzekła pokryć koszty paliwa i wszystkie inne, włączając naprawy, jeśli by takowe były potrzebne. Dodała, że pokryje wszystkie inne koszty wspólnych podróży, takie jak hotele, bilety i tym podobne.

Propozycja bardzo podobała się Zoratowi. Zapytał ją, kiedy chciałaby przyjechać. Odpowiedziała: „Jak najprędzej”. Z kolei Zorat napisał, że ma zaległy urlop za ostatnie dwa lata i może go teraz wykorzystać. Powiedział, że nie ma dzieci, nigdy nie był żonaty, jego rodzice nie żyją, a jedyna siostra mieszka w Norwegii. Im więcej dowiadywała się o Zoracie, tym bardziej była przekonana, że wybrała właściwie. W następnym liście poprosiła go, żeby wszystko, o czym piszą, zachował w tajemnicy, nie dzielił się z przyjaciółmi ani rodziną informacją o tym, że poznał dziewczynę z Meksyku i spędzi z nią wakacje. Napisała: „Będziesz miał jeszcze czas się pochwalić lub poinformować najbliższych lub przyjaciół o naszym związku, jeśli coś z tego wyjdzie”. Również w tym względzie Zorat przyznał jej rację. Zapropnowała mu, żeby spotkali się w hotelu Premier Class w Warszawie. Wybrała go ze względu na wielkość. W takim dużym hotelu łatwiej być niezauważalnym. Napisała, że przyleci do Polski dziesiątego maja wieczorem i zaproponowała, żeby Zorat dostosował do tego swój urlop. Na wszystko się zgodził. W ten sposób los Zorata został przesądzony. Uzgodnili, że zostawi mu w recepcji wiadomość, gdzie i o której dokładnie się spotkają. Poprosiła, żeby podał jej nazwisko do kontaktu. „Bo głupio by było zostawiać wiadomość dla Zorata, nie sądzisz?”. W kolejnym liście dostała nazwisko: „Tomasz Zalewski”. Zorat napisał też więcej o sobie. Pracował w firmie handlowo-usługowej ARGO w Mińsku Mazowieckim jako przedstawiciel obsługi klienta. Tomasz obiecał przygotować też samochód, żeby nie sprawiał najmniejszych kłopotów. Miał dosyć nowe auto, skodę octavię combi z 2010 roku. W odpowiedzi Luisa przedstawiła się jako Guadalupe, tak jak miała napisane w jednym z paszportów. Napisała mu, że niezbyt lubi swoje imię i że przyjaciele nazywają ją Lupa. Jeśli chce, może tak się do niej zwracać. Poprosiła go, żeby wziął miesięczny urlop. Tomasz z radością przyjął jej propozycję i cieszył się na spotkanie. Nareszcie zdarzyło się coś ciekawego w jego dotychczas monotonnym życiu.

Luisa zdecydowała się polecieć do Polski z Orlando. Obawiała się podróży na lewych dokumentach i pod fałszywym nazwiskiem. Po namyśle zdecydowała się jechać autobusem z Meksyku do San Antonio w Teksasie, a następnie stamtąd do Orlando, skąd dalej zamierzała lecieć Lufthansą do Warszawy. W ten sposób nie ryzykowała, że zostanie aresztowana w Stanach Zjednoczonych, gdyby z paszportem lub wizą okazało się coś nie tak. „Gdy będę jechała autobusem, w najgorszym razie cofną mnie na granicy” – myślała. Ten plan miał zdecydowanie większe szanse powodzenia również dlatego, że na granicy Meksyku ze Stanami Zjednoczonymi Amerykanie zwracają większą uwagę na wizy niż na paszporty. Nie była pewna paszportu, ale polegała na wizie. Natomiast przy wylocie z lotniska w Meksyku większą uwagę zwracano na paszport. Jeśli byłoby coś z nim nie w porządku, mogłaby nie przejść kontroli paszportowej i ryzykowała areszt w Meksyku. Zdecydowanie jazda autobusem i przekroczenie granicy lądowej do Stanów wydawało się opcją o wiele bardziej bezpieczną.

Nie знаła cen w Polsce, ale sądziła, że dwadzieścia tysięcy dolarów powinno wystarczyć na pokrycie wszelkich wydatków. Spodziewała się, że jej podróż nie powinna trwać dłużej niż dwa miesiące. Postanowiła więc wpłacić na swoją nową kartę kredytową odpowiednią kwotę pieniędzy. Sprawdziła kurs wymiany w Internecie i wyszło jej, że będzie miała do dyspozycji przeszło sto tysięcy złotych. Nie wiedziała, czy jest to dużo, czy mało, miała tylko nadzieję, że wystarczy. Z energią zabrała się do działania. Następnego dnia kupiła bilet na samolot z Orlando do Warszawy i z powrotem do Guatemali dziesiątego lipca, skąd zamierzała wrócić do Meksyku autobusami. Uznała, że jazda autobusami jest bardziej anonimowa niż latanie samolotem, gdzie za każdym razem należy podać nazwisko, które później umieszczone jest w dokumentacji lotu. W autobusie jest się niewidocznym.

ROZDZIAŁ 33

Piątek, 10 maja 2013, godzina 18:20 CEST

Luisa siedziała już w samolocie do Warszawy. Lądowanie było przewidziane na godzinę 18:22. Jak do tej pory jej plan sprawdzał się wspaniale. I paszport, i wiza okazały się solidne. Bez problemu dotarła do Orlando, a potem do Frankfurtu. W tej chwili skupiła się na Warszawie. Miała zarezerwowany pokój w hotelu Premier Class. Umówiła się w nim na dziewiątą wieczorem z Tomaszem.

Dostała pokój na siódmym piętrze z widokiem na szeroką ruchliwą ulicę. Planowała zostać w tym hotelu dłużej. Rozpakowała walizki i rozłożyła kosmetyki w łazience. Czuliła się śpiąca, więc nastawiła kafeterię. Obok niej znalazła kawę rozpuszczalną, saszetki z cukrem oraz mleczka kokosowe w proszku. Kawa ją trochę orzeźwiła. Pozostały jej dwie godziny do spotkania z Tomaszem. Zdecydowała nie zostawiać dla niego wiadomości w recepcji, a udać się do holu i tam na niego poczekać. Chciała zrobić mu niespodziankę. Ale tak naprawdę chciała się upewnić, że wybrała odpowiedniego mężczyznę. Gdyby się jej nie spodobał, zawsze mogła go zignorować i nie podchodzić do niego. Bez wiadomości od niej nie miałby najmniejszej szansy, żeby ją znaleźć. Co on o niej wiedział? Tylko że ma na imię Lupa. W hotelu zarejestrowała się jako Teresa Salas. W recepcji Lupa nie istnieje. A że jest Meksykanką? Kto by o tym pamiętał w takim molochu? Poza tym hotele nie udzielają informacji o gościach. Wierzyła, że ten też ma taką zasadę i się do niej stosuje.

Zjechała do holu dziesięć minut przed dwudziestą pierwszą. Usiadła na kanapie naprzeciwko recepcji i obserwowała gości. Tomasza rozpoznała natychmiast. Siedział w fotelu jakieś dziesięć metrów od niej. Pomyślała, że pewnie czeka, aż nadejdzie godzina dziewiąta, żeby podejść do recepcji i sprawdzić, czy jest wiadomość od niej. „Co za głupek. Przecież wiadomo, że jeśli by zostawiała list, to nie w ostatniej chwili. Informacja już czekałaby w recepcji” – pomyślała z pogardą. Zwróciła na niego uwagę, bo natarczywie się jej przyglądał. W myślach porównała wygląd mężczyzny ze zdjęciami, które jej wysłał Zorat. Była pewna, że to on. Przyglądał jej się, bo była Meksykanką. Pewnie rozważał, czy to z nią jest umówiony. Po dwóch minutach podeszła do niego i zapytała:

– Tomasz?

– Tak. Lupa? Tak myślałem, że to ty. Miło cię poznać.

– Pytałeś już w recepcji?

– Jeszcze nie. Postanowiłem poczekać do dwudziestej pierwszej.

– Nie musisz już pytać. Przecież już się znaleźliśmy. Chodźmy do pokoju.

– Pozwolisz, że tylko zabiorę walizkę z samochodu?

– Dobrze, poczekam tutaj – odpowiedziała.

Tomasz wyszedł na zewnątrz budynku i po chwili wrócił z małą walizką

w ręku.

– Jestem gotów – powiedział.

– No to chodźmy.

Wjechali windą na siódme piętro i weszli do pokoju.

– Rozgość się, proszę – powiedziała. – Czy już coś jadłeś? Bo ja jestem bardzo głodna. Jeśli chcesz mi towarzyszyć, to chodźmy. Zapraszam!

Zjechali na dół do restauracji. Lupa uważnie mu się przyglądała. Był zwyczajny i nieskomplikowany. Nie był pryszczaty ani łysy. Był szczupły, ale nie chuderlawy. Rzeczywiście nosił bardzo brzydkie okulary. Był w jakiś sposób nijaki. Ale był wysoki i wyglądał na silnego. „Nie jest źle” – pomyślała. Po minie Tomasza widziała, że mu się podoba. Ponieważ nie widział jej zdjęcia, był mile zaskoczony jej wyglądem. Widać było, że stara się dobrze wypaść. Był rozmowny, starannie dobierał słowa i ciągle się uśmiechał. Zjedli kolację bez alkoholu i wrócili do pokoju. Usnęli późno w nocy. W pokoju było tylko jedno łóżko.

Przy śniadaniu Lupa zaproponowała, żeby uzgodnić plany na najbliższy miesiąc. Powiedziała Tomaszowi, że chciałyby spędzić dwa tygodnie w Warszawie i dwa na zwiedzaniu Torunia, Bydgoszczy, Poznania i Gdańska. Powiedziała mu, że ma w Toruniu starą przyjaciółkę, Krystynę Szymbarską, z którą straciła kontakt wiele lat temu i nie zna jej aktualnego adresu. Wie tylko, że mieszka w Toruniu lub okolicy. Chciałyby ją odszukać. O Romanie mu nie wspomniała. Nie chciała go spłoszyć. Dodała natomiast, że chciałyby pozostać w Toruniu tak długo, aż odszuka Krystynę. Na Bydgoszcz i Poznań przewidziała dwa dni, a na Gdańsk, o którym słyszała, że jest ładnym miejscem, cztery dni. Tomasz zastanawiał się, w jaki sposób odnaleźć panią Krystynę.

– Jeśli chodzi o odszukanie twojej przyjaciółki, to najlepiej byłoby posłużyć się biurem detektywistycznym – powiedział. – Ale może uda się ją namierzyć w Internecie. Bardzo by to uprościło sprawę, gdyby udało się odszukać jej numer telefonu lub adres w ten sposób.

– W pokoju mam komputer. Próbowałam już ją znaleźć, ale mi się nie udało, może tobie pójdzie lepiej.

– Spróbuję.

Po powrocie ze śniadania Tomasz od razu usiadł do komputera, żeby poszukać Krystyny Szymbarskiej. Niestety, jemu też się nie udało.

– Chyba jednak będziemy musieli skorzystać z biura detektywistycznego – powiedział, wyłączając komputer.

– Czy mógłbyś mi pomóc się tym zająć? Bez znajomości polskiego praktycznie nie jestem w stanie nic tutaj załatwić. Na szczęście w hotelowej recepcji mówią po angielsku, ale na ich pomoc nie mogę liczyć.

– Nie przejmuj się – odpowiedział Tomasz. – Zajmę się tym w Toruniu.

Tej nocy Tomasz dał z siebie wszystko, aby ją usatysfakcjonować. Starał się tak bardzo, że mu się to udało.

ROZDZIAŁ 34

Niedziela, 12 maja 2013, godzina 12:30 EDT

Prawie cały maj Roman zamierzał spędzić w Kanadzie. Poleciał tam pozałatwiać sprawy finansowe oraz w odwiedziny do córki. Chciał też zobaczyć swoją wnuczkę, której nie widział przeszło pięć lat. Tak jak się obawiał, wnuczka go nie poznała. On zresztą też by jej nie poznał, gdyby ją spotkał na ulicy. Przez pięć lat dziewczynka zmieniła się nie do poznania. Zaskoczyło go uczucie tremy, które go ogarnęło, gdy pierwszy raz po tak długiej przerwie ją zobaczył. Odkrył, że ma trudności z porozumieniem się z nią. Mimo że wnuczka mówiła płynnie po francusku i angielsku, mimo że kiedyś jego francuski był dobry, nie mogli się dogadać w tym języku. Przeszło sześć lat używania hiszpańskiego sprawiło, że ciągle wtrącał hiszpańskie słowa albo mówił po francusku z hiszpańskimi końcówkami i akcentem. To było za dużo dla ośmiolatki. Zastanawiał się, dlaczego wnuczka czasami nie odpowiada na zadane jej pytanie i dowiedział się od córki, że po prostu ona go nie rozumie. Od tego czasu do końca pobytu starał się mówić tylko po angielsku.

ROZDZIAŁ 35

Sobota, 25 maja 2013, godzina 17:40 CEST

Chociaż Luisa już kiedyś zwiedzała Warszawę z Romanem, miasto bardzo się jej spodobało. Odkryła je na nowo. Tomasz dobrze znał stolicę swojego kraju i okazał się dobrym przewodnikiem. Kiedy była tutaj z Romanem, padało i niewiele mogli zwiedzić. Po pierwszym dniu praktycznie nie wychodzili z hotelu. Toteż dla niej wszystko było nowe. Tomasz zaprowadził ją na Stare Miasto, pokazał Wilanów i Łazienki, a nawet zaprowadził ją na Brzeską na Pradze. Zgodnie z umową, płaciła za wszystko. Z początku Tomasz protestował.

– Daj temu spokój – powiedziała. – Umowa to umowa. Jestem twoim gościem w tym sensie, że pokazujesz mi swój kraj. Ale w sensie utrzymania to ty jesteś moim gościem. Tak się umówiliśmy i tego będziemy się trzymać.

To zakończyło dyskusję o płaceniu. Tomasz już więcej nie protestował, ale czuł się skrępowany. Dlatego Lupa musiała o wszystkim decydować. Sam nigdy nie zaproponował wejścia do restauracji, czy na piwo. Gdy przechodzili obok jakiegoś ogródka i widziała, że Tomasz spogląda z zainteresowaniem, zazwyczaj mówiła:

– Może wstąpimy tutaj na piwo? Co o tym sądzisz?

Ani razu się nie zdarzyło, żeby Tomasz powiedział „nie”. Wchodzili więc do środka, gdzie ona zazwyczaj piła sok albo herbatę, a Tomasz piwo. Polska okazała się tanim krajem. Ceny nawet w bardzo wyszukanych restauracjach były niższe niż w gorszych restauracjach w Meksyku.

Dwa tygodnie przeznaczone na Warszawę upłynęły bardzo szybko. Nadeszła sobota dwudziestego piątego maja.

– Może jutro pojedziemy do Torunia? – zaproponowała Lupa. – Zarezerwowałam tam pokój na cztery noce w hotelu Retman od jutra wieczorem. Już zapłaciłam.

– Jestem za – odpowiedział Tomasz.

Zapisał adres w GPS-ie, żeby łatwiej odnaleźć hotel. Niedzielne przedpołudnie spędzili na zwiedzaniu Zamku Królewskiego. Ruszyli w drogę późnym wieczorem. Pozostało im jeszcze około pięćdziesięciu kilometrów do Torunia, gdy Tomasz powiedział, że musi zatankować. Zatrzymali się na najbliższej stacji benzynowej. Tomasz zajął się tankowaniem, a Luisa weszła do sklepu. W środku doznała szoku. W pewnym momencie do sklepu wszedł mężczyzna tak podobny do Romana, że chciała podejść do niego i rzucić mu się w ramiona. Zreflektowała się jednak, gdy ten spojrzał na nią obojętnym wzrokiem i zajął się swoimi sprawami. Trochę ją to zdenerwowało. Widziała, jak przygotował dwie kawy, po czym z jedną wyszedł na zewnątrz. Po chwili wrócił do sklepu. Wziął swoją kawę i prawie duszkiem ją wypił. Następnie kupił butelkę

coca-coli i batonik. Zapłacił i wyszedł ze sklepu. Luisa zaczęła przeglądać wafelki i czekolady, szukając swoich ulubionych, które chciała kupić na drogę. Wzięła też butelkę coca-coli, zapłaciła za wszystko, także za benzynę na jedyńce, jak powiedział Tomasz, który do niej dołączył. Wyszli razem ze sklepu, akurat gdy „Roman” odjeżdżał. Za kierownicą siedziała starsza, wysoka i gruba kobieta około sześćdziesiątki. „Roman” posłał Luisie obojętne spojrzenie, ale teraz się tym nie przejęła. Wsiedli do samochodu i ruszyli w dalszą drogę do Torunia. W łóżku hotelowym znaleźli się nieco po godzinie pierwszej. Tomasz miał ochotę na seks, ale mu odmówiła.

ROZDZIAŁ 36

Poniedziałek, 27 maja 2013, godzina 00:13 CEST

„Trzeba by się gdzieś zatrzymać” – pomyślała Basia. Prowadziła samochód już od przeszło dwóch godzin. Nocna jazda, której nie lubiła, spowodowała, że była zmęczona. Upłynęły już dwie godziny, kiedy w Płońsku zjechała na drogę w kierunku Bydgoszczy. Wkrótce po zjeździe Jaś, który od początku pilnował, żeby nie pobłądziła, usnął. Leżał na odchylonym fotelu z wyciągniętymi przed siebie nogami. Czuć było od niego alkohol. „Ile też on mógł wypić?” – zastanawiała się. Gospodarze polewali często i mógł wypić nawet trzydzieści kieliszków. „O! To wychodzi litr wódki!”. Basia jako kierowca nie mogła pić. Spróbowała tylko szampana na początku przyjęcia. Ale impreza była naprawdę udana. „Fajnie pomyślane” – stwierdziła. Gospodarze połączyli swoje imieniny i urodziny w jedną uroczystość, którą urządzili wspólnie. W zasadzie był to przedłużony obiad. Zaczął się o trzeciej i skończył... „Chwileczkę, o której to mogło się skończyć, o której wyjechaliśmy? – zastanawiała się Basia. – Musiało być jakoś po dziewiątej, chyba była dziewiąta dwadzieścia”. Zerknęła na zegarek na desce rozdzielczej. Pokazywał 00:17. Dania były bardzo smaczne i urozmaicone. Gospodyni musiała się nieźle napracować. Czuła ogarniające ją znużenie. „Bezwzględnie muszę się gdzieś zatrzymać i wypić kawę” – pomyślała. – Zresztą i tak trzeba będzie zatankować samochód”. Zdecydowała, że zatrzyma się na najbliższej stacji benzynowej, która będzie po prawej stronie drogi. Niedługo taką zobaczyła. Podjechała pod zewnętrzny dystrybutor. Jaś się obudził, jak tylko samochód się zatrzymał.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– Nie wiem, nie zwróciłam uwagi – odpowiedziała. – Zatrzymałam się, bo musimy zatankować. Chcesz kawy?

– Chętnie. Ty zostań i zatankuj, a ja przyniosę kawę – powiedział Jaś, widząc zbliżającego się pracownika stacji.

Przed odejściem zerknął na zegarek, była dwunasta dwadzieścia.

– Chyba jesteśmy już blisko Torunia? – zapytał. – Chyba już jedziemy jakieś trzy godziny, co?

– Mniej więcej – odpowiedziała. – Myślę, że zostało nam około sześćdziesięciu kilometrów. Skoro idziesz do sklepu, to kup mi batonik Prince Polo, proszę – dodała.

– Okej, kawa i batonik, dwie rzeczy – odpowiedział Jaś, wysiadając z samochodu.

Ciekawe, czy nie zapomni? Wypowiedziane przez niego słowa skojarzyły się jej z anegdotką, którą opowiedział jeden z gości na przyjęciu. Chyba Jaś też o tym pomyślał, mówiąc „dwie rzeczy”. Jak to było? Aha! Osiemdziesięcioletnia babcia

wyśmiewa się z dziewięćdziesięcioletniego dziadka, że jest sklerotykiem. Któregoś dnia wysłała go do sklepu po chleb i masło. „Pamiętaj – mówi – dwie rzeczy: chleb i masło”. Dziadek poszedł i długo nie wracał. Przyszedł po dwóch godzinach i w ręku trzymał nową szczoteczkę do zębów. Na ten widok rozeźlona babcia krzyknęła: „Mówiłam, że masz kupić dwie rzeczy – gdzie pasta?”.

„Dwie rzeczy: kawa i batonik”, idąc do sklepu, powtarzał sobie Jaś. Stacja była praktycznie pusta. Oprócz nich przy dystrybutorze numer jeden stał jeszcze jeden samochód. W sklepie była tylko jedna osoba z obsługi. Między regałami Jaś zauważył jakąś klientkę. Widział tylko z tyłu gęste, czarne włosy. „Nawet ładna” – pomyślał, gdy kobieta zwróciła głowę w jego kierunku. Podszedł do kafeterii, żeby nalać kawy. Dla Barbary szukał macchiato, jej ulubioną. Niestety, maszyna nie oferowała takiej. „Wezmę czarną i dodam mleka” – pomyślał. Ustawił na tacce średniej wielkości kubek i wcisnął guzik średniej kawy i wtedy zauważył napis: „Proszę zapłacić przed użyciem”. Począł więc, aż kubek się napelni, odstawił go na bok i podszedł do kasy, żeby zapłacić.

– Plus tankowanie, dystrybutor numer cztery – powiedział, chcąc za jednym zamachem zapłacić za paliwo.

Kasjer zerknął na ekran i odpowiedział:

– Jeszcze się napelnia. Zapłaci pan potem.

– Okej. Proszę doliczyć dwie średnie kawy i Prince Polo.

– Bardzo proszę.

Jaś podszedł do półki z wafelkami i wziął batonik. Potem wrócił do kafeterii. Napenił kubek kawą dla siebie. Następnie dolał odrobinę mleka do kubka Barbary, posłodził tak jak lubiła i zaniósł jej razem z batonikiem do samochodu. W międzyczasie tankowanie było zakończone. Podał kawę Barbarze, po czym wrócił do sklepu. Wziął swoją kawę, posłodził dwiema łyżeczkami cukru i z przyjemnością wypił gorący napój. Wyrzucił kubek i poszedł do kasy uregulować rachunek. Był lekko wstawiony i nadal chciało mu się pić. Wrócił więc po butelkę coca-coli, zapłacił i poszedł do samochodu.

– To co, gotowa? Jedziemy? – spytał Basię, która sączyła kawę małymi łyżkami.

Jaś usadowił się na fotelu pasażera. Otworzył butelkę coca-coli i pociągnął duży łyk.

– Już – odpowiedziała Basia.

Dopiła kawę i ruszyła. Przejeżdżając koło sklepu, Jaś ponownie zauważył czarnowłosą kobietę, która wychodziła w towarzystwie wysokiego, szczupłego mężczyzny. Uważnie patrzyła w ich stronę. „Rzeczywiście ładna” – pomyślał. Niecałą godzinę później dotarli do domu. Suczka Perelka przywitała ich, jakby wracali po latach.

– No i niedziela nam zleciała – zauważyła Basia.

– Kawał drogi do przejechania, żeby spędzić pięć godzin przy stole, ale czego nie robi się dla przyjaciół – powiedziała po chwili. – Zgodzisz się ze mną, że było wszystko bardzo smaczne i była doskonała atmosfera?

– Tak, była – odpowiedział Jaś śpiącym głosem.

Czuł się pijany, zmęczony i zaczęła boleć go głowa. Marzył o łóżku. Oznajmił więc po chwili:

– Chyba się już położę.

– Dobrze, połóż się, kochanie.

Basia trochę się zdenerwowała, że znowu to ona będzie musiała wyprowadzić psa, ale nie dała tego po sobie poznać. Jaś skorzystał z toalety i poszedł spać. Dziesięć minut później wróciła Basia. Czuła się podekscytowana. Adrenalina ciągle w niej buzowała po długiej jeździe samochodem. Wiedziała, że za cztery i pół godziny musi wstać do pracy. „Jeśli nie pośpię, to będę cały dzień wykończona za biurkiem” – pomyślała. Wzięła więc tabletkę na sen i położyła się obok Jasia. Przytuliła się do niego, objęła go mocno w pasie i po chwili usnęła. Tabletkę spowodowała, że spała jak zabita. Ze snu wyrwał ją dopiero budzik, który zadzwonił o 6:30. Ocknęła się zmęczona. Miała ciężkie powieki i suchość w gardle, jak zwykle po tabletkach. W pokoju czuła zapach alkoholu. Jaś ciągle spał, leżąc na prawym boku. Czekwała w ciepłej pościeli na dzwonek budzika w komórce. Gdy się odezwał, wstała z łóżka i zaczęła budzić Jasia.

– Ej, śpiochu! 6:30, wstawaj!

Wtedy to zobaczyła. Jaś nadal leżał bez ruchu, a przed nim na podłodze widniała duża biała plama wymiocin. Zaczęła nim potrząsać.

– Ej, obudź się! Hej, obudź się! – wołała coraz bardziej zaniepokojona. A gdy się ciągle nie ruszał, nagle się przeraziła.

Wybiegła z sypialni z komórką w ręku. Przerazona zadzwoniła na 112. Zaczęła mówić, gdy tylko usłyszała głos po drugiej stronie.

– Proszę pani, mój mąż się nie rusza! Chyba nie oddycha! Nie mogę go obudzić, proszę pani!

– Proszę mi podać adres, zaraz wyślę karetkę – powiedziała kobieta.

Basia podała nazwę ulicy i numer domu. Potem usiadła w fotelu w salonie i czekała. Bała się wrócić do sypialni. Bała się zobaczyć to, co się mogło stać Jasiowi. Karetka przyjechała po jakichś pięciu minutach. Lekarz stwierdził zgon.

– Pani mąż nie żyje – powiedział do Barbary. – Będę musiał powiadomić policję. Zaraz tutaj ktoś przyjedzie. Może w tym czasie pani się ubierze?

– Dobrze – odpowiedziała Basia.

Młody lekarz pogotowia zakwalifikował śmierć jako podejrzaną. Podejrzał otrucie, chociaż nie wykluczał zatrucia etanolem. Powiadomił policję, a ta prokuratora. Dwóch funkcjonariuszy z wydziału zabójstw przybyło na miejsce zgonu, żeby zabezpieczyć ślady i przeprowadzić dochodzenie. Kilka minut po

ósmej na miejsce przybył też prokurator w towarzystwie medyka sądowego, który dokonał formalnych oględzin zwłok. Zgodził się z opinią lekarza z pogotowia, który określił czas śmierci między trzecią a piątą nad ranem. Jako wstępną przyczynę śmierci podał zatrucie. W międzyczasie prokurator przepytывał Basię. Jakkolwiek nie całkiem doszła jeszcze do siebie, odpowiadała na jego pytania spokojnie. Opowiedziała w szczegółach wszystko, co wydarzyło się w dniu poprzednim. Opisała obiad u przyjaciół, dania, które były serwowane, ich drogę powrotną do domu, fakt, że ona piła kawę, a Jaś coca-colę. Powiedziała, że butelka niedokończonego napoju znajduje się w samochodzie. Przyznała też, że Jaś wypił trochę więcej alkoholu niż zazwyczaj i był pijany.

– Chociaż, panie prokuratorze, Jaś ma bardzo mocną głowę, a ten obiad trwał osiem godzin. Jaś zjadł furę jedzenia, toteż nawet gdyby tego alkoholu wypił litr, to nie powinien tak zareagować. Jestem jego żoną od czterdziestu paru lat. Wiem na pewno, że alkohol ma na niego niewielki wpływ.

Było już po dziesiątej, kiedy dwóch sanitariuszy zabrało zwłoki do zakładu medycyny sądowej. Prokurator nakazał, żeby zabrali ubrania, które denat nosił poprzedniego dnia, oraz pościel, w której spali. Pobrano również próbki wymiocin z dywanu. Basia poszła do samochodu z prokuratorem, skąd ten zabrał butelkę coca-coli, pozostawioną tam przez Jasia. Tego samego popołudnia wyniki sekcji potwierdziły, że Jaś umarł na skutek zatrucia niewielką ilością arszeniku w połączeniu z inną jeszcze niezidentyfikowaną substancją. Następnego dnia raport w sprawie śmierci Jasia znalazł się na biurku specjalisty od zabójstw, komisarza Ślubowskiego.

ROZDZIAŁ 37

Poniedziałek, 27 maja 2013, godzina 13:17 CEST

Luisa pamiętała Toruń z czasów, kiedy zwiedzała go razem z Romanem. Właśnie oglądała pamiątki na straganach na Nowym Rynku. Uzgodniła z Tomaszem, że pójdzie on załatwić sprawę odszukania Krystyny Szymbarskiej, a ona w tym czasie pozwiedza Starówkę. Tomasz zajął się szukaniem detektywa już w poniedziałek. Umówili się z Lupa, że spotkają się na lunchu w pierogarni Stary Toruń niedaleko hotelu o godzinie 13:30. Czekala przy stoliku już od kilku minut, kiedy Tomasz wszedł do restauracji. Był bardzo zadowolony. Udało mu się znaleźć detektywa, który oznajmił, że nie powinno być problemu ze „znalezieniem tej pani”.

– Muszę tylko pójść wieczorem do jego biura i dać mu osiemset złotych zaliczki – tyle zażądał – dodał z zażenowaniem. – Całość ma kosztować dwa tysiące sto złotych, płatne po okazaniu przez niego aktualnych zdjęć pani Krystyny oraz przekazaniu wymaganych informacji.

– Osiemset złotych to żaden kłopot – odpowiedziała Lupa. – Po lunchu dam ci pieniądze, pójdziesz mu zapłacić. Czy powiedział, ile czasu zajmie odszukanie Krystyny? – zapytała po chwili.

– Tak. Powiedział, że dwa dni. Wtedy będziemy musieli zapłacić mu resztę. Powiedział, że transakcja ma być płatna od ręki: pieniądze w zamian za adres. Zdjęcie dostarczy nam wcześniej. Aha! Powiedział, że przyjmuje tylko gotówkę i jeśli zawiedzie, zwróci zaliczkę. Chociaż zapewniał, że nie nawali.

– Brzmi rozsądnie – skwitowała Lupa. – Zjedzmy lunch, a potem zaniesiesz mu zaliczkę.

Zamówili pierogi miks, żeby Lupa mogła spróbować wszystkich smaków. Najbardziej przypadły jej do gustu te z mięsem.

– Możesz mnie tu częściej przyprawiać – stwierdziła po skończeniu posiłku. – Bardzo smakują mi pierogi.

– Toruń słynie z pierogarni – odpowiedział Tomasz. – Możemy codziennie chodzić do innej, a i tak wszystkich nie poznasz.

– To świetnie. Chcę je wszystkie odwiedzić. Możemy tam chodzić na lunch i na obiad – oznajmiła Lupa.

– Tutaj masz pieniądze – dodała po chwili, odliczając potrzebną sumę. – Zanieś mu ją.

Tomasz bez słowa wziął pieniądze. Po lunchu poszedł do biura detektywa, aby dostarczyć mu zaliczkę. Poprosił Lupę, żeby na niego zaczekała w hotelu. Powiedział, że dołączy do niej za piętnaście minut.

Detektyw rzeczywiście się postarał. Po dwóch dniach Tomasz dostał od niego kartkę A4 z informacjami.

– Czy ten detektyw mówi po angielsku? – spytała Lupa.

– Tak.

– To szkoda, że go nie poprosiłeś o notatkę w tym języku.

– Nie pomyślałem, przepraszam – odpowiedział Tomasz.

Lupa poprosiła go, żeby przetłumaczył, co jest napisane na kartce. Na górze był nagłówek oddzielony od reszty dokumentu ciągłą niebieską kreską. Była tam nazwa, adres i numer telefonu biura detektywistycznego, w prawym natomiast było napisane: „Toruń, 30 maja, 2013”. Poniżej znajdował się tytuł dokumentu: „RAPORT DLA KLIENTA – NO 1”. A pod spodem: „ZLECENIE: Lokalizacja Krystyny Szymbarskiej”, i w następnej linii: „WYKONAWCA” i nazwisko detektywa: „Andrzej Brzozowski”. Po tym następował odstęp.

Pod nagłówkiem „WYNIK LOKALIZACJI” w kilku liniijkach została podana informacja o Krystynie. Zawierała numer komórki, adres domowy, numer służbowego telefonu, adres miejsca pracy, a nawet takie szczegóły jak „Kościoły odwiedzane w niedzielę” oraz „Harmonogram urlopu na 2013 rok”. Lupa wyraźnie się ucieszyła. Wzięła od Tomasza kartkę.

– Możesz mi pokazać daty jej urlopu? – poprosiła.

– Tutaj – wskazał jej kolumnę dat na kartce.

Krystyna miała zaplanowane na całe lato kilka krótkich urlopów, najbliższy wypadał trzeciego czerwca. Nie pozostało dużo czasu na spotkanie.

– Biorąc pod uwagę, że Krystyna zaczyna wakacje w poniedziałek, myślę, że planuje wyjazd w ten weekend – powiedziała Lupa. – Mamy więc dwa dni, kiedy mogę się z nią spotkać. Spróbuję się z nią skontaktować jeszcze dzisiaj. Jeśli jest wolna, to się z nią umówię. Ty zostaniesz wtedy w hotelu i poczekasz do mojego powrotu. Możesz oglądać filmy – dodała po chwili. – Jak wrócę, to pójdziemy na kolację.

Tomasz nie odpowiedział. Wolałby iść z nią na spotkanie z Krystyną, ale pamiętał ich umowę o trzymaniu ich związku w sekrecie.

Gdy Lupa wyszła z hotelu, zegar w recepcji wskazywał 15:12.

ROZDZIAŁ 38

Wtorek, 28 maja 2013, godzina 08:11 CEST

Komisarz Ślubowski przyszedł do pracy dziesięć minut po ósmej. Od razu zauważył na swoim biurku nową teczkę z aktami. Ktoś położył ją na samym środku, na wprost krzesła, tak że trudno było jej nie zauważyć. Spojrzał na akta leżące po lewej stronie. „Trzy tygodnie śledztwa i ciągle nie ma rozwiązania – pomyślał. – W zasadzie nie ma żadnego konkretnego wniosku, jak mogło do tego dojść”. Chłopak nie żyje i za przyczynę zgonu uznano utonięcie – tyle wiadano. Ale dlaczego utonął? Na to pytanie nie było odpowiedzi. Wyszedł z kolegami z dyskoteki w mroźny sobotni poranek dwudziestego kwietnia przed godziną trzecią nad ranem i oddzielił się od nich, udając się w kierunku domu, do którego nie miał daleko. Musiał tylko przejść przez most nad Brdą i około dwustu metrów ulicą. Co się stało na tych dwustu metrach? A może na moście? Chłopak nie został obrabowany. Znaleźli przy nim komórkę, kartę kredytową i trochę drobnych w portfelu. Nie brakowało też żadnych dokumentów. Miał osiemnaście lat. Nie był pijany. Podobno nigdy nie pił. Co się mogło stać na tych dwustu metrach? Według zeznań kolegów, gdy się z nimi żegnał, był w bardzo dobrym nastroju. Nie było ślisko, trudno więc sobie wyobrazić, że się pośliznął na moście i wpadł do wody. Nie miał problemów sercowych, z nauką ani finansami. Może go ktoś zepchnął? Ale to przecież ruchliwa ulica! Dlaczego więc nikt niczego nie zauważył, nikt niczego nie słyszał? Nie znaleziono śladów szamotania. Również na ciele nie było żadnych urazów. Ciało zostało wyłowione z wody bardzo szybko, nie upłynęły nawet trzy godziny od momentu utonięcia. Jakikolwiek urazy byłyby widoczne. A jeśli popełnił samobójstwo, to dlaczego? Co takiego mogło się zdarzyć od momentu rozstania z przyjaciółmi? Rodzice zeznali, że do domu nie dotarł. Musiało się coś wydarzyć po drodze. Co takiego działo się w jego głowie, że zdecydował się skoczyć z mostu? A jeżeli było to samobójstwo, to czy rzeczywiście skoczył z mostu? Może szedł bulwarem wzdłuż rzeki i wskoczył gdzieś indziej? Bydgoski nadrzeczny bulwar ciągnął się kilometrami. Wszędzie po drodze, przynajmniej dwa kilometry w każdą stronę od mostu, ustawiono metalowe bariery. Mógł przejść pod nią i rzucić się do wody gdziekolwiek. Jedno było pewne – nie wrócił do domu. Ale na wszystkie te pytania ciągle nie mieli żadnej odpowiedzi. Komisarz Ślubowski był pewny jednego: nie miał więcej pytań, które mógłby zadać w tej sprawie. Niewiele więc zostało do zrobienia. Z niechęcią spojrzął na akta studenta. Termin końca śledztwa upłynął wczoraj.

Dzisiaj szef kazał mu zakończyć tę sprawę. Musi więc podjąć decyzję, jak sformułować ostateczne wnioski. Z zaciekawieniem zerknął na leżące przed nim akta sprawy Jana Kuzy. Pobieźnie przejrzał dokumenty. Śmierć nastąpiła wczoraj nad ranem. Sekcja zwłok jednoznacznie wykazała, że było to otrucie. Znał

procedurę i praktykę. Jego obowiązkiem było przygotować szkic planu śledztwa. Zagłębił się w akta. Sprawa wyglądała na nieskomplikowaną. Mężczyzna zmarł w poniedziałek 27 maja nad ranem. W organizmie denata odkryto arszenik. Podejrzewano możliwość użycia innej jeszcze trucizny, jakkolwiek nie została ona zidentyfikowana. Coś więcej będzie wiadomo po badaniach toksykologicznych. Zmarły miał żonę, dwa lata od niego młodszą, nie mieli dzieci. Byli małżeństwem od czterdziestu trzech lat. Z zainteresowaniem przeczytał prokuratorskie RSD (rejestr śledztw i dochodzeń). Niewiele informacji tam znalazł. Zerknął na nazwisko prokuratora. Tomasz Marynowski. Znał go. Nie będzie się wtrącał do sprawy, da mu wolną rękę – może ją prowadzić w taki sposób, w jaki zechce. Musi tylko przygotować plan. Dla siebie. Podjął decyzję. Zamyka sprawę studenta. To było samobójstwo. Bierze się za sprawę otrucia. Tej nie odpuści!

ROZDZIAŁ 39

Czwartek, 30 maja 2013, godzina 15:28 CEST

Po wyjściu z hotelu Luisa udała się prosto do biura detektywistycznego pod adres podany na kartce. Na miejscu stwierdziła, że pod wskazanym adresem znajdowało się kilka różnych biur. Na szczęście bez trudu udało się jej odnaleźć drzwi z nazwiskiem Andrzeja Brzozowskiego. Detektyw mówił po angielsku. Bez wahania zapukała, a następnie nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Znalazła się w ciasnym pomieszczeniu. Na wprost drzwi stało biurko, za którym siedział potężny, gruby mężczyzna w rogowych okularach, zajęty przeglądaniem jakichś papierów.

– *Good afternoon!* – powiedziała Lupa.

– *Please, come in* – mężczyzna podniósł głowę.

Trzymając w ręku „RAPORT DLA KLIENTA – NO 1”, Lupa się przedstawiła. Pochwaliła pracę detektywa i powiedziała, że chciałaby poprosić o kilka dodatkowych wyjaśnień. Dodała, że może zapłacić za poświęcony jej czas. Detektyw wyraźnie się ucieszył na wieść o dodatkowych pieniądzach. Poprosił, żeby usiadła, i zapytał, czy się czegoś napije.

– Bardzo chętnie, tego samego, co pan – odpowiedziała Lupa.

– Zaparzę herbatę.

– Bardzo chętnie napiję się herbaty – powiedziała.

Detektyw poszedł na zaplecze i po chwili wrócił z dwiema szklankami na spodkach.

– Przepraszam, nie zapytałem, czy pani słodzi.

– Tak, poproszę o cukier – odpowiedziała.

Detektyw oddał jej na zaplecze po cukier. Lupa w tym czasie wyjęła z torebki niewielki flakonik i wlała prawie połowę zawartości do jego herbaty. Mężczyzna wrócił po chwili ze słoikiem wypełnionym cukrem. Nabrała cukru na łyżeczkę, starając się nie dotykać słoika, i wsypała go do swojej szklanki. Pomieszała i zaczęła pić małymi łykami. Detektyw pił niesłodzoną.

– Czy prowadzi pan dokumentację swoich spraw? – zapytała.

– Jeśli jest potrzebna faktura, to mogę wystawić – odpowiedział detektyw. –

Nie prowadzę żadnej dokumentacji na temat prowadzonych spraw.

Nie uwierzyła mu, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Nie, nie, nie potrzebuję faktury. Tak tylko spytałam. Jestem obcokrajowcem i nie znam zasad panujących w Polsce. Ciekawi mnie tylko, czy gdybym zleciła panu obserwację pani Krystyny, to czy potraktowałby to pan jako nowe zlecenie?

– Tak, jako nowe.

– A jak by pan to rozliczał? Na godziny? Czy na ryczałt?

– Na godziny, siedemdziesiąt złotych za godzinę.

– Rozumiem.

Lupa położyła kartkę na biurku na wprost detektywa.

– Mam pytanie odnośnie do punktu dotyczącego urlopu: czy są to stuprocentowo pewne dane?

– Tak pewne, jak traktują to pracownicy wydziału personalnego w urzędzie miejskim.

– A co to oznacza?

– Oznacza, że pani Krystyna w każdej chwili może zmienić swoje plany urlopowe. Te daty to nie jest plan urlopów, tylko przewidywane terminy.

– Czyli można powiedzieć, że Krystyny raczej nie będzie w biurze do końca sierpnia?

– Chyba tak. Tak, można tak powiedzieć.

– A te dane o kościołach?

– Mogę tylko powiedzieć, że są niekompletne. Pewne jest tylko to, że pani Krystyna chodzi na msze do różnych kościołów, a latem najczęściej do kaplicy na Barbarce.

– Myślę, że mi pan wszystko już wyjaśnił.

W międzyczasie detektyw skończył pić herbatę. Lupa zaobserwowała, że zaczął się pocić. Oddychał ciężko i brakowało mu tchu.

– Źle pan wygląda – zauważyła. – Czy nic panu nie jest? Może wezwać pomoc?

– Nie trzeba. Wszystko w porządku. Zaraz mi przejdzie. Jest tu tylko za gorąco. Pani pozwoli, że otworzę okno.

Po tych słowach próbował wstać, jednak nie był w stanie – opadł z powrotem na krzesło, a chwilę potem zsunął się na podłogę. Lupa przez chwilę patrzyła, jak wymiotuje – gwałtowne torsje spowodowały, że wymiociny zalegały mu w gardle i zaczął się dławić. Chwilę później wypila resztę swojej herbaty, włożyła szklankę, spodek i łyżeczkę do torebki, opuściła biuro i wyszła na ulicę. Detektyw w drgawkach umierał.

Luisa poszła prosto do hotelu. Po drodze myślała o tym, czego się dowiedziała od detektywa. Wiedziała, że Krystyna będzie nieuchwytna do końca sierpnia. Po pięciu minutach dotarła do hotelu. Tomasz oglądał film. Śledziła przez chwilę akcję na ekranie, jednak film jej nie zainteresował. Głos lektora zagłuszał oryginalne dialogi i nie mogła się zorientować, o co chodzi.

– Spotkałam się z Krystyną. Bardzo się ucieszyła na mój widok – powiedziała. – Możemy jutro jechać do Bydgoszczy.

– To świetnie – odpowiedział Tomasz, nie odwracając wzroku od ekranu.

– Proponuję po filmie pójść na pierogi. Zejdę do recepcji i ureguluję rachunek. Powiadomię też ich, że jutro się wynosimy.

Tomasz nadal oglądał film.

– Dobrze – odpowiedział. – Zostało już tylko kilka minut filmu.

Pół godziny później wyszli do pierogarni.

ROZDZIAŁ 40

Niedziela, 2 czerwca 2013, godzina 9:20 CEST

Na początku czerwca Krystyna zażądała, żeby Roman kupił dla nich mieszkanie. Roman nie bardzo rozumiał, o co jej chodzi, ponieważ jej żądanie stało w sprzeczności z ich wcześniejszymi uzgodnieniami. Poza tym zarówno on, jak i ona, mieli już mieszkania. Jego nie było duże, ale wystarczające dla dwóch osób. Było w nim wszystko, co w gospodarstwie domowym jest niezbędne. Krystyna miała własny domek, też niezbyt duży, ale również dobrze wyposażony. „Czyżby jednak Krystyna miała jakieś ukryte potrzeby finansowe?” – zastanawiał się. Rozumiał, że miała dorosłą córkę i przypuszczalnie pragnęła ją urządzić. Na próbę, żeby lepiej zrozumieć relacje łączące matkę i córkę, zaproponował Dorocie, żeby zamieszkała w jego apartamencie. Jego mieszkanie doskonale nadawało się dla młodej osoby lub pary młodych ludzi. Dorota jednak się nie zgodziła.

Krystyna znalazła kilka interesujących mieszkań. Jej faworytem był penthouse na czwartym piętrze tuż nad Wisłą na osiedlu Winnica. Mieszkanie miało sto dziesięć metrów kwadratowych, dwa kominki i ogromny taras. Cena też nie wydawała się zbyt wygórowana. Jednak idea kupna kolejnego mieszkania stała w całkowitej sprzeczności z zamiarami Romana. Oglądał więc oferty bez szczególnego zainteresowania. Ewentualnie skłonny był kupić mieszkanie gdzieś w ciepłym kraju. To miało większy sens. Lub dom w jakimś uroczym zakątku Polski, chociaż i to kłóciło się z jego pomysłem na życie. Mógł jednak w tym względzie pójść na ustępstwa, pod warunkiem że znajdą coś wyjątkowego. Toteż prawie cały czerwiec spędzili na oglądaniu mieszkań, domów i domków letniskowych. Jednak nie znaleźli nic takiego, w co warto byłoby zainwestować. W tym czasie mieli tylko jeden pogodny weekend, w połowie miesiąca, który spędzili na oglądaniu Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Strażackiej w Ciechocinku.

ROZDZIAŁ 41

Sobota, 15 czerwca 2013, godzina 18:34 CEST

Lupa i Tomasz wrócili do Warszawy po dwóch tygodniach. Poznań, Bydgoszcz i Gdańsk bardzo się dziewczynie podobały. Z Trójmiasta popłynęli na Hel. W Trójmieście zatrzymali się w Grand Hotelu. Był bardzo ekskluzywny. Dla Tomasza tygodniowy w nim pobyt to jego dwumiesięczna pensja. Źle się z tym czuł. Zwłaszcza uważał za głupotę, że przez te dwa tygodnie podróżowania po Polsce Lupa przez cały czas opłacała hotel w Warszawie.

– Przecież to absurd, płacić za dwa hotele w tym samym czasie – próbował przemówić jej do rozsądku.

Lupa jednak tylko się roześmiała.

Nie wyjaśniła mu, że traktuje hotel w Warszawie jako swoją bazę, że dla niej jest bardzo ważne, żeby podróżować po Polsce z minimalnym bagażem. Kiedy wrócili do Warszawy, pokój czekał na nich gotowy. Tego wieczora Lupa poprosiła Tomasza, żeby poszli coś zjeść w jakiejś restauracji na Starówce. Tomasz chętnie na to przystał. Pojechali taksówką.

– Chciałam z tobą o czymś porozmawiać – powiedziała, gdy usiedli w restauracji. – Ale może zacznę od pytania: czy ci się podobam?

– Co za pytanie? – odpowiedział Tomasz. – Bardzo mi się podobasz. Jestem naprawdę szczęśliwy, że cię poznałem.

– Bo widzisz, ty mi się też podobasz. Chciałabym, żeby nasz związek się utrzymał i żeby z niego wyniknęło coś bardziej trwałego. Rozumiem, że wziąłeś tylko miesięczny urlop, a ja chciałabym, korzystając z okazji, że tu jestem, pozwiedzać trochę Europę. Czy mógłbyś wziąć jeszcze dwa tygodnie urlopu, a najlepiej miesiąc od drugiej połowy sierpnia?

– Myślę, że tak – odpowiedział Tomasz. – Jutro zadzwonię do szefa i się dowiem. Ale nie przewiduję kłopotów.

– To świetnie. Ja na te dwa miesiące pojedę do Paryża, Brukseli, Rotterdamu i Amsterdamu. Spotkamy się w tym samym hotelu w połowie sierpnia. Dokładną datę ustalimy później.

Roman był zakochany w tej tajemniczej dziewczynie. Następnego ranka zadzwonił do szefa i uzgodnił z nim powrót do pracy oraz nowy urlop. Po południu rozstał się z Lupą. Tomasz wrócił do Mińska Mazowieckiego. Na prośbę Lupy zabrał ze sobą jedną z jej walizek z niepotrzebnymi rzeczami.

Luisa zadzwoniła do Lufthansy i przełożyła swój lot z osiemnastego lipca na dwudziestego dziewiątego września, uregulowała należność za hotel, kupiła bilet na pociąg do Paryża, z dopłatą na sypialny do Berlina, i późnym wieczorem udała się na Dworzec Centralny. Nie do końca powiedziała o swoich planach Tomaszowi. W rzeczywistości zamierzała odwiedzić Amsterdam, Brukselę i Paryż

oraz ewentualnie Marsylię. Jednak podała mu prawdziwą datę powrotu. Planowała wrócić piętnastego sierpnia. Pod koniec sierpnia, a na pewno na początku września Krystyna powinna być już w domu.

ROZDZIAŁ 42

Środa, 26 czerwca 2013, godzina 12:20 CEST

Pod koniec czerwca trochę się ociepliło. Roman zaproponował więc, żeby spędzić kilka dni na Helu. Krystyna chętnie się zgodziła. Wyjechali w środę rano, żeby spędzić resztę tygodnia nad morzem. Mieli trudności ze zlokalizowaniem hotelu. Było już dobrze po południu, gdy wreszcie się zakwaterowali. Romanowi hotel się nie podobał. Pogoda też nie dopisywała.

Ponieważ od morza wiał zimny wiatr i było mało turystów, większość restauracji była ciągle jeszcze zamknięta po zimie. Z trudem znaleźli otwartą restaurację. Byli w niej zresztą jedynymi gośćmi. Ryby na gorąco już nie podawano. Musieli zadowolić się wędzoną. Z hotelem też mieli problemy. Chociaż Roman zrobił przez Internet rezerwację, na miejscu chciano im wcisnąć pokój bez łazienki. Roman zapłacił za jedną noc i anulował resztę rezerwacji. Zaproponował, żeby jechać wzdłuż wybrzeża i zwiedzać polskie nadmorskie miejscowości. Tak też zrobili. Następnego dnia ruszyli do Władysławowa. Zatrzymali się w ich ulubionym hotelu Willa Maria i zawiadomili przyjaciół z Otwocka, że są w mieście. Jeszcze tego samego popołudnia w towarzystwie przyjaciół zwiedzili Puck. Wszystkim się podobał. Następnego dnia zwiedzili Słupsk i Darłowo. Późnym popołudniem dotarli do Darłówka, gdzie wzięli pokój na dwie noce, aż do niedzieli, w Hotelu Morze. Darłówko bardzo im się podobało. Tylko pogoda była w kratkę. W sobotę rano udało im się jednak załapać trochę słońca i spędzili kilka godzin na plaży. Gdy po południu zrobiło się pochmurnie, pojechali do Ustki. Również to miejsce bardzo im się podobało. Po powrocie do Darłówka poszli na kolację do restauracji Avalon, specjalizującej się w kuchni śródziemnomorskiej. Była to urocza kolacja przy świecach.

Przy deserze Krystyna zaczęła narzekać, że zadawanie się z rozwodnikiem po ślubie kościelnym uniemożliwia jej przystępowanie do komunii świętej.

– Przykro mi – powiedział Roman. – Nic na to nie poradzę. Kościół praktycznie nie daje rozwodu. Jest to dziwne, bo udzielanie ślubów jest dobrym biznesem. Mogliby kasować i za ślub, i za rozwód – dwa–trzy razy od każdego katolika. Tak, tak – potwierdził Roman, widząc, że Krystyna przygląda mu się krytycznie. – Religia to biznes. Popatrz na oficjalne dane z Watykanu. W roku 2010 na świecie było pół miliona księży i kleryków, siedemset tysięcy sióstr zakonnych i przeszło pięćdziesiąt tysięcy zakonników, inaczej mówiąc, z Kościoła żyło milion trzysta tysięcy osób duchownych. Z czego żyło? Średnio dwa tysiące wiernych utrzymuje jednego księdza. Ale głównie są finansowani przez rządy państw – czy to w sposób ciągły, czy przez okresowe granty. Duże dochody mają też z ekonomicznej działalności. Te ostatnie są często ogromne. Dla przykładu, w USA Kościół posiada sto pięćdziesiąt tysięcy szkół podstawowych i średnich,

tysiące domów opieki, szpitali i innych instytucji opiekuńczych, operuje budżetem przeszło stu miliardów dolarów i zatrudnia około miliona osób. W Polsce część zakonów też prowadzi działalność gospodarczą – szkoły, przedszkola, ośrodki opieki społecznej, publicystyka (radio i telewizja) – i są bogate. Inni księża są na pensji bliskiej średniej krajowej. Wszystkim przysługują emerytury. Te liczby pokazują, że zarządzanie duszami i religijnymi obrządkami jest biznesem. Powiedziałbym, że Kościół katolicki jest najstarszą korporacją świata. Do zaoferowania ma swój flagowy produkt – przepustkę do nieba, ma też szereg usług, które wynikają albo z obligatoryjnych sakramentów (chrzest, ślub i namaszczenie chorych), albo z niszy rynkowej – ze szkolnictwa oraz organizacji pomocy społecznej. Ponadto Kościół oferuje usługi dodatkowe, takie jak msze święte za dusze zmarłych, kościelne pogrzeby oraz handel dewocjonaliami. Jak każda korporacja, Kościół ma motto, logo, hasła, procesy i procedury, organizacyjną strukturę oraz biznesową kulturę. Jest do tego stopnia świetnie zorganizowany, że ma nawet opracowany zbiór praw wewnętrznych, tak zwane prawo kanoniczne. Przez dwa tysiące lat testowania i usprawniania Kościół doprowadził do perfekcji swoje usługi i wygenerował bazę potrzeb pośród wiernych – swojej klienteli. Księża są doskonale wyszkoleni przez wydziały teologiczne w setkach seminariów lub przy uniwersytetach na całym świecie. Tak! Jest to super wielka korporacja, z dwutysiącletnią tradycją i biznesową kulturą, przeszło miliardową klientelą i krociowymi dochodami. Dla porównania, według Forbesa dwa tysiące największych na świecie spółek publicznych z sześćdziesięciu dwóch krajów ma roczny zysk w wysokości trzech miliardów dolarów. Wyobraź sobie, że tylko polskiemu Kościołowi przynosi dwa razy więcej pieniędzy obsługiwanie pogrzebów i ślubów przez jedno pokolenie. Policzmy: dziewięćdziesiąt pięć procent katolików w czterdziestomilionowym państwie daje trzydzieści osiem milionów klientów. Odrzucimy osiem milionów tych, co nigdy się nie ożenią lub nie wezmą księdza na pogrzeb. Trzydzieści milionów ludzi to tyleż pogrzebów i piętnaście milionów małżeństw, a zakładając koszt pogrzebu lub ślubu średnio na czterysta złotych, to daje razem osiemnaście miliardów złotych, czyli sześć miliardów dolarów. Są to liczby szacunkowe. Bo chociaż pogrzeb to średnio osiemset złotych, to ślub jest już „co łaska” – cena podobno zależy od urody panny młodej. Słyszałem kiedyś o księdzu, który na pytanie narzeczonego: „Ile będzie kosztował ślub?”, popatrzył na nieurodzoną narzeczoną i powiedział: „Dla pana to pięćdziesiąt złotych”.

– Jeśli tak uważasz! – Krystyna poczuła się dotknięta słowami Romana o Kościele.

– Dla mnie – kontynuował Roman, interpretując uwagę Krystyny jako wyraz zainteresowania – ciekawe jest, jak stworzyć taką dużą bazę klientów. Chyba przez atrakcyjny produkt. Każdy chce żyć wiecznie w szczęśliwości. Za wielu

zdecydował ich ziemski władca. Jeszcze inni znaleźli się w Kościele pod przymusem ze strony zbrojnych ludzi. Zwłaszcza w średniowieczu powszechne było nawracanie „niewiernych” mieczem. Weźmy przykład zakonu krzyżackiego, który skutecznie „nawrócił na prawdziwą wiarę” setki tysięcy dusz w Prusach Wschodnich, Litwie i Łotwie, kilka razy więcej dusz wysyłając wcześniej do „piekła”. Weźmy przykład hiszpańskich konkwistadorów, którzy od końca XV wieku operowali w Amerykach pod hasłem nawracania nowych ludów na katolicyzm; za wojskami postępowała rzesza misjonarzy, którzy nieśli „słowo pańskie” do pogańskich narodów. Ci dopiero pokazali finezję i okrucieństwo kościelnych procedur do nawracania – manipulacji praktykami i symbolami innych religii w celu przekonania „niewiernych” do nowego boga, niszczenie istniejących religii, sanktuariów i struktur społecznych. Do dziś w Amerykach istnieją katedry, w których krzyż jest symetryczny, tak jak znak plusa, ponieważ taki był w użyciu przez istniejące tam wcześniej religie. Pełno też jest ruin dawnych świątyń zniszczonych przez Kościół. Ciekawe też jest, jak utrzymać tak dużą bazę klientów przez tysiąclecia. Przez wieki Kościół stosował pedagogikę strachu, włącznie z karami cielesnymi i pieniężnymi, żeby zagonić ludzi na msze. W przeszłości, przez ponad sześćset lat stosował też specjalne procedury śledcze (tak zwaną inkwizycję), niekiedy wspierane przez zbrojne organizacje, żeby nie dopuścić do odstępstw. Pomaga również sprytny zapis doktryny religijnej za pomocą serii symboli i ewangelicznych przypowieści, który gwarantuje potrzebę nauczania religii wśród kolejnych pokoleń. Ta symbolika ma też swoją złą stronę: po tysiącu lat nauczania połowa narodu polskiego nie zna lub nie pojmuje tajemnic wiary. Nic więc dziwnego, że nie negując autentyczności postaci biblijnych, coraz większa część narodu wątpi w ich boskość. Wreszcie za pomocą przykazań kościelnych, zwłaszcza pierwszego, które nakazuje uczestniczenie we mszy świętej.

– Nie sądzisz, że to smutne? – skomentowała Krystyna. – Mam na myśli fakt, że połowa narodu nie pojmuje tajemnic wiary.

– Szczerze mówiąc to nie – odpowiedział Roman. – Moim zdaniem im mniej ludzi w to wierzy, tym lepiej. Czy nie widzisz całej tej kołtunerii? Ale wróćmy do tematu. Ciekawe jest, dlaczego Kościół chrześcijański tak długo istnieje, podczas gdy wiele religii nie przetrwało nawet dziesięcioleci. Myślę, że to ze względu na silną pozycję polityczną, którą przez wieki inteligentnie sobie wypracowywał. Utarło się przekonanie, że to dlatego, iż Kościół jest strażnikiem ludzkiej moralności. Jest w tym część prawdy – Kościół przywłaszczył sobie moralność. Chociaż prawda jest bardziej prozaiczna. Od początku Kościół zorganizował sobie ambonę, przez którą docierał do mas. To oraz spowiedź powszechna pomagało, bo dawało pełną kontrolę nad wiernymi. Z drugiej strony od początku politycy starali się uzyskać dostęp do ambony, czyniąc w zamian ustępstwa na rzecz Kościoła. W dalszej kolejności pomogło przejęcie kontroli nad ewidencją ludności. W wielu

krajach do dziś Kościół jako jedyny posiada kompletną dokumentację narodzin, małżeństw i zgonów. To wszystko pozwoliło mu zamaskować się i być widzianym nie jako międzynarodowa korporacja, lecz jako instytucja bosko-ludzka, stojąca ponad świeckim prawem. W konsekwencji doprowadziło to do roszczeniowej postawy kościelnych dygnitarzy w stosunku do władz świeckich i moralnych wypaczeń pośród kleru. Taka sytuacja jest trudna do utrzymania w czasach dobrobytu i demokracji. Z jednej strony zawód przestał być atrakcyjny, bo pensje księży, biskupów i arcybiskupów nie są większe od pensji osób świeckich. Z drugiej strony, wraz ze wzrostem liczby ludzkości wzrosła też liczba księży; coraz bardziej reprezentują oni męską połowę społeczeństwa ze wszystkimi przywarami oraz coraz więcej z nich uświadamia sobie, że „ksiądz też jest człowiekiem”, i ulega pokusom. Toteż potrzeby finansowe ludzi w sutannach znacznie wzrosły. Jak dawniej, tak i teraz rodzice, rodzeństwo i krewni osób duchownych uważają, że bogaty ksiądz ma obowiązek ich wspierania. Nowe jest, że dzisiaj znaczny odsetek księży (w Polsce mówi się o jednej trzeciej) ma konkubiny i dzieci. Jakiś odsetek ma też kochanków. Kobiety i dzieci, a zwłaszcza kochankowie dużo kosztują. Dużo jest też pokus – wykwintne alkohole, droga biżuteria, szykowne samochody, luksusowe mieszkania, domy i pałacyki, eleganckie meble i piękne domowe gadzety – wszystkie powszechnie pożądane twory boskie. Nic więc dziwnego, że niektórzy księża im ulegają. Weźmy na przykład kardynała Bertone, który znany był z zamiłowania do luksusu – posiadał ogromny, pełen gadżetów apartament w pałacu, z obszernym tarasem na dachu z widokiem na Bazylikę świętego Piotra, jeździł drogim ferrari i żył jak udzielny książę. Oskarżony jest o defraudację z papieskiego sejfu kwoty piętnastu milionów euro. Innym przykładem jest niemiecki biskup Limburg Franz-Peter, który wydał 31 milionów euro na remont rezydencji. Wiernym, a także papieżowi to się nie spodobało i papież usunął go ze stanowiska. Albo przykład z Chorwacji, gdzie księża i biskupi na drodze rewindykacji zgarnęli najładniejsze pałace w stolicy kraju. To również zgorszyło wiernych – w Chorwacji Kościół katolicki bardzo podupadł. Coraz więcej widzi się księży, którzy ulegli ludzkim słabościom – chciwości, alkoholizmowi, homoseksualizmowi czy pedofilii. Trafiają się księża o gwałtownym, agresywnym charakterze, którzy szykanują albo biją wiernych lub podwładnych. Coraz częściej słyszy się o księżach, którzy prowadząc samochód w stanie nietrzeźwym, zostali zatrzymani lub spowodowali wypadki. Wielu księży okazuje butę. Wielu jest hipokrytami do tego stopnia, że nawet nie wierzą w słowo boże, które głoszą. A w odczuciu wiernych prawie wszyscy stali się „pazerni”. Ot, weźmy na przykład tę popularną historyjkę. Klient prosi: „Chciałbym, aby mi ksiądz ochrzcił kota. Dobrze zapłacić”. „Nie mogę tego uczynić. Religia zezwala chrzczyć tylko ludzi” – odpowiedział ksiądz. Klient jednak wyłożył pieniądze, a ksiądz ochrzcił kota. Potem gnębiony wyrzutami sumienia poszedł do biskupa

i opowiedział mu, co uczynił. „Co? Ochrzciłeś kota?! Wiesz, że tego nie można robić!” – oburzył się biskup, a po chwili zapytał: „Ile zapłacił?”. „Milion” – opowiedział ksiądz. „Aaa, milion. To co innego, przygotuj kota do komunii świętej” – polecił.

– To wcale nie jest śmieszne. Nie powinieneś mówić dowcipów o Kościele – przerwała mu Krystyna.

Nawet się nie uśmiechnęła.

– Przepraszam. Nie chciałem ranić twoich uczuć – odpowiedział. – Chciałem powiedzieć, że taka postawa kleru bulwersuje wiernych, którzy w przeważającej większości z trudem wiążą koniec z końcem, a mimo to co jakiś czas każdy wysupła kilka złotych na Kościół. Można się zdenerwować, gdy ksiądz stosując pedagogikę strachu, obrzydza wiernym jako zło to wszystko, z czego sam czerpie przyjemności lub korzyści. Wielu wiernych myśli: „Nas umoralnia. A sam?”. – Roman powrócił do poprzedniego wątku: – Zadaj sobie pytanie. Czy Kościół ma jeszcze prawo stawiać się na pozycji strażnika moralności i czy nadal jest instytucją bosko-ludzką? Zdecydowanie nie. Żeby miał do tego prawo, wszyscy księża bez wyjątku musieliby być wzorem tego, czego nauczają, prowadzić się bez zarzutów. Również religia, której naucza Kościół, odbiega od doskonałości. Prawo boskie coraz bardziej odstaje od praw naukowych, zwłaszcza w astronomii, anatomii, astrofizyce i biologii. Jest ono pełne kontradycji, nieścisłości, podlega ludzkiej interpretacji i musi być udoskonalane. Kościół jest tego świadom, toteż katolicka doktryna coraz bardziej upodabnia się do naturalizmu. Dzisiaj obserwuje się starania Kościoła, żeby zawładnąć prawem do interpretacji zjawisk natury. Najgorsze, że Kościół ciągle odmawia ludziom prawa do decydowania o samych sobie i prawa do radości. Według współczesnego katolicyzmu, ty za życia masz cierpieć. Bo skoro człowiek-Bóg cierpiał na krzyżu, ty też musisz. Dlaczego taka doktryna? Żeby mieć coś innego do zaoferowania. O szczęśliwym życiu wszyscy mówią, nie ma więc w tym nic odkrywczego. Cierpieć za życia – to jest coś innego. Nieważne, że ta doktryna przeciwstawia się wszystkiemu, co człowiekowi bliskie. Bo co tam człowiek? Bóg i duchowe wieczne życie – to się liczy. Pomińmy jednak kwestie doktrynalne. Czy nadal jest miejsce dla Kościoła katolickiego we współczesnym świecie – tego nie wiem. Ale jednego jestem pewien: Kościół nie może stać ponad prawem ludzkim. Jak każda korporacja powinien płacić podatki, a kler odpowiadać przed władzami cywilnymi. Bo skoro ksiądz jeździ po pijanemu, skoro jest złodziejem, aferzystą czy pedofilem, jak każdy obywatel kraju powinien podlegać wyrokowi cywilnych sądów. Jeśli jest homoseksualistą lub alkoholikiem, osąd należy do Kościoła. Ale jeśli ksiądz został ojcem, to jak każdy męski obywatel musi zająć się rodziną. O tym, czy dzieciaty ksiądz powinien pełnić służbę kapłańską, niech decyduje Kościół. Zdecydowanie będzie lepiej dla wszystkich, jeśli Kościół pozostanie tylko instytucją boską.

ROZDZIAŁ 43

Sobota, 13 lipca 2013, godzina 9:20 CEST

Do tej pory Roman nie wynajmował auta, posługiwali się toyotą Krystyny. Planując jednak dalsze wyprawy, na kolejny weekend wynajął mercedesa. Tym razem udali się oglądać turniej rycerski w Golubiu-Dobrzyniu. W planach na weekend mieli też kolejną wizytę w Och-Teatrze w Warszawie. Mieli dosyć czasu, żeby odwiedzić jeszcze Łazienki.

Na drugi weekend lipca pojechali do Grunwaldu na inscenizację największej średniowiecznej bitwy w Europie. Prawie przez cały czas pokazu padało. Podłoże było tak miękkie, że część rycerzy w ciężkich zbrojach nie wzięła udziału w bitwie. Obawiali się, że konie mogą połamać sobie nogi. Ale i tak było ciekawie.

W Ostródzie też się dużo działo. W sobotę wieczorem odbył się finał Festiwalu Ognia. Było to piękne widowisko i oboje uznali, że warto było przyjechać, choćby tylko dla tego spektaklu.

W środku następnego tygodnia pojechali do Łodzi na występ Leonarda Cohena. Roman uwielbiał jego twórczość. Miał wszystkie płyty tego piosenkarza. Krystynie koncert też się bardzo podobał. Zatrzymali się w hotelu Campanile w centrum miasta. Co prawda mieli kłopot z dostaniem się do hotelu wieczorem po koncercie, ale za to następnego dnia wystarczyło, że zrobili parę kroków i już byli na słynnej Piotrkowskiej. Przeszli ją tam i z powrotem. Tak im się podobała, że przejechali się po niej rykszą.

Na liście słynnych miejscowości nadmorskich pozostały im tylko Jarosławiec i Mielno.

W pierwszej kolejności pojechali do Jarosławca. Wyprawa bardzo im się podobała. Sobotę spędzili na plaży, a niedzielę na jeziorze przy hotelu Podewils. W Jarosławcu zjedli rybkę, a w Krągu żyli jak renesansowi dostojnicy. Uznali, że nocleg w pałacyku był doskonałym pomysłem.

Krystynę ciekawiło, z jakim pomysłem Roman wyjdzie przy okazji wyjazdu do Mielna. Spodziewała się, że pojedą tam już w następnym tygodniu, zwłaszcza że na początek sierpnia zapowiadano piękną pogodę. Nie pojechali jednak do Mielna. Roman zaproponował wyjazd do Gdańska na festiwal kabaretowy Gdańsk

Toczy Bekę. Zgodziła się. Po spektaklu uznali, że warto było tu przyjechać. Festiwal zapewnił im prawie pięć godzin śmiechu. Dawno już się tak dobrze nie bawili.

Tego dnia w Gdańsku odbywał się też wyścig osób niepełnosprawnych oraz bieg na pięć kilometrów. Obejrzeni je z tarasu restauracji, w której jedli obiad. Podziwiali ducha ludzi na wózkach inwalidzkich i tych biegnących na własnych nogach. Były ich setki, jeśli nie tysiące.

Odwiedzili też plażę i moło w Sopocie.

Na długi sierpniowy weekend zdecydowali się pojechać do Wrocławia. Tym razem zatrzymali się w hotelu Campanile położonym nad rzeką, prawie w samym centrum miasta. Tradycyjnie już spędzili czas na rynku w poszukiwaniu krasnali. Udało im się znaleźć dwudziestu ośmiu z ponad pięćdziesięciu. Postanowili następnym razem posłużyć się mapą i zlokalizować wszystkie. Jeszcze raz obejrzeni Panoramę Raławicką. Poszli też na most zakochanych, chociaż nie mieli kłódki, żeby ją tam zawiesić. Popłynęli statkiem turystycznym do ogrodu zoologicznego. Spędzili tam cały dzień. Trzeciego dnia udali się do Zielonej Góry na Festiwal Piosenki Rosyjskiej. Zanocowali w uroczym hoteliku Villa Siesta. Następnego dnia zwiedzili Bolesławiec oraz pomnik Chrystusa w Świebodzinie. Do domu dojechali późno w nocy, choć bardzo zadowoleni.

ROZDZIAŁ 44

Środa, 14 sierpnia 2013, godzina 8:12 CEST

Początkowo komisarz Ślubowski prowadził śledztwo zgodnie z opracowanym przez siebie i zatwierdzonym przez prokuratora planem. Uległo to zmianie po zabójstwie detektywa Brzozowskiego. Wstępne śledztwo wykazało, że obie ofiary – Jan Kuza i Andrzej Brzozowski – zmarły, zatrute tą samą trucizną. Nie było wątpliwości! Badania toksykologiczne jednoznacznie wykazały, że w obu zabójstwach użyto mieszanki atropiny i arszeniku. Od tego momentu dochodzenie zostało podporządkowane prokuraturze wojewódzkiej w Bydgoszczy. Na szczęście nie zmienił się prokurator prowadzący. Nadal pozostał nim Tomasz Marynowski, z którym komisarz Ślubowski lubił pracować. Prokurator wyznaczył czternastotygodniowy termin na śledztwo i przedstawił pisemne wytyczne. Nie przygotowano planu czynności operacyjno-rozpoznawczych. Prokurator rozszerzył uprawnienia komisarza na współpracę z innymi jednostkami policji w kraju i podjął się pełnić rolę koordynatora.

Nowe wytyczne nie odbiegały zbyt od planu komisarza i w zasadzie dotyczyły głównie drugiego morderstwa. W praktyce czynności śledcze należało prowadzić odrębnie dla każdej sprawy. Zwłaszcza na początku, kiedy nic się nie ząbiało. Na zlecenie komisarza Ślubowskiego gospodarzy niedzielnego obiadu przesłuchali detektywi z lokalnej komendy w Wołominie. Tak jak komisarz przypuszczał, wykluczyli oni możliwość, żeby trucizna dostała się do żołądka Jana Kuzy w czasie przyjęcia. Wszyscy goście jedli to samo, potrawy były podawane na półmiskach i nikt inny z biesiadników nie miał objawów zatrucia. W następnej kolejności komisarz Ślubowski zlokalizował stację benzynową, na której Kuzowie tankowali. Zajął się tym osobiście. Po kilku telefonach poznał nazwisko kasjera, który pełnił nocną służbę w dniu morderstwa. Udał się na stację na spotkanie z nim. Dowiedział się, że Jan Kuza kupił dwie kawy, batonik Prince Polo i coca-colę. Informacja o dwóch kawach była nowa, wdowa po zamordowanym nic o tym nie wspomniała. A ponieważ w butelce coca-coli znaleziono tylko minimalne ilości trucizny, która najprawdopodobniej dostała się tam ze śliną denata, komisarz wyciągnął wniosek, że trucizna musiała być w jego kawie. Najważniejsze było teraz znalezienie odpowiedzi na pytania: Czy tak rzeczywiście było? A jeśli tak, to w jaki sposób trucizna dostała się do kawy? Oprócz denata i jego żony na stacji była tylko jeszcze jedna para. Z zeznań kasjera wynikało, że mężczyzna był Polakiem, a kobieta charakteryzowała się egzotyczną urodą, jakby Arabka lub Ukrainka. Z kolei z nagrań monitoringu wynikało, że żadna z tych osób nie spotkała się z denatem. Płacili za paliwo, gdy ofiara znajdowała się już w samochodzie. Monitoring wyraźnie pokazywał tył odjeżdżającego samochodu ofiary w momencie, gdy druga para wychodziła ze sklepu. Mimo to komisarz

Ślubowski postanowił porozmawiać z tymi osobami. Miał numer tego drugiego samochodu. Uznał jednak, że nie jest to pilne. W pierwszej kolejności postanowił skupić się na żonie denata. Statystyki pokazują, że w przeszło 90% przypadków śmierci w małżeństwie winny jest współmałżonek.

Poza tym dlaczego nic nie wspomniała o drugiej kawie? Czyżby coś ukrywała? Arszenik i atropina są stosunkowo łatwo dostępne. Trzeba jednak się znać na truciznach, żeby przyrządzić taką miksturę. Komisarz postanowił iść tym tropem: przeprowadził wywiad środowiskowy pod kątem tego, jakiego rodzaju było to małżeństwo, posprawdzał doświadczenie zawodowe wdowy. Wyjaśnił też, dlaczego na trzy tygodnie przed śmiercią męża żona podwyższyła polisę PZU na jego życie o dwieście tysięcy złotych i dlaczego nie wspomniała nic o kawie wypitej przez denata? Ani wywiad środowiskowy, ani kariera zawodowa wdowy niczego nie rozstrzygnęły. Podobno małżeństwo było zgodne, chociaż, tak jak wszyscy, mieli konflikty, ale niezbyt często. Historia zawodowa Barbary Kuzy nie wskazywała na to, że mogła się znać na truciznach. Skończyła zaocznie studia ekonomiczne i pracowała w urzędzie miasta na różnych stanowiskach, niezwiązanych z toksykologią. Chociaż w dzisiejszych czasach każdy może znaleźć w Internecie instrukcje o tym, jakich trucizn użyć i jak je spreparować. Okazało się, że wdowa używała komputera w pracy. Miała też komputer w domu, którym głównie ona się posługiwała. Wdowa udzieliła im pełnych i wyczerpujących odpowiedzi na zadane jej pytania, rozwiewając wszelkie wątpliwości. Tylko jednego nie mogła lub nie chciała wyjaśnić – co się stało z drugą kawą. Uporczywie twierdziła, że o drugiej kawie nic nie wie.

Następnie, zgodnie z założeniami śledztwa, komisarz rozpatrzył możliwość samobójstwa. Wszystko solidnie posprawdzał – denat nie miał długów ani problemów zdrowotnych. Nie był też szantażowany, co było pewne, gdyż nie miał odrębnego konta bankowego, ani prywatnych oszczędności. I w pracy, i w sąsiedztwie był powszechnie lubiany – nikt mu nie groził. Nie wyglądało też, żeby miał dostęp do trucizny.

Komisarz Ślubowski wykluczył również możliwość połknięcia trucizny przez pomyłkę. Uznał to za niemożliwe, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich doszło do zatrucia.

Przeglądając notatki w sprawie śmierci Jana Kuzy, komisarz się zasepił: czyżby historia się powtarzała? – jest trup, pełno pytań i żadnych odpowiedzi, a pozostały już tylko niecałe cztery tygodnie do terminu zakończenia śledztwa.

Ślubowski był znany ze swojej solidności w prowadzeniu śledztwa. Dodał do listy podejrzanych również kasjera ze stacji benzynowej.

Na szczęście sprawa trochę się wyjaśniła po śmierci detektywa Brzozowskiego. W obu przypadkach sprawca lub sprawcy użyli tej samej trucizny. Ponieważ nie ulegało wątpliwości, że Barbara Kuza nie знаła detektywa, można ją

było ostatecznie wykluczyć. Z całą pewnością można było również wykluczyć kasjera, który w dniu zabójstwa detektywa pełnił dzienny dyżur na stacji i się z niej nie oddalał.

Komisarz Ślubowski zdecydował się skupić całą swoją uwagę na dwóch osobach, które były obecne na stacji benzynowej w noc śmierci Jana Kuzy. Nazwisko mężczyzny, właściciela samochodu już znał. Był to Tomasz Zalewski z Mińska Mazowieckiego. Nie udało mu się jednak z nim skontaktować – od poniedziałku dwunastego sierpnia był na urlopie i jego obecne miejsce pobytu nie było znane.

ROZDZIAŁ 45

Czwartek, 15 sierpnia 2013, godzina 20:56 CEST

W trakcie podróży po Europie Lupa komunikowała się z Tomaszem przez Skype'a. Uzgodnili, że będzie na nią czekał piętnastego sierpnia o godzinie dziewiątej wieczorem w lobby hotelu Premier Class. Zrobiła rezerwację już kilka dni temu. Z Paryża wracała samolotem. Gdy dotarła do hotelu, była 14:10. Ucieszyła się. Zdąży się wyspać przed spotkaniem z Tomaszem. Do lobby zeszła punktualnie o dwudziestej pierwszej. Tomasz już na nią czekał. Siedział na tym samym fotelu, co poprzednim razem. Przy nim stała ta sama walizeczka, co ostatnio, a obok jej walizka. Lupa podeszła do niego i serdecznie go ucałowała.

– Zapraszam na górę.

Poszli do pokoju. Lupa wskazała mu fotel stojący w rogu pokoju przy małym stoliku. Sama usiadła w drugim.

– Cieszę się bardzo, że znowu cię widzę. Siadaj, proszę. Musimy zaplanować nasz wspólny pobyt – powiedziała. – Na jak długo wzięłeś urlop?

– Na cały miesiąc – od dwunastego sierpnia do piętnastego września.

– Słyszałam od mojego znajomego Polaka, że we wrześniu najlepiej odwiedzać polskie góry. Proponuję więc, żeby dwa najbliższe tygodnie spędzić na zwiedzaniu okolic Warszawy, a we wrześniu pojedziemy w góry. Co ty na to?

– Doskonały pomysł – odpowiedział Tomasz. – Chociaż żeby iść w góry, będę musiał kupić sobie jakiś strój i buty do wędrówek.

– Tym się nie przejmuj. Ja też będę musiała kupić – powiedziała Lupa. – A co byś zaproponował na najbliższe dwa tygodnie?

– Może wynajmiemy domek nad Zalewem Zegrzyńskim? – powiedział Tomasz.

– Domek nad wodą? To świetny pomysł! – zgodziła się Lupa. – A czy możemy wynająć łódkę albo jakąś żaglówkę? – spytała rozmarzonym głosem. – Umiesz żeglować?

– Tak, mam patent sternika – odpowiedział Tomasz. – W Polsce do żeglowania jest to absolutnie wymagane.

– To fantastycznie! – wykrzyknęła Lupa. – Jedziemy nad zalew. Kiedy możemy wyruszyć?

– Kiedy tylko zechcesz.

– Wiesz co? Nigdy nie spędzałam czasu na łódce na jeziorze. Na początek pojedźmy może tylko na ten weekend, zobaczę, czy mi się to będzie podobało. Jeśli tak, to zostaniemy na dłużej. Będziesz mi jednak musiał pomóc z wynajęciem domku.

– Nie ma sprawy, zajmę się tym – odpowiedział Tomasz.

Zaczął szukać domku w piątek z samego rana. W południe poinformował

Lupę, że znalazł odpowiednie miejsce dostępne od zaraz z możliwością przedłużenia wynajmu na kolejne dwa tygodnie.

– Możemy tam pojechać już w tę sobotę – powiedział z zadowoleniem.

Tak też zrobili. Również i tym razem Lupa uparła się, by nie rezygnować z pokoju hotelowego.

– To nie są duże pieniądze – odpowiedziała Tomaszowi na argument, że niepotrzebnie wyrzuca pieniądze w błoto.

Domek nad zalewem okazał się całkiem przestronny. Położony był tuż przy wodzie. Miał własny pomost, do którego była przycumowana łódka. Właściciel domku musiał być rybakiem, ponieważ łódka była przystosowana do łowienia ryb. Nie była duża. Pomalowano ją na cztery kolory. Spód był bordowy, burty z zewnątrz zielone, wewnątrz szaroniebieskie, a wierzch burt i nadbudówka żółte. W środku znajdowały się trzy poprzeczne ławeczki oraz przy prawej burcie biała skrzynia służąca do przechowywania sprzętu rybackiego. Na rufie zamocowany był silnik motorowy marki Honda z podnoszoną śrubą. W burtach wmontowane były dulki do wiosła, które leżały na dnie łódki. Na dziobie znajdowały się zwoje lin cumowniczych oraz nieduża kotwiczka z ciężkim łańcuchem. Dziób i rufa łódki były przymocowane do pomostu.

Domek znajdował się w Białobrzegach. Był wciśnięty pomiędzy duże domy wczasowe, pobudowane jeszcze za czasów komuny. Lupa poprosiła Tomasza, żeby zaraz po lunchu popłynęli łódką na jezioro. Nie umieli wystartować motoru, Tomasz musiał więc wiosłować. Lupa siedziała twarzą do niego i wyglądała na bardzo zadowoloną. Sprawiało mu to ogromną radość. Odpłynęli na odległość około dwustu metrów od brzegu.

– Czy myślisz, że jest tu głęboko? – zapytała w pewnym momencie Lupa.

– Chyba tak. Generalnie zalew jest głęboki. Pływają tutaj statki pasażerskie żeglugi śródlądowej. Zobacz, właśnie jeden nadpływa.

Tomasz wskazał ręką na przepływający między nimi a brzegiem statek. Był nieduży i wypełniony rozradowanymi turystami, którzy machali do nich i coś krzyczeli, chociaż słów nie mogli rozpoznać. Statek przepłynął.

– Wracajmy! – zaproponowała Lupa. – Pozwolisz, że teraz ja będę wiosłowała?

Zamienili się miejscami. Lupa z trudem radziła sobie z ciężkimi wiosłami, ale na uwagę Tomasza, że może ją zastąpi, odpowiedziała:

– Pozwól mi popróbować. Chcę się nauczyć wiosłować. Raczej pokaż mi, jak się łowi ryby.

– To nic trudnego – odpowiedział Tomasz. – Rzucasz kotwicę, która utrzymuje łódkę w jednym miejscu, łowisz wędką i wyciągasz, cokolwiek się na

nią złapie. Nie widzę jednak sprzętu wędkarskiego. Może jest zamknięty w skrzyni, ale nie mamy do niej klucza. Po powrocie sprawdzę, czy właściciel nie zostawił gdzieś wędek lub klucza. Tak czy inaczej, spróbujemy coś złowić jutro. Jeśli nie znajdę wędek, to pojedę rano do sklepu żeglarskiego w Nieporęcie i je kupię.

– Możesz rzucić kotwicę? Zatrzymajmy się tutaj na chwilę – zaproponowała Lupa.

– Podoba mi się tu – dodała po chwili rozmarzonym głosem. – Jest to bardzo ładne miejsce. I stąd mamy bardzo ładny widok, nieprawdaż? Spójrz, jak ładnie wygląda nasz domek! Do kiedy go wynajmiesz? – zapytała.

– Tak jak się umówiliśmy. Na razie do poniedziałku w południe. Podali mi adres właściciela. Jeśli zechcemy przedłużyć pobyt, to w poniedziałek pojedę do Białobrzegów i to załatwię. Jeśli nie zdecydujemy się przedłużyć, to kazano mi zamknąć domek i wrzucić klucze do skrzynki na listy.

– Rzeczywiście prosty i niekrępujący sposób wynajmowania – skwitowała Lupa. – Chętnie zostanę tutaj dłużej. – Podnieś kotwicę, proszę, wracamy – dodała po chwili.

Ponownie wzięła się do wiosłowania. Tym razem szło jej lepiej. Łódka zaczęła płynąć po mniej więcej prostej linii w kierunku brzegu. Wiosłowanie i trzymanie się kursu było źródłem nieustającego śmiechu. Czasami któreś z wiosel wyskoczyło z wody i ochlapywało wtedy Tomasza.

– Myślę, że byłoby bardzo romantycznie wypłynąć łódką późnym wieczorem, kiedy na jeziorze robi się ciemno. Chciałabym zobaczyć te wszystkie światła nadbrzeżne. Zgodziłbyś się? – zapytała Lupa, gdy dobili do pomostu.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Tomasz, układając wiosła.

– Nie musimy odpływać daleko – dodała Lupa. – Chyba wystarczy, jak odpłyniemy jakieś sto metrów od brzegu, żeby mieć wspaniały widok. A co byś powiedział na to, żebyśmy wzięli ze sobą kanapki i kilka puszek piwa i zrobili sobie piknik?

– Myślę, że jest to wspaniały pomysł – odpowiedział Tomasz.

Ponownie wypłynęli około dwudziestej pierwszej. Lupa przygotowała kanapki, które włożyła do plastikowego pudełka. W torbie miała sześć puszek Żywca. Wiosłował Tomasz. Lupa przymocowała torbę z piwami do śruby hondy i zanurzyła w wodzie, żeby piwa się schłodziły. Odpłynęli na jakieś sto metrów od brzegu, tak jak chciała Lupa. Tam się zatrzymali.

– Czy mam rzucić kotwicę? – zapytał Tomasz.

– Chyba nie potrzeba – odpowiedziała Lupa. – Woda jest spokojna.

– Masz rację – przytaknął.

Lupa podała mu kanapkę, później wyciągnęła piwo i podała mu je już otwarte. Dla siebie również wzięła kanapkę i piwo. Było bardzo ciemno. Widok oświetlonego brzegu w Nieporęcie i Zegrzu był rzeczywiście niesamowity. Przy

trzecim piwie Tomasz powiedział sennym głosem:

– Ty sobie pooglądaj, a ja się trochę zdrzemnę, jeśli pozwolisz – położył głowę na przedniej ławce i po chwili spał jak zabity.

Lupa szybko zabrała się do roboty. Odkręciła łańcuch kotwiczny od haka na dziobie łódki, a kotwicę przeniosła na rufę. Owinęła ciało śpiącego Tomasza łańcuchem i zawiązała go na jego piersi. Następnie wyjęła wiosła z dulek i położyła je na dnie łódki. Siedząc obok Tomasza na środkowej ławce, przesunęła jego nogi za burtę, a następnie wrzuciła go do wody. Łódka przez chwilę niebezpiecznie się przechyliła. Zimna woda obudziła Tomasza. Chwyił się burty. Łódka przechyliła się ponownie.

– Co ty robisz?! – krzyknął. – To nie jest zabawne! – dodał, widząc, że jest owinięty łańcuchem.

Lupa nie odpowiedziała. Zamiast tego wyrzuciła kotwicę za burtę i rozchyliła palce Tomasza trzymające się burty. Po chwili Tomasz, ciągnięty w dół przez kotwicę i łańcuch, zniknął pod wodą. Chyba coś do niej mówił albo krzyczał, bo w miejscu, w którym zniknął pod wodą, na jej powierzchni pojawiły się bąbelki powietrza. Lupa włożyła wiosła w dulki i powiosłowała z powrotem do brzegu. Następnego dnia rano pojechała samochodem Tomasza do Nieporętu, gdzie w sklepie żeglarskim kupiła taki sam łańcuch i kotwicę. Zainstalowała kotwicę na miejscu. W południe zabrała swoje i Tomasza rzeczy, wrzuciła wszystko do bagażnika, zamknęła dom, klucze wrzuciła do skrzynki na listy i udała się w drogę powrotną do hotelu w Warszawie. Przez cały czas miała na rękach lateksowe rękawiczki.

ROZDZIAŁ 46

Sobota, 7 września 2013, godzina 19:00 CEST

Szare niebo wskazywało, że lato nieubłagane się kończy. Ostatnia sobota sierpnia była deszczowa, więc Roman i Krystyna pozostali w domu. Ponieważ wrzesień zaczął się od niedzieli, pierwszy pełny weekend wypadł siódmego. Prognozy pogody na następną sobotę i niedzielę nie były jednak dobre – również zapowiadano chłody i deszcze. Krystyna, której nabierało się sporo prac domowych, zaproponowała więc Romanowi, żeby przez następne dwa tygodnie nie ruszać się poza miasto. Roman się zgodził. Zaproponował wyjście w sobotę na hinduską kolację do Royal India.

– Podobno podają tam smaczne mięsa przygotowywane w specjalnym glinianym piecu tandoor – powiedział. – Porozmawiamy o nas i ustalimy, co będziemy dalej robić.

– Dobrze – odpowiedziała. – Ale w sobotę mogę spotkać się dopiero po dziewiętnastej. Wcześniej będę zajęta.

– Miałem nadzieję, że spotkamy się w piątek i spędzimy sobotę razem – zaprotestował. – Pojechalibyśmy wtedy do restauracji razem.

– Niestety, nie możemy. Musisz zmienić plany. Spotkamy się o dziewiętnastej na miejscu.

– Dobrze. Nie ma sprawy – odpowiedział.

W środę tradycyjnie poszli do kina przy Czerwonej Drodze. Później, zgodnie z planem, spotkali się w sobotę wieczorem na kolacji w Royal India.

Restauracja znajdowała się w starej piwnicy, z widocznymi fragmentami ceglanych murów, które razem z łukowatym sufitem nadawały miejscu specyficzną atmosferę. Gości nie było dużo. Wszystkie stoły były elegancko nakryte. Zdecydowali się na danie o nazwie samosa, które w karcie było opisane jako „trzy kruche stożki nadziewane warzywami”. Jako danie główne Krystyna zamówiła tandoori murgah – kawałki fileta z piersi kurczaka marynowane w jogurcie z przyprawami i pieczone w piecu tandoor. Roman natomiast zamówił tandoori mutton, to jest kawałki jagnięciny, również marynowane w jogurcie i pieczone w piecu tandoor. Na deser wybrali Exotic Fruit Samosa – trójkątne pierożki, tym razem z nadzieniem z owoców egzotycznych podawanych z lodami waniliowymi. Mimo że dania główne serwowano z ryżem, Roman poprosił dodatkowo o indyjski chleb. Zamówił też typowe napoje indyjskie i butelkę czerwonego wina Burgundy rocznik 2005.

Wszystkie dania bardzo im smakowały. Jedli więc z dużym apetytem, narzekając przy tym na pogodę. Dopiero przy deserze zaczęli rozmawiać o ich

przyszłości.

– Powiedziałeś, że chcesz pogadać o nas i ustalić, co będziemy dalej robić – zaczęła Krystyna. – Mam wrażenie, że chcesz ze mną zerwać.

Nie odpowiedział. „O czym ona mówi?” – pomyślał. W kieszeni miał dwa bilety sypialne z Poznania do Amsterdamu i powrotne. Chciał jej zaproponować wycieczkę do Amsterdamu, żeby kupić pierścionek z brylantem. Zaprosił ją do restauracji, bo chciał ustalić szczegóły wyjazdu. Poprzedni dzień spędził, projektując pierścionek zaręczynowy godny swojej ukochanej.

– No przyznaj się, że chcesz ze mną zerwać – jakby z daleka usłyszał głos Krystyny.

Znowu nic nie odpowiedział. „Ona chyba rzeczywiście zdecydowała się na rozstanie – pomyślał. – Albo kogoś sobie znalazła, albo chce mnie ukarać za to, że nie kupiłem tego drogiego apartamentu. Chyba jednak chodzi o jakiegoś innego faceta. Nigdy nie była ze mną szczerą”. Przypomniał sobie, jak mu zakomunikowała, że w samolocie do Londynu spotkała przystojnego polskiego biznesmena, który zaprosił ją, żeby go odwiedziła, gdy następnym razem będzie w Londynie. Był pewien, że Krystyna nadal szuka odpowiedniego mężczyzny. On nie był tym właściwym! Może by o tym wszystkim zapomniał, gdyby nie to, że znowu nawiązała znajomość w samolocie. Po przylocie pochwaliła mu się, że nawiązała kontakt z dwoma Meksykanami, którzy siedzieli obok niej. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że później przez dłuższy czas utrzymywała z jednym z nich kontakt. „Kto wie, może do tej pory już sobie załatwiła następną wycieczkę do Meksyku, tym razem do Meksykanina?” – zastanawiał się. Nic wtedy nie powiedział, ale poczuł się dotknięty. Czuł się nawet bardziej dotknięty niż w czasie ich pierwszej wyprawy do Wrocławia, gdy do towarzystwa z nim Krystyna zaprosiła swojego byłego kochanka. Bo nie miał wątpliwości, że Krystyna załatwiła sobie wtedy we Wrocławiu na jego koszt spotkanie z byłym, albo kto ją tam wie – może nawet i aktualnym kochankiem. Może by i miał wątpliwości, ale pamiętał komentarze niektórych osób, którym pokazał zdjęcia z Wrocławia. Za każdym razem słyszał to samo pytanie: „A te osoby, to kto? Ładna para! Już na pierwszy rzut oka widać, że są zakochani”. „To taka para znajomych z Wrocławia” – odpowiadał. Wstydził się przyznać, że kobieta na zdjęciach była we Wrocławiu z nim. Później dokładnie obejrzał zdjęcia. Nie ulegało wątpliwości. Szczególnie na jednym widać było dużą zażyłość i bliską relację Krystyny i jej przyjaciela. Zastanawiał się wtedy, czy nie zachował się jak marynarz, który uprzedził telegraficznie żonę, że przylatuje. Gdy nie zastał jej na lotnisku, pomyślał: „A to kurwa! A może nie? Może czeka w domu z kolacją?”. Nie zastał jej jednak ani w kuchni, ani w jadalni. „A to kurwa! A może nie? Może czeka na mnie w sypialni?”. Była w sypialni, ale z innym facetem. „A to kurwa! A może nie? Może telegram nie doszedł?” – pomyślał marynarz. W końcu Roman

zawyrokował: „Jeśli jeszcze raz wspomni o rozstaniu, to będzie znaczyło, że zdecydowała się odejść”. W takim wypadku postanowił jej nie utrudniać.

– Dlaczego nic nie mówisz? Przyznaj się, że chcesz się ze mną rozstać – powiedziała Krystyna po raz trzeci.

– Myślę, że powinniśmy rozpatrzeć taką opcję. Proponuję pogadać przy obiedzie w następną niedzielę – odpowiedział. – Poszukam jakiejś fajnej restauracji i dam ci znać – dodał.

Zaskoczyła go. Potrzebował czasu, żeby wszystko przemyśleć. Podczas gdy on myślał o zacieśnieniu więzi między nimi i o małżeństwie, ba!, ostatecznie zdecydował się na kupno dla nich w Polsce jakiegoś domu, ona myślała o rozstaniu. Zawołał więc kelnera, zapłacił rachunek i wyszli na zewnątrz. Podjął decyzję. Poczul się rozluźniony. Stres związany z jej słowami i rozterki minęły.

– Dorota wyjeżdża na weekend. Przyjedź więc w sobotę i zostań do niedzieli. Po śniadaniu w niedzielę pójdziemy na mszę, a później zjemy obiad w domu. Będziemy mogli wtedy spokojnie pogadać.

– Przyjadę w niedzielę rano o dziewiątej na śniadanie – powiedział twardo, ciągle poruszony jej słowami o rozstaniu. – Mam nadzieję, że to nie będzie zbyt wcześnie.

– Zgoda – powiedziała Krystyna.

Odwróciła się na pięcie i poszła do swojego samochodu. Sprawiała wrażenie smutnej. Patrzył ze zdziwieniem, jak odeszła bez pożegnania. Cztery lata starań, a jej wystarczyło kilka minut, żeby go zostawić. „Nawet mnie nie pocałowała w policzek. Osiągnęła to, czego chciała” – pomyślał i wszedł do samochodu. Nie uwierzył w jej smutek. „Cwanie to rozegrała, po aktorsku to odegrała” – pomyślał.

W drodze do domu intensywnie rozmyślał nad tym, co się zdarzyło. „Nie kupił dla córki mieszkania, nie był więc potrzebny” – tak Roman ostatecznie ocenił postawę Krystyny, gdy analizował rozmowę, którą przeprowadził z nią po kolacji. „Cwaniara! Inteligentnie go porzuciła. Oczywiście nie powiedziała mu tego wprost. Nie, to nie było w jej stylu, przyzwoitej kobiety, na jaką pozowała. Przecież taka kobieta kieruje się w życiu wartościami nadrzędnymi, a nie materialnymi”. Cwanie też zastosowała ten chwyt odwróconej psychologii. „Ciekawe, skąd w Polsce to znała? *Reverse psychology* jest znana i dobrze opisana przez psychologów w Stanach Zjednoczonych. Stosuje się ją, gdy ktoś sugeruje rozwiązanie przeciwne do oczywistego. Ale żeby w Polsce?” – dziwił się Roman. W Polsce kobiety stosują to w sposób prymitywny i raczej nieświadomie. Na przykład żona mówiąca do męża: „Ja wiem, że już mnie nie kochasz” stosuje odwróconą psychologię z nadzieją, że mąż zaprzeczy. Nie rozumie, że to może spowodować, że mąż zacznie się zastanawiać nad stanem swoich uczuć. Poprawne pytanie w tym

względnie zadał Gałczyński w swoim utworze *Rozmowa liryczna*. Powinno ono brzmieć: „Powiedz mi, jak mnie kochasz?”. Roman jednak nie miał złudzeń co do tego, że Krystyna mówiąc: „Wiem, że chcesz się ze mną rozstać”, zastosowała *reverse psychology* świadomie. Raczej chciała mu zasugerować rozstanie. Żeby nie mieć co do tego wątpliwości, odczekał, nie dając żadnej odpowiedzi, aż powtórzyła je trzy razy. Mimo że Krystynie nazbierała się długa lista grzeszków w ich związku, jemu wcześniej nawet przez myśl nie przeszło, że mogą się kiedyś rozstać. Dopiero widząc jej determinację, zdecydował: „Niech jej będzie. Rozstaniemy się!”. Nie miał wątpliwości, że dostarczył Krystynie wielu atrakcji. Miał tylko nadzieję, że nie był to jedyny powód, dla którego była z nim prawie cztery lata. Pytanie, czy te lata spędziła tylko z nim? Przecież wiele miesięcy przebywali osobno. Prawie jedną trzecią czasu. A miał stuprocentową pewność, że Krystyna będąc z nim i deklarując miłość do niego, równocześnie korespondowała z innymi mężczyznami. Chyba jednak nie była warta zachodu. A niech tam...

ROZDZIAŁ 47

Czwartek, 19 września, 20:21 CEST

Wizyta komisarza Ślubowskiego nieprzyjemnie zaskoczyła Krystynę. Pojawił się w jej domu w czwartek, późnym wieczorem, dzwoniąc przez domofon z bramy. Przedstawił się jako komisarz policji i powiedział, że ma z nią bardzo ważną sprawę do omówienia. Wiedząc, że córka jest w domu, zaczęła się martwić, że może stało się coś złego Romanowi. Szybko więc wpuściła komisarza do domu. Zaprosiła go do salonu.

– Jestem komisarz Ślubowski – przedstawił się. – Prowadzę sprawę dwóch morderstw, które miały miejsce ostatnio w okolicach Torunia. Obie ofiary zostały zabite w ten sam sposób, otrute taką samą trucizną. Jedną z ofiar był prywatny detektyw, który zajmował się poszukiwaniem osób. Nazywał się Andrzej Brzozowski. Jego biuro znajduje się przy ulicy Piekary w Toruniu. Nie będę wdawał się w szczegóły sprawy. Powiem tylko, że w jego biurze znaleźliśmy teczkę z pani nazwiskiem. Były w niej wszystkie istotne pani dane: numery telefonów, zdjęcie auta, kilka fotografii pani z jakimś mężczyzną, fotografia pani wychodzącej z biura, pani adres domowy, adres biura, informacja o tym, jakie pani zajmuje stanowisko, a nawet do jakich kościołów pani chodzi. Nie wiem, co o tym sądzić, dlatego przyszedłem z tym do pani. Mam następujące pytania: Czy pani zna, znała lub kiedykolwiek słyszała o Janie Kuzie? Czy znała pani Andrzeja Brzozowskiego?

– Nie. Te nazwiska z nikim mi się nie kojarzą – odpowiedziała.

– Należy więc przypuszczać, że Brzozowski dostał na panią zlecenie. Znaczący się, dostał zlecenie znalezienia pani. Czy istnieje ktoś, kto chciałby panią odszukać? Czy pani zna, znała lub kiedykolwiek słyszała o człowieku nazwiskiem Tomasz Zalewski z Mińska Mazowieckiego?

– Nie. Nikt taki nie przychodzi mi do głowy – odpowiedziała Krystyna. – Nie znam żadnego Tomasza Zalewskiego.

– Niech pani dobrze pomyśli, proszę. Może istnieje ktoś, kto chciałby panią skrzywdzić?

– Nie sądzę.

– Pozwoli pani, że zapytam. Czy ma pani wrogów?

– Nie przypuszczam. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

– Rozumiem – powiedział komisarz. – Zostawię pani swoją wizytówkę, na wypadek gdyby coś się pani przypomniało. Proszę jeszcze raz pomyśleć i poprosić wśród najbliższych. Może im się coś skojarzy. Gdyby pani się coś przypomniało, proszę do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

– Dobrze – odpowiedziała Krystyna.

Komisarz wstał. Krystyna odprowadziła go do drzwi. Zaintrygowana wróciła

do salonu. Przez cały czas zadawała sobie pytanie: Kto i dlaczego miałby jej szukać?

ROZDZIAŁ 48

Niedziela, 22 września 2013, godzina 08:52 CEST

Tak jak ustalili, Roman przyszedł do domu Krystyny w niedzielę rano. Rzeczywiście była sama, przygotowywała w kuchni śniadanie. Pachniał smażony wędzony boczek.

– Dobrze, że już jesteś. Prawie wszystko już gotowe. Muszę tylko jeszcze zaparzyć herbatę. A może wolisz kawę? – powiedziała, gdy wszedł. – Siadaj, proszę, muszę ci powiedzieć coś ważnego.

Stół był już nakryty do śniadania dla dwóch osób. Usiadł na zwyczajowym miejscu.

– Zamieniam się w słuch – odpowiedział.

– Wyobraź sobie, że wczoraj po południu miałam bardzo niecodzienną wizytę. No zgadnij, kto przyszedł?

– I tak nie zgadnę. Lepiej sama powiedz.

– Odwiedził mnie policjant, który prowadzi śledztwo w sprawie dwóch morderstw. Powiedział, że jedną z ofiar jest toruński prywatny detektyw. Znalaziono u niego teczkę z moimi danymi, w tym adres, miejsce pracy i tego typu szczegóły. Wyobraź sobie, że znał nawet markę i numer rejestracyjny mojego auta. Ba! Wiedział nawet, gdzie i na którą chodzę do kościoła. Miał też kilka moich zdjęć, w tym dwa z tobą w restauracji. Policja podejrzewa, że detektyw został przez kogoś zatrudniony, żeby mnie odszukać. Myślę, że ten ktoś to mógł być morderca. Czy przychodzi ci ktoś na myśl, kto byłby zainteresowany znalezieniem mnie lub moich danych?

– Nie! Nie mam najmniejszego pojęcia, kto to mógł być – odpowiedział Roman.

Dyskutowali na ten temat przez całe śniadanie, ale doszli do wniosku, że nie mają wystarczających informacji, żeby mogli coś konkretnego ustalić, kto i dlaczego zlecił znalezienie jej. Jakkolwiek fakt, że ktoś za jej plecami coś knuje, przeraził ich oboje. Brzmiało to groźnie. Najgorsze, że niebezpieczeństwo było im nieznanne.

Po śniadaniu, tak jak zaplanowali, udali się na mszę do kaplicy w Barbarce. Dojechali na miejsce dziesięć minut po jedenastej. Co prawda msza zaczynała się o jedenastej rano, ale mimo starań nie udało im się wyrobić na czas. Prawie cały parking przy kaplicy był zajęty. Pozostały wolne tylko trzy najbardziej odległe miejsca. Zaparkowali na ostatnim i ruszyli do kościółka. Gdy przyszedli, ksiądz właśnie kończył kazanie. Kaplica była wypełniona ludźmi. Wielu wiernych stało na zewnątrz. Nie próbowali więc wcisnąć się do środka. Zniechęcił ich tłum stojący w drzwiach. Po mszy, spodziewając się problemu z wyjazdem z Barbarki, wyszli nieco wcześniej, żeby odjechać przed innymi. Szli szybkim krokiem poboczem po

prawej stronie drogi.

Romana zaniepokoił nagły hałas z tyłu. Odwrócił się i z przerażeniem zobaczył, że prosto na nich pędzi duże auto. Było nie dalej niż dwadzieścia metrów. W ostatniej chwili udało się mu zepchnąć Krystynę z drogi. Zaskoczona, wpadła pomiędzy drzewa i przewróciła się. Roman próbował odskoczyć. Jednak było za późno. Auto uderzyło w niego, gdy był w powietrzu – dzięki temu jego nogi nie zostały połamane. Auto było mocno rozpędzone. Dla Romana jednak wszystko działo się jak na zwolnionym filmie. Wylądował na masce samochodu. Czuł, jak pod jego ciężarem wgniata się przednia szyba. Na szczęście impet rzucił go na dach samochodu.

Było to duże kombi. Po obu stronach dachu znajdowały się relingi do mocowania bagaży. Roman poczuł jeden z nich pod prawą łopatką. Ostatnie, co zapamiętał, było uczucie spadania i huk zamykającego się lusterka, o które zawadził stopą. Gdy spadł na ziemię, nic nie poczuł. Stracił przytomność.

Krystyna upadła na plecy. Z przerażeniem obserwowała całą scenę. Wyjaśniło się, dlaczego ktoś zlecił detektywowi jej znalezienie i dlaczego w teczce u detektywa była informacja o kościołach. Policjant miał rację: ktoś poluje na jej albo Romana życie. Udało się jej zapamiętać numer tablicy rejestracyjnej oddalającego się samochodu. „WM64352” – powtarzała w myślach. Szybko też zapisała numer w notatkach swojej komórki. Ogarnęło ją przerażenie. Roman leżał bez ruchu, na szczęście oddychał. W międzyczasie dookoła nich utworzył się krąg ludzi, którzy wychodzili z kaplicy po mszy. Wieść o potrąceniu człowieka rozeszła się błyskawicznie i poruszyła wszystkich. Każdy chciał zobaczyć ofiarę. Na szczęście ktoś okazał na tyle przytomności umysłu, żeby wezwać karetkę pogotowia i policję. Ambulans przybył pierwszy, już po dwunastu minutach. Z pomocą kierowcy sanitariusz położył Romana na noszach, załadował do środka, założył mu maskę tlenową i podłączył jakieś kabelki. Po kilku minutach karetka na syrenie odjechała. Krystyna martwiła się o Romana. Widząc oddalający się ambulans, uświadomiła sobie, że nie wie, do którego szpitala go zabrali.

Wkrótce potem przybyli policjanci. Ciągle roztrzęsiona, Krystyna opowiedziała im, co się stało. Pokazała im numer rejestracyjny samochodu zapisany w komórce. Jeden z policjantów robił notatki. Gdy podała mu numer rejestracyjny, natychmiast przekazał go kolegom na komendzie. Wkrótce znali nazwisko i imię właściciela, przypuszczalnego kierowcy samochodu. Okazał się nim Tomasz Zalewski z Mińska Mazowieckiego. Dowiedzieli się też, że była to skoda octavia kombi w kolorze srebrnometalicznym.

– Czy pani zna Tomasza Zalewskiego z Mińska Mazowieckiego? – zapytał policjant Krystynę.

– Pierwszy raz słyszę to nazwisko – odpowiedziała.

– A może ten poszkodowany pan zna? – policjant nie odpuszczał.

– Nie sędę. On nie jest z Polski. Od dwudziestu pięciu lat mieszka za granicą.

Na koniec policjant poprosił Krystynę o jej adres i numer telefonu.

Po uzyskaniu danych auta policjanci wiedzieli już, czego szukać. Zdecydowali, że pojedą śladami samochodu, który potrącił Romana. Wiedzieli, że po takiej kolizji auto będzie nosiło jej ślady i najprawdopodobniej kierowca gdzieś je porzuci. Dojechali do skrzyżowania przy obelisku, który informował turystów, że znajdują się w miejscu pamięci narodowej. Tutaj policjanci skręcili w lewo, w stronę pomnika pomordowanych. Dojechali do końca drogi. Samochodu tam nie było. Wrócili więc do skrzyżowania przy obelisku i pojechali w stronę przeciwną. Znaleźli samochód jakiś kilometr dalej. Stał na leśnej drodze przy barierce, która blokowała wjazd do lasu. Samochód miał wgniecioną maskę, rozbitą przednią szybę oraz stłuczone prawe lustro. Kolor i numer rejestracyjny się zgadzały. Policjanci złożyli meldunek na komendzie, że znaleźli samochód sprawcy. Wkrótce potem zostało wydane ENA (Europejski Nakaz Aresztowania) na nazwisko Tomasza Zalewskiego, zamieszkałego w Mińsku Mazowieckim. Jeszcze tego samego popołudnia samochód został odholowany na parking policyjny, gdzie poddano go bardzo dokładnym oględzinom i analizie w celu poszukiwania śladów osoby lub osób, które dokonały zamachu na Romana i Krystynę.

ROZDZIAŁ 49

Niedziela, 22 września 2013, godzina 12:12 CEST

Luisa była zadowolona, jej plan działał perfekcyjnie. Nie wiedziała, co się dzieje z Romanem, ale była pewna, że już się nie podniesie. Szkoda tylko, że nie udało jej się za jednym zamachem załatwić tej polskiej suki. Zresztą wszystko jedno. Tak go załatwiła, że ta polska kurwa na pewno już z nim nie będzie.

Po porzuceniu samochodu udała się na przystanek autobusowy. Wiedziała, że jest to końcowy przystanek, z którego odjeżdżały tylko autobusy linii 27 do Dworca Głównego. Według jej notatek, następny autobus miał odjechać za sześć minut. Idąc od samochodu przez las, zdjęła rękawiczki, ciemne okulary, czarny kaszkiet, pod którym ukrywała włosy, oraz ortalionową kurtkę, którą miała na sobie, i schowała wszystko do plastikowej torby. Wyszła z lasu jakieś pięćdziesiąt metrów od przystanku i z torbą w ręku ruszyła w kierunku autobusu. Weszła do środka, skasowała bilet i usiadła w przedostatnim rzędzie przy oknie. Denerwowała się. Co będzie, jak ją złapią z torbą? Jak wytłumaczy, dlaczego posiada przy sobie te rzeczy? Na szczęście nikt więcej nie wsiadł i autobus ruszył. Pół godziny później była już na dworcu. Najchętniej pojechałaby od razu do Warszawy, ale musiałyby czekać na pociąg przeszło dwie godziny, co uznała za nierozsądne. Powinna jak najszybciej oddalić się od Torunia. Zdecydowała się więc wsiąść w najbliższy pociąg. Odjeżdżał o 13:13 do Włocławka, pozostało jej więc około dwudziestu pięciu minut czekania. Podeszła do kasy, przy której nikogo nie było, i powiedziała po polsku wyuczone słowa: „Poproszę normalny do Włocławka na najbliższy pociąg osobowy”. Kasjerka o coś ją zapytała. Na wszelki wypadek odpowiedziała „tak”. Dostała bilet, poszła na peron i wsiadła do pociągu, który był już podstawiony. Tabliczki z boku wagonów wyświetlały napis „Włocławek”.

Jak do tej pory, wszystko szło zgodnie z planem. Przydały się rozmówki hiszpańsko-polskie, przydał się trening z Tomaszem w ćwiczeniu polskich zwrotów i przydało się studiowanie map i rozkładów jazdy. Pewnie Tomasz dziwił się jej wyborom zwrotów polskich, które z nim ćwiczyła. Wszystko jedno... Trochę się zaniepokoiła, bo było już siedem minut po czasie odjazdu, a pociąg nadal stał przy peronie. Na szczęście w końcu ruszył i poczuła się pewniej. Nikt jej nie ścigał ani nie szukał. We Włocławku poszła od razu do kas i kupiła bilet normalny pierwszej klasy na najbliższy pociąg pośpieszny do Warszawy Centralnej. Znowu przydał się trening zwrotów z rozmówek. Uświadomiła sobie, że nie zna topografii Włocławka. Podążyła więc za tłumem pasażerów. Doszła do centrum handlowego. Tam usiadła w małej kawiarence i, zasłonięta gazetą oraz popijając espresso, oczekiwała na 15:22, godzinę odjazdu pociągu. Wracając na

dworzec, wyrzuciła torbę do kosza na stacji benzynowej, którą mijiała po drodze. Była bliska paniki. Bacznie się rozglądała, czy nie ma jakiegoś wzmożonego ruchu policji. Ale niepotrzebnie. Na dworcu było spokojnie i w ogóle nie było widać policji. Nikt na nią nie zwracał uwagi. To ją nieco uspokoiło. Gdy pociąg podjechał, wsiadła do wagonu pierwszej klasy i po około dwóch godzinach, przez nikogo nienagabywana i bez kłopotów, wysiadła w Warszawie Centralnej. Jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniła do Lufthansy i przełożyła datę wylotu z dwudziestego dziewiątego na dwudziestego trzeciego września. Jej samolot odlatywał z Okęcia o 9:25 rano, zjadła więc kolację w restauracji hotelowej i poszła spać.

W poniedziałek rano wstała bardzo wcześnie. Była 6:45, gdy zjawiała się w recepcji, żeby uregulować należność za hotel.

– Już nas pani opuszcza – powiedziała uprzejmie recepcjonistka. – A szkoda. Była pani wspaniałym gościem. Zapraszamy ponownie – dodała z uśmiechem.

Luisa działała w pośpiechu – zrezygnowała ze śniadania, wzięła taksówkę i udała się prosto na lotnisko. Pięć godzin później siedziała już w wielkim Boeingu 747, który leciał z Frankfurtu do Gwatemali. Tam zanocowała w hotelu przy lotnisku. Następnego dnia rano bez przeszkód dało jej się złapać autobus, którym zgodnie z planem dojechała do San Christobal de las Casas w Meksyku. Tutaj zatrzymała się na nocleg w lokalnym hoteliku, meldując się pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Następnego dnia rano pojechała autobusem do Meksyku. Podróż zajęła jej cały dzień. Dojechała do domu późnym wieczorem. Pierwsze, co zrobiła, to zniszczyła paszport, kartę kredytową i prawo jazdy na nazwisko Guadalupe Teresa Salas, pozbywając się w ten sposób dowodów, że kiedykolwiek była w Europie, a zwłaszcza w Polsce. Co prawda szkoda jej było tych sprawdzonych już dokumentów. Poza tym na karcie kredytowej pozostało jej jeszcze sporo pieniędzy. Ale uznała dokumenty za spalone ze względu na to, że mogła być poszukiwana przez Interpol. Z tego też powodu wołała nie ryzykować dalszego użycia Visy. W ten sposób ślad urywał się w Polsce.

ROZDZIAŁ 50

Wtorek, 24 września 2013, godzina 8:05 CEST

Informacja o ataku na Krystynę Szymbarską i jej zagranicznego gościa na Barbarce dotarła na biurko komisarza Ślubowskiego w poniedziałek rano. Nie było go jednak przez cały dzień w biurze. Pojechał do laboratorium kryminalistycznego, żeby przedyskutować ze specjalistami od toksykologii sposób działania atropiny i arszeniku. Ciekawiło go zwłaszcza, o której został otruty Andrzej Brzozowski, zakładając, że Jan Kuza połknął truciznę kilka minut po północy, a zmarł po trzeciej nad ranem. Z kolei medyk sądowy określił czas śmierci Brzozowskiego między trzecią a piątą po południu. Istotnym pytaniem było, o której połknął truciznę. Po długich konsultacjach już wiedział – mogło to się zdarzyć równie dobrze na godzinę lub dwie przed śmiercią, jak i tuż przed zgonem. Po powrocie do biura z zainteresowaniem przeczytał notatkę. „Czyżby rzeczywiście mordował Tomasz Zalewski?” – zdziwił się. Wziął teczkę i notatkę o ataku na Barbarce i udał się do prokuratora Marynowskiego, żeby przedyskutować z nim uzyskane dane. Zapoznał się u niego z wynikami wstępnego śledztwa w sprawie ataku na Barbarce. Wszystkie dowody jednoznacznie wskazywały na Zalewskiego jako sprawcę. W takim wypadku sprawa wydawała się prosta – należy przede wszystkim go zatrzymać, a później zebrać materiał dowodowy. Jednak komisarz miał wątpliwości co do winy Zalewskiego. Wydawało się to zbyt proste. Wszystko wyglądało tak, jakby ktoś chciał go zrobić w te zbrodnie. Zasugerował więc prokuratorowi, aby sprawdzić drogi ucieczki sprawcy z miejsca zbrodni.

Komisarz Ślubowski przewidywał cztery sposoby ucieczki: samochodem prowadzonym przez współnika, autobusem, taksówką lub autostopem. Przez kolejne dwa dni grupa wywiadowców przepytывała mieszkańców w okolicy miejsca porzucenia samochodu, czy ktoś czegoś nie zauważył. Nikogo nie widziano. Z kolei komisarz osobiście przesłuchał kierowcę autobusu numer 27, który tego dnia pełnił dyżur. Kierowca nie widział, żeby na końcowym przystanku do autobusu o 12:18 wsiadał jakikolwiek mężczyzna. Jediną osobą, która wsiadła, była młoda, może trzydziestoletnia kobieta o egzotycznej urodzie. „Wyglądała jak Arabka, Cyganka lub Ukrainka” – powiedział kierowca. Kobieta wysiadła na końcowym przystanku przy dworcu Toruń Główny. Komisarz zdecydował się pójść tym tropem. Pamiętał, że podobną kobietę widział kasjer na stacji benzynowej. Na stacji Toruń Główny odszukano kasjerkę, która potwierdziła, że sprzedała Polce o bardzo egzotycznej urodzie bilet do Włocławka. Ta sama Polka na stacji we Włocławku kupiła bilet do Warszawy Centralnej na pośpieszny o 15:22. W Warszawie znaleziono kierowcę taksówki, który potwierdził, że wiozł pasażerkę o egzotycznej urodzie z Dworca Centralnego do hotelu Premier Class. W recepcji hotelu komisarz uzyskał nazwisko. Kobieta była Meksykanką

i nazywała się Teresa Salas. Niestety, był już piątek, a Teresa Salas opuściła hotel w poniedziałek rano.

Jeszcze tego samego dnia komisarz Ślubowski złożył raport prokuratorowi Marynowskiemu, podając nazwisko podejrzanej. Prokuratura od razu wystawiła ENA na nazwisko Teresy Salas. Jednak było już za późno. Informacja od niemieckiej Policji z Frankfurtu podawała, że Guadalupe Teresa Salas opuściła Europę w poniedziałek 23 września po południu i udała się do Gwatemali. Prokuratura wystawiła MLG (Międzynarodowy List Gończy) na nazwisko Guadalupe Teresa Salas do Interpolu w Gwatemali i Meksyku. Podejrzana do dzisiaj pozostaje na pozycji jedenastej na liście Interpolu poszukiwanych najgroźniejszych przestępców.

Epilog

Roman ocknął się, słysząc dziwne dźwięki, które brzmiały jak sygnały SOS transmitowane przez kilka nadajników na różnych częstotliwościach. Później stwierdził, że to system monitorowania medycznego działał w ten sposób. Roman leżał na boku. Przez moment zastanawiał się, dlaczego jego łóżko jest przymocowane do ściany i jak to się dzieje, że z niego nie spada na podłogę. Dziwiło go też, że podłoga była biała. Poniżej łóżka, również w dziwnej pozycji, na krześle przymocowanym do ściany siedziała Krystyna. Jej oczy były opuchnięte od płaczu. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że znajduje się w szpitalu. Położył się na wznak i pokój wrócił do normy. To, co brał wcześniej za podłogę, to była ściana dużej sali szpitalnej. Krystyna siedziała obok. Jednak w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego się tutaj znajduje.

– Oj, obudziłeś się! Jak dobrze – powiedziała Krystyna, gdy odwrócił się na plecy. – Bardzo się o ciebie martwiłam.

– A dlaczego? – zapytał Roman.

– Jesteś w szpitalu. Byłeś umierający – odpowiedziała.

– A możesz mi powiedzieć, co się stało?

– Miałaś wypadek, potrącił cię samochód. Masz krwiak na lewej części mózdzku. Lekarze mówili, że możesz się już nie obudzić. Na szczęście się obudziłeś. Bardzo się cieszę. Nawet nie wiesz, jak bardzo się martwiłam.

Nagle przypomniał sobie pędzący na nich samochód.

– Tobie nic się nie stało? – zapytał.

– Dzięki tobie nic. Popchnąłeś mnie, pamiętasz? Miałam tylko kilka zadrapań.

– To bardzo dobrze. Ile dni tu już jestem?

– Sześć.

– A co mówią lekarze? Jak długo jeszcze zostanę w tym szpitalu?

– Nie wiadomo. To jest bardzo skomplikowane. Twoje życie ciągle jest zagrożone. Wczoraj rozmawiałam z lekarzem prowadzącym, kobietą, która powiedziała mi, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Jesteś w szpitalu neurologicznym na oddziale udarowym. Jesteś podłączony do cewnika i monitora, a karmiony glukozą przez kroplówkę. Lekarze mówią, że dopiero za dwa tygodnie będzie wiadomo, czy niebezpieczeństwo minęło. Twoja doktor prowadząca powiedziała mi, że nawet w takim wypadku nie ma stuprocentowej gwarancji na przeżycie. To zależy od tego, jakie naczynie krwionośne spowodowało krwiak. Jeśli była to mała tętnica, to niebezpieczeństwo już minęło. Jeśli natomiast jest to żyła, może się okazać, że krwiak będzie się powiększał i może cię zabić nawet kilka miesięcy później. Z tego względu twoje życie będzie zagrożone przez kilka następnych miesięcy. Tak czy inaczej, lekarze nie spodziewają się, że będziesz

mógł chodzić i łykać w najbliższej przyszłości. Na razie będziesz karmiony przez sondę. Musisz leżeć w szpitalu jeszcze przez co najmniej miesiąc.

– Dziękuję ci za informacje – powiedział Roman.

Leżał w bezruchu przez kilka minut.

– Czy wiadomo, kto był w tym samochodzie? Kto na nas polował? – zapytał po długiej chwili.

– Wiadomo. Policja poszukuje mężczyzny o nazwisku Tomasz Zalewski. Czy to nazwisko coś ci mówi? Bo mnie nic.

– Mnie również nic nie mówi. Nie znam człowieka, ani Tomasza, ani Zalewskiego – odpowiedział i zamilkł. Po chwili dodał:

– Ciekawe, które z nas tak bardzo się naraziło temu Tomaszowi, że wydał na nas wyrok śmierci. Mam nadzieję, że jesteś już bezpieczna.

– Ja również – odpowiedziała Krystyna.

– Nie gniewaj się, proszę, ale nie będę już tutaj przychodziła. Gdy tutaj jestem i patrzę na ciebie, to jest mi tak niezmiernie przykro, że cały czas siedzę i płaczę.

– Rozumiem. Nie przejmuj się mną. Wszystko w porządku – odpowiedział Roman. – Nawet wolę, żebyś nie przychodziła. Będę się czuł mniej skrępowany – dodał po chwili.

Nigdy w życiu nie chorował i nie był przyzwyczajony ani gotowy na współczucie innych ludzi. Po dwóch tygodniach było wiadomo, że bezpośrednie zagrożenie minęło. Roman pozostał jednak w szpitalu przez następne cztery tygodnie. Krystyna więcej już się nie pojawiła. Po wypisaniu ze szpitala Roman wrócił do swojego mieszkania. Miał dużo czasu na rozważania i przemyślenie ostatniego okresu swojego życia. Było ciekawe! Ze wszystkich kobiet, które poznał, najbardziej było mu żal Luisy. Szkoda, że się z nią rozstał.

Lista kontrolna z „Hare Psychopaty Checklist”

punkty od 0 do 2

Agresywny narcyzm

.....

Łatwość wypowiedania się/powierzchny urok

.....

Wysokie poczucie własnej wartości

.....

Patologiczne kłamstwo

.....

Przebiegły i manipulacyjny

.....

Brak wyrzutów sumienia lub poczucie winy

.....

Emocjonalnie płytki

.....

Nieczuły/brak empatii

.....

Odmowa przyjęcia odpowiedzialności za własne czyny

.....

Dziwaczny styl życia (społeczne odchyłki)

.....

Potrzeba stymulacji/podatność na nudę

.....

Pasożytniczy tryb życia

.....

Słaba kontrola zachowania

.....

Rozwiałe zachowanie seksualne

.....

Brak realistycznych, długoterminowych celów

.....

Impulsywność

.....

Nieodpowiedzialność

.....

Przestępczość w młodości

.....

Wczesne problemy behawioralne

.....

Cofnięcie zwolnienia warunkowego

.....

Groźby niewspółmierne do przyczyn

.....

Wiele krótkoterminowych relacji małżeńskich lub związków partnerskich

.....

Zróżnicowane czyny kryminalne

.....

Interpretacja wyników:

mniej niż 6

NORMALNY

20–30

KRYMINALISTA

30 i więcej

PSYCHOPATA

REDAKCJA: KRYSTYNA LESIŃSKA
KOREKTA: EDYTA MALINOWSKA-KLIMIUK
OKŁADKA: PAULINA RADOMSKA-SKIERKOWSKA
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

© Jan Bratkowski i Novae Res s.c. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-7942-603-4

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zacztyani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



